

Gabriel Garcia Marquez (ur. 1928) pisarz kolumbijski, jeden z najwybitniejszych prozaików XX wieku, autor takich bestsellerów jak:

Sto lat samotności, Jesień patriarchy, Szarańcza, Raport z pewnego porwania, Dwanaście opowiadań tułaczych, Zła godzina, Generał w labiryncie, O miłości i innych demonach, Nie ma kto pisać do pułkownika, Kronika zapowiedzianej śmierci, Opowieść rozbitka oraz wyboru felietonów Morze utraconych opowiadań i Skandal stulecia.

Laureat Nagrody Nobla w roku 1982.

**GABRIEL GARCIA MARQUEZ**

**MIŁOŚĆ W CZASACH ZARAŻY**

przełożył

Carlos Marrodan Casas

Warszawa 2004

*Dla Mercedes, oczywiście  
Już ta ziemia nad inne wywyższona ziemie swą boginię w koronie wreszcie ujrzyć  
może  
Leandro Diaz*

To było nieuniknione: zapach gorzkich migdałów przypominał mu zawsze los trudnych miłości. Doktor Juvenal Urbino poczuł go już w progu tonącego jeszcze w ciemnościach domu, dokąd przybył, by zająć się nagłym przypadkiem, który dla niego przestał być nagły już wiele lat temu. Antylski uchodźca Jeremiasz de Saint - Amour, inwalida wojenny, dziecięcy fotograf i jego najbardziej miłosierny przeciwnik szachowy, uszedł męczarniom pamięci w oparach cyjanku złota.

Dostrzegł przykryte kocem zwłoki na używanym zawsze przez Jeremiasza łóżku polowym, obok stołka z kuwetą, którą fotograf posłużył się przy odparowywaniu trucizny. Na podłodze, przywiązany do jednej z nóg łóżka, leżał ogromny martwy dog o śnieżnej piersi, obok zaś kule inwalidzkie. Duszne, zagracone pomieszczenie, służące zarazem za sypialnię i ciemnię fotograficzną, ledwie zaczynało się rozwidniać wpadającym przez otwarte okno blaskiem świtu, niemniej i ta odrobina światła wystarczała, by natychmiast rozpoznać powagę śmierci. Pozostałe okna, jak i każda, najmniejsza nawet, szpara w pokoju, były pozatykane szmatami lub zasłonięte czarną tekturą, co zwiększało przygnębiającą duchotę. Znajdował się tam również duży stół zastawiony słoikami i flakonikami bez etykietek oraz dwie obtłuczone cynowe kuwety pod żarówką osłoniętą jedynie czerwonym papierem. Trzecia kuweta, ta od utrwalacza, była przy zwłokach. Poza tym wałały się tam połamane meble, pisma i stare gazety, stosy negatywów na szklanych płytkach, wszystko zabezpieczone jednak przed kurzem czyjąś troskliwą ręką. Podmuchi wpadający przez okno przewietrzył pokój, nie na tyle jednak, by nie dało się rozpoznać wygasłego żaru gorzkich migdałów nieszczęśliwej miłości. Doktorowi Juvenalowi Urbino niejednokrotnie przychodziło na myśl, bez cienia złych przeczuć, że nie jest to miejsce, w którym można by zasnąć w Panu. Z czasem jednak zaczął przypuszczać, iż panujący tu bałagan czynił być może zadość jakiemuś zaszyfrowanemu zrządzeniu Opatrzności.

Przed nim zjawił się już komisarz policji z młodziutkim studentem medycyny odbywającym praktykę z medycyny sądowej w przychodni miejskiej i to właśnie oni, czekając na doktora Urbino, przewietrzyli pokój i przykryli ciało kocem. Obaj przywitali go z uroczystą powagą, która tym razem bliższa była wyrazom współczucia niż szacunku, wszyscy zdawali sobie bowiem sprawę z zażyłej przyjaźni łączącej go z Jeremiaszem de Saint - Amour.

Znamienity profesor uściśnął każdemu dłoń, tak jak czynił to zawsze ze wszystkimi swoimi studentami przed rozpoczęciem codziennych wykładów z interny, następnie zaś chwycił opuszkami kciuka i palca wskazującego brzeg koca, niczym łożysko kwiatu, i odsłonił zwłoki, powoli, stopniowo, z ceremonialną opieszałością. Nieboszyk leżał

całkowicie nagi, sztywny, skręcony, z otwartymi oczami, jego ciało miało barwę niebieską i wyglądał, jakby był o pięćdziesiąt lat starszy niż poprzedniej nocy. Miał przezroczyście źrenice, żółtawą brodę i włosy, a brzuch przecięty starą blizną zszytą supłami pakowego sznura. Tors i ramiona były, wskutek używania kul, rozrośnięte jak u galernika, ale jego bezbronne nogi wyglądały niczym opuszczone sieroty. Doktor Juvenal Urbino przyjrzał mu się przez chwilę ze zbolałym sercem, jak rzadko kiedy w ciągu swej wieloletniej i jałowej walki ze śmiercią.

- Skurczybyku - powiedział. - Najgorsze już minęło.

Ponownie przykrył zwłoki kocem odzyskując zarazem swą akademicką godność. W zeszłym roku obchodził osiemdziesiąte urodziny i w dziękczynnym przemówieniu, wygłaszanym podczas trzydniowych oficjalnych uroczystości jubileuszowych, po raz kolejny oparł się pokusie przejścia na emeryturę. Powiedział: „Na odpoczynek będę miał czasu aż nadto, kiedy umrę, ale ta ewentualność jeszcze nie jest przeze mnie brana pod uwagę”. Chociaż coraz gorzej słyszał na prawe ucho i chodząc podpierał się laską z srebrną rączką, by ukryć chwiejność kroków, nadal nosił, z wytwornością swych lat młodzięcych, lniany garnitur z kamizelką, którą przecinała złota dewizka. Broda a la Ludwik Pasteur, koloru masy perłowej, tej samej barwy włosy, bardzo starannie utrzymane i z przedziałką dokładnie pośrodku, wiernie odzwierciedlały jego charakter. Coraz bardziej niepokojące uszczerbki pamięci starał się w miarę możliwości kompensować notatkami zapisywanymi naprędce na luźnych karteczkach, które w rezultacie gubiły się i zapodziały po wszystkich kieszeniach, dzieląc los narzędzi, flakoników z lekarstwami i tyłu innych rzeczy w galimatiasie pękającej w szwach torby lekarskiej. Był w mieście nie tylko najdłużej praktykującym i najsłynniejszym lekarzem, ale i najwytworniejszym mężczyzną. A mimo to jego zbyt oczywista inteligencja i daleki od prostoduszności sposób posługiwania się nazwiskiem przysporzyły mu znacznie mniej sympatii, niż na to zasługiwał.

Instrukcje wydane komisarzowi i praktykantowi były szybkie i jasne. Nie trzeba było przeprowadzać autopsji. Zapach unoszący się w domu całkowicie wystarczał, by określić, iż przyczyną śmierci były emanacje cyjanku zaktywizowanego w kuwecie za pomocą jednego z kwasów fotograficznych, a Jeremiasz de Saint - Amour zbyt dobrze znał się na swoim fachu, żeby brać pod uwagę zwykły przypadek. Zgłoszone przez komisarza zastrzeżenia odparował we właściwy sobie sposób: „Proszę nie zapominać, że to ja podpisuję akt zgonu”. Młodego medyka ogarnęło rozczarowanie: nigdy nie miał sposobności zbadania na zwłokach skutków działania cyjanku złota. Doktor Juvenal Urbino zdziwił się, że nigdy nie

spotkał go w Akademii Medycznej, ale spostrzegłszy, z jaką łatwością się rumieni, i rozpoznawszy jego andyjski akcent, natychmiast zrozumiał: najwidoczniej przybył do miasta całkiem niedawno. Powiedział: „Zaręczam, że nie zabraknie panu tutaj ofiar szaleńczej miłości, które stworzą taką okazję, i to niebawem”. I natychmiast po wypowiedzeniu tych słów uświadomił sobie, że choć pamięta niezliczoną ilość samobójstw, jest to dlań pierwszy przypadek, kiedy przyczyną użycia cyjanku nie była nieszczęśliwa miłość. Wówczas coś zmieniło się w tonie jego głosu.

- Kiedy natknie się pan na takiego, proszę zwrócić uwagę - powiedział praktykantowi. - Zazwyczaj mają piasek w sercu.

Następnie zaczął rozmawiać z komisarzem jak z podwładnym. Wydał mu polecenie ominięcia wszystkich przepisów, by pogrzeb mógł odbyć się jeszcze tegoż popołudnia z zachowaniem jak największej dyskrecji.

Powiedział: „Porozmawiam później z burmistrzem”. Wiedział, że Jeremiasz de Saint - Amour żył w skrajnej ascezie, choć swoją sztuką zarabiał znacznie więcej, niż potrzebował na życie, w jednej z szuflad muszą więc znajdować się pieniądze, które w zupełności wystarczą na pokrycie kosztów pogrzebu.

- Ale jeśli ich nie znajdziecie, to nic nie szkodzi - powiedział. - Ja pokryję wszystko.

Wydał dyspozycje, by poinformować gazety, iż fotograf zmarł śmiercią naturalną, choć był przekonany, że wiadomość w ogóle nie zainteresuje dziennikarzy. Dodał:

„Jeśli zajdzie potrzeba, porozmawiam z gubernatorem”. Komisarz, poważny i skromny funkcjonariusz, świadom, że obywatelska praworządność profesora drażni nawet jego najbliższych przyjaciół, był zaskoczony łatwością, z jaką doktor omijał wszystkie procedury prawne, aby przyspieszyć pogrzeb. Nie przystał jedynie na rozmowę z arcybiskupem w sprawie pochowania Jeremiasza de Saint - Amour w poświęconej ziemi. Komisarz, zły sam na siebie z powodu własnej impertynencji, spróbował się usprawiedliwić.

- Słyszałem, że ten człowiek był świętym - powiedział.

- Był kimś jeszcze bardziej niezwykłym - odparł doktor Urbino. - Świętym ateistą. Ale te sprawy przynależą Bogu.

Z daleka, z drugiej strony kolonialnego miasta, dobiegło bicie dzwonów katedralnych wzywających na sumę. Doktor Urbino nałożył półokrągłe okulary w złotej oprawie i zerknął na przymocowany do dewizki cienki kwadratowy zegarek z otwieraną na sprężynkę kopertą: jeszcze trochę, a spóźni się na zielonoświątkowe nabożeństwo.

W pokoju stał olbrzymi aparat fotograficzny na kółkach, taki sam jak aparaty

instalowane w parkach publicznych, i ekran z morskim zachodem słońca namalowanym przez amatora, ściany zaś obwieszane były zdjęciami dzieci z ich najbardziej pamiętnych chwil: pierwsza komunia, w przebraniu króliczka, szczęśliwe urodziny. Doktor Urbino był świadkiem, w czasie pełnych głębokich medytacji szachowych wieczorów, jak ściany te, stopniowo, rok po roku, pokrywały się kolejnymi warstwami zdjęć, i wielokrotnie, z drżeniem smutku, nawiedzała go myśl, że w tej galerii przypadkowych portretów znajduje się zarodek przyszłego, rządzonego i deprawowanego przez owe anonimowe dzieci miasta, w którym nie pozostanie nawet nikły ślad po popiołach jego chwały.

Na biurku, obok miski z przeróżnymi fajkami wilka morskiego, stała szachownica z nierozstrzygniętą partią. Mimo pośpiechu i posępnego nastroju, doktor Urbino nie mógł oprzeć się pokusie, aby jej nie zanalizować. Wiedział, że jest to partia rozgrywana poprzedniego wieczoru, Jeremiasz de Saint - Amour grywał bowiem każdego wieczoru przez cały tydzień, i to co najmniej z trzema przeciwnikami, zawsze jednak kończył partię, chował szachownicę i figury do pudła, pudło zaś do szuflady w biurku. Wiedział, że grał białymi i że tym razem, co było oczywiste, miał zostać bezlitośnie pokonany w czterech ruchach. „Gdybyśmy mieli do czynienia z morderstwem, stanowiłoby to niezły ślad - pomyślał. - Znam tylko jednego człowieka zdolnego obmyślić tak mistrzowską zasadzkę”. Nie będzie mógł żyć spokojnie, jeśli później nie wyjaśni, dlaczego ten niepokromiony żołnierz, przywykły walczyć do ostatniej krwi, pozostawił ostatnią wojnę swego życia nie ukończoną.

O szóstej rano, podczas swego ostatniego obchodu, nocny stróż dostrzegł przybitą do drzwi od ulicy kartkę:

Proszę wejść bez pukania i zawiadomić policję. Wkrótce przybył komisarz z praktykantem i przeprowadzili w mieszkaniu rewizję, szukając jakiegokolwiek tropu, pomimo swoistej woni gorzkich migdałów. W czasie trwającej kilka minut analizy nie zakończonej partii komisarz odnalazł jednak na biurku, pośród innych papierów, kopertę zaadresowaną do doktora Juvenala Urbino, chronioną tyłoma łąkowymi pieczęciami, iż aby wydobyć list, trzeba było ją podrzeć na strzępy. Lekarz, pragnąc mieć lepszy dostęp do światła, odchylił czarną zasłonę u okna, wpięrow przejrzał pobieżnie jedenaście obustronnie zapisanych kaligraficznym pismem kartek, przeczytawszy zaś dokładnie pierwszą część listu zrozumiał, że bezpowrotnie stracił zielonoświątkową komunię. Czytał oddychając gwałtownie, coraz to cofając się o kilka stron, by ponownie uchwycić stracony wątek, a kiedy skończył, zdawał się wracać z bardzo daleka i z zamierzchłej przeszłości. Jego przygnębienie stało się widoczne, chociaż starał się je ukryć: usta przybrały tę samą siną

barwę co ciało nieboszczyka, nie potrafił również zapanować nad drżeniem palców, kiedy złożył list i schował do kieszonki kamizelki. Wówczas przypomniał sobie o obecności komisarza i praktykanta, i uśmiechnął się do nich zza mgły swej udręki. - Nic szczególnego - powiedział. - Jego ostatnie wskazówki.

Była to półprawda, niemniej obaj uznali ją za prawdę całkowitą, polecił im bowiem podważyć luźno osadzoną w podłodze płytkę, pod którą znaleźli mocno zniszczoną książeczkę oszczędnościową, a w niej szyfr do kasy pancерnej. Pieniędzy nie było tyle, ile spodziewali się znaleźć, ale wystarczało ich aż nadto na koszty pogrzebu i pokrycie pomniejszych wydatków. Doktor Urbino wiedział już na pewno, że nie zdąży dotrzeć do katedry przed czytaniem Ewangelii.

- Po raz trzeci, od kiedy posługuję się rozumem, tracę niedzielną mszę - powiedział.  
- Ale Bóg to zrozumie.

Wolał więc spóźnić się jeszcze parę minut, ale pozałatwiać jednak parę drobniejszych spraw, chociaż ledwie udawało mu się opanować nieprzepartą chęć, by jak najszybciej podzielić się ze swą małżonką zawartymi w liście wyznaniami. Zobowiązał się powiadomić liczną kolonię karaibskich uchodźców mieszkających w mieście, na wypadek gdyby chcieli oddać ostatni hołd człowiekowi, który okazał się najaktywniejszym, najradykałniejszym i najbardziej prawym, nawet wtedy, gdy stało się nazbyt oczywiste, że poddał się rozczarowaniu. Powiadomić miał również szachowych kompanów zmarłego, wśród których znajdowali się zarówno sławni profesjonaliści, jak i bezimienni rzemieślnicy, oraz innych, mniej oddanych przyjaciół, być może jednak pragnących uczestniczyć w pogrzebie. Zanim poznał treść listu, śmiał sądzić, że jest najbliższym przyjacielem, po przeczytaniu wszystkich kartek nie był już pewny niczego. Mimo wszystko zamierzał wysłać wieniec gardenii, bo mogło być przecież i tak, że Jeremiasza de Saint - Amour w ostatniej minucie zdjęła skrucha. Pogrzeb miał się odbyć o piątej, w najwłaściwszej w okresie najupalniejszych miesięcy porze. Gdyby go potrzebowali, miał być od dwunastej w wiejskiej posiadłości doktora Lacidesa Olivelli, jego ukochanego ucznia, wydającego w tym dniu uroczyste śniadanie z okazji dwudziestopięciolecia pracy zawodowej.

Doktor Juvenal Urbino, od czasu, gdy daleko za sobą pozostawił burzliwe lata swych pierwszych lekarskich kroków, zdobywając szacunek i prestiż nie mający sobie równego w całej prowincji, posiadał łatwy do prześledzenia stały rozkład dnia. Wstawał z kurami i o tej porze zaczynał brać swoje sekretne lekarstwa: bromek potasu dla animuszu, salicydy na bóle kości w porze deszczowej, krople ze sporyszu na zawroty głowy, belladonę na sen.



Zażywał jeden z tych środków co godzina, zawsze po kryjomu, bo podczas swej długiej kariery lekarza i nauczyciela nieustannie występował przeciwko przepisaniu środków uśmierających starość: łatwiej mu było znieść ból cudzy niż własny. W kieszeni nosił ciągle poduszeczkę z kamforą, którą, gdy nikt go nie widział, głęboko wdychał, aby pozbyć się strachu przed efektem tyłu mieszanych leków.

Godzinę przebywał w swym gabinecie, przygotowując kolejny wykład z interny, który wygłaszał w Akademii Medycznej codziennie od poniedziałku do soboty, punktualnie o ósmej, aż do ostatniego dnia przed śmiercią. Był również uważnym czytelnikiem wszystkich nowości literackich przesyłanych mu pocztą przez jego paryskiego księgarza lub zamawianych w Barcelonie, choć literatury w języku hiszpańskim nie śledził z taką uwagą jak literatury francuskiej.

W każdym razie nigdy nie czytał książek rano, lecz zawsze po sjeście, przez godzinę, i w nocy przed zaśnięciem. Skończywszy przygotowanie wykładu, przystępował w łazience do piętnastominutowych ćwiczeń oddechu przy otwartym oknie, wdychając powietrze zawsze ze strony, z której dobiegało pianie kogutów, tam bowiem było ono najświeższe. Następnie kąpał się, przystrzygał brodę, usztywniał wąsy pomadą w pomieszczeniu przesyconym wodą kolońską, tą autentyczną, Fariny Gegenuber, wkładał białe lniane ubranie z kamizelką, miękki kapelusz i sztylpy z kurdybanu. Mając osiemdziesiąt jeden lat zachowywał wciąż nieskomplikowane maniery i radosne usposobienie z czasów swego powrotu z Paryża, tuż po wielkiej epidemii cholery, a i jego włosy, starannie uczesane, z przedziałkiem pośrodku, były, z wyjątkiem swej metalicznej barwy, niezmiennie takie same jak i za lat młodzieńczych. Śniadanie jadł z rodziną, ale stosując własną dietę: napar z piołunu dla utrzymania żołądka w zdrowiu i główkę czosnku, którego ząbki obierał i jadł jeden po drugim, dokładnie je rozgryzając, razem z chlebem razowym, by zapobiec bólom serca. Rzadko kiedy zdarzało mu się nie mieć po wykładach jakiegoś ważnego spotkania związanego a to z jego działalnością społeczną, a to ze stowarzyszeniem katolickim, a to z inicjatywami kulturalnymi czy towarzyskimi.

Obiad jadł prawie zawsze w domu, odsypiał, siedząc w patio na tarasie, dziesięciominutową sjęstę i słuchał przez sen piosenek śpiewanych przez służące, w gąszczu drzew mangowych, ulicznych obwieszceń, smrodu spalin i hurgotu silników znad zatoki, których wyziewy podczas upalnych popołudni unosiły się w powietrzu całego domu niczym anioł skazany na zgniliznę. Następnie czytał przez godzinę nowo otrzymane książki, w szczególności powieści i eseje historyczne, i udzielał lekcji francuskiego i śpiewu domowej papudze, od lat stanowiącej miejscową atrakcją. O czwartej wychodził z wizytami

do pacjentów, wypiwszy uprzednio ogromny dzban lemoniady z lodem. Mimo szacownego wieku stanowczo sprzeciwiał się przyjmowaniu chorych w przychodni, opiekował się więc nimi odwiedzając ich w domu, tak jak zwykł to czynić od czasów, gdy miasto stało się na tyle cywilizowane, że pieszo mógł dotrzeć wszędzie. Po swym pierwszym powrocie z Europy poruszał się rodzinnym landem z dwoma złocistymi kasztankami, ale gdy stało się ono bezużyteczne, zamienił je na jednokonną wiktoria, nigdy już z niej, z pewną pogardą dla mody, nie rezygnując. Nawet wtedy, gdy powozy na całym świecie zaczęły zanikać, a te, które w mieście ocalały, służyły jedynie turystom i przewożeniu wieńców pogrzebowych. Sprzeciwiał się przejściu na emeryturę, choć wiedział, że wzywany jest wyłącznie do przypadków beznadziejnych, niemniej uważał, że i to jest pewną formą specjalizacji. Potrafił postawić diagnozę wyłącznie na podstawie wyglądu chorego, z coraz większą nieufnością odnosząc się do gotowych leków i z trwogą obserwując postępującą wulgaryzację chirurgii. Powiadał: „Lancet jest koronnym dowodem klęski medycyny”.

Uważał, iż rygorystycznie rzecz ujmując każde lekarstwo jest trucizną, a siedemdziesiąt procent normalnej żywności przyspiesza śmierć. „W każdym razie - zwykł mawiać podczas wykładów - na owej skromnej części medycyny, o której cośkolwiek wiadomo, wyznaje się li tylko skromna garstka lekarzy”. Z młodzieńczego entuzjazmu przeszedł na pozycję zdefiniowaną przezeń jako humanizm fatalistyczny: „Każdy jest panem swojej własnej śmierci, jedyne więc, co jesteśmy w stanie zrobić, to pomóc człowiekowi umrzeć bez lęku i bólu, gdy wybije godzina”. Mimo tych skrajnych poglądów, stanowiących już część miejscowego folkloru medycznego, dawni uczniowie nadal prosili go o konsultacje, nawet gdy sami już cieszyli się ustaloną reputacją, uznawali w nim bowiem to, co ówczesnie zwano diagnostycznym okiem. W każdym razie zawsze był lekarzem droгим i ekskluzywnym, a jego klientela wywodziła się spośród najświetniejszych rodów zamieszkujących dzielnicę wicekrólów.

Miał tak drobiazgowo rozplanowany dzień pracy, iż jego małżonka znakomicie orientowała się, gdzie powinna posłać mu pilną wiadomość, gdy podczas popołudniowego dyżuru pojawiała się jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa. Za swych młodych lat zatrzymywał się, przed ostatecznym powrotem do domu, na czas jakiś w kawiarni „Parafialnej”, by doskonalić tam swe umiejętności szachowe grając z kompanami swego teścia i z niektórymi uchodźcami z Karaibów. Ale u progu nowego wieku przestał do niej uczęszczać, usiłując organizować w zamian turnieje krajowe pod patronatem Klubu Towarzyskiego. To wtenczas pojawił się Jeremiasz de Saint - Amour, już z obumarłymi kolanami, ale jeszcze bez znajomości fachu dziecięcego fotografa, i po niespełna trzech miesiącach znali go już

wszyscy spośród tych, którzy potrafili poruszać się gońcem po szachownicy, nikt nie zdołał bowiem wygrać z nim choćby jednej partii. Dla doktora Juvenala Urbino owo spotkanie zakrawało niemal na cud, gdyż nastąpiło właśnie w chwili, kiedy szachy stały się jego niepokonowaną namiętnością, a już niewielu przeciwników potrafiło ją zaspokoić.

To dzięki niemu Jeremiasz de Saint - Amour mógł dla nas być tym, kim był. Doktor Urbino został jego bezwarunkowym protektorem i całkowitym powiernikiem, nie trudząc się nawet, żeby sprawdzić, kto zacz, co porabia i z jakich wojen bez sławy i chwały przybywa okaleczony i rozgoryczony. Ponadto udzielił mu pożyczki na założenie pracowni fotograficznej, którą Jeremiasz de Saint - Amour, od momentu zrobienia zdjęcia pierwszemu, przerażonemu błyskiem magnezji dziecku, spłacał z aptekarską skrupulatnością do ostatniego grosza. A wszystko to stało się dzięki szachom. Z początku zasiadali do gry o siódmej wieczorem, po kolacji, z uzasadnionymi forami dla lekarza, biorąc pod uwagę wyraźną wyższość przeciwnika, ale z czasem udzielanymi coraz rzadziej, dopóki nie zrównali się umiejętnościami. Później, kiedy don Galileo Daconte uruchomił pierwsze kino, Jeremiasz de Saint - Amour stał się jednym z jego najwytrwalszych widzów, a szachowe pojedynki ograniczyły się do tych wieczorów, w czasie których nie wyświetlano żadnej premiery. W tym okresie zaprzyjaźnili się do tego stopnia, iż doktor zaczął chodzić z nim do kina, zawsze jednak sam, bez żony, co po części wynikało z tego, że nigdy nie starczało jej cierpliwości, żeby śledzić zbyt skomplikowane fabuły, a po części dlatego, że intuicja zawsze podpowiadała jej, iż Jeremiasz de Saint - Amour nie jest najlepszym towarzystwem dla nikogo.

Niedziela była dla niego dniem całkowicie odmiennym. Udawał się na mszę do katedry, następnie wracał do domu, by przez resztę dnia oddawać się na tarasie lenistwu i lekturze. O ile nie miał do czynienia z wyjątkowo nagłym przypadkiem, rzadko kiedy wychodził do pacjenta w dzień świąteczny, od wielu lat nie podejmował również żadnych towarzyskich zobowiązań, chyba że zmuszały go do tego okoliczności. W tę zielonoświątkową niedzielę dziwnym zrządzeniem losu miały miejsce dwa wyjątkowe wydarzenia: śmierć przyjaciela i jubileusz znamienitego ucznia. A jednak, zamiast wrócić od razu do siebie, tak jak zamierzał, wystawiwszy akt zgonu Jeremiasza de Saint - Amour, dał się ponieść ciekawości.

Wsiadłszy do powozu, natychmiast przekartkował pośmiertny list i polecił stangretowi zawieźć się pod dość skomplikowany adres w dawnej dzielnicy niewolników. Decyzja tak dalece mijiała się z jego powszednimi przyzwyczajeniami, iż stangret wołał upewnić się, czy nie zaszła jakaś pomyłka. Nie zaszła: adres był podany wyraźnie, a ten, kto

go zapisał, miał aż nadto powodów, aby dobrze go zapamiętać. Doktor Urbino cofnął się wówczas do pierwszej strony listu i ponownie zanurzył się w tym źródle niepożądanych objawień, które zdolne były, nawet w jego podeszłym wieku, odmienić go na resztę życia, gdyby potrafił przekonać samego siebie, że nie są to majaki człowieka pozbawionego jakiegokolwiek nadziei.

Pogoda zaczęła psuć się od samego rana, niebo zaciągnęło się chmurami, ochłodziło się, ale przed południem deszcz raczej nie groził. Stangret, usiłując znaleźć krótszą drogę, wjechał w wybrukowane wertepy kolonialnego miasta, wskutek czego coraz to musiał zatrzymywać się, aby koń nie poniósł w zgiełku wracających z zielonoświątkowego nabożeństwa szkół i kongregacji. Ulice przystrojone były papierowymi girlandami i świeżymi kwiatami, rozbrzmiewała muzyka, dziewczęta z kolorowymi parasolkami i w muślinowych woalkach przypatrywały się z balkonów świątecznym tłumom. Odjeżdżające po skończonej mszy samochody utworzyły gigantyczny korek na Placu Katedralnym, z ledwie dostrzegalnym pośród afrykańskich palm i spoza nowych, zwieńczonych kulistymi kłozami latarni, pomnikiem Wyzwoliciela, w szacownej zaś i gwarnej kawiarni „Parafialna” nie było już ani jednego wolnego miejsca.

Jedynym widocznym wehikułem konnym był powóz doktora Urbino, choć i tak, pośród tych nielicznych pozostałych w mieście przeżytków, wyróżniał się swą zawsze lśniąca budą z lakierowanej skóry, okuciami odlanymi z brązu, żeby nie zżarła ich saletra, kołami i dyszlami pomalowanymi na czerwono i złożonymi obszyciami niczym w pojazdach z galowych wieczorów Opery Wiedeńskiej. Ponadto, w odróżnieniu od najbardziej wyrafinowanych rodów zadowolających się wyłącznie tym, by ich stangreci mieli czyste koszule, doktor od swojego nadal wymagał liberii z ciemnego aksamitu i cyrkowego cylindra pogromcy zwierząt, cały zresztą strój nie tylko był anachroniczny, ale i uznany został za wyraz całkowitego braku miłosierdzia w karaibskich upałach.

Pomimo nieomal maniakalnej miłości do miasta i jego dogłębnej znajomości - a znał je lepiej niż ktokolwiek inny - doktor Juvenal Urbino rzadko kiedy miał powody, żeby tak jak dziś, bez żadnych oporów, zapuszczać się w chaos dawnej dzielnicy niewolników. Stangret co chwila musiał zawracać i wielokrotnie pytać o drogę, aby trafić pod wskazany adres. Doktor Urbino rozpoznał z bliska przygnębienie mokradeł, ich złowieszczą ciszę, topielcze wyziewy, które tylokrotnie w porze bezsennych świtów dolatywały, wymieszane z zapachem jaśminów rosnących w patio, do jego sypialni i które w jego mniemaniu przemijały jak wczorajszy wiatr nie mający nic wspólnego z jego życiem. Ale ów fetor, tak wiele razy idealizowany przez nostalgię, przekształcił się w nieznośną rzeczywistość, kiedy

powóz zaczął podrygiwać na grzęzawiskach ulic pełnych sępów walczących o odpadki z rzeźni, wyrzucane tu przez wody portowe. W przeciwieństwie do wicekrólewskiej części miasta, wypełnionej murowanymi budynkami, ta dzielnica miała domy z nie malowanego drewna, pokryte dachami z blachy cynkowej, osadzone w większości na palach, chroniących je przed kloacznymi powodziami kanałów ściekowych odziedziczonych po Hiszpanach. Wszystko wydawało się tu nędzne, zapuszczone, ale z obskurnych knajp dochodził huk muzyki z odbywających się, bez Boga i trwogi, zielonoświątkowych zabaw biedaków. Kiedy wreszcie odnaleźli właściwą ulicę, za powozem biegła już sfera nagich dzieciaków naśmiewających się z teatralnych rekwizytów stangreta, który musiał odpędzić je batem. Doktor Urbino, przygotowany na dyskretną wizytę, zbyt późno zrozumiał, że naiwność jest najbardziej niebezpieczna wtedy, gdy daje o sobie znać u kogoś w jego wieku.

Nie opatrzony numerem dom nie wyróżniał się na zewnątrz niczym szczególnym pośród innych, mniej szczęśliwych domów, poza oknem z koronkowymi firankami i drzwiami wymontowanymi z jakiegoś starego kościoła. Stangret zastukał wpierw kołatką i dopiero po upewnieniu się, iż trafili pod właściwy adres, pomógł lekarzowi wyjść z powozu. Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a wewnątrz, w półmroku, stała dojrzała kobieta, cała w czerni i z różą zatknietą za ucho. Mimo swego wieku, a musiała mieć co najmniej czterdzieści lat, ciągle była dumną Mulatką o oczach złocistych i okrutnych o włosach przylegających do głowy niczym bawełniana misiurka. Doktor Urbino nie poznał jej, aczkolwiek wielokrotnie ją widział poprzez mgławicę szachowych partii w pracowni fotografa, a kiedyś nawet przepisał jej nieco chininy przeciwko febrze. Wyciągnął ku niej rękę, ona zaś ujęła ją w swe dłonie, chcąc mu raczej dopomóc w przejściu przez próg aniżeli w powitalnym geście.

Pokój miał w sobie coś z atmosfery pełnej nieuchwytnych szmerów eleganckiej bawialni, zastawiony był bowiem wytwornymi meblami i przedmiotami, które umieszczono w najodpowiedniejszych miejscach. Doktor Urbino bez cienia goryczy przypomniał sobie sklepik paryskiego antykwariusza w pewien jesienny poniedziałek minionego stulecia, na ulicy Montmartre, pod numerem 26. Kobieta usiadła naprzeciw niego i przemówiła z nieco obcym akcentem.

- Jest pan w swoim domu, doktorze. Nie oczekiwałam pana tak szybko.

Doktor Urbino poczuł się zdradzony. Przyjrzał się jej z głębi serca, przyjrzał się jej ciężkiej żalobie, godności jej cierpienia i wówczas zrozumiał, że jego wizyta jest zupełnie niepotrzebna, kobieta bowiem lepiej od niego wiedziała o tym wszystkim, co zostało zrelacjonowane i udokumentowane w pośmiertnym liście Jeremiasza de Saint - Amour. I

tak istotnie było. Towarzyszyła mu jeszcze na kilka godzin przed jego śmiercią, tak jak towarzyszyła przez prawie dwadzieścia lat, z oddaniem i pokorną czułością nazbyt przypominającymi miłość, trzymając to przez cały czas w sekrecie, i to w tej ospałej stolicy prowincji, gdzie tajemnicą poliszynela były nawet tajemnice państwowe. Poznali się w szpitalu dla podróżnych w Portau - Prince, mieście, w którym ona urodziła się, a on spędził swoje pierwsze miesiące uchodźcy, rok później zaś przybyła tu za nim, z krótką wizytą, choć oboje, nie uzgadniając tego, wiedzieli, że przyjeżdża na zawsze.

Zjawiała się raz w tygodniu, żeby sprzątnąć i uporządkować pracownię, ale nawet najpodejrzliwsi z sąsiadów dali się zwieść pozorom, uznając, jak zresztą wszyscy, za oczywiste, że kalectwo Jeremiasza de Saint - Amour uniemożliwia mu nie tylko poruszanie się. Nawet doktor Urbino był tego pewien, opierając swe przekonanie na całkowicie zasadnych podstawach medycznych, i nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że Jeremiasz może mieć kochankę, gdyby on sam mu tego nie wyjawiał w swoim liście. Z trudem przychodziło mu jednak zrozumieć, że dwoje dorosłych, wolnych i nie obarczonych żadną przeszłością ludzi, mogło, niezależnie od przesądów tego pretensjonalnego społeczeństwa, wybrać niepewny los zakazanej miłości. Wyjaśniła mu to: „On tak chciał”. Zresztą ta konspiracja, którą dzieliła z mężczyzną nigdy do niej całkowicie nie należącym, a która wielokrotnie przynosiła im chwilowe eksplozje szczęścia, nie wydawała jej się sytuacją nie sprzyjającą. Wprost przeciwnie: życie udowodniło jej, że jest to raczej stan wzorcowy.

Poprzedniej nocy poszli do kina, każde z osobna, zajmując oddzielne miejsca, tak jak robili to zawsze, co najmniej dwa razy w miesiącu, od czasu gdy włoski emigrant don Galileo Daconte otworzył kino na świeżym powietrzu w ruinach klasztoru z XVII wieku. Obejrzelik film osnuty na modnej w ubiegłym roku powieści, którą doktor Urbino przeczytał z sercem zatrwożonym okrucieństwami wojny: Na Zachodzie bez zmian. Później spotkali się w pracowni i wtedy wydał jej się roztargniony, w nostalgicznym nastroju, co przypisała brutalnym scenom z dogorywającymi w błocie rannymi. Próbując go rozerwać zaproponowała mu partyjkę szachów, on zaś, nie chcąc jej sprawić przykrości, przystał na to, ale grał nieuważnie, białymi, oczywiście, póki nie spostrzegł, szybciej od niej, że zostanie pokonany w czterech ruchach, i poddał się niehonorowo. Lekarz zrozumiał wówczas, że przeciwnikiem w ostatniej partii była ona, a nie generał Jerónimo Argote, jak podejrzewał. Wyszeptał zaskoczony:

- To była mistrzowska partia!

Ona jednak podkreśliła z naciskiem, że nie ma w tym żadnej jej zasługi, bo Jeremiasz de Saint - Amour błędząc już w mrokach śmierci przesuwając pionki nie wkładając

w to serca. Kiedy przerwał grę, gdzieś tak około jedenastej piętnaście, bo orkiestry na dansingach przestały już grać, poprosił ją, by zostawiła go samego. Chciał napisać list do doktora Juvenala Urbino, którego uważał za człowieka godnego największego szacunku spośród wszystkich ludzi jakich znał, i poza tym za przyjaciela od serca, jak lubił mawiać, mimo że jedynym, co ich łączyło, był szachowy nałóg rozumiany jako dialog rozumu, a nie wiedza tajemna. Wówczas zrozumiała, że Jeremiasz de Saint - Amour dotarł do kresu agonii, a życia starczyło mu zaledwie na napisanie listu. Lekarz nie mógł w to uwierzyć.

- To znaczy, że pani wiedziała! - wykrzyknął. Oczywiście, że wiedziała, przytaknęła, a poza tym pomogła mu znieść agonię z tą samą miłością, z jaką dopomogła mu odkryć szczęście. Bo jego ostatnie jedenaście miesięcy tym właśnie było: okrutną agonią. - Pani obowiązkiem było donieść o tym - powiedział lekarz.

- Nie mogłam - odrzekła oburzona. - Za bardzo go kochałam.

Doktor Urbino, któremu zdawało się, że słyszał już wszystko, nigdy nie usłyszał czegoś podobnego, wypowiedzianego tak zwyczajnie. Przyjrzał jej się bacznie, wyostrajając wszystkie zmysły, aby zapadła mu w pamięci taka, jaką była w tej właśnie chwili: niby rzeczny bożek o węzowych oczach, nieustraszona pod osłoną swego czarnego stroju, z różą za uchem. Wiele lat temu na jednej z dzikich plaż Haiti, gdy leżeli nago, odpoczywając po miłości, Jeremiasz de Saint - Amour nagle westchnął:

„Nigdy nie będę stary”. Zrozumiała to jako heroiczny zamiar zacieklej walki przeciwko niszczącemu upływowi czasu, ale on wyjaśnił rzecz bez żadnych niedomówień: powziął nieodwołalną decyzję odebrania sobie życia w wieku sześćdziesięciu lat.

Skończył je istotnie w tym roku, 23 stycznia, i wówczas przyjął za nieprzekraczalny termin wigilię Zielonych Świątek, największego święta miasta, poświęconego kultowi Ducha Świętego. Tamtej nocy nie zdarzyło się nic, o czym nie wiedziałyby już wcześniej, bo często o tym rozmawiali, wspólnie znosząc nieodwracalny potok dni, których ani on, ani ona nie mogli już powstrzymać. Jeremiasz de Saint - Amour kochał życie miłością ślepą, kochał morze i miłość, kochał swego psa i kochał ją, w miarę więc zbliżania się wyznaczonej daty coraz bardziej poddawał się rozpacz, jakby jego śmierć miała nastąpić nie w wyniku własnej decyzji, lecz z mocy wyroku nieubłaganego fatum.

- W nocy, kiedy zostawiłam go samego, nie był już kimś z tego świata - powiedziała.

Chciała zabrać psa, ale on, przyjrząwszy się drzemiącemu obok kul zwierzęciu, pogłaskał je pieszczotliwie koniuszkami palców. Powiedział: „Przykro mi, ale Mister Woodrow Wilson odchodzi ze mną”. Poprosił ją, by w czasie kiedy on będzie pisać list, przywiązała psa do nogi łóżka, i tak też zrobiła wiążąc babski supel, żeby pies mógł się

wyswobodzić. Była to jedyna popełniona przez nią niełojalność, usprawiedliwiona jednak pragnieniem wspominania pana w zimowych ślepiach jego psa. Ale doktor Urbino przerwał jej, by powiedzieć, że pies nie wyswobodził się. Odparła: „To znaczy, że nie chciał”. I ucieszyła się, bo jednak wolała pamiętać swego zmarłego kochanka tak, jak ją o to poprosił ostatniej nocy, kiedy przerwał pisanie rozpoczętego listu i spojrzał na nią po raz ostatni.

- Wspominaj mnie z różą - powiedział jej. Wróciła do swego domu krótko po północy. Wyciągnęła się w ubraniu na łóżku i przypalając jednego papierosa od drugiego dała mu czas na dokończenie listu, świadoma, jak długi i trudny jest to list, a tuż przed trzecią, kiedy psy zaczęły wyc, postawiła wodę na kawę, przebrała się w żałobę i ścięła w patio pierwszą poranną różę. Doktor Urbino już od pewnego czasu zdawał sobie sprawę, jak bardzo będzie unikać wspomnienia tej nieprzejednanej kobiety, i wydawało mu się, iż wie dlaczego: tylko ktoś całkowicie pozbawiony zasad mógł znajdować upodobanie w bólu.

Do ostatniego momentu wizyty dostarczała mu kolejnych powodów. Nie będzie na pogrzebie, bo przyrzekła to kochankowi, choć doktorowi Urbino wydawało się, że w jednym z fragmentów listu wyczytał coś wprost przeciwnego. Nie uroni ani jednej łzy, nie będzie trwonić reszty swego życia dusząc się na wolnym ogniu w sosie z larw pamięci, nie da pogrzebać się za życia, zamknięta w tych czterech ścianach, by szyć sobie całun, jak to robią tutejsze wdowy ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich. Zamierza sprzedać dom Jeremiasza de Saint - Amour, od tej pory należący wraz z całym dobytkiem do niej, zgodnie z dyspozycjami zawartymi w liście, i będzie żyć tak, jak żyła do tej pory, na nic nie narzekając w tej umieralni nędzarzy, gdzie była szczęśliwa.

Słowa te prześladowały doktora Juvenala Urbino przez całą drogę powrotną do domu: „W tej umieralni nędzarzy”. Określenie nie było pozbawione podstaw. Miasto, jego miasto, pozostawało bowiem wciąż, niezmienione, na obrzeżach czasu: skwarne i wyschnięte miasto jego nocnych koszmarów i samotnych rozkoszy wieku dojrzewanego, gdzie rdzewiały kwiaty i pleśniała sól, miasto, któremu przez ostatnie cztery wieki nie zdarzyło się nic, oprócz powolnego starzenia się pośród zwiędniętych drzew laurowych i zgniłych mokradeł. W zimie gwałtowne i niszczycielskie ulewy rozsadzały latryny zamieniając ulice w przyprawiające o mdłości bagniska. Latem niewidoczny pył, piekący jak rozżarzona kreda, przenikał do najbardziej strzeżonych zakamarków wyobraźni, gnany przez szaleńcze wiatry zrywające dachy i unoszące dzieci w powietrzu. W soboty biedota mulacka tłumnie opuszczała swoje chaty sklecone z tektury i blachy nad brzegiem trzęsawisk, taszcząc ze sobą cały zwierzęcy przychówek i bambetle kuchenne do gotowania



i picia, by radosnym szturmem opanować kamieniste plaże kolonialnej dzielnicy. Jeszcze parę lat temu u najstarszych spośród nich można było dojrzeć królewskie piętno niewolników wypalone na piersi rozżarzoną żelazem. W końcu tygodnia tańczyli do upadłego, zapijali się na śmierć alkoholami z domowych retort, kochali się w krzakach z kim popadło, a w niedzielę o północy rozgramiali swe własne tabuny w krwawych bijatykach wszystkich ze wszystkimi. Był to ten sam porywczy tłum, który przez resztę tygodnia zalewał place i uliczki starego miasta dźwigając swoje przenośne kramiki z wszystkim, co dawało się sprzedać i kupić, zarażając martwe miasto szaleństwem jarmarcznych tłumów pachnących smażoną rybą: tchnąć nowe życie.

Wyzwolenie spod panowania hiszpańskiego, a później zniesienie niewolnictwa przyspieszyły okres szacownej dekadencji, w jakim przyszedł na świat i dorastał doktor Juvenal Urbino. Wielkie onegdaj rody pogrążyły się w milczeniu w głębi swych ogołoconych fortec. Na stromiznach wybrukowanych ulic, tak przydatnych na czas wojennych zasadzek i pirackich desantów, z balkonów zwisało zielsko, pieniące się w każdej szparze i rozsadzające kamienne mury najlepiej nawet zachowanych rezydencji, a jedynym znakiem życia o drugiej po południu były apatyczne ćwiczenia na pianinie w półmroku sjesty. Wewnątrz, w chłodnych sypialniach przesyconych kadzidłem, kobiety chroniły się przed słońcem jak przed prostacką infekcją, zakrywając twarze mantylką nawet w porze jutrzni. Ich miłość była powolna i trudna, nierzadko zmałona złowieszczymi przepowiedniami, a życie wydawało się trwać bez końca. O zmierzchu, w przygnębiającej chwili przemijania, znad mokradeł nadciągały nawałnice żądnych krwi komarów, a delikatne opary ludzkiego gówna, ciepłe i smutne, przywracały duszom mieszkańców poczucie nieodwracalności śmierci.

Prawdziwe życie kolonialnego miasta, które młody Juvenal Urbino zazwyczaj idealizował podczas swych paryskich melancholii, już wtedy było jedynie złudzeniem pamięci. Handel tej metropolii przeżył największy na Karaibach rozkwit w wieku XVIII, przede wszystkim dzięki wątpliwemu zaszczytowi najważniejszego targu niewolników afrykańskich w obu Amerykach. Ponadto, była to ulubiona siedziba wicekrólów Nowego Królestwa Granady, woleli bowiem rządzić z tego miejsca, mając przed sobą największy ocean świata, niż z oddalonej mroźnej stolicy z nieustającą od wieków mżawką odbierającą im poczucie rzeczywistości. W ciągu roku w zatoce wielokrotnie gromadziły się floty galeonów załadowanych skarbami z Potosi, Quito, Veracruz i był to czas, kiedy miasto przeżywało swoje lata chwały.

W piątek 8 czerwca 1708 roku, o czwartej po południu, galeon „San Jose”,

wpływający właśnie do Kadyksu z ładunkiem szlachetnych kamieni i metali wartości pół miliarda ówczesnych pesos, został zatopiony przez angielską eskadrę u wejścia do portu, jego wrak zaś, mimo upływu dwóch długich wieków, spoczywał wciąż na dnie. Owa leżąca na koralowym dnie fortuna, z trupem dowódcy, unoszącym się na boku nad mostkiem kapitańskim, często przywoływana była przez historyków jako symbol miasta tonącego we wspomnieniach.

Dom doktora Juvenala Urbino postawiony po drugiej stronie zatoki, w willowej dzielnicy La Manga, żył w innym wymiarze. Był to duży, chłodny, parterowy budynek z portykiem o doryckich kolumnach, skąd roztaczał się widok na wyziewy i szczątki wszelkich katastrof morskich unoszone przez martwe wody laguny.

Podłoga, od drzwi po kuchnię, przypominała czarnobiałą szachownicę, co niejednokrotnie przypisywano głównej namiętności doktora Urbino, zapominając, że była to słabość wszystkich katalońskich mistrzów budowlanych, którzy na początku tego wieku wzniesli ową dzielnicę nowobogackich. Przestronny salon, o wysokim, jak i w całym domu, stropie, z sześcioma dużymi oknami wychodzącymi na ulicę, oddzielony został od jadalni ogromnymi oszklonymi drzwiami, zdobnymi w pędy winorośli, kiście winogron oraz dziewczątka uwodzone przez piszczałki faunów w gaju z brązu. Wszystkie sprzęty, łącznie z zegarem wahadłowym, który wyglądał jak żywy strażnik, były oryginalnymi angielskimi meblami z końca XIX wieku, łezki żyrandoli wykonane zostały z górskiego kryształu, a do tego wszędzie poustawiano wazonny i wazoniki z Sevres i alabastrowe figurki pogańskich bożków. Ta europejska jednorodność kończyła się jednak w głębi domu, gdzie wiklinowe fotele stały obok wiedeńskich foteli na biegunach, na przemian ze skórzanymi pufami wykonanymi przez miejscowych rękodzielników. W sypialniach, obok łóżek, rozwieszane były hamaki z San Jacinto z wyhaftowanym pismem gotyckim, jedwabną nicią, imieniem gospodarza i z kolorowymi frędzlami na brzegach. Sala obok jadalni, zaprojektowana początkowo z myślą o uroczystych kolacjach, została ostatecznie przeznaczona na salonik muzyczny, gdzie z chwilą przyjazdu znamienitych artystów odbywały się koncerty w kameralnym gronie. W celu wytłumienia wszelkich hałasów kamienną posadzkę wyłożono tureckimi dywanami, zakupionymi na Światowej Wystawie w Paryżu; znajdował się tam również najnowszy model gramofonu obok regału z pedantycznie uporządkowanymi płytami, w kącie zaś stało, przykryte barwnym jedwabnym szalem z Manili, pianino, na którym doktor Urbino nie grał już od wielu lat. W całym domu dostrzegało się inteligencję i wrażliwość kobiety trzeźwo chodzącej po ziemi.

Żadne inne miejsce nie miało jednak pedantycznej powagi biblioteki, stanowiącej

sanktuarium doktora Urbino, póki nie zaczęła mu doskwierać starość. W owym pomieszczeniu polecił wszystkie ściany wokół orzechowego biurka i ciężkich foteli obitych skórą, łącznie z oknami, zasłonić oszklonymi regałami, na których poustawiał w obłędym niemal porządku trzy tysiące książek, oprawionych identycznie w cielejącą skórę, z wytłoczonymi złotem na grzbietach swoimi inicjałami. W odróżnieniu od pozostałych miejsc wystawionych na łaskę i niełaskę portowych hałasów i smrodów, w bibliotece panowała zawsze cisza i pachniało klasztorem.

Zrodzeni i wychowani w zakorzenionym na Karaibach przesądzie, że pragnąc wpuścić nie istniejące w rzeczywistości świeże powietrze należy otwierać wszystkie okna i drzwi, doktor Urbino i jego żona dusili się tu z początku czując się odcięci od świata. W końcu jednak przekonali się do dobrodziejstw rzymskiego sposobu na upały, polegającego na szczelnym zamykaniu domów podczas sierpniowych upałów, aby rozpalone powietrze nie dostało się do wnętrza, i otwieraniu ich na oścież wieczorem, by wpuścić nocny wiatr. Od tej pory rezydencja ich stała się najchłodniejszym domem w bezlitosnym słońcu La Mangi, prawdziwym zaś błogosławieństwem była sjesta w półmroku sypialni czy wystawienie wieczorem krzeseł w portyku, by przyglądać się ciężkim popielatym frachtowcom z Nowego Orleanu i rzeczonym statkom z drewnianym kołem łopatkowym, jaśniejącym o zmierzchu wszystkimi światłami i przewietrzającym strumyczkami muzyki martwe śmietnisko zatoki. Był to zarazem budynek najlepiej osłonięty przed wiejącymi z północy, pomiędzy grudniem a marcem, pasatami, które zrywały dachy i krążyły całą noc, niczym zgłodniałe wilki, wokół domu, szukając najmniejszej choćby szpary, by wedrzeć się do środka. Nikt nie miał nigdy najmniejszych wątpliwości, że małżeństwo oparte na takich fundamentach musi być szczęśliwe.

Niemniej tego ranka doktor Urbino, powracając przed dziesiątą do domu, nie czuł się najszcześniejszy; odurzyły go dwie wizyty, w wyniku których stracił nie tylko mszę w niedzielę Zesłania Ducha Świętego, ale zarazem poczucie bezpieczeństwa wynikające z przekonania, iż nic nie jest już go w stanie odmienić, i to w wieku, kiedy sądził, że wszystko ma poza sobą. Przed wyjściem na uroczysty obiad u doktora Lacidesa Olivelli pragnął uciąć sobie drzemkę, trafił jednak na niezwykle rwetes wywołany przez rozpanikowaną służbę usiłującą schwytać papugę, która, z chwilą gdy wyciągnięto ją z klatki, by przystrzyc jej skrzydła, odfrunęła na najwyższą gałąź mangowca. Była to oskubana i dziwaczna papuga: odzywała się nie wtedy, kiedy ją o to proszono, ale w najmniej spodziewanych momentach, wówczas jednak czyniąc to z przenikliwością i bystrością umysłu nieczęstą nawet u istot ludzkich. Została wytresowana przez samego doktora Urbino, zyskując sobie specjalne

względy, którymi w tej rodzinie nie cieszył się nigdy nikt, nawet dzieci, kiedy były małe.

Przebywała w domu od ponad dwudziestu lat, a nikt nie wiedział, ile ich miała już przedtem. Każdego popołudnia, po sjeście, doktor Urbino przesiadywał z nią na tarasie w patio, w najchłodniejszym miejscu w domu, i dopóty sięgał po najzmudniejsze metody swej pedagogicznej pasji, dopóki papuga nie nauczyła się mówić po francusku na poziomie członka akademii. Później, wyłącznie dla potwierdzenia swej biegłości, nauczył ją śpiewania mszy po łacinie i recytowania niektórych wybranych fragmentów z Ewangelii według Świętego Mateusza, usiłował również, bez powodzenia, wpoić jej choćby pobieżne pojęcie o czterech podstawowych działaniach arytmetycznych. Z jednej ze swych ostatnich podróży do Europy przywiózł pierwszy patefon z tubą i sporo płyt, zarówno z modnymi wówczas nagraniami muzyki lekkiej, jak i z utworami swych ulubionych kompozytorów klasycznych. Przez wiele miesięcy kazał papudze codziennie słuchać, niemal bez przerwy, piosenek Yvette Gilbert i Aristida Bruanta, ulubieńców Francji ubiegłego wieku, dopóki nie nauczyła się wszystkich na pamięć. Piosenki Yvette śpiewała głosem kobiecym, utwory Aristida głosem męskim, na koniec zaś wybuchała bezwstydnym śmiechem będącym wierną kopią śmiechu służących, które słyszały papugę śpiewającą po francusku. Sława jej talentów rozniosła się tak daleko, iż co znamienitsi goście, przybywający z interioru na pokładach rzecznych statków, prosili o pokazanie im papugi, a zdarzyło się nawet, że pewni turyści angielscy przyjeżdżający w tych czasach bananowcami z Nowego Orleanu zapragnęli kupić ją za każdą cenę. Jednak dzień jej największej chwały nadszedł wtedy, gdy Prezydent Republiki, pan Marco Fidel Suarez, w towarzystwie wszystkich ministrów swego gabinetu, odwiedził dom, by osobiście przekonać się, na ile zasłużona była jej sława. Pojawili się około trzeciej po południu, złani potem pod cylindrami i płóciennymi surdutami (nie zmieniali ich w ciągu trwającej od trzech dni oficjalnej wizyty pod rozżarzonym niebem sierpnia), i odeszli równie zaintrygowani, jak przyszli, papuga nie chciała bowiem nawet kłapać dziobem przez całe dwie rozpaczliwe godziny, pomimo próśb i gróźb, i publicznej kompromitacji doktora Urbino, który uparcie dążył do tej nierozważnej wizyty wbrew rozsądnym przestrogom swej małżonki.

Zachowanie przez papugę swych przywilejów po owej historycznej bezczelności stanowiło ostateczny dowód, że jej prawa są święte. Żadne inne zwierzę nie było w domu tolerowane, nie licząc lądowego żółwia, który ponownie pojawił się w kuchni po trzech lub czterech latach, od chwili gdy uznano go za bezpowrotnie zaginionego. Żółwia nie zaliczano jednak do istot żywych, uznając go raczej za rodzaj mineralnego i przynoszącego szczęście amuletu, o którym nigdy nie było do końca wiadomo, gdzie się akurat podziewa.

Doktor Urbino nie dopuszczał do siebie myśli, że w istocie nienawidzi zwierząt, tuszując to różnorakimi przypowiadkami naukowymi lub filozoficznymi argumentami przekonującymi dla wielu, ale nie dla jego małżonki. Mawiał, że osoby uwielbiające zwierzęta do przesady zdolne są do popełnienia największych okrucieństw wobec istot ludzkich. Mawiał, że psy są służalcze, a nie wierne, koty zdradliwe i wyrachowane, że pawie są heroldami śmierci, że ary są jedynie dekoracyjnymi zawadami, że króliki rozbudzają chciwość, małpy roznoszą zarazę lubieżności, koguty zaś są przeklęte, bo umożliwiły, aby trzykrotnie zaparto się Chrystusa.

Fermina Daza, jego żona, która wówczas miała siedemdziesiąt dwa lata i utraciła już swą dawną gibkość łani, była za to irracjonalną wielbicieleką podzwrotnikowych kwiatów i zwierząt domowych i w pierwszym okresie małżeństwa, skwapliwie wykorzystując nowość miłości, miała ich w domu znacznie więcej, niż nakazywał zdrowy rozsądek. Pierwszymi zwierzętami były noszące imiona rzymskich cesarzy trzy dalmatyńczyki, które rozszarpały się wzajemnie walcząc o względy suki przynoszącej wyłącznie zaszczyt swemu imieniu Mesaliny, dłużej u niej trwało bowiem urodzenie dziewięciu szczeniaków, niż poczęcie następnych dziesięciu. Następnie pojawiły się koty abisyńskie, o orlich rysach i faraonских manierach, zezowate koty syjamskie, dworskie persy o pomarańczowych oczach, błakające się po wszystkich pokojach niczym upiorne cienie i burzące nocny spokój wrzaskliwym lamentem swych sabatów miłosnych. Przez parę lat przebywała w domu, przywiązana w pasie do drzewa mangowca, amazońska małpa, wzbudzająca pewnego rodzaju współczucie, obdarzona była bowiem pełną zgryzoty twarzą arcybiskupa Obdulio y Rey, identyczną szczerością oczu i wyrazistymi gestami rąk, ale nie tyle owo podobieństwo spowodowało, że Fermina Daza pozbyła się małpy, ile jej nieobyczajny nawyk samozadowalania się w obecności dam.

Na korytarzach trzymane były w klatkach wszystkie możliwe ptaki z Gwatemali, ostrzegające swym krzykiem kulony, bagienne czaple o długich żółtych nogach i młody jelonek, wsuwający pysk przez okna, by wyjadać z wazonów kwiaty anturium. Tuż przed ostatnią wojną domową, kiedy po raz pierwszy zaczęto wspominać o prawdopodobnej wizycie papieża, sprowadzili z Gwatemali rajskiego ptaka, ale znacznie dłużej trwała jego podróż tutaj niż powrót w rodzinne strony, ujawniono bowiem, że pogłoski o papieskiej podróży zostały celowo rozpuszczone przez rząd, by powstrzymać spiskujących liberałów. Kiedy indziej, wprost z pokładu jednego z przemytniczych żaglowców z Curacao, zakupili metalową klatkę z sześcioma pachnącymi krukami, takimi samymi, jakie Fermina Daza miała w dzieciństwie w swym domu ojcowskim i jakie również chciała mieć będąc mężatką.

Nikt jednak nie mógł znieść nieustannego trzepotania wypełniającego dom aromatem żałobnych wieńców. Sprowadzili również czterometrową anakondę, której westchnienia bezsennej łowczyni wypełniały niepokojem sypialniane mroki, choć to właśnie dzięki niej osiągnęli wreszcie swój cel, bo wypłoszyła swym śmiertcionośnym oddechem nietoperze, salamandry i niezliczone rzesze owadzych szkodników atakujących dom w porze deszczów. Doktorowi Juvenalowi Urbino, tak wówczas zajętemu obowiązkami zawodowymi oraz inicjatywami społecznymi i kulturalnymi, wystarczała świadomość, że pośród tylu obrzydliwych stworzeń jego żona była nie tylko najpiękniejszą, ale i najszcześniejszą kobietą na całych Karaibach. Ale pewnego deszczowego popołudnia, po wyczerpującym dniu pracy, zastał w domu katastrofę, która przywołała go do rzeczywistości. Gdzie wzrokiem sięgnąć, od salonu poczawszy, piętrzyły się w grzęzawisku krwi stopy padłych zwierząt. Służące, które nie wiedząc, co robić, powskakiwały na krzesła, jeszcze się nie otrząsnęły z przerażenia wywołanego rzezią.

Okazało się, iż jeden z niemieckich owczarków, dotknięty nagłym atakiem wścieklizny, rzucał się na każde zwierzę, jakie tylko spotkał na swej drodze, dopóki ogrodnik z sąsiedztwa nie odważył mu się stawić czoło i nie rozniósł go maczetą na strzępy. Trudno było stwierdzić, ile zwierząt pogryzł lub zaraził swą zielonkawą pianą, wobec czego doktor Urbino polecił pozabijać wszystkie ocalałe zwierzęta i spalić je gdzieś daleko na polu, a służbę sanitarną ze Szpitala Miłosierdzia poprosił o przeprowadzenie w domu gruntownej dezynfekcji. Jedyнным ocalałym zwierzęciem - bo nikt o nim nie pamiętał - był urodzony niewątpliwie pod szczęśliwą gwiazdą żółw.

Fermina Daza po raz pierwszy przyznała małżonkowi rację w kwestiach dotyczących domu i dołożyła wszelkich starań, by przez czas dłuższy słowem nie wspominać zwierzętach. Pocieszała się kolorowymi ilustracjami z Historii Naturalnej Linneusza, które kazała oprawić i porozwieszać na ścianach salonu, i może straciłaby już wszelką nadzieję na ponowne ujrzzenie jakiegokolwiek zwierzęcia w domu, gdyby pewnego ranka złodzieje, dostawszy się do środka przez łazienkowe okno, nie ukradli srebrnego serwisu dziedzicznego od pięciu pokoleń. Doktor Urbino założył podwójne kłódki na okiennice, zabezpieczył drzwi od wewnątrz żelaznymi sztabami, ukrył przedmioty o największej wartości w sejfie i, późno, bo późno, ale nabrał wojennego zwyczaju zasypiania z rewolwerem pod poduszką. Niemniej, sprzeciwił się zakupieniu groźnego psa, szczepionego lub nie, na łańcuchu lub bez, nawet gdyby złodzieje mieli go okraść do ostatniej nitki.

- Do tego domu nic, co nie gada, nie ma prawa wstępu - zawyrokował.

Powiedział to, by ostatecznie zbić wszystkie argumenty swej żony, znowu obstającej przy kupnie psa, i nawet przez myśl mu nie przeszło, że owo zbyt pospiesznie sformułowane zastrzeżenie przyplaci własnym życiem.

Fermina Daza, której góralski charakter z wiekiem dawał o sobie coraz bardziej znać, chwyciła w lot retoryczną swawolność męża: w kilka miesięcy po kradzieży ponownie udała się na przystań żaglowców z Curacao i kupiła królewską papugę z Paramaribo, potrafiącą jedynie wykrzykiwać marynarskie przekleństwa, ale tak ludzkim głosem, iż warta była swej wysokiej ceny dwunastu centavos.

Należała do tych lepszych egzemplarzy, była lżejsza, niż na to wskazywał jej wygląd, z żółtą główką i z czarnym języczkiem, jedynymi cechami odróżniającymi ją od papug z namorzynów, które w żaden sposób, nawet po zaaplikowaniu im terpentynowych czopków, nie potrafiły gadać. Doktor Urbino, który potrafił przegrywać, uległ przemyślności żony i dziwił się własnemu rozbawieniu, z jakim obserwował postępy papugi drażnionej przez służące. W deszczowe popołudnia, kiedy radość ze zmoczonych piór rozwiązywała jej język, wypowiadała zdania z zupełnie innych czasów, nie mogła więc nauczyć się ich w tym domu, co pozwalało również domniemywać, że jest znacznie starsza, niż wynikało to z jej wyglądu. Ostatnie wątpliwości lekarza rozwiały się pewnej nocy, gdy złodzieje, usiłując ponownie dostać się do środka przez świetlik w dachu, zostali wypłoszeni przez papugę, która nie tylko zaczęła ujadać niczym brytan, i to tak zajadle, że prawdziwe szczekanie nie mogło być bardziej rzeczywiste, ale i drzeć się wniebogłosy bandyci bandyci bandyci, przy czym rzeczą oczywistą było, iż obu tych zbawiennych forteli nie nauczyła się tutaj. Właśnie wówczas doktor Urbino zajął się nią i polecił zrobić pod drzewem stojak z jednym naczyniem na wodę i drugim na karmę, jak również powiesić trapez dla papuzich akrobacji. Od grudnia do marca, gdy wieczorami dokuczał chłód, a podmuchy wiatrów z północy czyniły życie na dworze niemożliwym, przenoszono ją na noc, w klatce osłoniętej kocem, do środka, mimo że doktor Urbino podejrzewał, iż jej chroniczna nosacizna może być niebezpieczna dla ludzkich dróg oddechowych. Przez wiele lat przystrzygano jej pióra u skrzydeł i puszczano samopas, żeby mogła łązić sobie do woli swym kaczym chodem starego kawalerzysty. Ale pewnego dnia, oddając się beztroskim fikołkom na kuchennych belkach, wpadła do garnka z duszonym mięsem, dławiąc się własnym żeglarskim wrzaskiem ratuj się, kto może, na tyle jednak szczęśliwie, że kucharka zdołała ją, poparzoną, ogołoconą z piór, ale jeszcze żywą, wyłowić warząchwią. Od tamtej pory trzymano ją w klatce nawet w ciągu dnia, wbrew głęboko zakorzenionemu przesądowi, że papugi zamknięte w klatkach zapominają wszystko, czego się nauczyły, by wyciągnąć ją stamtąd dopiero o czwartej, gdy upał stawał

się lżejszy, i przenieść na taras, na kolejne lekcje doktora Urbino.

Nikt w porę nie zauważył, że pióra na skrzydłach zbyt jej odrosły, i właśnie tego ranka, gdy szykowano się do ich przycięcia, odfrunęła aż na wierzchołek drzewa. Przez trzy godziny nie zdołano jej schwytać. Służące, wspomagane przez koleżanki z sąsiedztwa, uciekały się do wszelkiego rodzaju forteli próbując zachęcić ją do zejścia, papuga jednak uparcie tkwiła na swoim miejscu i zaśmiewając się wrzeszczała niech żyje partia liberalna, niech żyje partia liberalna, kurwa, okrzyk na tyle zuchwały, iż niejeden radosny pijaczek przypłacił go życiem. Doktor Urbino ledwie potrafił ją dostrzec pośród liści, niemniej spróbował przemówić jej do rozsądku wpierw po hiszpańsku, następnie po francusku, wreszcie po łacinie, ona zaś odpowiadała mu w tychże językach, z tą samą afektacją, tym samym tembrem głosu, z drzewa się jednak nie ruszyła. Doktor Urbino, przekonany, że nikt nie zdoła jej nakłonić do dobrowolnego zejścia, polecił wezwać na pomoc strażaków, swą najnowszą społecznikowską zabawkę.

Do niedawna pożary gaszone były, w istocie rzeczy, przez ochotników uzbrojonych w murarskie drabiny i w kubły z wodą donoszoną skąd i jak się tylko dało, walkę swą zaś toczyli tak chaotycznie, że w rezultacie powodowali znacznie większe zniszczenia niż ogień. Ale od zeszłego roku, dzięki publicznej zbiórce, ogłoszonej przez Stowarzyszenie Postępu Publicznego, którego Juvenal Urbino był honorowym przewodniczącym, istniał już w mieście oddział zawodowej straży pożarnej, dysponujący beczkowozem z syreną i dzwonem oraz dwiema wysokociśnieniowymi pompami. Stali się tak modni, że w szkołach na dźwięk bijących na trwogę dzwonów kościelnych przerywano lekcje, aby dzieci mogły być świadkami zmagania strażaków z płomieniami.

Początkowo zajmowali się wyłącznie tym. Ale doktor Urbino opowiedział władzom miejskim, że w Hamburgu widział, jak strażacy przywrócili do życia zamrożone dziecko, odnalezione w piwnicy po trzydniowej zadymce. Widział ich również w pewnej uliczce Neapolu, jak znosili nieboszczyka w trumnie z balkonu na dziesiątym piętrze, schody w budynku były bowiem tak kręte, że rodzina nie mogła wynieść zwłok z mieszkania. I tak oto miejscowi strażacy nauczyli się przeprowadzać inne akcje ratunkowe, jak wyłamywanie drzwi czy zabijanie jadowitych węży, Akademia Medyczna zaś zorganizowała im specjalny kurs pierwszej pomocy niezbędnej w mniej groźnych wypadkach. Odwołanie się do pomocy strażaków w zniesieniu z drzewa papugi, opromienionej tak zasłużoną sławą, niczym kawaler najcenniejszego orderu, nie było więc żadnym dziwactwem. Doktor Urbino powiedział: „Przekażcie im, że to moja osobista prośba”. I udał się do sypialni, by przebrać się do uroczystego obiadu. W istocie rzeczy był w tym momencie jeszcze tak oszołomiony



listem Jeremiasza de Saint - Amour, że los papugi był mu całkowicie obojętny.

Fermina Daza przywdziała szeroką, luźną, jedwabną suknię, z obniżonym stanem, nałożyła naszyjnik z prawdziwych pereł, który owijał jej szyję sześcioma długimi nierównymi pętlami, i satynowe pantofle na wysokich obcasach, wkładane wyłącznie na bardzo uroczyste okazje, wiek nie pozwalał jej bowiem na takie ekstrawagancje. Choć ów modny strój nie wydawał się zbyt odpowiedni dla czcigodnej babci, znakomicie pasował do jej szczupłego jeszcze, wyprostowanego ciała o długich kościach, do jej prężnych rąk nie pokrytych ani jedną starczą plamką, do jej stalowoniebieskich włosów, ukośnie przyciętych na wysokości policzków. Ze ślubnego zdjęcia pozostawały jej wówczas jedynie przezroczyście migdały oczu i przyrodzona duma, ale wszystko, co ubyło jej z wiekiem, nadrabiała charakterem i sprytem. Czuła się dobrze: miała już poza sobą lata stalowych gorsetów, ściśniętej talii, pośladeków uwypuklanych szmacianymi fortelami. Uwolnione, oddychające swobodnie ciało, prezentowało się takim, jakim było. Nawet w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

Doktor Urbino zastał ją przy toalecie, siedzącą pod leniwie obracającymi się skrzydłami elektrycznego wentylatora i przymierzającą wysoki kapelusz ozdobiony pilśniowymi fiołkami. Przestronna, pogodna sypialnia, z angielskim łóżem osłoniętym moskitierą z różowej siateczki, posiadała dwa okna wychodzące na drzewa w patio, skąd dochodziło cykanie oszołomionych przeczuwanym deszczem świerszczy. Od czasów powrotu z podróży poślubnej Fermina Daza dobierała mężowi ubranie stosownie do pogody i okoliczności, jeszcze wieczorem układając je na krześle, tak aby rano, po wyjściu z łazienki, miał już przygotowaną garderobę.

Nie pamiętała już, kiedy zaczęła najpierw pomagać mu tylko, a po jakimś czasie całkowicie już go ubierać, w pełni jednak świadoma, że o ile robiła to wpierw z miłości, o tyle od pięciu mniej więcej lat stało się to koniecznością, mąż nie był już bowiem w stanie sam się ubrać. Niedawno obchodzili złote gody i nie potrafili, nawet przez chwilę, żyć bez siebie i nie myśleć o sobie nawzajem, lecz im bardziej dolegała im starość, tym mniej o tym wiedzieli. Ani on, ani ona nie umieli stwierdzić, czy owo obustronne uzależnienie wynikało z miłości, czy z wygodnictwa, nigdy jednak nie zadali sobie szczerze tego pytania, bo oboje zawsze woleli nie znać odpowiedzi. Ona powoli zaczynała odkrywać niepewność męzkowskich kroków, jego gwałtowną zmienność nastrojów, uszczerbki pamięci czy nabyty niedawno nawyk szlochania przez sen, ale miast rozpoznać w tym nieomyślne oznaki ostatecznego zgrzybienia, uznała wszystko za szczęśliwy powrót do dzieciństwa. Z tego też względu nie odnosiła się doń jak do uciążliwego starca, ale jak do podstarzałego dziecka, i

to oszukaństwo okazało się zbawienne dla obojga, uratowało ich bowiem przed litością.

Życie stałoby się dla nich czymś całkowicie odmiennym, gdyby w odpowiednim czasie uświadomili sobie, że łatwiej jest walczyć z wielkimi katastrofami małżeńskimi niż z drobnymi biedami codziennego życia. Ale jeśli razem czegoś się nauczyli, to tego, że mądrość przychodzi wtedy, kiedy nie jest już nam do niczego przydatna. Fermina Daza przez lata znosiła z ciężkim sercem radosne poranki męża. Kurczowo chwytła się ostatnich skrawków snu, żeby nie stawiać czoła fatalizmowi kolejnego pełnego złowieszczych przeczuć świtu, podczas gdy on budził się z łatwowiernością niemowlaka: każdy nowy dzień był darem losu. Słyszała, jak budzi się z kurami, a pierwszą oznaką życia był jego kaszel, ni z gruchy ni z pietruchy, jakby naumyślny, żeby i ona się obudziła.

Słyszała jak gdera, tylko po to, żeby ją rozdrażnić, szukając po omacku pantofli, które powinny być znajdować się przy łóżku. Słyszała, jak toruje sobie na oślep drogę do łazienki. Po godzinie jego pobytu w toalecie, gdy udawało jej się ponownie zasnąć, słyszała, jak wraca, żeby się ubrać nie zapalając jeszcze światła. Gdy zapytano go kiedyś w trakcie jakiegoś salonowego przyjęcia, jak określiłby samego siebie, odpowiedział: „Jestem człowiekiem, który ubiera się w ciemnościach”. Słyszała go, wiedząc zawczasu, że żaden z tych odgłosów nie jest niezbędny, bo on, udając coś wprost przeciwnego, hałasuje celowo, tak jak i ona, nie śpiąc już od dawna, udawała, że ciągle śpi. Jego pobudki były oczywiste: nigdy jej tak nie potrzebował, żywej i przytomnej, jak podczas tych paru minut trwogi przed grozącymi mu niebezpieczeństwami.

Nie było osoby śpiącej z większą od niej elegancją, z ramieniem opartym na czole w tanecznym odchyleniu, ale i nie było okrutniejszej osoby, w chwili gdy burzono jej wrażenie, że jeszcze śpi, kiedy wcale nie spała. Doktor Urbino uzmysławiał sobie, że żona czujnie czeka na najmniejszy hałas z jego strony, a nawet że byłaby mu wdzięczna za to, iż ma kogo obwinić za zbudzenie jej o piątej rano. Do tego stopnia, że w tych nielicznych przypadkach, kiedy musiał po omacku szukać pantofli, nie mógł ich bowiem odnaleźć na swoim miejscu, ona nieoczekiwanie odzywała się przez sen: „Zostawiłeś je wieczorem w łazience”. I natychmiast, głosem przytomnym i wściekłym narzekała:

- Największym nieszczęściem w tym domu jest to, że nie da się w nim spać.

Po czym przewracała się na bok i zapalała światło, bez najmniejszej litości dla siebie samej, ale szczęśliwa ze swego pierwszego zwycięstwa w tym dniu. W gruncie rzeczy była to obopólna mityczna, perwersyjna, zarazem jednak pokrzepiająca gra: jeszcze jedna spośród tylu innych niebezpiecznych rozkoszy oswojonej miłości. Ale to właśnie jedna z owych trywialnych gier nie zakończyła o mały włos ich pierwszych trzydziestu lat wspólnego życia,

bo pewnego dnia w łazience zabrakło mydła.

Zaczął się normalnie. Doktor Juvenal Urbino, w czasach kiedy jeszcze kąpał się sam, wrócił do sypialni i nie zapalając światła, zaczął się ubierać. Ona, jak zwykle o tej porze, pozostawała w swoim ciepłym stanie płodowym, lekko oddychając, z zamkniętymi oczami i z twarzą przysłoniętą ramieniem w geście z rytualnego tańca. Ale trwała w półśnie, jak zwykle, on zaś dobrze o tym wiedział. Po dłuższej chwili, kiedy już narobił odpowiedniego zamętu szeleszcząc w ciemnościach krochmaloną lnianą bielizną, doktor Urbino odezwał się sam do siebie:

- Od tygodnia kąpię się bez mydła - powiedział. Przebudziła się wówczas na dobre, przypomniało się jej i zagotowała się z wściekłości na cały świat, bo rzeczywiście zapomniała o mydle do łazienki. Zauważyła jego brak trzy dni temu, będąc już pod prysznicem, i postanowiła przynieść je potem, ale potem zapomniała, do następnego dnia. Przez trzy dni zdarzało jej się to samo. W rzeczywistości nie upłynął tydzień, jak twierdził pragnąc powiększyć jej winę, lecz jednak trzy niewybaczalne dni, i złość spowodowana tym, że sama czuje się przyłapana na gorącym uczynku, ostatecznie wyprowadziła ją z równowagi. Jak zwykle przystąpiła do obrony atakując:

- Ja też kąpałam się przez ostatnie dni - krzyknęła nie panując już nad sobą - i mydło cały czas było.

Chociaż na wylot znał jej wojenne metody, tym razem nie mógł tego ścierpieć. Pod pierwszym lepszym pretekstem zawodowym przeprowadził się do służbowych pokoi Szpitala Miłosierdzia, pojawiając się w mieszkaniu wyłącznie wieczorem, by przebrać się przed domowymi konsultacjami lekarskimi. Słyszając, jak zjawia się w rezydencji, zamykała się w kuchni udając, że coś tam przygotowuje i siedziała tam, dopóki z ulicy nie dobiegł odgłos końskich kopyt. Przez trzy miesiące, za każdym razem kiedy próbowali zakończyć swój spór, doprowadzali jedynie do jego rozognienia. On nie zgadzał się na powrót, dopóki ona nie uzna, że w łazience mydła nie było, ona zaś nie chciała przyjąć go z powrotem, dopóki on nie przyzna się do świadomego kłamstwa, aby jej dopiec.

Incydent stworzył im oczywiście okazję do przywołania wielu innych, pomniejszych zatargów z wielu innych burzliwych poranków. Z jednych pretensji wyłaniały się następne, rozdrapując stare blizny, zadając nowe rany, i oboje przerazili się przygnębiającą konstatacją, że podczas tylu lat małżeńskiej walki nie robili nic prócz tego, że nawzajem żywili do siebie urazy. zaproponował nawet wspólne udanie się do otwartej spowiedzi, choćby i przed arcybiskupem, jeśli zaszłaby taka potrzeba, aby Bóg jako Sędzia Najwyższy rozstrzygnął, czy w mydelniczce w łazience było mydło, czy też go nie było. Wówczas ona,

tak świetnie panująca nad nerwami, przestała nad nimi panować wydając historyczny okrzyk:

- A pieprzyć arcybiskupa!

Złorzeczenie wstrząsnęło posadami miasta, dało początek legendom, których nie sposób było zdementować, i zostało przechwycone przez ulicę na wodewilową nutę:

„Do cholery z zasranym arcybiskupem!” Świadoma, że przekroczyła pewne granice, uprzedziła oczekiwaną reakcję męża grożąc mu, że wyprowadzi się do ojcowskiego domu, obecnie wynajmowanego urzędowi, ale nadal stanowiącego jej własność. I nie była to z jej strony żadna fanfaronada: naprawdę chciała odejść nie zważając na skandal towarzyski, a mąż zrozumiał to natychmiast. Sam nie miał odwagi walczyć z własnymi uprzedzeniami: ustąpił. Nie oznaczało to, iż przyznaje, że w łazience mydła nie brakowało, byłby to bowiem oczywisty gwałt zadany prawdzie, a znaczyło jedynie, że nadal będą żyć pod wspólnym dachem, ale w osobnych pokojach, słowem nie odzywając się do siebie. Nawet posiłki potrafili spożywać w ten sposób, radząc sobie z kłopotliwą sytuacją z niezwykle zręcznością, bo choć przesyłali sobie polecenia z jednego krańca stołu na drugi poprzez dzieci, te nie spostrzegły nawet, że rodzice ze sobą w ogóle nie rozmawiają.

Przy gabinecie nie było łazienki, przyjęte więc przez nich wyjście rozwiązało konflikt porannych hałasów, on kąpał się bowiem po przygotowaniu już wykładu, tym razem naprawdę zachowując prawdziwe środki ostrożności, by nie zbudzić żony. Wielokrotnie, w porze wieczornego mycia zębów, spotykali się i wymijali w łazience. Po czterech miesiącach wyciągnął się na chwilę w małżeńskim łóżu, by jak się to często zdarzało, w trakcie oczekiwania na zwolnienie przez nią łazienki przeczytać gazetę, i zasnął. Położyła się obok na tyle niezgrabnie, żeby mógł obudzić się i odejść. Owszem, ocknął się, ale zamiast wstać, zgasił nocną lampkę i przytulił się do poduszki. Potrząsnęła go za ramię, by przypomnieć mu, że powinien odejść do swego gabinetu, on jednak znalazłszy się znowu w puchatym łóżu pradziadków poczuł się tak dobrze, że wołał skapitulować:

- Daj mi tu zostać - powiedział. - Mydło było. Kiedy, już w zakolu starości, wspominali ten epizod, ani on, ani ona nie mogli uwierzyć w zadziwiającą prawdę, że ów zatarg nie tylko był najpoważniejszą sprzeczką w ciągu półwiecza ich związku, ale i jedynym, który u obojga wzbudził pragnienie poddania się i rozpoczęcia innego życia. Do tego stopnia, że nawet będąc już łagodnymi staruszkami starali się unikać tego tematu, bo ledwie zabliznione rany ponownie zaczynały krwawić, jakby zostały zadane wczoraj.

Był to pierwszy mężczyzna, którego Fermina Daza usłyszała siusiającego. Usłyszała go w noc poślubną, gdy leżała powalona mdłościami w kajucie statku wiozącego ich do

Francji i odgłos tego tryskającego z końskim wigorem źródła wydał jej się tak potężny i obdarzony taką mocą, że zdjęła ją jeszcze większa trwoga przed przeczuwaną przez nią rzezią. Wspomnienie to, w miarę jak lata osłabiały siłę strumienia, często odzywało w jej pamięci, bo nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że za każdym razem zostawiał obsikany brzeg muszli. Doktor Urbino próbował przekonać ją argumentami łatwymi do zrozumienia przez kogoś, kto chciałby je zrozumieć, iż przypadek ten nie powtarza się codziennie z powodu jego nieuwagi, jak uparcie twierdziła, ale z przyczyny natury organicznej: za młodu strumień był tak precyzyjny i prosty, że w szkole wygrywał zawody na celne trafienie i wypełnienie butelki, stargany jednak wiekiem, nie tylko zaczął się kurczyć, ale i spływać ukośnie, rozgałęziać się, by w końcu przeobrazić się w fantazyjny i nie do opanowania źródło, pomimo jego wielu wysiłków, by wyprostować bieg nurtu. Mawiał: „Odwaniacz został wymyślony pewnie przez kogoś, kto nic nie wiedział o mężczyznach”. Do spokoju domowego przyczyniał się codziennie ponawianym aktem nie tyle pokory, co poniżenia: załatwiwszy się, każdorazowo wycierał papierem toaletowym brzegi muszli klozetowej. Wiedziała o tym, nigdy jednak nie odzywała się, dopóki amoniakalne opary w łazience nie stawały się zbyt oczywiste, a wtedy rozgłaszała, jakby odkryła zbrodnię: „Śmierdzi jak w królikarni!” U progu starości zawada w postaci własnego ciała poddała doktorowi ostateczne rozwiązanie: załatwiał się, jak ona, na siedząco, dzięki czemu nie paskudził deski, wprowadzając się zarazem w błogostan.

Już wówczas kiepsko radził sobie z samym sobą, a poślizgnięcie się w łazience, które mogło skończyć się fatalnie, spowodowało, że zaczął mieć się na baczności przed prysznicem. Dom, z dumą zaliczany przez swych właścicieli do nowoczesnych, nie posiadał tombakowej wanny na lwich łapach, należącej do normalnego wyposażenia staromiejskich rezydencji. Doktor osobiście kazał ją wymontować, uzasadniając to względami higienicznymi: wanna była jednym z wielu świństw wymyślonych przez Europejczyków, kąpiących się tylko w ostatni piątek miesiąca i na domiar złego w zupie zapaskudzonej tym samym brudem, który niby to usiłowali zmyć ze swoich ciał. Obstalowali wobec tego olbrzymią kądź z litego gwajakowca, by Fermina Daza mogła w niej kąpać małżonka, z zachowaniem tego samego rytuału co przy niemowlakach. Kąpiel, w wodzie trzykrotnie przegotowanej z liśćmi malwy i pomarańczowymi skórkami, trwała ponad godzinę, przynosząc mu tak ogromne ukojenie, iż nierzadko zasypiał w owym wonnym naparze. Wykąpawszy go, Fermina Daza pomagała mu się ubrać, posypywała talkiem między nogami, smarowała odparzenia masłem kakaowym, nakładała kałesonki z taką miłością, jakby owijała go w pieluchę, i kontynuowała ubieranie go, dokładnie i szczegółowo, od

skarpet po węzeł krawata z topazową szpilką. W małżeńskich porankach zapanował spokój, on przyjął bowiem ponownie na siebie dzieciństwo, odebrane mu przez własne dzieci. Ona z kolei dostosowała się wreszcie do rodzinnego rozkładu dnia, bo i dla niej lata przemijały: spała coraz mniej, a przed ukończeniem siedemdziesięciu lat budziła się już wcześniej od męża.

W niedzielę Zesłania Ducha Świętego doktor Urbino unosząc koc, by przyjrzeć się zwłokom Jeremiasza de Saint - Amour, po raz pierwszy w swych najprzytomniejszych żeglugach lekarza i człowieka wierzącego doznał objawienia. Po wieloletniej zażyłości ze śmiercią po tak długim zmaganiu się z nią i tak częstym jej miętoszeniu z lewa na prawo i na odwrót, jakby po raz pierwszy odważył się jej spojrzeć prosto w twarz i jakby ona po raz pierwszy spojrzała na niego. I nie był to lęk przed śmiercią. Nie: lęk tkwił w nim już od dawien dawna, współżył z nim, był cieniem jego własnego cienia, od owej nocy, kiedy przebudził się trapiiony koszmarem i uświadomił sobie, że śmierć nie jest wyłącznie stałą możliwością, jak to zawsze odczuwał, ale bezpośrednią rzeczywistością. Ale to, co ujrzał owego dnia, było fizyczną obecnością czegoś, co dotychczas było zaledwie domysłem wyobraźni. Ucieszył się, że narzędziem Boskiej Opatrzności dla tego zaskakującego objawienia stał się właśnie Jeremiasz de Saint - Amour, którego zawsze miał za świętego nie uświadamiającego sobie własnego stanu łaski. Kiedy jednak list ujawnił mu jego prawdziwą tożsamość, jego ponurą przeszłość, jego niewiarygodną biegłość w szalbierstwie, poczuł, iż coś ostatecznego i nieodwracalnego stało się w jego życiu.

Fermina Daza, pomimo to, nie dała się zarazić jego posępnym nastrojem. Próbował, jak najbardziej, gdy pomagała mu trafić w nogawki spodni i zapinała długi rząd guzików przy koszuli. Ale nie udało mu się, na Ferminie Daza trudno było bowiem zrobić wrażenie, tym bardziej zaś opowiadaniem o śmierci człowieka, którego nie lubiła. Wiedziała tylko tyle, że Jeremiasz de

Saint - Amour to chodzący o kulach inwalida, którego nigdy nie widziała na oczy, że udało mu się zbiec przed groźącym mu plutonem egzekucyjnym podczas jednego z tylu powstań na jednej z wielu wysp antylskich, że z konieczności został dziecięcym fotografem stając się najbardziej wziętym fachowcem w prowincji, że wygrał partię szachów z kimś, kogo pamiętała jako Torremolinos, a kto w rzeczywistości nazywał się Capablanca. - No więc to był tylko zbieg z Cayenne, skazany na dożywocie za potworną zbrodnię - rzekł doktor Urbino. - Wyobraź sobie, on nawet jadł ludzkie mięso. Dał jej list, którego tajemnicę pragnął zabrać ze sobą do grobu, ona jednak, nie przeczytawszy go nawet, schowała złożone kartki do toaletki i zamknęła szufladkę na klucz. Była przyzwyczajona do

jego niewyczerpanej zdolności dziwienia się, do jego przesadnych i z wiekiem coraz bardziej zagmatwanych osądów, do ciasnoty poglądów nie przystających do jego publicznego wizerunku. Tym razem jednak przeszedł samego siebie. Sądziła, że cenił Jeremiasza de Saint - Amour nie za to, czym był przedtem, ale za to, czym zaczął być od chwili, gdy przybył tutaj mając za cały majątek jedynie swój tobołek wygnańca, i nie mogła pojąć, dlaczego mąż czuje się aż tak skonsternowany tym późnym ujawnieniem tożsamości zmarłego. Nie rozumiała, dlaczego wydaje mu się czymś odrażającym to, że miał w tajemnicy kochankę, skoro jest to wrodzony nawyk mężczyzn z jego własnej sfery (nie wyłączając jego samego, kiedyś, w jakimś niedobrym momencie), a poza tym pomoc owej kobiety w spełnieniu ostatecznej decyzji fotografa wydawała jej się wstrząsającym dowodem miłości. Powiedziała: „Gdybyś ty postanowił to zrobić z tak samo ważnych przyczyn jak i on, moim obowiązkiem byłoby zrobić to samo co ona”. Doktor Urbino po raz kolejny znalazł się w pułapce niezrozumienia, która przez pół wieku doprowadzała go do rozpacz. - Niczego nie rozumiesz - odparł. - Nie oburza mnie to, czym był, ani to, co robił, ale to, że przez tyle lat oszukiwał nas wszystkich.

Oczy zaczęły mu zachodzić zbyt łatwymi łzami, udała jednak, że ich nie widzi.

- I dobrze zrobił - odparła. - Gdyby powiedział prawdę, ani ty, ani ta biedna kobieta, ani ktokolwiek inny w tej mieścinie nie kochałby go tak bardzo, jak go kochano. Zapięła mu dewizkę od zegarka w dziurce kamizelki.

Poprawiła węzeł krawata i wpięła szpilkę z topazem. Następnie obtarła zapłakane oczy, wytarła brodę z łez chusteczką spryskaną wodą kwiatową i z rozwartymi niczym magnolia różkami wetknęła ją do kieszonki marynarki. Jedenaście uderzeń wahadłowego zegara rozniosło się po mieszkaniu.

- Pospiesz się - powiedziała biorąc go pod ramię.

- Już późno.

Aminta Dechamps, małżonka doktora Lacidesa Olivelli, i jej siedem córek prześcigając się w gorliwości uczyniły wszystko, by galowy obiad stał się towarzyskim wydarzeniem roku. Rodzinna rezydencja w samym środku historycznego centrum była dawną mennicą, wypaczoną przez pewnego florenckiego architekta, który przemknął tędy jak zły wiatr renowacji, przekształcając w weneckie bazyliki co najmniej cztery zabytkowe budowle z siedemnastego wieku. Posiadała sześć sypialni i dwa salony, jadalny i bawialny, obszerne i przewiewne, nie na tyle jednak, by pomieścić wszystkich zaproszonych gości zarówno tych z miasta, jak i tych z najbardziej ekskluzywnego towarzystwa, mających przybyć z daleka. Patio do złudzenia przypominało klasztorny dziedziniec ze śpiewającą

kamienną fontanną w środku i rabatami heliotropów nasycającymi o zmierzchu cały dom swym zapachem, ale miejsca w krużgankach nie starczało dla tylu wielkich nazwisk. Postanowili więc wydać obiad w swej - oddalonej o dziesięć minut jazdy samochodem traktem królewskim - wiejskiej posiadłości z przeogromnym patio, olbrzymimi indyjskimi drzewami laurowymi i kreolskimi nenufarami w rzece o spokojnych wodach. Służba z „Meson de don Sancho”, trzymając się wskazówek pani de Olivella, rozpostarła nad miejscami pozbawionymi cienia plandeki z barwnego brezentu, pod drzewami zaś ustawiono w prostokąt, przykryte lnianymi obrusami, stoliki na sto dwadzieścia dwie osoby, ozdabiając honorowy stół bukietami z róż. Wzniesiono również podium dla orkiestry dętej, mającej grać ściśle określony program składający się z kontredansów i swojskich walców, i dla kwartetu smyczkowego ze Szkoły Sztuk Pięknych: była to niespodzianka, jaką pani Olivella przygotowała dla czcigodnego nauczyciela jej męża i zarazem najważniejszego gościa. Aczkolwiek dzień nie odpowiadał dokładnie rocznicowej dacie ukończenia studiów, wybrali niedzielę Zesłania Ducha Świętego, by nadać przyjęciu większą rangę.

W obawie, iż z braku czasu przeoczą coś niezbędnego, rozpoczęli przygotowania trzy miesiące wcześniej. Kazali sprowadzić żywe kury z Cienaga de Oro, słynne na całym wybrzeżu nie tylko z rozmiarów i smakowitego mięsa, ale i z tego, że w ich żołądkach znajdowano kamyki czystego złota, w czasach kolonialnych bowiem grzebały i dziobały na terenach rzecznych napływów. Pani de Olivella osobiście, razem z kilkoma córkami i służbą, wchodziła na pokład luksusowych transatlantyków wybierając to, co najlepsze, z wszystkich stron świata, by jak najgodniej oddać hołd zasługom małżonka. Wszystko przewidziała oprócz tego, że święto wypadło w czerwcową niedzielę w roku spóźnionych deszczy. Groźba takiego niebezpieczeństwa dotarła do niej dopiero tegoż dnia rano, kiedy udając się na nabożeństwo przeraziła się stopniem wilgotności w powietrzu i ujrzała gęste, niskie niebo, a na morzu w ogóle nie można było dojrzeć widnokregu. Pomimo tych fatalnych oznak, dyrektor obserwatorium astronomicznego, którego spotkała na nabożeństwie, przypomniał jej, że w burzliwej historii miasta, nawet podczas najostrzejszych zim, nigdy nie padało w Zielone Świątki. A jednak z wybiciem południa, kiedy już wielu gości częstowało się chłodnymi napitkami na wolnym powietrzu, ziemia zdrząła od huku pojedynczego pioruna, a wiatr znad wzburzonego morza wyrócił stoliki, uniósł plandeki w powietrze, niebo zaś w jednej chwili runęło katastrofalną ulewą.

Doktor Juvenal Urbino ledwie dotarł na miejsce w rozgardiaszu burzy razem z ostatnimi napotkanymi w drodze gośćmi i chciał, tak jak i oni, dostać się z samochodu do



domu przeskakując z kamienia na kamień przez zalane patio, musiał jednak w końcu zgodzić się na ponizające przeniesienie go przez personel z restauracji „Don Sancho”, pod baldachimem z żółtego brezentu. Porozrzucane stoliki ustawiono ponownie, tym razem wewnątrz domu, jak można było najlepiej, nawet w sypialniach, goście nie starali się nawet powściągnąć swego wisielczego humoru. W środku panował upał niczym w okrętowej kotłowni, trzeba było bowiem zamknąć wszystkie okna przed zacinającym deszczem. W patio każde miejsce na stole oznaczono bilecikiem z nazwiskiem gościa, przy czym, zgodnie ze zwyczajem, przewidziano jedną stronę dla mężczyzn, drugą dla kobiet. Wewnątrz domu bileciki z nazwiskami przemieszały się, siadano więc gdzie popadło, w chaosie spowodowanym przez siłę wyższą, która przynajmniej raz przeciwstawiła się naszym towarzyskim przesądom.

Pośród tego kataklizmu Aminta de Olivella wydawała się być wszędzie jednocześnie, z ociekającymi wodą włosami i we wspaniałej sukni zbryzganej błotem, ale znosiła nieszczęście ze zwycięskim, przejętym od męża uśmiechem, byle nie dać zawistnym powodów do satysfakcji. Z pomocą córek, a były one niewątpliwie z tej samej mąki, zdołała, na ile to tylko było możliwe, zabezpieczyć miejsca przy honorowym stole, z doktorem Juvenalem Urbino pośrodku i z arcybiskupem Obdulio y Rey po jego prawej stronie. Fermina Daza usiadła jak zwykle obok męża, obawiając się, by nie zasnął podczas obiadu lub nie rozlał sobie zupy na kłapy. Miejsce naprzeciwko zajął doktor Lacides Olivella, trzymający się świetnie pięćdziesięciolatek o kobiecych rysach, którego wesołe usposobienie nie miało żadnego związku z jego trafnymi diagnozami. Poza tym przy stole zasiedli przedstawiciele władz prowincji, miasta oraz ubiegłoroczna królowa piękności przyprowadzona pod ramię przez gubernatora, który posadził ją u swego boku. Choć nie było przyjęte, aby na zaproszeniach zaznaczać, iż wymagany jest specjalny strój, tym bardziej na obiad w wiejskiej posiadłości, kobiety miały na sobie suknie wieczorowe przyozdobione drogocennymi kamieniami, większość mężczyzn ubranych było w ciemne garnitury i czarne krawaty, niektórzy zaś przywdziali płócienne surduty. Jedynie wielkoświatowcy, a wśród nich i doktor Urbino, przybyli w swych zwykłych codziennych ubraniach. Na każdym miejscu leżało wydrukowane po francusku i w złożonych ramkach menu.

Pani de Olivella, przerażona niszczycielską siłą upału, przebiegła przez pokoje błagając, by goście do obiadu zdjęli marynarki, nikt jednak nie śmiał pierwszy dawać przykładu. Arcybiskup napomknął doktorowi Urbino, że jest to w pewnej mierze historyczny obiad: gdy już rany zablizniły się, a urazy uznano za niebyłe, po raz pierwszy

siedziały razem przy wspólnym stole obie strony wszystkich wojen domowych, nieustannie wykrwawiających kraj od czasów uzyskania niepodległości. Myśl ta pokrywała się z entuzjazmem liberałów, przede wszystkim tych młodszych, którzy po czterdziestu pięciu latach dominacji konserwatystów zdołali wynieść na stanowisko prezydenta kandydata swej partii. Doktor Urbino nie podzielał tej opinii: prezydent liberał, jego zdaniem, nie różnił się niczym od prezydenta konserwatysty, jedynie ubierał się gorzej. Nie chciał jednak sprzeciwić się arcybiskupowi. Mimo to z przyjemnością zwróciłby mu uwagę, że na tym obiedzie nikt nie jest obecny z racji swych poglądów, lecz dzięki przymiotom swego pochodzenia, a te zawsze są ponad ślepym trafem polityki i okrucieństwami wojny. Z tego zaś punktu widzenia rzeczywiście nikogo nie brakowało.

Ulewa przeszła równie nagle jak się zaczęła, słońce natychmiast zaświeciło na bezchmurnym niebie, niemniej wichura była tak gwałtowna, że wyrwała parę drzew z korzeniami, a wezbrana woda przemieniła patio w bagno. Miejscem najbardziej dotkniętym kataklizmem stała się kuchnia. Na tyłach domu wybudowano pod gołym niebem kilka ceglanych palenisk na drewno i kucharze ledwie zdążyli uchronić sagany przed deszczem. Ratowanie zatopionej kuchni i stawianie naprędce nowych palenisk w ganku od podwórza zajęło im sporo czasu. Ale o pierwszej sytuacja została opanowana i brakowało jedynie deseru zamówionego u sióstr klarysek, które obiecały dostarczyć go przed jedenastą. Obawiano się, że strumień przy trakcie królewskim może wystąpić z łożyska, jak to zdarzało się nawet podczas łagodniejszych zim, w tym więc przypadku trudno było liczyć na pojawienie się deseru przed upływem dwóch godzin. Gdy się roz pogodziło, otwarto okna i dom wypełnił się rześkim, oczyszczonym przez burzę powietrzem. Następnie polecono orkiestrze wykonać wiązkę walców na tarasie ganku, ale zwiększyło to jedynie ogólną udrękę, gdyż roznoszące się po całym domu echo miedzianych trąb zmuszało wszystkich do wzajemnego przekrzykiwania się. Zmęczona oczekiwaniem, uśmiechając się niemal przez łzy, Aminta de Olivella kazała podać obiad.

Zespół ze Szkoły Sztuk Pięknych rozpoczął swój koncert pośród uprzejmej ciszy, która trwała zaledwie parę początkowych taktów La Chasse Mozarta. Pomimo coraz głośniejsz przebijających się głosów, krzątający czarnych kelnerów z „Don Sancha”, z trudem lawirujących z dymiącymi półmiskami pośród stolików, doktor Urbino zdołał nastawić uszu i wysłuchać koncertu do końca programu. Z roku na rok tracił swą umiejętność koncentracji, do tego stopnia, że musiał zapisywać na kartce każdy swój ruch szachowy, aby wiedzieć, w jakim kierunku zmierza. A jednak potrafił jeszcze prowadzić poważną rozmowę nie tracąc wątku koncertu, aczkolwiek nie osiągając mistrzowskich wyżyn

pewnego niemieckiego dyrygenta i zarazem swego wielkiego przyjaciela z czasów pobytu w Austrii, który czytał partyturę Don Giovanniego jednocześnie słuchając Tannhausera.

Drugi utwór programu, Śmierć i dziewczyna Schuberta, wydał mu się wykonany z nazbyt łatwym dramatyзмом. Usiłując wysłuchać muzyki poprzez narastający szczeł sztucców o talerze, utkwiał wzrok w młodzieńcu o zarumienionej twarzy, który pozdrowił go skinieniem głowy. Musiał go już gdzieś spotkać, bez wątpienia, ale nie mógł przypomnieć sobie gdzie. Podobne luki w pamięci miewał często, przede wszystkim z trudem kojarzył nazwiska i to osób powszechnie znanych, jak również melodie z dawnych lat, co było dlań tak przerażającą udręką, iż pewnej nocy wolał umrzeć, niż dotrwać w tych mękach do świtu. Obecnie zbliżał się już do tego stanu, lecz nagle litościwy błysk rozjaśnił jego pamięć: ów młody człowiek był w zeszłym roku jego studentem. Zdziwił się widząc go tutaj, w królestwie wybrańców losu, ale doktor Olivella przypomniał mu, że jest to syn ministra zdrowia, a przybył tutaj, by przygotować pracę z medycyny sądowej. Doktor Juvenal Urbino przesłał mu radosne pozdrowienie ręką, młody lekarz w odpowiedzi wstał i oddał mu pełen szacunku ukłon. Zarówno w tej chwili, jak i potem, i już nigdy, doktor Urbino nie skojarzył, że jest to spotkany przez niego tegoż ranka w mieszkaniu Jeremiasza de Saint - Amour praktykant.

Odetchnąwszy z ulgą po odniesieniu jeszcze jednego zwycięstwa nad starością, poddał się przejrzystemu i płynnemu liryzmowi ostatniego utworu w programie, choć nie był w stanie go rozpoznać. Nieco później młody, świeżo przybyły z Francji wiolonczelista z zespołu, wyjaśnił mu, że jest to kwartet smyczkowy Gabriela Faure, o którym doktor Urbino nie słyshał nawet mimochodem, aczkolwiek starał się uważnie śledzić wszelkie europejskie nowości. Fermina Daza, nie spuszczać z niego oka, jak zwykle, a szczególnie wtedy, gdy przebywając w towarzystwie pograżał się w myślach, odłożyła sztuce i położyła swą ziemską dłoń na jego dłoni. Powiedziała: „Nie myśl już o tym”. Doktor Urbino uśmiechnął się do niej z przeciwległego brzegu ekstazy i dopiero wówczas pomyślał o tym, co budziło jej obawy.

Przypomniał sobie Jeremiasza de Saint - Amour, którego zwłoki w fałszywym mundurze bojownika, z teatralnymi odznaczeniami, spoczywały o tej porze w trumnie, wystawione na oskarżycielskie spojrzenia dzieci z fotografii. Zwrócił się do arcybiskupa, pragnąc przekazać mu wiadomość o samobójstwie, okazało się jednak, iż ten już wie. Po nabożeństwie dużo o tym mówiono, poza tym pułkownik Hieronim Argote zwrócił się do niego, w imieniu uchodźców karaibskich, z prośbą o zezwolenie na pogrzebanie zmarłego w poświęconej ziemi. Dodał:

„Już sam fakt wystąpienia z taką prośbą wydał mi się oznaką braku szacunku”. Następnie, już bardziej ludzkim tonem, zapytał, czy znany jest powód samobójstwa. Doktor Urbino odpowiedział mu stosownym słowem, które, jak mu się zdawało, wymyślił w tej właśnie chwili: gerontofobia. Doktor Olivella, dotąd zajęty gośćmi siedzącymi obok niego, przeprosił ich na chwilę, by włączyć się do konwersacji. Wtrącił: „To doprawdy smutne, że mamy jeszcze do czynienia z samobójstwami nie popełnianymi z miłości”. Doktor Urbino nie zdziwił się rozpoznawszy w słowach ulubionego ucznia własne myśli.

- Gorzej - odparł. - To akurat popełnione zostało za pomocą cyjanku złota.

Wypowiedziawszy to poczuł, że współczucie ponownie oddała od niego gorycz z powodu listu, i poczuł wdzięczność nie dla żony, lecz dla cudu muzyki. Po czym opowiedział arcybiskupowi o laickim świętym, którego poznał w czasie wolno płynących szachowych wieczorów, opowiedział o tym, jak poświęcił on całą swą sztukę szczęściu dzieci, o jego rzadko spotykanej wiedzy we wszystkich sprawach tego świata, o jego spartańskich obyczajach, i dziwił się sam sobie, że tak nieoczekiwanie, z taką czystością duszy zdołał całkowicie oddzielić zmarłego od jego przeszłości. Później wspomniał burmistrzowi, iż należałoby wykupić archiwum negatywów fotograficznych w celu zachowania wizerunków całego pokolenia, które być może nigdy nie będzie tak szczęśliwe, jak na tych portretach, a w którego rękach jest przyszłość miasta. Arcybiskup zgorszony był tym, że świątły i zaangażowany katolik ma śmiałość dopuścić do siebie myśl o świętości samobójcy, niemniej jednak poparł inicjatywę przekazania negatywów do archiwum. Burmistrz pragnął się dowiedzieć, od kogo należy je wykupić. Doktor Urbino poczuł, jak rozżarzone węgle posiadane go sekretu parzą mu język, zdołał się jednak powstrzymać przed zdradzeniem utajnionej spadkobierczyni archiwów. Odpowiedział: „Ja się tym zajmę”. I poczuł się odkupiony własną lojalnością wobec kobiety, której wyparł się pięć godzin temu. Fermina Daza spostrzegła to i szeptem kazała mu przyrzec, że będzie na pogrzebie. Oczywiście, że będzie, odparł z ulgą, jeszcze by tego brakowało.

Przemówienia były krótkie i klarowne. Orkiestra dęta zaczęła wykonywać jedną z popularnych i nie przewidzianych w programie melodii, a goście rozeszli się po krążgankach w oczekiwaniu na ostateczne osuszenie patia przez personel z „Mesón de don Sancho”, na wypadek gdyby ktoś miał ochotę zatańczyć. Wewnątrz domu pozostali jedynie goście zebrani przy honorowym stole, celebrując właśnie wypicie przez doktora Urbino jednym haustem, w charakterze strzemiennego, pół kieliszeczka brandy. Nikt nie przypominał sobie, by czynił to kiedykolwiek przedtem, bo, prócz kieliszka wina wielkiej klasy do nader specjalnego dania, nigdy nie pił, ale tego popołudnia serce wymogło to na

nim i jego słabostka została godziwie opłacona: znowu, po tylu, tylu latach miał ochotę zaśpiewać. Uczyniłby to niewątpliwie na usilne prośby młodego wiolonczelisty oferującego mu swój akompaniament, gdyby nie samochód, jeden z tych nowoczesnych, który nieoczekiwanie przejechał przez bagno patia opryskując błotem muzyków, płosząc kaczkę w zagrodzie swym kaczym sygnałem, by wreszcie zatrzymać się przed podcieniami. Z samochodu wyszli, zataczając się ze śmiechu, doktor Marek Aureliusz Urbino Daza z małżonką, każde trzymając w ręku tacę przykrytą koronkową serwetą. Inne, identyczne tace znajdowały się na dodatkowych siedzeniach, a nawet na podłodze obok szofera. Był to spóźniony deser. Kiedy umilkły oklaski, śmiech i życziwe docinki, doktor Urbino Daza, już na serio, wyjaśnił, że klaryski poprosiły go o przewiezienie deseru jeszcze przed burzą, ale zawrócił z traktu królewskiego, bo ktoś mu powiedział, że pali się dom jego rodziców. Doktor Juvenal Urbino, nie czekając na zakończenie opowieści, zdołał już wpaść w panikę. Żona szybko mu jednak przypomniała, że sam kazał wezwać strażaków, by złapali papugę. Promieniejąca Aminta de Olivella postanowiła, aczkolwiek z opóźnieniem i po kawie, podać deser w krużgankach. Ale doktor Juvenal Urbino i jego małżonka odjechali nie skosztowawszy go nawet, był już bowiem najwyższy czas na to, by doktor przed pogrzebem odespał swą uświęconą sjęstę.

I odespał ją, choć krótko i źle, bo wróciwszy do domu ujrzał, że strażacy zrobili większe szkody niż pożar.

Próbując wystraszyć papugę puścili silny strumień wody na drzewo, ogoławając je z liści, a inny skierowali tak niecelnie, że woda wpadłszy przez okna głównej sypialni spowodowała nieodwracalne zniszczenia w meblach i wiszących na ścianach portretach nieznanym dziadków. Sąsiedzi usłyszawszy dzwon wozu strażackiego zbiegli się natychmiast, sądząc, że wybuchł pożar, do większej zaś katastrofy nie doszło tylko dzięki temu, że szkoły były w niedzielę zamknięte. Strażacy widząc, że nie są w stanie dosięgnąć papugi nawet po przystawieniu rozkładanej drabiny, zaczęli odrąbywać gałęzie i tylko pojawienie się w ostatniej chwili doktora Urbino Daza zapobiegło ociosaniu drzewa do gołego pnia. Poinformowali, że jeśli uzyskają zgodę na jego ścięcie, to wrócą po piątę, wycofując się zaś roznieśli błoto po całej sieni i salonie, i rozdarli ulubiony turecki dywan Ferminy Dazy. Wszystko to okazało się zresztą zupełnie niepotrzebne, domownicy mieli bowiem wrażenie, że papuga wykorzystując panujący chaos uciekła przez sąsiednie podwórza. Doktor Urbino usiłował wypatrzeć ją w gęstwinie liści, nie otrzymawszy jednak odpowiedzi w żadnym języku ani na swoje gwizdy, ani na piosenki, uznał, że papuga istotnie zaginęła i już prawie o trzeciej udał się na drzemkę. Przedtem zażył chwilowej

rozkoszy wdychając wonności tajemnego ogrodu swojego moczu przeczyszczonego przez ciepłe szparagi.

Obudził go smutek. Nie ten smutek, który poczuł rano przy zwłokach przyjaciela, ale owa niewidzialna mgła przesycająca zawsze jego duszę po sjeście i odbierana przez niego jako boski sygnał, iż właśnie dożywa swoich ostatnich wieczorów. Do pięćdziesiątego roku życia nie był świadom rozmiarów, wagi i stanu swych wnętrzności. Z czasem, przedłużając jeszcze swą codzienną sjęstę, leżąc z zamkniętymi oczami, zaczął odczuwać je w sobie, każdą część z osobna, nawet kształt swego bezsenne serca, tajemniczej wątroby, hermetycznej trzustki, odkrywając zarazem, że nawet najstarsze osoby są młodsze od niego i że, w rezultacie, pozostał jedynym żyjącym z legendarnych portretów grupy swego rocznika. Kiedy zdał sobie sprawę z pierwszych luk własnej pamięci, sięgnął do sposobu zasłyszanego u jednego z profesorów w Akademii Medycznej: „Kto nie ma pamięci, ten niech ją sobie stworzy na papierze”. Była to jednak złudna i krótkotrwała nadzieja, bo pamięć zawodziła go tak dalece, że zapominał nawet, co mają oznaczać owe pamięciowe notatki chowane po kieszeniach, przemierzał całe mieszkanie szukając okularów, które miał właśnie na nosie, ponownie przekręcał klucz w już zamkniętych przez siebie drzwiach i gubił się w powieściowych fabułach, zapominając treść albo rodowody postaci. Najbardziej niepokoiło go to, że nie mógł ufać własnym władzom umysłowym: z wolna, ulegając nieuchronnej katastrofie, czuł, że zaczyna tracić poczucie rozsądku.

Doktor Juvenal Urbino wiedział z własnego li tylko doświadczenia, nie opierając się na jakichkolwiek naukowych podstawach, że większość śmiertelnych chorób posiada swój własny zapach, żaden jednak nie jest aż tak specyficzny jak zapach starości. Wyczuwał go w rozciętych na stole sekcyjnym zwłokach, rozpoznawał nawet u pacjentów znakomicie ukrywających swój wiek, we własnych przepoconych ubraniach i w bezbronnym oddechu swej śpiącej małżonki. Gdyby nie był tym, kim w istocie był, chrześcijaninem na starą modłę, być może zgodziłby się z Jeremiaszem de Saint - Amour, że starość jest obrzydliwym stanem, który należałoby odpowiednio wcześnie udaremnić. Jedynym pocieszeniem, nawet dla kogoś takiego jak on, a należał przecież do mężczyzn nieźle sprawdzających się w łóżku, było powolne i litościwe wygasanie cielesnego pożądania: spokój seksualny.

W osiemdziesiątym pierwszym roku życia starczało mu jeszcze rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że z tym światem łączy go jedynie wątłe nici, zdolne zerwać się bezboleśnie, przy najzwyczajszym przewróceniu się na bok w czasie snu, i jeśli robił wszystko, co w jego mocy, by nadal być do nich przywiązany, to wyłącznie ze strachu, iż w mrokach śmierci

może nie napotkać Boga.

Fermina Daza zajęła się doprowadzaniem do porządku sypialni zdewastowanej przez strażaków i tuż przed czwartą poleciła, jak zwykle o tej porze, zanieść mężowi szklankę lemoniady z utłuczonym lodem, przypominając jednocześnie, że powinien już zacząć się ubierać do wyjścia na pogrzeb. Doktor Urbino miał tego popołudnia dwie książki pod ręką: Człowiek, istota nieznana Alexisa Carrella i Księgę z San Michele Axela Munthe. Tej ostatniej jeszcze nie rozciął, poprosił więc Dignę Pardo, kucharkę, o przyniesienie pozostawionego przezeń w sypialni noża z kości słoniowej. Zanim mu jednak przyniesiono nóż, czytał już Człowieka, istotę nieznaną na stronie zaznaczonej kopertą jakiegoś listu: do jej zakończenia brakowało mu kilka kartek. Czytał powoli, torując sobie drogę poprzez meandry cieniutkiej nitki bólu głowy, który złożył na karb owego, wypitego przed odjazdem, kieliszeczka brandy. W przerwach popijał lemoniadę odwiekając powrót do lektury chrupaniem kostek lodu. Miał na sobie skarpetki, koszulę bez sztucznego kołnierzyka, zwisające przy pasie, elastyczne szelki w zielone prążki, i dręczyła go myśl o tym, że musi ubrać się na pogrzeb. Dość szybko przerwał czytanie, odłożył jedną książkę na drugą i bujając się leniwie w wiklinowym fotelu na biegunach, zaczął poprzez ociążałe przygnębienie błędzić oczyma po zaroślach i krzewach nad stawikiem patia, spoglądać na drzewo ogołoczone z liści, pojawiające się po deszczu roje skrzydlatych mrówek, i kontemplować ulotny splendor jeszcze jednego nieistotnego i odchodzącego na zawsze popołudnia. Zapomniał już, że kiedyś miał papugę z Paramaribo, którą kochał jak ludzką istotę, gdy nagle usłyszał ją:

„Papuzka królewska”. Usłyszał całkiem blisko, niemal u swego boku, i natychmiast ją dostrzegł na najniższej gałęzi mangowca.

- Bezwstydnicu - krzyknął.

Papuga natychmiast odpowiedziała mu identycznym głosem:

- Kocioł garnkowi przyganiał, doktorze. Podtrzymywał tę wymianę zdań nie tracąc papugi z oczu, a jednocześnie zakładając, z daleko idącą ostrożnością, sztylpy, aby jej nie spłoszyć, przełożył ręce przez szelki i zszedł na pokryte jeszcze błotem patio, laską opukując ziemię, żeby nie potknąć się na trzech schodkach tarasu. Papuga nie poruszyła się. Siedziała tak nisko, że podstawił jej laskę, aby, jak to miała w zwyczaju, mogła sfrunąć na srebrną rączkę, papuga jednak wymknęła się. Przeskoczyła na najbliższą, nieco wyższą, ale i dostępniejszą gałąź, dosięgała bowiem do niej drabina, przystawiona tam jeszcze przed przybyciem strażaków.

Doktor Urbino oszacował wysokość i uznał, że pokonując dwa szczeble będzie mógł

złapać papugę. Wszedł na pierwszy szczebel podśpiewując kumpelską piosenkę, by odwrócić uwagę niesfornego stworzenia, powtarzającego słowa bez melodii, ale i przesuwał się jednocześnie bokiem na gałęzi. Bez trudu wszedł na drugi trzymając się obydwoma rękami drabiny, papuga zaś, nie ruszając się z miejsca, zaczęła powtarzać całą piosenkę. Wszedł na trzeci szczebel i zaraz potem na czwarty, bo jednak źle obliczył wysokość gałęzi, i chwyciwszy się mocno lewą ręką drabiny, prawą spróbował złapać papugę. Digna Pardo, stara służąca, która właśnie nadchodziła, żeby go uprzedzić, że może nie zdążyć na pogrzeb, zobaczyła plecy stojącego na drabinie mężczyzny i nie uwierzyłaby, że to on, gdyby nie zielone paski elastycznych szelek. - Przenajświętszy Sakramencie! - krzyknęła. - Jeszcze się pan zabije!

Doktor Urbino złapał papugę za szyję, wzdychając triumfalnie: *cayest*. Ale natychmiast ją wypuścił, drabina wymknęła mu się bowiem spod nóg, on zaś wisząc przez chwilę w powietrzu zdał sobie sprawę, że właśnie umiera, bez komunii, bez krztyny czasu na to, by się z czegokolwiek wypowiedzieć, z kimkolwiek pożegnać, czwartej siedem w popołudnie w niedzielę Zesłania Ducha Świętego.

Fermina Daza była w kuchni i próbowała zupy przygotowanej na kolację, gdy usłyszała pełen przerażenia wrzask Digny Pardo, wrzawę służby i, prawie jednocześnie, krzyki z sąsiedztwa. Rzuciła łyżkę i spróbowała dobiec najszybciej, jak tylko mogła i na ile pozwalało jej nieprzewyciężone brzemię lat, wrzeszcząc jak oszalała, nieświadoma jeszcze tego, co się stało pod drzewem mangowca, i serce jej pękło na tysiąc kawałków na widok męża leżącego na wznak w błocie, już umarłego za życia, ale jeszcze odpierającego w ostatniej minucie ostateczny cios śmierci, aby ona mogła zdążyć na czas. Zdołał rozpoznać ją w całym zamieszaniu poprzez łzy niewysłowionego bólu, że umiera bez niej, i spojrzał na nią po raz ostatni, tak pełnymi blasku, tak smutnymi i pełnymi takiej wdzięczności oczami, jakich nigdy nie widziała u niego przez pół wieku wspólnego życia, by resztką sił, w ostatnim tchnieniu, powiedzieć jej:

- Bóg tylko wie, jak bardzo cię kochałem. , Była to pamiętna śmierć, i nie bez powodu. Wkrótce po ukończeniu studiów specjalizacyjnych we Francji doktor Juvenal Urbino zasłynął w kraju powstrzymując na czas, dzięki nowym i drastycznym metodom, ostatnią epidemię cholery, która nawiedziła prowincję. Poprzednia, jeszcze kiedy był za granicą, spowodowała w niespełna trzy miesiące śmierć jednej czwartej ludności miejskiej, w tym i jego ojca, również nader szanowanego lekarza. Korzystając z szybko zdobytego prestiżu i sporej części rodzinnego majątku, założył pierwsze i przez wiele lat jedyne w karaibskich prowincjach Towarzystwo Medyczne, stając się jego dożywotnim prezesem.



Doprowadził do budowy pierwszego wodociągu, pierwszego systemu kanałów ściekowych i krytego targowiska, co pozwoliło oczyścić gnojowisko zatoki Las Animas. Był ponadto przewodniczącym Akademii Języka i Akademii Historii. Patriarcha łaciński Jerozolimy mianował go kawalerem Zakonu Grobu Świętego w uznaniu jego zasług dla Kościoła, rząd francuski zaś przyznał mu Legię Honorową w stopniu komandora. Był aktywnym animatorem wszystkich istniejących w mieście kongregacji i stowarzyszeń świeckich, w szczególności zaś Związku Patriotycznego, utworzonego przez wpływowych, choć pozbawionych politycznych ambicji obywateli, wywierających presję na rządy i lokalny handel postępowymi, acz zbyt śmiałymi jak na swą epokę ideami. Spośród nich do najbardziej doniosłych inicjatyw należał próbny lot balonem, który w swej inauguracyjnej podróży przewiózł list aż do San Juan de la Cienaga, na długo przedtem, nim zaczęto w ogóle myśleć o poczcie lotniczej jako racjonalnej możliwości. Jego ideą było również powstanie Ośrodka Artystycznego, z którego inicjatywy założono Szkołę Sztuk Pięknych, w tym samym gmachu, gdzie mieści się do dziś.

Dopiero jemu udało się osiągnąć to, co przez cały wiek zdawało się być niemożliwe do spełnienia: odnowienie Teatru Komедii, przekształconego jeszcze w czasach kolonialnych w arenę walki kogutów, z przyległą do niej hodowlą. Nastąpiło to w efekcie spektakularnej społecznej akcji, w którą zaangażowały się wszystkie bez wyjątku sfery, mobilizując olbrzymie rzesze do działań, przez wielu ocenianych jako godne lepszej sprawy. Pomimo wszystko, działalność nowego Teatru Komедii zainaugurowano z chwilą, gdy brakowało w nim jeszcze foteli i lamp, widzowie zaś musieli przynosić z sobą krzesła, stołki, taborety i coś do oświetlania sali w czasie przerw. Przyjęła się taka sama etykieta, jak podczas wielkich premier w Europie, co skwapliwie zostało wykorzystane przez kobiety z wyższych sfer jako okazja do zademonstrowania w karaibskiej kanikule długich sukien i futer, niemniej trzeba było również dopuścić na widownię służbę, która wносиła krzesła, lampy i tyle jedzenia, ile to było konieczne, aby przetrzymać ciągnące się w nieskończoność przedstawienia, zdarzały się bowiem i takie przypadki, iż niektóre spektakle przedłużały się aż do porannego nabożeństwa. Pierwszy sezon został zainaugurowany przez francuską trupę operową, której największą nowością była harfa w składzie orkiestry, niezapomnianą zaś sławą cieszył się nieskazitelny sopran i dramatyczny talent tureckiej artystki śpiewającej boso i w pierścieniach z drogocennymi kamieniami na palcach u nóg. Już w pierwszym akcie scena stała się ledwie widoczna, a śpiewacy stracili głos od dymu wydzielanego przez ogromną ilość lamp na olej palmowy, niemniej miejscy kronikarze dołożyli starań, by zatuszować owe drobne mankamenty, sławiąc z drugiej strony

wszystko, co tylko godne było uwagi.

Bez wąpienia inicjatywa ta okazała się najbardziej zaraźliwa spośród całego szeregu inicjatyw doktora Urbino, operowa gorączka udzieliła się bowiem wszystkim, nawet najmniej spodziewanym klasom i warstwom, dając początek całemu pokoleniu Izold i Otellów, Aid i Zygfydów. Nigdy jednakże nie doszło do skrajności wymarzonej przez doktora Urbino, który pragnął ujrzeć zwolenników opery włoskiej z jednej strony i wagnerystów z drugiej, bezlitośnie okładających się laskami w czasie przerw.

Doktor Juvenal Urbino nigdy nie przyjął żadnego z proponowanych mu często i bez jakichkolwiek warunków oficjalnych stanowisk, będąc zarazem bezwzględny krytykiem lekarzy wykorzystujących swój zawodowy prestiż do kariery politycznej. Aczkolwiek zawsze uważano go za liberała, bo zwykł w wyborach głosować na kandydatów tej partii, czuł się nim bardziej dla podtrzymania tradycji niż z przekonania, będąc jednocześnie ostatnim zapewne przedstawicielem wielkich rodów, który przyklękał na ulicy z chwilą przejazdu arcybiskupiej karety. Sam siebie definiował jako urodzonego pacyfistę, zwolennika ostatecznej ugody pomiędzy liberałami a konserwatystami dla dobra ojczyzny. Mimo to jego publiczne zachowania cechowała tak dalece idąca niezależność, iż nikt nie uznawał go za swojego: liberałowie mieli go za jaskiniowego wstecznika, konserwatyści mawiali, iż brakuje mu jedynie tego, by wstąpił do masonerii, masoni zaś odrzucali go jako zakonspirowanego klechę w służbie Watykanu. Mniej zażarci oponenti sądzą, że jest li tylko arystokratą upajającym się rozkoszami Turnieju Poetyckiego, w czasie gdy cały naród wykrwawia się w nie mającej końca wojnie domowej.

I tylko dwie jego decyzje zdawały się nie zgadzać z tym wizerunkiem. Pierwszą była przeprowadzka z dawnego pałacu markiza de Casalduero, siedziby rodowej od ponad stu lat, do nowego domu w dzielnicy nowobogackich. Drugą zaś małżeństwo z piękną spoza swojej sfery, bez nazwiska i majątku, z której panie o długich nazwiskach wyśmiewały się skrycie, dopóki same, choć wbrew własnej woli, nie przekonały się, że góruje nad nimi dystynkcją i przymiotami charakteru. Doktor Urbino nieustannie zważał zarówno na te, jak i na wiele innych rys w swoim publicznym wizerunku i nikt bardziej od niego nie był świadom faktu, że jest ostatnim dziedzicem nazwiska na wymarciu. Jego dwoje dzieci okazało się dwiema, pozbawionymi jakiegokolwiek splendoru, ślepyimi ulicznymi. Marek Aureliusz, potomek płci męskiej, lekarz jak ojciec i jak każdy pierworodny z poprzednich pokoleń, mimo swych ponad pięćdziesięciu lat nie zrobił nic godnego uwagi, nawet potomka. Ofelia, jedyna córka, żona wysokiego urzędnika bankowego w Nowym Orleanie, dożyła klimakterium wydawszy na świat trzy córki i ani

jednego syna. A jednak doktora Urbino - choć przewidując śmierć ubolewał nad zatamowaniem biegu krwi w potoku historii - najbardziej dręczyła myśl o samotnym życiu Ferminy Dazy bez niego.

Tragedia, w każdym razie, wstrząsnęła do głębi nie tylko ludźmi z jego sfery, ale poruszyła również prosty lud, który wyległ na ulice, łudząc się, że przynajmniej zdoła ujrzeć blask legendy. Ogłoszono trzydniową żałobę, opuszczono flagi do połowy masztu na wszystkich gmachach użyteczności publicznej, a dzwony wszystkich kościołów były nieustannie do chwili zamknięcia krypty w rodzinnym mauzoleum. Grupa uczniów ze Szkoły Sztuk Pięknych odlała maskę pośmiertną, która miała posłużyć za formę do popiersia naturalnej wielkości, ale zrezygnowano z realizacji projektu, nikomu bowiem nie przypadła do gustu wierność, z jaką została w niej utrwalona trwoga ostatniej chwili. Pewien w miarę sławny artysta przebywający w mieście przypadkowo, przejazdem do Europy, namalował olbrzymie realistyczno - patetyczne płótno, na którym doktor Urbino uwieczniony został w chwili śmierci, kiedy stojąc na drabinie wyciągał rękę, by złapać papugę. Na obrazie zamiast koszuli bez kołnierzyka i szelek w zielone prążki miał na sobie melonik i surdut z czarnego płótna skopiowane z prasowej ryciny, z czasów zarazy, co było jedynym elementem całkowicie sprzecznym z okrutną prawdą końca jego żywota. Obraz ten w kilka miesięcy po tragedii wystawiono, by mogli obejrzeć go wszyscy, w przestronnej galerii, odwiedzanego przez całe miasto sklepu z artykułami importowanymi „Złoty Drut”. Później ozdobił ściany wszystkich tych państwowych i prywatnych instytucji, które czuły się w obowiązku oddać hołd pamięci znamienitego patrycjusza, a wreszcie, po ceremonii powtórnego pogrzebu, zawisnął w Szkole Sztuk Pięknych, skąd wiele lat później został wywleczony przez studentów malarstwa i spalony przez nich na placu uniwersyteckim jako symbol znienawidzonych czasów i odrażającej estetyki. Już od pierwszej chwili można było zauważyć, że Fermina Daza w swym wdowieństwie nie jest, wbrew obawom małżonka, aż tak bezradna. Zdecydowanie przeciwna wykorzystaniu nieboszczyka na rzecz jakiegokolwiek sprawy, nie zmieniła swego postanowienia nawet wobec kondolencyjnego telegramu Prezydenta Republiki, w którym zarządzał wystawienie zwłok na widok publiczny w głównej sali siedziby władz prowincji.

Z tą samą stanowczością sprzeciwiła się czuwaniu przy zwłokach w katedrze, o co prosił ją osobiście arcybiskup, przystając jedynie na wystawienie trumny, w ramach uroczystości pogrzebowych, podczas nabożeństwa żałobnego. Nie ustąpiła nawet wobec mediacji syna, oszołomionego tyłoma przeróżnymi prośbami, trwając w swym wiejskim przekonaniu, że zmarli należą tylko i wyłącznie do rodziny i do nikogo innego, a nocne

czuwanie odbędzie się w domu, przy gorzkiej kawie i ciasteczkach serowych, gdzie każdy będzie mógł do woli i jak zechce oplakiwać zmarłego. Zrezygnowała z tradycyjnego, trwającego dziewięć nocy czuwania: po pogrzebie drzwi zostały zamknięte i otwierano je tylko dla najbliższych. W domu rządziła teraz śmierć. Co cenniejsze przedmioty zostały odpowiednio zabezpieczone, a na gołych ścianach pozostały jedynie ślady po zdjętych obrazach. Krzesła, zarówno własne, jak i pożyczone od sąsiadów rozstawiono pod ścianami, od salonu po sypialnię, a opustoszała przestrzeń wydawała się ogromna, wszelkie dźwięki zaś rozbrzmiewały w niej upiornym pogłosem, największe meble zostały bowiem odsunięte, prócz okrytego białym prześcieradłem koncertowego pianina odpoczywającego w swoim kącie. W samym środku biblioteki, na biurku swego ojca, leżał, jeszcze bez trumny, ten, który był Juvenalem Urbino de la Calle, z grymasem ostatniego przerażenia zastygłym na twarzy, w płaszczu i z wojenną szpadą kawalerów Grobu Świętego. U jego boku, w grubej żałobie, drżąca, ale całkowicie opanowana, Fermina Daza przyjmowała bez dramatyzmu kondolencje nie ruszając się prawie do jedenastej rano dnia następnego, kiedy to ostatecznie rozstała się z małżonkiem stojąc na ganku i powiewając mu chusteczką na pożegnanie.

Nielatwo przyszło jej odzyskać to panowanie nad sobą od momentu, w którym usłyszała krzyk Digny Pardo w patio i ujrzała swego staruszka konającego w błocie. Jej pierwszą reakcją była nadzieja, oczy miał bowiem otwarte, a w źrenicach taki blask promiennego światła, jakiego nigdy w nich nie widziała. Zaczęła błagać Boga o darowanie jej przynajmniej chwili, by nie odszedł nie dowiedziawszy się, jak bardzo go kochała, wbrew wątpliwościom ich dwojga, i poczuła nieprzepartą chęć rozpoczęcia z nim życia od nowa, od samego początku, by mogli powiedzieć sobie wszystko, czego jeszcze nie powiedzieli i zrobić teraz dobrze to, co zrobili źle w przeszłości. Ale musiała się poddać nieustępliwej śmierci.

Zagłuszyła ból atakiem ślepej wściekłości skierowanej przeciwko światu, nie wyłączając siebie samej, i natchnęło ją to tak wielkim spokojem i tak wielką odwagą, że zdołała stawić czoło samotności. Począwszy od tej chwili nie zaznała ani sekundy wytchnienia, ale wystrzegła się najmniejszego choćby gestu, który mógłby ujawnić jej ból. Jedyne moment swoistego, choć całkowicie mimowolnego patosu nastąpił w niedzielę, o jedenastej wieczorem, kiedy zaczęto wyprowadzać episkopalną, pachnącą jeszcze okrętowym pokostem trumnę z miedzianymi uchwytyami, wyściełaną jedwabnymi poduszkami. Doktor Urbino Daza polecił natychmiast zabić wieko, cały dom przesycony był bowiem unoszącą się w nieznośnym skwarze wonią ogromnej ilości kwiatów, a poza

tym miał wrażenie, iż dostrzegł pierwsze sinawe cienie na szyi ojca. W ciszy rozległ się czyjś roztargniony głos: „W tym wieku człowiek jest na wpół zgniły już za życia”. Zanim zamknięto trumnę, Fermina Daza ściągnęła ślubną obrączkę, założyła ją zmarłemu mężowi, następnie przykryła swoją dłonią jego dłoń, tak jak czyniła to zawsze, kiedy zaczynał pleść trzy po trzy w towarzystwie.

- Wkrótce się zobaczymy - powiedziała mu. Florentino Ariza, niedostrzegalny w tłumie notabli, poczuł, że włócznia przeszywa mu bok. Fermina Daza nie rozpoznała go w rozgardiaszu pierwszych kondolencji, aczkolwiek, jak później się okazało, tej nocy nikt nie był bardziej od niego obecny i użyteczny w nagłych wypadkach. To on zaprowadził porządek w przepelnionych kuchniach, aby nie zabrakło kawy. Zdobył dodatkowe krzesła, kiedy nie starczyło nawet tych wypożyczonych po sąsiedzku, a gdy w domu nie mieścił się już żaden więcej wieniec, kazał składać je wszystkie w patio. Zadbął, by nie zabrakło brandy żadnemu z gości doktora Lacidesa Olivelli, do których nieszczęsna wiadomość dotarła w apogeum obchodów srebrnego wesela, przybyli więc natychmiast z wielkim hukiem i rozsiadłszy się wokół drzewa mangowego kontynuowali fetę. Tylko on potrafił zareagować na czas, kiedy o północy pojawiła się w jadalni zbiegła papuga z uniesioną głową i rozpostartymi skrzydłami, wywołując dreszcz przerażenia w całym domu, wyglądała bowiem jak pokutująca dusza. Florentino Ariza chwycił ją za szyję, nie pozwalając jej nawet wycharzczyć któregoś z bezsensownych okrzyków i zaniósł, w przykrytej klatce, do stajni. Wszystkim zresztą zajął się tak samo dyskretnie i skutecznie, że nikomu nie przyszło na myśl potraktować jego zachowania jako mieszania się w cudze sprawy, wprost przeciwnie, uznano to za bezcenną pomoc w tych ciężkich dla rodziny chwilach.

Był człowiekiem, na jakiego wyglądał: uczynnym i dystyngowanym starcem. Miał kościste, wyprostowane ciało, gładką śniadą skórę, przenikliwie spoglądające oczy zza okrągłych okularów w oprawce z białego metalu i romantyczne, nieco anachroniczne jak na obecne czasy, wąsy o wypomadowanych końcach. Resztki kosmyków trzymające się jeszcze na skroni miał zaczesane do góry i sklezione brylantyną pośrodku lśniącej czaszki, co było ostatnim ratunkiem umożliwiającym tuszowanie całkowitej łysiny. Jego wrodzona kurtuazja i wytworne maniery zjednywały mu natychmiastową sympatię, niemniej uznawano je również za przymioty dość podejrzane u tak zatwardziałego kawalera. Wiele pieniędzy, wiele sprytu i wiele uporczywości włożył w to, żeby nie można było dostrzec jego siedemdziesięciu sześciu lat ukończonych w marcu, w najgłębszej zaś samotności swej duszy był najświęciej przekonany, że kochał w milczeniu jak nikt inny na tym świecie.

W wieczór śmierci doktora Urbino ubrany był tak, jak zastała go wiadomość, czyli jak zawsze, niezależnie od piekielnych czerwcowych upałów: w ciemny płócienny garnitur z kamizelką, z jedwabną kokardą przewiązaną na kołnierzyku z celuloide, i w pilśniowy kapelusz; poza tym miał gładki czarny parasol służący mu jednocześnie za laskę. Kiedy jednak niebo zaczęło jaśnieć, zniknął na dwie godziny i z pierwszymi blaskami słońca wrócił odświeżony, gładko wygolony i pachnący wodą toaletową. Przebrał się w surdut z czarnego płótna, już wówczas wkładany wyłącznie z okazji ceremonii pogrzebowych i wielkanocnych nabożeństw, koszulę ze stojącym kołnierzykiem, artystyczną kokardą zamiast krawata, i melonik. Wziął również parasol, ale tym razem nie tyle z przyzwyczajenia, co z przeświadczenia, że przed południem spadnie deszcz, i podzielił się swą obawą z doktorem Urbino Daza, by ten rozważył, na ile byłoby możliwe przyspieszenie pogrzebu. Spróbowali, w rzeczy samej, to uczynić, Florentino Ariza należał bowiem do rodziny armatorów i pełnił zarazem funkcję prezesa Karaibskiego Towarzystwa Rzeczno, co dawało podstawy do sądenia, iż znakomicie orientuje się w prognozach atmosferycznych. Nie zdołali jednak na czas powiadomić władz cywilnych i wojskowych, korporacji publicznych i prywatnych, orkiestry wojskowej i orkiestry Szkoły Sztuk Pięknych, szkół i kongregacji umówionych już na jedenastą, i w rezultacie oczekiwany jako historyczne wydarzenie pogrzeb zakończył się paniczną ucieczką niemal wszystkich pod naporem nawalnego deszczu. Garstka żałobników, brodząc w błocie, dotarła do rodzinnego mauzoleum osłoniętego kolonialną ceibą, której konary rozpościerały się ponad murem cmentarza. Pod tymi samymi gałęziami, ale na zewnątrz, w kwaterze przeznaczony dla samobójców, karaibscy uchodźcy pochowali poprzedniego wieczoru Jeremiasza de Saint - Amour razem z psem, zgodnie z jego ostatnią wolą.

Florentino Ariza jako jeden z niewielu dotrwał do końca pogrzebu. Przemókł do suchej nitki, przerażony wrócił więc do siebie, w obawie, że po tylu latach pedantycznej ostrożności i daleko idącej zapobiegliwości może nabawić się zapalenia płuc. Kazał przygotować sobie gorącą lemoniadę z odrobiną brandy, wypił ją w łóżku, zażywając tabletki fenaspiryny, i przykrywszy się wełnianym kocem oblewał się potem, póki nie poczuł, że jego ciało odzyskuje dobre samopoczucie. Kiedy wrócił na czuwanie był już w pełni sił. Fermina Daza ponownie przejęła ster rządów w wymiecionym już i gotowym na przyjęcie kolejnych gości domu, wystawiając na ołtarzu biblioteki wykonany w pastelach portret męża obramowany żałobną krepą. O ósmej zgromadzonych było tyle samo, co poprzedniej nocy, a i upał był równie wielki, ale po odmówieniu różańca ktoś zwrócił się do obecnych z prośbą o wcześniejsze opuszczenie mieszkania, żeby wdowa mogła wreszcie, po

raz pierwszy od niedzielnego popołudnia, odpocząc.

Fermina Daza większość swych gości żegnała stojąc przy ołtarzu, ostatnią jednak grupę najbliższych przyjaciół odprowadziła aż do drzwi, by osobiście je zamknąć, tak jak to zawsze robiła. Ledwie żywa, miała właśnie to uczynić, gdy ujrzała stojącego pośrodku pustego salonu Florentina Arizę w żałobnym ubraniu. Ucieszyła się, bo wiele już lat minęło od chwili, kiedy wymazała go ze swojego życia, teraz zaś po raz pierwszy patrzyła nań, ulaskawionego przez niepamięć, z pełną życzliwością. Zanim jednak zdołała wyrazić mu wdzięczność za wizytę, on, drżący i dostoyny, przyłożył kapelusz do serca i przeciął wrzód, który przez tyle długich lat podtrzymywał go przy życiu.

- Fermino - powiedział jej - od ponad pół wieku czekałem na tę sposobność, aby raz jeszcze ponowić przysięgę o mojej dozgonnej wierności i wiecznej miłości. Fermina Daza gotowa była uznać, iż ma przed sobą szaleńca, gdyby nie miała powodów sądzić, że Florentino Ariza jest w tej właśnie chwili natchniony łaską Ducha Świętego. W swym pierwszym odruchu chciała przekląć go za profanację domu w chwili, gdy zwłoki jej męża jeszcze nie ostygły w grobie. Ale przeszkodziła jej w tym wściekła powaga godności. „Wynoś się - powiedziała. - i precz z moich oczu do końca dni twoich”. Otworzyła na oścież zamknięte właśnie drzwi i dodała:

- Których, mam nadzieję, już niewiele ci pozostało. Gdy usłyszała ostatnie, milknące na całkowicie pustej ulicy kroki, zamknęła powoli drzwi, przesunęła zasuwkę, założyła sztabę i stanęła twarzą w twarz ze swym losem.

Nigdy do tej pory nie uświadamiała sobie całkowicie wagi i rozmiarów dramatu, sprowokowanego przez nią samą, kiedy miała zaledwie osiemnaście lat, a który miał ją prześladować aż do śmierci. Po raz pierwszy od katastrofального wieczoru zapłakała bez świadków, tak jak to było w jej zwyczaju. Zapłakała nad śmiercią męża, nad swoją samotnością i swą wściekłością, a kiedy weszła do pustej sypialni, zapłakała nad sobą samą, bo rzadko kiedy, od czasu gdy przestała być dziewczicą, spała sama w tym łóżu. Wszystko, co należało do męża, pobudzało ją do płaczu: pantofle z pomponami, piżama pod poduszką, lustro na toaletce, w którym już nie było odbicia jego twarzy, jego charakterystyczny zapach na jej skórze. Dreszczem przejęła ją niejasna myśl: „Ludzie, których kochamy, powinni umierać razem ze swoimi rzeczami”. Nie chciała niczyjej pomocy, aby się położyć, nie chciała niczego zjeść przed nocnym spoczynkiem. Przybita smutkiem, poprosiła Boga, by zesłał jej śmierć podczas snu, i z tą nadzieją położyła się, boso, ale w ubraniu, i natychmiast zasnęła. Spała nie wiedząc o tym, ale świadoma, że jest nadal żywa w śnie, że ma o połowę za duże łóżko i że leży na boku z lewej strony, jak

zwykle, ale brakuje jej przeciwwagi drugiego ciała po drugiej stronie. Przez sen pomyślała, że nigdy nie będzie mogła tak spać i zaczęła płakać, i spała tak, płacząc, nie zmieniając pozycji na jej połowie łóżka aż do późnych godzin, gdy już dawno przestały pisać koguty i obudziło ją niechciane słońce dnia, w którym jego już nie było. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że bardzo długo spała nie doczekawszy się śmierci, płacząc przez sen, i że płacząc podczas snu bardziej myślała o Florentinie Arizie niż o zmarłym mężu.

Florentino Ariza nie przestał za to myśleć o niej ani przez chwilę, od momentu kiedy Fermina Daza odtrąciła go bezapelacyjnie po długich i pełnych przeciwności losu zalotach miłosnych, a minęło od tej pory pięćdziesiąt jeden lat, dziewięć miesięcy i cztery dni. I nie musiał prowadzić rachunku zapomnienia poprzez odkreślanie każdego dnia na ścianie więziennego lochu, bo nie było takiego dnia, w którym nie wydarzyłoby się coś, co by mu jej nie przypominało. W chwili zerwania liczył sobie dwadzieścia dwa lata i mieszkał sam z matką, Transito Arizą, w wynajętej połowie domu na ulicy Ventanas, w którym od młodości prowadziła sklep pasmanteryjny, drąc tam zarazem koszule i stare szmaty, odprzedawane następnie jako szarpie dla rannych podczas wojny. Był jedynakiem z przelotnego związku ze znanym armatorem, don Piusem Piątym Loayza, najstarszym z trójki braci założycieli Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego, dzięki któremu żegluga parowa na rzece Magdalena zyskała na rozmachu.

Don Pius Piąty Loayza zmarł, kiedy syn miał dziesięć lat. Mimo iż zawsze, choć potajemnie, pokrywał koszty jego utrzymania, nigdy nie uznał prawnie syna i nie zapewnił mu przyszłości, w rezultacie Florentino Ariza pozostał przy jedynym nazwisku matki, aczkolwiek jego pochodzenie wiadome było wszystkim. Po śmierci ojca Florentino Ariza musiał zrezygnować ze szkoły, zatrudniając się jako praktykant w Agencji Pocztovej, gdzie do jego zadań należało rozplombowywanie worków, segregowanie listów i zawiadamianie mieszkańców o nadejściu poczty poprzez wciąganie na stojący przy wejściu do biura maszt flagi kraju nadania.

Swoim poczuciem zdrowego rozsądku zwrócił uwagę telegrafisty, niemieckiego emigranta Lotara Thuguta, grywającego poza tym na organach podczas największych ceremonii w katedrze i udzielającego prywatnych lekcji muzyki. Lotar Thugut nauczył go alfabetu Morse'a i używania systemu telegraficznego, wystarczyło również kilka lekcji gry na skrzypcach, by Florentino Ariza grał na nich ze słuchu niczym zawodowy muzyk. Kiedy poznał Ferminę Dazę, był osiemnastoletnim młodzieńcem, o którego najbardziej zabiegano w jego sferze, bo najlepiej tańczył do modnej wówczas muzyki, recytował z pamięci sentymentalne wiersze i zawsze chętnie pomagał przyjaciółom, wygrywając ich ukochanym



serenady na skrzypce solo. Już wówczas wyróżniał się swą szczupłością, indiańskimi włosami pociągniętymi pachnącą pomadą i okularami krótkowidza, jeszcze bardziej podkreślającymi jego wygląd osobnika całkowicie bezbronnego. Poza wadą wzroku, cierpiał na chroniczne zaparcia, co przez całe życie zmuszało go do ratowania się przeczyszczającymi lewatywami. Posiadał jedno jedyne odświętne ubranie, odziedziczone po zmarłym ojcu, niemniej Transito Ariza utrzymywała je w tak dobrym stanie, iż w niedzielę zawsze wyglądało jak nowe. Pomimo tego wymizerowanego wyglądu, nieśmiałości i posępnego stroju, dziewczęta z jego sfery ciągnęły w sekrecie losy, by w nagrodę mieć go dla siebie, a on podejmował grę, aby mieć je dla siebie, aż nadszedł dzień, w którym poznał Ferminę Dazę, i nastąpił kres jego niewinności.

Ujrzał ją w owo popołudnie, kiedy Lotar Thugut zlecił mu odniesienie telegramu do kogoś o nie ustalonym adresie, kto nazywał się Lorenzo Daza. Odnalazł go przy skwerze Los Evangelios, w jednym z najstarszych budynków, po części zrujnowanym, którego patio, z zachwaszczonymi trawnikami i kamienną fontanną bez wody, przypominało klasztorny dziedziniec. Do uszu Florentina Arizy nie docierał żaden odgłos ludzkiego życia, gdy prowadzony przez bosonogą służącą szedł pod arkadami korytarza, gdzie pośród resztek wapna i porozrzucanych worków cementu leżały nie rozpakowane jeszcze po przeprowadzce skrzynie i murarskie narzędzia, bo w domu robiono akurat gruntowny remont. W głębi patia, w prowizorycznie urządzonym gabinecie, siedząc przy biurku, odsypiał sjęstę otyły mężczyzna, którego kędzierzawe faworyty sięgały prawie wąsów. Rzeczywiście nazywał się Lorenzo Daza i nie należał do zbyt znanych osób w mieście, gdyż przybył tu niespełna dwa lata temu, a i grono otaczających go przyjaciół było nader skromne.

Przyjął telegram, jakby stanowił on dalszy ciąg koszmarne snu. Florentino Ariza spojrział w podkrążone oczy ze swoistym zawodowym współczuciem, popatrzył na niepewne palce usiłujące rozerwać znaczek, dostrzegł bojaźń serca, tylokrotnie obserwowaną u niemal wszystkich adresatów, którzy ciągle jeszcze nie potrafili przyjmować telegramów nie myśląc o śmierci. Przeczytawszy depeszę odzyskał panowanie nad sobą. Westchnął: „Dobre wieści”. I wręczył gońcowi pięć reali napiwku, dając mu do zrozumienia wyrażającym ulgę uśmiechem, że nie otrzymałby ich w przypadku złych wiadomości. Następnie pożegnał go uściskiem dłoni, co nie było nazbyt przyjęte wobec posłańców pocztowych, po czym służąca odprowadziła go do drzwi wejściowych, bynajmniej nie po to, by wskazać mu drogę, ale raczej żeby nie spuszczać z niego oka. Wrócili tą samą prowadzącą pod arkadami drogą, tym razem jednak Florentino Ariza już

był przekonany, że w domu przebywają jeszcze inne osoby, zalane światłem patio wypełniał bowiem kobiecy głos recytujący szkolną czytankę. Mijając pokój szwalniczy, ujrzał przez okno starszą kobietę i dziewczynkę, siedzące na krzesłach blisko siebie, obie zatopione w lekturze tej samej książki, rozłożonej na kolanach kobiety. Widok ten wydał mu się dość osobliwy: córka uczy matkę czytać. Domniemanie jego po części tylko rozmijało się z prawdą, bo kobieta była jedynie ciotką dziewczynki, aczkolwiek opiekowała się nią tak, jakby była jej rodzoną matką. Nie przerwały lekcji, choć dziewczynka podniosła wzrok, by zobaczyć przez okno, kto zacz przechodzi, i owo przypadkowe spojrzenie dało początek miłosnemu i wciąż, mimo upływu półwiecza, trwającemu kataklizmowi.

Jedynym ustalonym przez Florentina Arizę faktem dotyczącym Lorenza Dazy była informacja, że przybył on z San Juan de la Cienaga z jedynaczką i niezamężną siostrą, tuż po epidemii cholery, a ci, co widzieli, jak schodził po trapie na ląd, nie mieli najmniejszej wątpliwości, że przybywa tutaj na dobre, bo na jego bagaż składało się wszystko, co stanowiło niezbędne wyposażenie dla szanującego się domu. Żona zmarła, gdy dziewczynka była jeszcze małym dzieckiem. Siostra miała na imię Scholastyka, liczyła sobie czterdzieści lat i najwidoczniej odbywała jakąś pokutę, bo poza domem chodziła we franciszkańskim habicie, w domu zaś przewiązywała się w pasie sznurem. Dziewczynka miała trzynaście lat i nosiła to samo imię co nieboszczka matka: Fermina.

Sądzone, że Lorenzo Daza należy do ludzi majątnych, bo choć nie znany był jego zawód, żył dostatnio i, nie targując się zanadto, zapłacił za dom przy skwerze Los Evangelios dwieście pesos w złocie, przy czym remont kosztował go niewątpliwie dwukrotnie więcej. Córka uczyła się w szkole Ofiarowania Najświętszej Marii Panny, gdzie panny z towarzystwa od dwóch już stuleci uczyły się sztuki i fachu gorliwych i pokornych żon. W czasach Kolonii i w pierwszym okresie Republiki przyjmowano tam jedynie dziewczynki wielkich nazwisk.

Stare, zubożałe wskutek niepodległości rody musiały jednak ulec realiom nowych czasów i szkoła otworzyła swe podwoje przed chętnymi, które stać było na opłacenie nauki, nie zwracając już uwagi na ich udokumentowane rodowody, niemniej wymagając spełnienia podstawowego warunku, aby uczennice były prawowitymi córkami katolickich małżeństw. W każdym razie była to szkoła droga i sam fakt, że Fermina Daza do niej uczęszczała, siłą rzeczy określał sytuację ekonomiczną rodziny, aczkolwiek nie stanowił o jej społecznym statusie. Informacje te dodały otuchy Florentinowi Arizie, bo oznaczały, że piękna dziewczyna o migdałowych oczach jest w zasięgu jego marzeń. Rygorystyczne zakazy i nakazy jej ojca nader szybko okazały się jednak trudnymi do pokonania

przeszkodami. W odróżnieniu od pozostałych uczennic, udających się do szkoły w grupach lub odprowadzanych przez wiekowe służące, Fermina Daza chodziła zawsze w towarzystwie swej niezamężnej ciotki, jej zachowanie zaś wskazywało, że wzbroniona jej jest jakakolwiek rozrywka.

W ten oto niewinny sposób Florentino Ariza rozpoczął swe skryte życie samotnego łowcy. Od siódmej rano siadywał w najmniej widocznym kącie niewielkiego parku, udając, że czyta tom wierszy w cieniu migdałowców, póki nie dostrzegł nieosiągalnej panny w mundurku w błękitne paski, w podkolanówkach na podwiązkach, w męskich półbutach ze sznurowadłami wiązаныmi na krzyż i z grubym warkoczem z kokardą na końcu, opadającym jej na plecach aż do pasa. Z wrodzoną dumą, z uniesioną głową, lekko spiczastym nosem i nieruchomym wzrokiem, przyciskając do piersi teczkę skrzyżowanymi rękami, szła szybko, krokiem łani, który zdawał się czynić ją całkowicie odporną na ziemskie przyciąganie. Obok, ledwie dotrzymując jej kroku, dreptała ciotka, w brązowym habicie świętego Franciszka, przepasana sznurem, nie dając najmniejszej nawet szansy na zbliżenie się. Florentino Ariza widział je w drodze do szkoły i z powrotem, cztery razy dziennie i raz w niedzielę, gdy wychodziły z kościoła po sumie, i możliwość ujrzenia dziewczynki całkowicie mu wystarczała. Stopniowo zaczął ją idealizować, przypisując jej nieprawdopodobne cnoty i urojone uczucia, by koniec końców po dwóch tygodniach myśleć już tylko o niej.

Postanowił więc wysłać jej zwykłą kartkę, zapisaną po obu stronach swym pięknym pismem kancelisty. Przez wiele dni nosił jednak kartkę w kieszeni głowiąc się nad sposobem jej doręczenia i im bardziej się zastanawiał przed zaśnięciem, tym więcej kartek dopisywał, w rezultacie przekształcając pierwotny list w słownik czułości, zainspirowanych tylokrotnie już przeczytanymi podczas oczekiwania w parku książkami, iż znał je wszystkie na pamięć.

Szukając sposobu przekazania listu usiłował zapoznać się z niektórymi uczennicami szkoły Ofiarowania, ale były one zbyt odległe od jego świata. Poza tym, po wielu przemyśleniach, doszedł do wniosku, że ujawnienie komuś swych zamiarów byłoby zbyt dużą nieostrożnością. Mimo to zdołał się dowiedzieć, że Fermina Daza w parę dni po swoim przyjeździe została zaproszona na sobotnie przyjęcie z tańcami, ojciec zaś nie dał jej zezwolenia stwierdzając kategorycznie: „Na wszystko przyjdzie czas”. List miał już ponad sześćdziesiąt obustronnie zapisanych kartek, kiedy Florentino Ariza poczuł, że nie jest w stanie dłużej wytrzymać ciśnienia swej tajemnicy, i bez żadnych zahamowań otworzył serce przed matką, jedyną osobą, wobec której pozwalał sobie na chwile szczerości. Transito

Ariza wzruszyła się do łez synowską naiwnością w miłosnych sprawach i spróbowała oświecić go swą wiedzą. Zaczęła od przekonania go, by nie doręczał lirycznego pakunku, bo to przstraszyłoby tylko dziewczynę jego marzeń, która, jak sądziła, była równie zielona jak on w kwestiach sercowych. Po pierwsze, powiedziała, musi w jakiś sposób dać jej do zrozumienia, że się nią interesuje, aby jego wyznanie nie było dla niej zaskoczeniem, dając jej zarazem czas na zastanowienie się. - Ale przede wszystkim - wyjaśniła mu - to nie ją musisz zdobyć, tylko jej ciotkę.

Obie rady były mądre, ale udzielone poniewczasie.

Rzeczy miały się bowiem tak, iż kiedy Fermina Daza przerwała na chwilę lekcję czytania z ciotką, podnosząc wzrok, by spojrzeć, kto zacz idzie przez krużganek, ujrzała Florentina Arizę, który wywarł na niej ogromne wrażenie swą aurą bezradności. Wieczorem, przy kolacji, ojciec opowiedział o telegramie i w ten sposób dowiedziała się, co porabiał Florentino Ariza w jej domu i jaki jest jego zawód. Informacje te jeszcze bardziej pobudziły jej ciekawość, bo w tych czasach, tak dla niej, jak i dla wielu ludzi, wynalazek telegrafu kojarzył się jeszcze z czarną magią. Ujrzawszy więc Florentina Arizę zatopionego w lekturze pod drzewami w parku, natychmiast go rozpoznała i nie wzbudziło to w niej żadnego niepokoju, dopóki ciotka nie uświadomiła jej, że ów młodzieniec przesiaduje tam już od wielu tygodni. Później, gdy zaczęły widywać go również w każdą niedzielę po mszy, ciotka nabrała całkowitej pewności, że tyle przypadkowych spotkań to wcale nie jest przypadek. Powiedziała: „To nie dla mnie, zaiste, tak się umartwia”. Pomimo oschłości i pokutniczego habitu, ciotka Scholastyka Daza obdarzona była bowiem swoistym instynktem życiowym, jak również darem do spiskowania, obie zaś cechy stanowiły zarazem jej największe zalety, na samą więc myśl, że jakiś mężczyzna interesuje się bratanicą, ogarnęło ją niepohamowane podniecenie. Ale Ferminy Dazy jeszcze nie dręczyło najzwyczajniejsze bodaj zaciekawienie miłością i jedynym uczuciem, jakiego doznawała na widok Florentina Arizy, była odrobina litości, bo wydawało jej się, że cierpi on na jakąś chorobę. Ciotka wytłumaczyła jej jednak, iż trzeba dużo przeżyć, aby poznać prawdziwą naturę mężczyzny, całkowicie przekonana, że akurat ten, przesiadujący w parku wyłącznie po to, żeby zobaczyć, jak przechodzą, może być chory, ale jedynie z miłości.

Ciotka Scholastyka była swoistym azylem zrozumienia i uczuć dla jedynej córki małżeństwa bez miłości.

Zajmowała się nią od śmierci jej matki i wobec Lorenza Dazy zachowywała się bardziej jak spiskowiec niż jak ciotka. Pojawienie się Florentina Arizy stało się więc dla obu okazją do kolejnej zabawy, wśród tajemnych rozrywek wymyślanych przez nie dla zabicia

czasu. Przechodząc cztery razy dziennie skwerem Los Evangelios, szukały na wypródkę, szybkim spojrzeniem, chudego wstydliwego wartownika, mizeraka, niemal zawsze, mimo upałów, ubranego na czarno i udającego, pod osłoną drzew, całkowite zatopienie w lekturze. „Jest tam”, mówiła, powstrzymując śmiech, pierwsza, która go dostrzegła, zanim zdążył podnieść wzrok znad książki, by popatrzeć na i tak odległe od jego życia kobiety, przechodzące obojętnie, bez jednego choćby spojrzenia w jego stronę.

- Biedaczek - rzekła kiedyś ciotka. - Nie ma odwagi podejść do ciebie, bo jestem z tobą, ale któregoś dnia, jeśli jego zamiary są poważne, spróbuje i wtedy wręczy ci list.

Przewidując pojawienie się wszelkiego rodzaju przeszkód, nauczyła Ferminę porozumiewania się za pomocą znaków przesyłanych dłońmi, co było nieodzownym środkiem w przypadku zakazanej miłości. Owe zaskakujące, dziecięce niemal fortele budziły w Ferminie nie znaną przedtem ciekawość, choć przez wiele miesięcy nie przyszło jej nawet na myśl, że kiedykolwiek przekroczy granice tej ciekawości. W ogóle nie dostrzegła, kiedy zabawa przerażać zaczęła się w niepokój, kiedy z chęci ujrzenia go jak najszybciej krew zaczynała się w niej burzyć, pewnej zaś nocy obudziła się przerażona, bo ujrzała go, jak stojąc w nogach łóżka wpatruje się w nią w ciemnościach. Zapragnęła wówczas z całej duszy, by sprawdziły się przepowiednie ciotki, i w swych modlitwach zaczęła błagać Boga, żeby natchnął go odwagą do wręczenia jej listu. Chciała tego tylko po to, żeby zobaczyć, co tam będzie napisane.

Jej modlitwy nie zostały jednak wysłuchane. Wręcz przeciwnie. W tym właśnie czasie Florentino Ariza wyznał wszystko matce, ta zaś wyperswadowała mu wręczenie siedemdziesięciu stron komplementów, w rezultacie Fermina Daza przez resztę roku czekała nadaremnie. Jej niepokój, w miarę zbliżania się grudniowych wakacji, przerażał się coraz bardziej w rozpacz, nieustannie zadawała sobie bowiem pytanie, co będzie musiała wymyślić, żeby móc go widywać i żeby on mógł ją widywać przez trzy wolne od zajęć szkolnych miesiące. Wątpliwości te, mimo nadejścia Wigilii, nadal pozostawały bez odpowiedzi, gdy nagle, w tłumie przybyłych na pasterkę wiernych, wstrząsnęło ją przecucie, że on w tej właśnie chwili wpatruje się w nią i niepokój przepełnił jej serce. Siedząc między ojcem a ciotką nie śmiała odwrócić głowy, poza tym musiała natychmiast się opanować, aby nie dostrzegli jej zakłopotania. Ale w tłumie przy wyjściu poczuła jego spojrzenie tak nieuchronnie bliskie i aż tak oczywiste w tym tłumie, że kiedy opuszczała główną nawę, jakaś niepohamowana siła zmusiła ją do obejrzenia się za siebie i wtedy, w odległości dwóch piędzi od swoich oczu, zobaczyła tamte, złodowaciałe oczy, siną twarz i usta oniemiałe z miłosnego przerażenia. Oszolomiona własną śmiałością, chwyciła się

ramienia ciotki Scholastyki, żeby nie upaść, ta zaś, czując poprzez koronkę rękawiczki lodowaty pot jej dłoni, niedostrzegalnym znakiem bezwarunkowego współnictwa dodała bratanicy otuchy.

Pośród huku petard, bicia w bębny, kolorowych lampionów nad drzwiami i wrzasku żądnych pokoju tłumów, Florentino Ariza błędził jak lunatyk aż do świtu, przypatrując się zabawie przez łyzy, odurzony halucynacją, iż to nie Bóg, ale właśnie on narodził się tej nocy.

Obłąd pogłębił się w następnym tygodniu, w godzinę sjeisty, gdy nie żywiąc jakichkolwiek nadziei udał się pod dom Ferminy Dazy i zobaczył ją i ciotkę siedzące u drzwi wejściowych w cieniu migdałowców. Była to plenerowa powtórka tego samego obrazu, który ujrzał podczas pierwszego popołudnia w pokoju szwalniczym: dziewczynka udzielająca ciotce lekcji czytania. Ale tym razem Fermina Daza, już nie w szkolnym mundurku, wyglądała zupełnie inaczej, ubrana była bowiem w lnianą, opadającą jej z ramion niczym peplum, plisowaną suknię, głowę zaś przystrojoną miała wiankiem ze świeżych gardenii, co nadawało jej wygląd bogini w koronie. Florentino Ariza wybrał w parku takie miejsce, aby z całą pewnością go zauważono, usiadł na ławce i już nawet nie udając, że czyta, siedział z otwartą książką i utkwiał oczy w zwodniczej pannie, która nie odwzajemniła mu się nawet litościwym spojrzeniem.

Początkowo sądził, że nauka pod migdałowcami jest tymczasową odmianą spowodowaną być może przeciągającym się remontem, ale w ciągu następnych dni zrozumiał, że Fermina Daza będzie tam, w zasięgu jego wzroku, przez wszystkie popołudnia, o tej samej porze przez trzy miesiące wakacji i przekonanie to dodało mu otuchy. Nie miał wrażenia, aby został dostrzeżony, nie zauważył żadnej oznaki zainteresowania czy niechęci, ale jej obojętność opromieniona była tak odmiennym blaskiem, iż zagrzewało go to do wytrwałości. Nieoczekiwanie pewnego popołudnia pod koniec stycznia ciotka odłożyła na krzesło robótkę i zostawiła bratanicę samą w strumieniu żółtych liści opadających z migdałowców. Ożywiony niejasnym domysłem, że jest to ukartowana okazja, Florentino Ariza przeszedł przez ulicę i stanął przed Ferminą Dazą, tak blisko niej, iż poczuł mgiełkę jej oddechu i kwietny powiew, z którym miał ją utożsamiać już do końca życia. Przemówił do niej ze sztywno podniesioną głową i z taką stanowczością, na jaką zdobył się ponownie i z tych samych przyczyn dopiero pół wieku później.

- Mam tylko jedną prośbę. Proszę przyjąć ode mnie list - powiedział jej.

Nie był to głos, którego się po nim spodziewała: brzmiał dźwięcznie i zdecydowanie i nie miał nic wspólnego z jego kruchą posturą. Nie odrywając wzroku od robótki odpowiedziała: „Nie mogę przyjąć listu bez uprzedniego zezwolenia mego ojca”. Ciepło jej

głosu, którego przygaszoną barwę miał zapamiętać na resztę życia, przejęło Florentina Arizę dreszczem. Nie ustąpił jednak i natychmiast odparł: „Proszę je więc uzyskać”. Po czym, chcąc złagodzić ostrość tego rozkazu, dodał błagalnie: „To sprawa życia i śmierci”. Fermina Daza nie spojrzała na niego, nie przerwała haftowania, ale jej decyzja uchyliła drzwi, wpuszczając przez nie cały świat.

- Proszę przychodzić co wieczór - odrzekła - i czekać, aż zmienię krzesło.

Florentino Ariza nie rozumiał, co chciała przez to powiedzieć, dopóki w następny poniedziałek nie spostrzegł ze swej ławki tej samej co zawsze sceny, z pewną jednak odmianą: gdy ciotka Scholastyka weszła do mieszkania, Fermina Daza wstała i przesiadła się na stojące obok krzesło. Florentino Ariza, z białą kamelią w butonierce surduta, przeszedł wówczas przez ulicę i stanął przed nią. Powiedział: „Jest to największa szansa mojego życia”. Fermina Daza nie unosząc głowy rozejrzała się wokół, zobaczyła puste ulice w senności duszy i wirujące martwe liście, które unosił wiatr.

- Proszę mi go dać - powiedziała.

Florentino Ariza miał zamiar wręczyć jej siedemdziesiąt stron, które wskutek wielokrotnego czytania był już w stanie wyrecytować z pamięci, w końcu jednak zdecydował się na półstronicowy, zwięzły i jasny liścik, przyrzekający jedynie to, co najistotniejsze: dochowanie dożgonnej wierności i wieczną miłość. Wyjął list z wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął go przed oczy zdenerwowanej hafciarki, która wciąż nie miała odwagi spojrzeć na niego. Ujrzała niebieską kopertę drżącą w zeszywniałej ze strachu dłoni i uniosła tamborek, by położyć na nim list, nie mogła bowiem dopuścić, aby spostrzegł, że i jej drżą palce. I stało się: w liściach migdałowca furknęło i zatrzepotało i ptasie gówienko plasnęło prosto na haftowany wzór. Fermina Daza cofnęła szybko tamborek, ukryła go za oparciem krzesła, żeby Florentino nie zauważył, co się stało i po raz pierwszy spojrzała na niego z twarzą całą w pąsach. On zaś nieporuszony, trzymając wciąż w dłoni list, powiedział: „To na szczęście”. Podziękowała mu swym pierwszym uśmiechem, niemal wyrwała mu list, złożyła i ukryła w staniku. Wówczas ofiarował jej kamelię z butonierki. Odmówiła: „Ten kwiat zobowiązuje”. Nagle, uświadomiwszy sobie, że już ma mało czasu, schroniła się w swe stateczne opanowanie.

- Teraz proszę odejść - powiedziała - i proszę nie wracać, dopóki pana nie powiadomię.

Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, matka już dawno o tym wiedziała, bo Florentino Ariza stracił mowę, apetyt i nie mogąc zasnąć przewracał się całymi nocami w łóżku z boku na bok. Ale od momentu, kiedy zaczął oczekiwać odpowiedzi na swój pierwszy list, zaczęło

go ponadto dręczyć rozwolnienie, miał zielone wymioty, tracił zmysł orientacji ulegając nagłym omdleniom, co przeraziło Transito Arizę, jego stan nie przypominał bowiem miłosnej udręki, lecz spustoszenia, jakich dokonuje cholera. Ojciec chrzestny Florentina Arizy, homeopata i stary powiernik Transito Arizy jeszcze z czasów jej tajemnego miłosnego związku też z początku był zaniepokojony stanem chorego, jego ledwie wyczuwalnym tętnem, świszczącym oddechem i bijącymi na niego bladymi potami, typowymi dla agonii. Badanie wykazało jednak, że nie ma gorączki, nie cierpi na żadne bóle i jedyną jego dolegliwością jest pragnienie natychmiastowej śmierci. Wystarczyło jednak staremu homeopacie, iż zadał parę podstępnych pytań, wpiersw Florentinowi Arizie, następnie jego matce, by po raz kolejny dojść do wniosku, że symptomy miłości są identyczne z objawami cholery. Przepisał napar z kwiatu lipowego na uspokojenie i zasugerował zmianę klimatu celem znalezienia pociechy poprzez oddalenie, ale Florentino Ariza chciał czegoś wręcz przeciwnego: pragnął napawać się swym męczeństwem.

Transito Ariza była wolną Metyską, obdarzona instynktem szczęścia obróconym wniwecz przez ubóstwo, przeżywała więc cierpienia syna jak swoje własne. Zmuszała go do picia ziół, kiedy tylko zaczynał majaczyć, i okrywała wełnianymi kocami, aby oszukać chorobę, ale zarazem dodawała otuchy, by ulżyć mu w udręce. - Korzystaj teraz, póki jesteś młody, aby przecierpieć, ile się da - mawiała mu - bo te rzeczy nie trwają całe życie.

W Agencji Pocztovej nie podzielali oczywiście tej opinii. Florentino Ariza popadł w nieróbstwo i w takie roztargnienie, że mylił flagi informujące o przybyciu poczty i w środe wciągał na maszt flagę niemiecką, mimo że do portu wpływał statek Towarzystwa Leyland z pocztą z Liverpoolu, a jakiegoś innego dnia wciągał flagę Stanów Zjednoczonych, choć przybijający statek należał do Compagnie Generale Transatlantique z pocztą z Saint - Nazaire. Te miłosne pomyłki, powodując ogromny chaos w sortowaniu listów, wywoływały jednocześnie protesty adresatów, i tylko dzięki wstawiennictwu i opiece Lotara Thuguta, który przygarnął go do pracy przy telegrafii i zaczął zabierać ze sobą do katedry, by tam grał na skrzypcach, Florentino Ariza nie został zwolniony z pracy. Trudno było zrozumieć łączące ich więzy, szczególnie zważywszy różnicę wieku, gdyż równie dobrze uchodzić mogli za dziadka i wnuka, niemniej było im ze sobą wspaniale, zarówno w pracy, jak i portowych tawernach, gdzie wpadali wszyscy, nie bacząc na pochodzenie społeczne, nocni markowie, od pijaczków z bożej łaski po wyfrakowanych paniczów wymykających się z galowych przyjęć Klubu Towarzyskiego na smażonego królika z ryżem w sosie kokosowym. Lotar Thugut zwykł pojawiać się tam po ostatniej zmianie w telegrafii i nierzadko świt zastawał go pijącego jamajski poncz i grającego na akordeonie w towarzystwie szaleńców z



załóg antylskich golet. Był to korpulentny, czerstwy mężczyzna, noszący złotawą brodę i czapkę frygijską, którą zakładał, gdy wychodził w nocy i brakowało mu jedynie pęku dzwoneczków, aby całkowicie upodobnić się do świętego Mikołaja. Przynajmniej raz w tygodniu spędzał wieczór z jedną z wielu ptaszyn nocnych, jak je nazywał, oferujących swą miłość w nagłej potrzebie w hotelikach dla marynarzy. Kiedy poznał Florentina Arizę, udostępnił mu przede wszystkim, nie bez swoistej pedagogicznej satysfakcji, sekrety swego raj. Wybierał dla niego najlepsze, jak sądził, ptaszyny, ustalał cenę i zakres usługi i proponował, że zafunduje mu ją płacąc z góry. Ale Florentino Ariza nie zgadzał się: był prawiczkim i postanowił, że cnotę straci jedynie z miłości. Hotel mieścił się w kolonialnym niegdyś, z czasem podupadłym, pałacu, którego salony i marmurowe pomieszczenia podzielono na małe pokoiki, z wywierconymi w kartonowych ścianach dziurkami, wynajmowane zarówno po to, żeby samemu robić to, co się robi w takich miejscach, jak i podpatrywać innych. Często opowiadano o ciekawskich, którym wykłuto oko szydełkiem, o kliencie, który w podglądanej kobiecie rozpoznał własną żonę i o niejednym arystokracie wślizgującym się do hotelu w przebraniu straganiarki, by dać upust swoim chuciom z nocującymi tu przejazdem bosmanami i o tylu innych wstydlivych przygodach tych podglądających i tych podglądanych, że na samą myśl o przekroczeniu progu jednego z pokojów Florentina Arizę ogarniało przerażenie. Tak więc Lotar Thugut nie zdołał go przekonać, iż widzieć i być widzianym to nader wyrafinowane rozkosze europejskich książąt.

W przeciwieństwie do tego, co sugerować mogło jego korpulentne ciało, Lotar Thugut obdarzony był cherubinowym, niby pączek róży, trybuszonkiem, niemniej musiała to być całkiem korzystna przywara, bo najwytrawniejsze ptaszyny ciągnęły między sobą losy o przespanie się z nim, a ich wrzaski, jakby je zarzynano, wstrząsały posadami budynku i doprowadzały do panicznego dygotu pałacowe widma. Powiadano, że używa jakiejś maści z jadu żmii, doprowadzającej kobiety do szału, on jednak zarzekał się, że nie stosuje żadnych dodatkowych środków poza tymi, którymi obdarzył go Bóg. Zaśmiewając się mawiał: „To tylko miłość”. Musiało upłynąć wiele lat, aby Florentino Ariza zrozumiał, iż pewnie miał rację. Ostatecznie przekonał się o tym w czasach, gdy był dość już zaawansowany w szkole uczuć, bowiem poznał alfonsa żyjącego jak basza dzięki eksploataowaniu aż trzech kobiet. Wszystkie rozliczały się z nim o świcie, ponizając się u jego stóp, by uzyskać przebaczenie za zbyt małe zyski, a jedyną upragnioną i oczekiwaną przez nie zapłatą było przespanie się z nim tej, która przyniosła najwięcej pieniędzy. Florentino Ariza sądził, że jedynie terrorem można doprowadzić do podobnej

niegodziwości. Ale jedna z dziewczyn zaskoczyła go prawdą wręcz odwrotną. - Takie rzeczy - wyznała - można robić tylko z miłości.

Nie tyle zaletom jebaki, ile osobistemu urowi Lotar Thugut zawdzięczał swą pozycję jednego z najbardziej cenionych gości hotelu. Małomówny i skryty Florentino Ariza również zyskał sobie przychylność właściciela, toteż w najgorszych momentach swych utrapień zwykł zamykać się w dusznych pokojach, by czytać wiersze i łzawe romanse, podczas gdy jego marzenia jaskółczkom ciemnym wiły gniazda na balkonach, wydawały szmery pocałunków i skrzydłami motylimi trzepotały w martwocie sjesty. O zmierzchu, gdy upał stawał się nieco lżejszy, z konieczności słuchało się rozmów mężczyzn schodzących się tu po to, by w szybkiej miłości znaleźć wytchnienie po dniu pracy. W ten sposób Florentino Ariza dowiadywał się o wielu sprzeniewierzeniach, a nawet tajemnicach państwowych, jakie pewne ważne osobistości, nie wyłączając przedstawicieli władz lokalnych wyjawiały swym przelotnym kochankom, nie przejmując się tym, że w sąsiednim pokoju może ktoś podsłuchiwać. I tak właśnie dowiedział się, że w odległości czterech mil morskich, na północ od Sotavento, spoczywa na dnie od XVII wieku hiszpański galeon z ładunkiem wartości ponad pięciuset miliardów pesos w czystym złocie i kamieniach szlachetnych. Opowieść zadziwiła go, ale przypomniał sobie o niej dopiero po upływie paru miesięcy, kiedy miłosne szaleństwo obudziło w nim pragnienie odzyskania zatopionego skarbu, żeby Fermina Daza mogła się kąpać w złotych basenach. Wiele lat później, gdy usiłował przypomnieć sobie, jak naprawdę wyglądała jego dziewczyna wyidealizowana alchemią poezji, nie był w stanie oddzielić jej od tamtych rozwiązłych wieczorów. Nawet podczas tych pełnych trwogi dni, gdy oczekując odpowiedzi na swój pierwszy list śledził ją z ukrycia, dostrzegał ją zawsze przeistoczoną blaskiem drugiej po południu, w mżawce białych kwiatów pod migdałowcami, gdzie o każdej porze roku zawsze był kwiecień. Jedynym powodem, dla którego interesowało go wówczas akompaniowanie Lotarowi Thugutowi na skrzypcach w dogodnym punkcie obserwacyjnym katedralnego chóru, była możliwość przyglądania się jej falującej od powiewu hymnów sukni. Własnym szaleństwem doprowadził jednak do zniweczenia tego szczęścia, żywiąc bowiem przekonanie, że nabożna muzyka nie wyraża w pełni stanu jego duszy, próbował dodać jej żarliwości miłosnymi walcami, co zmusiło Lotara Thuguta do wyrzucenia go z chóru.

Zdarzyło się to w tym samym okresie, gdy nie mogąc już dłużej oprzeć się pokusie zjadł gardenie hodowane przez Transito Arizę w patio, poznając w ten oto sposób smak Ferminy Dazy. W tymże czasie, znalazłszy przypadkowo w kufrze matki litrową butlę przemycanej i sprzedawanej przez marynarzy z Hamburg American Linę wody kolońskiej,

nie był w stanie powstrzymać się i wypił ją, pragnąc odnaleźć inne smaki ukochanej kobiety. Pił prosto z butelki, do świtu, upijając się Ferminą Dazą palącymi łykami, w pierw w portowych tawernach, a później na falochronach, gdzie bezdomni kochankowie oddawali się miłości na osłodę; zapatrzony w morze pił, dopóki nie stracił przytomności. Transito Ariza czekała na niego do szóstej rano z duszą na ramieniu, wreszcie zaczęła szukać go w najbardziej nieoczekiwanych zakamarkach, by tuż po dwunastej odnaleźć go tarzającego się w kałuży wonnych rzygowin nad zatoką, w tym zakolu, gdzie morze wyrzuca topielców.

Wykorzystała czas rekonwalescencji, aby wypomnieć mu bierność, z jaką oczekuje odpowiedzi na list. Przypomniała mu, że słabeusze nigdy nie wejdą do królestwa miłości, bo jest to królestwo bezlitosne i okrutne, i że kobiety oddają się wyłącznie mężczyznom o zdecydowanym charakterze, bo tylko tacy dają im poczucie bezpieczeństwa, tak im potrzebne do stawiania czoła przeciwnościom życia. Florentino Ariza wziął sobie do serca owe nauki, być może nawet nazbyt serio. Transito Ariza nie kryła swej nie tyle matczynej, co kobieco zaborczej dumy, gdy ujrzała go wychodzącego z jej sklepiku w płóciennym czarnym garniturze, w sztywnym kapeluszu, z przewiazaną wokół celuloidowego kołnierzyka liryczną kokardą i żartem zapytała, czy idzie na pogrzeb. Zaczerwieniony po uszy, odpowiedział: „To prawie to samo”. Pojęła, że choć syn ledwie dyszy z przerażenia, jego determinacja jest niezłomna. Przekazała mu ostatnie uwagi, pobłogosławiła i śmiejąc się serdecznie przyrzekła mu następną butelkę wody kolońskiej, żeby razem uczcili zwycięski podbój.

Od momentu, gdy przed miesiącem wręczył list, wielokrotnie zdążył już złamać obietnicę, że nie będzie chodził do parku, ale zawsze zachowywał wszelkie środki ostrożności, żeby nie zostać zauważonym. Nic się nie zmieniło. Nauka czytania pod drzewami kończyła się koło drugiej, kiedy miasto budziło się po sjeście i Fermina Daza przystępowała z ciotką do haftowania, póki upał nie zelżał. Florentino Ariza, nie czekając aż ciotka skryje się w mieszkaniu, przeszedł przez ulicę wojskowym krokiem, opanowując w ten sposób bojaźliwe drżenie kolan. Zwrócił się jednak nie do Ferminy Dazy, lecz do ciotki.

- Proszę wyświadczyć mi tę grzeczność i zostawić mnie z panienką samego - odezwał się. - Mam jej coś ważnego do powiedzenia.

- Zuchwały młodzieńcze! - odrzekła ciotka. - Nie ma takich spraw dotyczących mojej bratanicy, których nie mogłabym wysłuchać.

- Wobec tego nic nie powiem - odparł - ale ostrzegam, że za to, co się stanie, pani

ponosi całą odpowiedzialność. Nie takich manier oczekiwała Scholastyka Daza od idealnego pretendenta, niemniej wstała przerażona, po raz pierwszy doznała bowiem przejmującego wrażenia, że Florentino Ariza przemawia z natchnienia Ducha Świętego. Poszła więc do domu po nowe igły, zostawiając oboje młodych sam na sam pod migdałowcami.

Fermina Daza, prawdę powiedziawszy, niewiele wiedziała o tym mrukliwym pretencie, który pojawił się w jej życiu niczym zimowa jaskółka i o którym pewnie nadal nie wiedziałyby nic, nie znałyby nawet jego imienia, gdyby nie podpis w liście. Od tamtej pory zdołała ustalić, że nie ma ojca, że jest synem niezamężnej, pracowitej i statecznej kobiety, nieodwracalnie naznaczonej ognistym piętnem jedyne grzechu młodości. Dowiedziała się, że wbrew jej dotychczasowemu wyobrażeniu nie jest gońcem urzędu telegraficznego, ale wykwalifikowanym asystentem z obiecującą przyszłością i pomyślała, iż przyszedł z telegramem do jej ojca tylko po to, żeby ją zobaczyć. Przypuszczenie to wzruszyło ją. Wiedziała również, że jest jednym z muzyków w chórze i choć nigdy nie odważyła się dla ostatecznego potwierdzenia unieść wzroku w czasie mszy, pewnej niedzieli odkryła w chwili olśnienia, że o ile inne instrumenty grają dla wszystkich, o tyle skrzypce grają wyłącznie dla niej. Nie był tym typem mężczyzny, który mógłby jej się ewentualnie podobać. Jego sieroce okulary, parafialny strój, tajemnicze zabiegi wzbudziły w niej nieodpartą ciekawość, choć nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, że ciekawość jest jedną z wielu pułapek miłości.

Sama nie była w stanie pojąć, dlaczego zgodziła się przyjąć list. Nie miała mu tego za złe, ale zobowiązujący termin udzielenia odpowiedzi zbliżał się nieubłaganie, stając się coraz dokuczliwszą zmorą. W każdym słowie ojca, w każdym przypadkowym spojrzeniu, w najzwyklejszym geście przeczuwała pułapkę zastawioną po to, żeby odkryć jej sekret. Do tego stopnia stała się podejrzliwa, że zaczęła unikać rozmów przy stole z obawy, że chwila nieuwagi może ją zdradzić i stroniła nawet od ciotki Scholastyki, mimo iż ta dzieliła z nią skrywaną trwogę, przeżywając niepokoje bratanicy jak swoje własne. Bez względu na porę dnia zamykała się w łazience, by ponownie przeczytać list usiłując wykryć jakiś tajemny szyfr, magiczną formułę ukrytą w trzystu czternastu literach pięćdziesięciu ośmiu słów, w nadziei, iż powiedzą jej coś więcej niż rzeczywiście mówiły. Nie znalazła jednak nic ponad to, co zrozumiała już po pierwszym czytaniu, kiedy z oszalałym sercem pobiegła do łazienki, by rozerwać kopertę łudząc się, że list będzie długi i żarliwy, a znajdując jedynie pachnący bilecik, którego determinacja ją przerażała.

Z początku nie sądziła, by podjęte przez nią zobowiązanie do udzielenia odpowiedzi

należało traktować z całą powagą, ale list brzmiał tak jednoznacznie, iż nie pozostawiał żadnej innej możliwości. Tymczasem, targana wątpliwościami, z zaskoczeniem stwierdziła, że myśli o Florentinie Arizie coraz częściej i z zainteresowaniem znacznie przekraczającym jej własne przyzwalające oczekiwania do tego stopnia, iż przygnębiona, zastanawiała się, dlaczego nie zjawia się w parku o zwykłej dla siebie porze, nie pamiętając już, że sama zażądała, by do czasu przemyślenia odpowiedzi nie pojawiał się tutaj. W rezultacie zaczęła myśleć o nim tak często i tak intensywnie, jak nigdy przedtem ani później nie była w stanie sobie nawet wyobrazić, że można o kimś aż tyle myśleć, bo przeczuwała go tam, gdzie go nie było, pragnęła go tam, gdzie w żaden sposób być nie mógł, budziła się gwałtownie pod wpływem namacalnego wrażenia, że podczas gdy ona śpi, on właśnie patrzy na nią, i to do tego stopnia, że usłyszawszy na jawie jego mocne kroki stawiane w strumieniu żółtych parkowych liści tylko z wielkim trudem mogła uwierzyć, że nie jest to kolejny omam wyobraźni. Ale gdy zażądał od niej odpowiedzi ze stanowczością nie przystającą żadną miarą do jego wątego ciała, zdołała opanować strach i spróbowała wykręcić się prawdą: nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć. Ale Florentino Ariza nie po to pokonywał przepaść, żeby dać się teraz zwieść podobnymi wymówkami.

- Jeśli przyjęła pani list - odrzekł jej - nieudzielenie odpowiedzi nie należy do dobrego tonu.

To był kres labiryntu. Fermina Daza, całkowicie już opanowana, przeprosiła za zwłokę i dała mu słowo, że otrzyma odpowiedź przed upływem wakacji. I słowa dotrzymała. W ostatni wtorek lutego, na trzy dni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego, ciotka Scholastyka udała się do urzędu pocztowego, by zapytać, ile kosztuje telegram do nie figurującego nawet w spisie pocztowym miasteczka Piedras de Moler i została obsłużona przez Florentina Arizę, tak jakby w ogóle się nie znali, ale wychodząc zostawiła na kontuarze, niby przez nieuwagę, oprawiony w jaszczurczą skórę modlitewnik z wsuniętą weń kopertą z welinowego papieru ze złożonym znakiem. Odurzony szczęściem, Florentino Ariza resztę popołudnia spędził na objadaniu się różami i czytaniu listu raz za razem i jeszcze raz od nowa, litera po literze, a im bardziej się zaczytywał, tym więcej róż zjadał, tak że o północy już tyle razy przeczytał list i zjadł tyle róż, że matka chwyciwszy go jak cielaka za szyję musiała ratować syna wlewając mu w gardło olej rycynowy.

Był to rok żarliwego rozmiłowania. Zarówno jej, jak i jemu życie zaczęło schodzić na wyłącznym myśleniu sobie nawzajem, śnili o sobie, oczekiwali na listy równie niecierpliwie, jak na nie odpowiadali. Nigdy podczas tej obłądnej wiosny, jak i w następnym roku, nie nadarzyła im się najmniejsza choćby sposobność umożliwiająca im

bezpośrednią rozmowę. Mało tego: od owej chwili, gdy zobaczyli się po raz pierwszy, do momentu, gdy pół wieku później ponowił swe oświadczenia, nigdy nie mieli okazji, by spotkać się na osobności i porozmawiać o swym uczuciu. Ale przez pierwsze trzy miesiące nie było dnia, w którym nie pisaliby do siebie, a nawet w pewnym okresie pisywali i dwa razy dziennie, przerażając ciotkę Scholastykę zachłannością roznieconego, przy jej pomocy, ognia.

Po pierwszym liście, który przemyciła do urzędu pocztowego w mimowolnym odruchu zemsty za to, co niegdyś spotkało ją, pozwoliła na codzienną niemal wymianę korespondencji podczas ulicznych i na pozór przypadkowych spotkań, nie miała jednak dość odwagi, by dopuścić do najbanalniejszej bodaj i przelotnej rozmowy. Po trzech miesiącach zrozumiała jednak, że bratanica nie jest ofiarą dziewczęcego li tylko zadurzenia, jak jej się początkowo zdawało, i że tym samym swą miłosną pożogą zagraża również i jej życiu. W istocie rzeczy Scholastyka Daza nie miała, poza miłosierdziem brata, innego źródła utrzymania, znając zaś jego despotyczne usposobienie, wiedziała, iż nigdy jej nie wybaczy, że tak niecierpliwie nadużyła jego zaufania. Ale w godzinę podjęcia ostatecznej decyzji nie miała serca, by zgotować bratanicy ten sam, smutny i nieodwracalny los, jaki ona musiała znieść od młodości, pozwoliła więc Ferminie posłużyć się fortelami, dzięki którym mogła się łudzić, że sama nie jest niczemu winna. Metoda była prosta: Fermina Daza zostawiała list w jednym ze schowków na drodze pomiędzy domem a szkołą, wskazując zarazem w liście, gdzie spodziewa się znaleźć odpowiedź. Florentino Ariza czynił to samo. W ten sposób wyrzutami sumienia ciotki Scholastyki zostały, na resztę roku, obarczone chrzcielnice, dziuple i szczeliny w ruinach kolonialnych fortyfikacji. Wielokrotnie przejmowali swoje listy rozmyte przez deszcz, zabłocone, porozdzierane w niesprzyjających okolicznościach, niektóre, z różnych powodów, bezpowrotnie ginęły, potrafili jednak zawsze nawiązać ponownie kontakt.

Florentino Ariza pisał co noc, bez najmniejszej litości dla samego siebie, zatruwając się, litera po literze, dymem z lamp olejnych na zapleczu pasmanterii, a jego listy stawały się tym dłuższe i tym bardziej lunatyczne, im bardziej starał się naśladować swych ukochanych poetów z Biblioteki Powszechnej sięgającej już wówczas osiemdziesięciu tomów. Matka, uprzednio nakłaniająca go żarliwie do całkowitego pogrążenia się w udreć, teraz była przerażona stanem jego zdrowia. „Mózg sobie wyjąłowisz do cna - krzychała z sypialni, słysząc pianie kogutów. - Nie ma takiej kobiety, która byłaby tego warta”. Nie przypominała bowiem sobie, by dane jej było kiedykolwiek przedtem znać kogoś w stanie takiego zatracenia. Nie zwracał jednak na nią uwagi. Czasami przychodził do biura po nie

przespanej nocy, z włosami rozwichrzonymi miłością, złożywszy już list w umówionym miejscu, by Fermina Daza w drodze do szkoły odnalazła w skrytce kopertę. Ona zaś, poddana ojcowskiemu dozorowi i nadgorliwej czujności zakonnicy, mogła zapisać za ledwie pół wyrwanej z zeszytu kartki, zamykając się w łazienkach lub udając, że w czasie lekcji sumienne robi notatki. Niemniej, nie tylko z racji pośpiechu i ciągłej obawy, ale i z powodu jej charakteru, listy Ferminy Dazy omijały jakiegokolwiek mielizny sentymentalizmu, ograniczając się wyłącznie do relacjonowania przypadków z dnia powszedniego zwięzłym stylem pokładowego dziennika. W istocie rzeczy były to listy pisane dla odprężenia, podtrzymujące, owszem, płomień, ale bez wkładania ręki w ogień, podczas gdy Florentino Ariza spalał się w każdej linijce. Pragnąc zarazić ją własnym szaleństwem, przysyłał jej wiersze miniaturzysty wygrawerowane ostrzem szpilki na płatkach kamelii. To właśnie on - a nie ona - ośmielił się załączyć do listu kosmyk swoich włosów, nigdy jednak nie otrzymał upragnionej odpowiedzi w postaci całego włosa z warkocza Ferminy Dazy. Zdołał co prawda nakłonić ją, by odważyła się uczynić jeden śmielszy krok, bo od tamtej pory zaczęła mu przysyłać wysuszone w słownikach liście, skrzydełka motyli, pióra magicznych ptaków, a na urodziny podarowała mu nawet centymetrowy skrawek habitu świętego Piotra Clavera, relikwii sprzedawanej wówczas pokątnie, po cenach nieosiągalnych dla licealistki w jej wieku. Pewnej nocy Fermina Daza obudziła się znienacka, przerażona serenadą złożoną z jednego walca granego przez jedne skrzypce. Zadrżała domyśliwszy się, że każda nuta jest dziękczynnym gestem za płatki z jej zielników, za czas podkradany arytmetyce na pisanie listów, za jej strach na egzaminach, kiedy myślała bardziej o nim niż o zadaniach z biologii, ale nie śmiała uwierzyć, że Florentino Ariza zdolny jest do tak daleko idącej nieostrożności. Następnego dnia rano, podczas śniadania, Lorenzo Daza nie był w stanie powstrzymać swej ciekawości. Po pierwsze dlatego, że nie wiedział, co w tajemnym języku serenad oznacza zagranie jednej tylko melodii, a po drugie - ponieważ mimo uwagi, z jaką jej wysłuchał, nie był w stanie ustalić, pod czyim domem została zagrana.

Ciotka Scholastyka z zimną krwią, dzięki której bratanica odzyskała oddech, zapewniła, że widziała przez firanki sypialni, iż samotny skrzypek stał z tamtej strony parku i dodała, że tak czy owak, jedna tylko melodia oznacza zerwanie. W liście z tego dnia Florentino Ariza potwierdził, że to on jest sprawcą serenady, a ów walc jego autorstwa miał w tytule imię, pod którym znał Ferminę Dazę w swym sercu: Bogini w koronie. W parku już go nie zagrał, ale zwykł to czynić w księżycowe noce, w specjalnie wybranych miejscach, by mogła wysłuchać go w łóżku nie wpadając w panikę. Jednym z jego ulubionych miejsc był cmentarz biedaków, wystawiony na słońce i słońce, zajmujący niewielkie wzgórze, gdzie

nocą zlatywały się sępy, muzyka zaś zyskiwała niezwykły pogłos. Później nauczył się rozpoznawać kierunki wiatrów, nabierając dzięki temu pewności, że jego dźwięki docierają tam, gdzie dotrzeć powinny.

W sierpniu owego roku zarzewie kolejnej wojny domowej, jednej z wielu niszczących kraj od ponad pół wieku, zmusiło rząd do ogłoszenia stanu wyjątkowego i wprowadzenia godziny policyjnej od szóstej wieczorem w prowincjach wybrzeża Morza Karaibskiego. Aczkolwiek doszło już do pewnych rozruchów, wojsko zaś dopuszczało się, ku przestrodze, wszelkiego rodzaju nadużyć, Florentino Ariza wciąż bujał w obłokach nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje na świecie, póki jeden z wojskowych patroli nie przyłapał go o świcie w trakcie zakłócania niewinnego spokoju zmarłych miłosnymi prowokacjami. Oskarżony o to, że jest szpiegiem przesyłającym zaszyfrowane, w g - moll, informacje okrętom liberałów krążącym na przybrzeżnych wodach, cudem tylko uratował się od natychmiastowej egzekucji. - Jaki tam ze mnie, kurwa, szpieg - odpowiedział Florentino Ariza - ot, po prostu zakochany nieszczęśnik. Przez trzy noce spał ze skutymi nogami w areszcie miejscowego garnizonu. Ale kiedy go uwolniono, poczuł się rozczarowany krótkotrwałością uwięzienia i jeszcze w swych późniejszych latach, kiedy już tyle innych wojen mieszało mu się w pamięci, uparcie sądził, iż był jedynym człowiekiem w mieście, a być może i w całym kraju, który włókł u swych stóp pięcioletnie kajdany za sprawą miłości.

Upływał drugi rok szaleńczej korespondencji, gdy Florentino Ariza w krótkim jednozdaniowym, liście złożył formalną propozycję małżeństwa. Przez sześć ostatnich miesięcy wielokrotnie posyłał ukochanej białą kamelię, ona jednak zaraz w następnym liście, odsyłała mu ją, aby nie miał żadnych wątpliwości, że gotowa jest nadal pisać do niego, ale bez krępujących zobowiązań. Prawdą jest, iż biorąc ową wędrowną kamelię za miłosne przekomarzenie, nigdy nawet nie wpadła na myśl, by uznać to za moment, w którym ma dokonać decydującego o swym losie wyboru. Kiedy nadeszła jednak formalna propozycja, poczuła na sobie pierwsze draśnięcie śmierci. Zdjęta przerażeniem opowiedziała wszystko ciotce Scholastyce, ta zaś udzieliła jej rady z odwagą i rozsądkiem, których brakowało jej, gdy mając dwadzieścia lat musiała zadecydować o swym losie.

- Odpowiedz mu, że tak - powiedziała jej. - Choćbyś umierała ze strachu, choćbyś później miała tego żałować, bo i tak będziesz żałować przez całe życie, jeśli mu powiesz nie.

Mimo to Fermina Daza była w takiej rozterce, iż poprosiła o czas na przemyślenie odpowiedzi. Wpierw poprosiła o miesiąc, później o jeszcze jeden i jeszcze jeden, a kiedy upływał już czwarty miesiąc bez odpowiedzi, ponownie otrzymała białą kamelię, ale tym



razem nie tak, jak w poprzednich przypadkach, lecz z dołączoną do niej w kopercie ponaglącą adnotacją, że jest to już ostatnia: teraz albo nigdy. Florentino Ariza ujrzał tego samego popołudnia oblicze śmierci, kiedy otrzymał kopertę ze skrawkiem papieru wyrwanego ze szkolnego zeszytu, a na nim napisaną ołówkiem w jednej linii odpowiedź: „Dobrze, wyjdę za pana za mąż, jeśli mi pan przyrzeknie, że nie będę musiała jeść bakłażanów”.

Florentino Ariza nie był przygotowany na taki rezultat, za to przygotowana była jego matka. Od chwili, kiedy sześć miesięcy wcześniej zwierzył się jej ze swych małżeńskich planów, Transito Ariza rozpoczęła starania wynajęcie całego domu, zajmowanego dotychczas jeszcze przez dwie rodziny. W tym dwupiętrowym siedemnastowiecznym budynku mieściła się za czasów hiszpańskiego panowania fabryka tytoniu, później jednak zrujnowani właściciele, z braku środków do jej utrzymania, zaczęli wynajmować poszczególne pomieszczenia. W części wychodzącej na ulicę mieściła się niegdyś trafika, a w głębi zaś właściwa wytwórnia i ogromna stajnia, przemieniona przez obecnych mieszkańców na wspólną pralnię i suszarnię. Transito Ariza wynajmowała tę pierwszą, najużyteczniejszą, najlepiej zachowaną, choć i najmniejszą zarazem część. W dawnej trafice mieściła się teraz pasmanteria, oddzielona od ulicy bramą, z boku zaś, w pomieszczeniu przerobionym na sypialnię Transito Ariza, dawny skład nie posiadający, prócz jednego świetlika, żadnej wentylacji. Zaplecze stanowiło połowę przedzielonej drewnianym przepierzeniem izby. Stał w niej stół z czterema krzesłami, który pełnił także rolę biurka, i w tej części właśnie Florentino Ariza, o ile świt nie zaskakiwał go przy pisaniu, rozwieszał swój hamak. Przestrzeń ta całkowicie wystarczała im obojgu, ale była zbyt mała dla dodatkowej osoby, a tym bardziej dla pani z Liceum Ofiarowania Najświętszej Marii Panny, której ojciec potrafił odbudować zrujnowany dom, gdy tymczasem przedstawiciele starych, posiadających nierzadko i po siedem tytułów rodów, kładli się co noc do łóżka pełni obaw, czy aby podczas snu nie zawali im się na głowę dach ich własnej rezydencji. Transito Ariza uzyskała więc zgodę właściciela na zajęcie również pomieszczeń od podwórza, pod warunkiem utrzymania budynku w dobrym stanie przez pięć lat.

Posiadała na to środki. Poza rzeczywistymi dochodami z pasmanterii i ze sprzedaży szarpi, wystarczającymi jej na skromną egzystencję, zwielokrotniła swoje oszczędności udzielając pożyczek klienteli wywodzącej się z wstydliwych nowobiedaków, którzy przystawali na jej drakońskie warunki w zamian za zachowanie przez nią dyskrecji. Panie o królewskich manierach wysiadały z powozów w bramie pasmanterii, bez krępujących dam

do towarzystwa i lokajów, i pozorując kupno holenderskich koronek i lamówek, zastawiała, roniąc dwie łzy, ostatnie cacka swego utraconego raj. Transito Ariza wyciągała je z opresji okazując wobec ich pochodzenia tyle głębokiego szacunku, iż niejedna wychodząc żywiła dla niej wdzięczność raczej za okazaną grzeczność niż za pomoc. W niespełna dziesięć lat zdążyła poznać, niczym własną, tylokrotnie już odzyskiwaną i ponownie, ze łzami w oczach, zastawianą biżuterię, więc kiedy syn podjął decyzję o małżeństwie, jej zyski zamienione na złoto wysokiej próby spoczywały pod łóżkiem w dzbanie. Podliczyła wówczas swe oszczędności i skonstatowała, iż nie tylko stać ją na utrzymywanie przez pięć lat cudzego budynku, ale że przy dotychczasowym sprycie i większym szczęściu, zdoła może również jeszcze przed śmiercią wykupić dom dla upragnionych dwunastu wnuków. Florentino Ariza został z kolei mianowany, na czas próbny, pierwszym zastępcą głównego telegrafisty, a Lotar Thugut zamierzał uczynić go swym następcą na stanowisku szefa urzędu, z chwilą własnego odejścia na stanowisko kierownika Szkoły Telegrafii i Magnetyzmu, której inaugurację przewidywał w przyszłym roku.

Praktyczna strona małżeństwa została więc rozwiązana. Niemniej Transito Ariza uznała, że rozsądniej będzie, jeśli spełnione zostaną jeszcze dwa końcowe warunki. Przede wszystkim należało sprawdzić, kim naprawdę jest Lorenzo Daza, bo o ile można było po jego akcencie stwierdzić bez najmniejszej wątpliwości, skąd rzeczywiście pochodzi, o tyle nikt nie był w stanie udzielić całkowicie pewnej informacji co do jego tożsamości i źródeł utrzymania. A po wtóre, narzeczeństwo powinno trwać długo, na tyle długo, żeby narzeczeni mogli, poprzez bezpośredni kontakt, poznać się wzajemnie, utrzymując zarazem jak najdalej idącą dyskrecję dopóty, dopóki oboje nie nabiorą całkowitej pewności co do głębi swych uczuć. Zasugerowała, by poczekali do końca wojny. Florentino Ariza, tak dzielając racje matki, jak i w zgodzie ze swym skrytym charakterem, przystał na zachowanie absolutnej tajemnicy. Przystał również na przedłużenie narzeczeństwa, ale co do terminu ślubu to propozycja wydała mu się nierealna, bo przez ponad półwiecze niepodległości kraj nie zaznał ani jednego dnia pokoju.

- Zestarzejemy się czekając - argumentował. Jego chrzestny, homeopata, przypadkowo uczestniczący w rozmowie, nie sądził, aby wojny miały stanowić jakąś przeszkodę. Osobiście uważał, że są to wyłącznie bijatyki nędzarzy, popędzanych niczym bydło przez właścicieli ziemskich przeciwko bosonogim żołnierzom popędzanym przez rząd.

- Wojna toczy się w górach - powiedział. - Od kiedy mam świadomość własnego jestestwa, w miastach nie zabija się nas strzałami, lecz dekretami.

Tak czy inaczej szczegóły związane z trwaniem narzeczeństwa zostały listownie ustalone już w następnym tygodniu. Fermina Daza za radą ciotki Scholastyki zgodziła się na dwuletnie oczekiwanie i zachowanie wszystkiego w tajemnicy, ze swej strony poddając myśl, by Florentino Ariza poprosił o jej rękę, kiedy ukończy liceum w czasie bożonarodzeniowych wakacji. W odpowiednim momencie uzgodnią sposób ostatecznego sformalizowania związku, w zależności od stopnia przyzwolenia, jakie uda jej się pozyskać u ojca. Tymczasem nadal pisywali do siebie z tą samą żarliwością i częstotliwością, ale bez uprzednich niepokojów, listy zaś zaczęły nabierać poufalego tonu, przypominającego niemal korespondencję małżonków. Nic już nie mąciło ich marzeń o szczęściu.

Życie Florentina Arizy uległo przeobrażeniom. Odwzajemniona miłość dodała mu pewności siebie i uskrzydliła mocą, jakiej przedtem nigdy nie zaznał, w pracy zaś począł wykazywać się taką sumiennością, że Lotar Thugut bez trudu zdołał uzyskać dla niego nominację - już na etat swego zastępcy. A że projekt Szkoły Telegrafii i Magnetyzmu upadł w tym czasie ostatecznie, Niemiec poświęcał cały swój wolny czas wyłącznie na to, co rzeczywiście lubił, to znaczy na chodzenie do portu, granie po tawernach na akordeonie, picie piwa z marynarzami i kończenie zabawy w hotelu. Musiało upłynąć sporo czasu, by Florentino Ariza spostrzegł, że posłuch, jakim cieszy się Lotar Thugut w owym siedlisku rozkoszy, bierze się stąd, że Niemiec niezauważalnie stał się właścicielem budynku i, na dodatek, włodarzem portowych ptaszyn. Kupował hotel stopniowo, za swoje wieloletnie oszczędności, ale przez podstawioną osobę, chudego i jednookiego człeczynę, z głową niczym szczotka i tak gołębiego serca, iż nikt nie był w stanie pojąć, jak potrafił tak znakomicie pełnić funkcję administratora. Ale potrafił. Tak przynajmniej wydawało się Florentinowi Arizie, kiedy administrator, nie nagabywany, poinformował go, że w hotelu zarezerwowany jest do jego stałej dyspozycji pokój, w którym może nie tylko rozwiązywać problemy swego podbrzusza, o ile zdecyduje się kiedykolwiek mieć, ale zarazem może korzystać ze znacznie spokojniejszego miejsca dla swych lektur i miłosnych listów. W rezultacie, w oczekiwaniu, aż upłyną owe długie, brakujące do ostatecznego sformalizowania narzeczeństwa miesiące, więcej czasu spędził w hotelu niż w urzędzie czy w domu, a zdarzały się i takie okresy, kiedy Transito Ariza widywała go wyłącznie wtedy, gdy przychodził zmieniać ubranie. Lektura stała się jego niezaspokojoną pasją. Matka, nauczywszy go czytać, zaczęła kupować mu ilustrowane książki autorów skandynawskich, sprzedawane co prawda jako baśnie dla dzieci, w rzeczywistości zaś najokrutniejsze i najbardziej perwersyjne, jakie, niezależnie od wieku, można było przeczytać. Florentino Ariza mając pięć lat klepał je z pamięci zarówno na lekcjach, jak i na szkolnych

akademiach, ale bliska z nimi zażyłość nie uwolniła go od lęków. Wprost przeciwnie, pogłębiła je.

Przejście do poezji było więc jak wplynięcie na spokojne wody. Już w dzieciństwie połknął wszystkie po kolei, tak jak się ukazywały, kupowane przez jego matkę u bukinistów z Bramy Pisarzy, tomy Biblioteki Powszechnej zawierającej wszystko, od Homera po najlichszego z lokalnych poetów. Nie czynił jednak żadnego wyboru: czytał jak popadło, jakby zdając się na ślepy los, a wszystkie te lata pożerania słowa drukowanego w ogóle nie nauczyły go odróżniać w masie przeczytanych książek złego od dobrego. Jedyłą oczywistą dlań rzeczą była pewność, że jeśli musi już wybierać pomiędzy prozą a wierszami, to woli wiersze, a spośród nich woli te o miłości, które już po drugim czytaniu, chcąc nie chcąc, potrafił wyrecytować z pamięci, tym szybciej im rytmiczniejsze, lepiej rymowane i bardziej rozdzierające. I tu biło źródło pierwszych listów do Ferminy Dazy, gdzie pojawiały się całe partie, słowo w słowo, z hiszpańskich romantyków, długo jeszcze służących mu za natchnienie, póki rzeczywiste życie nie zmusiło go do zajęcia się bardziej przyziemnymi sprawami niż cierpienia serca. Już wówczas zaczął coraz bardziej kierować swoją uwagę ku zeszytowym wyciskaczom łez i innym, jeszcze niższych lotów, okazom ówczesnej prozy. Nauczył się płakać wspólnie z matką czytając lokalnych poetów, sprzedawanych na placach i w bramach po dwa centavos od tomiku. Potrafił jednak zarazem wyrecytować z pamięci najświetniejsze utwory kastylijskiej poezji Złotego Wieku. Ogólnie rzecz biorąc czytał wszystko, co mu wpadło w ręce i jak popadło, do tego stopnia, iż w wiele lat po owym ciężkim okresie pierwszej miłości, gdy był już stanowczo dojrzałym mężczyzną, zdarzyło mu się przeczytać od deski do deski dwadzieścia tomów Skarbca Młodości, całą serię klasyków w przekładach wydawnictwa Braci Garnier i najprzystępniejsze dzieła publikowane przez don Vicentego Blasco Ibaneza w kolekcji Prometeusz.

Jego młodzieńcze lata w hotelu nie ograniczyły się bynajmniej do książkowych lektur i pisania żarliwych listów, był to bowiem zarazem czas wtajemniczania go w sekrety miłości bez miłości. Życie w domu zaczynało się po południu, kiedy jego przyjaciółki ptaszyny wstawały tak, jak je matki wydały na świat, toteż gdy Florentino Ariza, wracał z pracy zastawał pałac pełen nagich nimf, komentujących bez ogródek sekrety z życia miasta, przynoszone im zresztą przez samych bohaterów plotek. Nagość wielu dziewcząt ujawniała ślady ich przeszłości: blizny na brzuchu po sztyletach, rozgwiadzy po kulach, bruzdy po miłosnych ostrzach noży, szwy po rzeźniczych cesarskich cięciach. Niektóre za dnia przyprowadzały ze sobą swoje małe dzieci, nieszczęsne owoce dziewczęcej zawziętości lub nieuwagi, rozbierając je natychmiast tuż za progiem, żeby nie czuły się nieswojo w tym raj

nagości. Każda gotowała po swojemu i nikt w tym czasie nie jadał lepiej od Florentina Arizy, bo kiedy go zapraszały, wybierał najlepsze dania każdej z nich. Było to całodzienne święto, zamierające pod wieczór, kiedy to nagie kobiety rozpoczynały swe wędrówki do łazienek pożyczając sobie mydło, szczoteczki do zębów, nożyczki, nawzajem obcinając sobie włosy, przebierając się w wypożyczone między sobą stroje, malując się niczym ponure trefnisie, po czym wyruszały wreszcie na łowy, by upolować pierwszą nocną zdobycz. Od tej chwili życie w domu stawało się bezosobowe, odczłowieczone i nie sposób było dzielić go z kimkolwiek uprzednio za to nie zapłaciwszy.

Nie istniał przybytek, w którym Florentino Ariza od czasu poznania Ferminy Dazy nie czułby się lepiej, bo było to jedyne miejsce, gdzie nie dokuczała mu samotność.

Mało tego: miejsce to stało się w końcu jedynym, gdzie czuł, że jest z nią. Być może dla tych samych powodów mieszkała tam elegancka starsza kobieta o pięknych srebrzystych włosach, nie uczestnicząca w swobodnym życiu golasek, darzących ją ze swej strony bogobojnym szacunkiem. Przeprowadził ją tutaj, jako młodziutką dziewczynę, zbyt wczesny narzeczony i, nacieszywszy się nią przez czas jakiś, pozostawił własnemu losowi. Pomimo tego piętna zdołała dobrze wyjść za mąż. Gdy w podeszłym wieku owdowiała, dwóch synów i trzy córki współzawodniczyło o przywilej przygarnięcia jej do siebie, ona jednak uznała, że nie ma godniejszego miejsca na resztę życia niż ów hotel czułych i upadłych dziewcząt. Zajmowany przez nią pokój stał się jej jedynym domem, co natychmiast utożsamiało ją z Florentinem Arizą, o którym mawiała, że będzie znanym na cały świat uczonym, bo zdolny jest uszlachetniać swą duszę czytaniem książek w raju lubieżności. Florentino Ariza ze swej strony poczuł do niej taką słabość, że pomagał jej w zakupach na targowisku i zwykł spędzać część wieczorów na rozmowach z nią. Sądził, iż jest kobietą światłą w dziedzinie miłości, zdołała bowiem wyjaśnić mu wiele spraw dotyczących perypetii sercowych w taki sposób, iż nie musiał, w dowód wdzięczności, ujawniać jej własnego sekretu.

Jeśli przed poznaniem miłości Ferminy Dazy nie uległ tylu pokusom znajdującym się w zasięgu ręki, tym bardziej nie mógł uczynić tego z chwilą, gdy była już jego oficjalną narzeczoną. Florentino Ariza współżył więc z wieloma kobietami, dzielił z nimi ich rozkosze i biedy, ale ani jemu, ani im nawet przez myśl nie przyszło posunąć się dalej. Nieprzewidziane zdarzenie w pełni ukazało siłę jego determinacji. Pewnego dnia, o szóstej po południu, kiedy dziewczęta ubierały się na przyjęcie nocnych klientów, do jego pokoju weszła sprzątaczką: kobieta młoda, ale przedwcześnie postarzała i zniszczona, ubrana jak pokutnica ku chwale gołych kobiet. Widział ją codziennie nie czując się widzianym:

chodziła po pokojach z miotłami, z kubłem na śmieci i ze specjalną ścierką do zbierania z podłóg zużytych prezerwatyw. Weszła do celi, w której Florentino Ariza jak zwykle czytał, i jak zwykle nie chcąc mu przeszkadzać, zaczęła sprzątać pokój z daleko idącą ostrożnością. Niespodziewanie znalazła się obok łóżka i nagle poczuł ciepłą i czułą dłoń na splocie swego brzucha, dłoń szukającą go, dłoń odnajdującą go, rozpinającą mu guziki, podczas gdy jej oddech zaczął wypełniać cały pokój. Wpierw udawał, że czyta, wreszcie, nie mogąc już wytrzymać, wywinął się i przewrócił na bok.

Przeraziła się, bo gdy ją zatrudniano jako sprzątaczkę, ostrzegano przede wszystkim, żeby nie próbowała sypiać z klientami. Nie musieli jej zresztą ostrzegać, należała bowiem do tych kobiet, które sądziły, że prostytutka nie polega na sypianiu za pieniądze, ale na sypianiu z nieznanymi. Miała dwoje dzieci, każde z innym mężczyzną, wcale nie dlatego, że oba jej związki ograniczyły się do przypadkowych przygód, ale dlatego, że nie zdołała rozkochać nikogo, kto potrafiłby wrócić do niej po trzecim razie. Do tej pory była kobietą bez gwałtownych potrzeb, z samej swej natury przygotowana do cierpliwego wyczekiwania, ale życie w tym domu okazało się mocniejsze od jej cnót. Przychodziła do pracy o szóstej po południu i całą noc spędzała na chodzeniu od pokoju do pokoju, zmiataniu ich byle jak, zbieraniu prezerwatyw, zmienianiu prześcieradeł. W głowie się nie mieściło, co potrafili pozostawić po sobie mężczyźni po godzinach miłości. Pozostawiali rzygowiny i lzy, co wydawało jej się w pełni zrozumiałe, ale pozostawiali również zagadkowe ślady swej intymności: kałuże krwi, grudy ekskrementów, szklane oczy, złote zegarki, sztuczne szczęki, relikwiarze ze złotymi kosmykami, listy miłosne, handlowe, z kondolencjami; listy na każdą okoliczność. Niektórzy wracali po swoje zagubione rzeczy, większość przedmiotów pozostawała jednak tam, a Lotar Thugut trzymał je pod kluczem, uważając, że wcześniej czy później ów pałac w niełasce, z tysiącami zapomnianych przedmiotów osobistych, przekształcony zostanie w muzeum miłości.

Praca była uciążliwa i źle płatna, ale wykonywała ją starannie. Nie mogła natomiast znieść płaczu, lamentów, skrzypienia sprężyn w łózkach osadzającego się w jej krwi z takim żarem i z takim bólem, że o świcie nie mogła powstrzymać chęci przespania się z pierwszym napotkanym na ulicy żebrakiem lub zabląkanym pijakiem, który bez zbędnych pytań czy pretensji wyświadczyłby jej łaskę. Pojawienie się mężczyzny bez kobiety, jak Florentino Ariza, młodego i niewinnego było dla niej darem niebios, bo od pierwszej chwili zdała sobie sprawę, iż jest to ktoś taki sam jak ona: człowiek potrzebujący miłości. Na wszystkie zachęty z jej strony zareagował jednak całkowitą obojętnością. Zachował cnotę dla Ferminy Dazy i nie było siły ani jakiegokolwiek racji, które byłyby w stanie odwieść go od

tego postanowienia.

I tak, a nie inaczej płynęło jego życie na cztery miesiące przed ustaloną na sformalizowanie narzeczeństwa datą, kiedy pewnego dnia o siódmej rano, w urzędzie telegraficznym pojawił się Lorenzo Daza i zapytał

Florentina Arizę. A że ten jeszcze nie przyszedł do pracy, poczekał nań siedząc na ławce do ósmej dziesiątej i zdejmując z jednego palca, a nakładając na inny masywny złoty pierścień uwieńczony szlachetnym opalem; a kiedy ujrzał wchodzącego do urzędu młodzieńca, natychmiast rozpoznał w nim pracownika telegrafu i chwycił go pod ramię.

- Proszę za mną, młody człowieku - powiedział mu. - Pan i ja musimy przez pięć minutek porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

Florentino Ariza, trupio zielony, dał się poprowadzić. Nie był przygotowany na to spotkanie, bo Fermina Daza ani nie miała czasu, ani nie znalazła sposobności, żeby go ostrzec. A rzeczy miały się tak, że w zeszłą sobotę siostra Franca de la Luz, przełożona Szkoły Ofiarowania Najświętszej Marii Panny, wślizgnęła się cichcem niby wąż na Podstawowe Wiadomości z Kosmogonii i zaglądając uczennicom przez ramię wypatrzyła, iż Fermina Daza, symulując prowadzenie pilnych notatek w zeszycie, w rzeczywistości pisze list miłosny. Przewinienie, zgodnie z regulaminem szkoły, karane było wydaleniem. Lorenzo Daza, natychmiast wezwany do dyrekcji, odkrył szczelinę, przez którą wyciekał jego żelazny rygor. Fermina Daza z wrodzoną sobie uczciwością przyznała się do listu, ale odmówiła ujawnienia tożsamości tajemnego narzeczonego, czyniąc to ponownie wobec Sądu Dyscyplinarnego, który, w konsekwencji, zatwierdził decyzję o jej usunięciu. Ojciec mimo to przeprowadził rewizję w sypialni, w nietykalnym do tej pory sanktuarium, i w podwójnym dniu kufra odkrył pakunki listów z trzech lat, ukrytych z miłością równą tej, z jaką zostały napisane. Podpis nie pozostawiał żadnych wątpliwości, ale Lorenzo Daza nie był w stanie ani wówczas, ani kiedykolwiek indziej uwierzyć, że wiedza córki o sekretnym narzeczonym mogła ograniczyć się wyłącznie do znajomości jego zawodu telegrafisty i zamiłowania do skrzypiec.

Przekonany, że tak skomplikowana więź uczuciowa możliwa jest li tylko dzięki współnictwu jego siostry, nie skorzystawszy nawet w części z prawa łaski, by dać jej szansę usprawiedliwienia się, odprawił ją bezapelacyjnie na pokładzie golety z San Juan de la Cienaga. Fermina Daza nigdy nie uwolniła się od ostatniego wspomnienia o niej, wspomnienia owego wieczoru, kiedy pożegnawszy ją w bramie ujrzała, jak koścista i popielata kobieta, trawiona gorączką wewnątrz swego burego habitu, znika w parkowej mżawce z jedynym dobytkiem całego swego życia: staropanieńskim tobołkiem i

oszczędnościami zasupłanymi w trzymaną w garści chusteczkę, wystarczającymi na przeżycie miesiąca. Natychmiast po uwolnieniu się spod władzy ojca zaczęła szukać ciotki po wszystkich karaibskich prowincjach, pytając o nią każdego, kto mógłby ją znać, nie natrafiając na żaden, najdrobniejszy bodajże ślad po niej, do chwili kiedy po trzydziestu niemal latach otrzymała wreszcie długo błędzący z rąk do rąk list, w którym powiadamiano ją, iż stuletnia prawie Scholastyka Daza zmarła w leprozorium Agua de Dios. Lorenzo Daza nie przewidział gwałtowności, z jaką córka zareagowała wobec niesprawiedliwej kary wymierzonej ciotce Scholastyce, którą zawsze utożsamiała z pamiętaną jak przez mgłę matką. Zaryglowała się w sypialni odmawiając przyjmowania napojów i pożywienia, a kiedy w końcu zdołał nakłonić ją, wpierw groźbami, później zaś źle maskowanym błaganiem, by otworzyła mu drzwi, znalazł się oko w oko z ranną panterą, która raz na zawsze wyrosła ze swych piętnastu lat.

Usiłował wkraść się w łaski córki schlebiając jej we wszystkim. Usiłował dać jej do zrozumienia, że miłość w tym wieku jest tylko ułudą, usiłował przekonać ją po dobroci, by oddała listy, wróciła do szkoły i na kolanach błagała o przebaczenie, i dał jej swoje słowo honoru, iż on pierwszy pomoże jej w znalezieniu szczęścia u boku godnego jej pretendenta. Ale gadał po próznicy, jak do trupa. Doszczętnie zdruzgotany, podczas poniedziałkowego obiadu stracił w końcu panowanie nad sobą, ale gdy on, na skraju ataku wściekłości, dławił się przekleństwami i obelgami, ona przyłożyła sobie do gardła nóż do krajania mięsa, bez zbytniego dramatyzmu, ale z taką stanowczością i z tak otępiałym wzrokiem, że nie śmiał rzucić wszystkiego na jedną szalę. Właśnie wówczas podjął ryzyko przeprowadzenia pięciominutowej męskiej rozmowy z owym niefortunnym przybłędą, którego, jako żywo, nigdy na oczy nie widział i który w tak niefortunnym momencie stanął w poprzek jego życia. Wyłącznie z czystego przyzwyczajenia chwycił przed wyjściem rewolwer, choć był na tyle rozważny, że ukrył go pod koszulą.

Florentino Ariza ciągle nie był w stanie na nowo złapać tchu, gdy Lorenzo Daza prowadził go pod ramię przez Plac Katedralny ku podcieniom „Parafialnej”, by w końcu zaprosić go do stolika w ogródku. O tej porze nie było klientów, jedynie czarna matrona zmywała kamienną podłogę olbrzymiej sali z popękkanymi i zakurzonymi witrażowymi szybami, krzesła zresztą złożone były jeszcze do góry nogami na marmurowych stolikach. Florentino Ariza często widywał tam Lorenza Dazę grającego i popijającego wino beczkowe z Asturyjczykami z targowiska, w czasie wrzaskliwych dysput dotyczących innych, nieustannych i zupełnie nie naszych wojen. Wielokrotnie, świadom fatalizmu miłości, zastanawiał się, jak będzie wyglądało spotkanie z nim, które wcześniej czy później musiało



nastąpić i któremu żadna ludzka siła nie była w stanie zapobiec, bo w przeznaczeniu ich obu było im ono pisane od samego początku. Wyobrażał je sobie jako nierówny spór, nie tylko dlatego, że Fermina Daza przestrzegała go w listach przed gwałtownym charakterem swego ojca, ale i dlatego, że sam dostrzegł, iż jego oczy zdawały się wściekle nawet wtedy, gdy śmiał się do rozpuku przy szachowym stoliku. Wszystko w nim było szczytem przeciętności: opasy brzuch, napuszony sposób mówienia, rysie bokobrody, nalane dłonie z pierścieniem przytłoczonym ogromnym opalem. Jediną jego ujmującą cechą, natychmiast rozpoznaną przez Florentina Arizę, gdy tylko ujrzał idącego Lorenza Dazę, był ten sam przypominający łanię chód jego córki. Kiedy jednak ten wskazał mu krzesło przy stole, nie wydał mu się już osobą tak szorstką, na jaką wyglądał, a gdy jednocześnie zaproponował mu kieliszek anyżówki, Florentino Ariza całkowicie już odzyskał oddech. Nigdy nie pił anyżówki o ósmej rano, ale przyjął zaproszenie z wdzięcznością, potrzebował bowiem tego natychmiast.

Lorenzo Daza rzeczywiście wyłuszczył swoje racje w pięć minut i uczynił to z taką rozbijającą szczerością, iż całkowicie skonfundował Florentina Arizę. Po śmierci żony jedynym celem jego życia było uczynić z córki wielką damę. Droga była żmudna i nie nazbyt pewna dla handlarza mułów nie umiejącego czytać ani pisać, cieszącego się za to sławą koniokrada, nie tyle udowodnioną, co powszechnie znaną w całej prowincji San Juan de la Cienaga. Przypalił mulniczego skręta i poskarżył się: „Tylko zła sława może być gorsza od złego zdrowia”. Mimo to, powiedział, prawdziwy sekret jego bogactwa leży w tym, że żadna z jego mulic nie pracowała tyle i z takim poświęceniem co on sam, nawet w najgorszych okresach poszczególnych wojen, kiedy miasteczka obracane były z dnia na dzień w popiół, pola zaś kompletnie niweczone. Aczkolwiek córka nigdy nie została wprowadzona w tajniki planów dotyczących jej losu, zachowywała się niczym najbardziej entuzjastyczny współnik. Była inteligentna i systematyczna do tego stopnia, iż z chwilą gdy sama posiadała umiejętność czytania, nauczyła również czytać swego ojca, w wieku zaś dwunastu lat cechowało ją już poczucie rzeczywistości, wystarczające aż nadto do prowadzenia domu bez pomocy ciotki Scholastyki. Westchnął: „To złota mulica”. Kiedy córka ukończyła szkołę podstawową otrzymując piątki ze wszystkich przedmiotów i dyplom z wyróżnieniem publicznie wręczony podczas uroczystego zakończenia roku, zrozumiał, że San Juan de la Cienaga stało się zbyt ciasne dla jego marzeń. Odprzedał wówczas ziemie i stada i przeniósł się z nowymi siłami i siedemdziesięcioma tysiącami pesos w złocie do tego miasta w ruinie, o sławie już mocno wyblakłej, w którym wszakże piękna i wychowana podług dawnej modły kobieta miała jeszcze widoki na powtórne

narodziny dzięki bogatemu małżeństwu. Wtargnięcie Florentina Arizy stało się tym samym nieprzewidzianą przeszkodą dla realizacji tak starannie hołubionych planów. „No więc ściągnąłem tu pana, bo mam prośbę”, powiedział Lorenzo Daza. Zanurzył koniec skręta w anyżówce, zaciągnął się nie puszczając dymu i zakończył strapionym głosem:

- Proszę zejść nam z drogi.

Florentino Ariza słuchał go popijając anyżową wódkę, tak pochłonięty ujawnianymi mu informacjami o przeszłości Ferminy Dazy, iż nawet nie zastanowił się nad tym, co ma powiedzieć, gdy będzie musiał to zrobić. Ale kiedy nadszedł ów moment, zdał sobie sprawę, że cokolwiek powie, i tak jego los jest przesądzony.

- Pan z nią rozmawiał? - zapytał.

- Nic panu do tego - powiedział Lorenzo Daza.

- Pytam - powiedział Florentino Ariza - bo wydaje mi się, że jedyną osobą upoważnioną do podjęcia decyzji jest pańska córka.

- Żadne takie - powiedział Lorenzo Daza.

- To męska rzecz i należy ją załatwić między mężczyznami. Ton jego głosu stał się na tyle napastliwy, iż jeden z klientów z pobliskiego stolika zaczął im się bacznie przyglądać. Florentino Ariza odezwał się łagodniejszym głosem, ale z największą stanowczością, na jaką go było stać:

- Mimo wszystko - powiedział - nie mogę udzielić żadnej odpowiedzi nie wiedząc, co ona o tym sądzi. To byłaby zdrada.

Wówczas Lorenzo Daza odchylił się na krześle, powieki zaczerwieniły mu się i zwilgotniały, a jego lewe oko wykonało obrót wokół własnej osi i wytrzeszczone w bok, znieruchomiało. On też zniżył głos.

- Proszę mnie nie zmuszać, żebym panu strzelił w łeb - powiedział.

Florentino Ariza poczuł, jak w jego wnętrzościach przelewa się zimna piana. Ale głos mu nawet nie zadrżał, bo i on uznał, że oświeca go Duch Święty. - Niech pan strzela - powiedział kładąc rękę na sercu.

- Nie ma większej chwały niż śmierć w imię miłości. Lorenzo Daza musiał spojrzeć na niego z boku, jak papuga, by odnaleźć go wykrzywionym okiem. Nie wymówił, lecz wypuł słowo, sylaba po sylabie:

- Skur - wy - sy - nu!

W tym samym tygodniu zabrał córkę w podróż zapomnienia. Bez żadnych wyjaśnień, z wąsami powalnymi wściekłością wymieszaną z przeżutym tytoniem, wtargnął do jej sypialni i kazał, by szykowała bagaż. Zapytała, dokąd jadą, on zaś

odpowiedział: „Po śmierć”. Wystraszona tą zbyt prawdopodobną odpowiedzią, usiłowała stawić mu czoło równie odważnie jak w ostatnich dniach, ale ojciec odpiął pas ze sprzączką z litej miedzi i owinąwszy go sobie wokół pięści trzasnął nim o stół z taką siłą, iż po całym domu rozległ się huk niczym wystrzał karabinowy. Fermina Daza zbyt dobrze wiedziała na co go stać i skąd bierze siły, zwinęła więc tobołek z dwóch mat i hamaka i zapakowała w dwa duże kufry całe swoje ubranie, święcie przekonana, że jest to podróż bez powrotu. Zanim się ubrała, zamknęła się w łazience i zdołała napisać do Florentina Arizy krótki pożegnalny list na kartce wyrwanej z pliku papieru toaletowego. Następnie ucięła sobie sekatorem cały warkocz, zwinęła go i włożyła do szkatułki wyściełanej aksamitem z wyhaftowanymi złotą nicią wzorami i wysłała razem z listem.

Była to obłąkańcza podróż. Sam etap początkowy, w karawanie andyjskich poganiaczy, trwał jedenaście dni, kiedy to nieustannie jadąc na mulicach wspinali się stromymi perciami Sierra Nevada, otępiali w nagim słońcu lub przemoczeni do szpiku kości przez padające poziomo październikowe deszcze i niemal wciąż odurzeni zapierającą dech stromizną i wydobywającymi się z przepaści oparami. W trzecim dniu wędrówki mulica, doprowadzona do szału przez gzy, rzuciła się razem ze swym jeźdźcem w dół, pociągając za sobą swoją kawalkadę, a skowyt człowieka i całego stada powiązanych ze sobą zwierząt rozlegał się po wąwozach i urwiskach jeszcze wiele godzin po katastrofie i przez wiele lat trwał w pamięci Fermmy Dazy. Cały jej bagaż runął razem z mulicami, ale w tej trwającej wieki chwili, od upadku po zamarcie na dnie skowytu przerażenia, nie myślała o biednym roztrzaskanym mulniku i rozbitym stadzie, ale o tym, że nie miała szczęścia, bo jej mulica nie była powiązana z tamtymi.

Pierwszy raz dosiadała muła, ale nie odczuwała by z taką goryczą zarówno strachu, jak i udręk podróży, gdyby nie przekonanie, że nigdy już nie zobaczy Florentina Arizy ani nie zazna pocieszenia płynącego z jego listów. Od początku wyprawy nie odezwała się ani słowem do ojca, on zaś był tak zbity z tropu, że zwracał się do niej wyłącznie w niezbędnych przypadkach lub przekazywał polecenia przez mulników. Jeśli dopisywało im szczęście, docierali do przydrożnych zajazdów, gdzie podawano im góralskie potrawy, których nie chciała jeść, i spali na pryczach przesiąkniętych zatechłym potem i moczem. Najczęściej jednak spędzali noce w indiańskich osadach, publicznych sypialniach pod gołym niebem, wybudowanych na skraju drogi, z rzędami palików i daszków z gorzkiej palmy, gdzie każdy przybysz miał prawo pozostać do świtu. Fermina Daza nie zdołała przespać ani jednej nocy, pocąc się ze strachu, czując w ciemnościach milczącą krzątanię podróżnych przywiązujących swe zwierzęta do palików i rozwieszających hamaki, gdzie popadło.

O zmierzchu, kiedy docierali jako pierwsi, miejsca te były puste i spokojne, ale o świcie budziły się już przeistoczone w jarmarczny plac zapchany hamakami porozwieszanymi na różnych wysokościach, z Indianami Aruaco śpiącymi w kucki, pośród meczenia spętanych kóz, wrzaskliwego piania sposobionych do walk kogutów przewożonych w faraonских klatkach i dyszącego milczenia psów pasterskich, które nie szczekały, gdyż przyuczono je do tego ze względu na wojenne niebezpieczeństwa. Te uciążliwe warunki nieobce były Lorenzowi Dazie, który przez pół życia trudnił się w tym regionie handlem i niemal zawsze spotykał o świcie swych dawnych przyjaciół. Dla córki była to nie kończąca się agonia. Odór ładunków solonej ryby oraz brak apetytu, wynikający z tęsknoty, doprowadziły do tego, że kompletnie utraciła nawyk jedzenia, a nie zwariowała z rozpaczy wyłącznie dzięki temu, że zawsze pewną ulgę przynosiło jej wspomnienie Florentina Arizy. Nie wątpiła, że to właśnie jest kraj zapomnienia.

Kolejnym stałym zagrożeniem była wojna. Od pierwszego dnia podróży mówiono o grożących im rozproszonych patrolach, mulnicy zaś nauczyli ich, jak rozróżnić, kto do której z walczących stron należy, aby móc się odpowiednio zachować. Nierzadko spotkać można było dowodzony przez oficera konny oddział, przeprowadzający pobór rekrutów poprzez łapanie ludzi na lasso niczym rozbiegane byczki. Fermina Daza, wyczerpana tyloma innymi okropnościami, zdążyła już zapomnieć o tym zagrożeniu, które w jej mniemaniu było raczej wytworem fantazji niż rzeczywistym i czyhającym w każdej chwili niebezpieczeństwem, gdy pewnej nocy oddział o nieznannej przynależności porwał dwóch podróżnych z karawany, by w odległości pół mili od obozowiska powiesić ich na dzwonnicy. Lorenza Dazy nic z nimi nie łączyło, ale doprowadził do tego, że odcięto ich od sznurów, i sam sprawił im chrześcijański pochówek w podzięce za to, że to nie jego spotkał taki los. Ale tu nie było miejsca na żart. Napastnicy obudzili go przystawiwszy mu lufę strzelby do brzucha, a ich dowódca, w łachmanach, z twarzą wysmarowaną sadzą, przyglądając mu się w świetle lampy zapytał, czy jest liberałem czy konserwatystą.

- Ani jednym, ani drugim - powiedział Lorenzo Daza.

- Jestem obywatelem hiszpańskim.

- Masz szczęście! - powiedział dowódca i unosząc rękę pożegnał go: - Niech żyje król!

Dwa dni później zjechali w świetlistą dolinę, gdzie leżała beztroska osada Valledupar. Na podwórkach toczyły się walki kogutów, na rogach ulic rozbrzmiewała muzyka akordeonów, jeźdźcy dosiadali rasowych koni, strzelały petardy, biły dzwony. Wznoszono pirotechniczny zamek. Fermina Daza nawet nie zauważyła zabawy. Zatrzymali

się w domu wujka Lisimaco Sancheza, brata jej matki, który zawczasu wyjechał im na spotkanie traktem królewskim, na czele zgiełkliwej kawalkady młodych krewniaków dosiadających najbardziej rasowych bestii w całej prowincji, by eskortować gości na ulicach miasteczka pośród huku sztucznych ogni. Dom stojący przy rynku, obok kolonialnego wielokrotnie odbudowywanego kościoła, ze względu na obszerne, ciemne pomieszczenia i wychodzącą na sad sień przesiąkniętą zapachem ciepłej melasy, wyglądał bardziej na skład gospodarski niż na budynek mieszkalny.

Ledwie zsiadli z koni, gościnne salony wypełniły się licznymi i nie znanymi krewnymi, którzy nękali Ferminę Dazę swą nieznośną wylewnością, ona zaś, cierpiąca z powodu odparzeń od siodła, nieprzytomna z braku snu, z pustym żołądkiem, nie była w stanie kochać nikogo na tym świecie, i chciała tylko znaleźć się w jakimkolwiek spokojnym i ustronnym miejscu, żeby móc się wypłakać. Jedynie jej kuzynka, Hildebranda Sanchez, dwa lata od niej starsza i obdarzona tą samą imperialną dumą, natychmiast domyśliła się, co jej dolega, bo i ona spalała się w żarze zbyt zuchwałej miłości. Wieczorem zaprowadziła ją do przygotowanej dla nich obu sypialni i nie mogła pojąć, jakim cudem Fermina Daza jeszcze żyje, mając miast pośladków jedną wielką, rozjątrzoną ranę. Przy pomocy swej matki, kobiety tak serdecznej i tak podobnej do swego męża, jakby byli bliźniakami, przygotowała jej nasiadówkę i uśmierzyła nieco ból kompresami z pomornika, podczas gdy pioruny zamku z petard i siarki wstrząsały posadami domu.

Około północy goście opuścili dom, zabawa publiczna rozproszyła się w liczne małe grupki, a kuzynka Hildebranda pożyczyła Ferminie Dazie nocną koszulę z madapolamu i pomogła jej ułożyć się w łóżku zasłanym miękkimi prześcieradłami i puchowymi poduszkami, które nagle wywołały u niej przelotną panikę szczęścia. Kiedy zostały wreszcie same w sypialni, zarygnowała drzwi i wyciągnęła spod rozłożonego przy jej łóżku dywanu kopertę zalakowaną pieczęciami Państwowego Telegrafu. Ferminie Dazie dość było ujrzeć promieniejącą przebiegłością twarz kuzynki, by w pamięci jej serca odrodził się przejmujący zapach białych gardenii, zanim jeszcze zdążyła rozerwać zębami lak pieczęci, by później do rana brodzić w morzu łez, jakie niosło z sobą jedenaście roznamiętnionych telegramów.

Wówczas dowiedziała się wszystkiego. Lorenzo Daza przed wyjazdem popełnił błąd, telegraficznie zawiadamiając o podróży swego szwagra, Lisimaka Sancheza, który z kolei przekazał wiadomość wszystkim bliższym i dalszym krewnym, rozsianym po rozlicznych miasteczkach i osadach prowincji. W ten oto sposób Florentino Ariza mógł nie tylko zdobyć informacje o całej trasie podróży, ale zmobilizować również długi ciąg bractwa

telegrafistów, by śledzić drogę Ferminy Dazy aż po ostatnie sioło Cabo de la Vela. Pozwoliło mu to prowadzić z nią ożywioną korespondencję od momentu przyjazdu do Valledupar, gdzie przebywała trzy miesiące, po kres podróży w Riohacha, półtora roku później, kiedy Lorenzo Daza, uznawszy, że córka zapomniała już raz na zawsze, postanowił wrócić do domu. Być może nawet nie uświadamiał sobie, jak bardzo osłabła jego czujność, gdy dał się zwieść serdeczności krewnych żony, którzy po tylu latach odłożyli na bok plemienne uprzedzenia, przyjmując go z całego serca jako jednego spośród swoich. Wizyta stała się późnym pojednaniem, choć nie to było jej celem. Rodzina Ferminy Sanchez ostro sprzeciwiła się w swoim czasie jej małżeństwu z chełpliwym i nieokrzesanym obieżyswiatem, imigrantem znikąd, którego handlowanie dzikimi mułami wydawało się zbyt proste, żeby mogło być uczciwe. Lorenzo Daza wysoko mierzył, jego wybranka była bowiem najlepszą partią w typowej dla tego regionu rodzinie: w rozgałęzionym rodzie nieokiełzanych kobiet i mężczyzn o łagodnym sercu i łatwym cynglu, obłudnie przewrażliwionych na punkcie honoru. Fermina Sanchez, mimo to, ze ślepą determinacją trudnych miłości, postawiła na swoim i wyszła za niego na przekór rodzinie, z takim pośpiechem i w tak wielkiej tajemnicy, iż wydawało się, że czyni to nie z miłości, lecz z potrzeby okrycia sakramentalną osłoną przedwczesnego owocu nieostrożności.

Dwadzieścia pięć lat później Lorenzo Daza, nie zdając sobie sprawy, iż jego nieprzejednanie wobec miłostek córki jest wierną powtórką jego własnej historii, żalił się na swój nieszczęsny los przed tymi samymi szwagrami, którzy nie akceptowali jego osoby, tak jak ci z kolei żalili się, w swoim czasie przed swoimi szwagrami. Ale dni, które on tracił na lamentach, zyskiwała jego córka, żyjąc miłością. Podczas gdy on kastrował byczki i ujeżdżał mulice na żyznych ziemiach szwagrów, ona przechadzała się swobodnie, w gromadzie kuzynek pod przewodem Hildebrandy Sanchez, najpiękniejszej z nich i najzyczliwszej, której beznadziejna namiętność do starszego o dwadzieścia lat, żonatego i dzieciatego mężczyzny musiała zadowolić się jedynie ulotnymi spojrzeniami.

Po przedłużonym pobycie w Valledupar kontynuowali podróż po górskich odnogach, przez okwiecone łąki i mesety z marzeń, i we wszystkich miasteczkach przyjmowano ich tak samo jak tam: muzyka i fajerwerki, kolejne wciągnięte w spiszek kuzynki i punktualnie przysyłane depesze w urzędach telegraficznych. Dość szybko Fermina Daza zdała sobie sprawę, że wieczór jej przyjazdu do Valledupar nie był wcale wyjątkowy, gdyż mieszkańcy tej urodzajnej prowincji przez cały tydzień żyli tak, jakby każdy dzień był świętem. Goście spali tam, gdzie zaskakiwała ich noc, i jedli tam, gdzie dopadał ich głód, domy były bowiem domami o nieustannie otwartych drzwiach i zawsze

czekał tam rozwieszony hamak i stojące na ogniu sancocho z trzech rodzajów mięs, na wypadek gdyby ktoś zjawił się wcześniej niż telegram z zapowiedzią, co zdarzało się zawsze. Hildebranda Sanchez towarzyszyła kuzynce przez resztę podróży, prowadząc ją z radosną subtelnością przez zawile gąszcze pokrewieństwa ku źródłom jej pochodzenia. Fermina Daza rozpoznała się, poczuła się po raz pierwszy panią siebie, poczuła, że ktoś jej towarzyszy i że jest pod opieką, a jej płuca napełniało powietrze wolności przywracające jej spokój i chęć życia. Nawet w swoich ostatnich latach wspominała ową podróż, coraz bliższą w pamięci, z perwersyjną wyrazistością nostalgii.

Pewnej nocy wróciła z codziennego spaceru oszołomiona olśnieniem, że może być szczęśliwa nie tylko bez miłości, ale i wbrew miłości. Olśnienie zatrwożyło ją, jedna z jej kuzynek usłyszała bowiem rozmowę swych rodziców z Lorenzem Dazą, w czasie której sugerował on możliwość wydania córki za jedyne go spadkobiercę bajecznej fortuny Kleofasa Moscote. Fermina Daza znała go. Widziała, jak tańczył po placach na swych doskonałych wierzchowcach przystrojonych w czapraki tak bogato zdobione, że z wyglądu raczej przypominały szaty liturgiczne: był elegancki i zręczny i miał rzęsy marzyciela, doprowadzające kamienie do westchnień, ale ona porównała go do swego wspomnienia Florentino Arizy siedzącego pod migdałowcami na skwerze, biednego, wychudzonego, z tomikiem wierszy przy piersi, i nie odnalazła w swym sercu nawet cienia wątpliwości.

W owych dniach Hildebranda Sanchez chodziła z głową w chmurach, pełna złudzeń po wizycie u wróżki, której jasnowidztwo zdumiało ją. Przerazona ojcowskimi zamiarami Fermina Daza również udała się do niej.

Karty powiedziały, że w jej przyszłości nie widać niczego, co mogłoby przeszkodzić jej długiemu i szczęśliwemu małżeństwu, i usłyszawszy tę przepowiednię odetchnęła z ulgą, nie pojmowała bowiem, jak miałyby dzielić ów szczęśliwy los z innym mężczyzną niż ten, którego kochała. Ożywiona tą pewnością, odzyskała całkowicie swą dawną samodzielność. W ten oto sposób korespondencja telegraficzna z Florentinem Arizą przeobraziła się, z koncertu zamiarów i pobożnych życzeń, w metodyczną, praktyczną i jak nigdy przedtem intensywną wymianę myśli. Ustalili daty, ustalili sposoby, zaangażowali życie obojga we wspólne silne postanowienie, że wezmą ślub nie pytając nikogo o zgodę, gdziekolwiek i jakkolwiek, skoro tylko spotkają się ponownie. Fermina Daza uznała te zobowiązania za tak wiążące, iż w ów wieczór, gdy ojciec pozwolił jej wziąć udział w jej pierwszym dorosłym balu, w Fonsece, wydało jej się niegodziwością przyjęcie zaproszenia bez uprzedniej zgody narzeczonego. Florentino Ariza był tej nocy w hotelu i grał w karty z Lotarem Thugutem, kiedy powiadomiono go, że ma pilne połączenie telegraficzne. Był to telegrafista z Fonseki,

który musiał łączyć się przez siedem pośrednich stacji, aby Fermina Daza mogła poprosić o zgodę na udział w balu. Otrzymawszy ją wreszcie, nie zadowolila się jednak zwykłym przyzwoleniem, lecz poprosiła o dowód, że to rzeczywiście Florentino Ariza operuje kluczem po drugiej stronie linii. Bardziej ogłupiały niż dumny, ułożył zdanie identyfikujące: „Powiedz jej, że przysięgam na boginię w koronie”. Fermina Daza rozpoznawszy hasło i odzew bawiła się na swym pierwszym dorosłym balu do siódmej rano, kiedy to musiała przebrać się błyskawicznie, by nie spóźnić się na mszę. Na dnie kufra przechowywała wówczas znacznie więcej listów i telegramów, niż zarekwirował jej ojciec przed wyjazdem, nauczyła się również używać forteli zameżnych kobiet. Lorenzo Daza odczytywał zmiany w jej sposobie bycia jako widome oznaki, że odległość i czas wyleczyły ją z młodzieńczych fantazji, nigdy jednak nie mówił z nią o projektowanym małżeństwie. Ich wzajemne stosunki nabrały cech poprawności - choć nie przekraczały granic formalnej rezerwy, którą mu narzuciła, gdy wypędził ciotkę Scholastykę - co pozwoliło im na współżycie do tego stopnia wygodne, iż nikt nie mógł wątpić, że oparte jest na czułości.

W tym właśnie okresie Florentino Ariza postanowił wyznać jej w liście, że zamierza wydobyć dla niej skarb zatopionego galeonu. Bo tak rzeczywiście było, sam pomysł zaś, niczym natchnienie, spłynął na niego w świetliste popołudnie, kiedy morze wydawało się wybrukowane aluminium, z powodu ogromnej masy ryb oszołomionych dziewanną i wyrzuconych na powierzchnię. Na widok rzezi z całego nieba zleciały się wrzeszcząc wszystkie ptaki i rybacy musieli je odpędzać wiosłami, żeby nie wydarły im owoców tego zakazanego cudu. Używanie dziewanny, która tylko usypia ryby, choć od czasów Kolonii prawnie zakazane, było powszechnie i w biały dzień stosowaną przez karaibskich rybaków praktyką, dopóki nie została ona wyparta przez dynamit. Jednym z ulubionych zajęć Florentina Arizy, pod nieobecność Ferminy Dazy, było przyglądanie się z falochronu rybakom wciągającym na łódzie niewody pełne uspiionych ryb. W tym samym czasie grupka dzieciaków, poruszających się w wodzie jak delfiny, namawiała gapiów, by rzucali im monety, które malcy zaraz wyławiali z dna. Były to te same dzieciaki, które wypływały w tym właśnie celu ku transatlantykom i o których tak się rozpisywano w Stanach Zjednoczonych i we Francji, podziwiając mistrzostwo małych nurków. Florentino Ariza znał je od niepamiętnych czasów, bo znał je, zanim poznał miłość, nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, że może potrafiłyby wydobyć z dna całą fortunę galeonu. Pomysł objawił mu się owego właśnie popołudnia i od najbliższej niedzieli aż do dnia powrotu Ferminy Dazy, niemal rok później, miał dodatkowy powód do oblędu.



Euklides, jeden z pływających dzieciaków, po nie trwającej nawet dziesięciu minut rozmowie zapalał takim samym entuzjazmem do owego pomysłu podmorskich poszukiwań. Florentino Ariza nie ujawnił mu prawdy o swym przedsięwzięciu, dogłębnie za to wywiedział się o podwodnych i żeglarskich umiejętnościach chłopca. Zapytał go, czy umie bez powietrza zanurkować na głębokość dwudziestu metrów, i Euklides powiedział, że tak. Zapytał, czy jest w stanie sam sterować łodzią rybacką na pełnym morzu w czasie sztormu bez żadnych przyrządów poza własnym instynktem, i Euklides powiedział, że tak. Zapytał, czy potrafi odnaleźć konkretne miejsce, szesnaście mil morskich na północny wschód od największej wyspy archipelagu Sotavento, i Euklides powiedział, że tak. Zapytał, czy mógłby płynąć w nocy kierując się gwiazdami, i Euklides powiedział, że tak. Zapytał, czy gotów jest zrobić to za tę samą dniówkę, jaką płacą mu rybacy za pomoc w łowieniu, i Euklides powiedział, że tak, ale za dodatkową opłatą pięciu reali w niedzielę. Zapytał, czy umie bronić się przed rekinami, i Euklides powiedział, że tak, bo zna różne magiczne sposoby, żeby je odstraszyć. Zapytał, czy obiecuje dochować sekretu, nawet gdyby zastosowano wobec niego narzędzia tortur w pałacu Inkwizycji, i Euklides powiedział, że tak, bo nigdy na nic nie odpowiadał nie, potrafił zaś mówić „tak” z takim przekonaniem, iż nie sposób było w to wątpić. Na koniec przygotował mu kosztorys wydatków: tyle za wynajem łodzi, tyle za wiosło, tyle za sprzęt rybacki, żeby nikt nie nabrał podejrzeń co do prawdziwego celu wypraw. Poza tym należało zabrać ze sobą prowiant, spory antałek słodkiej wody, lampę oliwną, pęk świec łojowych i róg myśliwski, na wypadek gdyby trzeba było wzywać pomocy.

Miał około dwunastu lat i był ruchliwy, sprytny, gadatliwy jak sroka i obdarzony ciałem węgorza, które sprawiało wrażenie, iż jest stworzone do prześlizgiwania się przez bulaje. Ciągłe przebywanie na słońcu i w słońcu tak wygarbowało mu skórę, iż trudno było się domyślić, jaka jest jej naturalna barwa, co z kolei czyniło jeszcze bardziej błyszczącymi jego duże żółte oczy. Florentino Ariza natychmiast ujrzał w nim wspaniałego współnika do przedsięwzięcia zapowiadającego tak obfite łowy, nie zwlekając więc dłużej, przystąpili do realizacji planu w najbliższą niedzielę.

O świcie wypłynęli z portu rybackiego, świetnie wyekwipowani i z jeszcze większym animuszem. Euklides, niemal nagi, bo jak zwykle zaledwie w przepasce na biodrach, Florentino Ariza zaś w surducie, w ponurym kapeluszu, w lakierkach, z romantyczną kokardą na szyi i z książką dla zabicia czasu w trakcie przeprawy ku wyspom. Już pierwszej niedzieli zdał sobie sprawę, że Euklides jest sternikiem równie sprawnym, jak nurkiem i że obdarzony jest zadziwiającą znajomością natury morza i zatokowego złomowiska. Potrafił

opowiedzieć z najbardziej nieprawdopodobnymi szczegółami historię każdej zżartej przez rdzę łajby, znał wiek każdej boi, pochodzenie każdej ruiny, ilość ogniów w łańcuchach, jakimi Hiszpanie blokowali wejście do zatoki. W obawie, że może również wywęszyć, jaki jest rzeczywisty cel ekspedycji, Florentino Ariza zadał mu szereg podchwytliwych pytań, i przekonał się, że Euklides nie ma najmniejszego pojęcia o zatopionym galeonie.

Od momentu, gdy usłyszał w hotelu po raz pierwszy opowieść o skarbie, Florentino Ariza zebrał wszelkie możliwe informacje na temat galeonów. Dowiedział się, że „San Jose” nie leży sam na koralowym dnie. Był to istotnie okręt flagowy Floty Łądu Stałego, przybyły tu po maju 1708 roku, z legendarnych targów Portobello w Panamie, gdzie załadował część swej fortuny: trzysta skrzyń srebra z Peru i Veracruz, sto dziesięć skrzyń pereł zebranych i oszacowanych na wyspie Contadora. W ciągu długiego miesiąca jego postoj, miesiąca trwających dzień i noc zabaw ludowych, załadowano resztę skarbu, którego przeznaczeniem miało być wyciągnięcie królestwa Hiszpanii z nędzy: sto szesnaście skrzyń szmaragdów z Muzo i Somondoco i trzydzieści milionów złotych monet.

Flota Łądu Stałego składała się z co najmniej dwunastu jednostek różnej wielkości i wypłynęła z tego portu strzeżona przez znakomicie uzbrojoną francuską eskadrę, co jednak nie uchroniło wyprawy przed celnymi strzałami eskadry angielskiej pod dowództwem Karola Wagera, czyhającej na Hiszpanów w pobliżu archipelagu Sotavento, przy wyjściu z zatoki. „San Jose” nie był więc jedynym zatopionym okrętem, aczkolwiek nie było żadnej udokumentowanej pewności, ile z nich faktycznie zatoneło, a ile zdołało zbiec przed ogniem Anglików. Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, iż okręt flagowy był jednym z pierwszych, który poszedł na dno, z całą załogą i ze stojącym nieruchomo na mostku kapitańskim dowódcą i że tylko pod jego pokładami znajdował się główny ładunek.

Florentino Ariza zapoznał się ze szlakiem galeonów na ówczesnych mapach nawigacyjnych i, jak sądził, udało mu się ustalić miejsce zatonięcia. Wypłynęli z zatoki między obiema fortecami Boca Chica i po czterogodzinnej podróży wpłynęli na wewnętrzne wody archipelagu, z którego koralowego dna można było ręką wyciągać śpiące langusty. Powietrze było tak delikatne, morze zaś tak spokojne i przezroczyste, że Florentino Ariza poczuł się, jakby był swoim własnym odbiciem w wodzie. Na skraju stojących wód, dwie godziny od największej wyspy, znajdowało się miejsce zatonięcia okrętu.

Z twarzą spaloną piekielnymi promieniami słońca, ale wciąż okutany w swój pogrzebowy strój, Florentino Ariza powiedział Euklidesowi, żeby zanurkował na dwadzieścia metrów i spróbował wydobyć na powierzchnię jakąkolwiek rzecz znaną

na dnie. Woda była tak czysta, iż widział jak chłopiec płynie niczym zaśniedziały rekin pośród rekinów błękitnych, które przecinały mu drogę, ale go nie dotykały. Później zobaczył, jak znika w gąszczu koralu, i w chwili, kiedy pomyślał, że pewnie brakuje mu już powietrza, usłyszał za plecami jego głos. Euklides, unosząc ręce, stał na dnie, w wodzie po pas. Zaczęli więc szukać głębszych miejsc, wciąż kierując się na północ, płynąc nad niemrawymi rajami, płochliwymi kalmarami, różami mroków, póki Euklides nie zrozumiał, że marnują czas.

- Jak mi pan nie powie, czego mam szukać, to jak ja to znajdę? - powiedział.

Ale nie powiedział mu. Wówczas Euklides zaproponował, żeby Florentino rozebrał się i zanurkował razem z nim, choćby tylko po to, żeby zobaczyć to inne niebo pod tamtym światłem, jakim były koralowe głębiny raf koralowych. Ale Florentino Ariza zwykł mawiać, że Bóg stworzył morze tylko po to, żeby można było patrzeć na nie przez okno, i nigdy nie nauczył się pływać. Nieco później zachmurzyło się, ochłodziło, powietrze stało się wilgotne, a ciemności zapadły tak gwałtownie, iż musieli kierować się światłem latarni morskiej, żeby odnaleźć drogę do portu. Zanim wpłynęli na wody zatoki, ujrzeli mijający ich z bliska olbrzymi biały transatlantyk z Francji, z wszystkimi światłami zapalonymi, zostawiający za sobą soczysty ślad pieczeni i gotowanych kalafiorów.

I tak zmarnowali trzy niedziele i nadal by je marnowali, gdyby Florentino Ariza nie postanowił wreszcie dopuścić Euklidesa do swego sekretu. Chłopiec zmienił wówczas plan poszukiwań, i to na tyle, że popłynęli dawnym szlakiem galeonów, znajdującym się dwadzieścia mil morskich na wschód od ustalonego przez Florentina Arizę miejsca. Po niespełna dwóch miesiącach poszukiwań, w deszczowe popołudnie na pełnym morzu, Euklides tak długo przebywał na dnie, iż łódź zdążyła zdryfować dość daleko od miejsca nurkowania, i musiał do niej płynąć prawie pół godziny, bo Florentino Ariza nie był w stanie dowiosłować do niego. Kiedy jednak wciągnął się wreszcie na łódź, wyjął z ust i pokazał, na dowód triumfu wieńczącego upór, dwa kobiece klejnoty. To, co wówczas opowiedział, było tak fascynujące, że Florentino Ariza natychmiast przyrzekł sobie, iż nauczy się pływać i nurkować jak tylko się da najgłębiej, tylko po to, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy. Chłopiec opowiedział, że w tym miejscu, na głębokości zaledwie osiemnastu metrów, leży między koralowcami tyle starych żaglowców, że nie sposób je nawet policzyć, a rozrzucone są na tak rozległej przestrzeni, że trudno je nawet ogarnąć wzrokiem. Opowiedział, że najbardziej zaskakujące jest to, że spośród tylu wraków unoszących się na wodach zatoki żaden nie jest w tak dobrym stanie jak zatopione okręty. Opowiedział, że są tam karawele z nietkniętymi żaglami i że zatopione okręty są widzialne

w głębinach w całej swojej okazałości, bo sprawiają wrażenie, jakby zatoneły razem ze swoją przestrzenią i swoim czasem, tak że leżą tam oświetlane tym samym słońcem godziny jedenastej rano soboty 9 czerwca, kiedy poszły na dno. Opowiedział, zachłystując się rozmachem własnej wyobraźni, że najłatwiejszy do rozpoznania jest galeon „San Jose”, bo na rufie wyraźnie widać złote litery jego nazwy, chociaż jest to okręt najbardziej zniszczony przez artylerię Anglików. Opowiedział, że w środku ujrzał ponad trzystuletnią ośmiornicę, której macki wychodziły przez otwory strzelnicze i która tak się rozżyła w jadalni, że aby ją uwolnić, trzeba by rozmontować okręt. Opowiedział, że widział ciało dowódcy unoszące się na boku, w mundurze wojennym, wewnątrz akwarium mostku kapitańskiego, a do ładowni ze skarbem nie zajrzał tylko dlatego, że nie starczyło mu już powietrza w płucach. A oto dowody: kolczyk ze szmaragdem i medalik z Matką Boską z łańcuszkiem nadżartym przez saletrę.

Była to pierwsza wzmianka o skarbie, jaką Florentino Ariza przekazał Ferminie Dazie w liście przesłanym do Fonseki tuż przed jej powrotem. Historia zatopionego galeonu nie była jej obca, słyszała, jak często rozprawał o tym Lorenzo Daza, który ongiś stracił mnóstwo czasu i pieniędzy usiłując przekonać towarzystwo nurków niemieckich, by stworzyli z nim spółkę w celu odzyskania zatopionego skarbu. I nie odstąpiłby od tego przedsięwzięcia, gdyby wielu członków Akademii Historii nie przekonało go, że legenda o spoczywającym na dnie galeonie została wymyślona przez jednego z wicekrólów i zarazem złodzieja, który przywłaszczył sobie dobra Korony. W każdym razie Fermina Daza wiedziała, że galeon znajduje się na głębokości nie dwudziestu, jak twierdził Florentino Ariza, lecz dwustu metrów, gdzie żaden człowiek nie był w stanie zejść. Przyzwyczajona już do jego poetyckich wybryków, radośnie przyjęła przygodę z galeonem jako jeden z bardziej udanych.

Otrzymałszy jednak następne listy z coraz bardziej fantastycznymi szczegółami, opisanymi z taką samą powagą, z jaką składał miłosne obietnice, musiała zwierzyć się Hildebrandzie ze swych obaw, czy aby jej bujający w obłokach narzeczony nie stracił całkowicie rozumu.

W owych dniach Euklides zdołał wydobyć na powierzchnię takie ilości dowodów potwierdzających jego bajeczną opowieść, że przestało to już być kwestią li tylko wyłuskiwania rozsianych pośród koralowców bransolet i pierścionków, bo sprawa dojrzała do tego, by pomyśleć o założeniu dużego przedsiębiorstwa, które zajęłoby się wydobywaniem pół setki okrętów skrywających w swych ładowniach bajeczną fortunę. I stało się wówczas to, co wcześniej czy później stać się musiało: Florentino Ariza poprosił matkę o pomoc w

doprowadzeniu przedsięwzięcia do celu. Jej zaś wystarczyło nadgryźć metal klejnotów i przyjrzeć się pod światło szklanym kamyczkom, aby zrozumieć, że ktoś niecnie wykorzystuje łatwowierność jej syna. Euklides na kolanach przysiągł Florentinowi Arizie, że w tym, co robi, nie ma nic podejrzanego, niemniej w najbliższą niedzielę nie pojawił się już w porcie rybackim i nie pojawił się już nigdy nigdzie.

Miłosny azyl latarni morskiej stał się jedyną rzeczą, jaką Florentino Ariza zyskał w wyniku swej klęski. Dotarł do niej w łodzi Euklidesa, gdy pewnej nocy zaskoczyła go burza na pełnym morzu, i od tamtej pory zwykł chodzić tam wieczorami, by rozmawiać z latarnikiem o niezliczonych, a znanych latarnikowi cudach na lądzie i wodzie. Dało to początek przyjaźni, która przetrwać miała niejedną zmianę na świecie. Florentino Ariza nauczył się podtrzymywać światło w latarni, z początku dokładając drewna, później zaś dolewając olej z dzbanów, jeszcze w czasach, gdy nie było u nas elektryczności. Nauczył się kierować snopem światła, wzmacniać je za pomocą zwierciadeł, a kiedy latarnik nie mógł akurat pełnić służby, wielokrotnie zostawał nawet na noc, by z wieży obserwować morze. Nauczył się rozpoznawać statki po ich głosach, i po rozmiarach światła na widnokregu, jak również dostrzegać, że i do niego powraca jakieś przesłanie w błyskach latarni. Za dnia, a w szczególności w niedzielę, znajdowali sobie inną rozrywkę. W zamieszkiwanej przez staromiejskich bogaczy dzielnicy wicekrólów plaża przeznaczona wyłącznie dla kobiet oddzielona była od męskich plaż cementowymi murami: z prawej i z lewej strony latarni morskiej. Latarnik zainstalował więc lunetę, przez którą można było, płacąc jednego centavo, podglądać damską plażę. Panienki z wyższych sfer, nieświadome tego, iż są obiektem obserwacji, demonstrowały sobie nawzajem to, co miały najlepszego wewnątrz swych strojów kąpielowych - obszytych ogromnymi falbankami i uzupełnionych pantofelkami i kapeluszami - które przykrywały niemal tyle samo ciała, co zwykłe stroje, a do tego były jeszcze mniej atrakcyjne. Ich matki, siedząc tuż nad brzegiem morza, w pełnym słońcu, na wiklinowych bujakach, w tych samych sukniach, w tych samych kapeluszach z piórami, z tymi samymi parasolkami z organdy, jakie miały na porannej mszy, nie spuszczały z nich oka, bacząc, aby mężczyźni z sąsiednich plaż nie uwiedli córek pod wodą. Aczkolwiek przez lunetę nie sposób było dostrzec nic ponadto, jak i nic odrobinę bardziej podniecającego, niż zazwyczaj widziało się na ulicy, w każdą niedzielę pojawiała się sporo klientów wrywających sobie z rąk teleskop dla samej rozkoszy posmakowania mdłych owoców z cudzego ogródka.

Florentino Ariza był jednym z nich, bardziej z nudów niż dla przyjemności, jednakże nie z powodu tej dodatkowej atrakcji tak bardzo zaprzyjaźnił się z latarnikiem. Rzeczywista

przyczyna kryła się w tym, iż kiedy wzgardzony przez Ferminę Dazę, chcąc za wszelką cenę czymś ją zastąpić, dostał gorączki miłości rozmiękanej na drobne i w żadnym innym miejscu, jak właśnie w latarni, nie przeżył szczęśliwszych godzin i nie znalazł większej pociechy w swych strapieniach. Było to jego ukochane miejsce. Do tego stopnia, że w ciągu wielu lat próbował przekonać matkę, a później wuja Leona XII, by dopomogli mu ją kupić. Latarnie morskie na Karaibach stanowiły bowiem wówczas własność prywatną, a ich właściciele pobierali opłaty za prawo wpłynięcia do portu, w zależności od wielkości statku. Florentino Ariza sądził, iż jest to jedyny godziwy sposób zrobienia dobrego interesu na poezji, jednak ani matka, ani wuj nie podzielali jego opinii, kiedy zaś mógł to sam przeprowadzić w oparciu o własne środki, latarnie morskie przeszły na własność państwa.

Żadne z tych marzeń nie było jednak daremne. Baśniowa historia galeonów, a później nowość latarni morskiej dodawały mu otuchy i wypełniały pustkę pod nieobecność Ferminy Dazy, do tego stopnia, iż w najbardziej niespodziewanej chwili zaskoczyła go wiadomość o Jej powrocie. Lorenzo Daza, w rzeczy samej, po przedłużonym pobycie w Riohacha postanowił wrócić. Nie był to, zważywszy grudniowe pasaty, okres szczególnie pomyślny dla żeglugi morskiej, archaiczna, ale i jedyna goleta gotowa podjąć się ryzykownego rejsu mogła równie dobrze, zniesiona przeciwnymi wiatrami, znaleźć się o świcie z powrotem w macierzystym porcie. I tak się zresztą stało. Fermina Daza przeżyła noc agonii wymiotując żółcią, przywiązana do koi w kajucie przypominającej dworcową ubikację, zarówno z powodu męczącej ciasnoty, jak smrodu i zaduchu. Kołysanie było tak gwałtowne, iż wielokrotnie ulegała wrażeniu, że lada chwila pękną pasy koi, z pokładu dobiegały rozdzierające wrzaski niczym krzyki tonących, a tygrysie chrapanie ojca na sąsiedniej koi jeszcze bardziej zwiększało jej trwogę. Po raz Pierwszy od niemal trzech lat spędziła bezsenną noc nie myśląc ani przez chwilę o Florentino Arizie, podczas gdy on, wprost przeciwnie, przez całą noc nie zmrużywszy oka leżał w hamaku rozwieszonym na zapleczu, licząc jedną po drugiej ciągnące się w nieskończoność minuty do jej powrotu. O świcie wiatr nagle ustał, morze się uspokoiło, a Fermina Daza zdała sobie sprawę, że pomimo nieznośnych mdłości cały czas spała, obudził ją bowiem zgrzyt kotwicznego łańcucha. Odpięła wówczas pasy i spojrzała przez świetlik, w nadziei że dostrzeże Florentina Arizę w portowym tłumie, ale ujrzała składy celne pośród ozłoconych pierwszymi promieniami słońca palm i zgniłe deski kei w Riohacha, skąd goleta odbiła poprzedniej nocy.

Resztę dnia przeżyła niczym koszmarne halucynacje, w tym samym domu, w którym przebywała wczoraj, przyjmując tych samych gości, którzy już ją wczoraj pożegnali,

rozmawiając o tym samym co wczoraj, oszołomiona wrażeniem, że ponownie przeżywa przeżyta już część życia. Powtórka była tak wierna, że Fermina Daza drżała na samą myśl, iż dotyczy ona również podróży goletą, której wspomnienie wciąż ją przerażało. Ale jedyną alternatywą drogi powrotnej była dwutygodniowa wyprawa górkimi traktami, na mułach, w warunkach znacznie bardziej niebezpiecznych niż za pierwszym razem bo w andyjskim stanie Cauca rozgorzała kolejna wojna domowa rozszerzając się na karaibskie prowincje. Tak więc o ósmej wieczorem ponownie została odprowadzona do portu przez ten sam orszak wrzaskliwych, wylewających te same pożegnalne łzy krewnych, z tymi samymi paczkami prezentów z ostatniej chwili, nie mieszczącymi się w kajutach. W momencie odbijania od nabrzeża męska część rodu pożegnała goletę oddając w powietrze serie strzałów, a Lorenzo Daza odpowiedział im z pokładu pięcioma strzałami z rewolweru. Trwoga Ferminy Dazy natychmiast ustąpiła, gdyż przez całą noc wiał sprzyjający wiatr, a morze pachniało kwiatami, co pozwoliło jej zasnąć szczęśliwie bez pasów bezpieczeństwa. Śniło jej się, że znowu widzi Florentina Arizę, ale on zdarł swoją twarz, twarz dotychczas jej znaną, bo w rzeczywistości była to maska. Ale prawdziwa twarz okazała się taka sama. Wstała bardzo wcześnie, zaintrygowana tym zagadkowym snem, i w kapitańskiej kantine spotkała ojca pijącego mocną kawę z brandy: z przekrzywionym od alkoholu okiem, ale bez najmniejszych oznak niepewności co do powrotu.

Wpływali do portu. Goleta cicho prześlizgiwała się przez labirynt żaglowców zakotwiczonych w zatoczce targu publicznego - jego odór wyczuwało się na morzu już od wielu mil - świt zaś przesycony był jasną mżawką, która szybko przeszła w ulewę i to jedną z najbardziej gwałtownych. Warując na balkonie urzędu telegraficznego Florentino Ariza dostrzegł statek w chwili, gdy przeciąwszy zatokę Las Animas z przyduszonymi przez deszcz żaglami kotwiczył przy nabrzeżu targowiska. Poprzedniego dnia czekał do jedenastej rano, kiedy dowiedział się z przypadkowego telegramu o opóźnieniu golety z powodu niesprzyjających wiatrów, a jeszcze tego dnia czekał znowu, od czwartej rano. Cekał nie odrywając wzroku od szalup przewożących na brzeg tych nielicznych pasażerów, którzy zdecydowali się wysiąść pomimo burzy. Większość z nich musiała w połowie drogi opuścić osiadłą na mieliźnie szalupę i dojsć do nabrzeża brodząc w błocie. O ósmej, kiedy już dość długo i na próżno czekali, aż przestanie padać, czarny tragarz, stojąc po pas w wodzie odebrał Ferminę Dazę z nadburcia żaglowca i, trzymając ją w ramionach, przeniósł na brzeg, była jednak tak przemoczona, że Florentino Ariza nie mógł jej rozpoznać.

Sama nie uświadamiała sobie, jak bardzo dojrzała podczas podróży, dopóki nie weszła do zamkniętego domu i nie podjęła natychmiast heroicznej walki o doprowadzenie

go do stanu użyteczności przy pomocy Gali Placidii, czarnej służącej, która stawiała się natychmiast, gdy tylko powiadomiono ją o ich przybyciu opuszczając swoje dawne osiedle niewolników. Fermina Daza nie była już rozpieszczaną, choć i tyranizowaną zarazem przez ojca jedynaczką; była gospodynią i panią pokonanego przez kurz i pajęczyny imperium, które można było odzyskać wyłącznie dzięki sile niezwykłej miłości. Nie upadła na duchu, czuła się bowiem natchniona jakimś uniesieniem, które pozwoliłoby jej ruszyć z posad cały świat. Tej samej nocy, gdy pili czekoladę z ciasteczkami serowymi przy stole w kuchni, ojciec przekazał jej pełnię władzy w domu i uczynił to z zachowaniem wszelkich formalności świętego rytuału.

- Wręcam ci klucze do twego życia - powiedział.

Ona, mając skończone siedemnaście lat, przejęła daną jej władzę pewną ręką, świadoma, iż każda piędź zdobytej swobody przeznaczona jest dla miłości. Nazajutrz, po nocy pełnej koszmarów sennych, po raz pierwszy opadły ją obawy związane z powrotem, kiedy otworzyła balkonowe okno i znów ujrzała smutną mżawkę nad skwerem, posąg zdekapitowanego bohatera, marmurową ławę, na której zwykł siadać Florentino Ariza z tomikiem wierszy. Nie myślała już o nim jak o nieosiągalnym narzeczonym, ale jak o niewątpliwym mężu, do którego należała duszą i ciałem. Wiedziała, jak dużo czasu roztrwonila od chwili swego wyjazdu, jaka jest cena pozostania przy życiu, jak wiele miłości będzie jej trzeba, żeby mogła kochać swego mężczyznę jak Bóg przykazał. Zdziwiła się, że nie ma go w parku, gdzie tak często przychodził pomimo deszczu, i że nie otrzymała od niego żadnego znaku, choćby tak nieuchwytnego jak przecucie, i nagle wstrząsnęły ją dreszcze na myśl, że umarł. Ale natychmiast oddaliła złe myśli, bo w szaleństwie telegramów ostatnich dni zapomnieli wobec bliskości powrotu uzgodnić, w jaki sposób mieliby się skontaktować po jej przyjeździe.

Tak naprawdę zaś Florentino Ariza był przekonany, że nie wróciła, dopóki telegrafista z Riohacha nie potwierdził, że w piątek weszła na pokład golety, która nie dopłynęła poprzedniego dnia z powodu niesprzyjających wiatrów. Pod koniec tygodnia zaczął więc wyglądać jakichkolwiek oznak życia w jej domu i w poniedziałek, o zmierzchu, dostrzegł w oknach błędne światełko, które tuż po dziewiątej zgasło w sypialni od strony balkonu. Nie zasnął, ulegając tym samym skłonnościom do mdłości, które zakłóciły jego pierwsze miłosne noce. Transito Ariza wstała z kurami, zaniepokojona, że syn wyszedłszy o północy na patio, nie wrócił do mieszkania i nie było go w domu. Ruszył w błędną wędrówkę po falochronach, recytując pod wiatr miłosne wiersze, płacząc z radości, aż w końcu zaczęło świtać. O ósmej zasiadł pod arkadami „Parafialnej”, otepiały i niewyspany,



zastanawiając się, jak przekazać Ferminie słowa powitania, kiedy nagle poczuł, że wnętrzości jego rozdziera sejsmiczny wstrząs.

To była ona. Szła przez Plac Katedralny razem z niosącą kosze na zakupy Galą Placidia, po raz pierwszy ubrana nie w szkolny mundurek. Była wyższa niż przed odjazdem, rysy miała bardziej pociągłe, była kształtniejsza, promieniała urodą, którą wysubtelniła pewność siebie dorosłej osoby. Warkocz zdążył już jej odrosnąć, ale nie spuszczała go już na plecy, lecz przerzucała przez lewe ramię, i ta prosta odmiana zatarła w niej wszelkie dziecięce rysy. Skamieniały Florentino Ariza nie ruszył się z miejsca, dopóki zjawiskowa istota, patrząc wyłącznie przed siebie, nie przeszła przez cały plac. Ale ta sama nieprzeparta siła, która go sparaliżowała, zmusiła go zarazem do rzucenia się jej śladem, gdy skręciła za katedrą niknąc w ogłuszającym tumultie handlowych zaułków.

Podążał za nią niepostrzeżenie, odkrywając najzwyklejsze gesty, wdziek, przedwczesną dojrzałość najbardziej przez niego ukochanej istoty, którą po raz pierwszy widział tak swobodną i naturalną. Zadziwiła go zwinność, z jaką torowała sobie drogę w tłumie. Podczas gdy Gala Placidia co chwila na kogoś wpadała, zawadzała o coś koszami i rzucała się nagle do biegu, by nie stracić panienki z oczu, ona płynęła przez uliczny chaos pod żaglami własnej przestrzeni i odmiennego czasu, z nikim się nie zderzając, jak nietoperz w ciemnościach. Wielokrotnie bywała w dzielnicy handlowej z ciotką Scholastyką, zawsze były to jednak pomniejszych sprawunki, jej ojciec bowiem zaopatrywał dom osobiście, zresztą nie tylko w meble i żywność, ale nawet w damską bieliznę. To pierwsze wyjście było dla niej zatem fascynującą przygodą wymarzoną w dziewczęcych snach.

Nie zwróciła uwagi na zachęty zaklinaczy węży oferujących jej syrop wiecznej miłości ani na błagania leżących w bramach żebraków pokrytych rozognionymi ranami, ani na fałszywego Indianina usiłującego jej sprzedać wytresowanego kajmana. Odbiła długą, mozolną wędrówkę, bez uprzednio obranego kierunku, a zatrzymywała się tylko po to, by bez pośpiechu cieszyć się samą naturą rzeczy. Wchodziła do każdej bramy, gdzie było cokolwiek do sprzedania, i wszędzie odnajdywała coś, co zwiększało jej chęć życia. Rozkoszowała się wetiweriowym zapachem tkanin w kufrach, owijała się w malowane jedwabie, uśmieła się z własnego śmiechu, gdy w „Złotym Drucie” ujrzała się w dużym lustrze przebrana za Hiszpankę, z ozdobnym grzebieniem i z wymalowanym w kwiaty wachlarzem. W składzie artykułów zamorskich zajrzała do beczki z solonymi śledziami, które przypomniały jej północno - wschodnie noce, gdy była małą dziewczynką, w San Juan de la Cienaga. Dali jej do skosztowania kaszanek z Alicante, o smaku lukrecji, po

czym kupiła dwie na sobotnie śniadanie, a oprócz tego dwa płaty suszonego dorsza i butelkę nalewki porzeczkowej. W sklepie korzennym, wyłącznie dla dogodzenia wężowi, starła liście szałwi i bazylii w dłoniach i kupiła garść wonnych goździków, garść gwiazdzistego anyżu i jeszcze po jednej imbiru i jałowca, i wyszła zalana łzami ze śmiechu od kichania wywołanego tureckim pieprzem. We francuskiej drogerii, gdy kupowała mydła „Reuter” i wodę styraksową, lekko natarli ją za uchem modnymi wówczas w Paryżu perfumami i podarowali jej pastylkę do odświeżania oddechu po paleniu.

Bawiła się w zakupy, nie inaczej, ale to, co rzeczywiście było jej niezbędne, kupowała bez namysłu, ze stanowczością nie pozwalającą wątpić, że nie czyni tego po raz pierwszy, bo w pełni świadoma, iż nie kupuje wyłącznie dla siebie, ale również i dla niego, wzięła dwanaście jardów lnu na obrusy na ich wspólny stół, perkal na ślubne prześcieradła z rosą ich najintymniejszej wilgoci o świcie, wszystko, co najlepsze, by móc razem cieszyć się tym w domu miłości. Prosiła o rabat, a prosić potrafiła, targowała się z wdziękiem i godnością, póki nie uzyskała najlepszej ceny, i płaciła sztukami złota, sprawdzanymi przez kramarzy tylko dla czystej przyjemności, by usłyszeć, jak rozbrzmiewa ich śpiew na marmurze kontuaru.

Florentino Ariza śledził ją oczarowany, podążając za nią z zapartym tchem, coraz to wpadając na kosze służącej, która na jego przeprosiny odpowiadała uśmiechem, ona zaś przechodziła tak blisko niego, iż zdołał poczuć bryzę jej zapachu i jeśli wówczas jeszcze go nie spostrzegła, to nie dlatego, że nie mogła, lecz ponieważ chodząc trzymała się prosto i wyniośle. Wydawała mu się tak piękna, tak powabna, tak odmienna od zwykłych ludzi, iż nie pojmował, dlaczego nikt, tak jak on nie odchodził od zmysłów słysząc kastaniety jej obcasów na ulicznym bruku ani nie dostawał palpacji serca od powietrznych westchnień jej falbanek, ani nie szalał z miłości świat cały od powiewu jej warkocza, trzepotu jej rąk, blasku jej uśmiechu. Nie uszedł mu żaden jej gest, ani jedna cecha charakteru, ale nie śmiał zbliżyć się do niej w obawie, iż czar pryśnie. Kiedy jednak rzuciła się w ciżbę Bramy Pisarzy, nagle zrozumiał, że może stracić okazję, o której marzył przez lata.

Fermina Daza dzieliła ze swymi szkolnymi koleżankami niezwykle przekonanie, że Brama Pisarzy jest miejscem potępienia, oczywiście surowo zakazanym dla przyzwoitych pańienek. Były to podcienia przy placyku, gdzie gromadziły się dorożki i wozy ładowne ciągnięte przez osły, a uliczny handel wprost kipiał od wrzawy i tłoku. Nazwa pochodziła jeszcze z czasów kolonialnych, siadali tam bowiem małomówni kaligrafowie w płóciennych kamizelkach i w zarękawkach, przepisujący na zamówienie, i za psi grosz wszelkie dokumenty: memoriały z zażaleniami, petycje, prawne alegaty, pisma z gratulacjami lub z

kondolencjami, listy miłosne z wyznaniem miłości młodych i starych. To nie im oczywiście owo wrzaskliwe targowisko zawdzięcza swoją złą sławę, lecz późniejszym straganiarzom, którzy wyciągali spod lady wszelakie podejrzane autoramentu artykuły przemycane na statkach z Europy, od pornograficznych pocztówek i maści podniecających po słynne katalońskie prezerwatywy z grzebieniami iguan, przechodzącymi w trzepot w najodpowiedniejszym momencie, lub z kwiatami rozchylającymi swe płatki stosownie do woli użytkownika. Fermina Daza, niezbyt nawykła do poruszania się po ulicach, weszła w podcienia nie bacząc, gdzie idzie, i szukając w cieniu ulgi przed prażącym słońcem godziny jedenastej.

Zanurzyła się w gorący harmider czyścibutów, ptaszników, bukinistów, znachorów i sprzedawczyń słodczy, które przekrzykiwały wrzask tłumów obwieszczając ananasowe cukierki dla każdej panienki, kokosowe na osłodę, landrynki dla blondynki. Nie zważała jednak na tumult, natychmiast urzeczona handlarzem demonstrującym magiczne atramenty, czerwone atramenty we wszystkich odcieniach krwi, atramenty w smutnych tonach na wieści żałobne, atramenty fosforyzujące do czytania w ciemnościach, atramenty niewidzialne, które stawały się widzialne w blasku światła. Zapragnęła wszystkich, do wspólnej zabawy z Florentinem Arizą, żeby zadziwić go swą przemyślnością, a w końcu, po wielu próbach, zdecydowała się na flakonik złotego atramentu. Potem podeszła do siedzących za ogromnymi słojami bab od słodczy i kupiła po sześć ciastek z każdego rodzaju, wskazując każde palcem przez szkło, nie mogła bowiem przekrzyczeć tych wszystkich wrzasków: sześć anielskich włosów, sześć krówek, sześć sezamków, sześć jukowych ciasteczek, sześć kremówek, sześć ponczowych, sześć takich, sześć siakich, sześć wszystkiego, i wrzucała je do koszów służącej z nieodpartym wdziękiem, całkowicie obojętna na dokuczliwe roje much unoszące się nad syropem, obojętna na nieustanną wrzawę, obojętna na falujące w śmiertelnym upale opary stęchłego potu. Z zauroczenia przebudziła ją rozradowana Murzynka w kolorowym perkaliku na głowie, podsuwająca jej wbity na ostrze rzeźnickiego noża plaster ananasa. Wzięła go, wsadziła w całości do ust, skosztowała i smakując błędziła wzrokiem po tłumie, kiedy nagle sparaliżowało ją. Zza pleców, tak blisko swego ucha, iż tylko ona mogła dosłyszeć go w tumulcie, doszedł ją głos:

- To nie jest miejsce dla bogini w koronie. Odwróciła głowę i ujrzała, dwie piędzi od własnych oczu, te same lodowate oczy, siną twarz, usta skamieniałe z przerażenia, które zobaczyła kiedyś w ciżbie pasterki, gdy po raz pierwszy znalazł się tak blisko niej, ale, w odróżnieniu od tamtej chwili, tym razem jednak zamiast miłosnego wzruszenia ogarnęła ją otchłań rozczarowania. W jednej sekundzie objawił jej się w całej okazałości ogrom własnej

pomyłki i przerażona zadała sobie pytanie, jak mogła przez tyle czasu, z takim okrucieństwem nosić w sercu podobną chimere. I pomyślała jedynie: „Mój Boże, biedny człowiek”. Florentino Ariza usiłował coś powiedzieć, chciał iść za nią, ale ona wymazała go ze swojego życia jednym ruchem ręki.

- Nie - powiedziała. - Proszę zapomnieć.

Tego samego popołudnia, gdy ojciec odsypiał sjęstę, wysłała mu przez Galę Placidę list składający się z dwóch linijek: „Dziś, ujrzawszy pana, zrozumiałam, że wszystko między nami jest tylko ułudą”. Służąca zniosła mu również jego telegramy, jego wysuszone kamelie i poprosiła, by zwrócił otrzymane od niej listy i prezenty: mszał ciotki Scholastyki, unerwienie liści z zielników Ferminy, centymetr kwadratowy habitu świętego Piotra Claver, medaliki świętych, warkocz jej piętnastu lat z jedwabną kokardą szkolnego mundurka. W ciągu następnych dni, na skraju oblędu, napisał do niej wiele rozpaczliwych listów, zamęczając służącą, żeby je wzięła, ta jednak wypełniała co do joty kategoryczne polecenia, by poza zwracanymi prezentami niczego nie przyjmować. Nalegała z takim uporem, że Florentino Ariza odesłał wszystko, prócz warkocza, którego nie chciał oddać, dopóki Fermina Daza nie przyjmie go osobiście na krótką bodaj rozmowę. Nie dopiął swego. Transito Ariza, obawiając się przerażającej determinacji syna, odłożyła na bok poczucie własnej godności i poprosiła Ferminę Dazę o udzielenie jej pięciominutowej łaski, Fermina Daza przyjęła ją więc na chwilę w sieni swego domu, na stojąco, nie zapraszając do środka i nie okazując najmniejszej słabości. W dwa dni później, po zażartej kłótni z matką, Florentino Ariza zdjął ze ściany swej sypialni zakurzone szklane gniazdo, w którym przechowywał warkocz niczym świętą relikwię, a Transito Ariza zwróciła go osobiście w szkatułce wyściełanej aksamitem z wyhaftowanymi złotą nicią wzorami. Florentino Ariza już nigdy więcej, mimo tylu spotkań w czasie ich długiego życia, nie miał sposobności zetknięcia się sam na sam z Ferminą Dazą ani porozmawiania z nią w cztery oczy, i uczynić to mógł dopiero po pięćdziesięciu jeden latach, dziewięciu miesiącach i czterech dniach, kiedy ponowił wobec niej przysięgę dozgonnej wierności i wiecznej miłości, w jej pierwszą wdowią noc.

Dwudziestoosmioletni doktor Juvenal Urbino należał do najbardziej obleganych kawalerów. Wrócił po dłuższym pobycie w Paryżu, gdzie ukończył studia medyczne i zrobił specjalizację w chirurgii, i już od pierwszego momentu, gdy ponownie dotknął stopami lądu stałego, dał przytłaczające dowody, iż nie zmarnował ani minuty swego czasu. W dniu powrotu był bardziej dystyngowany, bardziej opanowany niż przed wyjazdem i żaden z jego kolegów z tego samego rocznika nie wydawał się poważniejszym w swym fachu i

mądrzejszym profesjonalistą od niego, ale i nie było nikogo, kto lepiej od niego tańczyłby do modnej wówczas muzyki i lepiej improwizował na pianinie. Zwabione jego osobistym urokiem i przekonaniem o rodzinnej fortunie panny z jego sfery urządzały sekretne loterie, ciągnąc losy o jego względy, a i on grał z nimi o ich względy, ale zdołał pozostać w stanie łaski nietknięty i uwodzicielski, póki nie uległ plebejskim urokom Ferminy Dazy.

Lubił mawiać, iż miłość ta była owocem pomyłki klinicznej. Sam nie był w stanie uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć, i to właśnie w tym momencie jego życia, kiedy wszystkie emocjonalne zasoby koncentrowały się na losie jego miasta, o którym powiadał, nazbyt często i bez chwili zastanowienia, że drugiego takiego nie ma na świecie. W Paryżu, gdy spacerował późną jesienią pod rękę z ówczesną przejściową sympatią, wydawało mu się, iż nie ma dlań większego błogostanu niż owe złotawe wieczory z wiejskim zapachem kasztanów na ruszcie, melancholijnymi akordeonami, nienasyconymi kochankami całującymi się bez końca w kawiarnianych ogródkach, a mimo to musiał się przyznać z ręką na sercu, że oddałby to wszystko za jedną kwietniową chwilę na swych Karaibach. Był jeszcze zbyt młody, aby wiedzieć, że pamięć serca unicestwia złe wspomnienia, wyolbrzymiając dobre i że dzięki temu mechanizmowi udaje nam się znieść ciężar przeszłości. Kiedy jednak ponownie ujrzał z pokładu statku białe wzgórze dzielnicy kolonialnej, nieruchome sępy na dachach, ubrania biedaków rozwieszane na balkonach, wówczas dopiero pojął, do jakiego stopnia stał się łatwym łupem charytatywnych pułapek nostalgii.

Statek utorował sobie drogę w zatoce poprzez dryfujący kozuch martwych zwierząt, większość zaś pasażerów schroniła się w kajutach uciekając przed odorem. Młody lekarz zszedł po trapie ubrany w nienaganny alpakowy garnitur, w kamizelce, z przerzuconym przez rękę prochowcem, z wypielegnowaną brodą a la młody Pasteur i z włosami przedzielonymi wyraźnym i prostym przedziałkiem, dostatecznie opanowany, przynajmniej na tyle, by nie dać po sobie poznać, że dusi go coś w gardle, nie ze smutku, lecz z przerażenia. Na pustym niemal nabrzeżu, patrolowanym przez bosonogich i nie umundurowanych żołnierzy, oczekiwały go siostry i matka razem z najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Pomimo wytwornych manier wydali mu się przygnębieni i pozbawieni przyszłości, mówili o kryzysie i wojnie domowej jak o czymś odległym i obcym, czuło się jednak w ich głosach ledwie uchwytny drżenie, a w źrenicach tliła się niepewność, zadając kłam ich słowom. Najbardziej wzruszyła go matka, kobieta jeszcze młoda, która przez całe życie imponowała elegancją i towarzyską energią, teraz zaś dogorywała na wolnym ogniu kamforowej aury wdowiej czerni. Widocznie rozpoznała siebie samą w synowskim

zakłopotaniu, uprzedziła go bowiem pytając we własnej obronie, dlaczego wraca z tak przezroczywą, niemal parafinową cerą.

- Takie jest życie, matko - powiedział. - Człowiek w Paryżu zielenieje.

Nieco później, dusząc się obok niej w ciepłe zamkniętego powozu, nie mógł już znieść rzeczywistości wdzierającej się bezlitośnie przez okienko. Morze wydawało się z popiołu, stare pałace markizów ledwie opierały się coraz liczniejszym gromadom żebraków i nie sposób było odnaleźć choćby ślad ognistej woni jaśminów, zagłuszonej teraz śmiercionośnym kadzidłem otwartych kloak. Wszystko wydawało mu się mniejsze niż wówczas, kiedy odjeżdżał, nędzniejsze, bardziej ponure, a w gnojowisku ulic kłębiło się tyle zgłodniałych szczurów, że zaprzężone do powozu konie płoszyły się i ponosiły. Podczas długiego przejazdu od portu do domu, znajdującego się w samym sercu wicekrólewskiej dzielnicy, nie odnalazł nic, co byłoby godne jego nostalgii. Doszczętnie zdruzgotany, odwrócił głowę, by matka niczego nie dostrzegła, i rozplakał się w milczeniu.

Dawny pałac markiza de Casalduero, historyczna rezydencja rodu Urbino de la Calle, nie należał do trwających najdumniej pośród katastrofy. Doktor Juvenal Urbino ze ściśniętym sercem odkrywał go na nowo od momentu, gdy wkroczył doń przez mroczną sień i ujrzał w wewnętrznym ogrodzie pokrytą kurzem fontannę, leśne chaszczki pozbawione kwiatów z buszującymi w nich iguanami, dostrzegł, jak wiele płyt marmurowych brakuje, ile z nich jest zniszczonych na szerokich schodach z miedzianymi poręczami prowadzących do głównych pomieszczeń. Jego ojciec, lekarz raczej ofiarny niż znamienity, zmarł podczas epidemii cholery azjatyckiej, która zdziesiątkowała miasto sześć lat temu, z nim zaś zmarł duch tego domu. Doña Blanca, matka, przytłumiona brzemieniem żałoby przewidzianej na wieczne czasy, zastąpiła wieczornymi modlitwami słynne wieczorki literackie i koncerty muzyki kameralnej organizowane przez jej zmarłego męża. Obie siostry, wbrew swym przyrodzonym wdziękom i radości życia, stały się mięsem klasztorным.

Doktor Juvenal Urbino pierwszej nocy po swoim przyjeździe nie zmrużył oka, przerażony ciemnością i ciszą, i odmówił trzy różańce do Ducha Świętego, a następnie wszystkie pamiętane przez siebie modlitwy, by oddalić nieszczęścia i klęski i wszelkie czyhające nań w nocy niebezpieczeństwa, podczas gdy kulon, który wszedł przez niedomknięte drzwi, wyśpiewywał w sypialni, punktualnie jak zegar, każdą godzinę. Dręczyły go szalone krzyki wariatek z sąsiedniego zakładu dla obłąkanych, bezlitosne krople kapiące przez kamienne filtry do glinianej miski tak głośno, że echo rozchodziło się po całym budynku, kroki długonogiego kulona zabłąkanego w sypialni, własny dziedziczny

strach przed ciemnością, niewidzialna obecność zmarłego ojca w ogromie śpiącego domu. Kiedy kulon wespół z kogutami z sąsiedztwa wyśpiewał piątą, doktor Juvenal Urbino polecił swoją duszę i ciało boskiej opatrności, nie czuł się bowiem na siłach przeżyć choćby jeszcze jednego dnia w swej ojczyźnie ruin. Ale serdeczność najbliższych mu osób, wiejskie niedziele, pożądliwa adoracja panien na wydaniu z jego sfery ostatecznie osłodziły gorycz pierwszego wrażenia. Powoli przyzwyczajał się do październikowych skwarów, do nazbyt przenikliwych zapachów, do niezbyt przemyślanych sądów przyjaciół, do jutro zobaczymy, doktorze, proszę się nie przejmować, by wreszcie ulec urokom przyzwyczajenia. Natychmiast znalazł łatwe usprawiedliwienie dla swej kapitulacji. To jest jego świat, powiedział sobie, świat smutny i przygnębiający, ale świat dany mu przez Boga, i temu światu winien się poświęcić.

Na początek przejął gabinet lekarski swego ojca. W odpowiednich miejscach zachował twarde i uroczyste meble angielskie, których drewno wzdychało w porze porannych przymrozków, ale na strych wysłał traktaty nauki wicekrólewskiej i medycyny romantycznej i poustawiał na oszklonych regałach książki nowej szkoły francuskiej. Zdjął spłowiałe obrazki, zachowując jedynie obraz przedstawiający lekarza, który kłóci się ze śmiercią o obnażoną chorą niewiastę, i tekst przysięgi Hipokratesa wydrukowany pismem gotyckim, wieszając w ich miejsce, obok jedynego dyplomu ojca, wszystkie, co do jednego, swoje dyplomy z najwyższymi ocenami otrzymane na przeróżnych uczelniach europejskich.

Podjął próbę wprowadzenia najnowszych metod leczenia w Szpitalu Miłosierdzia, nie przyszło to jednak tak łatwo, jak mu się w młodzięcym zapale zdawało, zatechły dom zdrowia obstawał bowiem przy swoich atawistycznych przesądach, jak umieszczanie nóg łóżka w słojach z wodą, aby się nie dostawały nań choroby, czy wymóg używania stroju wizytowego i zamiszowych rękawiczek w sali operacyjnej, za oczywiste uznawano bowiem, iż elegancja jest nieodzownym warunkiem aseptyki. Ścierpieć nie mogli, że dopiero co przybyły żółtodziób smakuje w ustach mocz chorego, by wykryć obecność cukru, że cytuje Charcota i Trousseau, jakby byli oni jego kompanami ze wspólnego pokoju, że podczas wykładów wygłasza poważne ostrzeżenia przed śmiertelnym niebezpieczeństwem szczepionek, za to w sposób wręcz podejrzany ufa najnowszemu wynalazkowi czopków. Napotykał wszelkiego rodzaju przeszkody: jego odnowicielski duch, jego maniakalna pasja społecznikowska, jego spóźnione poczucie humoru w ojczyźnie nieśmiertelnych kpiarzy, wszystko, co w rzeczywistości stanowiło o jego najcenniejszych zaletach, wzbudzało zawiść starszych kolegów i skryte drwiny młodych. Jego obsesją stał się tragiczny stan sanitarny

miasta. Odwoływał się do najwyższych instancji, aby zasypano hiszpańskie kloaki, ogromną wylęgarnię szczurów, a w ich miejsce wybudowano zamknięte kanały ściekowe, które miałyby ujście nie w zatoce przy targowisku, jak zawsze, ale na odległym śmietniku. Przyzwoicie wyposażone domy kolonialne posiadały latryny z szambami, ale dwie trzecie ludności stłoczonej na obrzeżach mokradel załatwiała swe potrzeby na łonie natury. Odchody schnąc na słońcu i zamieniając się w pył wdychane były przez wszystkich z bożonarodzeniową radością w okresie chłodnych i pomyślnych grudniowych wiatrów. Doktor Juvenal Urbino próbował przeforsować w Radzie Miejskiej obowiązkowy kurs szkoleniowy, aby najubożsi nauczyli się budować własne latryny. Nadaremnie walczył o to, by nie wyrzucano śmieci na tereny namorzynowe, od wieków zmienione w martwe bagnisko zgnilizny i by wszelkie odpadki zbierano przynajmniej dwa razy w tygodniu i spalano na odległym pustkowiu.

Świadom był śmiertelnego zagrożenia wód pitnych. Już sam pomysł zbudowania wodociągu wydawał się fantastyczny, gdyż ci, którzy mogliby go wesprzeć, dysponowali podziemnymi cysternami, gdzie zbierała się przez lata, pod gęstym, zielonym kożuchem, woda deszczowa. Do najbardziej cenionych mebli należały w owym okresie rzeźbione kredensy z wbudowanymi w nie kamiennymi filtrami, przez które dzień i noc ściekała do dzbanów woda. Aby uniemożliwić wypijanie wody bezpośrednio z aluminiowych dzbanów, służących do wybierania wody, wyrzynano na brzegach ostre ząbki, co czyniło je podobnymi do korony błazeńskiego króla. Krystaliczna i chłodna w półmroku wypalanej gliny woda pozostawiała w ustach świeży aromat zagajnika.

Doktor Juvenal Urbino nie dawał się zwieść higienicznym pozorom filtrowania, wiedział bowiem, że wbrew wszystkim tym środkom ostrożności dno dzbanów było sanktuarium wszelkiego robactwa. W dzieciństwie spędził długie godziny na przypatrywaniu się im, z mistycznym niemal podziwem, przeświadczony, jak wielu wówczas ludzi, że owo paskudztwo to „animy”, nadprzyrodzone istoty obdarzone mocą uwodzenia panien, jak również mocą dokonywania zajadłej miłosnej zemsty, i to bez opuszczania swych mętnych siedzib w lodowatej wodzie. Jako dziecko był świadkiem spustoszeń w domu Lazary Conde, szkolnej nauczycielki, która odważyła się zlekceważyć „animy”, widział również na własne oczy stosy tłuczonego szkła na ulicy i kamienie rzucone w okna przez trzy dni i noce. Wiele czasu musiało więc upłynąć, zanim nauczył się, że owo paskudztwo to w rzeczywistości nic innego jak larwy komarów, ale nauczył się, aby nigdy już nie zapomnieć, od tamtej pory zrozumiał bowiem, że nie tylko te, ale i wiele innych złośliwych istot mogło precyzyjnie się w stanie nienaruszonym przez nasze naiwne



kamienne filtry.

Wodzie z cystern przypisywano przez długi czas i bez cienia wstydu, raczej wprost przeciwnie, przepuklinę moszny, na którą tyłu mężczyzn w mieście cierpiało nie tylko bez cienia żenady, ale nawet z pewną patriotyczną chełpliwością. Kiedy Juvenal Urbino uczęszczał do szkoły podstawowej, nie mógł opanować dreszczu przerażenia na widok chorych na przepuklinę, siedzących w upalne popołudnia, na progach domów i wachlujących olbrzymie jądro niczym dziecko śpiące między nogami. Powiadano, że przepuklina wydawała gwizd posępnego ptaka w burzowe noce, jak również skręcała się z nieznośnego bólu, gdy w pobliżu spalano pióro sępa, nikt jednak nie narzekał na te dolegliwości, bo duża i odpowiednio obnoszona przepuklina przydawała, ponad wszystko, blasku męskiemu honorowi. Doktor Juvenal Urbino wracając z Europy znakomicie już sobie zdawał sprawę, ile pseudonaukowych kłamstw tkwi w tych przekonaniach, były one jednak tak mocno zakorzenione w lokalnych przesądach, że wielu sprzeciwiało się mineralnemu wzbogacaniu wody w cysternach, w obawie, iż odbierze jej to cudowną moc wywoływania zaszczytnej przepukliny.

W tym samym stopniu, co zanieczyszczona woda, dręczył doktora Juvenala Urbino stan sanitarny targowiska publicznego, rozległej przestrzeni pod gołym niebem przy zatoce Las Animas, gdzie przybijały żaglowce z Antyli. Pewien słynny podróżnik opisał targowisko jako jedno z najbardziej urozmaiconych na świecie. Było bogate, to prawda, obfite i gwarne, ale przypuszczalnie i najbardziej zatrwajające. Osadzone na własnych odpadkach, wystawione było na łaskę i niełaskę kapryśnych przyprawów i tu właśnie kolejne czkawki zatoki zwracały ziemi nieczystości ze ścieków. Zrzucano tam również wszelkie odpadki z pobliskiej rzeźni, porąbane łby, zgniłe wnętrzności, szczątki zwierząt, które pływały w trzęsawisku krwi dzień i noc. Sępy walczyły o nie ze szczurami i z psami w ustawicznej bitwie pomiędzy dziczyzną i smakowitymi kapłonami z Sotavento zwisającymi ze straganów, a nowalijkami z Arjony rozłożonymi na dywanikach na ziemi. Doktor Juvenal Urbino chciał uzdrowić to miejsce, chciał, by przeniesiono rzeźnię gdzie indziej, by wybudowano kryte targowisko z witrażowymi kopułami, takie jakie widział w dawnych filtrach miejskich w Barcelonie, gdzie towar był tak okazały i tak czysty, że żal było go zjadać. Ale nawet najbardziej wyrozumiali spośród jego dostojnych przyjaciół z politowaniem obserwowali wybuch tych fantasmagorycznych pasji. Tacy już byli: przez całe życie rozgłaszali, jak bardzo są dumni ze swego rodzinnego miasta, podnosili jego historyczne zasługi, wartość jego relikwii, jego heroizm i piękno, ale byli całkowicie ślepi na postępującą w nim od lat dewastację. Doktor Juvenal Urbino darzył je zaś na tyle wielką

miłością, iż mógł widzieć je takim, jakie było naprawdę. - Zaiste jest to miasto wielkiej szlachetności - mawiał. - Od czterystu lat staramy się je unicestwić i wciąż nie jesteśmy w stanie tego dokonać.

Niewiele jednak do tego brakowało. Epidemia cholery, której pierwsze ofiary padły w kałużach targowiska, spowodowała w jedenaście tygodni największą liczbę zgonów w naszej historii. Dotychczas niektórych wybitnych zmarłych chowano pod płytami podłogi w kościołach, w nieprzystępnym sąsiedztwie arcybiskupów i członków kapituły, innych, mniej zamożnych, grzebano na klasztornych dziedzińcach. Biedacy trafiali na cmentarz kolonialny, na wichrowym wzgórzu oddzielonym od miasta fosą, przez którą przerzucony był betonowy most, zdobny w napis wyrzeźbiony na polecenie jednego z dalekowzrocznych burmistrzów: *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*. W ciągu dwóch pierwszych tygodni cholery cmentarz został całkowicie zapełniony, a w kościołach nie było już ani jednego miejsca, mimo iż przeniesiono do wspólnego dołu zżarte szczątki licznych bezimiennych koryfeuszy. Powietrze w katedrze zagęściło się oparami ze źle zamurowanych krypt i jej drzwi otwarto dopiero trzy lata później, mniej więcej wtedy, kiedy Fermina Daza po raz pierwszy ujrzała z bliska Florentina Arizę w czasie pasterki. Krużganki klasztoru świętej Klary zapełniły się grobami aż po zagajniki już w trzecim tygodniu, należało więc przeznaczyć na cmentarz dwukrotnie większy ogród wspólnoty. Wykopano tam głębokie groby, by składać ciała w trzech poziomach, szybko i bez trumien, trzeba było jednak i z tego zrezygnować, bo przekopany grunt puszczał niby gąbka pod naporem stóp odrażającą posokę. Zarządzono wówczas chowanie zmarłych w La Mano de Dios, oddalonej niecałą milę od miasta hacjendzie byłą rzeźnego, przemianowanej później na Cmentarz Powszechny.

Od chwili kiedy obwieszczono cholere, z fortów miejscowego garnizonu oddawano salwę armatnią co piętnaście minut, dniem i nocą, zgodnie z powszechnym przekonaniem, że proch przeczyszcza powietrze. Cholera przyniosła więcej strat wśród czarnej, bo i liczniejszej, i biedniejszej ludności, ale tak naprawdę nie zważała ani na kolor skóry, ani na pochodzenie. Minęła równie nagle, jak się pojawiła, i nigdy nie poznano rzeczywistej liczby jej ofiar, nie ze względu na trudności z ich ustaleniem, ale dlatego, iż jedną z naszych najbardziej zakorzenionych cnót była wstydlivość wobec własnych nieszczęść.

Doktor Marek Aureliusz Urbino, ojciec Juvenała, był cywilnym bohaterem owych strasznych dni, ale również ich najznamienitszą ofiarą. Na mocy oficjalnych decyzji opracował i osobiście kierował strategią sanitarną, ale w rezultacie, i z własnej już inicjatywy, interweniował we wszystkich sprawach dotyczących ładu społecznego, do tego

stopnia, że w najkrytyczniejszych momentach zarazy uchodził za największy autorytet w mieście. Wiele lat później, przeglądając kronikę owych dni, doktor Juvenal Urbino stwierdził, że metoda jego ojca była bardziej charytatywna niż naukowa i że było to pod wieloma względami działanie wbrew rozumowi, a za to sprzyjające zachłanności zarazy. Skonfrontował to ze współczuciem ludzi, których życie powoli przeistaczało w ojców swych ojców, i po raz pierwszy poczuł żal, iż nie mógł towarzyszyć swemu synowi w samotności jego błędów. Nie podważał jednak jego zasług: pracowitość, oddanie i przede wszystkim jego osobista odwaga zostały uhonorowane przez miasto po otrząśnięciu się z katastrofy wieloma zaszczytami, a jego imię, jak najsprawiedliwiej, znalazło się pośród imion wielu innych bohaterów innych, mniej szczytnych, wojen.

Nie dożył dnia swej chwały. Rozpoznałszy u siebie nieodwracalne objawy, dostrzegane dotąd ze współczuciem u innych, nie podjął nawet zbędnej walki, odseparowując się jedynie od świata, by nikogo nie zarazić. Zamknięty w pokoju służbowym Szpitala Miłosierdzia, głuchy na wezwania swych kolegów i błagania najbliższych, obcy zgrozie zapowietrzonych konających na podłogach przepelnionych korytarzy, napisał do żony i dzieci gorączkowy, pełen wdzięczności za ich istnienie list miłosny, który ujawniał, jak bardzo i jak pożądliwie kochał życie. Było to pożegnanie na dwudziestu przejmujących stronach, gdzie coraz bardziej koślawe pismo świadczyło o postępach choroby, i nie trzeba było znać autora tego listu, aby domyślić się, że podpis został złożony wraz z ostatnim tchnieniem. Zgodnie z jego wolą, spopieliałe ciało spoczęło we wspólnej mogile i nie widział go nikt spośród tych, którzy go kochali.

Doktor Juvenal Urbino otrzymał trzy dni później telegram w Paryżu, w trakcie kolacji z przyjaciółmi, po czym wznosił toast szampanem, by uczcić pamięć ojca.

Powiedział: „To był dobry człowiek”. Później miał sobie wyrzucać swój brak dojrzałości: uciekał od rzeczywistości, aby nie płakać. Po trzech tygodniach otrzymał jednak kopię listu pośmiertnego i wtedy pogodził się z prawdą. W okamgnieniu ujrzał pełny wizerunek człowieka, którego znał wcześniej niż kogokolwiek innego, który wychował go i wykształcił, spał i kochał się przez trzydzieści dwa lata z jego matką, a przecież nigdy przedtem, nim napisał ten list, nie ukazał mu się takim, jaki był rzeczywiście i to tylko z powodu najzwyczajszej wstydlivości. Dotychczas doktor Juvenal Urbino i jego rodzina pojmowali śmierć jako przykrość przytrafiającą się innym, ojcom innych ludzi, cudzym braciom i małżonkom, ale nie właśnie im. Była to rodzina osób długowiecznych, starzejących się, zapadających na zdrowiu i umierających niepostrzeżenie, raczej zanikających z wolna, we właściwym sobie czasie, by stać się wspomnieniem, mgielką z

innej epoki, póki zapomnienie nie wchłaniało ich całkowicie. Pośmiertny list ojca, znacznie bardziej niż telegram ze złą wiadomością, brutalnie zderzył go z nieuchronnością śmierci. Choć jedno z jego najstarszych wspomnień, z czasów gdy miał dziewięć, może jedenaście lat, było do pewnego stopnia wczesnym sygnałem śmierci danym mu poprzez osobę ojca. W tamto deszczowe popołudnie obaj przebywali razem w gabinecie, on rysował kolorową kredą na kamiennej podłodze skowronki i słoneczniki, a ojciec w rozpiętej kamizelce i z kauczukowymi ściągaczami na rękawach koszuli czytał coś w świetle padającym z okna. Nagle przerwał lekturę, by podrapać się w plecy długą drapaczką z drewna mangowego, zakończoną srebrną rączką. Nie poradziwszy sobie poprosił syna, aby go podrapał paznokciami, co ten uczynił, doznając dziwnego wrażenia, iż nie odczuwa własnego ciała przy drapaniu. Na koniec ojciec spojrział na niego przez ramię uśmiechając się smutno.

- Gdybym teraz umarł - powiedział - to dożywszy moich lat ledwie będziesz mnie pamiętać.

Powiedział to bez żadnej widocznej przyczyny i anioł śmierci zatrzepotał przez chwilę w chłodnym półmroku gabinetu i uleciał przez okno, pozostawiając za sobą ślad opadających piór, ale dziecko ich nie spostrzegło. Od tamtej pory minęło ponad dwadzieścia lat i Juvenal Urbino niebawem miał dożyć ówczesnego wieku swego ojca. Wiedział, że jest taki sam jak ojciec, a do tego przeświadczenia doszła teraz wstrząsająca świadomość, że jest równie śmiertelny jak ojciec.

Cholera stała się jego obsesją. Jego zasób wiedzy o tej chorobie nie przekraczał wiadomości zdobytych w normalnym trybie na jakimś mało ważnym kursie i wydawało mu się nieprawdopodobieństwem, że jeszcze nie tak dawno, bo trzydzieści lat temu, mogła spowodować we Francji, łącznie z Paryżem, śmierć ponad stu czterdziestu tysięcy osób. Niemniej, tuż po śmierci ojca nauczył się wszystkiego, czego można było się nauczyć o przeróżnych postaciach cholery, jakby zadawał sobie pokutę dla uspokojenia pamięci, zostając uczniem najwybitniejszego w owych czasach epidemiologa i twórcy kordonów sanitarnych, profesora Adriena Prousta, ojca wielkiego powieściopisarza. Gdy zatem wracając w swoje rodzinne strony poczuł, jeszcze na morzu, odór targowiska, ujrzał szczury w kanałach ściekowych i nagie dzieci tarzające się w ulicznych kałużach, nie tylko zrozumiał, że nieszczęście miało rzeczywiście miejsce, ale nabrał również pewności, że może powtórzyć się w każdej chwili.

Nie minęło nazbyt dużo czasu. W niespełna rok później jego uczniowie ze Szpitala Miłosierdzia poprosili go o pomoc przy przyjętym z litości pacjentce, którego skóra na całym ciele miała niebieski odcień. Doktorowi Juvenalowi Urbino wystarczyło, jeszcze w

drzwiach, rzucić nań okiem, by rozpoznać wroga. Mieli jednak szczęście: chory przybył trzy dni temu, na pokładzie golety z Curacao, i zgłosił się na badania do przychodni przyszpitalnej na koszt własny, toteż nie wydawało się, aby mógł zarazić kogokolwiek. Na wszelki wypadek doktor Juvenal Urbino zaalarmował kolegów, zdołał wymóc na władzach, aby przestrzegły sąsiednie porty w celu zlokalizowania i poddania kwarantannie zarazonej golety, uspokajając zarazem dowódcę garnizonu, który chciał zadekretować stan wyjątkowy i natychmiast zaaplikować terapię salwy armatniej co kwadrans. - Proszę oszczędzać proch na czas nadejścia liberałów - powiedział mu w przyпыlywie dobrego humoru. - Nie żyjemy już w średniowieczu.

Pacjent zmarł po czterech dniach, wymiotując i dusząc się białą grudkowatą mazią; niemniej przez następne tygodnie, pomimo stałego pogotowia, nie wykryto żadnego kolejnego przypadku. Niebawem „Diario del Comercio” opublikował informację, że dwoje dzieci zmarło w mieście na cholere w dwóch odległych od siebie dzielnicach. Stwierdzono, że jedno z nich cierpiało na zwykłą biegunkę, drugie jednak - pięcioletnia dziewczynka - istotnie mogło być ofiarą cholery. Jej rodzice i troje rodzeństwa zostali odosobnieni w celu odbycia indywidualnej kwarantanny, a osiedle poddano ścisłej obserwacji medycznej. Jedno z dzieci zachorowało na cholere, ale szybko odzyskało zdrowie, cała zaś rodzina, kiedy ryzyko zachorowania minęło, wróciła do domu. Jedenaście kolejnych przypadków zanotowano w ciągu następnych trzech miesięcy, w piątym nastąpił alarmujący wzrost przypadków, ale pod koniec roku stwierdzono, że niebezpieczeństwo epidemii zostało zażegnane. Nikt nie podawał w wątpliwość, że sanitarne rygory doktora Juvenala Urbino, bardziej niż niezliczona liczba jego obwieszczeń, uczyniły możliwym ów cud. Od tamtej pory i jeszcze przez wiele lat tego wieku cholera była chorobą endemiczną nie tylko w mieście, ale również na całym wybrzeżu Morza Karaibskiego i w dorzeczu rzeki Magdaleny, nigdy nie osiagając rozmiarów epidemii.

Alarm okazał się o tyle przydatny, że ostrzeżenia doktora Juvenala Urbino zostały wysłuchane z większą powagą przez czynniki państwowe. Powołano katedrę cholery i żółtej febry w Akademii Medycznej, włączając jej tematykę do obowiązkowych zajęć i zrozumiano wreszcie potrzebę zamknięcia otwartych ścieków i zbudowania targowiska oddzielonego od śmietnisk. Doktor Juvenal Urbino wówczas nie rozgłaszał swego zwycięstwa, nie miał również głowy do swoich społecznych misji, w tym czasie bowiem sam miał jedno skrzydło utracone, toteż ogłupiały i rozkojarzony, zdecydowany był odmienić całe życie i zapomnieć o wszystkim, a to dlatego, że spadła nań, jak grom, miłość do Ferminy Dazy.

Był to zaiste owoc klinicznej pomyłki. Przyjaciel lekarz podejrzewając początkowe

objawy cholery u osiemnastoletniej pacjentki, poprosił doktora Juvenala Urbino, żeby ją zbadał. Udał się do niej natychmiast tego samego popołudnia, zaniepokojony możliwością wtargnięcia zarazy do sanktuarium starego miasta, wszystkie dotychczasowe przypadki miały bowiem miejsce na peryferiach i niemal wszystkie wśród czarnej ludności. Spotkały go inne, znacznie miłsze niespodzianki. Dom, w cieniu migdałowców z parku Los Evangelios, wydawał się z zewnątrz równie zniszczony jak pozostałe budynki kolonialnej dzielnicy, wewnątrz jednak panował urzekający ład piękna i przedziwny blask, który zdawał się pochodzić z zupełnie innej epoki. Sień wychodziła prosto na kwadratowe, świeżo bielone, sewilskie patio z kwitnącymi drzewkami pomarańczowymi i podłogą wyłożoną tymi samymi kaflami co i ściany. Słysząc było niewidzialny szmer nieustannie płynącej wody, na parapetach stały donice z goździkami, pod arkadami wisiały klatki z rzadkimi ptakami. Do najdziwniejszych okazów należały trzy kruki w ogromnej wolierze, które przy każdym trzepocie skrzydeł nasycaly patio nieokreślonym zapachem. Kilka trzymany na łańcuchu psów w jakimś zakątku, poczuwszy zapach obcego człowieka, zaczęło nagle szaleńczo ujadać, ale kobiecy krzyk w jednej chwili je uciszył, a wówczas pojawiła się gromada kotów, które przerażone tym władczyim głosem, wyskakiwały ze wszystkich stron, chroniąc się pośród kwiatów. Nastąpiła cisza tak przejrzysta, iż poprzez ptasi rozgardiasz i sylabizowany przez kamień strumyczek wody można było usłyszeć smutne tchnienie morza.

Doktorowi Juvenalowi Urbino, wstrząśniętemu przekonaniem o fizycznej obecności Boga, przemknęło przez myśl, że taki dom jak ten uodporniony jest na zarazę. Ruszył za Galą Placidia korytarzem pod arkadami, minął okno do szwalni, gdzie Florentino Ariza ujrzał po raz pierwszy Ferminę Dazę, kiedy patio było zavalone gruzem, wszedł po nowych, marmurowych schodach na piętro i, zanim przekroczył próg pokoju chorej, przystanął czekając, aż go zaanonsują.

Ale Gala Placidia wróciła z wiadomością:

- Panienska mówi, że nie może pan teraz wejść, bo jej taty nie ma w domu.

Wrócił więc o piątej, stosownie do informacji otrzymanej od służącej, i tym razem drzwi otworzył mu osobiście Lorenzo Daza, który go zaprowadził do sypialni córki. W trakcie badania siadł w ciemnym kącie ze splecionymi ramionami, bezskutecznie usiłując zapanować nad chrapliwym oddechem. Nie sposób było stwierdzić, kto jest bardziej skrepowany, czy lekarz tak nieśmiały, gdy ją dotykał, czy chora pełna dziewiczej rezerwy, w jedwabnej nocnej koszuli, żadne jednak nie spojrzało drugiemu w oczy, bo on ograniczył się jedynie do bezosobowych pytań, ona drżącym głosem odpowiadała, oboje zaś czuli się

onieśmieleni obecnością siedzącego w półmroku mężczyzny - Wreszcie doktor Juvenal Urbino poprosił chorą, aby usiadła i z wyrafinowaną ostrożnością rozpiął jej do pasa nocną koszulę: nieskazitelne i wyniosłe piersi o dziecięcych sutkach rozblęły przez chwilę jak płomień w cieniach alkowy, zanim zdążyła je zakryć, krzyżując ramiona.

Lekarz nie zmieszany rozsunął ramiona chorej, nie patrząc na nią osłuchiwał ją przykładając ucho do skóry - w pierw do piersi, następnie do pleców.

Doktor Juvenal Urbino zwykł opowiadać, iż nie doświadczył żadnego przypływu emocji w chwili, gdy poznał kobietę, z którą miał żyć aż do śmierci. Pamiętał niebieską koszulę nocną obszytą koronkami, rozgorączkowane oczy, długie, opadające luźno na ramiona włosy, ale był tak zafrasowany pojawieniem się zarazy na obszarze starego miasta, że nie dostrzegł niczego z tak szczodrze przez nią posiadanych przymiotów rozkwitającej dziewczyny, koncentrując się jedynie na najmniejszych możliwych oznakach zarazy. Ona ze swej strony ujmowała to dosadniej: młody lekarz, o którym tyle słyszała w związku z cholera, wydał jej się przemądrzałym pedantem niezdolnym do kochania kogokolwiek prócz samego siebie. Diagnoza stwierdzała infekcję żołądka w wyniku zatrucia pokarmowego, która istotnie ustąpiła po trzech dniach domowego leczenia. Uspokojony wieścią, że córka nie zapadła na cholera, Lorenzo Daza odprowadził doktora Juvenala Urbino aż do stopni powozu, zapłacił mu za wizytę jednego peso w złocie, co i tak wydało mu się nazbyt wygórowaną ceną, nawet jak na lekarza bogaczy, niemniej przy pożegnaniu okazywał mu bezgraniczną wdzięczność. Był przytłoczony blaskiem wszystkich jego nazwisk i nie tylko tego nie ukrywał, ale gotów był uczynić wszystko, aby spotkać go ponownie w mniej krępującej sytuacji.

I na tym powinno się to być skończyć. A jednak we wtorek następnego tygodnia doktor Juvenal Urbino, nie wzywany i bez zapowiedzi, ponownie stawił się w jej domu i to nie w porę, bo o trzeciej po południu. Fermina Daza przebywała właśnie w szwalni, pobierając razem z dwiema przyjaciółkami lekcję malowania farbami olejnymi, kiedy pojawił się w oknie nienagannie ubrany: w białym surducie, w wysokim, również białym kapeluszu i dał jej znak, aby podeszła. Odłożyła paletę na krzesło i skierowała się ku oknu, idąc na palcach i unosząc do kostek spódnicę z falbanami, by nie wlec jej po ziemi. Na głowie miała diadem z opadającym jej na czoło wisiorkiem z klejnotem mieniącym się tą samą nieokreśloną barwą, co jej oczy, a cała jej postać emanowała aurą świeżości. Lekarza zadziwiło, że ubiera się na domowe lekcje malowania tak, jakby wybierała się na zabawę. Zmierzył jej przez okno tętno, kazał pokazać język, zbadał gardło za pomocą aluminiowej szpatułki, przyjrzał się wnętrzu dolnej powieki, za każdym razem kiwając aprobująco

głową. Był mniej skrepowany niż w czasie poprzedniej wizyty, ale ona czuła się bardziej spięta, bo nie rozumiała powodów tego nieoczekiwanego badania, jeśli sam powiedział ostatnio, że nie ma po co wracać, chyba że zostanie wezwany w związku z czymś nowym. Mało tego: nie chciała go więcej widzieć na oczy. Kiedy lekarz skończył badanie, schował szpatułkę do torby wypełnionej przyrządami i flaszeczkami i za - mknął ją z suchym trzaskiem.

- Jest pani jak rozkwitająca róża - powiedział.

- Dziękuję.

- Bogu proszę dziękować - powiedział, i zacytował błędnie świętego Tomasza: „Proszę pamiętać, że wszystko, co jest dobre, skądkolwiek by przychodziło, pochodzi od Ducha Świętego”. Lubi pani muzykę?

Pytanie to zadał mimochodem, z czarującym uśmiechem.

- Po co pan pyta? - zapytała w odpowiedzi.

- Muzyka jest bardzo ważna dla zdrowia - powiedział. Wierzył w to naprawdę, ona zaś rychło miała dowiedzieć się na całą resztę swego życia, że temat muzyki był magiczną niemal formułą, do której odwoływał się chcąc zaproponować przyjaźń, w owej jednak chwili potraktowała to jako naigrwanie się. A do tego obie przyjaciółki, udając w trakcie ich rozmowy, że wciąż malują, parsknęły szczerzym chichotem i zasłoniły twarze paletami, co ostatecznie wyprowadziło Ferminę Dazę z równowagi. Zaślepią wściekłością zamknęła okno z suchym trzaskiem. Lekarz, zbity z tropu niespodziewanym widokiem koronkowych firanek, usiłował odnaleźć drogę powrotną, pomylił się jednak i skonfundowany, potrącił klatkę z pachnącymi krukami. Te wydały z siebie przytłumiony krzyk, zatrzepotały spłoszone, a ubranie lekarza przesiąkło natychmiast kobiecymi perfumami. Grzmiący głos Lorenza Dazy przygwoździł go do miejsca, w którym stał. - Doktorze, proszę nie odchodzić.

Obserwował całą scenę z górnego piętra, teraz zaś zstępował po schodach zapinając koszulę, wzdęty, sinawy, z bokobrodami zmierzwionymi jeszcze po jakimś przykrym śnie sjęsty. Lekarz spróbował przewyciężyć wstydlive zakłopotanie.

- Powiedziałem pańskiej córce, że jest jak róża. - I tak jest - powiedział Lorenzo Daza - ale ma zbyt dużo kolców.

Minął doktora nie przywitawszy się z nim. Pchnął oba skrzydła okna do pokoju i ryknął na córkę:

- Podejdz tu i przeprosz pana doktora.

Lekarz usiłował nie dopuścić do tego, ale Lorenzo Daza nie zwrócił nań uwagi.



Krzyknął: „Pospiesz się”. Spojrzała na przyjaciółki, skrycie błagając o zrozumienie, i odpowiedziała ojcu, że nie ma za co przepraszać, bo tylko zamknęła okno, aby słońce nie wpadało do pokoju. Doktor Urbino chciał uznać wyjaśnienie za wystarczające, ale Lorenzo Daza ponowił żądanie. Fermina Daza znów podeszła do okna i wystawiając do przodu prawą stopę, a zarazem unosząc palcami obu dłoni brzegi spódnicy, dygnęła teatralnie przed lekarzem. - Po stokroć proszę o wybaczenie, panie kawalerze - powiedziała.

Doktor Juvenal Urbino rozbawiony poszedł w jej ślady i z wdziękiem muszkietera oddał jej rewerencje swym wysokim kapeluszem, nie zdołał jednak uzyskać oczekiwanego uśmiechu współczucia. Lorenzo Daza zaprosił go następnie do swego gabinetu na przeprosinową kawę, lekarz przyjął z wdzięcznością zaproszenie, aby nie było najmniejszej wątpliwości, że nie chowa w głębi duszy ni cienia urazy.

Doktor Urbino po prawdzie nie pijał kawy poza jedną filiżanką przed śniadaniem. Nie pijał również alkoholu prócz kieliszka wina do obiadu z jakiejś uroczystej okazji, tym razem jednak nie tylko wypił kawę, ale przystał też i na kieliszek anyżówki. Następnie przystał na jeszcze jedną kawę i jeszcze jedną anyżówkę, a później na jeszcze jedną i jeszcze jedną, mimo że czekało go jeszcze kilka wizyt. Początkowo z uwagą słuchał nieustannie składanych przez Lorenza Dazę przeprosin w imieniu córki, określanej przez niego jako inteligentne i poważne dziecko, godne księcia z tych stron lub zamorskiego, której jedyną wadą, jak powiedział, jest jej charakter upartej mulicy. Ale po drugim kieliszku wydało mu się, iż słyszy głos Ferminy Dazy w patio, i jego wyobraźnia ruszyła za nią, nie odstępowała jej na krok pośród zapadłej dopiero co nocy, gdy zapalała światła w korytarzu, rozpylała w sypialniach środek owadobójczy rozpylaczem, zdejmowała pokrywkę z garnka z zupą, którą miała spożyć wieczorem ze swym ojcem, gdy on i ona zasiądą sami przy stole, nie podnosząc wzroku, nie siorbiąc zupy, aby nie prysł urok wzajemnych urazów, aż w końcu ojciec będzie musiał się poddać i prosić o wybaczenie dzisiejszej srogości. Doktor Urbino na tyle znał kobiety, aby zdać sobie sprawę, że Fermina Daza nie zajrzy do gabinetu, dopóki on stąd nie odejdzie, niemniej zwlekał, jak mógł, czuł bowiem, że zraniona duma nie pozwoli mu żyć w spokoju po afrontach dzisiejszego popołudnia. Lorenzo Daza, już prawie pijany, wydawał się nie dostrzegać jego roztargnienia, bo w swym nieposkromionym gadulstwie wystarczał sam sobie. Mówił rozwlekle, żując koniec zgaszonego papierosa, zanosząc się wrzaskliwym kaszlem, charkocząc, ledwie mieszcząc się w obrotowym fotelu, którego sprężyny wydawały skowyt zwierzęcia podczas rui. Na każdy kieliszek swego gościa pił trzy kieliszki i tylko raz zrobił przerwę, gdy stwierdził, że nie widzą już siebie wzajemnie, i wstał, by zapalić lampę. Doktor Juvenal Urbino przyjrzał

mu się w innym świetle, zobaczył, że ma jedno oko dziwnie wytrzeszczone jak u ryby, zorientował się, że wypowiedane przez niego słowa nie odpowiadają ruchowi warg i pomyślał, że ulega halucynacjom wskutek nadużycia alkoholu. Wówczas wstał mając przy tym wrażenie, że znajduje się wewnątrz ciała nie należącego do niego, tylko do kogoś innego, nadal siedzącego w miejscu, gdzie on siedział, i musiał dokonać nie lada wysiłku, żeby nie postradać zmysłów.

Było już po siódmej, kiedy odprowadzany przez Lorenza Dazę opuścił gabinet. Była pełnia księżyca. Patio, wyidealizowane przez anyżówkę, falowało na dnie jakiegoś akwarium, a osłonięte szmatami klatki wydawały się śpiącymi widmami w otoczce ciepłego zapachu dopiero co rozkwitłych kwiatów pomarańczy. Okno szwalni było otwarte, na przystosowanym do pracy stole paliła się lampa, a nie dokończone obrazy leżały na stelażach niczym na wystawie. „Gdzie jesteś, że ciebie nie ma” - powiedział doktor Urbino przechodząc obok, ale Fermina Daza nie usłyszała go, bo nie mogła go słyszeć płacząc z wściekłości w sypialni, leżąc w łóżku na brzuchu i czekając na ojca, by kazać sobie zapłacić za dzisiejsze upokorzenie. Lekarz łudził się jeszcze, że będzie mógł się z nią pożegnać, ale Lorenzo Daza nie zaproponował tego. Zażęknął za niewinnością jej pulsu, za jej kocim językiem, jej świeżymi migdałkami, ale zmroziła go myśl, że ona już nigdy nie zechce go widzieć i nawet nie dopuści, by tego próbował. Kiedy Lorenzo Daza wszedł do sieni, bezsenne kruki pod prześcieradłami wydały żałobny pisk. „Wydziobią ci oczy”, powiedział lekarz na głos myśląc o niej, zaś Lorenzo Daza odwrócił się, by zapytać, co powiedział.

- To nie ja - odrzekł. - To anyżówka.

Lorenzo Daza odprowadził go aż do powozu usiłując mu wcisnąć kolejnego peso w złocie za drugą wizytę, lekarz jednak odmówił. Wydał stosowne polecenia stangretowi, kazać się wieźć do dwóch czekających go jeszcze pacjentów i wsiadł do powozu bez czyjejkolwiek pomocy.

Od podskoków na wybrukowanych ulicach zrobiło mu się jednak niedobrze, kazał więc stangretowi zmienić kierunek. Przez chwilę widział siebie w lusterku powozu i zobaczył, że jego odbicie również przez cały czas myśli o Ferminie Dazie. Wzruszył ramionami. Wreszcie beknął, jakby mu się odbiło piaskiem, głowa opadła mu na pierś i zasnął, i przez sen usłyszał żałobne dzwony. Wpierw usłyszał dzwony katedry, a później wszystkich pozostałych kościołów, jeden po drugim, nawet popękane gary od świętego Juliana Gościnnego.

- Dupa - wymamrotał przez sen. - Umarli też umarli. Matka i siostry piły właśnie na kolację kawę z mlekiem, pojadając ciasteczka serowe przy gościnnym stole w dużej jadalni,

kiedy ujrzały go, pojawiającego się w drzwiach z żalnym wyrazem twarzy, zhańbionego kurewskimi pachnidłami kruków. Główny dzwon pobliskiej katedry wciąż rozbrzmiewał w rozległych przestrzeniach domu. Matka zapytała przerażona, gdzie się podziewał, bo szukano go wszędzie, żeby zajął się generałem Ignacio Maria, ostatnim wnukiem markiza de Jaraiz de la Vera, którego dziś wieczorem powalił wylew krwi do mózgu: to z jego powodu były dzwony. Doktor Juvenal Urbino słuchał matki nie słysząc jej, uczepony futryny, by wreszcie, pragnąc dotrzeć do swego pokoju, oderwać się od niej w półobrocie i paść na twarz w gwiazdzistej eksplozji anyżkowych wymiotów. - Mario Przenajświętsza - krzyknęła matka. - Coś nader dziwnego musiało się zdarzyć, abyś pokazał się we własnym domu w takim stanie.

Najdziwniejsze jednak miało dopiero nastąpić. Korzystając z przyjazdu znanego pianisty Romea Lussicha, który wykonał cykl sonat Mozarta, gdy tylko miasto przestało obchodzić żałobę po generale Ignacio Maria, doktor Juvenal Urbino kazał załadować fortepian z Akademii Muzycznej na wóz ciągnięty przez muły i posłał Ferminie Dazie serenadę, o której rozpowiadano przez całe lata. Obudziła się usłyszawszy pierwsze dźwięki i nie musiała wyglądać przez ozdobne kraty balkonowe, żeby wiedzieć, kto jest pomysłodawcą tego niezwykłego hołdu. Żałowała tylko, że zabrakło jej odwagi innych rozwścieczonych panien wylewających zawartość nocników na głowy niepożądanych wielbicieli. Lorenzo Daza, wprost przeciwnie, ubrał się w trakcie trwania serenady, jak mógł najszybciej, by po jej odegraniu zaprosić do bawialni doktora Juvenala Urbino i pianistę, ubranych nadal we fraki, i podziękował im za serenadę kieliszkiem dobrej brandy.

Fermina Daza dość szybko zdała sobie sprawę z tego, iż ojciec usiłuje zmiękczyć jej serce. Następnego dnia po serenadzie powiedział do niej mimochodem: „Wyobraź sobie, jakby się czuła twoja matka, gdyby wiedziała, że stara się o ciebie jeden z Urbinów de la Calle”. Odpowiedziała bez namysłu: „Przewróciłaby się w grobie”. Przyjaciółki pobierające z nią lekcje malowania opowiedziały jej, że Lorenzo Daza został zaproszony na obiad do Klubu Towarzyskiego przez doktora Juvenala Urbino, który z kolei otrzymał poważne ostrzeżenie za naruszenie regulaminu. Wtedy dowiedziała się zarazem, iż ojciec wielokrotnie już starał się o przyjęcie w poczet członków Klubu Towarzyskiego, za każdym razem otrzymując w głosowaniu tak znaczącą liczbę czarnych gałek, iż uniemożliwiało mu to na długo podjęcie kolejnej próby.

Ale po Lorenzie Daza wszystkie kolejne upokorzenia spływały niczym woda po gęsi, teraz wytyczał bowiem cały swój spryt, by spotykać przypadkowo Juvenala

Urbino, nie zdając sobie sprawy, iż to Juvenal Urbino czyni nadludzkie wysiłki, żeby

dać się spotkać. Niekiedy spędzali całe godziny na rozmowach w gabinecie, dom wtedy pozostawał jakby zawieszony poza czasem, Fermina Daza nie pozwalała bowiem, by cokolwiek w mieszkaniu żyło sobie właściwym życiem i rytmem do momentu odejścia lekarza. Kawiarnia „Parafialna” okazała się dobrym portem przejściowym. Tu właśnie Lorenzo Daza udzielił Juvenalowi Urbino pierwszych lekcji gry w szachy, ten zaś okazał się uczniem tak pilnym, że szachy stały się jego nieuleczalną pasją, która nie opuściła go aż do dnia śmierci.

Pewnej nocy, wkrótce po owej serenadzie na fortepian solo, Lorenzo Daza natknął się w sieni swego domu na list w kopercie opieczętowanej monogramem J.U.C. Przechodząc obok sypialni córki wsunął list pod drzwi, Fermina Daza zaś nie mogła zrozumieć, jakim sposobem list mógł się tam znaleźć, wydawało jej się bowiem czymś niepojętym, żeby ojciec zmienił się do tego stopnia i osobiście podrzucał jej list od zalotnika. Nie wiedząc doprawdy, co z nim zrobić, położyła list na stoliku nocnym, gdzie przeleżał kilka dni, aż do owego deszczowego popołudnia, gdy Ferminie Dazie przyśniło się, że Juvenal Urbino ponownie zaszedł do jej domu, aby podarować jej szpatułkę, którą posłużył się, by zbadać jej gardło. We śnie szpatułka zrobiona była nie z aluminium, lecz ze smakowitego metalu, który z przyjemnością wylizywała w innych smaczkach, przełamała ją więc na dwie nierówne części, oddając mu tę mniejszą. Obudziwszy się otworzyła list. Był krótki i wytworny.

Juvenal Urbino błagał tylko o jedno: by pozwoliła mu prosić jej ojca o zgodę na złożenie jej wizyty. Jego powaga i skromność zrobiły na niej wrażenie, toteż piastowana z taką miłością i przez tyle dni wściekłość natychmiast prysła. Ukryła list w nie używanej szkatułce w głębi kufra, ale nagle przypomniała sobie, że tam właśnie chowała również wonne listy Florentina Arizy, i przejęta nagłym wstydem szybko wyjęła go stamtąd, pragnąc znaleźć dlań inne miejsce. Wydało jej się wówczas, że rzeczą najbardziej przyzwoitą będzie uznać, że list do niej w ogóle nie dotarł i spaliła go w płomieniu lampy przypatrując się, jak krople laku pęcznieją niebieskimi pęcherzykami i pękają w ogniu. Westchnęła:

„Biedny człowiek”. Natychmiast zdała sobie sprawę, że w ciągu niespełna roku mówi to już po raz drugi, i przez chwilę pomyślała o Florentinie Arizie i była zaskoczona, jak bardzo już jest od niej daleki: biedny człowiek. W październiku, razem z ostatnimi deszczami, nadeszły kolejne trzy listy, przy czym do pierwszego z nich dołączone było pudełeczko z fiołkowymi mydełkami z opactwa Flavigny. Dwa zostały doręczone w bramie domu przez stangreta doktora Juvenala Urbino, który przez okienko powozu pozdrowił

Galę Placidie, po pierwsze, aby nie było wątpliwości, że listy są od niego, po wtóre zaś, aby nikt nie mógł powiedzieć, że listy nie dotarły. Oba zresztą nosiły pieczęć lakową z monogramem i napisane były hieroglificznymi bazgrołami znanymi już Ferminie: pismem lekarza. Oba zawierały w zasadzie to samo, co pierwszy i utrzymane były w tym samym pełnym pokory tonie, niemniej na dnie ich zgodnej z przyzwoitością elegancji można było już dostrzec pragnienie, którego nie wyczuwało się w powściągliwych listach Florentina Arizy. Fermina Daza przeczytała je natychmiast po ich otrzymaniu, w odstępie dwóch tygodni, i wrzucając je już niemal w ogień, sama nie wiedząc dlaczego, zmieniła nagle zdanie. Ale, mimo wszystko, nie zamierzała na nie w ogóle odpowiadać.

Trzeci październikowy list został wsunięty pod drzwi wejściowe i różnił się w każdym szczególe od poprzednich. Charakter pisma do tego stopnia przypominał dziecięcy sposób stawiania liter, iż nie ulegało wątpliwości, że list napisany był lewą ręką, ale Fermina Daza zdała sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy tekst okazał się podłym anonimem. Jego autor, uznając za niezbitą pewność, że Fermina Daza zauroczyła doktora Juvenala Urbino swymi magicznymi napojami, wyciągał z tego założenia złowrogie wnioski. Kończył groźbą: jeśli Fermina Daza nie zrezygnuje ze swych zapędów zdobycia najbardziej pożądanego mężczyzny w mieście, zostanie wystawiona na publiczną hańbę. Poczula się ofiarą wielkiej niesprawiedliwości, ale jej reakcją nie był odruch zemsty, wprost przeciwnie: chciałyby odkryć autora anonimu, żeby wyprowadzić go z błędu, służąc mu wszystkimi możliwymi wyjaśnieniami, była bowiem absolutnie przekonana, iż nigdy i za żadne skarby nie ulegnie zalotom Juvenala Urbino.

W następnych dniach otrzymała kolejne dwa nie podpisane listy, równie perfidne jak pierwszy, żaden jednak z owych trzech listów nie wydawał się być napisany przez tę samą osobę. Albo była ofiarą jakiegoś spisku, albo kłamliwa wersja o jej tajemnych miłościach zatoczyła szersze kręgi, niż można było przypuszczać. Niepokoila ją myśl, iż cała sprawa mogła być konsekwencją najzwyczajszej niedyskrecji Juvenala Urbino. Pomyślała, że być może jest człowiekiem nie tak eleganckim, na jakiego wyglądał, że może podczas różnych wizyt paplał, co mu ślina na język przyniosła, chępiąc się wymyślonymi podbojami, jak tyłu innych mężczyzn z jego sfery. Przez chwilę zamierzała napisać do niego, by go wyłajać za uchybianie jej czci, ale odstąpiła od zamysłu, bo może właśnie to było jego zamiarem. Spróbowała wywiedzieć się czegoś poprzez swoje przyjaciółki od wspólnych lekcji malowania w szwalni, ale jedyną rzeczą, o jakiej słyszały, były bardzo przychylnie komentarze o serenadzie na fortepian solo. Poczula się wściekła, bezsilna, upokorzona. Odwrotnie niż na początku, kiedy chciała się spotkać z niewidzialnym

wrogiem, by przekonać go o tym, iż jest w błędzie, teraz pragnęła go tylko posiekać sekatorem na drobne kawałeczki. Nie spała po nocach, analizując wszystkie szczegóły i zwroty z anonimowych listów, w nadziei, że natrafi na coś, co by było dla niej pociechą. Na próżno: Ferminie Dazie z natury rzeczy świat wewnętrzny Urbinów de la Calle był całkowicie obcy i o ile uzbrojona była w oręż, dzięki któremu mogła się bronić przed ich najwytworniejszą sztuką dobrych manier, o tyle stawała się bezbronna wobec ich przewrotnej sztuki złych manier. Przekonanie to nappełniło ją jeszcze większym rozgoryczeniem po straszliwym przypadku z czarną lalką, przesłaną w tych dniach bez listu, ale której nadawcę można było sobie bez trudu wyobrazić: jedynie doktor Juvenal Urbino mógł ją wysłać. Została, sądząc z etykiety, kupiona na Martynice i ubrana była we wspaniałą suknię, miała kręcone włosy przeplecione złotymi pasemkami i gdy się ją kładło, zamykała oczy. Ferminie Dazie wydała się tak zabawna, że wyzbywając się skrupułów kładła ją w ciągu dnia na swej poduszce. Jakiś czas później, po męczącym śnie, spostrzegła, że lalka rośnie: spod pięknego stroju, w którym przybyła, zaczęły wystawać jej uda, a buciki pod naporem rosnących stóp rozpadły się. Fermina Daza słyszała o afrykańskich czarach, ale nigdy o tak przerażających jak ten. Z drugiej strony nie była w stanie pojąć, jak człowiek taki jak Juvenal Urbino zdolny jest do podobnego okrucieństwa.

I miała rację: lalki nie przywiózł stangret, lecz przypadkowy sprzedawca krewetek, o którym nikt nie mógł powiedzieć nic pewnego. Usiłując rozwiązać zagadkę, Fermina Daza przez chwilę pomyślała o Florentinie Arizie, którego posepny charakter napawał ją lękiem, życie jednak wyprowadziło ją potem z błędu. Tajemnica nigdy nie została wyjaśniona, a na samą jej myśl Fermina Daza drżała z przerażenia jeszcze bardzo długo, nawet już po ślubie, nawet jeszcze wtedy, gdy już miała dzieci i uważała siebie za wybrankę losu: za najszcześniejszą.

Ostatnią próbą doktora Urbino było odwołanie się do pośrednictwa przełożonej szkoły Ofiarowania Najświętszej Marii Panny, siostry Franki de la Luz, która nie mogła odmówić rodzinie wspomagającej jej zgromadzenie od samego początku jego działalności na terenie obu Ameryk. Zjawiała się w towarzystwie nowicjuszek o dziewiątej rano i obie musiały zabawić pół godziny przy ptasich klatkach, czekając aż Fermina Daza skończy poranną kąpiel. Był to męski typ Niemki, o metalicznym akcencie i władczym spojrzeniu, nie mającym żadnego związku z jej dziecinnymi namiętnościami. Fermina Daza nikogo i niczego bardziej nienawidziła na świecie jak tej właśnie kobiety i wstrętne jej było wszystko, co się z nią łączyło, a już na samą myśl o jej fałszywej litości budziła się w jej trzewiach wściekłość skorpiona.

Toteż gdy tylko ją dostrzegła stanąwszy w drzwiach łazienki, natychmiast powróciło do niej wspomnienie szkolnych tortur, nie dającej się powstrzymać senności codziennej mszy, srogich egzaminów, służalczej gorliwości nowicjuszek i całego tego życia zdeprawowanego patrzeniem przez pryzmat ubóstwa ducha. Siostra Franca de la Luz, wprost przeciwnie, pozdrowiła ją z radością, która wydawała się szczerą. Była zaskoczona tym, jak bardzo Fermina urosła i dojrzała, pochwaliła rozsądek, z jakim prowadzi ona dom, pięknie urządzone patia, ruszt pod drzewkami pomarańczy. Kazała nowicjuszcze poczekać tutaj, ostrzegając, by unikała zbytniego zbliżania się do kruków, bo przy najmniejszej nieuwadze mogą wydziobać jej oczy, i zaczęła się rozglądać za jakimś miejscem, żeby porozmawiać sam na sam z Ferminą. Ta zaprosiła ją do bawialni.

Była to wizyta krótka i oschła. Siostra Franca de la Luz, nie marnując czasu na jakiegokolwiek wstępy, zaproponowała Ferminie Dazie honorową rehabilitację. Powody wydalenia zostaną wymazane nie tylko z akt, ale zarazem z pamięci zgromadzenia, a to z kolei pozwoli jej na ukończenie nauki i otrzymanie świadectwa dojrzałości w naukach humanistycznych. Fermina Daza, zdumiona, chciała wiedzieć, czemu jej to proponuje.

- To prośba osoby zasługującej na wszystko, a której jedynym pragnieniem jest uczynić cię szczęśliwą - powiedziała zakonnica. - Wiesz, o kim mówię? Wówczas zrozumiała. Zapytała w duchu, jakim prawem za wysłanniczkę miłości służy kobieta, która skrzywiła jej życie z powodu jednego niewinnego listu, nie odważyła się jednak powiedzieć tego głośno. Powiedziała natomiast, że tak, zna tego mężczyznę, i właśnie dlatego jest pewna, iż nie ma on żadnego prawa wtrącać się w jej życie.

- Jedyne, o co cię prosi, to pięć minut rozmowy z tobą - powiedziała zakonnica. - Jestem przekonana, że twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu. Wściekłość Ferminy Dazy na myśl, iż jej ojciec maczał palce w przygotowaniach do tej wizyty, nie miała już granic.

- Widzieliśmy się, dwukrotnie, kiedy byłam chora - powiedziała. - Teraz nie widzę żadnego powodu. - Dla każdej kobiety posiadającej odrobinę rozumu mężczyzna ten jest darem boskiej opatrności - powiedziała zakonnica.

Po czym zaczęła rozprawiać o jego zaletach, pobożności, o tym, jak jest oddany chorym i cierpiącym. Nie przestając mówić, wyciągnęła z rękawa złoty różaniec z Chrystusem wyrzeźbionym z kości słoniowej i potrząsnęła nim przed oczami Ferminy Dazy. Była to rodzinna relikwia, należąca do niej od ponad stu lat, wyrzeźbiona przez złotnika ze Sieny i poświęcona przez Klemensa IV.

- Jest twój - powiedziała.

Fermina Daza poczuła wzbierający w żyłach potok krwi i zdobyła się na odwagę.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie siostra tym się zajęła - powiedziała - skoro miłość uznaje siostra za grzech.

Siostra Franca de la Luz udała, że nie zwraca uwagi na przytyk, ale oczy pociemniały jej z gniewu. Wciąż potrząsała różańcem.

- Lepiej będzie, jeśli się ze mną dogadasz - powiedziała - bo gdy ja odejdę, przyjdzie tutaj arcybiskup, a z nim sprawy będą się miały zupełnie inaczej. - Niech przyjdzie - powiedziała Fermina Daza. Siostra Franca de la Luz schowała złoty różaniec do rękawa. Następnie wyjęła z drugiego rękawa mocno zużytą zbitą w kłębek chusteczkę i ściskając ją w dłoni, spojrzała na Ferminę jakby z wielkiej odległości, uśmiechając się ze współczuciem.

- Biedne dziecko - westchnęła - wciąż jeszcze myślisz o tamtym mężczyźnie.

Fermina Daza połknęła impertynencję bez mrugnięcia powiek. Popatrzyła zakonnicy głęboko w oczy, póki z bezgraniczną satysfakcją nie zobaczyła, że pojawiły się w nich łzy. Siostra Franca de la Luz wytarła je stłamszoną chusteczką i wstała.

- Twój ojciec nie przesadza, twierdząc, że jesteś uparta jak muł - powiedziała.

Arcybiskup nie przyszedł. Szturm skończyłby się zatem owego dnia, gdyby nie Hildebranda Sanchez, która przyjechała spędzić Boże Narodzenie razem z kuzynką - i wtedy odmieniło się życie ich obu. Przypłynęła goletą z Riohacha o piątej rano, w tłumie pasażerów konających od mdłości, ona jednak, już dojrzała kobieta, zeszła z pokładu rozpromieniona, w nastroju podniecenia po fatalnej nocy na morzu. Wiozła ze sobą kosze z żywymi indykami i całą masą najróżniejszych płodów jej żyznej ziemi, aby nikomu nie zabrakło jedzenia podczas jej wizyty. Lisimaco Sanchez, jej ojciec, pytał przez nią, czy potrzebni będą muzycy na święta, bo on ma do swej dyspozycji najlepszych, i przyrzekał, że nieco później prześle transport ogni sztucznych. Poza tym zawiadamiał, że nie może przyjechać po córkę przed marcem, tak że miały aż nadto czasu, żeby korzystać z życia.

Obie kuzynki zaczęły korzystać od razu. Kąpały się razem już od pierwszego popołudnia, nago, nawzajem oblewając się wodą ze zbiornika. Namydlały się, wyczesywały sobie gnidy, porównywały swe pośladki i sztywne piersi, jedna przeglądając się w zwierciadle drugiej, aby ocenić, na ile okrutnie potraktował je czas od chwili, gdy ostatnio widziały się nage. Hildebranda była duża i pełna, o złotawej skórze, ale włosy na całym jej ciele były włosami Mulatki, krótkie i skręcone niczym druciak. Nagość Ferminy Dazy była natomiast nagością bladą i smukłą, o skórze jasnej i prostych włosach. Gala Placidia wstawiła do sypialni dwa identyczne łóżka, ale czasami kładły się do jednego i rozmawiały przy zgaszonym świetle aż do świtu. Paliły bandyckie cygaretki, które Hildebranda



przywiozła schowane w podszewce kufra, po czym musiały spalać kadzidlane bibułki papieru z Armenii, żeby zabić odór meliny unoszący się w sypialni. Fermina Daza spróbowała tego po raz pierwszy w Valledupar i robiła to w Fonseca i w Riohacha, gdzie i dziesięć kuzynek razem potrafiło zamknąć się w pokoju, by pogadać o mężczyznach, paląc po kryjomu. Nauczyła się palić na odwrót, z ogniem w ustach, tak jak palili mężczyźni podczas wojennych nocy, żeby nie zdradził ich żar papierosa. Nigdy jednak nie paliła w samotności. Z Hildebrandą, u siebie, robiła to każdego wieczora przed zaśnięciem i od tej pory nabrała tego zwyczaju, chociaż zawsze paliła po kryjomu, nawet kiedy już miała męża i dzieci, nie tylko dlatego, że było źle widziane, aby kobieta paliła publicznie, lecz dlatego, że przyjemność zawsze łączyła się dla niej z konspiracją. Również podróż Hildebrandy została jej narzucona przez rodziców, którzy chcieli ją oddalić od jej niemożliwej miłości, choć wmówili jej, że celem podróży jest pomoc Ferminie w podjęciu decyzji o świetnym małżeństwie. Hildebranda zgodziła się, mając nadzieję, że oprze się zapomnieniu, tak jak w swoim czasie uczyniła to kuzynka, i umówiła się z telegrafistą z Fonseki, by w największej tajemnicy przekazywał jej depesze. Toteż była gorzko rozczarowana dowiedziawszy się, że Fermina Daza odrzuciła Florentina Arizę. Poza tym Hildebranda wyznając uniwersalną koncepcję miłości sądziła, iż cokolwiek stanie się w jednym takim przypadku, dotyka wszystkich zakochanych na całym świecie. Nie odstąpiła jednak od zamysłu. Ze śmiałością, która Ferminę Dazę wprowadziła w przerażenie, udała się sama do urzędu telegraficznego postanawiając wkraść się w łaski Florentina Arizy.

Nie poznałaby go, nie miał bowiem żadnej z cech odpowiadających wyobrażeniu, jakie sobie o nim na podstawie relacji Ferminy Dazy stworzyła. Na pierwszy rzut oka wydało jej się niemożliwe, żeby kuzynka tak oszalała na punkcie tego niepozornego urzędnika o wyglądzie zbitego psa, którego strój rabina w niełasce i uroczysty sposób bycia nie mogły nikogo doprowadzić do sercowych uniesień. Szybko jednak pożałowała swoich pierwszych wrażeń, gdyż Florentino Ariza oddał się do jej całkowitej i bezwarunkowej dyspozycji, nie wiedząc, kim jest Hildebranda: i nigdy się nie dowiedział. Nikt lepiej od niego nie mógł się postawić w jej sytuacji, nie wymagał więc od niej żadnego dowodu tożsamości i nie dopytywał się o żaden adres. zaproponował bardzo proste rozwiązanie: w każdą środę po południu ona będzie zachodzić do urzędu telegraficznego, aby mógł jej osobiście wręczyć odpowiedzi, to wszystko. Poza tym, kiedy przeczytał napisany przez Hildebrandę tekst depeszy, zapytał, czy przystałaby na pewną sugestię, a ona zgodziła się. Florentino Ariza zrobił wpierw kilka poprawek pomiędzy wierszami, skreślił je, ponownie napisał, zabrakło mu miejsca, w końcu podarł kartkę i napisał nową depeszę, która wydała

się jej wzruszająca. Hildebranda po wyjściu z urzędu telegraficznego była bliska płaczu.

- Jest brzydki i smutny - powiedziała Ferminie Dazie - ale cały jest miłością.

Największą uwagę Hildebrandy zwróciła samotność kuzynki. Zachowywała się - tak jej powiedziała - jak dwudziestoletnia stara panna. Przywykła do licznej rodziny, rozproszonej po domach, gdzie nikt nie wiedział na pewno, ile osób tam mieszka i kto w danym dniu zasiądzie do stołu, Hildebranda nie była w stanie wyobrazić sobie dziewczyny w jej wieku zamkniętej w klasztorze prywatnego życia. I tak było: od momentu, kiedy wstawała o szóstej rano, aż do chwili, kiedy gasiła światło w sypialni, poświęcała się marnowaniu czasu. Życie docierało do niej z zewnątrz. Wpierw, z pierwszymi kurami, mleczarz budził ją stukając kołatką do drzwi. Później pukała sprzedawczynie ryb ze skrzynką pagrusów konających na łożu z morskich alg, wytworne Murzynki z warzywami z Maria la Baja i owocami z San Jacinto. A później, w ciągu całego dnia, pukali wszyscy: żebracy, dziewczyny z losami na loterię, siostry miłosierdzia, szlifierz ze swoją piszczałką i ten, co butelki kupuje, i ten, co złoto zużyte kupuje, i ten, co makulaturę kupuje, i fałszywe Cyganki, co mogą odczytać przyszłość z kart, z linii na dłoniach, z fusów po kawie, z wody w miednicach. Gali Placidii tydzień cały schodził na otwieraniu i zamykaniu bramy, i odpowiadaniu, że nie, proszę przyjść kiedy indziej, albo, kiedy miała już wszystkiego powyżej uszu - na wrzaskach z balkonu, nie zawracajcie już dupy, cholera, wszystko, co trza, jużśmy kupili. Zastąpiła ciotkę Scholastykę z takim animuszem i wdziękiem, że Fermina myliła ją z ciotką do tego stopnia, iż nawet kochała ją tak samo. Ulegała obsesjom niewolnicy. W każdej wolnej chwili biegła do służbówki, by prasować bieliznę, idealnie gładko, chować ją w szafach z dodatkiem kwiatu lawendy, a prasowała i składała nie tylko dopiero co upraną, ale również tę która mogła z braku używania stracić swoją świeżość.

Równie starannie dbała o garderobę matki Ferminy, Ferminy Sanchez zmarłej czternaście lat temu. Wszystkie jednak decyzje podejmowała Fermina Daza. Zarządzała, jakie posiłki należy przygotować, co trzeba kupić, co należy zrobić w takim czy innym przypadku, i w ten sposób decydowała o życiu domu, w którym tak naprawdę nie były potrzebne żadne decyzje. Po wyczyszczeniu klatek, podaniu ptakom pokarmu i sprawdzeniu, czy niczego nie brakuje kwiatom, zaczynała dryfować bez celu. Po usunięciu jej ze szkoły wielokrotnie zasypiała podczas sjesty nie budząc się aż do następnego dnia. Lekcje malowania nie były niczym innym jak zabawniejszym sposobem marnowania czasu. Stosunki z ojcem pozbawione były cieplejszych uczuć od dnia wygnania ciotki Scholastyki, choć oboje znaleźli sposób na współżycie bez wchodzenia sobie w drogę. Kiedy ona wstawała, on już załatwiał na mieście swoje interesy. Rzadko kiedy zdarzało mu się nie

stawić w rytualnej porze obiadu, choć prawie nigdy nie jadł, wystarczały mu bowiem przystawki i galisyjskie zakąski z „Parafialnej”. Kolacji też nie jadał: pozostawiano jego porcję na stole, wszystko na jednym talerzu przykrytym drugim talerzem, chociaż wiedzieli, że zje to dopiero następnego dnia, odgrzewając sobie na śniadanie. Raz w tygodniu dawał córce pieniądze, dokładnie przez niego wyliczone, a przez nią oszczędnie wydawane, aczkolwiek z przyjemnością uwzględniał każdą jej prośbę, gdy chodziło o nieprzewidziane zakupy. Nigdy się z nią nie targował, nigdy nie żądał rachunków, niemniej zachowywała się tak, jakby musiała je zdać przed trybunałem Świętej Inkwizycji. Nigdy nie mówił jej o charakterze i stanie swych interesów, nigdy też nie zabrał jej ze sobą do swych biur w porcie, miejsca surowo wzbronionego przyzwoitym paniątkom, nawet gdyby miały się tam znaleźć w towarzystwie ojców.

Lorenzo Daza nie wracał do domu przed dziesiątą wieczorem, godziną policyjną w najmniej krytycznych okresach wojen. Do tego czasu przebywał w „Parafialnej”, grając, w co popadło, bo był specjalistą od wszelkich gier salonowych, a poza tym dobrym nauczycielem. Zawsze docierał do domu przytomny, nie budząc córki, mimo że pierwszą anyżówkę wypijał z samego rana, a przez cały dzień, żując końcówkę zgaszonego papierosa, też pił od czasu do czasu. Pewnej nocy jednak Fermina usłyszała, jak wraca. Usłyszała jego kozackie kroki na schodach, ciężkie sapanie w korytarzu na drugim piętrze, walenie otwartą dłonią w drzwi do sypialni. Otworzyła mu i po raz pierwszy przeraziło ją jego wykręczone oko i jego bełkot.

- Jesteśmy zrujnowani - powiedział. - Zrujnowani doszczętnie, no to już wiesz.

To było wszystko, co powiedział i nigdy więcej już tego nie powtórzył, i nie zdarzyło się nic takiego, co wskazywałoby, iż powiedział prawdę, ale po tamtej nocy Fermina Daza uświadomiła sobie, że jest sama na świecie. Żyła w towarzyskim czyścicu. Dawne szkolne koleżanki przebywały w niebie jej zakazanym, tym bardziej po hańbie wydalenia, ale nie była również sąsiadką swoich sąsiadów, bo ci poznali ją, nie znając jej z przeszłości, lecz w mundurku szkoły Ofiarowania Najświętszej Marii Panny. Świat ojca był światem handlarzy i portowych tragarzy, uchodźców wojennych w publicznym azylu „Parafialnej”, światem samotnych mężczyzn. W ostatnim roku lekcje malowania złagodziły nieco jej odosobnienie, nauczycielka wołała bowiem lekcje zbiorowe i zwykła przyprowadzać z sobą do szwalni inne uczennice. Ale owe dziewczyny pochodzące z nieokreślonych i bardzo zróżnicowanych kręgów społecznych były dla Ferminy Dazy jedynie pożyczonymi koleżankami i sentyment do nich wygasał wraz z końcem lekcji. Hildebranda chciała otworzyć dom na oścież, przewietrzyć go, sprowadzić muzyków, race i pirotechniczne

zamki swego ojca i urządzić bal karnawałowy, którego wichry rozchmurzyłyby przeżartą przez mole duszę kuzynki, szybko jednak zdała sobie sprawę z daremności swych zamiarów. Z prostego powodu: nie miała dla kogo urządzać zabawy.

W każdym razie to ona właśnie trochę ją ożywiła. Popołudniami, po lekcjach malowania, chcąc poznać miasto, kazała oprowadzać się po ulicach. Fermina Daza pokazała jej drogę, którą przemierzała codziennie z ciotką Scholastyką, ławkę w parku, gdzie Florentino Ariza, czekając na nią, udawał, że czyta, uliczki, po których łąził za nią, schowki na listy, ponury pałac, w którym mieściło się najpierw więzienie Inkwizycji, a który później, po odrestaurowaniu, został przemieniony w szkołę Ofiarowania Najświętszej Marii Panny, z całej duszy przez nią znienawidzoną. Wspięły się na wzgórze cmentarza biedaków, gdzie Florentino Ariza grał na skrzypcach, wybierając kierunek w zależności od tego, jak wiały wiatry, aby mogła go słyszeć leżąc w łóżku, i ujrzały stamtąd całe historyczne miasto, zbutwiałe dachy, zniszczone mury, ruiny fortec pośród chaszczy, sznureczek wysp w zatoce, nędzne baraki wokół mokradeł, bezkresne Karaiby.

W noc wigilijną udały się na pasterkę do katedry.

Fermina zajęła miejsce, do którego najlepiej docierała do niej serdeczna muzyka Florentina Arizy, pokazała kuzynce dokładnie to miejsce, gdzie podczas takiej nocy jak dzisiejsza ujrzała z bliska po raz pierwszy jego przerażone oczy. Odważyły się same dojść do Bramy Pisarzy, kupiły słodkości, nieco dłużej zabawiły w sklepiku z fantazyjnymi papierami i Fermina Daza powiedziała, że właśnie tutaj odkryła nagle, że jej miłość jest tylko złudzeniem. Sama nie zdawała sobie sprawy, że każdy jej krok, od domu po szkołę, każde miejsce w mieście, każda chwila z jej niedawnej przeszłości istniały tylko i wyłącznie dzięki Florentinowi Arizie. Hildebranda usiłowała dać jej to do zrozumienia, Fermina Daza nie przyjęła jednak tego do wiadomości, bo nigdy nie przyjęłaby prawdy, że Florentino Ariza, na dobre i na złe, był jedynym wydarzeniem w jej życiu. W owych dniach pojawił się w mieście belgijski fotograf, instalując swój zakład w głębi Bramy Pisarzy i każdy, kto tylko miał mu czym zapłacić, skorzystał z okazji, aby zrobić sobie zdjęcie. Fermina i Hildebranda były jednymi z pierwszych. Opróżniły szafę Ferminy Sanchez, rozdzieliły między siebie najokazalsze stroje, parasolki, świąteczne pantofle, kapelusze i przebrały się za damy z połowy wieku. Gala Placidia pomogła im ściągnąć gorsety, nauczyła poruszać się w drucianych szkieletach krynolin, naciągać rękawiczki, zapinać getry na sztybletach z wysokimi obcasami. Hildebranda wybrała kapelusz z dużym rondem ozdobiony strusimi piórami spływającymi jej na plecy. Fermina założyła kapelusz świeższej daty, przystrojony owocami z pomalowanego gipsu i kwiatami z włosianki. Po czym zaczęły śmiać się same z

siebie, gdy zobaczyły w lustrze swe odbicia ludzaco podobne do dagerotypów babć, i szczęśliwe, rozchichotane poszły zrobić sobie najpiękniejsze zdjęcie w życiu. Gala Placidia ujrzała je z balkonu, jak przechodziły przez park z otwartymi parasolkami, usiłując utrzymać równowagę na wysokich obcasach, całym ciałem popychając krynoliny jak dziecięce kojce, i pobłogosławiła je: niech im Bóg dopomoże przy pozowaniu do portretów.

Przed zakładem Belga kłębił się tłum, fotografowano bowiem Beny Centena, który w owych dniach zdobył w Panamie bokserski tytuł mistrzowski. Fotografowanie go sprawiało sporo trudności, gdyż ubrany w spodenki, w bokserskich rękawicach i w koronie na głowie, musiał stać w odpowiedniej pozycji przez minutę, starając się, w miarę możliwości, jak najmniej oddychać, ledwie jednak ustawiał gardę, kibice natychmiast robili mu owację, on zaś nie potrafił się powstrzymać od popisywania się przed nimi swoimi umiejętnościami. Kiedy przyszła kolej na kuzynki, niebo zachmurzyło się i deszcz zdawał się wisieć w powietrzu, one jednak pozwoliły upudrować sobie twarze krochmalem i oparły się z taką naturalnością o alabastrową kolumnę, iż zdołały znieruchomieć na dłużej niż nakazywał rozsądek. Była to fotografia na wieczne czasy. Kiedy Hildebranda zmarła w wieku niemal stu lat w swej hacjendzie w Flores de Maria, odnaleziono odbitkę tego zdjęcia w zamkniętej na klucz szafie w sypialni, schowaną między pachnącymi prześcieradłami, razem ze skamieliną bratka w całkowicie spłowiałym, po tak długim czasie, liście. Fermina Daza zawsze trzymała swoje zdjęcie na pierwszej stronie rodzinnego albumu, skąd zniknęło, nie wiadomo jak i kiedy, i dotarło do rąk Florentina Arizy w wyniku nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, gdy oboje mieli już ponad sześćdziesiąt lat.

Kiedy Fermina i Hildebranda wyszły z zakładu Belga, plac przy Bramie Pisarzy pełen był ludzi, tłoczących się nawet na balkonach. Zapomniały, że mają twarze obsypane krochmalem, usta pomalowane szminką koloru czekolady, ich stroje zaś nie są nazbyt stosowne ani na tę porę, ani na tę epokę. Ulica przyjęła je kpiarskimi gwizdami. Próbując ująć szyderczej obławie tłumów, poczuły, że znalazły się w pułapce, gdy nieoczekiwanie przez ciżbę zaczęło przedzierać się lando zaprzęzone w złotawe kasztanki. Gwizdy ustały i grupki napastników rozproszyły się. Hildebranda na zawsze miała zapamiętać mężczyznę, który pojawił się na stopniach pojazdu, jego satynowy cylinder, brokatową kamizelkę, jego dystygowane maniery, słodycz oczu, władczość postawy.

Chociaż nigdy przedtem go nie widziała, rozpoznała go natychmiast. Fermina Daza wspomniała jej o nim, niemal mimochodem i z całkowitą obojętnością, jakiś miesiąc temu pewnego popołudnia, gdy nie chciała przejść obok pałacu markiza de Casalduero, bo złotokonne lando stało przy bramie. Opowiedziała jej, kim jest właściciel, i spróbowała

wyjaśnić powody swej antypatii, nie wspominając ani słowem o jego zalotach. Hildebranda natychmiast o nim zapomniała. Kiedy jednak rozpoznała osobę stojącą w drzwiczkach powozu niczym baśniowa zjawa, z jedną nogą na ziemi, drugą na stopniu, nie zrozumiała niechęci kuzynki. - Proszę wyświadczyć mi tę łaskę i wsiąść do powozu - powiedział im doktor Juvenal Urbino. - Odwiozę panie, gdzie tylko rozkażecie.

Fermina Daza chciała odmówić gestem, ale Hildebranda zdążyła już wyrazić zgodę. Doktor Juvenal Urbino stanął na ziemi i koniuszkami palców, niemal jej nie dotykając, pomógł wsiąść do powozu. Fermina, nie mając innego wyjścia, wsiadła za nią z twarzą płonąca wstydem. Dom był zaledwie o trzy przecznice dalej. Kuzynki nie dostrzegły, by doktor Urbino umawiał się ze stangretem, ale widocznie tak było, bo powóz wiózł je ponad pół godziny. Jechały na głównym siedzeniu, lekarz zaś siedział naprzeciwko nich, plecami do kierunku jazdy.

Fermina odwróciła twarz ku oknu i patrzyła w przestrzeń. Hildebranda, wprost przeciwnie, była oczarowana, doktor Urbino zaś był jeszcze bardziej oczarowany jej oczarowaniem. Już z chwilą, gdy powóz ruszył, poczuła ciepły zapach naturalnej skóry siedzeń, intymność obitego wnętrza i powiedziała, że to miejsce wydaje jej się w sam raz i że mogłaby tu już żyć na zawsze. Bardzo szybko zaczęli się śmiać i na przemian żartować niczym para zażyłych przyjaciół, do tego stopnia, że wymyślili nawet łatwą do rozszyfrowania grę polegającą na wtrącaniu po każdej sylabie jednej sylaby stałej. Udawali, że wierzą, iż Fermina ich nie rozumie, aczkolwiek byli całkowicie świadomi tego, że nie tylko rozumie ich świetnie, ale cały czas uważnie im się przysłuchuje, i dlatego to robili. Po jakimś czasie, zanosząc się od śmiechu, Hildebranda wyznała, że nie może już dłużej wytrzymać tortury sztybletów.

- Nic prostszego - powiedział doktor Urbino. - Zobaczymy, kto będzie pierwszy.

Zaczął rozwiązywać swoje sznurowadła, a Hildebranda natychmiast przyjęła wyzwanie. Nie przyszło jej to łatwo ze względu na fiszbiny w gorsecie utrudniające jej schylenie się, ale doktor Urbino celowo zwlekał, dopóki nie wyciągnęła swoich sztybletów spod spódnicy z okrzykiem triumfu, jakby dopiero co wyłowiła je ze stawu. Oboje spojrzeli wówczas na Ferminę i ujrzeli na tle pożaru zmierzchu jej wspaniały profil wilgi, znacznie ostrzejszy niż zazwyczaj. Była po trzykroć wściekła: ze względu na niezasłużoną sytuację, w jakiej się znalazła, ze względu na nieprzyzwoite zachowanie Hildebrandy i ze względu na całkowitą pewność, że powóz kręci się bez celu, żeby tylko przedłużyć przejażdżkę. Ale Hildebranda zupełnie zapomniała o roli przyzwoitki. - Dopiero teraz zrozumiałam - powiedziała - że to nie buty mi przeszkadzają, tylko ta druciana klatka.

Doktor Urbino zrozumiał, że ma na myśli krynolinę i chwycił okazję w lot. „Nic prostszego - powiedział. - Proszę ją zdjąć”. Szybkim ruchem prestidigitatora wyjął z kieszeni chusteczkę i obwiązał nią sobie oczy. - Ja nie patrzę - powiedział.

Opaska podkreślała nieskazitelną linię jego ust między krągłą, czarną brodą a wąsami o ostrych końcach, Hildebranda zaś poczuła jak ogarniają panika. Spojrzała na Ferminę i teraz dostrzegła już nie wściekłość, lecz przerażenie, kuzynka bała się, że ona może zdjąć spódnicę. Hildebranda spoważniała i zapytała na migi: „Co robimy?” Fermina Daza odpowiedziała w ten sam sposób, że jeśli natychmiast nie wrócą prosto do domu, wyskoczy z powozu w czasie jazdy.

- Czekam - powiedział lekarz.

- Już może pan patrzeć - powiedziała Hildebranda. Doktor Juvenal Urbino zdjąwszy opaskę dostrzegł odmianę w jej twarzy i zrozumiał, że zabawa skończyła się, i to skończyła się źle. Na jego znak stangret zawrócił powóz w miejscu i wjechał do parku Los Evangelios w chwili, gdy zapalano miejskie latarnie. Wszystkie kościoły rozdzwoniły się na Anioł Pański. Hildebranda wyskoczyła z powozu, zmieszana nieco myślą, że sprawiła przykrość kuzynce, i pożegnała się z lekarzem bez zbędnych ceremonii, zwykłym uściskiem dłoni. Fermina poszła w jej ślady, ale kiedy próbowała cofnąć rękę w satynowej rękawiczce, doktor Urbino mocno ścisnął jej palec serdeczny.

- Czekam na pani odpowiedź - powiedział jej. Szarpnęła wówczas ręką jeszcze mocniej i pusta rękawiczka pozostała w dłoni lekarza, Fermina nie czekała jednak aż ją odzyska. Położyła się nie tknąwszy kolacji.

Hildebranda, jakby nigdy nic, weszła do sypialni zjadłszy kolację w kuchni z Gałą Placidją i zaczęła komentować, z wrodzonym sobie wdziękiem, wypadki dzisiejszego popołudnia. Nie ukrywała entuzjazmu dla doktora Urbino, tak eleganckiego i sympatycznego, ale Fermina nic na to nie odpowiedziała, niemniej złość już jej przeszła. W pewnym momencie Hildebranda wyznała: kiedy doktor Juvenal Urbino przewiązał sobie oczy, a ona zobaczyła błysk jego wspaniałych zębów między różowymi wargami, poczuła nieprzepartą chęć, żeby schrupać go całego pocałunkami. Fermina Daza odwróciła się do ściany i położyła kres rozmowie, nie mając zamiaru jej obrażać, raczej śmiejąc się i to z całego serca. - Ale kurwa z ciebie! - powiedziała.

Spała niespokojnie, wszędzie widząc doktora Juvenala Urbino, widząc, jak się śmieje, śpiewa, jak z przewiązanymi oczyma miota, krzesze zębami iskry koloru siarki, szydząc z niej w jakimś przedziwnym żargonie, a wszystko to działo się w czyimś innym powozie, który jechał pod górę, w stronę cmentarza biedoty. Obudziła się wyczerpana na

długo przed świtem i do rana leżała z zamkniętymi oczami myśląc o tej niezliczonej ilości lat, jakie jeszcze musi przeżyć. Później, gdy Hildebranda brała kąpiel, napisała co prędzej list, złożyła go, szybko wsunęła w kopertę i zanim Hildebranda zdążyła wyjść z łazienki, wysłała list przez Galę Placidię doktorowi Juvenalowi Urbino. Był to jeden z tych listów, w którym wszystko było w sam raz, ani o literkę za dużo, ani za mało, w którym informowała jedynie, że tak, panie doktorze, może pan porozmawiać z moim ojcem.

Kiedy Florentino Ariza dowiedział się, że Fermina Daza ma wyjść za mąż za bogatego lekarza z wyższych sfer, po studiach w Europie, cieszącego się już sławą niespotykaną u kogoś tak młodego, nie było siły zdolnej wyciągnąć go z depresji.

Transito Ariza czyniła nadludzkie wysiłki, żeby pocieszyć go wyszukiwanymi ze swej przeszłości sposobami kochającej dziewczyny, kiedy spostrzegła, że stracił mowę, apetyt i nie mrużąc oka przez całą noc, płakał bez przerwy i dopiero po tygodniu zdołała nakłonić go do zjedzenia czegokolwiek. Udała się wówczas na spotkanie z don Leonem XII Loayzą, jedynym żyjącym z trójki braci, i nie podając przyczyny błagała go, by dał swemu bratankowi jakiegokolwiek zajęcie w przedsiębiorstwie żeglugowym, byleby to było w jakimś zagubionym porcie w rozlewiskach Magdaleny, gdzie nie ma poczty ani telegrafu i gdzie nie mógłby spotkać nikogo, kto by mu przekazał jakąkolwiek wiadomość z tego zatraconego miasta. Wuj, nie chcąc narazić się wdowie po swym bracie, którą do wściekłości doprowadzało samo istnienie bękarta, nie zatrudnił go, ale zdołał znaleźć mu miejsce telegrafisty w Villa de Leyva, wymarzonej miejscowości oddalonym o dwadzieścia dni podróży i znajdującym się na wysokości niemal trzech tysięcy metrów nad poziomem ulicy Ventanas.

Do świadomości Florentina Arizy owa lecznicza podróż nigdy do końca nie dotarła. Miał ją zawsze pamiętać, jak wszystko, co zdarzyło się w owym okresie, poprzez zamglone szkła swojego nieszczęścia. Otrzymałszy telegram z wiadomością o nominacji, nie zamierzał nawet brać tego pod uwagę, niemniej Lotar Thugut przekonał go niemieckimi argumentami, że czeka go wspaniała przyszłość w administracji państwowej. Powiedział mu: „Telegraf to zawód przyszłości”. Podarował mu parę rękawiczek podbitych od środka króliczą skórką, stepową czapkę i palto z futrzanym kołnierzem, wypróbowane już podczas styczniowych mrozów w Bawarii. Wuj Leon XII podarował mu dwa płócienne ubrania i nieprzemakalne buty, należące niegdyś do starszego brata, i dał bilet z miejscem w kajucie na najbliższy statek. Transito Ariza dopasowała garderobę do wymiarów syna, mniej korpulentnego od ojca i znacznie niższego od Niemca, i kupiła mu wełniane skarpety i długie kalessony, żeby niczego mu nie zabrakło w ostrym klimacie stepowego płaskowyżu.



Florentino Ariza, zahartowany już w cierpieniach, obserwował przygotowania do podróży niczym nieboszczyk towarzyszący przygotowaniom własnego pogrzebu. Nikomu nie powiedział, że wyjeżdża, z nikim się nie pożegnał, zgodnie ze swym niezłomnie skrytym charakterem, od której to zasady odstąpił jedynie wówczas, gdy wyjawiał matce tajemnicę swej tłumionej namiętności; ale w noc poprzedzającą wyjazd popełnił z pełną premedytacją ostatnie miłosne szaleństwo, które równie dobrze mógł przypłacić życiem. O północy ubrał się w swój niedzielny garnitur i sam zagrał pod balkonem Ferminy Dazy walca miłości, skomponowanego dla niej, tylko im dwojgu znany i przez trzy lata stanowiący symbol ich niełatwego wspólnego sekretu. Zagrał go na skrzypcach przemoczonych od łez, nucąc tekst i z tak głębokim natchnieniem, że choć przy pierwszych tonach psy z sąsiedztwa, a następnie psy z całego miasta zaczęły wyć, to po pewnym czasie jednak stopniowo milkły oczarowane muzyką i walc zakończył się pośród nienaturalnej ciszy. Balkon pozostał zamknięty, nikt nie wyjrzał na ulicę, nawet nocny stróż, który niemal zawsze pojawiał się ze swą lampą usiłując posilić się okruciami serenad. Dokonanie tego wyczynu okazało się egzorcyzmem, który przyniósł ulgę Florentinowi Arizie, kiedy bowiem schował skrzypce w futerale i oddalił się martwymi ulicami nie oglądając się za siebie, nie miał już wrażenia, że odjeżdża jutro rano, ale że odjechał już wiele lat temu z niezłomnym postanowieniem, że nigdy tu nie wróci. Statek, jeden z trzech identycznych Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego, został na cześć założyciela nazwany: „Pius Piąty Loayza”. Był to pływający dwupiętrowy drewniany dom na żelaznym szerokim i płaskim kadłubie, o maksymalnym zanurzeniu pięciu stóp, co pozwalało mu skuteczniej omijać płycizny dna rzeczno-jeziornego. Najstarsze statki zostały zbudowane w Cincinnati, w połowie wieku, według legendarnego modelu parostatków pływających po Ohio i Missisipi, z kołami łopatkowymi po obu stronach, napędzanymi parą z kotła na drewno. Tak jak i ten, statki Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego posiadały na dolnym pokładzie, niemal na wysokości linii wodnej, maszyny parowe, kambuzy i duże jak zagrody dla kur pomieszczenia, gdzie załogi rozwieszały krzyżujące się na różnych poziomach hamaki. Na górnym pokładzie mieściła się kabina sterownicza, kajuty kapitana i jego oficerów, salon wypoczynkowy i jadalnia, do której co znamienitsi pasażerowie byli zapraszani, przynajmniej raz, na kolację i partyjkę kart.

Na międzypokładziu znajdowało się sześć kajut pierwszej klasy po obu stronach korytarza, który służył za wspólną jadalnię, na dziobie zaś poczekalnia otwarta na rzekę, z drewnianą ażurową balustradą i żelaznymi filarkami, na których wieszali swoje hamaki zwykli pasażerowie. Ale w odróżnieniu od najstarszych statków, te nie miały łopatek

napędowych po bokach, lecz ogromne koło na rufie, z poziomymi łopatkami, poniżej cuchnących ustępów pasażerskiego pokładu. Florentino Ariza nie zadał sobie trudu obejrzenia całego statku natychmiast po wejściu na pokład w lipcową niedzielę o siódmej rano, jak, niemal instynktownie, robili wszyscy podróżujący po raz pierwszy. Uświadomił sobie swą nową rzeczywistość dopiero o zmierzchu, gdy statek przepływał obok osady Calamar, a on poszedł właśnie na rufę załatwić się i przez otwór ustępu zobaczył gigantyczne koło z deszczułkami kręcące się pod jego stopami w wulkanicznym wybuchu piany i gorącego smrodu.

Nigdy przedtem nie podróżował. Wiózł ze sobą blaszany kufer ze stosownymi do klimatu stepowego ubraniami, powieści ilustrowane, kupowane w comiesięcznych odcinkach, które zszywał i oprawiał w tekturowe okładki, obracające się już niemal w proch od ustawicznego czytania, i tomy miłosnych wierszy, które mógł recytować na pamięć. Zostawił skrzypce, zbyt kojarzące się z jego nieszczęściem, ale matka zmusiła go, by zabrał ze sobą w tobołku praktyczny i powszechnie używany zestaw do spania: poduszkę, prześcieradło, cynową miseczkę i moskitierę, wszystko to owinięte w matę dwoma linkami, służącymi w razie potrzeby do zawieszenia hamaka. Florentino Ariza nie chciał brać go ze sobą, sądząc, że będzie zupełnie zbyteczny w kajucie wyposażonej w łóżka, ale już pierwszej nocy musiał w duchu, po raz kolejny, wyrazić wdzięczność matce i jej poczuciu zdrowego rozsądku. Okazało się, iż w ostatniej chwili wszedł na pokład przybyły o świcie na statku z Europy pasażer, ubrany w strój wieczorowy, osobiście odprowadzany przez gubernatora prowincji. Natychmiast chciał kontynuować podróż z żoną, córką i służącym w liberii oraz ledwie mieszczącymi się na trapie siedmioma kuframi o złożonych okuciach. Kapitan, olbrzym z Curacao, pragnąc wygodnie ulokować nieprzewidzianych pasażerów, zdołał poruszyć patriotyczne serca Kreolów. Florentinowi Arizie wyjaśnił w hiszpańszczyźnie nafaszerowanej własnym narzeczem, że mężczyzna w stroju galowym jest nowym ministrem pełnomocnym Anglii, odbywającym podróż do stolicy republiki, po czym przypomniał mu, iż królestwo to oddało do naszej dyspozycji środki, które ostatecznie zdecydowały o naszym uwolnieniu się spod hiszpańskiego jarzma, tym samym więc każde wyrzeczenie jest drobnostką, byleby dostojna rodzina poczuła się w naszym domu lepiej niż we własnym. Florentino Ariza, rzecz jasna, zrezygnował z kajuty.

Z początku nie żałował, poziom wody w rzece był bowiem w owej porze roku wysoki i statek przez pierwsze dwie noce płynął bez żadnych przeszkód. Po kolacji, o piątej po południu, załoga rozdzielała wśród pasażerów łóżka polowe obciążone brezentem i każdy rozstawiał je, gdzie tylko się dało, kładł na nim łachy ze swego tłumoczek i rozwieszał

moskitierę. Ci, co mieli hamaki, wieszali je w salonie, ci zaś, co niczego nie mieli, spali w jadalni na stołach, przykrywając się obrusami, zmienianymi jedynie dwukrotnie podczas podróży. Florentino Ariza większość nocy spędzał bezsennie, ulegając wrażeniu, iż słyszy głos Ferminy Dazy w świeżej, rzecznej bryzie, sycąc swą samotność wspomnieniem o niej, słysząc jej śpiew w oddechu statku posuwającego się w ciemnościach krokami olbrzymiego zwierzęcia, dopóki nie pojawiały się pierwsze różowawe strzępy na horyzoncie, a nad pustymi pastwiskami i mglistymi trzęsawiskami nie wybuchał gwałtownie kolejny dzień. Podróż wydała mu się wówczas kolejnym dowodem mądrości matki, poczuł się bowiem wreszcie na siłach, żeby przeżyć resztę życia w zapomnieniu.

Jednakże po trzech dniach w sprzyjających warunkach żegluga pośród niespodziewanych ławic piasku i zwodniczych wirów, stała się znacznie trudniejsza. Woda była coraz mętniejsza, rzeka zaś zwięzła się w puszczy splątanych, gigantycznych drzew, gdzie tylko od czasu do czasu napotkać można było słomiany szalas przy stosach nagromadzonego drewna do paleniska pod kotły. Jazgot papug i wrzask niewidocznych małp zdawały się zwiększać skwar południa. Nocą jednak, żeby umożliwić pasażerom spanie, trzeba było cumować, a wówczas już sam fakt, że człowiek w ogóle żyje, stawał się nie do zniesienia. Do gorąca i komarów dołączał się fetor połci solonego mięsa rozwieszanego na balustradzie. Większość pasażerów, przede wszystkim Europejczycy, opuszczała gnojowisko kajut przez całą noc błądząc po pokładach, oganiając się od wszelakiego robactwa tym samym ręcznikiem, którym ocierali spływający po nich nieustannie pot, toteż dożywali świtu całkowicie wyczerpani i opuchnięci od ukąszeń.

W owym roku, na domiar złego, miał miejsce kolejny epizod nie kończącej się wojny domowej pomiędzy liberałami a konserwatystami, kapitan przedsięwziął więc daleko idące środki ostrożności dla zachowania wewnętrznego porządku i bezpieczeństwa pasażerów.

Pragnąc uniknąć pomyłek i prowokacji zabronił podróżnym ulubionej w owych czasach rozrywki, jaką było strzelanie do wygrzewających się na piasku kajmanów. Nieco później, gdy część gości, w trakcie zażartej dyskusji, podzieliła się na dwa wrogie obozy, rozkazał wszystkim zdeponować broń, którą miał, pod słowem honoru, zwrócić po zakończeniu rejsu. Wykazał swą stanowczość nawet wobec brytyjskiego ministra, który już nazajutrz po odbiciu od brzegu pojawił się na pokładzie w myśliwskim stroju, z karabinkiem zaopatrzonym w lunetę i z dwururką na jaguary. Obostrzenia stały się jeszcze bardziej drastyczne powyżej portu Tenerife, kiedy minęli się ze statkiem z wciągniętą na maszt żółtą flagą oznaczającą zarazę. Kapitan nie zdołał uzyskać żadnej informacji o tym alarmującym znaku, mijany statek nie odpowiedział bowiem w ogóle na jego sygnały. Ale

tego samego dnia napotkali inny statek przewożący bydło do Jamajki, który poinformował ich, że statek z żółtą flagą wiezie na pokładzie dwóch chorych na cholere i że epidemia dziesiątkuje ludność na terenach ciągnących się wzdłuż czekającego ich jeszcze odcinka rzeki. Wydano wówczas pasażerom zakaz opuszczania statku zarówno w czekających ich portach, jak i na tych bezludnych przystaniach, gdzie przybijano w celu uzupełnienia zapasów drewna. W ten oto sposób przez dalszą część podróży aż do portu docelowego, czyli przez kolejne sześć dni, pasażerowie postawieni zostali wobec konieczności przystosowania się do więziennych rygorów. W tym do ryzykownego oglądania pakietu holenderskich pocztówek pornograficznych, krążących z rąk do rąk i niewiadomego pochodzenia, aczkolwiek żaden ze starych wilków rzecznych nie miał wątpliwości, iż jest to zaledwie mizerna próbka legendarnej kolekcji kapitana. Ale i ta rozrywka bez żadnych widoków jedynie pogłębiała nudę. Florentino Ariza przetrzymał trudy podróży z obojętnością i spokojem minerału tak bardzo przygnębiającymi jego matkę i doprowadzającymi do rozpacz przyjaciół. Nie zadawał się z nikim. Dni mijały mu bezboleśnie na siedzeniu przy balustradzie i przyglądaniu się nieruchomym kajmanom, które z rozwartymi gardzielami wylegiwały się na małych łachach w oczekiwaniu na motyle; przyglądał się też stadom spłoszonych czapli zrywających się nagle, pośród mokradeł, do lotu i krowom morskim karmiącym małe swymi olbrzymimi macierzyńskimi piersiami i zadziwiającym podróźnych swym kobiecym płaczem. W ciągu jednego dnia zobaczył trzy unoszone przez nurt, zzieleniałe i wzdęte, trupy ludzkie obsiadłe przez sępy. Wpierw przepłynęły ciała dwóch mężczyzn, jedno z nich bez głowy, a następnie zwłoki kilkuletniej dziewczynki, której włosy meduzy, falując w kilwatterze statku, zniknęły w dali. Nigdy się nie dowiedział, bo nikt nigdy nie zdołał się dowiedzieć, czy były to ofiary cholery, czy wojny, ale przyprowadzający o mdłości odór skaził w jego pamięci wspomnienie Ferminy Dazy.

Zawsze tak było: każde zdarzenie, zarówno dobre, jak i złe, było z nią związane. W nocy, kiedy cumowano przy brzegu i większość pasażerów bez jakiegokolwiek nadziei na znalezienie ulgi przechadzała się po pokładzie, on po raz kolejny, choć znał je na pamięć, czytał ilustrowane broszury w świetle jedynej świecącej się aż do rana lampy karbidowej w jadalni, i tylekroć już przeczytane dramaty odzyskiwały swą oryginalną magię, gdy pod fikcyjne postacie podkładał swych znajomych z realnego życia, rezerwując dla siebie i Ferminy Dazy role nieszczęśliwie zakochanych. W inne noce pisał do niej pełne żalu listy, których fragmenty wrzucał następnie do wody płynącej nieustannie ku niej. I tak mijały mu najcięższe godziny, we wcieleniu wstydlivego księcia lub paladyna miłości, czasami zaś

we własnej i doświadczonej skórze zapomnianego kochanka, póki nie pojawiła się pierwsza poranna bryza; wtedy, siedząc w fotelu przy balustradzie, zapadał w drzemkę.

Pewnej nocy, gdy przerwawszy lekturę wcześniej niż zazwyczaj szedł roztargniony w stronę ustępów, nagle obok niego otworzyły się drzwi opustoszałej jadalni, jastrzębie szpony chwyciły go za rękaw koszuli i wciągnęły do pokoju. Zdołał jedynie poczuć w mroku ciało nagiej kobiety w nieokreślonym wieku, oblanej gorącym potem, oddychającej gwałtownie, która rzuciła go na koję, odpięła sprzączkę od paska, oderwała guziki i rozerwała samą siebie dosiadłszy go i pozbawiwszy bez większej chwały dziewictwa. Oboje konając opadli w pustkę bezdennej przepaści pachnącej krewetkowymi mokradłami. Kobieta leżała przez chwilę, dysząc bez tchu i przestała nagle istnieć w ciemnościach. - A teraz proszę odejść i zapomnieć - powiedziała.

- To się nigdy nie zdarzyło.

Atak był tak błyskawiczny i zwycięski, iż trzeba go było uznać nie za efekt nagłego szaleństwa z nudów, lecz za rezultat opracowanego drobiazgowo, co do minuty, planu. Owo pochlebne dlań przekonanie pogłębiło niepokój Florentina Arizy, gdyż w chwili największej rozkoszy spłynęło na niego objawienie, w które nie mógł uwierzyć, ba, nie chciał nawet przyjąć do wiadomości: było to podejrzenie, że złudna miłość do Ferminy Dazy może zostać zastąpiona przez przyziemną namiętność. W rezultacie uparł się, że odkryje tożsamość mistrzowskiej gwałcicielki, w której tygrysim instynkcie mógłby przypuszczalnie odnaleźć lekarstwo na swoje nieszczęście. Nie zdołał dojść prawdy. Wręcz przeciwnie, im bardziej próbował ją ustalić, tym czuł się dalej od niej.

Miejszem tego ataku była ostatnia kajuta, ta jednak połączona była drzwiami z przedostatnią, tworząc w ten sposób rodzinną sypialnię z czterema kojami. Zajmowały ją trzy kobiety, dwie młode i jedna wyraźnie starsza, ale bardzo pociągająca, oraz paromiesięczne dziecko. Weszły na pokład w Barranco de Loba, w porcie, gdzie ładowano towary i przejmowano pasażerów z miasta Mompo, które w wyniku rzecznych kaprysów pozostało na uboczu stałych tras parostatków, a Florentino Ariza zwrócił na te panie uwagę wyłącznie dlatego, że transportowały śpiące dziecko w dużej ptasiej klatce.

Podróżowały w strojach noszonych wówczas na modnych transatlantykach: w turniurach pod jedwabnymi spódnicami, w koronkowych kryzach i w olbrzymich kapeluszach przystrojonych kwiatami z włosianki; obie młode kobiety przebierały się całkowicie kilka razy w ciągu dnia, sprawiając wrażenie, że niosą z sobą własną wiosenną świeżość, podczas gdy reszta pasażerów dusiła się w spiekocie. Wszystkie trzy z niezwykłą sprawnością używały parasolek i wachlarzy z piór, choć raczej w nieodgadnionym celu, co

było typowe dla ówczesnych elegantek. Florentino Ariza nie zdołał nawet ustalić łączących ich związków, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, że należą do jednej rodziny. Początkowo sądził, że starsza jest matką obu pozostałych, później jednak zdał sobie sprawę, że na ich matkę jest zbyt młoda, poza tym, w odróżnieniu od obu młodszych, nosiła żałobę. W głowie mu się nie mieściło, iż jedna z nich odważyła się zrobić to, co zrobiła, w czasie gdy pozostałe spały w pobliskich kojach, za jedyne więc rozsądne wytłumaczenie uznał, iż widocznie wykorzystwała przypadkową lub uzgodnioną może chwilę, kiedy została sama w kajucie. Ustalił, że dwie z nich wychodziły czasem na świeże powietrze i przebywały do późnej nocy na pokładzie, podczas gdy trzecia zostawała z dzieckiem, ale pewnego wieczora, gdy było cieplej niż zwykle, wszystkie wyszły z dzieckiem śpiącym w trzcinowej klatce okrytej gazą.

Pomimo płataniny poszlak, Florentino Ariza szybko odrzucił możliwość, że ataku dokonała najstarsza z nich, natychmiast skreślił też najmłodszą, zarazem najładniejszą i najśmielszą. Uczynił to bez żadnych uzasadnionych powodów, kierowany jedynie tym, iż ustawiczne pilnowanie całej trójki skłoniło go wreszcie do przyjęcia za całkowity pewnik swego wewnętrznego pragnienia, by przelotną kochanką okazała się matka dziecka w klatce. Przypuszczenie to okazało się na tyle kuszące, iż zaczął o niej myśleć intensywniej niż o Ferminie Dazie i nie obchodziła go uderzająca oczywistość, że owa kobieta, która niedawno została matką, żyje wyłącznie dla dziecka. Miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, była wysmukłą, obdarzona złotawą cerą i portugalskimi rzęsami czyniącymi ją jeszcze bardziej nieosiągalną, każdemu zaś mężczyźnie wystarczyłyby okruchy czułości, którą tak hojnie obdarzała swego synka. Od śniadania aż do chwili, kiedy szła spać, cały czas zajmowała się nim w salonie, podczas gdy pozostałe dwie grały w warcaby, a kiedy zdołała uśpić dziecko, wieszła klatkę pod sufitem w najchłodniejszym miejscu przy balustradzie. Ale nawet podczas snu małego nie przestawała czuwać nad nim, nadal kołysząc klatkę i nucąc cichutko pieśni panny młodej, podczas gdy jej myśli ulatywały gdzieś daleko, ponad trudy podróży. Florentino Ariza uczepił się złudzenia, że wcześniej czy później kobieta zdradzi się choćby najmniejszym gestem. Śledził nawet zmianę w rytmie jej oddechu; patrząc znad książki na kołyszący się medalik widoczny na tle batystowej bluzki udawał przy tym, że czyta, a nawet posunął się do wyrachowanego zuchwalstwa i zamienił sobie miejsce w jadalni, aby znaleźć się naprzeciwko niej. Nie uzyskał jednak najmniejszego sygnału potwierdzającego, iż to właśnie ona dzieli z nim ów sekret. Jedynym, co mu po niej pozostało, bo jej młodsza towarzysza tak się do niej zwróciła, było jej imię bez nazwiska: Rosalba.

Ósmego dnia statek z trudem przeplął wzburzony przesmyk między marmurowymi skałami, po obiedzie zaś przycumował w Puerto Nare. Wsiąść tam mieli pasażerowie udający się w dalszą podróż w głąb prowincji Antioquia, jednej z najbardziej dotkniętych przez kolejną wojnę domową. Port tworzyło z pół tuzina chałup krytych liśćmi palmowymi i drewniany skład z cynkowym dachem, strzeżony przez kilka patroli bosych i źle uzbrojonych żołnierzy, dochodzące bowiem informacje mówiły o planowanym przez powstańców plądrowaniu statków. Za domami wznosił się, aż do nieba, masyw niedostępnych gór, z drogą prowadzącą nad brzegiem przepaści. Na pokładzie nikt nie mógł spokojnie spać, w nocy jednak nie było żadnego napadu i o świcie port przebudził się przemieniony w niedzielny jarmark; Indianie sprzedawali amulety z orzechów tagua i wywary miłosne, uwijając się pośród karawan jucznych zwierząt gotowych do rozpoczęcia sześciodniowej wspinaczki ku orchideowym puszczołom Środkowej Kordyliery.

Florentino Ariza skracał sobie czas oczekiwania przyglądając się rozładunkowi statku, widział, jak czarni tragarze nieśli kosze z chińską porcelaną, fortepiany dla panien z Envigado, i zbyt późno dostrzegł, że pośród pasażerów kończących podróż znajduje się również Rosalba i jej towarzyszki. Ujrzał je jadące po damsku, w butach amazonek, z parasolkami w podzwrotnikowych kolorach i wówczas zdobył się na krok, na który nie odważył się wcześniej: pomachał Rosalbie ręką na pożegnanie, a cała trójka odpowiedziała mu tak samo, z poufałością, która przeszła bólem jego trzewia. Ujrzał, jak skręcały za składem, a za nimi podążały mulice z kuframi, pudłami kapeluszy i klatką z dzieckiem, a nieco później zobaczył je niczym rządkiem jucznych mrówek wspinających się skrajem przepaści i tak znikły z jego życia. Wtedy poczuł się sam na świecie i przycupnięte w ostatnich dniach wspomnienie Ferminy Dazy drasnęło go śmiertelnie.

Wiedział, że ma wyjść za mąż w najbliższą sobotę, że ma odbyć się huczny ślub i że najbardziej kochająca ją istota, która kochać ją miała zawsze, nie ma nawet prawa umrzeć za nią. Zazdrość, dotychczas topiona we łzach, zawładnęła całkowicie jego duszą. Błagał Boga, by grom sprawiedliwości boskiej trafił Ferminę Dazę, gdy ta zacznie wypowiadać słowa przysięgi o wierności i posłuszeństwie wobec mężczyzny pragnącego pojąć żonę wyłącznie dla towarzyskiej ozdoby i rozkoszował się wizją panny młodej, która miała być albo jego, albo niczyja, spoczywającej na płytach katedry w kwiatkach pomarańczy ośnieżonych rosą śmierci w pianistym potoku welonu na cmentarnych marmurach, pod którymi pogrzebano czterestu biskupów. Dokonawszy zemsty, zaczął jednak żałować swej niegodziwości i wówczas ujrzał Ferminę Dazę powstającą i oddychającą, cudzą, ale żywą, bo nie mógł wyobrazić sobie świata bez niej. Nie sypiał już, a jeśli siadał do stołu, by

cokolwiek wziąć do ust, to ulegając złudzeniu, że przy stole siedzi Fermina Daza, albo przeciwnie, przerywał post ku jej czci, odmawiając składania jej hołdów. Czasami pocieszał się przekonaniem, że w szaleństwie weselnej zabawy, a nawet w gorączkowej nocy miodowego miesiąca, w świadomości Ferminy Dazy przez chwilę - bodajże przez chwilę, ale dobre i to - pojawi się widmo oszukanego, poniżonego, oplwanego narzeczonego, które zatruje jej szczęście na zawsze.

W przeddzień przybycia do Caracoli, docelowego portu, kapitan wydał tradycyjny bal pożegnalny, uświetniony przez orkiestrę dętą złożoną z członków załogi i pokaz sztucznych ogni wystrzeliwanych z mostku kapitańskiego. Minister Wielkiej Brytanii przeżył odyseję z przykładowym stoicyzmem, polując z aparatem fotograficznym na zwierzęta, na które nie zezwolono mu polować ze strzelbami, a wieczorem zawsze zjawiał się w jadalni ubrany zgodnie z wymogami etykiety. Ale na bal kapitański przybył w szkockim stroju klanu MacTavish, grając ulubione kawałki na kobzie, ucząc wszystkich chętnych swych narodowych tańców i nim zaczęło świtać trzeba było zawlec go nieprzytomnego do kajuty. Florentino Ariza, przybity bólem, skrył się w najbardziej oddalonym zakątku na pokładzie, dokąd nie docierały najmniejsze nawet oznaki zabawy i narzuciwszy na siebie palto Lotara Thuguta usiłował przetrzymać drżenie ciała. Obudził się o piątej rano niczym skazaniec o świcie przed egzekucją i przez całą sobotę pochłonięty był tylko i wyłącznie wyobrażaniem sobie minuta po minucie każdego z momentów ślubu Ferminy Dazy. Później, kiedy wrócił do domu, zdał sobie sprawę, że pomylił godziny, wszystko zaś odbyło się zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał, i nawet starczyło mu rozsądku, by samemu uśmieć się ze swych fantazji.

W każdym razie była to sobota pełna cierpień, zakończonych kolejnym atakiem gorączki, bo właśnie uroił sobie, że oto nadeszła chwila, kiedy świeżo poślubieni małżonkowie uciekają potajemnie przez ukryte drzwi, by oddać się rozkoszom pierwszej nocy. Jeden z pasażerów ujrawszy go trzęsącego się w malignie dał znać kapitanowi, ten zaś obawiając się przypadku cholery opuścił bawiących się pasażerów razem z lekarzem pokładowym, który, na wszelki wypadek, przeniósł

Florentina do kajuty przeznaczonej na kwarantannę, naszpikowawszy go bromuralami. Następnego dnia jednak, gdy dojrzeli skały Caracoli, gorączka ustąpiła, Florentino zaś przebudził się zachwycony, bo pod wpływem środków uspokajających postanowił raz na zawsze i nieodwołalnie, że ma w dupie świetlaną przyszłość telegrafu i wraca tym samym statkiem na swoją starą ulicę Ventanas.

Bez trudu nakłonił kapitana, by zabrano go z powrotem w rewanżu za kajutę,



oddaną do dyspozycji przedstawiciela królowej Wiktorii. Kapitan próbował odwieść go od zamiaru, przytaczając argument, że telegraf to nauka przyszłości. I to tak dalece, powiedział, że już opracowywany jest system, pozwalający na zainstalowanie go na statkach. Florentino głuchy był jednak na jakiegokolwiek argumenty, więc kapitan zabrał go z powrotem, wcale nie z uwagi na dług wdzięczności za kajutę, ale dlatego, że znał jego rzeczywiste związki z Karaibskim Towarzystwem Rzecznym.

Podróż w dół rzeki trwała niespełna sześć dni i Florentino Ariza poczuł się znów we własnym domu już od chwili, gdy wpłynąwszy o świcie na lagunę Las Mercedes ujrzeli strugę światła łodzi rybackich unoszących się i opadających na falach pozostawianych przez statek. Panowała jeszcze noc, gdy dobili do nadbrzeża w zatoczce Nino Perido, ostatnim wówczas porcie dla statków rzecznych, dziewięć mil od zatoki, nim w późniejszych latach pogłębiono i oddano do żeglugi dawny szlak hiszpański. Pasażerowie mieli tu czekać do szóstej rano, by następnie przesiąść się na jedną z całej flotyli szalup do wynajęcia, przewożących ich do portu przeznaczenia. Florentino Arizę opanował jednak taki niepokój, że odpłynął dużo wcześniej w szalupie pocztowej, której pracownicy rozpoznali w nim jednego ze swoich. Przed opuszczeniem statku uległ pokusie dokonania symbolicznego gestu: cisnął w wodę tłumoczek i odprowadził go wzrokiem pośród pochodni niewidocznych rybaków, póki nie wypłynął z laguny i nie zniknął w oceanie. Był pewien, że nie będzie mu potrzebny przez resztę jego dni. Nigdy więcej, bo nigdy więcej nie opuści miasta Ferminy Dazy.

Zatoka o świcie była jednolitą, gładką powierzchnią. Ponad unoszącą się mgłą Florentino Ariza ujrział kopułę katedry złożoną pierwszymi światłami, ujrział gołębniki na dachach i orientując się po nich zlokalizował balkon pałacu markiza de Casaldueiro, gdzie, jak sądził, kobieta będąca przyczyną jego nieszczęścia spała jeszcze oparta o ramię zaspokojonego małżonka. Przypuszczenie to sprawiło mu rozdzierający ból, ale nie uczynił nic, aby go stłumić, wprost przeciwnie: znajdował upodobanie w bólu. Słońce zaczynało już grać, gdy pocztowa szalupa przedarła się przez labirynt zakotwiczonych żaglowców, w miejscu, gdzie niezliczone zapachy targowiska, przemieszane z gnojowiskiem dna, tworzyły jeden ciężki odór. Przed chwilą przypłynęła goleta z Riohacha i grupki zanurzonych po pas w wodzie tragarzy odbierały pasażerów z pokładu taszcząc ich do brzegu. Florentino Ariza pierwszy wyskoczył z szalupy na ląd i od tejże chwili poczuł bijący z całego miasta nie fetor zatoki, lecz osobisty zapach Ferminy Dazy. Wszystko pachniało nią. Nie wrócił już do urzędu telegraficznego. Wydawało się, iż jedyną obchodzącą go sprawą są miłosne powieści w odcinkach i nadal kupowane przez matkę tomy Biblioteki Powszechnej, które

czytał jeden po drugim leżąc w hamaku, dopóki nie nauczył się ich na pamięć.

Nie spytał się nawet o skrzypce. Odnowił kontakty z najbliższymi przyjaciółmi, grając z nimi czasami w bilard albo gawędząc w kawiarnianych ogródkach pod arkadami Placu Katedralnego, nie wrócił jednak na sobotnie potańcówki: nie mógł ich sobie wyobrazić bez niej.

W dniu swego powrotu z nie dokończonej podróży dowiedział się, że Fermina Daza spędza miesiąc miodowy w Europie i jego ogłuszone serce uznało, że już tam pozostanie, jeśli nie na zawsze, to na pewno przez wiele lat. Przekonanie to obudziło w nim nadzieję, że może o niej zapomni. Myślał o Rosalbie, której wspomnienie stawało się coraz gorętsze, w miarę jak pozostałe przygaszały. To wtedy zapuścił wąsy, które nosił z pomadowanymi końcami już przez resztę swych dni, odmienił się również jego sposób bycia, a myśl o namiastce miłości wyprowadziła go na nieprzewidziane drogi Zapach Ferminy Dazy pojawiał się coraz rzadziej, powoli zanikał, by ostatecznie pozostać jedynie w białych gardeniach.

Błądził właśnie bez celu, nie wiedząc, jak pokierować swym życiem, w ową wojenną noc, kiedy to słynna wdowa de Nazaret schroniła się strwożona w jego domu, jej własny bowiem zbombardowało wojsko zbuntowanego generała Ricarda Gaitana Obeso, który oblegał miasto. To Transito Ariza chwyciła okazję w lot i skierowała wdowę do sypialni syna, pod pretekstem, że w jej sypialni nie ma miejsca, naprawdę zaś łudząc się nadzieją, że inna miłość wyleczy go z tej, która nie dawała mu żyć. Florentino Ariza nie kochał się z kobietą od czasu rozdziewiczenia go przez Rosalbę w kajucie, wydało mu się więc rzeczą zupełnie naturalną, iż gdy nastąpiła już taka konieczność, wdowa spać będzie w jego łóżku, on zaś w hamaku. Ona jednak podjęła już decyzję za niego. Siedząc na brzegu łóżka, w którym Florentino Ariza leżał nie wiedząc, co począć, zaczęła mówić mu o swym nieukojonym bólu po zmarłym trzy lata temu mężu, zdejmując jednocześnie z siebie i rzucając w powietrze wdowi przydzwiewek, póki nie zostało na niej nic, łącznie z obrączką ślubną. Zdjęła bluzkę z tafty wyhaftowaną szklanymi paciorkami i cisnęła ją, przez cały pokój, na fotel w kącie, smyrnęła gorsetem przez ramię na drugi koniec łóżka, jednym ruchem ściągnęła z siebie długą spódnicę z falbaniastą haleczką, jedwabny pas do pończoch i żałobne jedwabne pończochy, pozostawiając wszystko na podłodze, póki pokój nie został wyścielony ostatnimi strzępami jej żałoby.

Robiła to z takim entuzjazmem i tak rytmicznie, iż każdy jej gest wydawał się być przyjmowany radosnym hukiem atakujących oddziałów, który wstrząsał fundamentami całego miasta. Florentino Ariza usiłował pomóc jej przy rozpinaniu stanika, ona jednak

uprzedziła go zwinnym manewrem, w ciągu pięcioletniej wierności małżeńskiej nauczyła się bowiem być samodzielna we wszystkich miłosnych czynnościach, nawet tych wstępnych, nie korzystając z niczyjej pomocy. Wreszcie wysunęła się z koronkowych majteczek, szybkimi ruchami pływaczki doprowadzając do ich ześlizgnięcia się z nóg, i oto była naga.

Miała dwadzieścia osiem lat, trzykrotnie rodziła, jej nagość jednak zachowała nietkniętą dziewczęcą przyprawiającą o zawrót głowy. Florentino Ariza nigdy nie mógł zrozumieć, jak to się działo, że Pokutne stroje mogły tak skrzętnie skrywać moc tej dzikiej klaczy, która trawiona swą własną gorączką rozebrała go - czego nie mogła uczynić z własnym mężem by nie uznał jej za kobietę zdeprawowaną - i która usiłowała już w pierwszym ataku zaspokoić głód biorący się z niezłomnej abstynencji żałoby i z oszołomienia, i niewinności pięciu lat wierności małżeńskiej. Przed ową nocą i od tej szczęśnej godziny, kiedy zrodziła ją matka, nie była nigdy nawet w tym samym łóżku z innym mężczyzną niż zmarły mąż.

Nie pozwoliła sobie na wyrzuty sumienia w złym guście. Wprost przeciwnie. Rozbudzona przez świszczące nad dachami ogniste kule aż do świtu wychwalała cnoty męzowskie, nie wypominając mu niczego poza tym, że odszedł na tamten świat sam, bez niej, i znajdując odkupienie w całkowitej pewności, że nigdy tak do niej nie należał jak w tym właśnie momencie, gdy spoczywa w trumnie z wiekiem przybitym trzycalowymi gwoździami i dwa metry pod ziemią.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała - bo dopiero teraz wiem z całą pewnością, gdzie się podziewa, kiedy nie ma go w domu.

Owej nocy zrzuciła z siebie żalobę od razu, bez zbytecznego przechodzenia przez pośredni etap bluzek w szare kwiatki, i życie jej wypełniło się piosenkami o miłości, wyzywającymi strojami w malowane motyle i ary, i wkrótce potem używała ciała każdemu, kto tylko miałby ochotę o nie poprosić. Gdy po sześćdziesięciu trzech dniach oblężenia oddziały generała Gaitana Obeso zostały odparte, odbudowała zbombardowany dom, upiększając go jeszcze tarasem nad falochronem, gdzie w czasie sztormu fale wyładowały swą wściekłość. Było to jej gniazdko miłości, jak bez ironii sama nazywała swoją siedzibę i przyjmowała tam jedynie tych, którzy przypadli jej do gustu, kiedy chciała i jak chciała, i nie pobierając od nikogo ani grosza, uważała bowiem, że to mężczyźni wyświadczają jej przysługę. W nielicznych tylko przypadkach akceptowała prezenty, pod warunkiem, że nie było to złoto, i tak zręcznie potrafiła wszystkim kierować, że nikt nie był w stanie wykazać niezbitego dowodu jej nieprzyzwoitego prowadzenia się. Tylko raz groził

jej publiczny skandal, kiedy miasto obiegła plotka, że arcybiskup Dante de Luna zmarł nie wskutek przypadkowego spożycia trujących grzybów, lecz zjadł je z całkowitą premedytacją, bo zagroziła mu, iż poderżnie sobie gardło, jeśli nadal będzie upierał się przy swych świętokradczych zamiarach. Nikt jej nie zapytał, ile w tym prawdy, nigdy o tym nie wspomniała i niczego nie zmieniła w swoim życiu. Była, jak sama mówiła ze śmiechem, jedyną wolną kobietą w prowincji. Wdowa de Nazaret nigdy nie zawiodła Florentina Arizy, zawsze stawiając się na ich sporadyczne spotkania, nawet wówczas, gdy czas jej na to nie pozwalał, zawsze bez najmniejszych pretensji, aby kochać czy być kochaną, chociaż zawsze z nadzieją odnalezienia czegoś, co byłoby jak miłość, ale bez udręk miłości.

Czasami to on przychodził do niej do domu i wtedy z lubością tarzali się na nadmorskim tarasie w saletrzanej pianie i przyglądali się jak na horyzoncie wschodzi świat cały. Swą wytrwałość skupił na tym, by nauczyć ją wszelkich wymyślności, podpatrzonych u innych przez dziurki w swoim hotelu, jak również teoretycznych formuł głoszonych przez Lotara Thuguta podczas jego hucznych zabaw nocnych. Nakłonił ją, by pozwoliła podglądać się, kiedy się kochali, zachęcił do zmiany konwencjonalnej pozycji misjonarza na pozycję roweru wodnego lub kurczaka na ruszcie czy poćwiartowanego anioła, doprowadzając raz niemal do postradania przez oboje życia, kiedy pękły sznury w czasie prób wymyślania czegoś nowego w hamaku. Była to jałowa nauka. Będąc bowiem niewątpliwie śmiałą uczennicą, pozbawiona była zarazem najmniejszego choćby talentu do seksu z inicjatywą. Nigdy nie pojęła uroków spokoju w łóżku, ani przez chwilę nie wykazała się najmniejszym natchnieniem, jej orgazmy zaś były naskórkowe i nie w porę: smutne ciupcianie. Florentino Ariza w swej naiwności przekonany był przez dłuższy czas, że jest jedynym mężczyzną, jej zaś schlebiało, że on w to wierzy, dopóki pechowo nie wygadała się przez sen. Słuchając jej sennych wynurzeń, powoli, stopniowo składał kawałkami mapę żeglugi jej snów, wpływając między liczne wyspy jej sekretnego życia. W ten sposób dowiedział się, że nie ma zamiaru wyjść za niego za mąż, choć czuła się z nim mocno związana, bo była mu wdzięczna za zdeprawowanie jej. Wielokrotnie powtarzała:

- Uwielbiam cię za to, że mnie skurwiłeś.

Prawdę mówiąc miała zupełną rację. Florentino Ariza pozbawił ją dziewictwa konwencjonalnego małżeństwa, znacznie bardziej niebezpiecznego niż właściwe dziewictwo i wdowia abstynencja. Nauczył ją, że to, co się robi w łóżku, nigdy nie jest niemoralne, jeśli przyczynia się do utrwalenia miłości. I wpoił jej jeszcze coś, co od tej pory miało stać się sensem jej życia: przekonał ją, iż każdy przychodzi na świat z przypisaną sobie ilością rżnięć i jeśli się ich nie wykorzysta, wszystko jedno z jakich przyczyn, z

własnej czy z cudzej winy, dobrowolnie czy pod przymusem, traci się je na zawsze. Jej zasługą było potraktowanie tego z całą powagą. Mimo to Florentino Ariza, choćby dlatego, iż miał podstawy sądzić, że zna ją lepiej niż ktokolwiek inny, nie mógł pojąć, dlaczego takim požądaniem cieszyła się kobieta o tak dziecięcych wręcz odruchach, która na dodatek nigdy nie przestała w łóżku rozprawiać o swej żałości po zmarłym mężu. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mu na myśl i któremu nikt nie mógł zaprzeczyć, było stwierdzenie, że wdowa de Nazaret nadmiarem czułości rekompensowała braki w sztuce wojennej. Zaczęli widywać się coraz rzadziej, w miarę jak wdowa rozszerzała swoje terytoria, on zaś rozpoznawał własne, usiłując znaleźć ukojenie swych starych dolegliwości w innych, zagubionych sercach, aż w końcu bezboleśnie zapomnieli o sobie.

Była to pierwsza łóżkowa miłość Florentina Arizy. Zamiast jednak doprowadzić znajomość do trwałego związku, tak jak wymarzyła to sobie jego matka, oboje wykorzystali ją, by rzucić się w wir życia. Florentino Ariza rozwinął metody, o które nikt by nie podejrzewał takiego jak on mężczyzny, milczącego, wątlęgo, a przy tym ubierającego się jak starzec z innej epoki. Posiadał jednak dwie zalety przemawiające na jego korzyść.

Pierwszą było celne oko rozpoznające natychmiast czekającą nań choćby w największym tłumie kobietę, choć i w tym przypadku zalecał się do niej z daleko idącą ostrożnością, czuł bowiem, że nie ma większego wstydu i większego poniżenia jak odmowa. Drugą z jego zalet było to, iż kobiety natychmiast odgadywały w nim samotnika potrzebującego miłości, ulicznego biedaka, pokornego zbitego psa, czym podbijał je z miejsca do tego stopnia, iż nie stawiały mu żadnych warunków, o nic nie prosiły i niczego nie oczekiwały prócz spokoju sumienia, ponieważ wyświadczyły mu łaskę. To była jego jedyna broń, dzięki której stoczył historyczne, acz utrzymane w całkowitej tajemnicy bitwy, rejestrowane ze skrupulatnością notariusza w zaszyfrowanym zeszycie, rozpoznawalnym spośród innych dzięki wszystkimówiącemu tytułowi: One. Pierwszą adnotację wprowadził w związku z wdową de Nazaret. Pięćdziesiąt lat później, kiedy Fermina Daza została zwolniona ze swego sakramentalnego wyroku, miał dwadzieścia pięć zeszytów z sześciuset dwudziestoma dwoma zapisami miłości trwalszych, bez uwzględnienia niezliczonych przelotnych przygód, nie zasługujących nawet na najmniejszą litościwą wzmiankę.

Po sześciu miesiącach szaleńczych miłości z wdową de Nazaret Florentino Ariza był osobiście przekonany, że ma za sobą miłosne udręki związane z Ferminą Dazą.

I nie tylko sam w to uwierzył, lecz wielokrotnie zapewniał o tym matkę w ciągu niemal dwóch lat trwania jej podróży poślubnej i z przepelniającym go uczuciem bezgranicznej wolności nie przestałby w to wierzyć, gdyby niespodziewanie, pewnej

fatalnej niedzieli nie ujrzał nagle, i to nawet bez uprzedniego bicia serca, jak wychodzi po mszy, trzymając męża pod rękę, otoczona falą ciekawości i pochlebstw swego nowego świata. Te same arystokratyczne damy, które początkowo lekcewały ją, dworując sobie z bezimiennej, przybyłej znikąd, teraz robiły co mogły, żeby tylko poczuła się jedną z nich, ona zaś ograniczała się do oszałamiania ich swym urokiem. Tak umiejętnie potrafiła sprostać swej roli wielkoświatowej małżonki, że Florentino Ariza musiał się chwilę zastanowić, zanim ją rozpoznał. Była odmieniona: stateczność dojrzałej kobiety, wysokie buty, kapelusz z woalką i wielobarwnym piórem jakiegoś orientalnego ptaka - wszystko w niej było inne i naturalne, jakby wszystko przynależało do niej od samego początku. Ujrzał ją, piękną i młodą jak nigdy i jak nigdy zarazem nie do odzyskania, chociaż nie potrafił dociec dlaczego, dopóki nie ujrzał łuku jej brzucha pod jedwabną suknią: była w szóstym miesiącu ciąży. Ale najbardziej zdumiony był tym, że ona i jej mąż tworzą wspaniałą parę, poruszając się po świecie z taką łatwością, iż zdawało się, że unoszą się nad rafami rzeczywistości. Florentino Ariza nie odczuł ani zazdrości, ani wściekłości, a jedynie wielką pogardę wobec siebie samego. Poczł się biedny, brzydki, gorszy i nie tylko niegodny jej osoby, lecz również żadnej kobiety na ziemi. Wróciła zatem. Wracała nie widząc żadnego powodu, by żałować gwałtownej zmiany dokonanej w swoim życiu. Wprost przeciwnie: odczuwała coraz mniej skrupułów, zwłaszcza że przeżyła już trudy pierwszego okresu. Tym bardziej zaś w swym godnym szacunku przypadku, bo dotrwała nocy poślubnej jeszcze w oparach niewinności. Zaczęła ją tracić podczas podróży po prowincji kuzynki Hildebrandy. W Valledupar zrozumiała wreszcie, dlaczego koguty biegają za kurami, była świadkiem brutalnej ceremonii pomiędzy osłami, zobaczyła rodzące się cielaki i słyszała, jak kuzynki z całkowitą naturalnością rozmawiały między sobą o tym, które z par małżeńskich jeszcze się ze sobą kochają, a które kiedy i dlaczego przestały to robić, żyjąc nadal pod wspólnym dachem. Wówczas właśnie, ulegając dziwnemu wrażeniu, że odkrywa coś, o czym jej własny instynkt wiedział zawsze, zaczęła uprawiać samotną miłość, wpierw w łóżku, wstrzymując oddech, żeby nie zostać przyłapaną w sypialni zajmowanej przez pół tuzina kuzynek, później zaś za pomocą obu rąk, leżąc swobodnie na podłodze w łazience, z rozpuszczonymi włosami i paląc swoje pierwsze mulnicze skręty. Robiąc to w całkowitym sekrecie miała zawsze nieokreślone wyrzuty sumienia, których całkowicie pozbyła się dopiero po ślubie, podczas gdy kuzynki przechwalały się między sobą nie tylko liczbą orgazmów w ciągu dnia, ale nawet ich rodzajem i natężeniem. Niemniej, pomimo czaru owych inicjalnych rytuałów, wciąż tkwiło w niej przekonanie, że utrata dziewictwa jest krwawą ofiarą. Nic więc dziwnego, że uroczystości ślubne, jedne z najgłośniejszych u

schyłku ubiegłego wieku, dla niej samej przebiegały pod presją narastającego przerażenia.

Lęk przed miodowym miesiącem poraził ją w znacznie większym stopniu niż skandal towarzyski wywołany jej świetnym zamążpójściem, nie mającym sobie równego w owych latach. Od momentu, gdy zaczęto ogłaszać zapowiedzi podczas niedzielnych nabożeństw w katedrze, Fermina Daza znów otrzymywała anonimy, niektóre grożące śmiercią, jednak ledwie zwracała na nie uwagę, bo jeśli czegoś się bała, to przede wszystkim owego nieuchronnego gwałtu. Okazało się to odpowiednią, choć w jej przypadku nie zamierzoną reakcją na anonimy w społeczności przyzwyczajonej przez ironię historii do opuszczania głowy wobec faktów dokonanych. Zatem wszystko, co nastawione było wrogo wobec niej, stawało po jej stronie, im bardziej uświadamiano sobie nieuchronność ślubu. Odczuwała to w stopniowych zmianach w zachowaniu orszaku pań, sinych, pokreconych przez artretyzm i najróżniejsze urazy i przekonujących się pewnego dnia o daremności swych intryg; zjawiały się wtedy bez zapowiedzi przy skwerze Los Evangelios, jakby wkraczały do własnego domu, objuczone kucharskimi przepisami i prezentami na dobrą wróżbę. Transito Ariza dobrze znała ten świat, choć dopiero teraz, po raz pierwszy i ostatni, odczuła go na własnej skórze, i świadoma, że jej klientki pojawiają się zawsze w przeddzień wielkich uroczystości, aby błagać ją o wyświadczenie przysługi, odkopała swoje dzbany i wypożyczyła zastawioną biżuterię, ale tylko na dwadzieścia cztery godziny i pobierając dodatkowy procent. Dawno już nie zdarzyło się, aby dzbany zostały opróżnione, damy zaś o bardzo długich nazwiskach opuściły swe sanktuaria cieni i pojawiły się promieniejące, w swej własnej, choć wypożyczonej biżuterii, na ślubie tak wspaniałym, jakiego nie widziano już do końca wieku, a którego chwałą ostateczną była obecność w roli świadka doktora Rafaela Nuneza, trzykrotnego prezydenta republiki, filozofa, poety i autora słów Hymnu Narodowego, jak można było od tamtej pory wyczytać w niektórych nowo wydanych encyklopediach. Fermina Daza doprowadzona została do ołtarza głównego przez trzymającego ją pod rękę ojca, któremu frak na ten jeden dzień nadał zwodniczy, szacowny wygląd. Wstąpiła nieodwołalnie w związek małżeński przed głównym ołtarzem katedry podczas mszy odprawianej przez trzech biskupów, o jedenastej rano w sławetny piątek Trójcy Świętej, nie obdarzywszy ani jedną miłosierną myślą Florentina Arizy, mającego o tej godzinie w malignie, umierającego przez nią pod gołym niebem na pokładzie statku, który nie zabrał go w zapomnienie. Zarówno podczas ceremonii, jak i w czasie wesela zachowywała uśmiech, jakby utrwalony bielą ołowiową, gest bez żadnego wyrazu, przez część gości uznany za szyderczy uśmiech zwycięstwa, w rzeczywistości jednak będący mizernym wybiegiem mającym ukryć trwogę dopiero co

poślubionej dziewicy.

Na szczęście nieprzewidziane okoliczności oraz wyrozumiałość ze strony męża bezboleśnie rozwiązały jej pierwsze trzy noce. Widoczna w tym była ręka Opatrzności. Statek Compagnie Generale Transatlantique, w związku z trudnościami wynikającymi ze złego stanu pogody na Morzu Karaibskim, zapowiedział z trzydniowym zaledwie wyprzedzeniem, że przyspiesza wyjście z portu o dwadzieścia cztery godziny, tak że nie wypłynie do La Rochelle następnego dnia po ślubie, jak od sześciu miesięcy było przewidziane, ale tej samej nocy. Nikt nie chciał uwierzyć, że ta zmiana nie jest kolejną, elegancką niespodzianką weselną, zabawa skończyła się bowiem po północy na pokładzie oświetlonego transatlantyku, przy orkiestrze wiedeńskiej, podczas tego rejsu grającej po raz pierwszy najnowsze walce Johanna Straussa. Tak więc wielu honorowych gości w przemoczonych szampanem frakach zostało wywleczonych na ląd przez swe skonsternowane małżonki w chwili, gdy już pytali kelnerów, czy nie ma wolnych kajut, żeby kontynuować zabawę aż do Paryża. Ostatni, którzy zeszli na ląd, ujrzeli Lorenza Dazę przy portowych knajpkach, siedzącego na ziemi, na środku ulicy, w poszarpanym fraku. Płakał wniebogłose jak Arabowie, kiedy oplakują swych zmarłych, siedząc nad strumykiem zgniłej wody, który równie dobrze mógł być kałużą łez.

Ani w pierwszą noc wzburzonego morza, ani podczas następnych nocy spokojnej żeglugi, ani kiedykolwiek w ich długim pożyciu małżeńskim nie doszło do owych barbarzyńskich wyczynów, jakich obawiała się Fermina Daza. Pierwsza noc, mimo że statek był duży, a kajuta luksusowa, była potworną powtórką golety z Riohacha, a mąż okazał się uczynnym pielęgniarzem, który nie przespał ani minuty dodając jej otuchy, co było jedyną rzeczą, jaką lekarz, choćby i najszacowniejszy, mógł zrobić w przypadku choroby morskiej. Ale sztorm uspokoił się trzeciego dnia, po wypłynięciu z portu Guayra, i już wówczas, przebywając razem przez tyle czasu i rozmawiając ze sobą tak długo, czuli się starymi przyjaciółmi. Czwartej nocy, kiedy oboje powrócili do swych normalnych przyzwyczajeń, doktor Juvenal Urbino poczuł się zaskoczony faktem, że jego młoda małżonka nie odmawia pacierza przed snem. Była z nim szczerą: obłuda zakonnica spowodowała w niej opór wobec rytuałów, jej wiara jednak pozostawała nietknięta i nauczyła się ją osłaniać milczeniem. Powiedziała: „Wolę porozumiewać się z Bogiem bezpośrednio”. Zrozumiał jej racje i od tej pory każde z nich wyznawało tę samą religię na swój sposób. Ich narzeczeństwo było krótkie i, jak na owe czasy, dość niekonwencjonalne, doktor Urbino odwiedzał ją bowiem w domu, bez przyzwoitki, codziennie o zmierzchu. Nie pozwoliłaby, żeby dotknął choćby opuszków jej palców przed episkopalnym



błogosławieństwem, ale i tego nawet nie próbował. To w pierwszą noc spokojnego morza, gdy leżeli w łóżku, choć jeszcze ubrani, ośmielił się zainicjować pierwsze pieszczoty i uczynił to z taką delikatnością, iż sugestia, by włożyła nocną koszulę wydała jej się całkiem naturalna. Weszła do łazienki, by się przebrać, przedtem jednak zgasiwszy światła w kajucie, zanim zaś pojawiła się w koszuli, zasłoniła szczeliny w drzwiach ręcznikami, żeby w absolutnych ciemnościach wrócić do łóżka. Podchodząc powiedziała z uśmiechem:

- Cóż zrobić, doktorze. Pierwszy raz śpię z nieznajomym.

Doktor Juvenal Urbino poczuł, jak wślizguje się i kładzie obok niego niczym spłoszone zwierzątko, usiłując ułożyć się możliwie jak najdalej w koi, w której trudno było leżeć we dwoje nie dotykając się. Ujął jej zimną i zaciśniętą z przerażenia dłoń, splótł jej palce ze swoimi palcami i niemal szeptem zaczął opowiadać jej o swoich innych morskich podróżach. Ponownie była cała spięta, wróciwszy bowiem do łóżka spostrzegła, że on tymczasem całkiem się rozebrał, co wzbudziło w niej trwogę przed następnym krokiem. Ale następny krok opóźniony został o kilka godzin, gdyż doktor Urbino wciąż powolutku snuł swe wspomnienia, zdobywając milimetr po milimetrze zaufanie jej ciała. Mówił jej o Paryżu, o miłości w Paryżu, o paryskich zakochanych całujących się na ulicy, w omnibusie, na ukwieconych tarasach kawiarni otwartych na tchnienie ognia i melancholijne akordeony lata, a także tych, co kochają się na stojąco na nabrzeżach Sekwany i nie zaczepiani przez nikogo. Mówiąc do niej w ciemnościach, delikatnie musnął opuszkami palców łuk jej szyi, musnął jedwabny puszek ramion, uciekający brzuch, a kiedy poczuł, że napięcie ustąpiło, po raz pierwszy spróbował unieść jej koszulę, przeszkodziła mu jednak, z charakterystycznym dla siebie odruchem. Powiedziała: „Sama to potrafię zrobić”. Istotnie zdjęła koszulę, po czym znieruchomiała do tego stopnia, iż doktor Urbino mógł pomyśleć, że już jej tam nie ma, gdyby nie nasłoneczniony stok jej ciała w ciemnościach.

Po pewnym czasie ponownie ujął jej dłoń w swoje ręce i wówczas poczuł, że już jest ciepła i rozluźniona, ale pokryta jeszcze delikatną rosą. Czas jakiś leżeli w milczeniu, nieruchomo, on czekając na odpowiedni moment, by uczynić następny ruch, ona zaś oczekując tego ruchu, ale nie wiedząc, z której strony może nadejść, podczas gdy ciemność poszerzała się wypełniona jej coraz intensywniejszym oddechem. Nagle puścił ją i skoczył w pustkę: zmoczył językiem opuszek serdecznego palca i lekko dotknął jej zaskoczonego sutka, ona zaś poczuła śmiertelną salwę, jakby dotknął do odsłoniętego nerwu. Ucieszyła się, że wszędzie panuje ciemność, dzięki czemu nie zobaczył parzącego rumieńca, który wstrząsnął nią aż do głębi czaszki. „Spokojnie - powiedział, całkowicie opanowany. - Nie zapominaj, że je znam”. Poczuł, że się uśmiecha i w mroku rozległ się jej łagodny i

odmieniony głos.

- Świetnie o tym pamiętam - powiedziała - jeszcze mi złość nie przeszła.

Zrozumiał wówczas, że właśnie opłynęli przyładek dobrej nadziei i ponownie ujął jej dużą i miękką dłoń i zaczął okrywać drobnymi, sierocymi pocałunkami wpierw szorstkie śródrezcze, długie, jasnowidzące palce, przezroczyste paznokcie, a później hieroglify jej przeznaczenia na spoconej dłoni. Zupełnie nie wiedziała, jak to się stało, że jej ręka dotarła aż do jego piersi i zderzyła się z czymś, czego nie mogła rozpoznać. Powiedział: „To szkaplerz”. Pogłaskała włosy na jego piersi, następnie chwyciła pięcioma palcami cały krzew, aby wyrwać go z korzeniami. „Mocniej” - powiedział. Spróbowała, dochodząc do momentu, w którym w jej odczuciu nie bolało go jeszcze zanadto, a następnie to jej ręka poszukała jego, zagubionej w mrokach, dłoni. Ale nie dał jej opleść swych palców, lecz chwycił ją za przegub i poprowadził jej dłoń wzdłuż swego ciała, z niewidzialną, ale świadomą swego celu siłą, póki nie poczuła ognistego podmuchu nagiego, pozbawionego cielesnego kształtu, ale spragnionego i stającego dęba zwierzęcia. Wbrew temu, co sam zakładał, i wbrew temu, co sama była w stanie sobie wyobrazić nie cofnęła ręki, nie unieruchomiła jej nawet w miejscu, gdzie ją zostawił, lecz poleciewszy się ciałem i duszą opiece Przenajświętszej Pani, zacisnęła zęby obawiając się, że zacznie śmiać się z własnego szaleństwa i zaczęła dotykiem rozpoznawać wierzgającego wroga, badając jego rozmiary, moc jego latorośli, zasięg jego skrzydeł, przerażona jego determinacją, ale i współczując jego samotności, czyniąc go swoim poprzez drobiazgową ciekawość, którą ktoś mniej doświadczony od jej męża mógłby pomylić z pieszczotami. Odwołał się do resztek swoich sił, by wytrzymać zamroczenie śmiertelnego badania, póki nie puściła go z dziecięcym wdziękiem, jakby wyrzucała go do śmieci. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to jest z tym aparatem - powiedziała.

Wówczas z całą powagą przeprowadził metodyczny wykład, wodząc jej dłonią po opisywanych miejscach, ona zaś pozwalała się prowadzić z uległością wzorowej uczennicy. Zasugerował w odpowiednim momencie, że wszystko będzie znacznie łatwiejsze przy zapalonym świetle. Już wstawał, by je zapalić, ale przytrzymała go za rękę, mówiąc: „Widzę lepiej rękami”. W rzeczywistości chciała zapalić światło, ale miała ochotę zrobić to sama, a nie na czyjeś polecenie, i tak się stało. Ujrzał ją wówczas w nagłej jasności w pozycji płodowej, przykrytą, a jakże, prześcieradłem. Ale ujrzał zarazem jak ponownie, bez żadnych oporów, chwyta zwierzę swej ciekawości, obraca to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając mu się z dociekliwością, która przestawała już być ciekawością li tylko naukową, by ostatecznie zawyrokować: „Jaki on musi być szpetny, jeśli jest jeszcze

brzydszy od tego, co mają kobiety”. Zgodził się z tym, wskazując na dodatkową niedogodność, poważniejszej natury niż brzydota. Powiedział: „On jest jak najstarszy syn, dla którego człowiek przez całe życie pracuje, wszystko mu poświęcając, aby ten w godzinę prawdy zrobił, co mu się żywnie spodoba”. Nie przestawała go badać pytając się do czego to służy, a do czego tamto, kiedy zaś uznała, że posiada już dostateczną wiedzę, oszacowała jego wagę w obu dłoniach, żeby ostatecznie przekonać się, że i ze względu na wagę jest on niewiele wart, po czym wypuściła go z rąk z gestem lekceważenia. - Poza tym wydaje mi się, że zbywa mu na wielu rzeczach - powiedziała.

Zaskoczyła go. Wyjściową przesłanką jego pracy magisterskiej była następująca teza: użyteczność uproszczenia organizmu ludzkiego. Ciało wydawało mu się anachroniczne, wiele jego funkcji zbytecznych lub dublujących się, niezbędnych, owszem, w poprzednich etapach rozwoju rodzaju ludzkiego, niemniej zbędnych współczesnemu człowiekowi. Tak: ciało powinno być prostsze, a tym samym mniej wrażliwe. Zakończył:

„Tylko Bóg jest w stanie to, oczywiście, uczynić, niemniej należałoby ustalić to w kategoriach teoretycznych”. Zaśmiała się rozbawiona, w sposób tak naturalny, iż skorzystał z okazji, by wziąć ją w ramiona i po raz pierwszy pocałować w usta. Oddała mu pocałunek, on zaś nadal całował ją delikatnie w policzki, w nos, w powieki, wślizgując dłoń pod prześcieradło i dotykając jej krągłego i gładkiego wzniesienia łonowego: wzniesienia Japoneczki. Nie odsunęła jego dłoni, swoją trzymając nadal w pogotowiu, na wypadek gdyby posunął się dalej. - Nie będzie już lekcji medycyny - powiedziała.

- Nie - odpowiedział. - Teraz będzie lekcja miłości. Zdjął z niej wówczas prześcieradło, ona zaś nie tylko się nie sprzeciwiła, lecz szybkim ruchem nóg kopnęła je jak najdalej od koi, bo już nie wytrzymała z gorąca.

Jej falujące, giętkie ciało, było znacznie poważniejsze niż w ubraniu i wydawało sobie właściwy zapach leśnego zwierzęcia, dzięki któremu można ją było rozpoznać pomiędzy wszystkimi kobietami świata. Całkowicie bezbronna w pełnym świetle, poczuła jak gejzer wrzącej krwi zalewa jej twarz i jedynym, co przyszło jej na myśl, żeby to ukryć, było zawisnąć na szyi swego mężczyzny i pocałować go głęboko, bardzo mocno, póki nie zabrakło im tchu.

Był świadom, że jej nie kocha. Ożenił się, bo podobała mu się jej duma, powaga, jej siła, a trochę również przez próżność, ale kiedy pocałowała go po raz pierwszy, nabrał pewności, że nie ma żadnych przeszkód, aby wymyślić godziwą miłość. Tej pierwszej nocy, w czasie wszystkich prowadzonych aż do świtu rozmów nie wspomnieli o tym ani słowem i nigdy już o tym nie mieli rozmawiać. Ale w ostateczności żadne z nich się nie pomyliło.

O świcie, kiedy zasnęli, ona nadal była dziewicą, nie na długo jednak. Bo następnej nocy, po wieczorze, w czasie którego uczył ją walców wiedeńskich pod gwiaździstym niebem Morza Karaibskiego, udał się po niej do łazienki, kiedy zaś wrócił, czekała już na niego rozebrana w łóżku. To ona przejęła wówczas inicjatywę i oddała mu się bez trwogi, bez bólu, z radością godną przygody na pełnym morzu i bez większych oznak krwawego rytuału poza różą honoru na prześcieradle. Uczynili to dobrze, jakby uczynili cud, i nie przestali robić tego dobrze w noc i w dzień, za każdym razem coraz lepiej przez resztę podróży, a kiedy dotarli do La Rochelle rozumieli się już jak będący z sobą od dawna kochankowie.

Przebywali szesnaście miesięcy w Europie, stale zamieszkując w Paryżu i stamtąd udając się w krótkie podróże do sąsiednich krajów. Kochali się codziennie, a w zimowe niedziele nie raz i nie dwa, tarzając się w łóżku aż do obiadu. On był mężczyzną, któremu nie brakowało rozmachu, nie mówiąc o doświadczeniu, ona zaś nie była stworzona do oddawania komukolwiek inicjatywy, musieli więc uzgodnić podział władzy w łóżku. Po trzech miesiącach gorączkowej miłości zrozumiał, że jedno z nich jest bezpłodne, oboje poddali się więc kompleksowym badaniom w szpitalu Salpeôtriere, gdzie niegdyś odbywał staż. Uciążliwe zabiegi okazały się bezowocne. Jednak w najmniej spodziewanej chwili i bez jakiegokolwiek naukowej interwencji stał się cud. Pod koniec następnego roku, kiedy wrócili do domu, Fermina była w szóstym miesiącu ciąży i uważała się za najszcześniejszą kobietę na świecie. Tak bardzo przez nich oczekiwany syn, który bez żadnych problemów urodził się pod znakiem Wodnika, ochrzczony został imieniem zmarłego na cholere dziadka.

Trudno było rozpoznać, czy odmieniła ich Europa, czy też miłość, obie okoliczności miały bowiem miejsce w tym samym czasie. Oboje zmienili się, i to gruntownie, nie tylko wobec siebie, ale i w stosunku do wszystkich, jak spostrzegł to Florentino Ariza, kiedy ujrzał ich wychodzących po mszy w dwa tygodnie po ich powrocie, owej nieszczęsnej dlań niedzieli. Wrócili odmiennie pojmując życie, pełni nowinek ze świata i gotowi panować nad światem. On z ogromną ilością nowości literackich, muzycznych i przede wszystkim z nowinkami ze swej dziedziny. Przywiózł subskrypcję zarówno na „Le Figaro”, żeby nie stracić kontaktu z rzeczywistością, jak i na „Revue des Deux Mondes”, by nie stracić kontaktu z poezją. Zawarł ponadto umowę ze swym paryskim księgarzem, by ten przysyłał mu nowości najpoczytniejszych pisarzy, wśród nich Anatola France’a i Pierre’a Loti i tych, których najbardziej lubił, a więc Remy’ego de Gourmont i Paula Bourget, ale w żadnym wypadku Emila Zoli, który wydawał mu się nieznośny pomimo odważnej postawy w

sprawie Dreyfusa. Księgarz, ze swej strony, zobowiązał się przysyłać mu pocztą najbardziej kuszące nowości z katalogu Ricordiego, przede wszystkim z muzyki kameralnej, celem zachowania, zdobytego w pełni zasłużenie przez jego ojca, tytułu pierwszego promotora koncertów w mieście.

Fermina Daza, zawsze przeciwna jakiegokolwiek uleganiu modzie, przywiozła sześć kufrów przeróżnych strojów, sławne domy mody w ogóle jej bowiem nie przekonały. Była w Tuilériach w pełni zimy na pokazie nowej kolekcji Wortha, niekwestionowanego dyktatora mody, i jedynym, z czym wyszła, był bronchit, który trzymał ją w łóżku przez pięć dni. Laferriere wydał jej się mniej pretensjonalny i drapieżny, w końcu jednak, kierując się rozsądkiem, podjęła decyzję wykupienia wszystkiego, co jej najbardziej przypadło do gustu w sklepach z przeceną, mimo że mąż przysięgał przerażony, że są to ubrania dla nieboszczyków. Podobnie przywiozła olbrzymie ilości niemarkowego obuwia włoskiego, bardziej jej odpowiadającego niż sławne i ekstrawaganckie buty Ferry'ego, przywiozła również parasolkę od Dupuy czerwoną niczym ognie piekielne, która wielokrotnie stawała się godnym tematem dla naszych bojaźliwych kronikarzy towarzyskich. Nabyła tylko jeden kapelusz Madame Reboux, za to jeden z kufrów wypełniła kiściami sztucznych czereśni, wiązkami wszystkich filcowych kwiatów, jakie tylko napotkała, pękami strusich piór, pawich piór, ogonami azjatyckich kogutów, bażantami w całości, kolibrami i niezliczoną ilością ptaków wypchanych w pełnym locie, w pełnym krzyku, w pełni agonii: wszystkim, co w ciągu ostatnich dwudziestu lat służyło do tego, aby te same kapelusze wydawały się innymi kapeluszami. Przywiozła kolekcję wachlarzy z przeróżnych krajów z całego świata, każdy inny i dostosowany na wszelkie okazje. Przywiozła niepokojącą esencję wybraną spośród wielu w perfumerii „Bazar de la Charite”, zanim wiatry wiosenne rozwiały jej popioły, ale użyła jej tylko raz, bo po wyperfumowaniu się nią nie poznała samej siebie. Przywiozła również neseserek z kosmetykami, ostatnią nowość na rynku sztuki uwodzenia, będąc pierwszą kobietą, która pojawiała się z nim na przyjęciach w czasach, kiedy najzwyczajszą czynnością poprawiania makijażu publicznie uznawano za objaw bezwstydu.

Przywieźli poza tym trzy niezatarte wspomnienia: bezprecedensowej premiery Opowieści Hoffmana w Paryżu, przerażającego pożaru niemal wszystkich gondol weneckich przy Placu Świętego Marka, któremu przyglądali się, ze zbolałym sercem, z okien swego hotelu, i przelotnego widoku Oscara Wilde'a podczas pierwszej styczniowej śnieżycy. Ale spośród tych i tylu innych wspomnień doktor Juvenal Urbino czuł szczególny sentyment do jednego, choć było mu przykro, że nie może dzielić go z żoną, pochodziło bowiem ono z jego kawalerskich i studenckich czasów w Paryżu. Było to wspomnienie

Victora Hugo, cieszącego się u nas wzruszającą i całkowicie niezależną od swych książek sławą, bo ktoś powiedział, że powiedział, choć nikt tego w rzeczywistości nie słyszał, że nasza Konstytucja nie jest dla kraju zamieszkiwanego przez ludzi, lecz przez aniołów.

Od tamtej pory oddawano mu szczególną cześć i znakomita większość ziomków podróżujących do Francji, przede wszystkim i ponad wszystko pragnęła go zobaczyć. Z pół tuzina studentów, a wśród nich Juvenal Urbino, wyznaczyło warty przed jego rezydencją w alei Eyleau i w kawiarniach, gdzie, jak mawiano, na pewno miał się pojawić, lecz nie pojawił się nigdy, by wreszcie wystąpić z pisemną prośbą o prywatną audiencję, w imieniu aniołów z Konstytucji z Rionegro. Nigdy nie otrzymali odpowiedzi. Któregoś dnia Juvenal Urbino, przypadkowo przechodząc obok Ogrodu Luksemburskiego, ujrzał pisarza, jak wychodził z Senatu prowadząc pod rękę młodą kobietę. Ujrzał bardzo starego człowieka, poruszającego się z trudem, o nie tak wspaniałych jak na portretach włosach i brodzie, wbitego w palto, które zdawało się należeć do kogoś znacznie bardziej korpulentnego. Nie chciał psuć sobie wspomnienia jakimś impertynenckim pozdrowieniem: zadowolił się tą niemal niereczywistą wizją, która miała mu wystarczyć na całe życie. Kiedy po ślubie wrócił do Paryża w warunkach bardziej sprzyjających do spotkania z nim, Victor Hugo już nie żył.

Na pocieszenie Juvenal i Fermina zachowali wspólne wspomnienie pewnego śnieżnego zmierrchu, gdy zaintrygowała ich nie poddająca się śnieżycy grupka cierpliwie wystająca przed maleńką księgarnią na Bulwarze Kapucynów, okazało się, że w środku przebywa właśnie Oscar Wilde. Kiedy w końcu wyszedł, rzeczywiście elegancki, choć być może nazbyt tego świadom, grupka otoczyła go, prosząc o autografy w jego książkach. Doktor Urbino zatrzymał się wyłącznie po to, żeby go zobaczyć, ale jego impulsywna żona już chciała przejść na drugą stronę bulwaru, żeby poprosić go o złożenie autografu na jedynej rzeczy, która z braku książki wydała jej się do tego najwłaściwsza: na swej pięknej rękawiczce z gazeli, długiej, gładkiej, delikatnej, o tej samej barwie co jej skóra młodziutkiej mężatki.

Była przekonana, że tak wyrafinowany mężczyzna doceni ten gest. Mąż stanowczo jednak zaoponował, a kiedy pomimo jego sprzeciwów próbowała jednak dopiąć swego, poczuł, że nie będzie w stanie przeżyć tego wstydu. - Jeśli przejdziesz przez ulicę - powiedział - to kiedy wrócisz tutaj zastaniesz mnie martwego.

Było to u niej coś całkowicie naturalnego. W niespełna rok po ślubie poruszała się po świecie z niezmiennie tą samą żywiołowością, z jaką od dziecka biegała po ospałym San Juan de la Cienaga, jakby potrafiła to już od urodzenia i posiadała zarazem tak olbrzymią

łatwość szybkiego nawiązywania kontaktu z obcymi, iż co chwila zdumiewała męża zarówno tym, jak i swym tajemniczym talentem porozumiewania się po hiszpańsku z każdym i wszędzie. „Języki trzeba znać wtedy, kiedy ma się coś do sprzedania - mawiała z kpiącym chichotem. - Ale kiedy masz zamiar coś kupić, to wszyscy jakoś cię rozumieją”. Nie sposób było wyobrazić sobie kogoś, kto w tak szybkim tempie z taką radością dostosowałby się do codziennego życia Paryża, który nauczyła się kochać we wspomnieniach pomimo jego nieustannych deszczów. Kiedy jednak wróciła do domu przygnieciona tyloma doświadczeniami naraz, zmęczona już podróżami, na wpół śpiąca od ciąży, a pierwszym pytaniem, jakie jej zadano już w porcie, było, jak jej się podobały europejskie wspaniałości, ona podsumowała w swym karaibskim żargonie szesnaście szczęśliwych miesięcy trzema słowami:

- Byle odpust lepszy.

W dniu, kiedy Florentino Ariza zobaczył w atrium katedry Ferminę Dazę w sześciomiesięcznej ciąży, w pełni panującą nad swoją nową kondycją kobiety światowej, powziął niezłomne postanowienie, że musi zdobyć nazwisko i fortunę, aby stać się jej godnym. Nawet przez chwilę nie powstało mu w głowie, iż sporą niedogodnością jest jej stan cywilny, gdyż od razu zdecydował, jakby to od niego zależało, że doktor Juvenal Urbino musi umrzeć. Nie wiedział jak ani kiedy, niemniej założył sobie, iż jest to nieuchronne, zdecydowany czekać na ten moment cierpliwie, z całkowitym spokojem, choćby do końca świata.

Zaczął od początku. Bez uprzedzenia zjawił się w biurze wuja Leona XII, prezesa Rady Nadzorczej i Generalnego Dyrektora Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego, i oznajmił mu swoją gotowość oddania się do jego dyspozycji. Wuj, aczkolwiek czuł do niego żal za sposób, w jaki odrzucił propozycję objęcia znakomitej posady telegrafisty w Villa de Leyva, zadośćuczynił jednak hołdowanemu przez siebie przekonaniu, że istoty ludzkie nie rodzą się raz na zawsze w dniu, w którym matki wydają je na świat, ale że życie zmusza je do ponownego i wielokrotnego rodzenia samych siebie. Poza tym wdowa po bracie zmarła w zeszłym roku z zapiekłymi urazami, ale nie zostawiwszy spadkobierców. Zatrudnił więc błądzącego bratanka.

Była to decyzja typowa dla don Leona XII Loayza.

W skorupie bezdusznego kupca skrywał duszę genialnego lunatyka, zdolnego doprowadzić zarówno do wytryśnięcia źródła lemoniady na pustyni Guajira, jak i wycisnąć potoki łez z uczestników najokazalszych pogrzebów, gdy rozdzierająco śpiewał *In questa tomba oscura*. Jego kędzierzawej głowie i wargom fauna brakowało jedynie liry i wieńca

laurowego, żeby już całkowicie upodobnić się do podpalacza Nerona z chrześcijańskiej mitologii. Każdą wolną chwilę, pozostającą mu jeszcze między zarządzaniem swymi rozpadającymi się statkami, unoszącymi się na wodzie tylko i wyłącznie dzięki niedopatrzaniu fatum, a rozwiązywaniem coraz trudniejszych z każdym dniem problemów żeglugi rzecznej, poświęcał wzbogacaniu swego śpiewaczego repertuaru. Nade wszystko uwielbiał śpiewać na pogrzebach. Miał nie ukształtowany przez żadne studia głos galernika, zdolny jednak osiągnąć niezwykle rejestry. Ktoś opowiedział mu, że Enrico Caruso potrafił siłą swego głosu doszczętnie rozbić wazon, więc przez wiele lat usiłował pójść w jego ślady, próbując nawet tłuc szyby w oknach. Przyjaciele zwozili mu ze swych podróży po świecie najkruchsze wazony i organizowali specjalne przyjęcia, żeby wreszcie udało mu się osiągnąć szczyt swoich marzeń. Nigdy mu się nie udało Niemniej, w głębi tych gromów jarzyło się nikłe światełko czułości, które powodowało, iż pękały serca słuchaczy, tak jak pękały kryształowe amfory wielkiego Caruso i to właśnie czyniło go tak bardzo poważaną osobą na pogrzebach. Poza jednym, kiedy miał nader szczęśliwy pomysł zaśpiewania cudownej i wstrząsającej pieśni żałobnej z Luizjany *When wake up in Glory*, został jednak uciszony przez kapelana nie tolerującego w swym kościele owego luterńskiego chwastu.

I tak pośród operowych ancor i neapolitańskich serenad, jego twórczy talent i niewyciężony duch przedsiębiorczości stworzyły zeń największą osobistość żeglugi rzecznej w okresie jej największego rozkwitu. Zaczynał od zera, tak jak i obaj zmarli bracia, i wszyscy doszli tam, gdzie dojść chcieli, pomimo piętna nieślubnych i na domiar złego nigdy nie uznanych dzieci. Stanowili kwiat ludzi określanych wówczas mianem arystokracji kontuaru, posiadających swoje sanktuarium w Klubie Handlowym. Mimo to wuj Leon XII, nawet wtedy, gdy dysponował środkami pozwalającymi mu żyć niczym rzymski imperator, którym zdawał się być, mieszkał z żoną i trójką dzieci, ze względu na pracę, na starym mieście, tak skromnie i w tak pospolitym domu, iż nigdy nie zdołał uwolnić się od niesprawiedliwej opinii skąpca. Jedyne luksusy, na jakie sobie pozwolił, był jeszcze skromniejszy: nadmorska rezydencja dwie mile od biura, gdzie za całe umeblowanie starczało mu sześć wiejskich stołków, kredens z filtrami do wody i hamak na tarasie, by móc się w niedzielę położyć i oddać rozmyślaniom. Nikt go lepiej nie zdefiniował niż on sam siebie kiedy ktoś zarzucił mu, że jest bogaczem. - Bogaczem nie - powiedział. - Jestem biedakiem z forszą, a to nie jest to samo.

Ów dziwny sposób bycia, w swoim czasie wysławiany przez kogoś w przemówieniu jako przytomna demencja, pozwolił mu dostrzec w okamgnieniu coś, czego nikt ani



przedtem, ani później nie spostrzegł u Florentina Arizy.

Począwszy od dnia, kiedy ten obnosząc swój posepny wygląd i swe zbędne dwadzieścia siedem lat zjawił się, by poprosić o pracę w jego przedsiębiorstwie, poddał go twardej, równej koszarowym rygorom próbie, zdolnej złamać najodporniejszego. Nie zdołał go jednak zrazić. Wuj Leon XII nigdy jednak nie podejrzewał, że ów hart bratanka nie wynikał z potrzeby przeżycia ani z odziedziczonej po ojcu chamskiej cierpliwości, lecz z miłosnej ambicji, której żadna przeciwność losu na tym i tamtym świecie nie była w stanie złamać.

Najgorszym okresem były pierwsze lata, kiedy mianowano go pisarzem Generalnej Dyrekcji, która to funkcja zdawała się idealnie dla niego obmyślona. To Lotar Thugut, dawny nauczyciel muzyki wuja Leona XII, poradził, aby zatrudnił bratanka, niestrudzonego pożeracza literatury w ilościach hurtowych, aczkolwiek nie tej dobrej, ale właśnie tej najgorszej, na jakimś stanowisku związanym z pisaniem. Wuj Leon XII zbagatelizował wzmiankę o fatalnej jakości lektur bratanka, gdyż i o nim Lotar Thugut mawiał, że jest jego najgorszym uczniem, a przecież swoim śpiewem wyciskał łzy nawet z płyt nagrobnych. W każdym razie Niemiec miał rację co do pewnego, choć zupełnie przez siebie nie przewidzianego aspektu tej sprawy: Florentino Ariza wkładał bowiem w pisanie czegokolwiek tyle pasji, że nawet oficjalne dokumenty wydawały się miłosnymi epistołami. Listy przewozowe układały mu się w rymy, choćby najstaranniej ich unikał, a rutynowe pisma handlowe tchnęły liryczną aurą obracającą wniwecz ich powagę i autorytet. Wuj osobiście pojawił się pewnego dnia w biurze z całym pakietem korespondencji, której nie miał odwagi podpisać jako własnej, i dał mu ostatnią szansę zbawienia.

- Jeśli nie potrafisz napisać handlowego pisma, to zostaje ci tylko zbieranie śmieci w porcie i to już - powiedział.

Florentino Ariza podjął wyzwanie. Dokonał nadludzkiego wysiłku, aby nauczyć się przyziemnej prostoty prozy handlowej, wzorując się na dokumentach z notarialnych archiwów z taką samą gorliwością, z jaką niegdyś naśladował modnych poetów. W tym okresie wszystkie wolne chwile spędzał w Bramie Pisarzy, pomagając nieopierzonym zakochanym pisać perfumowane liściki i w ten sposób uwalniając serce z tylu miłosnych słów nie spożytkowanych w deklaracjach celnych. Ale mimo sześciomiesięcznej walki i wykręcania na wszystkie możliwe strony, nie zdołał ukręcić szyi swemu zatwardziałemu łabędziowi. Kiedy więc wuj Leon XII po raz drugi udzielił mu reprimendy, uznał się za pokonanego, choć nie bez pewnej buty.

- Jedyne, co mnie interesuje, to miłość - powiedział. - Niestety polega na tym -

powiedział mu wuj - że bez żeglugi rzecznej nie ma miłości.

Spełnił pogrózkę i odesłał go do sprzątanania śmieci z nabrzeża, dając mu zarazem słowo, że będzie go stopniowo awansował po szczeblach uczciwej służby, póki nie odnajdzie swego miejsca. I tak się stało. Żadne z zajęć, choćby i najcięższe czy najbardziej upokarzające, nie zdołało go zrazić, nie załamała go nędza pensji i ani przez chwilę nie utracił swej zasadniczej pewności siebie wobec arogancji przełożonych. Ale nie był aż takim aniołem: ktokolwiek śmiał stanąć mu na drodze, musiał ponieść konsekwencje jego niszczycielskiej determinacji, zdolny był bowiem, mimo pozorów bezradności, do wszystkiego. Zgodnie z przewidywaniami wuja Leona XII i z jego wolą, aby zgłębił nawet najdrobniejsze tajniki przedsiębiorstwa, zdołał poznać, przez trzydzieści lat poświęceń i zacieklej wytrwałości, wszelkie możliwe stanowiska. Pełnił swoje funkcje z godną podziwu sprawnością, przyglądając się dociekliwie każdej nitce tej tajemniczej osnowy, co tak wiele wspólnego miała z poetyckim fachem, nie uzyskując jednak najbardziej przez siebie pożądanego odznaczenia bojowego, jakim miało być napisanie akceptowalnego listu handlowego: jednego bodajże. W sposób niezamierzony, nigdy nawet tym nie pomyślawszy, udowodnił własnym życiem jedną z tez swego ojca, który powtarzał do ostatniego tchu, że nie ma ludzi o większym zmyśle praktycznym ani bardziej zawziętych kamieniarzy, ani zmyślniejszych i niebezpieczniejszych administratorów od poetów. To w każdym razie wyznał mu wuj Leon XII, snując opowieści o jego ojcu w chwilach beztrudnej serdeczności i przekazując mu wizję człowieka bliższą postaci marzyciela niż człowieka interesu.

Opowiedział mu, że Pius Piąty Loayza czynił z biur przybytek służący bardziej zażywaniu rozkoszy życia niż pracy i że zawsze znalazł jakiś sposób, aby wyjść w niedzielę z domu pod pretekstem, że musi przyjąć lub odprawić jakiś statek. Mało tego: na podwórzu przy magazynach kazał zamontować bezużyteczny kocioł parowy z syreną okrętową, którą ktoś uruchamiał nadając sygnały żeglugowe, na wypadek gdyby nasłuchiwała żona. Wuj Leon XII, wyliczywszy to sobie, był przekonany, że Florentino Ariza został poczęty na biurku jednego z nie domkniętych gabinetów w skwarne niedzielne popołudnie, podczas gdy małżonka jego ojca najspokojniej słuchała w domu buczących pożegnań statku, który nigdy nie odpłynął. Kiedy to odkryła, było już za późno, aby wystawić mu rachunek za hańbę, bo mąż nie żył.

Przeżyła go o wiele lat, zżerana gorzkim losem bezdzietnej kobiety i błagając w swych modlitwach Boga o wieczne potępienie dla bękarta.

Wizerunek ojca niepokoił Florentina Arizę. W opowieściach matki jawił się jako

wspaniały człowiek pozbawiony zmysłu handlowego, który zaczął prowadzić interesy w tym sektorze tylko i wyłącznie dlatego, że jego starszy brat był bardzo bliskim współpracownikiem niemieckiego komandora Juana B. Elbersa, prekursora żeglugi rzecznej. Byli nieślubnymi synami tej samej matki, kucharki z zawodu, i choć każdego z nich miała z innym mężczyzną, wszyscy nosili jej nazwisko po imieniu jednego z papieży, wybranym na chybił trafił z kalendarzowego spisu imion świętych, oprócz wuja Leona XII, który swe imię zawdzięczał aktualnemu, w dniu jego narodzin, namiestnikowi Chrystusa. Imię Florentino nosił z kolei dziadek wszystkich ze strony matki, syn Transito Arizy odziedziczył je więc przeskakując całe pokolenie papieży.

Florentino na zawsze zachował zeszyt z wierszami miłosnymi, z których część zainspirowała osoba Transito Arizy, zapisywanymi przez jego ojca na stroniczkach dodatkowo ozdobionych rysunkami zranionych serc. Zaskoczyły go dwie rzeczy. Jedną z nich było pismo ojca, nie różniące się niczym od charakteru jego własnego pisma, mimo iż sam je sobie wybrał spośród wielu wzorów z podręcznika kaligrafii, uznając je za najładniejsze. Drugą zaś była sentencja, którą uważał za własną, a którą zapisał ojciec w zeszycie na długo przed jego przyjściem na świat: „Jedynym bólem jaki przeraża mnie w śmierci, jest to, że można umrzeć nie z miłości”.

Widział też dwie, jedyne, fotografie swego ojca. Pierwsza została zrobiona w Santa Fe, gdy był bardzo młody, i w wieku kiedy Florentino ujrzał go po raz pierwszy: leżał w kole rzeźby, z której pozostawały jedynie obcięte buty wojskowe, w palcie tak obszernym, iż człowiek wyglądał w nim, jakby znajdował się w środku niedźwiedzia. Maluchem stojącym obok niego był wuj Leon XII w czapeczce kapitana statku. Na drugiej fotografii ojciec stał w otoczeniu żołnierzy z nie wiadomo już której z rozlicznych wojen, z najdłuższą strzelbą i z wąsami, które nawet na zdjęciu czuć było prochem. Ten liberał i mason, jak wszyscy pozostali bracia, pragnął mimo to, aby syn wstąpił do seminarium. Florentino Ariza nie dostrzegał przypisywanego im podobieństwa, ale sądząc z tego, co mawiał wuj Leon XII, Piusowi Piątemu też zarzucano nadmierny liryzm w pisanych przezeń dokumentach. W każdym razie nie tylko w niczym nie przypominał ojca z fotografii, ale i nie pasowali do siebie ani w jego wspomnieniach, ani w wizerunku kreślonym przez matkę, a zniekształconym przez miłość, ani w tym retuszowanym przez wuja Leona XII ze swoistym dlań zabawnym okrucieństwem. Niemniej, Florentino Ariza odkrył to podobieństwo wiele lat później, w chwili gdy czesząc się przed lustrem zrozumiał właśnie, że każdy mężczyzna dokładnie wie, kiedy zaczyna się starzeć, bo zaczyna być podobny do swego ojca.

Nie pamiętał go z ulicy Ventanas. Domyślał się, iż przez jakiś czas ojciec sypiał tam,

na samym początku swych miłostek z Transito Arizą, ale że po jego przyjsciu na świat nigdy więcej jej nie odwiedził. Świadection chrztu przez wiele lat było naszym jedynym ważnym dokumentem tożsamości, a świadection Florentina Arizy, wystawione w parafii świętego Toribiusza, wyłącznie stwierdzało, że jest on synem naturalnym panny, i również córki naturalnej, noszącej imię i nazwisko Transito Arizy. Nie wymieniano w metryce imienia i nazwiska ojca, mimo że ten po kryjomu zaspokajał potrzeby syna do swoich ostatnich dni. Owa społeczna kondycja zamknęła przed Florentinem Arizą drzwi seminarium, ale pomogła mu również uniknąć służby wojskowej w najkrwawszym okresie naszych wojen, dzięki temu, iż był jedynym synem samotnej matki.

W każdy piątek, po szkole, siadał przed biurem Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego, przeglądając książkę z ilustracjami zwierząt, tylokrotnie już przeglądaną, że rozpadała się na strzępy. Ojciec, ubrany niezmiennie w płócienny surdut, jeden z tych, w które w późniejszych latach były przerabiane przez Transito Arizę na syna, wchodził do budynku nie obrzuciwszy małego nawet spojrzeniem, z miną świętego Jana Ewangelisty z ołtarzy. Kiedy wychodził po wielu godzinach, dawał mu pieniądze przeznaczone na tygodniowe wydatki, zachowując daleko idącą ostrożność, by nie zostać przyłapanym nawet przez własnego stangreta. Nie rozmawiali ze sobą nie tylko dlatego, że ojciec nawet nie próbował, ale i dlatego, że syn czuł przed nim paniczny strach. Pewnego dnia, po znacznie dłuższym niż zazwyczaj oczekiwaniu, ojciec wręczył mu monety mówiąc:

- Proszę to wziąć i nie wracać już nigdy więcej.

Widział go wówczas po raz ostatni. Ale z czasem miał się dowiedzieć, że wuj Leon XII, dziesięć lat młodszy od brata, nadal przynosił pieniądze Transito Arizie i że to on zajął się nią, kiedy Pius Piąty zmarł na źle zdiagnozowaną kolkę, nie pozostawiając żadnego zapisu i nie zdążywszy nawet podjąć jakiegokolwiek decyzji zapewniającej przyszłość swemu jedynemu synowi: dziecku ulicy.

Dramat Florentina Arizy w okresie pełnienia obowiązków kaligrafa w Karaibskim Towarzystwie Rzecznym polegał na tym, iż żadną miarą nie potrafił ustrzec się liryzmu, bo cały czas myślał o Ferminie Dazie i nigdy nie nauczył się pisać nie myśląc o niej. Później, w miarę jak przenoszono go na inne stanowiska, czuł w sobie taki nadmiar miłości, że nie wiedział, co z nią począć, obdarowywał więc nią niedoświadczonych kochanków pisząc im za darmo miłosne listy w Bramie Pisarzy. Chodził tam po pracy. Z charakterystyczną dla siebie flegmą zdejmował surdut i zawieszał go na poręczy krzesła, nakładał zarekawkę, by nie pobrudzić rękawów koszuli, rozpiął kamizelkę, żeby sprawniej myśleć, i czasami do późnej nocy przywracał chęć życia opuszczonym, układając dla nich listy doprowadzające

do szaleństwa. Niekiedy szukali też u niego pomocy inni: a to biedna kobiecina, która miała problemy z synem, a to weteran wojenny, uporczywie domagający się wypłacenia renty, a to jakiś okradziony biedak, który chciał skierować zażalenie do rządu, Florentino nie był jednak w stanie spełnić ich oczekiwań, bo mógł swoimi argumentami przekonać każdego, ale wyłącznie w listach miłosnych. Nowym klientom nie zadawał nawet pytań, wystarczyło mu bowiem ujrzeć białka ich oczu, aby natychmiast zdać sobie sprawę, co im dolega, zapisywał więc stronę po stronie bajdurząc o bezgranicznej miłości, dzięki niezawodnej metodzie pisania zawsze z myślą o Ferminie Dazie i myśląc wyłącznie i tylko o niej. Po miesiącu, bojąc się, że utonie w tym potopie cudzych udręk miłosnych, musiał wprowadzić system wcześniejszych rezerwacji.

Jego najwdzięczniejszym wspomnieniem z tamtego okresu było wspomnienie niezwykle wstydlivej dziewczyny, dziecka niemal, która drząc poprosiła go o napisanie odpowiedzi na otrzymany właśnie list o nieodpartej sile, w którym Florentino Ariza rozpoznał swój własny list napisany poprzedniej nocy. Odpowiedział nań odmiennym stylem, zgodnie z emocjami i wiekiem dziewczynki, i pismem mogącym uchodzić za jej pismo, bo potrafił również podrabiać pismo stosownie do okazji i w zależności od charakteru zleceniodawcy. Napisał list wyobrażając sobie, co mogłaby odpowiedzieć mu Fermina Daza, gdyby go kochała tak, jak owa bezbronna istota kochała swego chłopca. W dwa dni później musiał oczywiście napisać odpowiedź narzeczonego, pismem, stylem i z miłością przypisaną mu w pierwszym liście, angażując się tym samym w namiętą korespondencję z samym sobą. W niespełna miesiąc oboje, choć każde z osobna, przyszli do niego, by podziękować mu za to, co sam zaproponował w liście chłopca, a co zostało z radością zaakceptowane w odpowiedzi dziewczyny: postanowili się pobrać.

Dopiero kiedy urodziło im się pierwsze dziecko zdali sobie sprawę, dzięki przypadkowej rozmowie, że listy obydwójga pisane były przez tego samego autora i po raz pierwszy udali się razem do Bramy Pisarzy z prośbą, aby został ojcem chrzestnym dziecka. Florentino Ariza do tego stopnia zachwyił się praktycznością swoich marzeń, że znajdując czas wtedy, gdy go zupełnie nie miał, napisał Sekretarza Zakochanych, poradnik znacznie obszerniejszy i nieporównywalnie bardziej poetycki od sprzedawanego dotychczas po dwadzieścia centavos w portalach i znanego na pamięć przez połowę miasta.

Zestawił wszystkie wyobrażalne sytuacje, w jakich mogliby znaleźć się on i Fermina Daza, i do każdej z nich dostosował tyle listownych modeli, ile różnych wersji wydawało mu się możliwych. Doprowadził rzecz do około tysiąca listów w trzech tomach równie opasłych, jak słownik języka hiszpańskiego Covarrubiasa, ale żaden drukarz w mieście nie

chciał zaryzykować ich wydania, w rezultacie trafiły na strych, dzieląc los wielu innych papierów z przeszłości, gdyż Transito Ariza stanowczo odmówiła odkopania dzbanów i roztrwonienia oszczędności całego życia na jakieś wydawnicze szaleństwo. A po wielu latach, kiedy Florentino Ariza posiadał własne środki pozwalające na opublikowanie książki, z wielkim trudem przyszło mu pogodzić się z faktem, że listy miłosne wyszły z mody.

Gdy stawiał pierwsze kroki w Karaibskim Towarzystwie Rzecznym i pisał za darmo listy w Bramie Pisarzy, przyjaciele z jego młodzieńczych lat nabierali pewności, że stopniowo go tracą, i to na zawsze. I tak było. Powróciwszy ze swej rzecznej podróży spotykał się jeszcze nadal z nielicznymi spośród nich w nadziei, iż uda mu się wymazać z pamięci Ferminę Dazę, grał z nimi w bilard, poszedł na swoje ostatnie tańce, przystawał na ryzyko obstawiania go i losowania przez dziewczyny, przystawał na wszystko, co według niego mogło sprawić, że ponownie stanie się tym, kim był. Później, kiedy wuj Leon XII przyjął go do pracy, grał w domino ze swymi kolegami z biura w Klubie Handlowym, ci zaś dopóty nie zaczęli uznawać go za jednego spośród siebie, dopóki jedynym tematem jego rozmów nie stało się przedsiębiorstwo żeglugowe, określane zawsze jedynie skrótem: KTRz, nigdy zaś pełną nazwą. Zmienił nawet swe przyzwyczajenia gastronomiczne. Dotychczasową nieregularność i obojętność, z jaką zasiadał przy stole, zastąpił stałą porą i ascetycznością posiłków, i to już do końca swoich dni: duża filiżanka czarnej kawy na śniadanie, porcja gotowanej ryby z białym ryżem na obiad i filiżanka kawy z mlekiem z kawałkiem sera na noc. Pił czarną kawę o każdej porze, na każdym miejscu i w każdych warunkach, do trzydziestu nawet filiżanek dziennie: gęstą ciecz nie różniącą się niczym od ropy naftowej, którą wolał sam sobie zaparzać i mieć zawsze pod ręką, w termosie. Przeistoczył się w kogoś zupełnie innego, wbrew swemu mocnemu postanowieniu i uporczywym wysiłkom, żeby nadal być tym, kim był przed śmiertelnym potknięciem miłosnym.

W istocie zmienił się nieodwracalnie. Odzyskanie Ferminy Dazy stało się jedynym celem jego życia i był tak pewien, że wcześniej czy później go osiągnie, iż zdołał przekonać Transito Arizę do dalszego remontu domu, żeby był gotów przyjąć ukochaną w każdej chwili, gdy zdarzy się cud. Transito Ariza zareagowała tym razem inaczej niż na propozycję wydania Sekretarza Zakochanych: kupiła dom za gotówkę i rozpoczęła jego remont kapitalny. W miejscu, gdzie znajdowała się sypialnia, urządzili salon, na piętrze wybudowali sypialnię małżeńską i sypialnię dla dzieci, które zamierzał mieć, obie przestronne i dobrze oświetlone, miejsce zaś dawniej zajmowane przez wytwórnię tytoniu

przeznaczyli na rozległy ogród z wszelkimi odmianami róż, któremu Florentino Ariza osobiście poświęcał swe wolne poranne chwile. Jedynym nietkniętym miejscem pozostał przez wdzięczność dla przeszłości lokal pasmanterii.

Zaplecze zajmowane przez Florentina Arizę pozostawili w stanie, w jakim zawsze się znajdowało, z wiszącym hamakiem i z biurkiem zarzuconym bezładnie książkami, on sam jednak przeniósł się do pokoju na piętrze, przeznaczonego na małżeńską alkowę. Było to największe i najchłodniejsze pomieszczenie w budynku, z wewnętrznym tarasem, gdzie dzięki morskim bryzom i zapachom krzewów różanych najprzyjemniej spędzało się wieczory, a przy tym ów pokój najbardziej odpowiadał ascetycznym wymaganiom Florentina Arizy. Miał szorstkie, zwyczajne ściany, zabiłone jedynie wapnem, a jedynymi meblami były łóżko skazańca, nocny stolik ze świeczką wbitą w otwór butelki, stara szafa i umywalka z dzbanem i miednicą.

Prace trwały niemal trzy lata i zbiegły się z ponownym, acz chwilowym dobrobytem miasta wynikającym z apogeum żeglugi rzecznej i w konsekwencji z rozwojem handlu, a więc z tymi samymi czynnikami, które podtrzymywały jego wielkość w czasach Kolonii, przekształcając go w ciągu dwóch wieków w bramę Ameryki.

W tym samym jednak okresie u Transito Arizy pojawiły się pierwsze symptomy nieuleczalnej choroby. Jej stałe klientki pojawiały się w pasmanterii coraz starsze, coraz bledsze, i ich wizyty były coraz krótsze, ona zaś przestawała już je rozpoznawać, choć obcowała z nimi przez pół życia, jednocześnie myśląc sprawy jednych z problemami innych. A w tego rodzaju transakcjach było to nadzwyczaj niebezpieczne, bo osłaniając zarówno własną godność, jak i cudzą, nie podpisywano żadnych papierów, a słowo honoru z jednej i drugiej strony stanowiło dostateczną gwarancję. Z początku wydawało się, że głuchnie, ale nader szybko stało się oczywiste, że to jej pamięć ulatnia się, kropla po kropli. Zlikwidowała więc swój specyficzny lombard, nagromadzone zaś w dzbanach skarby starczyły jej nie tylko na wykończenie i umeblowanie domu, ale jeszcze pozostało sporo starych, najcenniejszych w mieście klejnotów, których właściciele nie mieli środków na ich - wykupienie.

Florentino Ariza utrzymywał w tym czasie zbyt wiele związków jednocześnie, nigdy jednak nie podupadł na duchu na tyle, aby nadal nie poszerzać swych terenów kłusowniczych. Po przeróżnych doświadczeniach z wdową Nazaret, otwierających mu drogę do ulicznych miłości, przez długie lata nie zaprzestał chwytania osieroconych ptaszyn nocnych z nieustanną nadzieją uśmierzenia bólu po Ferminie Dazie. Ale później sam już nie bardzo wiedział, czy jego przyzwyczajenie do kopulacji pozbawionej

jakiegokolwiek nadziei było potrzebą świadomości, czy zwykłym nałogiem ciała. Coraz rzadziej zaglądał do swego hotelu, nie tylko dlatego, że jego osobiste sprawy przybrały zupełnie inny obrót, ale również dlatego, że nie w smak mu było, aby widziano go tam w okolicznościach życiowych jakże odmiennych od jego powszechnie znanego domatorskiego i purytańskiego trybu życia. Niemniej, w trzech przypadkach nagłej potrzeby uciekł się do łatwego wybiegu pochodzącego z epoki, której sam nie przeżył: przebierał w męskie odzienie swe przyjaciółki obawiające się rozpoznania i wchodzili razem do hotelu, hałaśliwi jak dwóch niedopitych hulaków. Nie zabrakło jednak osób, które, przynajmniej w dwóch przypadkach, zdały sobie sprawę, że Florentino Ariza i jego domniemany towarzysz nie szli wcale do baru, lecz do pokoju, co zadało jego i tak już mocno nadszarpniętej reputacji cios ostateczny. Wreszcie przestał tam bywać, a kiedy jednak parokrotnie tam się udał, to wcale nie z zamiarem odzyskania straconego czasu, ale wręcz przeciwnie: szukając schronienia, by odzyskać nadwątlone ekscesami siły.

Nie było w tym żadnej przesady. Ledwie około piątej po południu opuszczał biuro, a już zrywał się do swych lotów krogulca sikorkożercy. Z początku zadowalał się tym, czym obdarzała go noc. Spadał na służące w parkach, Murzynki na targu, modnisie na plaży, Jankeski na statkach z Nowego Orleanu. Prowadził je na falochrony, gdzie połowa miasta robiła to samo od zachodu słońca, prowadził je dokąd tylko mógł, a czasami nawet tam, gdzie nie mógł, nierzadko zdarzały mu się bowiem przypadki, kiedy musiał jak najszybciej chować się w mrocznej sieni i zrobić byle co i byle jak, od razu w bramie.

Latarnia morska zawsze należała do tych szczęśliwych schronień, które w przedświcie starości, gdy zdołał już rozwiązać wszystkie swoje problemy, wspominał z nostalgią, bo było to wspaniałe miejsce, gdzie można było poczuć się szczęśliwym, szczególnie nocą, poza tym uważał, iż coś z jego ówczesnych miłości docierało do żeglarzy z każdym obrotem światła. Ciągłe więc tam chodził, częściej niż gdziekolwiek indziej, a zaprzyjaźniony z nim latarnik podejmował go rozradowany, z tępą miną głupca, co dla wystraszonych turkawek stanowiło najlepszą rękojmię dyskrecji. Na dole, nieomal w huku fal rozbijających się o klif, mieściła się część mieszkalna, gdzie miłosne uniesienia przeżywało się z większą intensywnością, bo miały w sobie coś z katastrofy morskiej. Ale Florentino Ariza wolał, szczególnie po zmierzchu, górną część latarni, skąd rozciągał się widok na całe miasto i rozrzucone światła rybaków na morzu, nawet na dalekich mokradłach.

Z tego też okresu pochodziły jego, raczej dość naiwne, teorie o związkach pomiędzy wyglądem fizycznym kobiet a ich miłosnymi umiejętnościami. Nie ufał kobietom



zmysłowym, tym, co to dawały do zrozumienia, że gotowe są połknąć kajmana w całości na surowo, a które zazwyczaj w łóżku okazywały się biernymi kłodami. Jego ulubiony typ wyglądał wręcz odwrotnie: wychudzone kijanki, za którymi żaden mężczyzna nie obejrzałby się na ulicy, które rozbierając się niemal znikwały, które wzbudzały litość, gdy przy pierwszym wtargnięciu rozlegał się chrzęst kości, a mimo to potrafiły największego gawędziarza jebakę tak zamęczyć, iż nadawał się tylko do śmietniczki. Prowadził notatki z tych przedwczesnych obserwacji z zamiarem napisania praktycznego suplementu do Sekretarza Zakochanych, niemniej pomysł ten spotkał ten sam los, co i poprzedni, po tym jak Ausencia Santander, z umiejętnością starego psa, przenicowała go w tę i nazad, ustatkowała, wywyższyła i poniżyła i ponownie wydała na świat niczym nowo narodzone dziecko, w strzępy roznosząc jego teoretyczną wirtuozerię i ucząc go wyłącznie tego, czego powinien był się nauczyć dla miłości: życie jest mądrzejsze od nas wszystkich.

Ausencia Santander przeżyła dwadzieścia lat w najzwyczajszym małżeństwie, rodząc trójkę dzieci, które z kolei założyły swoje rodziny, miały swoje dzieci, co dawało jej podstawy do chępczenia się, że jest w mieście najlepszą babcią w łóżku. Nigdy nie zostało do końca wyjaśnione, czy to ona opuściła męża, czy też on ją opuścił, czy może oboje opuścili się jednocześnie, kiedy on odszedł do swej od lat tej samej kochanki, ona zaś poczuła się nareszcie wolna, żeby w biały dzień i przez główne drzwi móc przyjmować Rosenda de la Rosę, kapitana żeglugi rzecznej, wielokrotnie przedtem wpuszczanego tylnymi drzwiami. To właśnie on bez namysłu przyprowadził tam Florentina Arizę.

Przyprowadził go na obiad. Przyniósł ze sobą poza tym gąsior bimbru i możliwie najlepsze gatunkowo dodatki do epickiego sancocho z hodowanych w patio kur, świeżego mięsa z kością, wieprzowiny ze świni tarzającej się w gnojowisku, z jarzynami i zieleniną z nadrzecznych wsi. Florentino Ariza od pierwszej chwili zachwyił się nie tyle wspaniałościami kuchni czy bujnymi kształtami gospodyni, co urodą domu. Podobał mu się dom sam w sobie, jasny i chłodny, z czterema olbrzymimi oknami wychodzącymi na morze, z widokiem na rozpościerające się w głębi całe stare miasto. Podobała mu się wielość i wspaniałość wszystkich przedmiotów, przydających salonikowi wyglądu tyleż nieokreślonego chaosu, co i przemyślanego porządku, z wszelakimi rękodzielniczymi bibelotami, przywożonymi przez kapitana Rosendo de la Rosa z każdej podróży, aż do dnia, kiedy nie starczyło już miejsca na żadną więcej ozdobę. Na tarasie, od strony morza, na przeznaczonej wyłącznie dla siebie obręczy siedziała melanezyjska kakadu o wręcz nieprawdopodobnie białym upierzeniu, zamyślona i zagadkowo spokojna; najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widział Florentino Ariza.

Kapitan Rosendo de la Rosa zachwycił się zachwytem gościa i opowiedział mu z detalami historię każdego cacka. W trakcie opowieści popijał bimbler małymi łydkami, ale za to nieustannie. Zdawał się być zrobiony ze zbrojonego betonu: ogromny, owłosiony na całym ciele, ze szczotkowanym wąsem i głosem poganiacza bydła, który mógł należeć tylko do niego, a przy tym niezwykle wprost uprzejmy. Ale nikt nie potrafił dotrzymać mu kroku przy picciu. Zanim siadł do stołu, opróżnił już gąsior do połowy i z powolnym niszczycielskim łoskotem padł twarzą na tacę pełną szklanek i butelek. Ausencia Santander musiała poprosić Florentina Arizę, by pomógł jej zataszczyć do łóżka bezwładne cielsko wyrzuconego na mieliznę wieloryba i śpiącego rozebrać. Następnie, w błysku natchnienia, za które wdzięczni byli koniunkcji swoich gwiazd, oboje, bez umawiania się, bez jakiegokolwiek sugestii, nawet bez jakiegokolwiek zamysłu, rozebrali się w sąsiednim pokoju i tak już się rozbierali zawsze przez następne siedem lat, gdy tylko była ku temu sposobność, kiedy kapitan znajdował się w podróży. Nie istniało najmniejsze ryzyko jakiegokolwiek przykrej niespodzianki, miał bowiem w zwyczaju, jak każdy dobry żeglarz, powiadamiać o swoim zawinięciu do portu syreną okrętową, nawet o świcie: wpierw odzywało się przeciągłe trzykrotne buczenie dla żony i dziewięciorga dzieci, następnie zaś dwukrotne, przerywane i melancholijne dla kochanki.

Ausencia Santander liczyła sobie niemal pięćdziesiąt lat, i to nie dających się ukryć, ale obdarzona była również tak swoistym instynktem miłosnym, iż nie istniały domorośle czy naukowe teorie zdolne go przytępić. Florentino Ariza znając rozkład rejsów wszystkich statków wiedział, w jakich godzinach może ją odwiedzać, przychodził więc o każdej porze dnia i nocy i ani razu nie zdarzyło się, aby właśnie na niego nie czekała.

Otwierała mu drzwi tak, jak chowała ją matka do siódmego roku życia: całkowicie naga, ale z organdykową kokardą we włosach. Nie pozwalała mu uczynić ani jednego kroku nie rozebrawszy go przedtem, bo zawsze uważała, że przyjmowanie ubranego mężczyzny w mieszkaniu przynosi pecha. Był to powód ustawicznych sprzeczek z kapitanem Rosendo de la Rosa, który z kolei hołdował przesądowi, że palenie nago jest złą wróżbą i czasami wołał odwlec porę miłości niż zgasić swoje nieodstępne kubańskie cygaro. Florentino Ariza, wprost przeciwnie, był nader podatny na uroki nagości, ona zaś zaczynała go rozbierać z nie skrywaną radością ledwie zamknąwszy drzwi, nie dając mu nawet czasu na przywitanie się z nią, zdjęcie kapelusza i okularów, całując go i pozwalając się całować, obsypywać pocałunkami i odpinając mu guziki z dołu do góry, wpierw przy rozporoku, jeden po drugim po każdym pocałunku, później rozpinając sprzączkę od pasa, wreszcie kamizelkę i koszulę, aż w końcu przypominał rozplataną żywcem rybę. Następnie sadzała go w salonie i

zdejmowała mu buty, ciągnęła i szarpała za nogawki spodnie, aby zsunąć jednocześnie długie aż do kostek kalessy, na koniec rozpiniała mu na łydkach elastyczne podwiązki i zdejmowała skarpetki. Florentino Ariza przestawał wówczas ją całować i poddawać jej pocałunkom, aby przystąpić wreszcie do tego, co mu pozostawało do zrobienia w tej drobiazgowej ceremonii: odpinał z dziurki w kamizelce łańcuszek z zegarkiem, zdejmował okulary i chował je do butów, żeby mieć całkowitą pewność, że ich nie zapomni. Zawsze stosował ten środek bezpieczeństwa, zawsze bez wyjątku, kiedy rozbierał się w cudzym mieszkaniu.

Ledwie udawało mu się to wykonać, rzucała się na niego nie dając mu na nic czasu, czy to na tej samej sofie, gdzie przed chwilą go rozebrała, czy też, ale tylko od czasu do czasu, w łóżku. Kładła się pod nim i brała go całego dla siebie całej, zamknięta w sobie samej, drażąc po omacku swój całkowity, wewnętrzny mrok, posuwając się to w jedną, to w drugą stronę, cofając się, poprawiając swój niewidoczny kurs, próbując innej, intensywniejszej drogi, innej wędrówki, by nie zatonać w mokradłach wypływającego z jej brzucha śluzu, pytając siebie i odpowiadając samej sobie bzyčeniami gza w swym rodzinnym żargonie, gdzie jest to coś w ciemnościach, co tylko ona zna i czego pragnie wyłącznie dla siebie, póki, nie czekając na nikogo, nie ulegała całkowicie, spadając w swoją przepaść w radosnej eksplozji ostatecznego zwycięstwa, które przyprawiało świat o drżenie. Florentino Ariza, wyczerpany, nie spełniony, dryfował w kałuży potu obydwójga, odnosząc wrażenie, iż jest tylko i wyłącznie narzędziem rozkoszy. Mawiał: „Traktujesz mnie, jakbym był jednym z wielu”. Wybuchła śmiechem wolnej samicy i odpowiadała: „Na odwrót: jakby cię było o jednego za mało”. Odnosił bowiem wrażenie, że Ausencia Santander z małoduszną zachłannością zagarnia wszystko dla siebie, co powodowało, iż męska duma burzyła się w nim, wychodził więc z domu z postanowieniem, że już nie wróci. Ale nagle, bez żadnej przyczyny, budził się gwałtownie, uprzytamniając sobie z przerażeniem swą samotność w środku nocy, zaś wspomnienie samolubnej miłości Ausencji Santander objawiało mu, czym w istocie była owa miłość: pułapką szczęścia, której nienawidził i pragnął zarazem, i z której nie było ucieczki.

Pewnej niedzieli, a znali się już dwa lata, gdy zjawił się u niej, ona, zamiast go rozebrać, zdjęła mu jedynie okulary, by nie przeszkadzały jej w pocałunku i wówczas Florentino Ariza zrozumiał, że zaczęła go kochać. Mimo że od pierwszego dnia czuł się swojsko w tym domu, który zdążył pokochać równie mocno jak swoje własne mieszkanie, za każdym razem nie przebywał w nim dłużej niż dwie godziny, nigdy tam nie nocował i tylko raz był na obiedzie, bo go oficjalnie zaprosiła. Przychodził tam naprawdę tylko po to,

po co przychodził, zawsze z tym samym i niezmiennym prezentem - jedną różą, by następnie zniknąć do kolejnej nieprzewidzianej okazji. Lecz w ową niedzielę, kiedy zdjęła mu okulary, aby go pocałować, po części właśnie z tego powodu, po części zaś dlatego, że zasnęli po spokojnej miłości, przeleżeli całe popołudnie w ogromnym łóżu kapitana. Gdy Florentino Ariza ocknął się z drzemki, w jego pamięci rozbrzmiewały jeszcze wrzaski kakadu, których przenikliwy metaliczny dźwięk nie licował zupełnie z jej urodą. Upał po czwartej był całkowicie przezroczysty, a przez okno sypialni widoczny był zarys starego miasta z popołudniowym słońcem za plecami, złożone kopuły i morze rozplamione aż po Jamajkę. Ausencia Santander wyciągnęła żądną przygód dłoń, szukając po omacku odpoczywającego zwierzęcia, ale Florentino Ariza odsunął jej rękę. Powiedział: „Teraz nie: dziwnie się czuję, jakby ktoś nas podglądał”. Znów spłoszyła kakadu swym szczęśliwym śmiechem. Powiedziała: „Takiej wymówki nie jest w stanie przełknąć nawet żona Jonasza”. Tym bardziej ona, rzecz jasna, niemniej uznała ją za dowcipną, a potem przez jakiś czas leżeli w milczeniu, nadal w sobie rozkochani, ale nie oddając się już miłosnym rozkoszom. O piątej, gdy słońce jeszcze było wysoko, wyskoczyła z łóżka, naga aż po wieczność, z organdykową kokardą we włosach i ruszyła do kuchni, by poszukać czegoś do picia. Nie przestąpiwszy nawet progu sypialni, nagle wydała z siebie okrzyk przerażenia.

Nie wierzyła własnym oczom. Jedynymi przedmiotami, jakie ostały się w domu, były wiszące lampy. Cała reszta, stylowe meble, indiańskie dywany, posążki i gobeliny, niezliczona ilość bibelotów ze szlachetnych metali i kamieni, wszystko, co złożyło się na to, iż uczyniła swoje mieszkanie jednym z najprzyjemniejszych i najlepiej wyposażonych domów w mieście, wszystko, łącznie ze świętą kakadu, wszystko wyparowało. Wyniesiono cały dobytek przez taras od strony morza, nie zakłócając ich miłości. Zostały tylko puste pokoje z otwartymi na oścież oknami i napis wymalowany dużym pędzlem na przeciwległej ścianie: „Nie trzeba się było tak ruchać”. Kapitan Rosendo de la Rosa nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Ausencia Santander nie zgłosiła kradzieży, nie próbowała skontaktować się z paserami i nie pozwoliła, by kiedykolwiek wspomniano o tym nieszczęściu. Florentino Ariza nie przestał jej odwiedzać w splądrowanym mieszkaniu, którego umeblowanie ograniczało się teraz do trzech skórzanych stołków, przeoczonych przez złodziei w kuchni, i do sypialni, w której przebywali. Przychodził jednak rzadziej niż dotychczas, nie z powodu ogołoconego domu, jak sądziła, zarzucając mu to zresztą, ale z powodu tramwaju ciągniętego przez muły, nowości z początku nowego wieku, który dla niego okazał się cudownym i oryginalnym gniazdem samotnych sikorek.

Korzystał z niego cztery razy w ciągu dnia, dwukrotnie udając się nim do biura i

dwukrotnie wracając do domu i czasami, kiedy rzeczywiście czytał, częściej zaś gdy udawał, że czyta, zdarzało mu się nawiązywać pierwsze przynajmniej kontakty prowadzące do następnego spotkania. W późniejszych czasach, gdy wuj Leon XII oddał do jego dyspozycji powóz ciągnięty przez dwie brunatne mulice w złożonych czaprakach, takie same jak mulice prezydenta Rafaela Nuneza, z nostalgią wspominał epokę tramwaju jako najlepszą dla swych łowów. I miał rację: nie było gorszego wroga sekretnych miłości od powozu oczekującego przed bramą. Do tego stopnia, że niemal zawsze pozostawiał go przed swoim domem, pieszo udając się na sokolniczy obchód, nie chcąc, aby w kurzu pozostał choćby ślad kolein. Dlatego z taką tęsknotą wspominał stary tramwaj i jego wychudłe mulice z wytartą sierścią, w którym starczało jedno spojrzenie z ukosa, aby wiedzieć, gdzie jest miłość. Niemniej, wśród tylu wzruszających wspomnień nie potrafił zatrzeć w pamięci osieroconej sikoreczki, której imienia nigdy nie poznał i z którą przeżył zaledwie pół szaleńczej nocy, co jednak wystarczyło, by na resztę życia zaprawić goryczą niewinny zamęt karnawału.

Zwróciła jego uwagę w tramwaju swą obojętnością, z jaką podróżowała pośród wrzawy publicznej fety. Mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia lat i nie wyglądała na chętną do zabawy karnawałowej, chyba że przebrała się za inwalidkę: miała długie, jasne, gładkie włosy, opadające jej swobodnie na ramiona i suknię ze zwykłego płótna, pozbawioną jakiegokolwiek ozdoby. Była kompletnie nieczuła na ów uliczny rozgardiasz, muzykę, na rzucany garściami puder ryżowy i strumienie serpentyn spływających na pasażerów w czasie przejazdu tramwaju zaprzęgniętego w białe, przez owe trzy dni szaleństwa, od krochmalu mulice w ukwieconych kapeluszach. Korzystając z ogólnego zamieszania, Florentino Ariza zaprosił ją na lody, bo nie sądził, że może cokolwiek z tego wyniknąć. Spojrzała na niego bez zdziwienia.

Powiedziała: „Z wielką przyjemnością, ale uprzedzam, że jestem wariatką”. Zaśmiał się z żartu i zaprowadził ją na balkon lodziarni, by stamtąd obejrzała paradę powozów. Później założył na siebie wypożyczoną pelerynę z kapturem i oboje wmieszali się w tańczący tłum na Placu Celnym, bawiąc się jak dopiero co zakochana para, gdyż dziewczyna, w miarę narastania nocnej wrzawy, wyzbywała się obojętności i popadała w drugą skrajność: tańczyła jak profesjonalistka i nie brakowało jej wyobraźni, śmiałości w zabawie i łagodnego uroku. - Nawet nie wiesz, w jaką kabałę się wplątałeś - krzychała zaśmiewając się w gorączce karnawału. - Jestem wariatką z domu wariatów.

Dla Florentina Arizy owa noc stanowiła powrót do naiwnych wybryków młodości, kiedy miłość jeszcze nie uczyniła go nieszczęśliwym. Był jednak świadom, i to raczej dzięki

przestrogom niż z doświadczenia, że tak łatwe szczęście nie może trwać zbyt długo. Zapropował więc dziewczynie, by zanim noc zacznie dogasać - a świtało zwykle po rozdaniu nagród za najlepsze kostiumy - poszli popatrzeć na wschód słońca z latarni morskiej. Zgodziła się z przyjemnością, ale dopiero po tym, jak skończy się rozdawanie nagród.

Florentina Arizy nigdy nie opuściło przekonanie, że owa zwłoka uratowała mu życie. Bo kiedy dziewczyna rzeczywiście w pewnym momencie dała mu znak, żeby ruszyli do latarni, rzuciło się na nią dwóch cerberów i pielęgniarzka z zakładu psychiatrycznego „Divina Pastora”. Szukali obłąkanej pacjentki od chwili jej ucieczki, czyli od trzeciej po południu, nie tylko zresztą oni, bo w poszukiwaniach brały udział również wszystkie służby porządkowe. Zabiła jednego z dozorców odrąbując mu głowę i ciężko raniła dwóch innych maczetą wyrwaną ogrodnikowi, bo chciała wyjść na karnawałowe tańce. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, że może istotnie tańczyć w ulicznym korowodzie, sądzono raczej, iż ukrywa się w jednym z wielu przeszukiwanych przez nich, łącznie z cysternami domów.

Sprawiała im sporo kłopotów. Broniła się sekatorem, ukrytym w staniku i trzeba było sześciu mężczyzn, aby nałożyć jej kaftan bezpieczeństwa, podczas gdy tłum stłoczony na Placu Celnym klaskał i gwizdał z radości, sądząc, że krwawa łapanka jest jedną z wielu fars karnawałowych. Wstrząśnięty Florentino Ariza od środy popielcowej chodził na ulicę Divina Pastora z pudełkiem angielskich czekoladek przeznaczonym dla niej. Przystawał przyglądając się pacjentkom wykrzykującym przez okno w jego stronę wszelkiego rodzaju obelgi i zachęcające zaczepki, pokazywał pudełko czekoladek, na wypadek gdyby szczęśliwym trafem i ona wyjrzała przez metalowe kraty. Lecz nigdy jej nie zobaczył. W parę miesięcy później, gdy wysiadał z tramwaju, jakaś dziewczynka, która szła razem z ojcem poprosiła go o czekoladową kuleczkę z trzymanego przezeń pudełka. Ojciec zganił ją i przeprosił Florentina Arizę. Ten jednak dał dziewczynce całe pudełko sądząc, iż ten gest uwolni go od goryczy i uspokoił tatusia poklepując go po ramieniu. - To były czekoladki dla ukochanej, ale miłość diabli wzięli - powiedział.

Jakby dla zadośćuczynienia, los również w tramwaju zetknął Florentina Arizę z Leoną Cassiani, prawdziwą kobietą jego życia, aczkolwiek ani on, ani ona nigdy się o tym nie dowiedzieli i nigdy się nie kochali. Poczul jej obecność, zanim ją ujrzał, kiedy wracał do domu tramwajem o piątej: było to cielesne spojrzenie, które dotknęło go niczym wyciągnięty palec. Podniósł wzrok i natychmiast ją rozpoznał, bo choć stała w głębi wagonu, wyróżniała się spośród pozostałych pasażerów. Nie odwróciła wzroku. Wprost przeciwnie: patrzyła tak bezczelnie, że mógł pomyśleć tylko to, co pomyślał: czarna, młoda

i ładna, ale kurwa, bez najmniejszej wątpliwości. Wyrzucił ją ze swojego życia, gdyż nie było dlań nic bardziej obrzydliwego niż płacenie za miłość: nigdy tego nie zrobił.

Florentino Ariza wysiadł na Placu Powozów, gdzie znajdowała się pętla tramwajowa, i czmychnął, jak mógł najszybciej, w handlowy labirynt, matka oczekiwała go bowiem na szóstą, kiedy zaś wyłonił się z drugiego krańca ludzkiego kłębowiska, usłyszał za sobą radosny stukot kobiecych obcasów na bruku i spojrzał za siebie, aby jedynie upewnić się w tym, co już wiedział: to była ona. Ubrana niczym niewolnice na rycinach w spódnicę obszytą falbanami, którą unosiła w tanecznym geście, gdy omijała uliczne kałuże, w bluzce z dużym dekoltem odsłaniającym ramiona, w naszyjniku z kolorowych koralów i w białym turbanie. Znał je aż nazbyt dobrze ze swego hotelu. Bardzo często nic nie jadły od śniadania aż do szóstej po południu i szukając ostatniej deski ratunku używały seksu niczym opryszek noża. Przystawiały go więc do gardła pierwszemu napotkanemu na ulicy: kutas albo życie. Chcąc zdobyć ostateczny dowód, Florentino Ariza zmienił nagle kierunek i skręcił w pusty zaułek El Candilejo. Kobieta nie tylko nie przestała iść za nim, ale zaczęła go doganiać. Zatrzymał się wówczas na chodniku, odwrócił i opierając dłonie na parasolu zastąpił jej drogę. Stała przed nim. - Mylisz się, ślicznotko - powiedział - ja nie z tych. - Jasne, że z tych - powiedziała - masz to wypisane na twarzy.

Florentino Ariza przypomniał sobie zasłyszane w dzieciństwie zdanie, wypowiedziane przez rodzinnego lekarza, a zarazem jego ojca chrzestnego, w związku z jego chronicznym zatwardzeniem: „Świat dzieli się na tych, co srają dobrze i na tych, co srają źle”. W oparciu o ten dogmat, lekarz wypracował całościową teorię o charakterach, którą uważał za znacznie pewniejszą od astrologii.

Wraz z kolejnymi nauczkaniami otrzymywanymi z roku na rok, Florentino Ariza postawił problem odmiennie:

„Świat dzieli się na tych, co walą i na tych, co nie walą”. Tych ostatnich traktował z nieufnością: kiedy niespodziewanie wyskakiwali z szyn, było to dla nich coś tak niezwykłego, że chełpili się miłością, jakby właśnie przed chwilą ją wymyślili. Ci zaś, którzy robili to często, żyli wyłącznie po to. I czuli się z tym tak dobrze, że zachowywali się niczym zamurowane na amen groby, wiedzieli bowiem, że od dyskrekcji zależy ich życie. Nigdy nie mówili o swoich wyczynach, nikomu się nie zwierali, udawali obojętnych do tego stopnia, że zyskiwali sławę impotentów, oziębłych i przede wszystkim skrytych pedałów, jak to było w przypadku Florentina Arizy. Ale godzili się na te pomyłki, bo i pomyłki ich chroniły. Stanowili hermetyczną lożę, której członkowie rozpoznawali się na całym świecie, bez potrzeby posiadania wspólnego języka. Nic więc dziwnego, że Florentino Ariza nie był

zaskoczony odpowiedzią dziewczyny: była jedną z nich, stąd też wiedziała, że on wie, iż ona wie. Był to największy błąd jego życia, co sumienie wytykało mu co dzień, aż do dnia ostatniego. Nie chciała błagać go o miłość, a tym bardziej o miłość za pieniądze, lecz prosiła o jakąkolwiek pracę, na jakimkolwiek stanowisku i byle jak płatną w Karaibskim Towarzystwie Rzecznym. Florentino Ariza poczuł się tak zawstydzony swoją reakcją, iż zaprowadził ją do szefa personelu, ten zaś zatrudnił ją na jednym z niższych stanowisk w dziale ogólnym, gdzie pracowała z oddaniem, powagą i skromnością przez trzy lata.

Biura KTRz, od początku swego istnienia mieściły się przy nabrzeżu rzeczonym, nie mającym nic wspólnego z portem transatlantyków na przeciwległym brzegu zatoki Las Animas. Był to drewniany budynek dwuspadowym dachu pokrytym blachą cynkową, z jednym długim balkonem od strony fasady, podpartym filarami, i z wieloma wychodzącymi na cztery strony oknami, z drucianymi siateczkami, przez które widać było w całej okazałości statki przy nabrzeżu niczym wiszące na ścianach obrazy. Kiedy niemieccy prekursorzy wybudowali go, pomalowali na czerwono cynkowe dachy, a na lśniąco biel drewniane ściany, co i samemu budynkowi nadawało po części wygląd rzeczno-parowca. Później pomalowano go na niebiesko i w czasach, kiedy Florentino Ariza zaczął pracować w przedsiębiorstwie, była to już przykurzona buda nieokreślonym kolorze, a na zardzewiałym dachu tkwiły łaty z nowej blachy przybite do starych. Z tyłu budynku, na kamienistym podwórzu, ogrodzonym jak kurnik drucianą siatką, mieściły się dwa olbrzymie, niedawno wybudowane składy, w głębi zaś znajdował się zamknięty, brudny i śmierdzący kanał, gdzie od pół wieku rozkładały się wszelkie odpadki żegluga rzecznej: szczątki historycznych statków, od najprymitywniejszych, z jednym tylko kominem, spuszczonej na wodę jeszcze przez Simona Bolívara, do niektórych na tyle nowych, że miały już zainstalowane elektryczne wentylatory w kajutach. Większość została rozmontowana i spożytkowana przy budowie innych statków, część była jednak w tak dobrym stanie, iż zdawało się, że wystarczy pociągnąć je tylko farbą, by spuścić na wodę, nie płosząc iguan i nie rozrywając gąszczu olbrzymich żółtych kwiatów przydających im jeszcze większej nostalgii.

Na górnym piętrze budynku mieścił się dział administracyjny, w małych, ale wygodnych i przyzwoicie wyposażonych pokojkach, przypominających kajuty, nie były bowiem zaprojektowane przez architektów, ale przez inżynierów okrętowych. Na końcu korytarza urzędował jak najzwyczajniejszy pracownik wuj Leon XII, w takim samym gabinecie jak wszystkie, z tą różnicą, że codziennie rano zastawał na swym biurku szklany wazonik z jakimiś kwiatami o miłym zapachu. Na parterze mieścił się dział pasażerski z poczekalnią



ze zwykłymi ławkami i kontuarem do wystawiania biletów i nadawania bagażu. Na końcu znajdował się opatrzony tajemniczo brzmiącą nazwą dział ogólny, już tym swym określeniem dający wyobrażenie o nieokreślonym charakterze swych zadań: tu ginęły marną śmiercią problemy, nie rozwiązane w innych działach przedsiębiorstwa. Tam właśnie pracowała Leona Cassiani za szkolną ławeczką, ginąc pośród stosów zwalonych worków kukurydzy i papierów nie do załatwienia, w dniu, w którym wuj Leon XII udał się tam osobiście w nadziei, że może coś mu, u diabła, wpadnie do głowy, i dział ogólny rzeczywiście do czegoś się przyda. Po trzech godzinach wypytywania, teoretycznych rozważań i praktycznych dociekań przeprowadzonych w obecności zebranych na sali pracowników wrócił do swego gabinetu oszołomiony przekonaniem, że nie znalazł żadnego rozwiązania dla tylu problemów, lecz wprost przeciwnie: kolejne i wielorakie problemy nie dające się rozwiązać.

Następnego dnia Florentino Ariza pojawiwszy się w swym gabinecie zobaczył na biurku memorandum Leony Cassiani z prośbą o jego przestudiowanie i, o ile uzna to za stosowne, przekazanie wujowi. Była jedyną osobą, która wczoraj podczas inspekcji nie wypowiedziała ani jednego słowa. Świadomie trzymała się swej godnej postawy urzędniczki przyjętej z litości, ale w memorandum zaznaczała, iż nie kierowała nią opieszałość, a jedynie szacunek wobec przełożonych. Prostota propozycji była porażająca. Wuj Leon XII założył sobie całkowitą reorganizację, natomiast zamysł Leony Cassiani szedł w zupełnie przeciwnym kierunku, opierając się na prostej logice, że dział ogólny w rzeczywistości nie istnieje: był to śmietnik problemów uciążliwych, ale nieistotnych, których pozostałe działy pozbywały się. A zatem rozwiązaniem było zlikwidowanie działu ogólnego i ponowne skierowanie spraw w celu ich rozwiązania do poszczególnych działów, skąd nadeszły. Wuj Leon XII nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest Leona Cassiani, nie przypominał sobie również, aby poprzedniego wieczoru widział na zebraniu kogoś, kto mógłby nią być, przeczytawszy jednak memorandum wezwał ją do swego gabinetu i przeprowadził z nią dwugodzinną rozmowę przy drzwiach zamkniętych. Rozmawiali po trosze o wszystkim, zgodnie ze stosowaną przez niego metodą poznawania ludzi. Memorandum odznaczało się zwykłym zdrowym rozsądkiem, rozwiązanie zaś, istotnie, przyniosło pożądane rezultaty. Ale nie to interesowało wuja Leona XII: interesowała go ona. Jego uwagę najbardziej zwróciła informacja, że jej jedynymi studiami, po ukończeniu szkoły podstawowej, był kurs w szkole modystek. Poza tym uczyła się angielskiego w domu, szybką metodą, bez nauczyciela, od trzech miesięcy zaś uczęszczała na nocny kurs maszynopisania, nowego zawodu o wielkiej przyszłości, tak jak przedtem mówiono o

telegrafii, a jeszcze przedtem o maszynach parowych.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, a ona opuściła gabinet, wuj Leon XII już zaczął nazywać ją tak, jak miał ją nazywać zawsze: swoją imienniczką Leoną. Postanowił jednym pociągnięciem pióra zlikwidować sporny dział i zgodnie z sugestią Leony Cassiani tak rozdzielić problemy, aby zostały rozwiązane przez tych, co je stworzyli; powołał też dla niej stanowisko bez nazwy i o nieokreślonych funkcjach, w rzeczywistości zaś będące stanowiskiem jego osobistej asystentki. Tegoż wieczoru, pogrzebawszy bez specjalnych ceremoniałów dział ogólny, wuj Leon XII zapytał Florentina Arizę, skąd wytrzasnął Leone Cassiani, ten zaś powiedział mu prawdę.

- No to wracaj do tramwaju i sprowadzaj mi wszystkie, które wydadzą ci się takie same jak ta - powiedział mu wuj. - Z takimi dwiema albo jeszcze trzema wyciągniemy na powierzchnię twój galeon.

Florentino Ariza uznał to za typowy dla wuja Leona XII dowcip, ale następnego dnia już nie miał przyznanego mu przed sześcioma miesiącami powozu: odebrano mu go, aby mógł nadal szukać w tramwajach ukrytych talentów. Leona Cassiani, ze swej strony, szybko wyzbyła się skrupułów i wydobyła z siebie wszystko, co tak skrzętnie i sprytnie przez pierwsze trzy lata skrywała. W ciągu następnych trzech przejęła kontrolę nad całością, a po następnych czterech dotarła do drzwi generalnego sekretariatu, ale odmówiła przekroczenia jego progu, bo znajdowałyby się tylko o jeden szczebel niżej od Florentina Arizy. Dotychczas podlegała mu i nadal chciała podlegać, choć w rzeczywistości było zupełnie inaczej: sam Florentino Ariza nie zdawał sobie sprawy, że to on jej podlega. A tak w istocie było: realizował jedynie sugestie, które ona podsuwała Generalnej Dyrekcji, aby pomóc mu w awansowaniu, na przekór pułapkom zastawianym przez jego ukrytych wrogów.

Leona Cassiani, obdarzona diabelskim talentem w umiejętnym posługiwaniu się sekretami, zawsze potrafiła znaleźć się tam, gdzie w odpowiednim momencie znaleźć się powinna. Dynamiczna, milcząca i pełna mądrej łagodności. Ale kiedy stawało się to nieodzowne, z bólem serca puszczała wodze swemu żelaznemu charakterowi. Nigdy jednak nie robiła tego z myślą o sobie. Jej jedynym celem było usunięcie z drabiny wszelkich przeszkód, za jakąkolwiek cenę, choćby za cenę krwi, jeśli nie było już innego wyjścia, byle tylko Florentino Ariza mógł wspiąć się po niej tam, gdzie sobie zamierzył nie obliczywszy zbyt dobrze własnych sił. Niewątpliwie i tak uczyniłaby to za wszelką cenę, kierowana nieprzepartą żądzą władzy, ale prawdą jest, że zrobiła to świadomie i tylko z wdzięczności. Do tego stopnia była gotowa na wszystko, że nawet Florentino Ariza pogubił się w jej

knowaniach i w niezbyt fortunnym momencie spróbował zagrozić jej drogę sądząc, iż to ona usiłuje mu ją zagrozić. Leona Cassiani otworzyła mu oczy. - Proszę tylko nie popełnić błędu - powiedziała mu. - Odsunę się od tego wszystkiego, kiedy pan tylko zechce, ale proszę się dobrze zastanowić. Florentino Ariza, który istotnie się nie zastanowił, rozważył sprawę, jak tylko mógł najlepiej, i złożył broń.

Prawdą było, że pośród tej głuchej wojny w przedsiębiorstwie przeżywającym wieczny kryzys, pośród własnych katastrof niezaspokojonego sokolnika i coraz bardziej niepewnego marzenia o Ferminie Dazie, opanowany Florentino Ariza nie zaznał chwili wewnętrznego spokoju przypatrując się fascynującemu spektaklowi, w którym ta dzika Murzynka w gorączce walki na przemian babrała się w gównie lub płonęła miłością. Do tego stopnia, że w głębi duszy wielokrotnie żałował, że w ów wieczór, kiedy ją poznał, nie okazała się rzeczywiście taka, za jaką ją wziął i aby podtarłszy sobie tyłek własnymi zasadami, mógł się z nią kochać płacąc za to choćby i najprawdziwszym złotem. Leona Cassiani nie zmieniła się nic a nic od owego tramwajowego wieczoru, obnosząc wciąż te same stroje niesfornej niewolnicy, zwariowane turbany, kolczyki i bransoletki z kości, koralowy naszyjnik i pierścionki z fałszywymi kamieniami na wszystkich palcach: uliczna lwica. Niewielkie zmiany, jakimi lata obdarzyły jej powierzchowność, wyszły jej tylko na dobre. Żeglowała przez wspaniałą dojrzałość, jej kobiece wdzięki wzbudzały coraz większy niepokój, jej zaś żarliwe ciało Afrykanki stawało się z latami coraz prężniejsze. Florentino Ariza nigdy, przez dziesięć lat, nawet jej o tym nie napomknął, ciężko pokutując za swój grzech pierworodny, ona zaś służyła mu pomocą we wszystkim, tylko nie w tym.

Pewnej nocy, pozostawszy w pracy do późna, jak mu się to często zdarzało po śmierci matki, Florentino Ariza, wychodząc już, dostrzegł światło w biurze Leony Cassiani. Otworzył drzwi bez pukania. Była w gabinecie: sama, zatopiona w pracy, poważna, w nowych, przydających jej profesorskiego wyglądu okularach. Florentino Ariza z radosnym przerażeniem zdał sobie sprawę, że są sami w budynku, w porcie nie ma żywej duszy, miasto śpi, nad mrocznym morzem wieczna noc, a smutne wycie oznajmia statek, który dotrze tu dopiero za godzinę i więcej. Florentino Ariza oparł ręce na parasolu, tak jak to uczynił w zaułku El Candilejo zagradzając jej drogę, z tą różnicą, iż teraz zrobił to po to, aby nie zauważyła, że drżą mu kolana. - Powiedz mi, lwico mej duszy - powiedział - kiedy z tego wyjdziemy?

Niczym nie zaskoczona, całkowicie opanowana zdjęła okulary i poraziła go swym słonecznym śmiechem. Nigdy nie zwracała się do niego po imieniu.

- Och, Florentino Ariza - powiedziała mu - od dziesięciu lat siedzę tu i siedzę, i

czekam, kiedy mnie o to zapytasz. Było już za późno: prawdziwa okazja jechała z nią w tramwaju ciągniętym przez mulice, siedziała zawsze na tym samym krześle, na którym siedziała, ale teraz odpłynęła na zawsze. W istocie zaś, po tylu skrytych podłościach popełnionych dla niego, po tylu obrzydliwościach dla niego przecierpianych, prześcignęła go w życiu, przeskakując dzielącą ich różnicę dwudziestu lat: zestarzała się dla niego. Kochała go tak bardzo, iż zamiast go oszukiwać, wołała nadal go kochać, choćby miała mu to uświadomić z całą brutalnością. - Nie - powiedziała mu. - Czułabym się tak, jakbym przespała się z synem, którego nigdy nie miałam. Florentino Ariza natomiast zdręczał się, iż ostatnie słowo nie należało do niego. Uważał, że jeśli kobieta mówi nie, oznacza to, iż oczekuje ciągłego nalegania przed podjęciem ostatecznej decyzji, w jej wypadku jednak rzeczy miały się zupełnie inaczej: nie mógł ryzykować ponownej pomyłki. Wycofał się zgrabnie, nawet z pewnym wdziękiem, choć nie przyszło mu to łatwo. Od tamtej nocy najmniejszy cień, jaki mógłby kłaść się między nich, rozwiewał się bez goryczy, a Florentino Ariza zrozumiał wreszcie, iż można zostać przyjacielem kobiety nie kładąc się z nią do łóżka. Leona Cassiani była jedyną istotą ludzką, której Florentino Ariza pragnął wyjawić sekret Ferminy Dazy.

Kilka osób znających jego tajemnicę zaczynało, siłą rzeczy, powoli o niej zapominać. Trzy z nich niewątpliwie zabrały ją ze sobą do grobu: matka, która na długo przed śmiercią miała już ją wymazaną z pamięci; Gala Placidia, która zmarła dożywszy szczęśliwej starości w służbie tej, co była niemal jej córką, i niezapomniana Scholastyka Daza, która zaniósła mu w modlitewniku pierwszy list miłosny, jaki otrzymał w życiu, i która po tylu latach już na pewno nie żyła. Lorenzo Daza, o którym wtenczas nie wiedział, czy żyje jeszcze, czy też już umarł, mógł wyjawić sekret siostrze France de la Luz usiłując uniknąć wydalenia córki ze szkoły, wydawało się jednak mało prawdopodobne, aby to rozgłoszono. Do pełnej listy brakowało jeszcze jedenastu telegrafistów z dalekiej prowincji Hildebrandy Sanchez, którzy przekazywali telegramy z ich imionami, nazwiskami i dokładnymi adresami, i oczywiście samej Hildebrandy Sanchez ze swym dworem nieposkromionych kuzynek.

Florentino Ariza nie wiedział jednak, że powinien był również uwzględnić doktora Juvenala Urbino. Hildebranda Sanchez wyjawiała mu sekret podczas jednej ze swych częstych wizyt w pierwszych latach. Uczyniła to jednak mimochodem i w tak niefortunnej chwili, że doktorowi Urbino nie tyle weszło to jednym uchem, a wyszło drugim, jak sądziła, ale w ogóle nie trafiło do żadnego. Hildebranda zaś wymieniła Florentina Arizę jako jednego z owych nie ujawnionych poetów, który, w jej mniemaniu, miał szansę zdobyć laury w Turnieju Poetyckim. Doktor Urbino z trudem kojarzył, o kogo chodzi, ona zaś

powiedziała mu bez zbytej potrzeby, ale i bez cienia złośliwości, że był to jedyny narzeczony, jakiego Fermina Daza miała przed zamążpójściem. Wyznała mu to w przekonaniu, że sprawa była na tyle niewinna i przelotna, iż wzbudzać mogła wyłącznie wzruszenie. Doktor Urbino, nie spojrzawszy na nią, odparł: „Nie wiedziałem, że ten typ jest poetą”. I natychmiast wymazał go z pamięci, między innymi dlatego, że jego zawód przyzwyczyił go do zapominania ze względów etycznych.

Florentino Ariza zauważył, że wszystkie wtajemniczone osoby poza jego matką należały do świata Ferminy Dazy. Z jego świata pozostał tylko on sam z przytłaczającym ciężarem, którym wielokrotnie chciał się podzielić, ale nikt do tej pory nie wzbudził w nim dostatecznego zaufania. Leona Cassiani była jedyną godną tego osobą, nie wiedział tylko, jak ma się jej zwierzyć i kiedy. Właśnie nad tym rozmyślał w owo skwarne, letnie popołudnie, kiedy doktor Juvenal Urbino pokonując strome schody KTRz zatrzymywał się co stopień, unikając śmierci w upale godziny trzeciej, by wreszcie zasapany, mokry od potu, łącznie ze spodniami, zjawić się w gabinecie Florentina Arizy i powiedzieć resztką sił: „Wydaje mi się, że niebawem znajdziemy się w oku cyklonu”. Florentino Ariza niejednokrotnie widywał go w biurze, gdy pytał o wuja Leona XII, nigdy jednak nie doznawał tak jasnego przeczucia jak w tej chwili, że obecna i niepożądana wizyta ma jakiś związek z jego życiem.

Był to okres, w którym doktor Juvenal Urbino, pokonawszy również mielizny swego zawodu, chodził niemal od drzwi do drzwi niczym żebrak z wyciągniętym kapeluszem, w poszukiwaniu datków dla swych artystycznych inicjatyw. Jednym z jego najwytrwalszych i najhojniejszych mecenasów był zawsze wuj Leon XII, w tej właśnie chwili odsypiający w miękkim fotelu swego gabinetu codzienną dziesięciominutową sjęstę. Florentino Ariza poprosił doktora Juvenala Urbino, by był łaskaw poczekać w jego biurze przylegającym do gabinetu wuja Leona XII i spełniającym, do pewnego stopnia, funkcję przedpokoju.

Widywali się przy najróżniejszych okazjach, dotychczas jednak nie znaleźli się nigdy sam na sam i Florentino Ariza po raz kolejny doznał odrażającego poczucia niższości. Było to dziesięć ciągnących się w nieskończoność minut, w czasie których wypił cały termos kawy i trzykrotnie wstawał łudząc się, że wuj przerwie sjęstę przed czasem. Doktor Urbino nie chciał wypić nawet filizanki. Powiedział: „Kawa to trucizna”. I kontynuował swój wywód skacząc z tematu na temat i nie przejmując się wcale, czy w ogóle jest słuchany. Florentino Ariza nie mógł ścierpieć jego naturalnej wytworności, płynności i precyzji wysławiania się, ledwo uchwytnego zapachu kamfory w jego oddechu, osobistego uroku, owego łatwego i eleganckiego sposobu, z jakim uzyskiwał taki efekt, że nawet

najbanalniejsze zdania, tylko dlatego, że wypowiedane były właśnie przez niego, wydawały się być przesiąknięte najistotniejszą treścią. W pewnej chwili lekarz raptownie zmienił temat.

- Lubi pan muzykę?

Zaskoczył go. Florentino Ariza rzeczywiście chodził na każdy koncert lub przedstawienie operowe, jakie tylko odbywały się w mieście, ale nie czuł się na siłach, by w czasie konwersacji dzielić się swymi opiniami czy wiedzą. Miał szczególną słabość do modnej wówczas muzyki, przede wszystkim do sentymentalnych walców, których powinowactwo z komponowanymi przez niego w latach młodości melodiami lub z jego sekretnymi wierszami trudno byłoby zanegować. Wystarczyło, że przelotnie usłyszał jedną z tych melodii, by przez długie noce nie być w stanie od niej się uwolnić. Ale to nie byłaby zbyt poważna odpowiedź na tak poważne pytanie specjalisty.

- Lubię tanga Gardela - powiedział.

Doktor Urbino zrozumiał. „Pojmuję - powiedział. - Jest modny”. I szybko przeszedł do wyliczania swych nowych i licznych projektów, które miał zrealizować, jak zwykle, bez oficjalnych dotacji. Raczył podkreślić przygnębiającą różnicę jakości pomiędzy miernotą spektakli, jakie można było obecnie sprowadzić a ubiegłowiecznymi wspaniałościami. Tak w istocie było: od roku usiłował sprzedać abonamenty, żeby sprowadzić trio Cortot - Casals - Thibaud do Teatru Komedii, ale żaden przedstawiciel miejscowych władz nie wiedział kto zacz, natomiast w tymże miesiącu wyprzedano już wszystkie bilety na specjalizującą się w dramatach kryminalnych trupę Ramona Caralta, na Towarzystwo Operetek i Zarzuel don Manola de la Presa, na Los Santanelas, nie dających się wymówić transformistów mimiczno - fantastycznych, przebiegających się na scenie w momencie krótkim jak fosforyzująca błyskawica, na Danyse D'Altaine, reklamującą się jako dawną tancerkę Folies Bergere i nawet na odrażającego Ursusa, baskijskiego furiata, walczącego gołymi pięściami z bykiem. Niemniej, nie ma powodów do narzekań, wzięwszy pod uwagę, iż sami Europejczycy po raz kolejny dają gorszący przykład barbarzyńskiej wojny, podczas gdy my zaczęliśmy żyć w pokoju po dziewięciu wojnach domowych trwających przez pół wieku, co jeśli dobrze policzyć dawało w efekcie jedną wojnę: zawsze tę samą. Największą uwagę Florentina Arizy w owym ujmującym przemówieniu zwróciła informacja o możliwości przywrócenia do życia Turnieju Poetyckiego, najgłośniejszej i najtrwalszej z inicjatyw podjętych w przeszłości przez doktora Juvenala Urbino. Musiał ugryźć się w język, żeby nie wygadać mu się, iż był niestrudzonym uczestnikiem owego corocznego konkursu, który zdołał nawet wzbudzić zainteresowanie poetów o znamienitych nazwiskach, nie tylko w

kraju, ale i w całym rejonie karaibskim.

Ledwie nawiązała się rozmowa, gdy nagrzane opary powietrza gwałtownie się ochłodziły i wichura krzyżujących się wiatrów zaczęła z łomotem walić w drzwi i okna, cały zaś budynek zatrzeszczał w posadach niczym dryfujący żaglowiec. Doktor Juvenal Urbino zdawał się tego nie dostrzegać. Mimochodem wspomniawszy coś o lunatycznych cyklonach w czerwcu i nagle, bez żadnego związku, zaczął mówić o swojej żonie. Uważał ją nie tylko za swą najbardziej entuzjastyczną współpracowniczkę, ale, przede wszystkim, za duszę swoich inicjatyw. Powiedział: „Bez niej byłbym nikim”. Florentino Ariza wysłuchał go niewzruszony, przytakując wszystkiemu nieznacznymi skinieniami głowy, nie odważywszy się odezwać choćby słowem, w obawie, że głos go zdradzi. Niemniej, dwa lub trzy kolejne zdania wystarczyły mu, aby zrozumieć, że doktorowi Juvenalowi Urbino, pośród tylu absorbujących go zadań jeszcze starczało czasu, by adorować swą małżonkę niemal w tym samym stopniu, co i on, i prawda ta go poraziła. Ale nie mógł zareagować tak, jakby chciał, bo serce zrobiło mu wówczas jeden z tych kurewskich kawałów, jakie tylko serce może wymyślić: objawiło mu, że on i ów człowiek, którego zawsze uważał za osobistego wroga, byli ofiarami tego samego przeznaczenia, dzieląc los wspólnej namiętności: dwa zwierzęta pociągowe zaprzęgnięte do tego samego jarzma. Po raz pierwszy w ciągu tych nie kończących się dwudziestu siedmiu lat oczekiwania Florentino Ariza nie mógł znieść przeszywającego bólu, wiedząc, że ten godny podziwu człowiek musi umrzeć, aby on mógł być szczęśliwy.

Cyklon przeszedł obok, ale porywiste wiatry spustoszyły w kwadrans osiedla przy bagnach, a poza tym zniszczyły pół miasta. Doktor Juvenal Urbino, po raz kolejny usatysfakcjonowany szczodrością wuja Leona XII, odszedł nie czekając, aż deszcz ustanie i zabierając przez roztargnienie parasol, który pożyczył mu Florentino Ariza, by mógł dojść do powozu. Nie zmartwił się stratą. Wprost przeciwnie: ucieszył się na myśl o tym, co pomyśli Fermina Daza, gdy dowie się, kto jest właścicielem parasola. Jeszcze pozostawał pod silnym wrażeniem odbytej rozmowy, kiedy do gabinetu zajrzała Leona Cassiani, uznał więc, że nadarza się właśnie jedyna okazja, aby natychmiast wyznać jej sekret: byłoby to jak rozcięcie wrzodu, który nie dawał mu żyć: teraz albo nigdy. Zaczął od pytania, co sądzi o doktorze Juvenalu Urbinie. Odpowiedziała niemal bez namysłu:

„To człowiek, który robi wiele rzeczy, może zbyt wiele, ale sądzę, że nikt nie wie, co on naprawdę myśli”. Następnie zastanowiła się, rozgryzając gumkę przy ołówku swymi ostrymi i dużymi zębami rosłej Murzynki, by wreszcie wruszając ramionami położyć kres nieistotnej dla siebie sprawie.

- Może właśnie dlatego robi tyle rzeczy - powiedziała.

- Żeby nie myśleć.

Florentino Ariza próbował przedłużyć rozmowę.

- Przykro mi, że będzie musiał umrzeć - powiedział.

- Wszyscy muszą umrzeć - powiedziała.

- Tak - powiedział - ale ten bardziej niż wszyscy.

Nic z tego nie rozumiała: ponownie wzruszyła ramionami, nic nie mówiąc i odeszła. Wówczas Florentino Ariza zrozumiał, że którejś nie dającej się bliżej określić nocy, w przyszłości, w szczęśliwym łóżku z Ferminą Dazą, opowie jej, że nie wyjawiał sekretu swej miłości nawet tej jedynej osobie zasługującej na prawo jego poznania. Nie: nigdy go nie wyjawiał, nawet samej Leonie Cassiani, nie iżby nie chciał jej otworzyć kufra tak wytrwale strzeżonego przez pół życia, ale dlatego, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zgubił klucz.

Nie to jednak najbardziej nim wstrząsnęło tego wieczoru. Ogarnęła go tęsknota za czasami młodości, obudziły się w nim wspomnienia Turniejów Poetyckich, których wrzawa rozbrzmiewała każdego roku 15 kwietnia na całych Antylach. Zawsze był jednym z ich uczestników, ale zawsze, jak niemal we wszystkim, był uczestnikiem sekretnym. Brał w nich udział wielokrotnie, począwszy od pierwszego konkursu dwadzieścia cztery lata temu, i nigdy nie otrzymał nawet najbliższego wyróżnienia. Nie przejmował się tym, bo nie robił tego dla nagrody. Turniej miał dla niego dodatkową atrakcję: Fermina Daza była tą osobą, do której podczas pierwszego konkursu należało otwieranie zalakowanych kopert i ogłaszanie nazwisk zwycięzców, i od tamtej pory przyjęto, że czynić to będzie również w następnych latach.

Ukryty w półmroku parteru, z żywą kamelią pulsującą w butonierce od dręczącego go niepokoju, Florentino Ariza ujrzał Ferminę Dazę w noc pierwszego konkursu otwierającą trzy zalakowane koperty na scenie dawnego Teatru Narodowego. Zapytał samego siebie, co się stanie w jej sercu, kiedy odkryje, iż to on właśnie jest laureatem Złotej Orchidei. Był przekonany, że natychmiast rozpozna pismo i że w tej samej chwili opadną ją wspomnienia popołudni hafciarskich w cieniu parkowych drzew migdałowych, zapach zwiędłych gardenii z listów, tajemny walc koronowanej bogini o świtach sprzyjających wiatrów. I nic. Gorzej: Złota Orchidea, najcenniejsza nagroda poetycka w kraju, została przyznana chińskiemu imigrantowi. Skandal publiczny, jaki wybuchł po tej niezwyklej decyzji, podał w wątpliwość powagę konkursu.

Ale decyzja była słuszna, a jednomyślność jury w pełni usprawiedliwiona doskonałością sonetu.



Nikt nie wierzył, że prawdziwym autorem jest nagrodzony Chińczyk. Przybył pod koniec ubiegłego wieku, uciekając przed epidemią żółtej febry dziesiątkującej Panamę podczas budowy linii kolejowej łączącej obydwie oceany: pojawił się razem z wieloma innymi, którzy już tu zostali do śmierci, żyjąc po chińsku, rozmnażając się po chińsku i tak podobni jedni do drugich, iż nikt nie był w stanie ich odróżnić. Z początku nie było ich więcej niż dziesięciu, kilku przyjechało z żonami, dziećmi i z psami do jedzenia, ale już po paru latach cztery załogi portowych przedmieść zalane zostały kolejnymi, przez nikogo nie oczekiwanymi Chińczykami, którzy wjeżdżali do kraju nie zostawiając najmniejszego śladu w rejestrach celnych. Kilku spośród młodych przeistoczyło się w szacownych patriarchów tak wcześnie, iż nikt nie był w stanie zrozumieć, skąd wzięli czas na to, aby się zestarzeć. Ludowa intuicja podzieliła ich na dwa rodzaje: na złych Chińczyków i na dobrych Chińczyków. Złymi byli ci z ponurych knajp portowych, gdzie równie dobrze ucztowało się isticie po królewsku, jak i ginęło gwałtowną śmiercią przy daniu ze szczura w słonecznikach, a które to knajpy podejrzewano o to, że służą jedynie za parawan dla handlu żywym towarem i wszelkich możliwych transakcji. Dobrymi byli Chińczycy z pralni, spadkobiercy świętej nauki, zwracający koszule czystsze od nowych i nie używanych, z kołnierzykami i mankietami niczym dopiero co sprasowane hostie. To właśnie jeden z tych dobrych Chińczyków pokonał w Turnieju Poetyckim siedemdziesięciu dwóch uzbrojonych po zęby rywali.

Nikt nie zrozumiał nazwiska, kiedy osłupiała Fermina Daza ogłosiła zwycięzcę. Nie tylko dlatego, że było to zupełnie niespotykane nazwisko, ale i dlatego, że bądź co bądź nikt nie był tak do końca pewien, jak naprawdę nazywają się Chińczycy. Ale publiczność nie musiała łamać sobie głowy zbyt długo, bowiem nagrodzony Chińczyk wyłonił się z głębi parteru z owym niebiańskim uśmiechem właściwym Chińczykom, kiedy wracają wcześniej do swego domu. Był tak pewien zwycięstwa, iż przygotowany już do uroczystości wręczenia nagród, miał na sobie kaftan z żółtego jedwabiu na czas rytuałów wiosennych. Odebrał osiemnastokaratową Złotą Orchideę i szczęśliwy, pocałował ją wśród ogłuszających gwizdów nie dowierzającej własnym oczom publiczności. Niczym się nie przejął. Stał pośrodku sceny, niewzruszony jak apostoł Boskiej Opatrzności znacznie mniej dramatycznej od naszej, i gdy uciszyło się nieco, przeczytał nagrodzony wiersz. Nikt go nie zrozumiał. Kiedy przeminęła jednak kolejna fala gwizdów, Fermina Daza, zachowując kamienny spokój, ponownie przeczytała wiersz swym zgłuszonym, sugestywnym głosem i począwszy od pierwszego wersu zdumienie ogarnęło wszystkich. Był to najczystszej wody sonet wywodzący się w prostej linii z parnasistowskiej tradycji, doskonały, przeniknięty

podmuchem natchnienia ujawniającym współdział mistrzowskiej ręki. Jedynym nasuwającym się wyjaśnieniem było uznanie, iż któryś z wielkich poetów zażartował sobie chcąc ośmieszyć Turniej Poetycki, Chińczyk zaś nie tylko przyłączył się do żartu, ale i postanowił zarazem zachować sekret aż do śmierci.

„Diario del Comercio”, nasz tradycyjny dziennik, usiłował ratować honor obywateli w erudycyjnym i raczej niestrawnym eseju o odwiecznych wpływach chińskiej kultury na Karaibach i w pełni zasłużonym prawie Chińczyków do udziału w Turniejach Poetyckich. Ten, kto napisał ów esej, nie wątpił, iż twórcą sonetu jest rzeczywiście człowiek, który za autora się podawał, i bez owijania w bawełnę uzasadniał to już w tytule: Wszyscy Chińczycy są poetami. Pomysłodawcy spisku, o ile w ogóle takowy istniał, zgnili w grobach razem ze swym sekretem. A nagrodzony Chińczyk zmarł, nie puściwszy pary z ust, w isticie orientalnym wieku i pochowano go ze Złotą Orchideą w trumnie, ale przepelnionego goryczą, nigdy nie zdołał bowiem osiągnąć tego, na czym mu jedynie zależało, czyli uznania go za poetę. W związku z jego śmiercią przypomniano w prasie zapomniany incydent z Turnieju Poetyckiego, wydrukowano sonet w modernistycznej winiecie z pompatycznymi pannami dzierżącymi złote rogi obfitości, bogowie zaś strzegący poezji skorzystali z okazji, by wszystko wróciło na swoje miejsce: sonet wydał się nowej generacji tak okropny, iż nikt już nie miał wątpliwości, że rzeczywiście został napisany przez zmarłego Chińczyka.

Florentino Ariza zawsze kojarzył sobie ów skandal ze wspomnieniem nieznanej otyłej kobiety siedzącej obok niego. Dostrzegł ją już na początku uroczystości, później jednak, wylękniony oczekiwaniem, zapomniał o niej.

Zwróciła jego uwagę swą perłowobiałą skórą, swym zapachem szczęśliwej grubaski, swym ogromnym biustem sopranistki zwieńczonym sztuczną magnolią. Ubrana była w obcisły strój z czarnego aksamitu, równie czarnego jak jej pożądlive i rozplomienione oczy, włosy zaś miała bardziej czarne, spięte na karku dużym cygańskim grzebieniem. Z uszu zwisały jej ogromne kolczyki, miała naszyjnik w tym samym stylu i identyczne pierścionki na palcach, wszystkie z ostro lśniącymi kamieniami, a także pieprzyk wymalowany ołówkiem na prawym policzku. W zakłopotanym chaosie końcowych oklasków spojrzała na Florentina Arizę ze szczerym smutkiem.

- Proszę mi wierzyć, przykro mi z całej duszy - powiedziała mu.

Florentino Ariza poczuł się zaskoczony, nie tyle wyrazami współczucia, na które rzeczywiście zasługiwał, ile zdziwiony, że ktoś zna jego sekret. Wyjaśniła mu:

„Domyśliłam się po tym, jak drżał panu kwiat w butonierce, kiedy otwierano koperty”. Wskazała na trzymaną w dłoni pluszową magnolię i otworzyła przed nim serce:

- Dlatego odpięłam swój kwiat - powiedziała. Porażka doprowadziła ją niemal do płaczu, ale Florentino Ariza dzięki swemu instynktowi nocnego łowcy poprawił jej samopoczucie.

- Chodźmy gdzieś razem popłakać - powiedział jej. Odprowadził ją do domu. Przy drzwiach, wzięwszy pod uwagę, że zbliża się północ i na ulicy nie ma nikogo, namówił ją, by zaprosiła go na brandy, które będą popijać w trakcie oglądania albumów z wycinkami i fotografiami z dziesięciu lat różnych wydarzeń publicznych, posiadaniem którego zdążyła się pochwalić. Już wówczas chwyt ten był mocno zużyty, tym razem jednak nie był przez niego zamierzony, gdyż to ona zaczęła opowiadać mu o swoich albumach w drodze z Teatru Narodowego. Weszli. Pierwszą rzeczą, jaką Florentino Ariza zauważył wszedłszy do salonu, były otwarte drzwi do jedynej sypialni i ogromne wystawne łóżko z brokatową kołdrą i liśćmi z brązu u wezglowia. Widok ten zmieszał go. Zauważyła to widocznie, bo przeszła przez salon i zamknęła drzwi. Następnie poprosiła go, by spoczął na kanapie przykrytej kwiecistym kretonem, na której spał kot, i na stojącym pośrodku stole ułożyła swoją kolekcję albumów.

Florentino Ariza zaczął niespiesznie przerzucać strony, zastanawiając się bardziej nad swoim kolejnym ruchem niż nad tym, co przeglądał, i podniósłszy nagle wzrok ujrzał ją z oczami pełnymi łez. Poradził jej, żeby niczym się nie krępując, wypłakała się do woli, nic bowiem tak nie uspokaja jak płacz, sugerując zarazem, aby w tym celu rozpięła gorset. Pospieszył jej z pomocą, bo gorset ściągnięty był na plecach do granic możliwości długimi krzyżującymi się sznurowadłami. Ledwie jednak zaczął, a gorset, party od wewnątrz, sam puścił i cyncata olbrzymka odetchnęła pełną piersią.

Florentino Ariza, który nigdy, nawet przy najłatwiejszych okazjach, nie pozbył się lęku pierwszego razu, musnął pieczotliwie jej szyję opuszkami palców, a ona wykrzywiła się jak rozkapryszona dziewczynka nie przestając płakać. Wówczas pocałował ją w to samo miejsce, równie delikatnie, jak ją przed chwilą pieścił i nie zdołał już powtórzyć pocałunku, bo obróciła się do niego całym swym monumentalnym, spragnionym i gorącym ciałem i oboje runęli w uścisku na podłogę. Kot z wrzaskiem przebudził się na sofie i skoczył na nich. Zaczęli szukać siebie po omacku, niczym nie mogący już zwlekać nowicjusze, i znaleźli się jakoś, tarzając się po rozsypanych albumach, w ubraniach, złani potem, zważając bardziej na wściekle pazury kota niż na miłosną katastrofę, do której właśnie doprowadzali. Od następnej już nocy, jeszcze z krwawiącymi ranami, powodowali ją nieustannie przez wiele lat.

Kiedy zdał sobie sprawę, że zaczyna ją kochać, ona przeżywała już pełnię swych

czterdziestu lat, on kończył trzydzieści. Nazywała się Sara Noriega i przeżyła swój kwadrans sławy w młodości, wygrywając konkurs nigdy nie opublikowanym tomem wierszy o miłości biedaków.

Była nauczycielką wychowania obywatelskiego w szkołach państwowych i żyła z pensji w wynajętym mieszkaniu na pstrokatym Zaułku Narzeczonych, w starej dzielnicy Getsemani. Miała wielu przygodnych kochanków, nie pokładając w żadnym z nich jakichkolwiek małżeńskich nadziei, bo trudno było sobie wyobrazić, aby mężczyzna z jej sfery żenił się w tych czasach z kobietą, z którą sypiał. A i ona nie żywiła już żadnych złudzeń po tym, jak jej pierwszy oficjalny narzeczony, którego kochała z szaloną niemal namiętnością, na jaką było stać tylko osiemnastolatkę, wykpił się ze swych obietnic uciekając na tydzień przed ustaloną datą ślubu i pozostawiając ją zagubioną w przedpieklu porzuconej panny młodej. Lub panny skancerowanej, jak wtenczas mawiano. A przecież owo pierwsze doświadczenie, choć okrutne i przelotne, nie pozostawiło w niej żadnego śladu goryczy, lecz oszałamiające przekonanie, że z ślubem czy bez, wbrew Bogu czy poza prawem, warto żyć tylko i wyłącznie po to, żeby mieć mężczyznę w łóżku. Florentina Arizę najbardziej urzekło w niej to, iż w czasie gdy się kochali, musiała ssać niemowlęcy smoczek, aby osiągnąć pełnię chwały. Zdołali zebrać cały ich sznur, we wszystkich możliwych do zdobycia na targu rozmiarach, kształtach i kolorach, i Sara Noriega rozwiesiła je u wezglowia, aby móc po omacku sięgnąć po nie w chwilach najbardziej palącej potrzeby. Była równie wolna, jak i on, i być może nie sprzeciwiałaby się ujawnieniu ich związku, Florentino Ariza od początku jednak potraktował go jako tajną przygodę.

Wślizgiwał się przez drzwi od służbówki, niemal zawsze późno w nocy, a wymykał się na palcach tuż przed świtem. Oboje zdawali sobie sprawę, że w tak gęsto zaludnionym budynku jak ten sąsiedzi siłą rzeczy muszą wiedzieć znacznie więcej, niż udają, że wiedzą. Ale choćby miało to służyć tylko zachowaniu pozorów, Florentino Ariza już taki był i takim miał pozostać wobec wszystkich kobiet przez całe swoje życie. Nigdy nie popełnił błędu ani wobec niej, ani wobec żadnej innej i nigdy nie zachował się nielojalnie. Nie przesadzał: raz jeden zdarzyło mu się pozostawić kompromitujące ślady w postaci pisemnego dowodu, co mógł przypłacić życiem. W istocie rzeczy zawsze zachowywał się tak, jakby był odwiecznym małżonkiem Ferminy Dazy, małżonkiem niewiernym, ale wytrwałym, nieustannie walczącym o wyzwolenie się ze swego poddaństwa, bez sprawiania jej jednak przykrości zdradą.

Zachowywanie tak daleko idącej konspiracji doprowadzało, samo przez się, do nieporozumień. Nawet Transito Ariza zmarła w przekonaniu, że syn, poczęty z miłości i

wydany na świat dla miłości, po swej pierwszej młodzięcej porażce uodpornił się raz na zawsze na jakąkolwiek miłość. Z kolei wiele i nie aż tak życzliwych osób z jego najbliższego otoczenia, znających jego tajemniczy charakter i słabość do mistycznych strojów i dziwnych kosmetyków, podzielało podejrzenie, iż nie tyle uodporniony jest na miłość, ile na kobietę. Florentino Ariza wiedział o tym i nigdy nie uczynił niczego, by zadać temu kłam. Sara Noriega również się tym nie przejęła. Tak jak niezliczone rzesze kobiet, które kochał, czy nawet te, które go jedynie zadowalały lub czerpały z niego zadowolenie nie kochając go, zaakceptowała go takim, jakim w rzeczywistości był: przelotnym kochankiem.

W rezultacie zaczął pojawiać się u niej w domu o jakiegokolwiek porze, przede wszystkim w niedzielne, bo i najspokojniejsze, poranki. Odkładała wszystko, co w danym momencie robiła, cokolwiek by to było i poświęcała się, całym ciałem, żeby uczynić go szczęśliwym w olbrzymim, ozdobnym, zawsze oddanym do jego dyspozycji łożu, w którym nigdy nie dopuściła do liturgicznego formalizmu. Florentino Ariza nie był w stanie pojąć, jak niezamężna kobieta bez przeszłości może posiadać tyle doświadczenia w męskich sprawach i jakim cudem potrafi władać swym słodkim ciałem morświna z taką lekkością i czułością, jakby poruszała się pod wodą. Broniła się twierdząc, że miłość to przede wszystkim wrodzony talent. Mówiła: „Albo się z tym rodzisz, albo nigdy się tego nie nauczysz”. Florentino Arizę skręcała zazdrość o jej dawne przeżycia na myśl, że może jest bardziej doświadczona, niż to okazuje, niemniej musiał przełknąć wszystkich swoich poprzedników, bo i on zapewniał ją, tak jak zapewniał wszystkie, że jest jego jedyną kochanką. Wśród wielu innych mniej przypadających mu do gustu rzeczy, musiał pogodzić się z obecnością oszalałego kota w łóżku, któremu Sara Noriega obwiązywała pazury, aby nie rozszarpał ich na strzępy, kiedy oddawali się miłości.

Mimo wszystko lubiła również, niemal tak samo jak harce w łóżku aż po krańcowe wyczerpanie, oddawać się kultowi poezji, i robiła to z miłosną żarliwością. Miała nie tylko zadziwiającą pamięć do sentymentalnej poezji ze swej epoki, której kolejne nowości, drukowane w formie ulotnych broszur, sprzedawano po dwa centavos, ale i zwyczaj przypinania pinezkami do ścian ulubionych wierszy, aby o każdej porze móc je czytać na głos.

Dokonała przeróbki tekstów z podręcznika do wychowania obywatelskiego na rymowany parzyście jedenastozgłoskowiec, na wzór rymowanek stosowanych do lekcji ortografii, nie zdołała jednak uzyskać ich oficjalnego zatwierdzenia. Deklamatorski zapal ponosił ją do tego stopnia, iż czasami recytowała wiersze wykrzykując je w najmniej oczekiwanym miłosnym momencie i wówczas Florentino Ariza musiał wpychać jej na siłę

smoczek do ust tak, jak się go daje dziecku, aby przestało płakać. W pełnym rozkwicie ich związku Florentino Ariza zastanawiał się, który z dwóch stanów jest miłością, czy ten w burzliwym łóżu, czy też ten ze spokojnych wieczorów niedzielnych, lecz Sara Noriega uspokoiła go nader prostym wywodem, iż wszystko, co robią nago jest miłością. Powiedziała: „Miłość duszy od pasa w górę i miłość ciała od pasa w dół”. Definicja ta wydała się Sarze Noriedze godna wiersza o miłości podzielnej, który napisali na cztery ręce, a który ona wysłała na piąty Turniej Poetycki, przekonana, że nikt do tej pory nie zaprezentował tak oryginalnego wiersza. Ale znowu przegrała.

Była wściekła, kiedy Florentino Ariza odprowadzał ją do domu. Z sobie tylko znanych powodów, których nie potrafiła wyjaśnić, była przekonana, że przeciwko niej został uknuty przez Ferminę Dazę spisek, żeby nie nagradzać jej wiersza. Florentino Ariza nie zwracał na nią uwagi. Od momentu rozdania nagród był w podłym humorze, nie widział bowiem Ferminy Dazy od dłuższego czasu, tej nocy zaś odniósł wrażenie, że nastąpiła w niej drastyczna zmiana: po raz pierwszy wystarczyło rzucić na nią okiem, by zrozumieć, że jest matką. Nie było to dla niego żadną nowiną, bo wiedział, że syn chodzi już do szkoły. Niemniej, jej macierzyński wiek nie wydawał mu się przedtem tak oczywisty jak tej nocy, a to zarówno ze względu na rozmiary jej talii i jej nieco spowolniały chód, jak i ze względu na jej głos, który wpadał nagle na nieoczekiwane rafy i mielizny.

Pragnąc wesprzeć swe wspomnienia dokumentami, zaczął ponownie przeglądać albumy z Turniejów Poetyckich, podczas gdy Sara Noriega przygotowywała coś do jedzenia. Ujrzał zdjęcia z pism ilustrowanych, poźółkłe pocztówki sprzedawane w bramach na pamiątkę i było to jak upiorna powtórka z fałszu jego życia. Dotąd podtrzymywała go fikcja, że to świat przemija, przemijają zwyczaje, moda: wszystko prócz niej. Ale tej nocy po raz pierwszy w pełni uświadomił sobie, że przemija zarówno życie Ferminy Dazy, jak i jego własne, gdy on tymczasem tylko czeka. Nigdy z nikim o niej nie rozmawiał, świadom, że nie jest w stanie wymówić jej imienia tak, aby nie dało się zauważyć bładości jego ust. Tej nocy jednak, gdy przeglądał albumy, jak podczas tylu innych wieczorów niedzielnego znużenia, Sarze Noriedze zdarzyło się jedno z tych przypadkowych i mrozących krew w żyłach celnych strzałów.

- To kurwa - powiedziała.

Powiedziała to w chwili, gdy przechodząc obok zobaczyła zdjęcie Ferminy Dazy przebranej za czarną panterę podczas jednego z balów maskowych, i nie musiała dodawać, kogo ma na myśli, aby Florentino Ariza wiedział, o kim mówi. Obawiając się przypadkowego odkrycia burzącego mu całe życie pospieszył z ostrożną obroną. Zastrzegł

się, że zna Ferminę Dazę wyłącznie z widzenia, że nigdy nie ośmielił się na nic prócz grzecznościowych ukłonów i tym samym nie jest w posiadaniu najmniejszej choćby informacji o jej życiu prywatnym, niemniej uważa za w pełni uzasadnione przeświadczenie, iż jest to kobieta godna podziwu, przybyła znikąd i wyłącznie samej sobie zawdzięczająca swą obecnie wysoką pozycję.

- Wyłącznie dzięki temu, że interesownie wyszła za mąż za człowieka, którego nie kocha - przerwała mu Sara Noriega. - To najnikczemniejszy sposób kurwienia się.

Ze znacznie mniejszym okrucieństwem, choć z równie ostrym osądem moralnym powiedziała mu to matka usiłując pocieszyć go w nieszczęściu. Zmieszany do szpiku kości i nie mogąc znaleźć odpowiedniej repliki na bezlitosne stwierdzenie Sary Noriegi, spróbował uciec od tematu. Ale Sara Noriega nie dała mu najmniejszej szansy, dopóki nie wyładowała do końca swej złości przeciwko Ferminie Dazie. Tknięta niczym nie umotywowanym przecuciem, była przekonana, że jest ona autorką zмовy, która za główny cel postawiła sobie niedopuszczenie do przyznania jej nagrody. Nie było powodu, aby dawać temu wiare: nie znały się, nigdy się nie widziały, ponadto Fermina Daza, choć wprowadzona w tajniki konkursu, nie miała nic wspólnego z decyzjami jury. Sara Noriega stwierdziła jednak kategorycznie:

„My, kobiety, jesteśmy jasnowidzami”. I położyła kres dyskusji.

Z tą chwilą Florentino Ariza spojrział na nią innymi oczami. Dla niej również mijały lata. Jej urodzajna moc wędła bez chwały, jej miłość utykała w szlochach, jej powieki zaś zaczynały ujawniać cienie zamierzchłych goryczy. Była wczorajszym kwiatem. Poza tym w szale porażki przestała zważać na ilość kieliszków brandy. To nie była jej najlepsza noc: gdy jedli odgrzewany ryż kokosowy, usiłowała ustalić, jaki był udział każdego z nich w przegranym wierszu, żeby wyliczyć, ile płatków Złotej Orchidei przypadłoby każdemu z nich. Nie po raz pierwszy toczyli bizantyjskie potyczki, Florentino Ariza jednak, korzystając z okazji, aby zaczerpnąć powietrza przez świeżo otwartą ranę wdał się w małostkową sprzeczkę, która przenicowała obojgu wszystkie urazy z prawie pięciu lat dzielonej miłości.

Kiedy do północy brakowało dziesięciu minut, Sara Noriega pragnąc nakręcić zegar wahadłowy weszła na krzesło i odruchowo ustawiła obie wskazówki na dwunastą, chcąc być może dać mu do zrozumienia, że wybiła już godzina odejścia. Florentino Ariza poczuł wówczas nagłą potrzebę zerwania raz na zawsze tego związku bez miłości i zaczął szukać pretekstu, aby przejąć inicjatywę: tak robił zawsze. Błagając Boga, żeby Sara Noriega pozwoliła mu zostać w swym łóżku, by powiedzieć jej, że nie, że między nimi wszystko już skończone, poprosił ją, gdy skończyła nakręcać zegar, aby usiadła przy nim. Woląla jednak

usiąść trochę dalej, na fotelu gościnnym. Florentino Ariza wyciągnął wówczas ku niej palec wskazujący zamoczony w brandy, by zaczęła go ssać, tak jak to dawniej lubiła czynić w preambułach do miłości. Wymigła się.

- Nie teraz - powiedziała. - Czekam na kogoś. Florentino Ariza, od chwili odrzucenia go przez Ferminę Dazę, nauczył się zawsze pozostawiać sobie ostateczną decyzję. W okolicznościach nieco mniej zaprawionych goryczą upierałby się przy kontynuowaniu oblężenia Sary Noriegi, pewien spędzenia z nią reszty nocy na miłosnych zapasach w łóżku, był bowiem święcie przekonany, że kobieta, która już raz poszła do łóżka z mężczyzną, będzie z nim szła za każdym razem, kiedy mężczyzna zechce, o ile potrafi ją za każdym razem przekonać do tego swą czułością. Dzięki temu przekonaniu potrafił wszystko ścierpieć, obojętnie znieść wszystko, choćby i najpaskudniejsze strony miłości, byle nie dać żadnej kobiecie urodzonej z kobiety szansy podjęcia ostatecznej decyzji. Tej nocy poczuł się jednak tak poniżony, iż jednym haustem wypiłszy brandy, starając się zrobić wszystko, co tylko w jego mocy, aby unaocznic swe pretensje, wyszedł bez pożegnania. Nie zobaczyli się już nigdy więcej. Związek z Sarą Noriegą był jednym z dłuższych i trwalszych związków Florentina Arizy, choć nie jedynym, jaki przez owe pięć lat utrzymywał. Kiedy zrozumiał, że, owszem, dobrze się z nią czuje, przede wszystkim w łóżku, ale że nigdy nie zastąpi mu ona Ferminy Dazy, ponownie nasiliły się jego noce samotnego łowcy i jakoś sobie radził, dzieląc swój czas i swoje siły, póki mu ich starczyło. Sara Noriega zdołała jednak dokonać cudu przynosząc mu na pewien czas ulgę. Mógł przynajmniej żyć bez widywania Ferminy Dazy, w odróżnieniu od nie tak dawnej przeszłości, kiedy rzucał wszystko, niezależnie od pory i zajęcia, szukając jej po niepewnych drogach swych przeczuć na zupełnie nieoczekiwanych ulicach, w niedorzecznych miejscach, gdzie żadną miarą nie mógł jej spotkać, blakając się bez sensu z tłukącymi się w piersi i nie dającymi mu spokoju pragnieniami, dopóki nie ujrzał jej choćby przez chwilę. Zerwanie z Sarą Noriegą, na odwrót, przebudziło uspięne tęsknoty i ponownie poczuł się tak jak w czasie popołudni nie kończących się lektur na skwerze, ale tym razem ciążyła na nim świadomość, że doktor Juvenal Urbino powinien umrzeć jak najprędzej.

Od dłuższego już czasu wiedział, że jego przeznaczeniem jest nie tylko uszczęśliwienie wdowy, a także doznanie szczęścia, jakie ona mu da, nie przejmował się więc tym zbyt. Wręcz przeciwnie: był na to przygotowany. Poznawszy kobiety aż za dobrze w czasie swych polowań samotnego myśliwego, Florentino Ariza miał dość czasu i sposobności, aby dojść do wniosku, że świat pełen jest szczęśliwych wdów. Widział, jak oszalałe z bólu przy zwłokach małżonka błagały, by pogrzebano je żywcem w tej samej



trumnie, nie chciały bowiem bez niego stawiać czoła ślepych trafom przyszłości, ale w miarę jak godziły się ze swym nowym stanem, można było dostrzec jak, coraz bardziej odmłodzone, odradzały się z popiołów. Początkowo, niczym pasożyty, żyły cieniami opustoszałych domostw, stając się zausznikami swych służących, kochankami swych poduszek, nie mając nic do roboty po tylu latach jałowej niewoli. Marnotrawiły nadmiar wolnych godzin przyszywając do ubrań nieboszczyka guziki, na których przyszyte nigdy przedtem nie starczało im czasu, prasowały raz i drugi jego koszule, usztywniając mankiety i kołnierzyki parafiną, żeby zawsze były w doskonałym stanie. Nadal do mydelniczki w łazience kładły jego mydło, ścieliły łóżko poszwą z jego inicjałami, stawiały przy jego miejscu na stole talerz i sztucce, na wypadek gdyby bez uprzedzenia wrócił po śmierci, tak jak zwykł to robić za życia. Ale podczas celebrowania tych mszy samotności nabierały przekonania, że ponownie są paniami swojej woli, mimo zrzeknięcia się nie tylko swego rodzowego nazwiska, ale i własnej tożsamości, a wszystko to w zamian za poczucie bezpieczeństwa, które nie było niczym innym niż jeszcze jednym panięńskim złudzeniem. Tylko one znały ciężar kochanego przez nie do granic obłędu mężczyzny, który być może też je kochał, ale którego musiały niańczyć do ostatniego jego tchu, karmiąc go własną pierśią, zmieniając zababrane pieluchy, zabawiając matczynymi oszustwami, aby przełamać w nim ów poranny strach przed wyjściem i zetknięciem się z rzeczywistością. A jednak kiedy widziały, jak z ich poduszczenia wychodził wreszcie z domu, by stawić czoło światu, to właśnie one czuły wówczas obawę, że mężczyzna już nigdy nie wróci. Życie takie już było. Miłość, o ile istniała, była czymś zupełnie innym: innym życiem.

Za to w kojącym rozleniwieniu samotności wdowy odkrywały, iż zachowanie uczciwości w życiu zależy wyłącznie od ciała, gdy jada się tylko wtedy, kiedy jest się głodną, kocha się bez kłamstw, śpi się nie po to, aby uciec od nieprzyzwoitej miłości legalnej, i ma się wreszcie tylko i wyłącznie dla siebie prawo do całego łóżka, w którym nikt nie wyklóca się o połówkę swego prześcieradła, połówkę swego powietrza do oddychania, połówkę swojej nocy, a ciało nasycy się wreszcie śniąc swoje własne sny i budzi się samo. W czasie swych kłusowniczych świtów Florentino Ariza spotykał je wychodzące z kościoła, po jutrzni, w czarnym całunie i z krukiem przeznaczenia na ramieniu. Ledwie go dostrzegłszy w brzasku poranka, przechodziły natychmiast na drugą stronę ulicy, truchtając ptasimi kroczkami po chodniku, bo już samo minięcie z bliska mężczyzny mogło skalać ich cześć. Pomimo to był przekonany, że właśnie w niepokieszanej wdowie, bardziej niż w jakiegokolwiek innej kobiecie, może kiełkować ziarno szczęścia.

Ileż to wdów jego życia, począwszy od wdowy Nazaret, pomogło mu dostrzec, jakimi

kobietami naprawdę są szczęśliwe mężatki po śmierci swoich mężów. To, co do tej pory było dla niego wyłącznie mrzonką, przerodziło się dzięki nim w znajdującą się w zasięgu ręki możliwość.

Nie widział powodów, dla których Fermina Daza nie miałyby okazać się taką samą wdową, przygotowaną przez życie do zaakceptowania go takim, jakim był, bez urojonego poczucia winy wobec zmarłego męża, zdecydowana odkryć razem z nim owo odmienne szczęście bycia w dwójnasób szczęśliwą, i to miłością na użytek powszedni, przemieniającą każdą chwilę w cud życia, i tą inną miłością, tylko i wyłącznie dla niej miłością, chroniącą przed jakimkolwiek skażeniem dzięki uodpornieniu, jakie daje nietykalność śmierci.

Być może nie ulegałby takiemu entuzjazmowi, gdyby bodaj podejrzewał, jak daleka była Fermina Daza od tych iluzorycznych rachub, kiedy zaledwie zaczynała dostrzegać horyzont świata, w którym wszystko było przewidziane poza wrogością. Bogactwo miało wówczas wiele zalet, ale i oczywiście wiele wad, niemniej połowa ludzi pragnęła go jako najprawdopodobniejszej drogi do wieczności. Fermina Daza odrzuciła Florentina Arizę w przeblysku dojrzałości, który natychmiast odpokutowała atakiem żalu, nigdy jednak nie wątpiła, że podjęła słuszną decyzję. W owym momencie nie była w stanie wyjaśnić sobie, jakie to ukryte zdroworozsądkowe przyczyny spowodowały owo jasnowidzenie, ale po wielu latach, już u progu starości, nagle i nie wiadomo jak odkryła je dzięki przypadkowej rozmowie o Florentinie Arizie. Wszyscy jej rozmówcy byli zorientowani w jego pozycji delfina Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego, przedsiębiorstwa znajdującego się właśnie w pełnym rozkwicie, wszyscy byli pewni, że widywali go wielokrotnie, nawet utrzymywali z nim jakieś kontakty, ale nikt nie potrafił do końca określić w swej pamięci jego tożsamości. To właśnie wówczas Ferminie Dazie objawiły się nieuświadomiane dotąd przyczyny, które sprawiły, że nie mogła go pokochać.

Powiedziała: „To tak jakby nie był konkretnym człowiekiem, ale cieniem”. Właśnie: cieniem kogoś, kogo

MiMMMMMM nikt nigdy nie poznał. Lecz w okresie, gdy odpierała ataki doktora Juvenala Urbino, człowieka zupełnie innego pokroju, dręczył ją upiór winy: jedyne uczucie, którego nie była w stanie znieść. Kiedy czuła, że zaczyna w niej wzbierać, ogarniał ją specyficzny rodzaj paniki, nad którą mogła zapanować dopiero z chwilą spotkania kogoś, kto ulżyłby jej sumieniu. Już od dziecka, gdy w kuchni stłukł się talerz, gdy ktoś przewracał się, kiedy sama przytrząskiwała sobie palec w drzwiach, zwracała się do najbliższej dorosłej osoby spiesząc z oskarżeniem: „To twoja wina”. Choć w istocie rzeczy było jej wszystko jedno, kto jest winien i czy ona jest w stanie przekonać samą siebie o swej niewinności:

wystarczało jej ustalenie winy.

Był to upiór powracający tak często, że doktor Urbino szybko pojął, do jakiego stopnia zagraża ono domowej harmonii, dostrzegając więc za każdym razem zbliżające się niebezpieczeństwo, natychmiast mówił żonie: „Nie przejmuj się, kochanie, to moja wina”. Niczego nie obawiał się bowiem tak bardzo, jak niespodziewanych i ostatecznych decyzji żony, przekonany, że zawsze mają one swe źródło w nieokreślonym poczuciu winy. Ale jedno zdanie pocieszenia nie oddaliło zakłopotania spowodowanego odrzuceniem Florentina Arizy. Jeszcze przez wiele miesięcy Fermina Daza otwierając rano balkon, wciąż odczuwała brak owego samotnego widma czatującego na nią w opustoszałym parku, patrzyła na drzewo, które było jego drzewem, ledwie widoczną ławkę, gdzie siadał i czytał myśląc o niej i cierpiąc dla niej, i zamykała okno, wzdychając: „Biedny człowiek”.

Była nawet rozczarowana, że nie okazał się tak uparty, za jakiego go miała, kiedy było już za późno, aby naprawić przeszłość, chwilami dręczyło ją spóźnione pragnienie: czekała na list, który nigdy nie nadszedł. Ale kiedy musiała podjąć decyzję o wyjściu za mąż za Juvenala Urbino, uległa jeszcze większej rozterce, zrozumiałwszy, że nie ma żadnych istotnych powodów, aby wybrać właśnie jego, po odrzuceniu bez istotnych powodów Florentina Arizy. W rzeczywistości darzyła lekarza uczuciem równie mizernym, co i Florentina Arizę, prawie go nie знаła, a jego listy pozbawione były żarliwości listów tamtego, nie okazał jej również tylu przejmujących dowodów swej determinacji. Prawdą jest, że zamiary Juvenala Urbino nigdy nie były prezentowane w kategoriach miłosnych, i było rzeczą co najmniej dziwną, że tak zaangażowany katolik jak on ofiarowywał jej jedynie dobra doczesne: bezpieczeństwo, porządek, szczęście, liczby proste, które raz zsumowane mogły zapewne wydawać się miłością: prawie miłością. Ale nie były nią i wątpliwości te powiększały jej zakłopotanie, bo sama nie była przekonana, że miłość jest rzeczywiście czymś najbardziej jej potrzebnym do życia.

W każdym razie tym, co przede wszystkim świadczyło przeciwko doktorowi Juvenalowi Urbinowi, było jego nazbyt podejrzane podobieństwo do idealnego mężczyzny, jakiego Lorenzo Daza tak gorąco pragnął dla swojej córki. Nie sposób było nie dostrzec w nim tworu ojcowskiego spisku, choćby i tak nim nie był, a Fermina Daza była przekonana, że jest, od momentu kiedy po raz drugi przekroczył próg ich domu z nie zamówioną wizytą lekarską. Rozmowy z Hildebrandą zagmatwały jej wszystko już na amen. Kuzynka, sama będąc w sytuacji ofiary, zwykła bowiem utożsamiać się z Florentinem Arizą, całkiem zapomniawszy o tym, że Lorenzo Daza być może sprowadził ją po to, aby dopomogła mu pozyskać przychyłność jego córki względem doktora Urbino. Bóg jeden wie, ile wysiłku

kosztowało Ferminę Dazę zrezygnowanie z towarzyszenia kuzynce, kiedy ta udawała się do urzędu telegraficznego, by poznać Florentina Arizę. Ona też pragnęła zobaczyć go jeszcze raz, aby skonfrontować go ze swoimi wątpliwościami, porozmawiać z nim na osobności, poznać go lepiej i upewnić się, że impulsywna decyzja nie popchnie jej do podjęcia kolejnej, znacznie gorszej, jaką byłoby poddanie się w jej osobistej wojnie z ojcem. A jednak poddała się w krytycznej minucie swego życia, nie biorąc w ogóle pod uwagę męskiej urody pretendenta ani jego legendarnego bogactwa, ani zdobytej już za młodu sławy, ani żadnej z tylu jego rzeczywistych zasług, zdjęta jedynie trwogą przed uciekającą szansą i nieuchronnością dwudziestu jeden lat, które skrycie wyznaczyła samej sobie jako nieprzekraczalną granicę dla ostatecznego pogodzenia się z losem. Wystarczyła jej ta jedna jedyna minuta, żeby podjąć decyzję, tak jak to przewidziane było w prawach boskich i ludzkich: aż do śmierci. Wówczas rozwiały się wszystkie wątpliwości i bez żadnych wyrzutów mogła zrobić to, co rozsądek nakazywał jej jako najuczciwsze: przetarła suchą, bez ani jednej łzy, gąbką pamięć o Florentinie Arizie, wymazała go całkowicie, a miejsce, które zajmował w jej wspomnieniach, pozostawiła na pastwę polnych maków. Pozwoliła sobie jedynie na westchnienie, znacznie głębsze niż zazwyczaj, bo ostatecznie: „Biedny człowiek!”

Najstraszliwsze wątpliwości opadły ją jednak tuż po powrocie z podróży poślubnej. Ledwie otworzyli kufry, rozpakowali meble i opróżnili jedenaście skrzyń, które zabrała ze sobą, by jako gospodyni i pani domu zawładnąć starym pałacem markiza de Casalduero, a już zdała sobie sprawę, w śmiertelnym przerażeniu, że jest więźniem w niewłaściwym domu i, co gorsza, z właściwym mężczyzną. Minęło sześć lat najgorszych w jej życiu, nim wydostała się stąd, zrozpaczona rozgoryczeniem dońi Blanki, swej teściowej, i upośledzeniem umysłowym szwagierek, które tylko dlatego nie zamknęły się jeszcze w klasztornej celi, by gnąć tam za życia, bo ową celę miały już w sobie.

Doktor Urbino, uległszy tradycji spłacania rodowego haraczu, był całkowicie głuchy na jej błagania, i ufał, że boska mądrość i nieograniczone zdolności przystosowawcze małżonki doprowadzą do tego, że wszystko wróci na swoje miejsce. Bolała go abnegacja matki, której radosne usposobienie budziło niegdyś chęć życia nawet u największych sceptyków. Tak w istocie było: ta piękna, inteligentna kobieta, o rzadko spotykanej w jej środowisku ludzkiej wrażliwości, była przez prawie czterdzieści lat duszą i ciałem swego towarzyskiego raj. Wdowieństwo pogrążyło ją w stan tak głębokiego rozgoryczenia, iż sama nie mogła uwierzyć, że jest wciąż tą samą osobą, przeistaczając się w istotę bezwolną, skwaszoną i wrogo nastawioną do świata. Jedynym możliwym wyjaśnieniem tak

drastycznej przemiany mógł być żal do męża za jego w pełni świadome poświęcenie się dla bandy Murzynów, jak mawiała, podczas gdy jedynym uczciwym poświęceniem powinno było być życie wyłącznie dla niej. W każdym razie szczęśliwe małżeństwo Ferminy Dazy trwało tyle, ile trwała podróż poślubna, jedynego zaś człowieka, który mógł jej pomóc, by zapobiec ostatecznej katastrofie, sparaliżował strach przed władzą matki. To właśnie jego, a nie skretyniałe szwagierki czy na wpół obłąkaną teściową, Fermina Daza obarczała winą za śmiertelną pułapkę, w jakiej się znalazła. Zbyt późno zaczęła podejrzewać, że za autorytetem zawodowym i światowym obyciem mężczyzny, którego poślubiła, krył się człowiek o nieuleczalnie słabym charakterze: pocziwina czerpiąca całą swoją odwagę z towarzyskiego ciężaru noszonych przezeń nazwisk rodowych.

Schroniła się w swym dopiero co urodzonym synu. W chwili, gdy poczuła jak opuszcza jej ciało, odetchnęła z ulgą, bo uwolniła się od czegoś, co nie należało do niej, i przeraziła się samej siebie stwierdziwszy, że nie znajduje w sobie najmniejszego wzruszenia wobec tego brzuszego cielęcia, zademonstrowanego jej przez akuszerkę w całej okazałości: brudnego, ociekającego śluzem i krwią, z pępowiną owiniętą wokół szyi. Ale w pałacowej samotności nauczyła się go poznawać i poznali się, i odkryła wówczas z ogromną radością, że dzieci kocha się nie dlatego, że są dziećmi, ale z przyjaźni, która towarzyszy ich wychowaniu. W rezultacie nie mogła w domu swej niedoli znieść niczego ani nikogo, co nie byłoby z nim związane. Przygnębiała ją samotność, cmentarny ogród, gnuśność mijającego czasu w ogromnych, pozbawionych okien pomieszczeniach.

Czuła się bliska obłądu podczas nocy ciągnących się bez końca wskutek krzyków chorych kobiet z pobliskiego domu wariatów. Zawstydział ją zwyczaj przygotowywania codziennie stołu bankietowego, z haftowanymi obrusami, srebrnymi zastawami i pogrzebowymi kandelabrami, tylko po to, żeby pięciu widmom podać na kolację filiżankę kawy z mlekiem i ciasteczka serowe. Nienawidziła różańca o zmierzchu, wdzięczenia się przy stole, wiecznych uwag o jej sposobie trzymania sztucców, o tym, że chodząc porusza się mistycznymi susami, jak uliczna kobieta, że ubiera się jak cyrkowi przebierańcy, nawet o jej wiejskich nawykach w traktowaniu męża i karmieniu dziecka bez uprzedniego osłonięcia sobie piersi mantylką. Kiedy wysłała pierwsze zaproszenia na towarzyskie spotkanie o piątej po południu, przy herbacie i konfiturach z kwiatów, zgodnie z najnowszą angielską modą, doña Blanca nie chciała pozwolić na to, by w jej domu spożywano napotne lekarstwa przeciwgorączkowe zamiast czekolady z topionym serem i kromkami chleba jukowego. Nie przepuściła nawet snom. Pewnego ranka, kiedy Fermina Daza opowiedziała, że śnił się jej jakiś nieznajomy, przechadzający się nago i garściami rozsypujący popiół po

pałacowych salonach, doña Blanca przerwała jej ostro:

- Porządna kobieta nie może mieć tego rodzaju snów. To poczucie, że nigdy nie jest u siebie, pogłębiły jeszcze dwa nieszczęścia większej wagi. Jednym z nich były dania z bakłażanów, przyrządzanych niemal codziennie na wszelkie możliwe sposoby, których doña Blanca nie chciała niczym zastąpić przez szacunek dla zmarłego męża, a których spożywania Fermina Daza konsekwentnie odmawiała. Nienawidziła oberżyn od dziecka, nie skosztowawszy ich nawet, zawsze wydawało jej się bowiem, że mają kolor trucizny. Obecnie skłonna była jednak mimo wszystko przyznać, iż coś odmieniło się na korzyść w jej życiu, bo gdy miała pięć lat i powiedziała to samo przy stole, ojciec kazał jej zjeść cały garnek tej potrawy, przewidzianej na sześć osób.

Myślała, że umrze, wpierv rzygając bakłażanową papką, a później po dużej filizance bobrowego smalcu, który wiano w nią siłą, by wyleczyć ją po tak wymierzonej karze. Oba te obrzydlistwa zarówno ze względu na smak, jak i obawę przed trucizną, pozostały w jej pamięci jako jeden i ten sam środek przeczyszczający, toteż podczas odrażających obiadów w pałacu markiza del Casalduero musiała odwracać wzrok, żeby na wspomnienie lodowatych mdłości po bobrowym tłuszczu nie zwymiotować dobrymi manierami.

Kolejnym nieszczęściem stała się harfa. Pewnego dnia, całkowicie świadoma tego, co chce powiedzieć, doña Blanca oznajmiła: „Nie wierzę, by mogła być przyzwoitą kobieta, która nie potrafi grać na pianinie”. Był to rozkaz, któremu nawet syn starał się przeciwstawić, najlepsze lata dzieciństwa upłynęły mu bowiem w kieracie palcówek na pianinie, choć już jako dorosły miał być jej za to wdzięczny. Mając na względzie jej dwadzieścia pięć lat i jej charakter, nie wyobrażał sobie żony poddanej tej samej karze. Zdołał jedynie wyprosić u matki zamianę pianina na harfę, dzięki dziecinnemu argumentowi, że jest to instrument aniołów. I tak oto sprowadzili z Wiednia wspaniałą harfę, nie tylko wyglądającą, ale i brzmiącą tak, jakby była ze złota, która stała się później jedną z najcenniejszych relikwii Muzeum Miejskiego, póki nie padło pastwą płomieni razem z wszystkimi eksponatami. Fermina Daza poddała się temu wysmakowanemu wyrokowi, usiłując swym całkowitym poświęceniem zażegnać katastrofę. Rozpoczęła lekcje ze sprowadzonym wyłącznie dla niej z miasta Mompox mistrzem nad mistrzami, który po piętnastu dniach nagle zmarł, dalsze więc nauki pobierała przez wiele lat u starego, zatrudnionego w seminarium muzyka, który swym oddechem grabarza doprowadzał do tego, że skręcały się wszystkie arpeggia.

Sama była zaskoczona swoją uległością. Bo wbrew swym najgłębszym przekonaniom i pomimo niemych kłótni z mężem w godzinach przedtem poświęcanych

miłości, wpadła szybciej niż mogła przypuszczać w sidła konwenansów i przesądów swego nowego świata. Z początku kwitowała wszystko rytualnym zdaniem mającym podkreślać niezawisłość swych opinii: „Oszczać wachlarz, bo wiatr wieje”. Z czasem jednak, zazdrosna zdobyte z takim trudem przywileje, z obawy przed hańbą i szyderstwem, gotowa była znieść nawet upokorzenie, w nadziei, że Bóg ulituje się wreszcie nad dołą Blancą i wysłuchawszy jej niestrudzonych błagalnych modlitw ześle jej w końcu śmierć.

Doktor Urbino usprawiedliwiał słabość swego charakteru argumentami o kryzysie, nie zadawszy sobie nawet pytania, czy nie stoją one w sprzeczności z jego kościołem. Nie dopuszczał myśli, że przyczyny konfliktów z żoną mogą tkwić w nienaturalnej atmosferze domu, poszukując ich raczej w istocie samego małżeństwa: w absurdalnym wymyśle, który mógł zostać urzeczywistniony tylko i wyłącznie dzięki nieskończonej wielkiej łasce bożej. Przeciwny był jakimkolwiek naukowym wywodom uzasadniającym, iż dwie ledwie znające się osoby, których nie łączą najmniejsze więzy pokrewieństwa, o dwóch odmiennych charakterach, odmiennej kulturze i nawet odmiennej płci, mają ni stąd, ni zowąd, czuć się zobowiązane do tego, by razem żyć, spać w tym samym łóżku i dzielić swój los, który być może dla każdego z osobna miał być krańcowo odmienny. Mawiał:

„Problem małżeństwa polega na tym, że kończy się ono co noc, z chwilą gdy przestajemy się kochać, i każdego dnia rano trzeba przed śniadaniem ponownie przystępować do jego odtwarzania”. Tym bardziej, mawiał, dotyczy to ich małżeństwa, dwóch osób z dwóch antagonistycznych klas społecznych, a przy tym w mieście śniącym wciąż o powrocie wicekrólów. Jedynym możliwym spoiwem mogło być coś tak nieprawdopodobnego i zmiennego jak miłość, o ile w ogóle była, a w ich przypadku nie było jej, kiedy się pobierali, przeznaczenie zaś nie zrobiło nic poza zderzeniem ich z rzeczywistością, kiedy byli o krok od jej znalezienia.

W takim stanie znajdowało się ich życie w okresie harfy. W zapomnienie niemal poszły owe rozkoszne zrządzienia trafu, gdy wchodziła do już zajętej przez niego łazienki i mimo kłótni, trujących bakłażanów, mimo niedorozwiniętych sióstr i psiej ich mąci, na tyle starczało mu jeszcze miłości, żeby poprosić ją o namydlenie mu pleców. Przystępowała do szorowania odczuwając jeszcze, pozostałe po Europie, okruchy miłości i oboje dawali się zwodzić wspomnieniom, rozczulając się wbrew sobie, kochając się bez wyznawania sobie tego, aż w końcu umierali z miłości na podłodze, utyłani w pachnącej pianie, słysząc jak służące plotkują o nich w pralni: „Nie mają więcej dzieci, bo się nie dupczą”. Od czasu do czasu, gdy wracali z jakiejś szalonej zabawy, czyhająca za drzwiami nostalgia jednym ruchem rzucała ich na ziemię i wówczas następowała cudowna eksplozja, w której

wszystko znowu było jak przedtem, oni zaś przez pięć minut ponownie byli frywolnymi kochankami przeżywającymi miodowy miesiąc.

Ale poza tymi rzadkimi okazjami jedno z dwojga zawsze czuło się bardziej zmęczone od drugiego, gdy nadchodziła pora udania się do łóżka. Ona przedłużała swój pobyt w łazience skręcając papierosy z perfumowanej bibułki, paląc w samotności, powracając do swych miłości pocieszenia jak wtedy, gdy była młoda i wolna we własnym domu i była jedyną panią swego własnego ciała. Zawsze bolała ją głowa albo było za gorąco, albo znowu miała okres, okres, zawsze okres.

Do tego stopnia, że doktor Urbino podczas wykładu odważył się stwierdzić, wyłącznie po to, żeby ulżyć sobie zwierzeniem poza spowiedzią, że po dziesięciu latach małżeństwa kobiety mają okres nawet trzy razy w tygodniu.

Znosząc nieszczęście za nieszczęściem, Fermina Daza musiała znieść w najgorszym roku swego życia to, co wcześniej czy później musiało nieuchronnie nastąpić: prawdę o bajecznych i stale niewiadomych interesach jej ojca. Gubernator prowincji wezwawszy Juvenala Urbino do swego gabinetu celem poinformowania go o nadużyciach teścia, zreasumował wszystko w jednym zdaniu: „Nie ma takiego boskiego i ludzkiego prawa, które nie zostałoby podeptane przez tego typu”. Kilka najcięższych matactw popełnił pod osłoną stanowiska swego zięcia i naprawdę trudno było sądzić, że zarówno doktor, jak i jego żona nic o tym nie wiedzą. Przeświadczony, że jedynym dobrem godnym ochrony jest jego własna reputacja, bo i tylko ona się ostała, doktor Juvenal Urbino użył całej mocy swego autorytetu i zdołał zatuszować skandal poręczając słowem honoru. I tak Lorenzo Daza opuścił kraj na pokładzie pierwszego odpływającego statku, aby już więcej nie powrócić. Wrócił do kraju, skąd pochodził, jakby to była jedna z tych krótkich podróży, w które od czasu do czasu wyrusza się, aby oszukać nostalgię, choć w głębi tego złudzenia było tym razem coś z prawdy: od jakiegoś czasu odwiedzał wszystkie statki ze swej ojczyzny wyłącznie po to, żeby napić się z cystern napęcznionych wodą ze źródeł jego rodzinnego miasteczka. Wyjechał, obstając przy swoim, zapewniając o swej niewinności, usiłując jeszcze przekonać zięcia, że jest ofiarą politycznego spisku. Wyjechał, płacząc za maleńką, jak nazywał Ferminę Dazę od czasu jej zamążpójścia, płacząc za wnukiem, za ziemią, gdzie stał się bogaty i wolny i gdzie zdołał dokonać niezwykłego wyczynu przeistaczając, dzięki nieczystym interesom, córkę w wielką damę. Wyjechał zestarzały i chory, ale żył jeszcze potem znacznie dłużej, niż życzyły mu tego wszystkie jego ofiary. Fermina Daza nie była w stanie powstrzymać oddechu ulgi, kiedy dotarła do niej wiadomość o jego śmierci, chcąc zaś uniknąć pytań, nie nosiła po nim żałoby, jednak przez wiele miesięcy, zamykając się w



łazience na papierosa, płakała z tłumioną wściekłością, nie wiedząc dlaczego, lecz przecież płakała po nim.

Najbardziej absurdalne w ich sytuacji było to, że nigdy nie wydawali się w oczach postronnych tak szczęśliwi, jak w owych nieszczęsnych latach. W rzeczywistości były to lata ich największych triumfów nad skrywaną wrogością środowiska, które bronilo się przed uznaniem ich takimi, jakimi byli: innymi od reszty, nowinkarzami, a tym samym burzycielami tradycyjnego ładu. To akurat dla Ferminy Dazy było proste. Światowe życie, które, zanim je poznała, wzbudzało w niej tyle niepokoju, nie było niczym więcej jak systemem atawistycznych paktów, banalnych ceremonii, z góry ustalonych słów, pozwalających żyć im pospół, na tyle, żeby nie pozabijać się nawzajem. Dominującą oznaką tego rajy prowincjonalnej frywolności był strach przed nieznanym. Fermina Daza określiła to znacznie prościej:

„W życiu publicznym trzeba nauczyć się panować nad strachem, w życiu małżeńskim trzeba nauczyć się panować nad wstrętem”. Odkryła to nagle w błysku objawienia już w chwili, gdy ciągnąc za sobą nie kończący się tren panny młodej wkroczyła do rozległych salonów Klubu Towarzyskiego, dziwnie odmienionego wskutek zapachu tak wielu kwiatów, przepychu walców, tłumy pocących się mężczyzn i drżących kobiet, które wpatrywały się w nią, nie wiedząc jeszcze jakimi egzorcyzmami się posłużą, aby odsunąć to olśniewające niebezpieczeństwo zsyłane im przez świat zewnętrzny. Skończyła właśnie dwadzieścia jeden lat i jej dotychczasowe bywanie w świecie ograniczało się do bywania w szkole, ale wystarczyło rozejrzeć się wokół, by zrozumieć, że jej adwersarze wcale nie płonęli nienawiścią, lecz sparaliżowani byli ze strachu. Zamiast przerazić ich jeszcze bardziej, żeby byli równie przerażeni jak i ona, ulitowała się nad nimi dopomagając im w zawarciu znajomości. Nikt nie różnił się od jej uprzedniego wyobrażenia o danej osobie, nie inaczej jak w przypadku odwiedzanych przez nią miast, które nie wydawały jej się ani lepsze, ani gorsze, ale właśnie takie, jakimi widziała je w swoim sercu. Paryż, mimo nieustających deszczy, chciwych sklepikarzy, homeryckiego wprost chamstwa dorożkarzy, zawsze miała wspominać jako najpiękniejsze miasto świata, i to niezależnie od tego, czy rzeczywiście nim był, czy też nie, lecz dlatego, że nierozzerwalnie łączył się z nostalgią za jej najszczęśliwszymi latami. Doktor Urbino zastosował ze swej strony tę samą broń, jakiej użyto przeciwko niemu, tyle że z większą inteligencją i wyrachowaną podniosłością. Bez nich nie mogła odbyć się żadna impreza: obywatelskie przemarsze, Turnieje Poetyckie, wydarzenia artystyczne, loterie charytatywne, patriotyczne uroczystości, pierwszy lot balonem. Byli wszędzie, należeli, niemal zawsze, do głównych inicjatorów i zawsze stawali

w pierwszym szeregu. W latach ich małżeńskich nieszczęść nikt nie był w stanie wyobrazić sobie, że może istnieć szczęśliwsza lub bardziej harmonijna para niż oni.

Opuszczony przez ojca dom stworzył Ferminie Dazie możliwość ucieczki od stęchliwy rodzinny pałac.

Wymykając się z publicznych imprez natychmiast udawała się po kryjomu do siedziby przy parku Los Evangelios, by przyjmować tam zarówno swe nowe, jak i niektóre dawne przyjaciółki szkolne i koleżanki z lekcji malowania: niewinny substytut niewierności. Spędzała spokojne godziny samotnej matki żyjąc tym wszystkim, co jeszcze pozostało jej z dziecięcych wspomnień. Ponownie zakupiła wonne kruki, pozbierała z ulic koty oddając je pod opiekę Gali Placidii, starej już i cierpiącej nieco na reumatyzm, ale posiadającej jeszcze dość sił, aby wskrzesić dom. Ponownie urządziła pokój szwalniczy, gdzie Florentino Ariza zobaczył ją po raz pierwszy, doktor Juvenal Urbino zaś kazał jej pokazać język usiłując poznać jej serce, i uczyniła z niego sanktuarium przeszłości. W pewien zimowy zmierzch, tuż przed burzą, poszła zamknąć balkon i ujrzała Florentina Arizę siedzącego na swej parkowej ławce pod migdałowcami, w przerobionym po ojcu garniturze i z otwartą książką na kolanach, ale nie widziała go takim, jakim go, od przypadku do przypadku, widywała wówczas wielokrotnie, lecz jako młodzieńca w tym wieku, w jakim pozostał jej w pamięci. Przestraszyła się, że widok ten jest zapowiedzią śmierci, i zabolalo ją to. Odważyła się samej sobie wyznać, że może byliby razem szczęśliwi w domu, który mogła odnowić dla niego z taką miłością, z jaką on odnowił swój dom dla niej, i już to przypuszczenie przeraziło ją, bo pozwoliło jej zrozumieć ogrom nieszczęścia, w jakie popadła. Odwołała się do resztek swoich sił i zmusiła męża do sprzeczeki bez owijania w bawełnę, do kłótni z nią, do awantury, do wspólnego płaczu z wściekłości po utraconym raj, póki nie usłyszeli piania ostatnich kogutów i nie stało się światło w oknach pałacu i nie zapaliło się słońce, małżonek zaś, nabuzowany burzliwą dyskusją, wyczerpany z niewyspania, z sercem wzmocnionym tak rozdzierającym płaczem, nie zacisnął sznurowadeł przy sztylpach, nie zacisnął paska, nie zacisnął wszystkiego, co mu jeszcze pozostawało z mężczyzny, i nie powiedział jej, że tak, kochanie, że ruszą na poszukiwanie miłości, która zagubiła im się w Europie: jutro, natychmiast i na zawsze. Była to decyzja tak nieodwołalna, iż zlecił Banco del Tesoro, swemu pełnomocnemu administratorowi, natychmiastową likwidację rozległej fortuny rodzinnej, rozproszoną już od samych jej początków po różnego rodzaju przedsiębiorstwach, inwestycjach i przechowywanej w nietykalnych i bezterminowych papierach, a o której wiedział na pewno tylko tyle, że nie jest aż tak ogromna, jak głosiła legenda: akurat taka, żeby nie trzeba było o niej myśleć.

Ilekolwiek by tego było, to zamienione na oznakowane złoto, powinno być zostać stopniowo przekazane do jego banków za granicą, dopóki jemu i jego żonie nie pozostanie w tej ojczyźnie bez serca ani jedna piędź ziemi, gdzie mogliby umrzeć.

Florentino Ariza istniał więc, w rzeczy samej, wbrew jej silnemu postanowieniu, aby w to nie wierzyć. Stał na nabrzeżu, przy którym zatrzymał się transatlantyk z Francji, kiedy przybyła z mężem i synem w złotokonnym powozie, i obserwował ich wysiadających, tak jak tylokrotnie widział ich podczas publicznych uroczystości: doskonałych. Byli z synem, tak wychowanym, że można było już się domyślać, jaki będzie, gdy dorośnie: taki, jaki był teraz. Juvenal Urbino pozdrowił Florentina Arizę radosnym machnięciem kapelusza: „Jedziemy na podbój Flandrii”. Fermina Daza skinęła głową, Florentino Ariza zdjął kapelusz i odpowiedział nieznacznym ukłonem, a ona przyjrzała mu się bez odrobiny współczucia dla przedwczesnych spustoszeń dokonanych przez łysinę. To był on, taki, jakim go widziała: cień człowieka, którego nigdy nie знаła.

Florentino Ariza również nie przeżywał najlepszego okresu w swoim życiu. Do jego zwykłych i z każdym dniem coraz intensywniejszych zajęć, do nudnej rutyny nocnego kłusownika, do pogłębiającej się z latami stagnacji, doszło na koniec nasilenie się choroby Transito Arizy, której pamięć dobiegła kresu, nie pozostawiając jakiegokolwiek wspomnienia: była niemal czysta. Do tego stopnia, że czasami, odwróciwszy się ku niemu i widząc go czytającego w tym samym co zawsze fotelu, pytała zdziwiona: „A ty czym synem jesteś?” Odpowiadał zawsze zgodnie z prawdą, ale ona natychmiast mu przerywała.

- A powiedz mi, synu - pytała - kim ja jestem?

Utyła tak bardzo, że nie była w stanie się poruszać, przesiadywała więc całymi dniami w pasmanterii, w której nie pozostało już nic do sprzedania, strojąc się nieustannie od pierwszego piania kogutów aż do świtu następnego dnia, spała bowiem niewiele. Nakładała sobie na głowę wianki z kwiatów, malowała usta, pudrowała twarz i ramiona, by w końcu zapytać przebywającej z nią właśnie osoby, jak wygląda. Sąsiedzi wiedzieli, że zawsze czeka na tę samą odpowiedź: „Wykapana Karaluszka Martinez”. Tożsamość ta, skradziona bohaterce jednej z bajek dla dzieci, była jedyną, na jaką przystawała. Później bujała się w fotelu, wachlowała olbrzymim pióropuszem z czerwonych piór, póki nie zaczynała od nowa: wianek z papierowych kwiatów, piżmo na powiekach, karmin na ustach, skorupa bieli na twarzy. I ponownie pytanie do znajdującej się w pobliżu osoby: „Jak wyglądam?” Kiedy stała się całkowitym pośmiewiskiem dla wszystkich sąsiadów, Florentino Ariza kazał w dawnej pasmanterii rozebrać w jedną noc sklepowy kontuar i szafy z szufladami, zamknął drzwi od ulicy i urządził pokój zgodnie z podanym przez nią

opisem sypialni Karaluszki Martinez; od tej pory już nigdy więcej nie zapytała, kim jest.

Idąc za radą wuja Leona XII zatrudnił starszą kobietę do opieki nad nią, biedactwo błąkało się jednak po tym świecie bardziej śpiące niż przytomne, sprawiając czasami wrażenie, że i ona zapomina, kim jest. Florentino Ariza przebywał więc w domu od opuszczenia biura do momentu, gdy udawało mu się uśpić matkę. Nie grał już w domino w Klubie Handlowym i przez długi czas nie spotykał się z nieliczną już garstką dawnych przyjaciółek, które jeszcze sporadycznie odwiedzał, w jego sercu zaszła bowiem ogromna przemiana po przerażającym spotkaniu z Olimpią Zuletą.

Był to grom z jasnego nieba. Florentino Ariza odwiózł właśnie wuja Leona XII do domu, pośród jednej z tych październikowych, a przywracających nas do zdrowia burz, kiedy z powozu ujrzał drobną, zwinną dziewczynę, w stroju obszytym falbankami z organdy, przypominającym raczej suknię ślubną. Ujrzał ją, jak w popłochu biega tam i z powrotem, bo wiatr wyrwał jej z rąk parasolkę i uniósł w stronę morza. Florentino wciągnął ją do powozu i zboczył ze swej stałej trasy, aby odwieźć ją do jej mieszkania, dawnej kapliczki nad otwartym morzem, przerobionej na dom, którego podwórze pełne gołębników widać było z ulicy. Po drodze opowiedziała mu, że niecały rok temu wyszła za mąż za targowego handlarza starzyzną, którego Florentino Ariza wielokrotnie widział na statkach swego przedsiębiorstwa, jak wyładowywał skrzynie z przeróżnego rodzaju gratami do odprzedania i z chmarą gołębi w wiklinowej klatce, takiej samej, jakich używały matki do przewożenia noworodków na statkach rzecznych. Olimpia Zuleta zdawała się przynależeć do rodziny os, nie tylko ze względu na podniesione pośladki i drobne piersi, lecz z powodu całego jej wyglądu: włosów jak z miedzianego drutu, słonecznych piegów, okrągłych, żywych, rozstawionych nieco bardziej niż normalnie oczu i czystego głosu, którym odzywała się wyłącznie wtedy, kiedy miała do powiedzenia coś mądrego i wesołego. Florentinowi Arizie wydała się bardziej zabawna niż atrakcyjna i po odwiezieniu do domu, gdzie mieszkała ze swym mężem, z jego ojcem i innymi członkami rodziny, zapomniał o niej od razu.

W parę dni później ponownie zobaczył jej męża w porcie, tym razem wnoszącego towar na statek miast go wyładowywać, a kiedy statek odpłynął, w uchu Florentina Arizy rozległ się bardzo wyraźnie głos diabła. Tego samego popołudnia, po odwiezieniu wuja Leona XII, przejechał, niby przypadkiem, przed domem Olimpii Zulety i ujrzał ją za ogrodzeniem karmiącą rozradowane gołębie. Krzyknął do niej przez płot: „Ile kosztuje gołąb?” Rozpoznała go i odpowiedziała wesołym głosem: „Nie są na sprzedaż”. Zapytał: „To co trzeba zrobić, żeby dostać gołębia?” Nie przestając karmić gołębi odpowiedziała:

„Odwozi się gołębiarkę zagubioną w ulewie”. Florentino Ariza tej nocy wrócił do siebie z dziękczynnym prezentem od Olimpi Zulety: gołębiem pocztowym z metalową obrączką na nóżce.

Następnego popołudnia, o tej samej obiadowej porze, piękna gołębiarka ujrzała swój prezent z powrotem w gołębniku i pomyślała, że uciekł. Ale kiedy, chcąc mu się przyjrzeć, wzięła go w dłonie, dostrzegła, że spod obrączki wystaje wciśnięta tam karteczka: miłosne wyznanie. Po raz pierwszy Florentino Ariza zostawiał ślady na piśmie i nie po raz ostatni, choć w tym przypadku był na tyle ostrożny, że się nie podpisał. Następnego wieczoru, we środę wchodził właśnie do swego mieszkania, kiedy jakiś dzieciak z ulicy oddał mu tego samego gołębia w klatce i wyrecytował z pamięci informację, że przesyła to panu ta pani od gołębi i prosi, żeby panu powiedzieć, żeby raczył pan pilnować go dobrze w zamkniętej klatce, bo inaczej znowu poleci, a ta pani oddaje go po raz ostatni. Nie wiedział, jak to ma rozumieć: albo gołąb zgubił list podczas lotu, albo gołębiarka udawała głupią, albo oddawała gołębia, żeby on znowu go posłał. W tym ostatnim przypadku rzeczą naturalną byłby zwrot gołębia wraz z odpowiedzią.

W sobotę rano, przemyślawszy sobie wszystko, Florentino Ariza ponownie wysłał gołębia z następnym nie podpisanym listem. Tym razem nie musiał czekać, aż minie cały dzień. Po południu ten sam dzieciak ponownie odniósł gołębia w innej klatce, z wiadomością, że pani jeszcze raz odsyła gołębia, którego jej posłał i którego przedwczoraj oddała z grzeczności, a tego oddaje z litości, ale teraz już naprawdę przyrzeka, że następnym razem, jeśli jeszcze raz go wyśle, to już go nie odeśle. Transito Ariza do późna bawiła się z gołębiem, wyjęła go z klatki, zaczęła tulić w ramionach, próbowała go ukołysać do snu dziecięcymi piosenkami i nagle spostrzegła, że pod obrączką na nóżce ma zatknięty paperek z jedną tylko linijką: Nie przyjmuję anonimów. Florentino Ariza przeczytał to z oszalałym sercem, jakby miał właśnie przeżyć kulminację swej pierwszej przygody, w nocy zaś ledwie mógł spać, bo tak się niecierpliwił, że się budził. Następnego dnia wcześnie rano, przed pójściem do biura, jeszcze raz wypuścił gołębia z miłosnym liścikiem wyraźnie podpisanym swym imieniem, a prócz niego wcisnął pod obrączkę najświeższą, najpłomienniejszą i najwonnejszą różę ze swego ogrodu.

Łatwo nie poszło. Po trzech miesiącach oblężenia piękna gołębiarka ciągle odpowiadała tym samym: „Nie jestem z tych”. Nigdy jednak nie odmawiała przyjmowania listów i zawsze przychodziła na spotkania, aranżowane przez Florentina Arizę w taki sposób, aby wyglądały na przypadkowe. Zmienił się nie do poznania: kochanek, zawsze działający z ukrycia, najbardziej żądny miłości, ale i najbardziej skąpy, ten, co nic nie

dawał, ale chciał wszystko, ten, który nie pozwolił, aby ktokolwiek pozostawił w jego sercu najmniejszy bodaj ślad swej obecności, działający z ukrycia myśliwy rzucił się sam na środek ulicy w ekstazie podpisanych listów, eleganckich prezentów, nieostrożnych spacerów do domu gołębiarki, i to dwukrotnie, gdy mąż nie był ani w podróży, ani na targu. Oto po raz pierwszy i jedyny od zamierzonych czasów pierwszej miłości poczuł się trafiony jej grotem.

W sześć miesięcy od pierwszego spotkania umówili się wreszcie w kajucie jednego ze statków rzecznych, który akurat przemalowywano w jednym z doków. Było to przepiękne popołudnie. Olimpia Zuleta kochała się radośnie, z wdziękiem trzepocącej gołębiarki, a potem lubiła godzinami leżeć nago w powolnym, spokojnym odpoczynku, w którym dla niej było tyleż miłości co w samej miłości. Kajuta była ogołocona, pociągnięta tu i ówdzie farbą a zapach terpentyny zaś znakomicie nadawał się do tego, by zabrać go ze sobą we wspomnieniu szczęśliwego popołudnia. Nagle, pod wpływem niezwykłego natchnienia, Florentino Ariza otworzył znajdującą się w pobliżu koi puszkę z czerwoną farbą, zanurzył w niej palec wskazujący i wymalował na wzgórku łonowym pięknej gołębiarki krwawą strzałę wycelowaną na południe, a na brzuchu napis: „Ta dziupla jest moja”. Tegoż wieczora Olimpia Zuleta nie pamiętając o napisie rozebrała się w obecności męża, on zaś słowem się nie odezwał, nawet tchu mu nie zaparło, nic, w czasie gdy zakładała nocną koszulę, tylko poszedł do łazienki po brzytwę i jednym ruchem poderżnął jej gardło.

Florentino Ariza dowiedział się o tym dopiero po wielu dniach, kiedy zbiegły mąż został schwyty i wyznał gazetom powody i szczegóły zbrodni. Przez wiele lat z trwogą myślał o podpisanych listach, liczył upływające lata kary zasądzonej mordercy, który handlując na jego statkach znał go dobrze, ale nie tyle obawiał się poderżnięcia gardła czy publicznego skandalu, ile pecha: Fermina Daza mogłaby się dowiedzieć o jego wiarołomstwie. W owych latach oczekiwania kobieta opiekująca się Transito Arizą musiała któregoś dnia pozostać na targu dłużej, niż zamierzała, z powodu niespotykanej o tej porze roku ulewy, kiedy zaś wróciła do domu zastała ją już martwą. Siedziała w fotelu na biegunach, jak zwykle wymalowana, cała w kwiatach i z oczami tak pełnymi życia i z tak złośliwym uśmiechem, że jej opiekunka dopiero po paru godzinach zdała sobie sprawę, że Transito Ariza nie żyje. Tuż przed śmiercią rozdała dzieciom z sąsiedztwa fortunę w złocie i biżuterii z dzbanów zakopanych pod łóżkiem, tłumacząc im, że można to jeść jak cukierki, odzyskanie zaś wszystkich, szczególnie tych najcenniejszych, okazało się niemożliwe. Florentino Ariza pochował ją w dawnej hacjendzie La Mano de Dios, wciąż nazywanej

cmentarzem choleryków, sadząc na grobie różany krzew.

Już podczas pierwszych odwiedzin na cmentarzu Florentino Ariza odkrył, że w pobliżu grobu matki pochowana jest Olimpia Zuleta, bez nagrobku, ale z imieniem i datą wypisaną palcem na świeżym cemencie krypty, i ze zgrozą pomyślał, że jest to krwawy żart męża. Kiedy krzew z grobu matki zakwitł, zwykł, jeśli nikogo nie było w pobliżu, kłaść na grobie gołębiarki różę, później zasadził na jej grobie szczep z krzewu matki. Oba krzewy zaczęły rozrastać się z taką radością, iż Florentino Ariza zaczął przychodzić z sekatorem i innymi narzędziami ogrodniczymi, aby utrzymać krzewy w porządku. Okazały się jednak silniejsze od wszystkich jego poczynań: po paru latach oba krzewy rozrosły się, niczym chwasty pomiędzy grobami i poczciwy cmentarz zarazy przybrał od tamtej pory nazwę Cmentarza Róż, dopóki któryś z burmistrzów, o znacznie mniejszym poczuciu realizmu niż mądrość ludowa, w jedną noc nie wyciął krzewów i nie zawiesił na łuku bramy republikańskiego napisu: Cmentarz Powszechny.

Śmierć matki skazała Florentina Arizę na powrót do obłąkańczej codzienności: biuro, spotkania o ściśle wyznaczonej porze ze stałymi kochankami, partie domina w Klubie Handlowym, te same książki o miłości, niedzielne wizyty na cmentarzu. Zardzewiał w rutynie, tak bardzo napawającej go lękiem i tak poniżającej, ale chroniącej go zarazem przed uświadomieniem sobie w pełni swego wieku. Jednak pewnej grudniowej niedzieli, kiedy nagrobne krzewy róż odniosły ostatecznie zwycięstwo nad sekatorem, ujrzał jaskółki na drutach zainstalowanej niedawno linii elektrycznej i nagle zdał sobie sprawę, ile to już czasu upłynęło od śmierci matki, ile od zamordowania Olimpii Zulety, ile zaś od tego innego odległego popołudnia grudniowego, kiedy Fermina Daza wysłała mu list, w którym pisała, że tak, że będzie go zawsze kochać. Do tej pory zachowywał się tak, jakby czas nie upływał dla niego, lecz dla innych. Dopiero co, bo w zeszłym tygodniu, spotkał na ulicy jedną z tylu par, które pobrały się dzięki pisanim przez niego listom i nie poznał ich starszego syna, a swego chrześniaka. Zakłopotany, wybrnął jakoś, ratując się konwencjonalnym zwrotem: „A niech to, przecież to już dorosły mężczyzna!” Wciąż nieodmiennie tak się zachowywał, nawet wtedy, gdy ciało zaczęło wysyłać mu pierwsze sygnały alarmowe, bo zawsze cieszył się żelaznym zdrowiem chorowitych. Transito Ariza zwykła mawiać: „Mój syn chorował tylko na cholere”. Myliła cholere z miłością, rzecz jasna i to dużo wcześniej nim pamięć odmówiła jej posłuszeństwa. Niemniej i tak była w błędzie, gdyż jej syn przeszedł w tajemnicy przed nią sześć rzeźączek, choć lekarz twierdził, że nie sześć, ale jedną i tę samą, powracającą po każdej przegranej batalii. Poza tym chorował raz na kilę, czterokrotnie na szankier i sześciokrotnie na ziarnicę, jednak ani jemu, ani

żadnemu mężczyźnie nie przysłoby do głowy mówić o nich jako o chorobach, lecz jako wojennych trofeach. Ledwie ukończył czterdzieści lat musiał udać się do lekarza z nieokreślonymi bólami w różnych częściach ciała. Po wielu badaniach lekarz powiedział mu: „To wiek”. Wracał zawsze do domu nie zadając sobie nawet pytania, czy to wszystko ma cokolwiek wspólnego z nim.

Jedynym punktem odniesienia w jego przeszłości była bowiem jego ulotna miłość do Ferminy Dazy i jedynie to, co jej dotyczyło miał uwzględniać w swych życiowych rachubach. Owego więc popołudnia, kiedy ujrzał jaskółki na elektrycznych drutach, przyjrzał się ponownie swej przeszłości, od swego najdawniejszego wspomnienia począwszy, przejrzał swoje przygodne miłostki, niezliczoną ilość przeszkód, które musiał pokonać, aby osiągnąć wysokie stanowisko, olbrzymią ilość przypadków, jakie mu się przydarzyły w związku z jego nieugiętym postanowieniem, że Fermina Daza musi należeć do niego, on zaś do niej ponad wszystko i wbrew wszystkiemu, i wtedy dopiero odkrył, że życie mija. Poraził go, aż po trzewia, oślepiający dreszcz, z rąk wypadły mu narzędzia ogrodnicze i musiał oprzeć się o mur cmentarny, żeby nie powalił go pierwszy cios starości.

- O kurwa! - powiedział sam do siebie. - To wszystko było trzydzieści lat temu!

Tak jest. Trzydzieści lat, które nie ominęły, oczywiście, również Ferminy Dazy, choć dla niej były to najwdzięczniejsze i najowocniejsze lata w życiu. Ponure dni w pałacu Casalduero zostały wyrzucone na śmietnisko pamięci. Żyła w swoim nowym domu w La Manga będąc panią swego własnego losu, z mężem, którego, gdyby musiała jeszcze raz wybierać, ponownie przedłożyłaby nad wszystkich innych mężczyzn, z synem kontynuującym rodowe tradycje w Akademii Medycznej i z córką tak bardzo podobną do niej, gdy była w jej wieku, iż czasami opanowywało ją niepokojące wrażenie, że ma przed sobą siebie samą. Zdażyła już trzykrotnie odwiedzić Europę, od czasu owej nieszczęsnej podróży, przedsięwziętej przez nią po to, żeby nigdy tu nie wracać i nie żyć w ciągłym przerażeniu.

Bóg widocznie wysłuchał wreszcie czyjejs modlitwy: po dwuletnim pobycie w Paryżu, kiedy Fermina Daza i Juvenal Urbino właśnie zaczęli odnajdywać to, co pozostawało z ruin miłości, o północy obudziła ich depesza, że doña Blanca de Urbino jest ciężko chora, a zaraz potem nadszedł kolejny telegram z wiadomością o śmierci. Wrócili natychmiast. Fermina Daza zeszła na ląd w żałobnej sukni, która mimo obszernych rozmiarów nie zdołała ukryć jej stanu. Istotnie, była ponownie w ciąży, a wiadomość o tym dała początek popularnej piosence, raczej złośliwej niż szyderczej, o modnym przez resztę roku refrenie: „Co takiego w Paryżu piękną damę rajcuje, co pojedzie, to wraca, bo



brzemienną się czuje”. Pomimo dość pospolitego tekstu, doktor Juvenal Urbino na dowód swego poczucia humoru jeszcze przez wiele lat prosił w Klubie Towarzyskim o jej zagranie. Dostojny pałac markiza de Casalduero, co do którego istnienia i herbów rodowych nigdy nie odnaleziono całkiem wiarygodnych informacji, został sprzedany wpierw Miejskiemu Urzędowi Skarbowemu, następnie zaś za horrendalną sumę rządowi centralnemu, kiedy pewien badacz holenderski rozpoczął w nim prace archeologiczne mające udowodnić, że znajduje się tam grób Krzysztofa Kolumba, już piąty, ale za to prawdziwy. Siostry doktora Urbino przeniosły się do klasztoru salezjanek poddając się regule zakonnej bez składania ślubów, a Fermina Daza na czas ukończenia rezydencji w La Manga zamieszkała w dawnym domu swego ojca. Wprowadziła się tam stąpając pewnie po ziemi, wprowadziła się po to, by rządzić, z angielskimi meblami przywiezionymi jeszcze z podróży poślubnej i dodatkami zakupionymi w czasie podróży pojednania, i już od pierwszego dnia zaczęła wypełniać dom wszelakimi egzotycznymi zwierzętami, kupowanymi przez nią osobiście na goletach przyplływających z Antyli. Wprowadziła się z odzyskanym mężem, z przyzwoicie odchowanim synem, z córką urodzoną w cztery miesiące po powrocie i ochrzczonej imieniem Ofelia. Doktor Urbino ze swej strony pojął, że nie zdoła już odzyskać żony takiej, jaką była dlań podczas podróży poślubnej, bo owa część miłości, której pragnął dla siebie, była tą, którą hojnie obdarzyła dzieci przekazując im wszystko, co w ich miłości było w swoim czasie najlepszego, ale nauczył się z tym żyć zadowolając się resztkami. Tak bardzo upragniona harmonia znalazła swój najdobitniejszy i najmniej przez nich spodziewany wyraz podczas jednej z uroczystych kolacji, kiedy podano wyśmienite danie, którego Fermina Daza nie była w stanie rozpoznać. Zaczęła od sporej porcji, ale zasmakowało jej tak bardzo, że nałożyła sobie kolejną, identyczną porcję, po czym żałując, że krępowana zasadami dobrego wychowania nie nałożyła sobie trzeciej, nagle zdała sobie sprawę, że właśnie zjadła z nieoczekiwaną przyjemnością dwa pełne talerze puree z oberżyn. Poddała się z elegancją: od tej pory w rezydencji w La Manga podawano bakłażany na wszelkie możliwe sposoby, niemal z tą samą częstotliwością, z jaką pojawiały się w pałacu Casalduero i były przez wszystkich tak lubiane, iż doktor Juvenal Urbino umiłował sobie wolne chwile starości powtarzając, iż chciałby mieć jeszcze jedną córkę, aby ją ochrzcić tak bardzo lubianym w rodzinie imieniem:

Oberżyna Urbino.

Fermina Daza już wówczas była świadoma, że życie prywatne, w odróżnieniu od publicznego, jest zmienne i nieprzewidywane. Niełatwo przyszło jej ustalenie rzeczywistych różnic pomiędzy dziećmi a dorosłymi, ale w ostateczności wolała dzieci, bo kierowały się

pewniejszymi kryteriami. Ledwie minęła przylądek dojrzałości, pozbawiona wreszcie jakichkolwiek złudzeń, zaczęła doznawać rozczarowania, ponieważ nigdy nie stała się taką, jaką się widziała w dziewczęcych marzeniach przy skwerze Los Evangelios, lecz - do czego nigdy, nawet w duchu - nie odważyła się przyznać - była luksusową służącą. W towarzystwie stała się w końcu najbardziej uwielbianą osobą, otaczaną największymi względami, a tym samym wzbudzającą największy lęk, ale nigdzie nie stawiano jej większych wymagań niż we własnym domu, w którego prowadzeniu nie przepuszczano żadnego uchybienia. Zawsze czuła, że żyje życiem pożyczonym jej przez męża: absolutna władczyni rozległego imperium szczęścia wzniesionego przez niego i tylko dla niego. Wiedziała, że kocha ją ponad wszystko, jak nikogo na świecie, ale tylko i wyłącznie dla siebie: w świętej służbie dla niego.

Rzeczywistym utrapieniem była udręka codziennych obiadów. Bo nie tylko musiały być podane na czas: musiały być zawsze doskonałe i składać się z tego, na co on miał właśnie ochotę bez uprzedniego pytania go o to.

A jeśli nawet czasami go pytała, traktując to tak jak tyle innych, całkowicie zbędnych ceremonii domowego rytuału, on nie podnosząc nawet wzroku znad gazety, zawsze odpowiadał: „Cokolwiek”. I odpowiadał zgodnie z prawdą, tak miło jak zwykle, bo nie sposób było wyobrazić sobie mniej despotycznego męża. Ale już w porze obiadu nie mogło to być cokolwiek, tylko akurat to, na co miał właśnie ochotę, i bez najmniejszej fuszerki: żeby mięsa nie czuć było mięsem, żeby ryby nie czuć było rybą, żeby wieprzowiny nie czuć było parchem, żeby kurczaka nie czuć było pierzem. Do tego stopnia, że nawet wtedy, kiedy nie było sezonu na szparagi, należało mu je sprowadzić za wszelką cenę, mógł się potem rozkoszować wonnymi oparami własnego moczu. Nie winiła go za to, winiła życie. Ale on, nieodwołalnie, grał w życiu główną rolę. Wystarczyła najlżejsza choćby wątpliwość, żeby natychmiast odsunął talerz, mówiąc:

„To danie jest przyrządzone bez miłości”. Pod tym względem potrafił popadać w fantastyczne stany natchnienia. Kiedyś zaledwie spróbował naparu z rumianku odstawił filiżankę kwitując jego smak jednym zdaniem: „To paskudztwo smakuje oknem”. Zarówno ona, jak i służące zdziwiły się, żadna z nich nie słyszała bowiem o kimś, kto znałby smak gotowanego okna, ale kiedy spróbowały naparu chcąc to zrozumieć, natychmiast zrozumiały: paskudztwo miało smak okna. Był mężem doskonałym: nigdy nie podniósł niczego z podłogi, nie gasił światła, nie zamykał drzwi. Kiedy spostrzegł w ciemnościach poranka brak guzika przy garderobie, słyszała, jak mówił: „Człowiek powinien mieć dwie żony, jedną do miłości, a drugą do przyszywania guzików”. Codziennie przy pierwszym

łyku kawy i przy pierwszym łyku dymiącej zupy wydawał z siebie rozdzierający, choć nikogo już nie przerażający skowyt, który poprzedzał groźbę: „W dniu, kiedy wyprowadzę się z tego domu, wiedźcie, że to dlatego, iż mam już dość chodzenia cały czas z poparzonymi ustami”. Mawiał, że nigdy nie przygotowywano tak smacznych i urozmaiconych obiadów jak w dni, w które nie mógł ich tknąć wskutek zażycia pigułek przeczyszczających i był tak święcie przekonany, że jest to perfidnie uknuty przez małżonkę spisek, iż w rezultacie nie brał żadnych środków, jeśli i ona nie brała ich razem z nim.

Mając już dość tego braku zrozumienia, poprosiła go o niezwykley prezent na swoje urodziny: aby przez jeden dzień podjął się domowych obowiązków. Rozbawiony przystał na to i rzeczywiście, już od świtu, przejął dom we władanie. Podał wspaniałe śniadanie, ale zapomniał, że jaja sadzone jej szkodzą i że nie pije kawy z mlekiem.

Następnie wydał polecenia dotyczące urodzinowego obiadu dla ośmiu zaproszonych gości i tak bardzo się starał, żeby wykazać, iż potrafi zarządzać wszystkim lepiej od niej, że przed południem, nie okazując najmniejszego zażenowania, musiał skapitulować. Już w pierwszej chwili zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się co znajduje, szczególnie w kuchni, służące zaś pozwoliły mu na wywrócenie kuchni do góry nogami w poszukiwaniu czegokolwiek, bo i one przyłączyły się do tej zabawy. O dziesiątej nie podjęto jeszcze żadnych przygotowań do obiadu, bo nie zakończono w domu porządków, nie sprzątnięto sypialni, łazienka nie została wmyta, zapomniał o papierze toaletowym, zapomniał zmienić prześcieradła i wysłać stangreta po dzieci, wreszcie pomylił podział funkcji wśród służby: kucharce kazał pościelić łóżka, pokojówkom zaś gotować. O jedenastej, kiedy lada chwila przybyć mieli goście, rozgardiasz w domu osiągnął już takie rozmiary, że Fermina Daza, ledwie żywa ze śmiechu, przejęła ster, ale bez poczucia triumfu, jakby sobie tego życzyła, lecz zdjeta litością wobec domowej niezaradności męża. On, zraniony, westchnął przytaczając ten sam co zawsze argument: „Przynajmniej nie poszło mi tak źle, jakby poszło tobie, gdybyś próbowała leczyć chorych”. Nauczka nic nikomu nie dała. Z biegiem lat oboje dochodzili, różnymi zresztą drogami, do mądrej konkluzji, że nie da się żyć razem inaczej, ani kochać inaczej: na tym świecie nie ma nic trudniejszego od miłości.

W pełni swego nowego życia Fermina Daza widywała Florentina Arizę z okazji różnych uroczystości, tym częściej, im bardziej awansował w pracy, ale nauczyła się zachowywać z taką naturalnością, iż niejednokrotnie, przez roztargnienie, zapominała przywitać się z nim. Często słyszała, jak o nim mówiono, gdyż w świecie interesu jego spokojny, ale niepowstrzymany awans w KTRz był stałym tematem. Obserwowała, że jego

maniery nabierają ogłady, a nieśmiałość rozmywa się niczym tajemnicza dal, że służy mu lekka nadwaga, że pasuje do niego powolność właściwa jego wiekowi i że z godnością znosi spustoszenia poczynione przez łysinę. Jedyną rzeczą, od której nigdy nie odstąpił, mimo upływającego czasu i zmieniającej się mody, były jego ponure ubrania, anachroniczne surduty, jeden jedyny kapelusz, poetyckie kokardy z pasmanterii jego matki, złowrogi parasol. Fermina Daza stopniowo przyzwyczała się spostrzegać go inaczej, by ostatecznie przestać go łączyć z owym chudym młodzieńcem, który siadywał w huraganie żółtych liści skweru Los Evangelios, by wzdychać do niej. W każdym razie nigdy nie patrzyła na niego obojętnie i zawsze cieszyła się z dobrych wiadomości o nim, bo powoli uwalniały ją z poczucia winy. A jednak, kiedy już sądziła, że całkowicie wymazała go z pamięci, pojawił się w najmniej przez nią spodziewanym miejscu, przeistoczony w zjawę z jej nostalgii.

Wraz z pierwszymi podmuchami starości zaczęła przeczuwać, że coś nieodwracalnego staje się w jej życiu zawsze, gdy odzywa się grzmot przed ulewą. Była to nie zagojona rana od pojedynczego, kamienistego pioruna, rozlegającego się przez wszystkie dni październikowe punktualnie o trzeciej po południu w górach Villanueva, którego wspomnienie stawało się z latami coraz wyraźniejsze. Podczas gdy nowsze wspomnienia zamazywały się po paru dniach w pamięci, te związane z legendarną podróżą przez prowincję kuzynki Hildebrandy stawały się, z perwersyjną ostrością nostalgii, tak żywe, jakby wszystko to miało miejsce wczoraj. Przypominała sobie Manaure, górskie Manaure, jego jedyną, prostą i zieloną uliczkę, jego ptaki na dobrą wróżbę, dom pełen lęków, gdzie budziła się w nocnej koszuli przemoczonej rzewnymi łzami Petry Morales,, zmarłej z miłości wiele lat przedtem w tym samym łóżku, w którym teraz spała Fermina Daza. Przypominała sobie ówczesny smak guajaw, który już nigdy | później nie był taki sam, przecucia tak intensywne, że ich szum przypominał szum deszczu, topazowe wieczory w San Juan del Cesar, kiedy wychodziła na spacer z swym dworem rozświergotanych kuzynek i zaciskała zęby, by serce nie wyskoczyło jej z gardła, kiedy zbliżały się do urzędu telegraficznego. Sprzedała bez targów dom ojca, bo nie mogła wytrzymać bólu młodości, widoku z balkonu na smutny skwer, tajemniczej woni gardenii w upalne noce, przerażenia na widok portretu dawnej damy w lutowym zmierzchu, kiedy przesądzony został jej los, i gdziekolwiek sięgnęła pamięcią w tamte czasy, zawsze potykała się o wspomnienie Florentina Arizy. Była jednak na tyle rozsądna, że zdawała sobie sprawę, iż nie są to wspomnienia miłosne ani też wynikające z wyrzutów sumienia, lecz obraz nieokreślonej przykrości, pozostawiający ślady łez. Nie była świadoma tego, że grozi jej ta sama pułapka współczucia, która zgubiła tyle zaskakiwanych, ofiar Florentina Arizy.

Mocno chwyciła się męża. Właśnie wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował, starszy bowiem od niej o dziesięć lat, z wszystkimi, niekorzystnymi dla siebie konsekwencjami, błąkał się sam i na oślep we mgle podeszłego wieku, bo nie tylko był mężczyzną, ale i znacznie słabszym człowiekiem. Znali się nawzajem tak dalece, iż mając za sobą prawie trzydzieści lat małżeństwa byli niczym jedna, choć rozdzielona istota i nierzadko czuli się zażenowani tym, iż tak często, wcale nie mając takich intencji, odgadują swoje myśli czy też narażają się na śmieszność, gdy w towarzystwie jedno z nich mówi to, co drugie zamierzało właśnie powiedzieć. Razem przewyciężyli powszednie niezrozumienie, chwilowe nienawiści, wzajemne świństwa i fantastyczne błyskawice chwały małżeńskiego współnictwa. Był to czas ich najlepszej miłości, kiedy kochali się bez pośpiechu i bez ekscesów, coraz bardziej świadomi i wdzięczni losowi za swoje nieprawdopodobne zwycięstwa nad wszelkimi przeciwnościami. Życie, oczywiście, miało ich jeszcze poddać innym śmiertelnym próbom, ale to już było nieważne: dotarli na drugi brzeg.

Z okazji związanych z nadejściem nowego wieku uroczystości przygotowano program obchodów pełen wspaniałych atrakcji, spośród których najbardziej pamiętny okazał się pierwszy lot balonem, efekt niewyczerpanej pomysłowości doktora Urbino. Pół miasta zebrało się na Plaży Arsenалу, by podziwiać ogromny balon z tafty w barwach narodowych, mający zainaugurować pocztę lotniczą do leżącego około trzydziestu mil na północny wschód w linii prostej San Juan de la Cienaga. Doktor Juvenal Urbino i jego małżonka, znający już balonowe emocje z paryskiej Wystawy Światowej, jako pierwsi weszli do wiklinowego kosza, razem z inżynierem lotu i sześcioma zaproszonymi notablami. Wieźli ze sobą list od gubernatora prowincji do władz miejskich San Juan de la Cienaga, w którym ogłaszano na użytek potomności, iż jest to pierwsza poczta wysłana drogą powietrzną. Jeden z kronikarzy „Diario del Comercio” zapytał doktora Juvenala Urbino, jakie byłyby jego ostatnie słowa, gdyby przyszło mu zginąć podczas tej eskapady, on zaś bez namysłu udzielił odpowiedzi, po której spotkać go miało tyle krzywdzących obelg:

- W moim mniemaniu - powiedział - wiek XIX dla całego świata odchodzi w przeszłość, tylko nie dla nas.

Zagubiony pośród szczerze wzruszonego tłumu, śpiewającego Hymn Narodowy w trakcie wznoszenia się balonu, Florentino Ariza, usłyszawszy wypowiedziany przez jednego z gapiów komentarz, gotów był uznać za własną ową opinię, że nie jest to najwłaściwsza przygoda dla kobiety, a tym bardziej dla kobiety w wieku Ferminy Dazy. Mimo wszystko nie było to aż tak niebezpieczne. A przynajmniej nie tyle niebezpieczne co przygnębiające.

Balon bez żadnych problemów dotarł do swego miejsca przeznaczenia, odbywszy przyjemną podróż po nieprawdopodobnie błękitnym niebie. Lot był dobry, lecieli nisko, przy łagodnym i sprzyjającym wietrze, wpierw nad ośnieżonymi łańcuchami gór, a później nad rozległym obszarem mokradeł Cienaga Grandę.

Z wysokości nieba ujrzeli, tak jak je spotrzągał sam Bóg, ruiny bardzo starego i bohaterskiego miasta, Cartagena de Indias, najpiękniejszego miasta świata, opuszczonego teraz przez mieszkańców w obawie przed cholera, po zwycięskim, trwającym trzy stulecia odpieraniu i przetrzymaniu angielskich oblężeń i korsarskich gwałtów. Ujrzeli nienaruszone mury, chwasty zarastające ulice, fortyfikacje pokonane przez bratki, marmurowe pałace i złote ołtarze z wicekrólami przeżartymi w swoich zbrojach zarazą do szpiku kości.

Lecieli nad osadzonymi na palach, wymalowanymi w wariackie kolory domkami Trojas de Cataca, nad ich hodowlanymi zagrodami jadalnych iguan, kiściami balsamin i alstromerii w nawodnych ogródkach. Setki nagich dzieci, zachęcanych ogólnym wrzaskiem, wskakiwało do wody, wyskakiwało przez okna, skakało z dachów, rzucało się ze sterowanych z zadziwiającą sprawnością czółen i nurkowało jak delfiny, by wylawiać zawiniątka z ubraniami, flakoniki z maścią kamforową na kaszel i żywność pochodzącą z dobroczynnych akcji - wszystko to rzucała im z balonowego kosza piękna pani w kapeluszu z piórami.

Lecieli nad oceanem cienistych plantacji bananowych, których cisza unosiła się ku nim jak śmiertelne opary, i Fermina Daza przypomniała sobie wówczas czasy, kiedy miała trzy, może cztery latka i przechadzała się przez mroczny gaj, trzymając za rękę matkę, też będącą prawie dzieckiem, pośród innych kobiet ubranych, jak i ona, w muśliny, w kapeluszach z gazy i z białymi parasolkami. Inżynier pokładowy, obserwujący świat przez lunetę, powiedział: „Wyglądają jak trupy”. Podał lunetę doktorowi Juvenalowi Urbino, ten zaś ujrzawszy między zasiewami woły zaprzęzione do wozów, pasy ochronne wzdłuż linii kolejowej, ścięte lodem kanały nawadniające i wszędzie, gdziekolwiek skierował wzrok, leżące ciała ludzkie. Ktoś powiedział, iż skądinąd mu wiadomo, że cholera sieje ogromne spustoszenia wśród ludności Cienaga Grandę. Doktor Urbino odpowiadając nie odrywał lunety od oka.

- Jest to widocznie jakaś specyficzna odmiana cholery - powiedział - bo każdy trup ma w potylicy ślad po strzale.

Niebawem znaleźli się nad spienionym morzem i bez żadnych niespodzianek wylądowali na rozgrzanej plaży, której popękany saletrzany grunt parzył żywym ogniem.

Tam czekały na nich miejscowe władze, osłaniając się przed słońcem jedynie zwykłymi, używanymi na co dzień parasolami, czekała wymachująca chorągiewkami w rytm hymnów szkolna dziatwa, królowe piękności w koronach ze złożonego kartonu i ze zwiędłymi od spiekoty bukietami oraz kwiat niewieści bogatego miasta Gayra, czyli najpiękniejsze w owych czasach kobiety na wybrzeżu karaibskim. Fermina Daza pragnęła jedynie jeszcze raz zobaczyć rodzinne miasteczko i porównać je ze swoimi najstarszymi wspomnieniami, nikomu nie pozwolono jednak na zwiedzanie, a to ze względu na niebezpieczeństwo zarazy. Doktor Juvenal Urbino wręczył władzom historyczny list, który później zawieruszył się pośród innych papierów i nigdy go już nie odnaleziono, a zgromadzone towarzystwo omal się nie udusiło w spiekocie przemówień. Przetransportowano ich wreszcie na mułach do przystani w Pueblo Viejo, gdzie trzęsawiska łączyły się z morzem, inżynier nie zdołał bowiem doprowadzić do ponownego wzniesienia się balonu. Fermina Daza była przekonana, iż dawno temu, gdy była małym dzieckiem, przejeżdżała tamtędy z matką wozem ciągniętym przez zaprzęg wołów. Już jako dorosła dziewczyna wielokrotnie opowiadała to ojcu, on zaś do śmierci utrzymywał, że jest rzeczą absolutnie niemożliwą, żeby mogła to pamiętać.

- Pamiętam bardzo dobrze tę podróż i było dokładnie tak, jak mówisz - powiedział jej - ale to się działo co najmniej pięć lat przed twoim urodzeniem. Uczestnicy wyprawy balonowej wrócili do macierzystego portu trzy dni później, wycieńczeni całonocną burzą i witani przez miasto jak bohaterowie. W tłumie stał też oczywiście Florentino Ariza, który dostrzegł na twarzy Ferminy Dazy ślady przemęczenia. Niemniej, tego samego popołudnia ujrzał ją ponownie na pokazie cyklistów, zorganizowanym również z inicjatywy męża, i nie było widać po niej jakichkolwiek oznak zmęczenia.

Prowadziła niezwykle welocyped, przypominający raczej jakąś maszynę cyrkową, z niezwykle wysokim przednim kołem, nad którym siedziała, i bardzo małym tylnym, ledwie służącym do utrzymania równowagi. Ubrana była w bufiaste szarawary z kolorowymi lamówkami, wzbudzając ogólne zgorszenie starszych dam i zakłopotanie wśród panów, nikt jednak nie pozostał obojętny wobec jej zrzeczności.

Takie oto właśnie i jeszcze inne ulotne obrazy nagromadzone w ciągu tylu lat objawiały się Florentinowi Arizie niespodziewanie, na chybił trafił, i znikwały równie szybko, jak się pojawiały, pozostawiając w jego sercu sieczkę niepokoju. Wyznaczały jednak rytm jego życia, poznał bowiem okrucieństwo czasu nie tyle na własnej skórze, ile na nieuchwytnych zmianach dostrzeganych w Ferminie Dazie, za każdym razem gdy ją widział. Pewnego wieczoru zaszedł do „Mesón de don Sancho”, eleganckiej restauracji

kolonialnej, i zajął, jak zwykł to czynić, kiedy samotnie siadał do swych podwieczorków wróbelka, najbardziej oddalony stolik. Nagle, w olbrzymim lustrze wiszącym w głębi sali, zauważył przy stole Ferminę Dazę, z mężem i dwiema innymi parami, a że siedział pod odpowiednim kątem, mógł przyglądać się jej odbiciu w całym jej blasku. Była całkowicie bezbronna w trakcie rozmowy prowadzonej z wdziękiem i przerywanej co chwila śmiechem wybuchającym niczym sztuczne ognie, a jej uroda jaśniała większym niż kiedykolwiek blaskiem w świetle ogromnych żyrandoli z kryształowych łez: Alicja znowu znalazła się po drugiej stronie lustra.

Florentino Ariza z zapartym tchem sycił się jej widokiem, patrzył, jak sięga po jedzenie, patrzył, jak ledwie próbuje wina, patrzył, jak przekomarza się z czwartym z rodu don Sanczów, razem z nią przeżył chwilę jej życia przy swoim pustym stole i przez nikogo nie zauważony odbył ponadgodzinną przechadzkę po zabronionym terenie jej intymności. Następnie wypił kolejne cztery filiżanki kawy, aby posiedzieć dłużej, dopóki nie ujrzał jej wychodzącej wraz z całą grupą. Przeszli tak blisko, iż rozpoznał jej zapach pośród podmuchów innych perfum towarzyszących jej kobiet. Od tej nocy począwszy, niemal przez cały rok naprzykrzał się właścicielowi restauracji, oferując mu wszystko, czego by w życiu najbardziej pragnął, w pieniądzech lub w przysługach, lub w czym tylko by zechciał, byleby mu sprzedał lustro. Szło mu nader opornie, bo stary don Sancho wierzył w legendę, że owa przepiękna rama, wyrzeźbiona przez weneckich ebenistów, była drugim egzemplarzem po, stanowiącej własność Marii Antoniny bliźniaczej ramie, która zniknęła bez śladu: dwa unikalne klejnoty. Kiedy wreszcie uległ, Florentino Ariza powiesił lustro u siebie w salonie, bynajmniej nie dla urody ramy, lecz dla jej wewnętrznej przestrzeni, którą przez dwie godziny zajmował ukochany wizerunek.

Gdy spotykał Ferminę Dazę, najczęściej szła trzymając męża pod rękę, oboje zaś, całkowicie do siebie dopasowani, poruszali się w swoim własnym kręgu z zadziwiającą płynnością syjamskich bliźniąt, załamującą się jedynie wtedy, kiedy się z nim witali. Doktor Juvenal Urbino ścisnął mu dłoń, w rzeczy samej, po przyjacielsku, przy niektórych okazjach posuwając się nawet do poklepania go po ramieniu. Ona zaś, poddając go karze bezosobowego rytuału towarzyskiej uprzejmości, nigdy nie uczyniła najmniejszego gestu, dzięki któremu mógłby przynajmniej przypuszczać, że pamięta go ze swych panieńskich czasów. Żyli w dwóch odmiennych światach, ale podczas gdy on chwycił się rozpaczliwie wszystkich możliwych sposobów, aby zmniejszyć dzielący ich dystans, ona nie zrobiła niczego, co nie prowadziłoby w kierunku wprost przeciwnym. Upłynęło wiele czasu, zanim odważył się pomyśleć, iż owa obojętność nie była niczym innym jak pancierzem przed



strachem. Przyszło mu to niespodziewanie na myśl podczas wodowania pierwszego statku rzecznyego wybudowanego w miejscowej stoczni, która to uroczystość stała się zarazem pierwszą sposobnością oficjalnego reprezentowania wuja Leona XII przez Florentina Arizę pełniącego funkcję wiceprezesa KTRz. Ten zbieg okoliczności przydał uroczystościom specjalnej rangi, nie zabrakło więc na nich żadnej ze znaczących w życiu miasta osobistości.

Florentino Ariza zajmował się właśnie gośćmi w głównym, pachnącym jeszcze świeżą farbą i rozpuszczoną smołą salonie statku, kiedy na nabrzeżu rozległa się potężna burza oklasków, orkiestra zaś oddała triumfalną salwę marsza. Musiał powstrzymać dreszcze, niemal tak stare jak on sam, gdy ujrzał piękną, trzymającą się ramienia męża kobietę swoich snów, wspaniałą w swej dojrzałości, kroczącą niczym królowa z innych czasów w szpalerze kompanii honorowej w paradnych mundurach, w zawierusze serpentyn i kwiatnych płatków, rzucanych jej z okien. Oboje odpowiadali na owacje dziękczynnym ruchem dłoni, ona jednak wyglądała tak olśniewająco, iż zdawała się iść samotnie pośród tłumu, ubrana cała w imperialne złoto, począwszy od pantofelków na wysokim obcasie i etoli z lisich kit, a na oszalałymi kapeluszu skończywszy.

Florentino Ariza oczekiwał ich na mostku, razem z władzami prowincji, pośród ogłuszającego huku muzyki, petard i przeciągłego trzykrotnego wycia syreny, które spryskało parą całe nabrzeże. Juvenal Urbino przywitał się z czekającym nań szeregiem z taką właściwą mu naturalnością, iż każdy z tych ludzi był przekonany, że doktor darzy go jakimiś specjalnymi względami: wpierw z kapitanem statku w galowym mundurze, następnie z arcybiskupem, potem z gubernatorem i jego małżonką, później z burmistrzem i burmistrzową, wreszcie z dowódcą okręgu wojskowego, niedawno przybyłym z Andów. Tuż za przedstawicielami władz stał, ledwie widoczny wśród tylu notabli, Florentino Ariza ubrany w czarny płócienny surdut. Przywitawszy się z dowódcą wojskowym, Fermina jakby zawahała się na widok wyciągniętej dłoni Florentina Arizy. Wojskowy, gotów przedstawić ich sobie, zapytał ją, czy się nie znają. Nie powiedziała ani tak, ani nie, podając jedynie Florentinowi Arizie dłoń z salonowym uśmiechem. Zdarzyło się to już dwukrotnie w przeszłości i miało się zdarzyć jeszcze parę razy, Florentino Ariza przyjmował więc to zawsze jako właściwy dla charakteru Ferminy Dazy sposób bycia. Tego jednak popołudnia, w swej nieograniczonej umiejętności ludzenia się, zastanowił się, czy tak zacięta obojętność nie jest aby pretekstem do zatajenia udreki miłosnej.

Już sama myśl rozbudziła w nim tęsknoty. Ponownie zaczął krążyć wokół siedziby Ferminy Dazy pchany takim samym pragnieniem, jakie wiele lat temu kazało mu krążyć po

parku Los Evangelios, tym razem jednak nie z powziętym z góry zamiarem, by zostać przez nią zauważonym, lecz wyłącznie pragnąc ją ujrzeć i upewnić się, że jeszcze istnieje. Z tą różnicą, iż teraz trudno mu było przejść niezauważonym. Dzielnica La Manga znajdowała się na wyspie oddzielonej od historycznych granic miasta kanałem zielonych wód, niemal pustynnej i porośniętej krzewami icaco, które w czasach Kolonii służyły za schronienie niedzielnym kochankom. W późniejszych latach zburzono stary kamienny most Hiszpanów i wybudowano inny, solidny, z jarzącymi się kloszami świateł latarni, aby umożliwić przejazd nowym, ciągniętym przez muły tramwajom. Z początku mieszkańcy La Manga musieli cierpieć nie przewidziane przez projektodawców katusze: nocleg w pobliżu pierwszej wybudowanej w mieście elektrowni, której praca powodowała nieustanne drżenie ziemi. Nawet doktor Juvenal Urbino, mimo swego autorytetu, nie zdołał doprowadzić do przeniesienia jej w takie miejsce, gdzie nie zawadzałyby nikomu, dopóki nie dopomogły mu jego wypróbowane konszachty z boską opatrnością. Pewnej nocy w elektrowni nastąpiła potworna eksplozja, kocioł przeleciał nad nowymi budynkami, przemierzył niebo nad połową miasta i uderzył w główny krużganek klasztoru świętego Juliana Gościnnego. Stary i zrujnowany budynek stał już pusty od początku owego roku, ale kocioł spowodował śmierć czterech więźniów, którzy tej właśnie nocy zbiegli z miejscowego więzienia chroniąc się w kaplicy. Owo spokojne przedmieście, z tak pięknymi miłosnymi tradycjami, przeistoczywszy się w luksusową dzielnicę nie było najwłaściwszym miejscem dla trudnych miłości. Ulice latem pokryte były warstwami kurzu, zimą tonęły w błocie, a przez cały rok zionęły pustką, stojące zaś gdzieś domy ukryte pośród gęsto zarośniętych ogrodów miały wyłożone mozaikami tarasy zamiast dawnych wysoko zawieszonych balkonów, wybudowanych jakby specjalnie po to, by odstręczać kłusujących zalotników. Pociuszające przynajmniej było to, iż w owym czasie nastąpiła moda na popołudniowe przejażdżki w starych wynajmowanych Wiktoriach przerobionych na jednokonki, a spacer te kończyły się na jednym ze wzgórz, skąd lepiej niż z latarni morskiej można było podziwiać rozdzierające zmierzchy października i obserwować podstępne rekiny czyhające przy plaży seminarzystów, a także ogromny biały czwartkowy transatlantyk, który w chwili, gdy przepływał kanałem portowym, można było niemal dotknąć ręką. Florentino Ariza zwykł po ciężkim dniu w biurze wynajmować wiktoria, ale nie składał budy, jak to było w zwyczaju w okresie upałów, lecz tkwił w jej wnętrzu ukrywając się w głębi, niewidzialny w jej mroku, zawsze sam i zawsze wydając zaskakujące polecenia co do kierunku jazdy, aby nie wzbudzać podejrzliwości woźnicy. Jedynym interesującym go celem przejażdżki był niemal niewidoczny pomiędzy liściastymi gałęziami

drzew bananowych i mango partenon z różowawego marmuru, niefortunna replika idyllicznych rezydencji z plantacji bawełnianych Luizjany. Dzieci Ferminy Dazy wracały do domu tuż przed piątą. Florentino Ariza widział, jak przyjeżdżają rodzinnym powozem i jak potem doktor Juvenal Urbino wychodzi i wyrusza w swą codzienną trasę lekarskich wizyt, ale przez niemal rok tych spacerów nie mógł dostrzec najmniejszego choćby, tak przez niego upragnionego sygnału.

Pewnego popołudnia, kiedy uparł się, że wybierze się na samotną przejażdżkę, mimo że zaczęła się już pierwsza z niszczycielskich ulew czerwcowych, koń, poślizgnąwszy się w błocie, przewrócił się. Florentino Ariza z przerażeniem zdał sobie sprawę, że znajdują się dokładnie przed rezydencją Ferminy Dazy, i nie pomyślawszy nawet, że jego konsternacja może go zdekonspirować, błagalnie krzyknął do woźnicy.

- Nie tutaj, błagam! Wszędzie, tylko nie tutaj.

Ogłupiały z powodu tego ponagłania, woźnica usiłował podnieść konia nie wyprzegając go i w rezultacie złamał dyszel. Florentino Ariza wylazł z powozu, jak potrafił, cierpliwie znosząc później upokorzenie w srogim deszczu, aż w końcu inni spacerowicze zaoferowali mu pomoc, i odwieźli go do domu. Gdy jeszcze czekał, jedna z służących rodziny Urbino, spostrzegłszy go w przemoczonym ubraniu, brodzącego w błocie po kolana, zaniósła mu parasol, aby mógł schronić się na tarasie. Florentino Ariza w swych najśmielszych majakach nie śnił o takim szczęściu, teraz jednak wolałby umrzeć, niż ukazać się oczom Ferminy Dazy w tak oplakany stan.

Mieszkając na starym mieście, Juvenal Urbino w każdą niedzielę udawał się wraz z rodziną pieszo do katedry, na mszę o godzinie ósmej, na której obecność miała charakter bardziej towarzyski niż religijny. Później, gdy przeprowadzili się do nowego domu, przez wiele lat jeździli do katedry powozem, pozostając czasami nieco dłużej, by pogawędzić z przyjaciółmi pod palmami w parku. Kiedy jednak w La Manga wybudowano seminarium duchowne, posiadające, poza własnym kościołem, prywatną plażę i własny cmentarz, rodzina Urbino, wyjąwszy nader uroczyste okazje, przestała bywać w katedrze. Nic nie wiedząc o tych zmianach, Florentino Ariza przez wiele niedziel czekał na tarasie „Parafialnej” pilnując wyjścia po każdym z trzech nabożeństw. Później zrozumiał swój błąd i udał się do nowego kościoła, jeszcze do niedawna będącego w modzie, i tam, punktualnie o ósmej, odnalazł doktora Juvenala Urbino ze swymi dziećmi i nadal spotykał ich przez cztery kolejne sierpniowe niedziele, ale Ferminy Dazy z nimi nie było. W jedną z tych niedziel odwiedził przyległy nowy cmentarz, na którym rezydenci osiedla La Manga budowali swe okazałe grobowce, i serce mu się ścisnęło, kiedy dostrzegł w cieniu

ogromnych ceib najokazalszy ze wszystkich, ukończony już, z gotyckimi witrażami, z marmurowymi aniołami i złotymi literami na złotych tablicach dla całej rodziny. Między nimi, oczywiście, była tablica pani Ferminy Dazy Urbino de la Calle, obok zaś jej męża, ze wspólnym epitafium: „Razem również w pokoju Pana”.

Przez resztę roku Fermina Daza nie uczestniczyła w żadnej z oficjalnych ani towarzyskich uroczystości, nawet w uroczystościach bożonarodzeniowych, podczas których tak ona, jak i jej mąż byli zazwyczaj głównymi protagonistami. Ale najbardziej dało się odczuć jej nieobecność podczas koncertu inauguracyjnego kolejnego sezonu operowego. W czasie przerwy Florentino Ariza znalazł się przy grupie, w której bez wątplenia mówiono o niej, nie wymieniając jej nazwiska. Mówili, że ktoś widział, jak w czerwcu wsiadała o północy na pokład płynącego do Panamy transatlantyku towarzystwa Cunard, ukrywając twarz za ciemną woalką, aby nie można było dostrzec śladów zżerającej ją wstydlivej choroby. Ktoś zapytał, co to za przypadłość śmiała dotknąć kobietę o tak niespożytych siłach, odpowiedź zaś, którą otrzymał pytający, przepojona była czarną żółcią:

- Tak dystygowana dama może mieć jedynie suchoty.

Florentino Ariza wiedział, że bogaci z jego stron nie chorują na krótkotrwałe choroby. Albo umierali nagle, niemal zawsze w przededniu jednego z większych świąt, które w związku z żałobą przepadało, albo gaśli w chorobach powolnych i odrażających, których intymne szczegóły stawały się w końcu wiadome wszystkim. Odsobnienie w Panamie oznaczało dla bogaczy niemal przymusową pokutę. Poddawali się woli bożej w Szpitalu Adwentystów, ogromnej białej szopie zagubionej w prehistorycznych ulewach zatoki Darien, gdzie zdezorientowani pacjenci nie mogli się doliczyć, jak mało życia im jeszcze pozostawało, i w której pojedynczych pokojach z osłoniętymi płótnem oknami nikt nie mógł być całkowicie i do końca pewny czy zapach kwasu karbolowego oznacza zdrowie czy śmierć. Ozdrowieńcy wracali obładowani wspaniałymi prezentami, które rozdawali pełnymi garściami, z niejakim lękiem, czy aby zostanie im wybaczone ów nietakt, że przeżyli. Niektórzy mieli brzuchy porwane barbarzyńskimi bliznami, jakby rany zszywane były dratwą, w czasie wizyt unosili koszulę, by pochwalić się nimi, porównać je z bliznami tych, którzy zmarli dusząc się z nadmiaru szczęścia i przez resztę swoich dni nieustannie opowiadali i opowiadali o anielskich wizjach, jakie mieli pod wpływem chloroformu. Nikt natomiast nie poznał nigdy wizji tych, którzy nie powrócili, a spośród nich tych najsmutniejszych: zmarłych na wygnaniu w pawilonie gruźlików, bardziej ze smutku w trapiącym ich deszczu niż w wyniku choroby. Florentino Ariza nie wiedział, co wolałby dla Ferminy Dazy, gdyby miał wybór. Przede wszystkim jednak wolał prawdę, nawet gdyby

była nie do zniesienia, i choć wytrwale jej szukał, nie dotarł do niej. Wydawało mu się czymś niepojętym, że nie znalazł się nikt, kto mógłby wskazać najmniejszy chociaż ślad potwierdzający krążącą wersję. W świecie statków rzecznych, a więc w jego świecie, nie było takiej tajemnicy, której udałoby się dochować, ani takiej poufnej informacji, którą można byłoby utrzymać w sekrecie. Niemniej o kobiecie w czarnej woalce nikt nie słyszał. Nikt nic nie wiedział, i to w mieście, gdzie wiadano wszystko, a o wielu rzeczach wiadano nawet wcześniej, zanim się zdarzyły. Przede wszystkim wśród bogaczy. Ale i w tym gronie nikt nie potrafił wyjaśnić powodów zniknięcia Ferminy Dazy. Florentino Ariza nadal krążył po La Manga, niezbyt nabożnie wysłuchując mszy w bazylice seminarium, uczestnicząc w uroczystościach, które w innym stanie ducha darowałby sobie bez żalu, mijający jednak czas potwierdzał jedynie wiarygodność wersji. Wszystko wydawało się normalne w domu Urbinów, oprócz braku matki.

Pośród tych dociekań natrafił na informacje, których nie znał lub wcale nie szukał, między nimi zaś na wiadomość o śmierci Lorenza Dazy w jego rodzinnym kantabryjskim miasteczku. Pamiętał, że przez wiele lat widywał go w „Parafialnej” w trakcie wrzaskliwych wojen szachowych, w których uczestniczył zdartym od ciągłego gadania głosem, coraz grubszy i coraz bardziej zgorzkniały, w miarę jak tonął w ruchomych piaskach złej starości. Od czasu niesympatycznego śniadania z anyżówką w ubiegłym wieku nie zamienili ze sobą słowa i Florentino Ariza był święcie przekonany, że Lorenzo Daza wciąż je wspomina z tą samą co i on niechęcią, choć przecież postawił na swoim i tak świetnie wydał córkę za mąż, co było jedynym sensem jego życia. Tak bardzo jednak pragnął dojść prawdy o zdrowiu Ferminy Dazy, iż ponownie zaszedł do „Parafialnej”, by usłyszeć ją wprost od ojca, w czasie kiedy miał tam miejsce historyczny turniej, w którym Jeremiasz de Saint - Amour zagrał przeciwko czterdziestu dwóm przeciwnikom. I tak oto dowiedział się, że Lorenzo Daza zmarł i nowina ta ucieszyła go z całego serca, choć zdawał sobie sprawę, jaka jest cena tej radości: nadal nie będzie znał prawdy.

Ostatecznie przyjął jako najpewniejszą wersję o szpitalu dla nieuleczalnie chorych, za jedyne pocieszenie mając tylko znane przysłowie: „Chora kobieta, wieczna kobieta”. W dniach największego przygnębienia wystarczała mu myśl, że wiadomość o śmierci Ferminy Dazy, gdyby do niej rzeczywiście doszło, mimo wszystko dotarłaby nieproszona i do niego.

Nie sądzone jej było dotrzeć kiedykolwiek. Fermina Daza, żywa i zdrowa, przebywała bowiem w hacjendzie, gdzie jej kuzynka Hildebranda Sanchez żyła zapomniana od Boga i ludzi, pół mili od osady Flores de Maria. Fermina Daza odjechała bez awantur i scen, za obopólną zgodą, w chwili gdy oboje uwikłani byli, niczym para

niedojrzałych dzieciaków, w jedyny poważny kryzys, jaki dotknął w ciągu dwudziestu pięciu lat ich trwałe małżeństwo. Spadło to na nich w spokoju pełnej dojrzałości, kiedy czuli się już całkowicie bezpieczni przed jakąkolwiek pułapką losu, z dorosłymi już i dobrze odchowanimi dziećmi i z otwierającą się przed nimi przyszłością, w której mogliby uczyć się starzenia bez goryczy. Było to dla nich na tyle niespodziewane, iż nie chcąc rozwiązywać tego za pomocą krzyków, łez i pośredników, jak to było przyjęte na Karaibach, lecz odwołując się do mądrości narodów europejskich, zaczęli w końcu, od tego bycia ni stąd ni stamtąd, brodzić w dziecięcej sytuacji znikąd. Fermina Daza postanowiła wreszcie wyjechać, nie bardzo wiedząc dlaczego ani po co, po prostu z czystej wściekłości, on zaś nie był w stanie wyperswadować jej tej decyzji, ubezwłasnowolniony własnym poczuciem winy.

Fermina Daza rzeczywiście w największej tajemnicy, z twarzą osłoniętą żalobną mantylką, weszła o północy na pokład, ale nie transatlantyku Cunarda płynącego do Panamy, lecz stateczku pływającego regularnie do San Juan de la Cienaga, miasta, w którym urodziła się, przeżyła dzieciństwo i za którym tęsknota stawała się z każdym rokiem coraz bardziej nie do zniesienia. Wbrew woli męża i wbrew ówczesnym zwyczajom, wzięła ze sobą do towarzystwa jedynie piętnastoletnią wychowaną dorastającą pomiędzy domową służbą, niemniej ojej podróży powiadomiono kapitanów wszystkich statków i władze każdego portu. Kiedy naprędce podjęła decyzję, oznajmiła dzieciom, iż na trzy miesiące udaje się na wypoczynek do ciotki Hildebrandy, ale zdecydowana była pozostać tam na zawsze. Doktor Juvenal Urbino zbyt dobrze znał jej stanowczy charakter, poza tym czuł się tak przygnębiony, że przystał na to z pokorą, traktując to jako karę boską za swoje ciężkie przewinienia. Ale jeszcze światelka statku nie zdążyły zniknąć na dobre, a już oboje zaczęli żałować swych słabości. Mimo utrzymywania konwencjonalnej korespondencji z informacjami o samopoczuciu dzieci i innych sprawach domowych, upłynęły niemal dwa lata, a żadne z nich nie potrafiło odnaleźć takiej powrotnej drogi, która nie byłaby zaminowana dumą. W drugim roku dzieci przyjechały do Flores de Maria, by spędzić tu wakacje, i Fermina Daza czyniła wszystko, co możliwe i niemożliwe, aby wyglądało na to, że jest zadowolona ze swego nowego życia. Do takich przynajmniej konkluzji doszedł Juvenal Urbino czytając listy syna. W tych samych dniach przebywał tam zresztą z pasterską wizytą biskup z Riohacha, dosiadając pod osłoną baldachimu swej słynnej białej mulicy w haftowanym złotem czapraku.

Za nim nadciągnęli pielgrzymi z najodleglejszych miejscowości, akordeoniści, wędrowni straganiarze i sprzedawcy amuletów i przez trzy dni hacjenda pełna była

inwalidów i nieuleczalnie chorych, którzy w rzeczywistości nie przychodzili dla uczonych kazań i całkowitych odpustów, lecz z powodu mulicy, o której wieść niosła, iż za plecami swego właściciela czyni cuda. Biskup, wielce zaprzyjaźniony z domem Urbinów de la Calle, i to od dawna, bo od czasów, gdy był zaledwie najzwyczajszym sługą bożym, zrejterował pewnego popołudnia z własnego jarmarku pragnąc zjeść obiad w hacjendzie Hildebrandy. Po obiedzie, w czasie którego rozprawiano wyłącznie o sprawach ziemskich, odciągnął na bok Ferminę Dazę chcąc ją wypowiedzieć. Odmówiła grzecznie, acz stanowczo, argumentując, że nie uczyniła nic takiego, za co miałyby się kajać. Choć nie było to jej świadomym zamiarem, odniosła wrażenie, że jej odpowiedź dotrze tam, gdzie dotrzeć powinna. Doktor Juvenal Urbino zwykł mawiać nie bez pewnej dozy cynizmu, że owe dwa gorzkie lata w jego życiu wynikły nie z jego winy, lecz z fatalnego zwyczaju obwąchiwania przez jego żonę odzieży, używanej w ciągu dnia przez całą rodzinę, a więc i przez nią samą, żeby po zapachu, choćby na pierwszy rzut oka wydawała się czysta, stwierdzić, czy należy odesłać ją do prania. Robiła to od dziecka i nigdy nie sądziła, aby mogło to zwrócić czyjąkolwiek uwagę, dopóki mąż tego nie spostrzegł, i to od razu w noc poślubną. Spostrzegł również, że pali przynajmniej trzy razy dziennie papierosa zamykając się w łazience, ale do tego nie przykładął większej wagi, bo kobiety z jego sfery zwykły zamykać się razem, całą gromadką, by rozmawiać o mężczyznach i palić, a nawet pić wódkę z półkwartówek, i to tak, że niejedna padała na podłogę pijana jak szewc. Jednak mania obwąchiwania każdej części garderoby, jaka tylko znalazła się pod ręką, nie tylko wydawała mu się niestosowna, ale i szkodliwa dla zdrowia. Nie brała tego poważnie, tak jak w ogóle nie brała poważnie spraw, o których nie miała zamiaru dyskutować, mawiając, że nie dla czezej ozdoby Bóg umieścił na jej twarzy ów dociekliwy nos wilgi. Pewnego dnia, kiedy akurat wyszła na poranne zakupy, służba zaalarmowała sąsiadów szukając trzyletniego panicza, którego nijak nie mogli znaleźć w żadnym z domowych zakamarków. Przybyła w chwili największej paniki, dwu lub trzykrotnie obeszła dom węsząc jak pies posokowiec i odnalazła syna śpiącego w szafie, w miejscu, w którym nikomu nie wpadło do głowy go szukać. Kiedy zdumiony mąż zapytał, jak go znalazła, odpowiedziała:

- Po smrodzie kupy.

Węch, w istocie rzeczy, nie służył jej wyłącznie do decydowania o praniu odzieży czy do odnajdywania zagubionych dzieci: stanowił jej zmysł orientacji we wszystkich życiowych okolicznościach, szczególnie zaś w życiu towarzyskim. Juvenal Urbino był tego świadkiem przez cały czas istnienia ich małżeńskiego związku, a zwłaszcza na początku, kiedy Fermina, jako osoba całkowicie obca pośród ludzi od trzystu lat wrogo do niej

nastawionych, przepływała mimo to między najeżonymi koralowymi rafami, z nikim się nie zderzając i panując nad sprawami świata tego ze zręcznością, która mogła się brać jedynie z nadprzyrodzonego instynktu. Nieszczęsna godzina owego groźnego daru, który swe pochodzenie mógł zawdzięczać zarówno odwiecznej mądrości, jak kamiennemu sercu, wybiła pewnej fatalnej niedzieli przed nabożeństwem, kiedy Fermina Daza ze zwykłego przyzwyczajenia obwąchała ubranie, które jej mąż miał na sobie poprzedniego wieczoru, i doświadczyła niepokojącego wrażenia, że była w łóżku z innym mężczyzną.

Obwąchała wpiery marynarkę i kamizelkę, jednocześnie odpinając zegarek z dewizką, wyjmując ołówek, portfel, trochę monet wrzuconych luzem do kieszeni i odkładając wszystko na toaletkę, później obwąchała koszulę odpinając spinkę do krawatu, topazowe spinki do mankietów i złoty guzik do sztucznego kołnierzyka, następnie obwąchała spodnie wyjmując pęk jedenastu kluczy i scyzoryk z trzonkiem z masy perłowej, na koniec zaś obwąchała kałesonki, skarpetki i lnianą chusteczkę z wyhaftowanym monogramem. Nie było cienia wątpliwości: w każdej z części garderoby czaił się zapach nieobecny przez tyle lat wspólnego pożycia, zapach trudny do określenia, bo nie była to ani woń kwiatów, ani sztucznych esencji, lecz coś właściwego ludzkiej osobie. Nic nie powiedziała i choć w następnych dniach nie natrafiła już na ślad tamtego zapachu, obwąchiwała garderobę męża nie dlatego, by ją oddać do prania, lecz z nieznośnym, zżerającym jej wnętrzności niepokojem.

Fermina Daza nie potrafiła usytuować owej woni w mężowskim rozkładzie dnia. Nie mogło to być pomiędzy porannym wykładem a obiadem, sądziła bowiem, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie oddawałaby się pośpiesznej miłości o takiej porze, a tym bardziej w trakcie lekarskiej wizyty, gdy trzeba zamieść mieszkanie, pościelić łóżka, zrobić zakupy, przygotować obiad i pewnie jeszcze zadręczać się, że jedno z dzieci może być wcześniej odesłane ze szkoły z rozbitą kamieniem głową i zastanie ją o jedenastej rano, nagą, w nie sprzątniętym pokoju i, na cholerny dodatek, z jakimś lekarzem leżącym na mamie. Z drugiej strony zbyt dobrze wiedziała, że doktor Juvenal Urbino kocha się tylko w nocy, najchętniej w całkowitych ciemnościach, a w ostateczności przed śniadaniem, przy pierwszym świergocie ptaków. O każdej innej porze, jak sam mawiał, więcej zachodu było z rozbieraniem się, a potem z ubieraniem niż rozkoszy z koguciej miłości. Skażenie garderoby mogło więc nastąpić tylko podczas jednej z wizyt lekarskich lub w jakimś momencie skradzionym z jego szachowych lub kinowych wieczorów. Ta ostatnia możliwość trudna była do sprawdzenia, bo w przeciwieństwie do wielu swoich przyjaciółek Fermina Daza była zbyt dumna, żeby szpiegować męża lub prosić kogoś, by zrobił to za nią.



Najlepsze dla ewentualnej zdrady godziny wizyt były zarazem najłatwiejsze do przesłedzenia, doktor Juvenal Urbino zapisywał bowiem bardzo dokładnie nazwisko każdego z pacjentów, włącznie z kwotami honorariów, od pierwszej wizyty aż do chwili, gdy odchodzących z tego świata żegnał po raz ostatni znakiem krzyża i kilkoma słowami, które zapewniały mu spokój ducha.

Fermina Daza przez wiele dni nie natrafiła na obcy zapach w mężowskiej garderobie, gdy nagle, po trzech tygodniach, w najmniej spodziewanym momencie odnalazła go ponownie czując go, przez wiele dni pod rząd, znacznie intensywniej niż przedtem, choć jednym z tych dni była niedziela poświęcona rodzinnym uroczystościom, w czasie których nie rozstawali się ze sobą ani na chwilę. Pewnego wieczoru znalazła się niespodziewanie w gabinecie męża, wbrew swym zwyczajom, a nawet wbrew własnej woli, jakby to nie ona, lecz zupełnie ktoś inny robił coś, czego nigdy sama by nie zrobiła: rozszyfrowywała za pomocą wspaniałej lupy bengalskiej zagmatwane zapiski wizyt z ostatnich miesięcy. Po raz pierwszy przebywała sama w tym przesyconym wonią kreozotu gabinecie, zapchanym książkami oprawnymi w skóry nieznanych zwierząt, ściemniałymi fotografiami uczelnianych grup, honorowymi dyplomami, astrolabiami i fantazyjnymi sztyletami kolekcjonowanymi przez lata. Tajemne sanktuarium, zawsze przez nią uznawane za jedyne prywatne terytorium męża, było jej zabronione, bo nie miało nic wspólnego z miłością, była tu więc zaledwie kilka razy, zawsze razem z nim i zawsze w sprawach błahych. Nie czuła się uprawniona do wkraczania tam samej, a tym bardziej do przeprowadzania dochodzenia, które wydawało jej się z gruntu nieprzyzwoite. Ale już tu była. Chciała znaleźć prawdę i szukała jej ze skwapliwością ledwie porównywalną do strasznego lęku przed jej odnalezieniem, pchana nie kontrolowanym wichrem, silniejszym od jej wrodzonej dumy, silniejszym nawet od jej godności: fascynująca męka.

Nie zdołała niczego wyjaśnić, bo pacjenci męża, z wyjątkiem ich wspólnych przyjaciół, stanowili również część jego zamkniętego świata: byli to ludzie bez tożsamości, których znał nie z twarzy, lecz z ich dolegliwości, nie z barwy oczu czy dzięki płynącym z serca wynurzeniom, lecz z rozmiarów wątroby, z nalotu na języku, skrzepu w moczu, halucynacji podczas nocnej gorączki. Ludzie, którzy wierzyli w jej męża, którzy wierzyli, iż żyją dzięki niemu, podczas gdy w rzeczywistości żyli dla niego i kończyli zredukowani do jednego zdania wypisanego przez niego własnoręcznie na dole protokołu lekarskiego: „Spokojnie, Bóg czeka na ciebie w drzwiach”. Fermina Daza opuściła gabinet po dwóch bezcelowych godzinach, odnosząc wrażenie, że uległa niegodziwej pokusie.

Podjudzana własną wyobraźnią, zaczęła odkrywać zmiany w mężu. Wydawał się jej

nieszczery, niechętny przy stole i w łóżku, skłonny do wybuchów gniewu i ironicznych docinków, w domu zaś nie był już tym spokojnym człowiekiem co kiedyś, lecz lwem w klatce. Po raz pierwszy od ślubu zwracała uwagę na jego spóźnienia, kontrolowała go co do minuty i okłamywała, żeby wydobyć z niego prawdę, czując się później śmiertelnie zraniona, gdy sam sobie przeczył. Pewnej nocy obudziła się przerażona niejasnymi urojeniami, bo przywidział jej się mąż wpatrujący się w nią w ciemnościach oczami, które wydały jej się pełne nienawiści. Przeżyła wstrząs podobny do tego, jakiego doświadczyła w kwiecie młodości, kiedy ujrzała Florentina Arizę stojącego przy jej łóżku, z tą różnicą, iż tamten zjawiał się nie z nienawiści, lecz z miłości. Tym razem zresztą nie była to fantazja: jej mąż nie spał o drugiej nad ranem, siedząc w łóżku i przypatrując się śpiącej żonie, ale kiedy zapytała, dlaczego to robi, zaprzeczył temu. Złożył z powrotem głowę na poduszce i powiedział:

- Pewnie ci się przyśniło.

Po tej nocy i po innych podobnych epizodach z tego okresu, kiedy Fermina Daza nie była całkiem pewna, gdzie kończy się rzeczywistość, a gdzie zaczyna złudzenie, poraziło ją odkrycie, że zaczyna wariować. Nagle zdała sobie sprawę, że mąż nie przystąpił do komunii w czwartek Bożego Ciała ani w żadną niedzielę w ciągu ostatnich tygodni i nie znalazł w tym roku czasu na rekolekcje. Kiedy go zapytała, czemu należy przypisać owe niezwykle zmiany dokonujące się w jego duchowym zdrowiu, otrzymała niejasną odpowiedź. Ten trop okazał się decydujący, od pierwszej komunii bowiem, to znaczy od ósmego roku życia nigdy w tak ważnym dniu mu się to nie przydarzyło. W ten sposób uświadomiła sobie, że mąż nie tylko popadł w grzech śmiertelny, ale na domiar złego postanowił tkwić w nim rezygnując ze wsparcia swego spowiednika. Nie była w stanie pojąć, iż można aż tak bardzo cierpieć przez coś, co zdawało się być całkowicie przeciwne miłości, ale stało się, postanowiła więc, że jedynym wyjściem, aby samej nie umrzeć, będzie podłożenie ognia pod legowisko żmij zalewających trucizną jej wnętrzności. Jak postanowiła, tak zrobiła. Któregoś popołudnia zaczęła na tarasie cerować skarpetki, podczas gdy jej mąż kończył swą codzienną lekturę po sjeście. Nagle przerwała robótkę, uniosła okulary na czoło i bez najmniejszej zawziętości, zawołała go:

- Doktorze!

Zatopiony był w lekturze L 'Ile des pingouins, powieści czytanej w tych dniach przez wszystkich, i nie wynurzając się z niej odpowiedział: Om. Natarła ponownie:

- Spójrz mi w twarz.

Uczynił to patrząc, lecz nie widząc jej w mgle okularów do czytania, ale nie musiał

ich zdejmować, żeby spłonąć w ogniu jej spojrzenia.

- Stało się coś? - zapytał.

- Wiesz lepiej ode mnie - powiedziała.

I nie powiedziała nic więcej. Opuściła okulary, by dalej cerować skarpetki. Doktor Juvenal Urbino już wiedział, że długie godziny niepokoju dobiegły kresu. Wbrew własnym przeczuciom ów moment nie okazał się sejsmicznym trzęsieniem serca, lecz miłosiernym ciosem spokoju. Poczuł ogromną ulgę, że wcześniej niż później nastąpiło to, co wcześniej czy później nastąpić musiało: widmo panny Barbary Lynch wreszcie wkroczyło do domu.

Doktor Juvenal Urbino poznał ją cztery miesiące temu, gdy czekała na swą kolej w przychodni Szpitala Miłosierdzia, i natychmiast zrozumiał, że coś nieodwracalnego właśnie stało się w jego życiu. Była to wysoka grubokoścista elegancka Mulatka, o skórze posiadającej barwę i delikatność melasy, ubrana tego dnia w czerwony kostium w białe grochy i w utrzymany w tym samym stylu kapelusz o szerokim rondzie ocieniającym nawet rzęsy. Jej płeć wydawała się być bardziej wyrazista niż u reszty istot ludzkich. Doktor Juvenal Urbino nie przyjmował w przychodni, niemniej, ilekroć był w pobliżu i dysponował wolnym czasem, wchodził, by przypomnieć swoim byłym uczniom, że nie ma lepszego lekarstwa od dobrej diagnozy. Nieprzypadkowo znalazł się więc przy badaniu niespodziewanej Mulatki, zważając, aby jego wychowankowie nie dostrzegli u niego żadnego odruchu, który nie wydałby się przypadkowy i ledwie na nią patrząc, ale bardzo dobrze zapamiętał dane dotyczące jej tożsamości. Tego popołudnia, po ostatniej wizycie, kazał skierować powóz pod adres podany przez nią w przychodni i, w rzeczy samej, znalazł ją tam, wypoczywającą na tarasie na świeżym marcowym powietrzu.

Był to typowy antylski dom, cały, aż po cynkowy dach, pomalowany na żółto, z zasłonami w oknach, z wiszącymi u wejścia doniczkami goździków i paproci, osadzony na drewnianych palach wbitych w nadmorskie mokradła Mała Crianza. W klatce podwieszanej do okapu śpiewał turpial. Po drugiej stronie ulicy mieściła się szkoła podstawowa i wychodzące z niej gromady dzieci zmusiły stangreta do ściągnięcia cugli, aby koń się nie spłoszył.

Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, w ten bowiem sposób panna Barbara Lynch miała dość czasu, by móc rozpoznać doktora. Pozdrowiła go przyjacielskim gestem, jakby się dawno znali, i zaprosiła na kawę, póki na ulicy nie zapanuje spokój, on zaś, wbrew swoim zwyczajom, z przyjemnością wypił kawę, słuchając, jak mówi o sobie, co było jedynym tematem interesującym go od tego ranka i miało pozostać jedynym, bez chwili spokoju, przez najbliższe miesiące. Przy jakiejś okazji, tuż po ślubie, ktoś spośród jego

przyjaciół powiedział mu w obecności żony, iż wcześniej czy później będzie musiał stawić czoło szalonej namiętności, zdolnej niebezpiecznie zachwiać stabilnością jego małżeństwa. On, któremu zdawało się, iż dobrze zna samego siebie, a zarazem zna siłę swych moralnych fundamentów, uśmieł się z tych przepowiedni. No i proszę: właśnie się stało. Panna Barbara Lynch, doktor teologii, była jedyną córką wielebnego Jonathana B. Lyncha, protestanckiego pastora, chuderlawego Murzyna objeżdżającego na mulicy nędzne osady nadmorskich mokradel i głoszącego słowo jednego z tylu bogów, których doktor Juvenal Urbino pisał z małej litery, aby odróżnić ich od swojego. Mówił dobrze po kastylijsku, choć w używanej przez niego składni słycać było skrzypienie piasku, ale owe częste potknięcia dodawały jedynie uroku jego mowie. W grudniu miała skończyć dwadzieścia osiem lat, niedawno rozwiodła się z innym pastorem, uczniem swego ojca, po dwuletnim i złym pożyciu małżeńskim i nie zamierzała powtarzać tego błędu. Powiedziała: „Prócz turpiala nie mam w życiu innej miłości”. Ale doktor Urbino był zbyt poważnym człowiekiem, żeby nabrać podejrzeń, iż powiedziała to celowo. Wprost przeciwnie: skonfundowany, zaczął się zastanawiać, czy tyle ułatwień naraz nie jest aby Boską przynętą, po połknięciu której przysłoby mu zapłacić z naddatkiem, ale natychmiast odsunął te myśli jako teologiczną bzdurę wynikającą z jego zakłopotania.

Na pożegnanie skomentował mimochodem poranne badania, świadom, iż nic tak nie cieszy chorego jak rozmowa o jego dolegliwościach, ona zaś tak wspaniale rozprawiała o swoich, że przyrzekł odwiedzić ją ponownie nazajutrz, punktualnie o czwartej, aby przebadać ją dokładniej. Przelękała się: wiedziała, że lekarz tej klasy jest całkowicie ponad jej możliwości, uspokoił ją jednak:

„W naszej pracy staramy się tak to załatwić, aby bogaci płacili za ubogich”. Następnie zanotował w swym zeszyciku: „panna Barbara Lynch, mokradła Mała Crianza, sobota, p.m.”. W wiele miesięcy później Fermina Daza miała przeczytać tę notatkę poszerzoną o szczegóły diagnozy, leczenia i opis rozwoju choroby. Nazwisko zwróciło jej uwagę i natychmiast przyszło jej na myśl, że jest to jedna z tych wykolejonych artystek z nowoorleańskich statków przewożących owoce, ale odczytawszy adres uznała, że jest to raczej osoba z Jamajki, Murzynka oczywiście, i bez skrupułów wyeliminowała ją z męzowskich gustów.

Doktor Juvenal Urbino przybył na sobotnie spotkanie dziesięć minut za wcześnie, w chwili gdy panna Lynch kończyła właśnie ubierać się na jego przyjęcie. Takiego zdenerwowania nie czuł już od swych paryskich czasów, kiedy stawał do egzaminów ustnych. Panna Lynch na płóciennym łóżku, w delikatnej jedwabnej kombinacji, była

nieskończenie piękna. Wszystko w niej było duże i mocne: syrenie uda, przypieczona na wolnym ogniu skóra, zdumione piersi, przezroczyste dziąsła ze wspaniałymi zębami, a całe jej ciało wydawało woń czerstwego zdrowia, ów ludzki zapach odkryty przez Ferminę Dazę w mężowskiej garderobie. Udała się do przychodni, gdyż dolegało jej coś, co z ogromną dozą wdzięku określała jako „kolkę skręconą”, a co doktor Urbino uznał za symptomy nie do zlekceważenia. Za pomocą dotyku zbadał więc jej organy wewnętrzne, skupiwszy się bardziej na zamiarach niż na dociekaniach, i w miarę badania zapominał o swej wiedzy odkrywając w zadziwieniu, że owa cudowna istota jest równie piękna wewnątrz jak z zewnątrz, a wówczas oddał się rozkoszom dotyku już nie jako najbardziej wykwalifikowany lekarz wybrzeża karaibskiego, lecz jak biedny boży mężczyzna oszołomiony chaosem instynktów. W ciągu całego uczciwego życia zawodowego zdarzyło mu się to tylko raz i był to dlań moment największej hańby, bo oburzona pacjentka odsunęła jego rękę, usiadła na łóżku i powiedziała:

„To, czego pan chce, może się stać, ale nie w ten sposób”. Panna Lynch natomiast poddała się jego dłoniom, kiedy zaś nie miała najmniejszej wątpliwości, że lekarz nie myśli już wcale o swej wiedzy i profesji, powiedziała:

- Sądziłam, że etyka zawodowa nie pozwala na to. Był tak zlany potem, jakby w ubraniu wyczołgał się ze stawu, i wytarł ręce i twarz ręcznikiem.

- Etyka - powiedział - wyobraża sobie, że my, lekarze, jesteśmy z drewna.

Wyciągnęła ku niemu pełną wdzięczności dłoń. - To, iż tak sądzić mogę, nie oznacza, że nie można tego zrobić - powiedziała. - Wyobraż sobie, czym dla takiej biednej Murzynki jak ja są względy tak sławnego mężczyzny.

- Ani przez chwilę nie przestałem o pani myśleć - powiedział.

Było to wyznanie tak bojaźliwe, że aż godne litości.

Ona jednak wyratowała go z wszelkich opresji wybuchem śmiechu, który rozjaśnił sypialnię.

- Wiem o tym, i to już od chwili, kiedy zobaczyłam cię w szpitalu, doktorze - powiedziała. - Jestem Murzynką, ale nie idiotką.

Nie było to takie proste. Panna Lynch chciała zachować swój nieskalany honor, pragnęła bezpieczeństwa i miłości, w tej właśnie kolejności, i sądziła, że na to zasługuje. Dała doktorowi Urbino szansę uwiedzenia jej, byle nie przekraczał progu jej sypialni, choćby znajdowała się sama w domu. Poszła na ustępstwa: pozwoliła mu powtarzać ceremonię dotyku i osłuchiwania z pogwałceniem wszelkich norm etycznych, ale bez zdejmowania z niej ubrania. On ze swej strony, poczuwszy zdobycz w zębach, nie chciał już

jej puścić, nie ustawał więc w swych niemal codziennych obłęzeniach. Ze względów praktycznych stały związek z panną Lynch był prawie niemożliwy, doktor jednak był zbyt słaby, aby przyhamować na czas, tak jak później okazał się za słaby, aby konsekwentnie posuwać się dalej. To był kres jego możliwości.

Wielebny Lynch nie prowadził regularnego trybu życia, odjeżdżał bez uprzedzenia na swej mulicy objuczonej z jednego boku bibliami i ewangelickimi broszurami propagandowymi, z drugiego zaś prowiantem, wracał zaś w najmniej spodziewanym momencie. Kolejnym utrudnieniem była usytuowana naprzeciwko szkoła, gdzie dzieci wyśpiewywały swoje lekcje patrząc przez okna na ulicę, przy czym najlepiej widziały dom po przeciwległej stronie, z drzwiami i oknami otwartymi na oścież od szóstej rano oraz pannę Lynch zawieszającą klatkę pod okapem, aby turpiał uczył się wyśpiewywanych lekcji; widziały ją w kolorowym turbanie, kiedy swym wspaniałym karaibskim głosem również wyśpiewywała lekcje w trakcie domowych zajęć, a później widziały, jak siedząc na ganku śpiewała sama po angielsku wieczorne psalmy.

Musieli wybrać porę, kiedy dzieci w szkole nie było, istniały zaś tylko dwie możliwości: w przerwie obiadowej między dwunastą a drugą, gdy doktor też udawał się na obiad, lub pod wieczór, kiedy dzieci wracały do domu. Te godziny były najbardziej sprzyjające, ale wówczas doktor kończył już swoje wizyty i miał tylko kilka minut, aby zdążyć na rodzinną kolację. Trzecią i najpoważniejszą dlań przeszkodą był jego własny status. Nie zdołałby dotrzeć na miejsce bez powozu, który wszyscy znali, a który musiał zawsze czekać przed drzwiami. Mógłby wejść w znowę ze stangretem, co robili niemal wszyscy jego przyjaciele z Klubu Towarzyskiego, ale w żadnej mierze nie licowało to z jego zasadami. Do tego stopnia, że kiedy odwiedziny u panny Lynch stały się nazbyt oczywiste, ubrany w liberię stangret sam odważył się go zapytać, czy nie byłoby lepiej, by zajechał po niego później, żeby powóz nie stał tak długo przed drzwiami. Doktor Urbino, wbrew swemu sposobowi bycia, z miejsca uciął:

- Od kiedy cię znam, po raz pierwszy słyszę, iż mówisz coś, czego nie powinienes być mówić - powiedział. - Jednym słowem: nic nie słyszałem.

Nie było wyjścia. W takim mieście jak to ukrywanie choroby było niemożliwością dopóki przed domem zatrzymywał się powóz lekarza. Czasami, jeżeli odległość na to pozwalała, doktor sam postanawiał iść pieszo do pacjenta, ewentualnie podjeżdżał wynajętym powozem, by zapobiec złośliwym lub przedwczesnym podejrzaniom. Tego rodzaju wybiegi nie odnosiły jednak większego skutku, wystawiane recepty pozwalały bowiem rozszyfrować prawdę do tego stopnia, że doktor Urbino musiał przepisywać

falszywe lekarstwa razem z rzeczywiście niezbędnymi, aby uchronić święte prawo chorych do śmierci w spokoju razem z tajemnicą choroby. Mógł również, w sposób różnorodny i godziwy zarazem, usprawiedliwić obecność swego powozu przed domem panny Lynch, ale nie na czas nazbyt długi, a już na pewno nie na tyle, na ile by pragnął, czyli na całe życie. Świat przemienił się dlań w piekło. Zaspokoiwszy już raz pierwsze szaleństwo, oboje uświadomili sobie nagle wszystkie niebezpieczeństwa, doktor Juvenal Urbino nie miał zaś dość odwagi, aby stawić czoło skandalowi. W majakach gorączki przyrzekał wszystko, ale później, gdy gorączka mijała, rzecz odkładano na później. Za to w miarę jak wzrastało pragnienie przebywania z nią, wzrastały również obawy, że ją utraci, spotkania stawały się więc coraz pośpieszniejsze i coraz trudniejsze. O niczym innym nie myślał. Oczekiwał wieczoru z niepohamowanym pragnieniem, zapominał o innych obowiązkach, zapominał o wszystkim poza nią, ale w miarę jak powóz zbliżał się do mokradeł Mała Crianza, tym bardziej błagał Boga, by jakaś niespodziewana przeszkoda w ostatniej chwili zmusiła go do ominięcia jej domu. Dojeżdżał w stanie takiego przerażenia, iż czasami szczerze radował się na widok bawelnianej głowy wielebnego Lyncha, czytającego na tarasie, podczas gdy jego córka w salonie katechizowała osiedlowe dzieci wyśpiewywanymi Ewangeliami. Wówczas, szczęśliwy, wracał do siebie nie chcąc prowokować losu, ale później czuł, jak ogarnia go szaleńcze pragnienie, żeby zawsze przez cały dzień była piąta po południu.

Kiedy więc zatrzymujący się przed drzwiami powóz zaczął nazbyt rzucać się w oczy, amory stały się niemożliwe, a po trzech miesiącach były już tylko śmieszne.

Nie mając czasu na najkrótszą choćby rozmowę, panna Lynch ledwie dostrzegłszy lekkomyślnego kochanka natychmiast biegła do sypialni. W dniach, kiedy spodziewała się go, przemyślnie wkładała szeroką spódnicę, piękną jamajską spódnicę z kwiecistymi falbanami, ale pod nią nie miała nic, ufna, że udogodnienia dopomogą mu w przewyciężeniu strachu. Ale on marnotrawił wszystko, co robiła, by go uszczęśliwić. Dysząc, zlany potem, szedł za nią do sypialni wkraczając tam z hukiem, rzucając na podłogę laskę, neseser lekarski, słomkowy kapelusz, by kochać się w popłochu, ze spuszczonej do kolan spodniami, w zapiętej marynarce, żeby mniej mu zawadzała, ze złotą dewizką w kamizelce, w butach, w całym rynsztunku, bardziej zajęty myślami o jak najszybszym odejściu niż o osiągnięciu rozkoszy. Opuszczał ją wyposzczoną, kiedy dopiero co wkraczała w tunel swej samotności, a on już zapinał spodnie, wycieńczony, jakby przed chwilą kochał się miłością absolutną na krawędzi życia i śmierci, podczas gdy w rzeczywistości co najwyżej sprostał temu, co akt miłosny ma z wyczynu fizycznego. Ale był w swoim prawie: zużył tyle czasu, ile akurat potrzebowałby na zrobienie zastrzyku

dożylnego podczas rutynowej wizyty lekarskiej. I wracał wówczas do domu zawstydzony własną słabością, marząc o śmierci i przeklinając siebie za to, że nie ma odwagi poprosić Ferminy Dazy o to, żeby spuściła mu spodnie i rzuciła dupą o palenisko. Nie tykał kolacji, modlił się bez przekonania, udawał, że w łóżku pochłania go nadal rozpoczęta w czasie sjeisty lektura, podczas gdy jego żona nieustannie krążyła po mieszkaniu porządkując świat przed zaśnięciem. W miarę jak głowa opadała mu nad książką, zanurzał się z wolna w nieuchronne namorzyny panny Lynch, w opary jej spoczywającego gaju, w jej łożo śmierci, i wówczas nie był już w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o jutrzejszej za pięć piąta po południu i o niej czekającej na niego i nie mającej na sobie nic prócz wzgórka ciemnej ostnicy pod wariacką spódnicą z Jamajki: piekielny krąg.

Już kilka lat temu zaczął uświadamiać sobie ciężar własnego ciała. Rozpoznawał objawy. Czytał o nich w podręcznikach, na własne oczy widział, jak potwierdzają się bez stwierdzonych uprzednio poważniejszych dolegliwości u starszych pacjentów, którzy nagle podają doskonałe opisy syndromów, jakby recytowali ich charakterystykę z medycznych skryptów, a w rezultacie okazują się objawami urojonymi. Jego nauczyciel z kliniki dziecięcej La SalpeÓtriere poradził mu pediatrię jako najszlachetniejszą specjalizację, bo dzieci chorują tylko wtedy, kiedy naprawdę chorują, i nie potrafią porozumieć się z lekarzem za pomocą konwencjonalnych słów, lecz dzięki konkretnym objawom rzeczywistych chorób. Dorośli za to, od pewnego wieku, albo mają objawy bez chorób, albo jeszcze gorzej: cierpią na poważne choroby mając symptomy innych, nie tak groźnych chorób. Leczył ich paliatywami, dając czas czasowi, póki nie nauczyli się nie odczuwać swych bolesnych schorzeń i, nie mając wyboru, współżyć z nimi na śmietniku starości. Doktorowi Juvenalowi Urbino nigdy jednak nie przyszło do głowy, że lekarzowi w jego wieku, przekonanemu, iż widział już wszystko, może przydarzyć się, że nie będąc chorym, nie będzie w stanie pokonać niepokoju wobec faktu, iż czuje się chory. Albo jeszcze gorzej: w oparciu o czysto naukowe przesłanki wierzyć, iż nie jest chory, przypuszczalnie jednak rzeczywiście będąc chorym. Mając już lat czterdzieści, powiedział w katedrze uczelni, pół żartem, pół serio: „Mieć kogoś, kto by mnie rozumiał - oto moja jedyna potrzeba życiowa”. Ale kiedy poczuł się zagubiony w labiryncie panny Lynch, już nie było mowy o żartach. Wszystkie realne i urojone symptomy jego starszych pacjentów gromadziły się w jego ciele. Wyczuwał stan swej wątroby z taką dokładnością, iż bez badania mógł powiedzieć, jaki jest jej rozmiar. Czuł senne kocie pomruki swych nerek, czuł mieniące się blaski swego woreczka żółciowego, czuł bzyczenie krwi w swych żyłach. Czasami budził się o świcie jak ryba dusząca się z braku powietrza. Miał wodę w sercu. Czuł, jak opóźnia swoje bicie, czuł,



jak na chwilę gubi ono krok, niczym podczas szkolnych marszów wojskowych, raz, jeszcze raz, by wreszcie poczuć, jak wraca do siebie, bo Bóg jest wielki. Ale zamiast sięgać po te same półśrodki, jakie przepisywał swoim pacjentom, poddawał się ślepemu przerażeniu. Miał rację: jedynym, czego potrzebował w życiu, również w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, było mieć kogoś, kto by go rozumiał. Zwrócił się więc ku Ferminie Dazie, najbardziej kochającej go istocie, którą i on kochał najbardziej na tym świecie i z którą dopiero co pogodził własne sumienie.

A zaczęło się to wtedy, gdy przerwała mu popołudniową lekturę prosząc, by spojrzął jej w twarz, do niego zaś dotarł pierwszy sygnał, że jego piekielny krąg został odkryty. Nie bardzo rozumiał, jak do tego mogło dojść, bo nie był w stanie wyobrazić sobie, by Fermina Daza doszła prawdy wyłącznie dzięki węchowi. W każdym razie i od dawien dawna nie było to odpowiednie miasto do utrzymywania sekretów. Tuż po zainstalowaniu pierwszych prywatnych aparatów telefonicznych niejedno pozornie najstabilniejsze małżeństwo rozpadło się wskutek potwarzy z anonimowych telefonów, a wiele przerażonych tym rodzin przestało natychmiast korzystać z usług telefonii albo nie chciało mieć telefonu przez wiele lat. Doktor Urbino wiedział, że jego żona na tyle szanuje samą siebie, iż nie pozwoliłaby nawet na próbę anonimowego intryganctwa przez telefon, nie potrafił zaś wyobrazić sobie osoby na tyle zuchwałej, by uczyniła to z otwartą przyłbicą. Obawiał się za to dawnej metody: liściku wsuniętego niewidzialną ręką pod drzwi, który mógł okazać się skuteczny nie tylko dlatego, że gwarantował obustronną anonimowość tak nadawcy, jak i adresatowi, ale przede wszystkim dlatego, że jego legendarny rodowód pozwalał przypisywać mu pewien metafizyczny związek z zamysłami boskiej opatrności.

Zazdrość nigdy nie przekroczyła progu jego domu: przez ponad trzydzieści lat małżeńskiego spokoju doktor Urbino wielokrotnie chełpił się publicznie, i do tej pory zresztą zgodnie z prawdą, iż oni oboje są niczym szwedzkie zapalki, które zapalają się tylko potarte o draskę własnego pudełka. Nie był jednak w stanie przewidzieć, jak zareaguje wobec udowodnionej zdrady kobieta o tak wysokim poczuciu godności własnej jak jego żona, tak bardzo dumna i obdarzona tak silnym charakterem. Gdy więc spojrzął jej prosto w twarz, bo tak sobie życzyła, nie przyszło mu do głowy nic innego, jak spuścić oczy kryjąc zmieszanie i udając ponowne zagłębienie się w słodkich meandrach wyspy Alki, aby zanim coś wymyśli zyskać na czasie. Fermina Daza ze swej strony też nic nie powiedziała. Zakończywszy cerowanie skarpetek wrzuciła wszystko byle jak do przybornika, wydała w kuchni polecenia co do kolacji i poszła do sypialni.

On zaś podjął wówczas decyzję tak stanowczą, iż o piątej po południu nie zajechał

już pod dom panny Lynch. Obietnice wiecznej miłości, marzenia o skromnym, przeznaczonym wyłącznie dla niej domku, gdzie bez żadnych przeszkód mógłby ją odwiedzać, powolne szczęście aż do samej śmierci, wszystko, co przyrzekł jej w płomieniach miłości zostało puszczone w niepamięć raz na zawsze. Ostatnim jego prezentem dla panny Lynch był szmaragdowy diadem, który stangret wręczył jej bez słów, bez żadnej wiadomości ani liściku, w pudełeczku owiniętym w papier aptekarski, żeby i stangret sądził, że jest to jakieś bezzwłocznie potrzebne lekarstwo. Nie zobaczył jej już więcej, nawet przypadkiem, przez resztę swego życia i tylko Bóg jeden wie, z jakim bólem podejmował tę bohaterską decyzję i ile gorzkich łez przelał zamknięty w ubikacji, żeby przeżyć swą osobistą katastrofę. O piątej, zamiast udać się do niej, dokonał wobec swego spowiednika aktu głębokiej skruchy, w najbliższą zaś niedzielę przyjął komunię z doszczętnie zdruzgotanym sercem, ale z całkowicie uspokojoną duszą.

W noc swej rezygnacji, rozbierając się do snu, powtórzył Ferminie Dazie gorzką litanie porannych bezsenności, gwałtownych ukłuc, nieodpartej chęci płaczu o zmierzchu, zaszyfrowanych symptomów skrytej miłości, o których mówił tak jakby narzekał na udrekę starości. Musiał się przed kimś otworzyć, żeby nie umrzeć, żeby nie poczuć się zmuszonym do powiedzenia prawdy, przecież, jakkolwiek by było, owe wyznania stanowiły uświęconą część domowych rytuałów miłosnych. Wysłuchiwała go z uwagą, ale nie patrząc nań, nic nie mówiąc, odbierając jedynie poszczególne części zdejmowanej przez niego garderoby. Wąchała wszystko po kolei, najmniejszym gestem nie okazując swej wściekłości i wrzucała ubranie do wiklinowego kosza na brudną bieliznę. Nie wyczuła zapachu, ale było jej wszystko jedno: jutro będzie nowy dzień. Zanim ukląkł do modlitwy przed sypialnianym ołtarzykiem, zakończył opowieść o swych bolączkach strapionym i, co więcej, szczerym westchnieniem: „Wydaje mi się, że niebawem umrę”. Odpowiadając mu nie mrugnęła nawet okiem. - Oby - powiedziała. - W ten sposób oboje będziemy mieli święty spokój.

Przed laty, podczas niebezpiecznej choroby, gdy nastąpiło jej przesilenie, też wspomniał o śmierci, ona zaś odpowiedziała mu równie brutalnie. Doktor Urbino przypisał to właściwej kobietom bezduszości, która sprawia, że ziemia nadal krąży wokół słońca, bo nie wiedział wówczas, że żona zawsze wznosiła mur wściekłości, żeby nie widać było po niej strachu. W tym zaś przypadku najgorszego ze strachów, jakim była trwoga przed pozostaniem bez niego.

Tej nocy jednak, był o tym święcie przekonany, życzyła mu śmierci z całego serca, i przekonanie to przeraziło go. Później domyślił się, że popłakuje, cichutko, w ciemnościach, gryząc poduszkę, żeby jej nie usłyszał. To ostatecznie go zamroczyło, wiedział bowiem, że

ani ból ciała, ani ból duszy nie doprowadzają jej tak łatwo do płaczu. Płakała tylko w chwilach zajadłej wściekłości, na tyle gwałtowniej, na ile pochodziła ona z jej lęku przed poczuciem winy, wtedy jednak wściekała się tym bardziej, im bardziej płakała, bo nie mogła darować sobie okazywanej płaczem słabości. Nie śmiał jej pocieszać, świadom, że byłoby to pocieszenie tygrysyca trafionej włócznią, nie miał również odwagi wyznać, że przyczyny jej płaczu przestały istnieć tego wieczoru, że zostały wyrwane z korzeniami, raz na zawsze, nawet z jego pamięci.

Zmęczenie zmorzyło go na parę minut. Kiedy przebudził się, leżała z otwartymi oczami przy świetle swego lichtarzyka, ale już nie płakała. Podczas jego drzemki przydarzyło jej się coś ostatecznego: osady gromadzące się rok po roku na dnie przeżytych przez nią lat zostały wzburzone przez mękę zazdrości i, wyrzucone na powierzchnię, w jednej chwili dodały jej wieku. Poruszony jej gwałtownie uwidocznionymi zmarszczkami, zwiędłymi ustami, popiołem jej włosów, ośmielił się jej poradzić, by spróbowała zasnąć: było już po drugiej. Odezwała się nie patrząc na niego, ale już bez śladu złości w głosie i niemal łagodnie.

- Mam prawo wiedzieć, kto to jest - powiedziała.

I wówczas opowiedział jej wszystko, czując, że zrzuca z siebie cały ciężar świata, przekonany był bowiem, że ona i tak wie o wszystkim i tylko chce sprawdzić pewne szczegóły. Ale oczywiście rzeczy miały się zupełnie inaczej, do tego stopnia, iż podczas jego wynurzeń znów zapłakała, i to nie wstydliwym, jak na początku, łkaniem, lecz ciekącymi po jej twarzy kropla po kropli słonymi łzami, łzami palącymi jej nocną koszulę i rozniecającymi w niej życie, bo nie zrobił tego, czego oczekiwała z duszy serca, chciała bowiem by zaklinając się na śmierć wyparł się wszystkiego, by zachnął się na kalumnię, by wrzeszcząc na całe gardło wysłał do kurwy nędzy tę pierdoloną śmietankę towarzyską, bez najmniejszego wahania depczącą cudzą godność, i by nieugięcie obstawał przy swoim, nawet wobec oczywistych dowodów wiarołomstwa: jak mężczyzna. Gdy następnie opowiedział, że tego popołudnia był u swego spowiednika, pomyślała, że zaraz szlag ją trafi. Już od czasów szkolnych żywiła przekonanie, że ludzie Kościoła pozbawieni są jakiegokolwiek cnoty pochodzącej z Bożej łaski. Ta rozbieżność poglądów stanowiła w utrzymaniu domowej harmonii największą przeszkodę, którą dotychczas potrafili jakoś omijać. Ale fakt, że mąż dopuścił, by spowiednik został tak dalece wprowadzony nie tylko w swoje, ale i w jej intymne życie, był już przekroczeniem wszelkich granic. - Równie dobrze mógłbyś to opowiedzieć pierwszemu lepszemu żebrakowi w bramie - powiedziała. Dla niej oznaczało to koniec. Była przekonana, że jej honorem wycierano sobie gęby, zanim

jeszcze mąż zaczął wypełniać pokutę, i poczucie poniżenia, jakie wzbudziło w niej owo przekonanie, stało się trudniejsze do zniesienia niż cały wstyd, wściekłość i poczucie krzywdy z powodu wiarołomstwa. No i, kurwa, szczyt wszystkiego: z Murzynką. Poprawił: „Z Mulatką”. Ale w tym momencie jakakolwiek poprawka była już zupełnie zbyteczna: ona swoje skończyła.

- Takie samo kurewstwo - powiedziała - dopiero teraz rozumiem: to był zapach czarnuchy.

Zdarzyło się to w poniedziałek. W piątek, o siódmej wieczorem, Fermina Daza w towarzystwie chrześnicy i za cały bagaż mając jeden kufer, wsiadła na kursujący regularnie do San Juan de la Cienaga stateczek, z twarzą osłoniętą mantylką, aby zaoszczędzić niepotrzebnych pytań i sobie, i mężowi. Doktor Juvenal Urbino nie pojawił się w porcie, tak bowiem uzgodnili po wyczerpującej trzydniowej rozmowie, w wyniku której postanowili, że Fermina uda się do hacjendy kuzynki Hildebrandy Sanchez w miasteczku Flores de Maria na okres stosowny do przemyślenia wszystkiego przed podjęciem ostatecznej decyzji. Dzieci, nie znając rzeczywistych powodów, przyjęły informację jako wiadomość wielokrotnie przesuwanej podróży, o której same marzyły już od bardzo dawna. Doktor Urbino urządził wszystko tak, aby nikt w jego przewrotnym światku nie zaczął snuć choćby najmniej złośliwych przypuszczeń, i zrobił to tak dobrze, że jeśli Florentino Ariza nie odnalazł żadnego tropu wyjaśniającego zniknięcie Ferminy Dazy to tylko i wyłącznie dlatego, iż w istocie takiego tropu nie było, a nie z powodu niedostatku umiejętności śledczych. Mąż nie miał wątpliwości, że żona wróci, jak tylko przejdzie jej złość. Ona zaś odjechała z przekonaniem, że złość nigdy jej nie przejdzie. Bardzo szybko jednak dane jej było zrozumieć, że ta nadmierna determinacja jest nie tyle owocem urazy, co nostalgii. Od swej poślubnej podróży wielokrotnie, mimo konieczności spędzenia dziesięciu dni na morzu, powracała do Europy i zawsze miała jeszcze tyle czasu, żeby poczuć się szczęśliwą. Znała świat, nauczyła się żyć odmiennie i odmiennie myśleć, ale nigdy, od nieudanego lotu balonem, nie wróciła do San Juan de la Cienaga. Powrót w rodzinne strony kuzynki Hildebrandy miał dla niej posmak choćby i nazbyt późnego, ale jednak odkupienia. I nabrała tego przekonania niezależnie od małżeńskiej katastrofy: podobne refleksje nurtowały ją już znacznie wcześniej. W samej więc myśli o odzyskaniu miejsc i czasu młodości znajdowała pocieszenie w swych utrapieniach.

Kiedy w San Juan de la Cienaga zeszła ze swą chrześniczką na ląd, natychmiast, sięgając do niezgłębionych pokładów swego silnego charakteru, przystąpiła do rozpoznawania miasta, wbrew wszelkim uprzednim ostrzeżeniom. Szef cywilny i dowódca

wojskowy w jednej osobie, któremu została polecona, zaproponował jej, by skorzystała ze służbowego powozu, póki nie zjawi się pociąg jadący do San Pedro Alejandrino, dokąd pragnęła się udać chcąc na własne oczy sprawdzić, czy rzeczywiście łóżko, w którym zmarł Wyzwoliciel, było - zgodnie z tym co jej opowiadano - tak małe jak łóżeczko dziecięce. Fermina Daza ponownie ujrzała wówczas rodzinne miasteczko w marazmie godziny drugiej po południu.

Ponownie ujrzała ulice, zdające się bardziej piaskowymi łachami z pokrytymi zieloną rzęsą kałużami, i rezydencje portugalskich panów z wyrzeźbionymi na wierzejach heraldycznymi tarczami, z oknami osłoniętymi żaluzjami z brązu, zza których dochodziły, bezlitośnie powtarzane raz za razem w mrocznych salonach, potykające się smutne palcówki, których matka Ferminy Dazy, jako młoda mężatka, uczyła dziewczynki z bogatych domów. Ujrzała w saletrzanym żarze bezludny plac bez jednego, najmniejszego choćby drzewka, rząd okrytych żałobnymi budami powozów ze śpiącymi na stojąco końmi, żółty pociąg z San Pedro Alejandrino i sąsiadujący z głównym kościołem największy i najpiękniejszy, otoczony arkadami z omszałego kamienia dom z klasztornym portalem i okno sypialni, gdzie urodzić się miał Alvaro w wiele lat później, kiedy już nie dostawało jej pamięci, żeby móc to wspominać. Pomyślała o ciotce Scholastyce, której wciąż i bez jakiegokolwiek nadziei szukała na ziemi i w niebie, i myśląc o niej złapała się na tym, że myśli o Florentinie Arizie w stroju literata i z tomem wierszy pod parkowymi migdałowcami, jak nieczęsto jej się to zdarzało, gdy wracała pamięcią do swych szkolnych lat. Po dłuższym błakaniu się nie była w stanie odnaleźć dawnego rodzinnego domu, bo tam, gdzie jak sądziła, powinien stać, był wyłącznie chlew, a za rogiem ulica burdeli z kurwami z całego świata odsypiającymi sjęstę na progu, na wszelki wypadek, gdyby właśnie przechodził tamtędy listonosz z jakąś przesyłką dla nich. To nie było jej miasteczko. Rozpoczynając spacer Fermina Daza przysłoniła nieco twarz mantylką, nie tyle z obawy, iż zostanie rozpoznana w miejscu, gdzie nikt nie mógł jej znać, ile na widok zwłok rozkładających się w słońcu wszędzie, od dworca po cmentarz. Szef cywilny i dowódca wojskowy w jednej osobie wyjaśnił: „To cholera”. Wiedziała o tym, bo zauważyła na ustach zmarłych białe grudki spieczone niczym skwarki, dostrzegając zarazem, że żaden nie ma śladu po strzale łaski w potylicę, jak trupy w czasach balonowej przygody.

- Tak to już jest - powiedział jej oficer. - Pan Bóg też udoskonala swoje metody.

Odległość z San Juan de la Cienaga do dawnej cukrowni San Pedro Alejandrino wynosiła zaledwie dziewięć mil, ale żółty pociąg pokonywał ją przez cały dzień, maszynista był bowiem przyjacielem stałych pasażerów, ci zaś co chwila prosili go, by z łaski swojej

zechciał się zatrzymać, a to dla odbycia krótkiej przechadzki po polach golfowych towarzystwa bananowego i żeby wyprostować nieco kości; co poniektórzy z mężczyzn nawet kąpali się nago w przezroczystych i lodowatych rzekach spływających z gór, a kiedy czuli się głodni, wysiadali z pociągu i doili pasące się na łąkach krowy. Fermina Daza dojechała tak przerażona, iż sama sobie ograniczyła czas zwiedzania i podziwiania homeryckich tamaryndowców, pośród których Wyzwoliciel wieszał swój hamak konającego bohatera, i na sprawdzenie, że łóżko, w którym zmarł, zgodnie z tym, co jej mówiono, było za małe nie tylko dla mężczyzny o tak ogromnej sławie, ale nawet dla wcześniaka. Na dodatek jeden ze zwiedzających, co to zdawał się wiedzieć wszystko, stwierdził, że łóżko jest fałszywą relikwią, bo w rzeczywistości Ojca Ojczyzny złożono na ziemi, żeby tam skonał. Fermina Daza była tak przygnębiona tym, co ujrzała i usłyszała od chwili wyjazdu z domu, że przez resztę podróży, wbrew swym wcześniejszym pragnieniom, nie szukała już pociechy we wspomnieniach z poprzedniej wyprawy, unikając nawet przejazdu przez miasteczka swojej nostalgii. W ten sposób uchroniła je i siebie od rozczarowań. Słyszała dźwięki akordeonów dochodzące do rozstajnych dróg, przez które wymykało się rozczarowanie, słyszała wrzaski z aren walk kogutów, ołowiane salwy, które mogły być zarówno strzałami wojny, jak eksplozjami fety, kiedy zaś nie było już innego wyjścia i trzeba było przejechać przez miasteczko, zakrywała sobie twarz mantylką, żeby wspominać je nadal takim, jakie było przedtem.

Po owym starannym unikaniu przeszłości dotarła wreszcie którejs nocy do hacjendy kuzynki Hildebrandy i ujrzawszy ją oczekującą w drzwiach, omal nie umarła: było to tak, jakby ujrzała samą siebie w lustrze prawdy.

Była gruba, zniedołężniała, otoczona tabunem niesfornych dzieciaków, których ojcem nie był mężczyzna beznadziejnie i wciąż przez nią kochany, lecz poślubiony na złość i kochający ją do szaleństwa wojskowy w stanie spoczynku. Ale w skorupie zniszczonego ciała pozostawała nadal tą samą kuzynką Hildebrandą. Fermina Daza po kilku dniach pobytu na wsi i miłego wspomniania otrząsnęła się z przykrego wrażenia, niemniej poza hacjendę wyruszała jedynie na niedzielne nabożeństwa, razem z wnukami swych hardych onegdaj współniczek, wspaniałych jeźdźców dosiadających cudownych koni i w otoczeniu pięknych dziewcząt - ubranych równie elegancko jak ich matki, kiedy były w ich wieku - które stojąc jechały w wozach ciągniętych przez woły i śpiewały chórem przez całą drogę do kościoła misyjnego u końca doliny. Odwiedziła jedynie miasteczko Flores de Maria, w którym nie była w czasie poprzedniej podróży, bo nie sądziła, żeby mogło jej przypaść do gustu, ale teraz, kiedy je poznała, urzekło ją. Na swe nieszczęście lub na nieszczęście

miasteczka, już nigdy później nie mogła wspomnieć go takim, jakim w rzeczywistości było, lecz takim, jakim wyobrażała sobie, zanim je poznała.

Doktor Juvenal Urbino postanowił udać się po nią z chwilą otrzymania raportu od biskupa Riohacha. Ten zaś wysnuł wniosek, że ociąganie się małżonki z podjęciem decyzji o powrocie wynika nie tyle z braku chęci do powrotu, ile z tego, że nie wie, jak poradzić sobie z własną zranioną dumą. Pojechał tam bez uprzedzenia, po wymianie listów z Hildebrandą, z których wysnuł oczywisty wniosek, że małżonka teraz myśli wyłącznie o swym domu. Fermina Daza o jedenastej rano była właśnie w kuchni szykując faszerowane bakłazany, kiedy usłyszała krzyki peonów, rzenie, strzały w powietrze, a następnie mocno stawiane kroki w sieni i głos mężczyzny.

- Lepiej przyjechać w samą porę, niż zostać zaproszonym.

O mało co nie umarła z radości. Nie mając czasu na zastanowienie się, umyła byle jak ręce szepcząc:

„Mój Boże, dzięki ci, dzięki, jakiś ty dobry”, i pomyślała, że nie zdążyła się jeszcze wykapać przez te przekłete bakłazany, o które poprosiła ją Hildebranda nie mówiąc jej, kim jest gość zaproszony na obiad, i pomyślała, że jest tak stara i brzydka, z twarzą zniszczoną przez słońce i kiedy zobaczy ją w tym stanie, na pewno zacznie żałować, że w ogóle tutaj przyjechał, niech to diabli. Ale wytarła sobie ręce fartuchem i doprowadziła się do porządku, odwołała się do całej swojej dumy, z jaką matka wydała ją na świat, i opanowując oszalałe serce ruszyła na spotkanie mężczyzny swym ujmującym krokiem łani, z uniesioną wysoko głową, przytomnym spojrzeniem, wojowniczym nosem, wdzięczna losowi za ogromną ulgę powrotu, chociaż nie tak łatwego, jak mogłoby się wydawać mężowi, bo i owszem, wraca z nim szczęśliwa, i owszem, ale z silnym postanowieniem, że drogo, choć w milczeniu, każe sobie odpłacić za wszystkie gorzkie cierpienia, które zrujnowały jej życie. W niespełna dwa lata po zniknięciu Ferminy Dazy miał miejsce jeden z tych nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, uznawanych przez Transito Arizę za kiepski dowcip Pana Boga. Choć Florentino Ariza nie został szczególnym miłośnikiem nowego wynalazku, jakim był kinematograf, Leonie Cassiani udało się go jednak zabrać, bez większego sprzeciwu z jego strony, na spektakularną premierę Cabiñi, reklamowanej przede wszystkim jako film, do którego dialogi napisał poeta Gabriel D'Annunzio. Ogromne i nie zadaszone patio don Galilea Daconte, gdzie w niektóre noce wzruszano się bardziej wspaniałością gwiazdnego firmamentu niż niemą miłością na ekranie, pękało w szwach od doborowej publiczności. Leona Cassiani śledziła z zapartym tchem perypetie opowieści. Florentino Ariza, wprost przeciwnie, walczył ze snem przytłoczony ciężkością

dramatu. Za jego plecami kobiecy głos zdawał się czytać w jego myślach:

- Mój Boże, to jest dłuższe od bólu!

To było wszystko, co powiedziała, skonfundowana być może echem swego głosu w ciemnościach, tutaj jeszcze nie stosowano bowiem zwyczaju upiększania niemych filmów akompaniamentem pianina i w mrokach parteru słychać było jedynie deszczowy szum projektora. Florentino Ariza pamiętał o Bogu wyłącznie w najtrudniejszych sytuacjach, tym razem jednak podziękował mu z całej duszy. Bo nawet znajdując się dwadzieścia łokci pod ziemią rozpoznałby natychmiast ten metaliczny, głucho brzmiący głos, który nosił w swej duszy od tego popołudnia, kiedy mu powiedziała w strumieniu żółtych liści odludnego parku: „A teraz proszę odejść i nie wracać, dopóki pana nie powiadomię”. Wiedział, że siedzi tuż za nim, oczywiście obok męża, i czuł jej ciepły, regularny oddech, i z miłością wdychał powietrze oczyszczone dobrym zdrowiem tego oddechu. Nie odczuł, aby toczył ją robak śmierci, jak to sobie wyobrażał w przygnębieniu ostatnich miesięcy, lecz ponownie pojawiła się w jego myślach w swych szczęśliwych promiennych latach, z brzuchem pod tuniką Minerwy zaokrąglonym nasieniem pierwszego syna. Wyobraził ją sobie tak, jakby widział ją nie oglądając się za siebie, całkowicie obojętny na historyczne katastrofy rozsadzające ekran. Rozkoszował się wonią migdałowych perfum, raz za razem płynącą ku niemu z jej intymności, rad dowiedzieć się, jak, jej zdaniem, powinny w filmach zakochiwać się kobiety, żeby ich miłość była mniej bolesna od miłości w życiu. Tuż przed końcem, w błysku radości, zdał sobie nagle sprawę, że nigdy nie było mu dane przebywać tak długo w pobliżu osoby, którą tak bardzo kochał. Kiedy zapalono światła, poczekał, aż wstaną wszyscy.

Następnie, bez pośpiechu, podniósł się, odwrócił, w roztargnieniu zapinając kamizelkę, którą zawsze podczas seansu rozpinął, i cała czwórka znalazła się tak blisko siebie, że chcąc nie chcąc musieli się przywitać, nawet gdyby jedno z nich bardzo tego nie chciało. Juvenal Urbino wpierw przywitał się z Leoną Cassiani, dobrze mu znaną, następnie, z typową dlań grzecznością, uścisnął dłoń Florentina Arizy. Fermina Daza posłała obojgu uprzejmy i tylko uprzejmy uśmiech, ale mimo wszystko uśmiech kogoś, kto wielokrotnie ich widywał i wiedział, kim są, a tym samym nie trzeba było dokonywać aktu prezentacji. Leona Cassiani odwzajemniła jej się z wrodzonym sobie wdziękiem Mulatki. A Florentino Ariza nie wiedział, co począć, bo ujrzawszy ją osłupiał. Była inna. Na jej twarzy nie widniał żaden ślad ani owej straszliwej i modnej choroby, ani żadnej innej, ciało zaś zachowywało wciąż wagę i smukłość z jej najlepszych dni, można było jednak dostrzec, że ostatnie dziesięć źle przeżytych lat wycisnęło na niej wyraźne piętno. Dobrze wyglądała



krótko ostrzyżona, z łukami kosmyków na policzkach, włosy straciły już jednak swój miodowy kolor na rzecz barwy aluminium, a przepiękne bystre oczy utraciły połowę swej świetlistej żywotności przysłonięte za babcinymi okularami. Florentino Ariza ujrzał, jak prowadzona przez męża pod rękę odchodzi pośród tłumu opuszczającego kino, i zdziwił się, że pojawiła się w miejscu publicznym w mantylce biedaczki i w domowych pantoflach. Ale najbardziej poruszyło go to, że mąż musiał chwycić ją za ramię, by wskazać jej drogę ku wyjściu, choć pomimo tej pomocy i tak źle oszacowała wysokość stopni i omal się nie potknęła na schodach.

Florentino Ariza był przewrażliwiony na punkcie podobnych oznak starzenia się. Już za młodu przerywał czytanie wierszy w parkach, by obserwować pary staruszków pomagających sobie przy przechodzeniu przez ulicę, co stało się dlań lekcją życia, która dopomogła mu przewidzieć prawa własnej starości. Mężczyźni w wieku, w jakim był doktor Juvenal Urbino w ową filmową noc, rozkwitali specyficzną jesienną młodością wraz z pojawieniem się pierwszej siwizny, stawali się jakby szlachetniejsi, przemyślniejsi i, przede wszystkim w oczach młodych kobiet, bardziej uwodzicielscy, podczas gdy ich wędnące żony musiały przywierać do ich ramion, by nie potknąć się o własny cień. Niemniej, po upływie kilku zaledwie lat mężowie nagle spadali w przepaść haniebnego starości ciała i duszy i wówczas role się odwracały, bo pogodzone już z losem małżonki teraz z kolei musiały prowadzić pod rękę mężów, niczym wymagających litości ślepców, szepcząc im do ucha, tak by nie zranić ich męskiej dumy, żeby wzięli pod uwagę, że mają przed sobą trzy, a nie dwa stopnie, że pośrodku ulicy znajduje się kałuża, że ten leżący w poprzek chodnika tłumok to zmarły żebrak, pomagając im przejść z olbrzymim trudem przez ulicę, jakby pokonywali jedyny bród na ostatniej rzece życia. Florentino Ariza tyle razy widział siebie w owym zwierciadle, iż nigdy tak się nie bał śmierci, jak haniebnego wieku, kiedy będzie musiał być prowadzony pod rękę przez kobietę. Wiedział, że tego dnia, i dopiero tego dnia, będzie musiał zrezygnować z nadziei na Ferminę Dazę.

Spotkanie spłoszyło senność. Zamiast odwieźć Leone Cassiani powozem, odprowadził ją pieszo przez stare miasto, gdzie jej kroki rozbrzmiewały niczym końskie podkowy bijące o bruk. Od czasu do czasu z otwartych balkonów dobiegały strzępy ulotnych głosów, alkowiane wyznania, miłosne jęki wyolbrzymione przez upiorną akustykę, a z uśpionych zaułków wymykała się ciepła woń jaśminów. Po raz kolejny Florentino Ariza musiał odwołać się do wszystkich swoich sił, żeby nie wyznać Leonie Cassiani swej powściągananej miłości do Ferminy Dazy. Szli obok siebie, mocno stawiając kroki, kochając się nierychliwie jak starzy kochankowie, ona rozmyślając o przypadkach

Cabirii, on zaś rozmyślając o własnym nieszczęśliwym przypadku. Na balkonie przy Placu Celnym śpiewał jakiś mężczyzna, a śpiew rozlegał się po okolicy nakładającym się na siebie echem: „Kiedym przez fale bezkresne morza płynął”. Na ulicy Santos de Piedra, przy jej domu, w tym właśnie momencie, gdy powinien był pożegnać się z nią, Florentino Ariza poprosił Leone Cassiani, by zaprosiła go na kieliszek brandy. Prosił o to w podobnych okolicznościach już po raz drugi. Pierwszy raz, dziesięć lat temu, powiedziała mu: „Jeśli wejdiesz o tej porze, będziesz musiał zostać na zawsze”. Nie wszedł. Teraz jednak wszedłby za każdą cenę, choćby później miał nie dotrzymać słowa. Ale Leona Cassiani zaprosiła go na górę bez żadnych zobowiązań.

W ten właśnie sposób i w chwili najmniej przez siebie spodziewanej znalazł się w sanktuarium miłości zniszczonej, zanim zdążyła się narodzić. Rodzice Leony Cassiani zmarli, jej jedyny brat dorobił się fortuny w Curacao, ona zaś mieszkała samotnie w starym rodzinnym domu. Przed laty, kiedy nie rezygnował jeszcze z nadziei uczynienia z niej swej kochanki, Florentino Ariza zwykł odwiedzać ją w niedziele, za przyzwoleniem jej rodziców, czasami nawet w nocy, do bardzo późna, a jego udział w urządzaniu mieszkania był tak znaczący, iż w rezultacie zaczął uznawać je za swoje własne. W ową noc po seansie filmowym miał jednak wrażenie, że salon został wyczyszczony ze wspomnień o nim. Meble stały w zupełnie innych miejscach, na ścianach wisiały inne obrazy, on zaś pomyślał, że tyle okrutnych zmian zostało dokonanych celowo, żeby, ponad wszelką wątpliwość, nabrać pewności, że on nigdy nie istniał. Kot nie poznał go. Przerażony zaciekłością zapomnienia, powiedział: „Już mnie nie pamięta”. Ale ona, odwrócona plecami, nalewając brandy odpowiedziała mu, że jeśli ma to dla niego stanowić jakiś problem, to może spokojnie spać, bo koty nikogo nie pamiętają.

Rozparci wygodnie na sofie, bardzo blisko siebie, rozmawiali o sobie, o tym, kim byli, zanim poznali się pewnego wieczoru, Bóg wie kiedy, w tramwaju zaprzężonym w muły. Ich życie płynęło w przyległych gabinetach i nigdy do tej pory nie rozmawiali o niczym innym niż o codziennej pracy. Podczas rozmowy Florentino Ariza położył dłoń na jej udzie, zaczął pieścić delikatnymi dotknięciami wytrawnego uwodziciela, ona zaś pozwoliła mu na to, nie odpowiadając mu ani jednym dreszczem, nawet przez uprzejmość. Dopiero kiedy spróbował brnąć dalej, ujęła jego błędzącą dłoń i pocałowała ją.

- Bądź grzeczny - powiedziała. - Już dawno zrozumiałam, że nie jesteś tym mężczyzną, jakiego szukam.

Gdy była bardzo młoda, jakiś silny i wprawny mężczyzna, którego twarzy nigdy nie zdołała ujrzeć, przewrócił ją z nienacka na falochronie i zdarłszy sukienkę obdarzył ją

szybką i frenetyczną miłością. Ciśnięta na kamienie, z całym ciałem w ranach, pragnęła jedynie, żeby mężczyzna ten pozostał na zawsze, aby mogła umrzeć z miłości w jego ramionach. Nie widziała jego twarzy, nie słyszała jego głosu, ale była pewna, że rozpoznałaby go pośród tysiąca innych dzięki jego postaci, rozmiarom i miłosnym umiejętnościom. Od tamtej pory każdemu, kto tylko raczył jej wysłuchać mówiła: „Jeśli kiedykolwiek usłyszysz o roslym, krzepkim facecie, który zgwałcił pierwszą lepszą, biedną czarnuchę na Falochronie Topielców piętnastego października mniej więcej o wpół do dwunastej w nocy, powiedz mu, gdzie może mnie odnaleźć”. Rozповідаła to z przyzwyczajenia i powiedziała to tylu mężczyznom, że nie żywiła już żadnej nadziei. Florentino Ariza wysłuchał tej opowieści tyle razy, iż docierała do jego uszu na równi z nocnymi pożegnaniami statków. Kiedy wybiła druga w nocy, każde z nich wypilo już po trzy kieliszki brandy, a on z całkowitą pewnością wiedział, że nie jest tym mężczyzną, na którego czeka Leona Cassiani, i przekonawszy się o tym, szczerze się ucieszył. - Moje gratulacje, lwico - powiedział jej na pożegnanie - ukreśliśmy łeb tygrysowi.

Tej nocy nie tylko ta sprawa została rozstrzygnięta raz na zawsze. Złośliwa pogłoska o pawilonie gruźlików całkowicie odarła go ze złudzeń, budząc w nim niepojęte podejrzenie, że Fermina Daza jest jednak śmiertelna, co oznaczało, iż równie dobrze może umrzeć przed mężem.

A kiedy ujrzał, jak wychodząc z kina potyka się na schodach, już na własny użytek uczynił kolejny krok ku przepaści wstrząśnięty nagle odkryciem, że to przecież on może umrzeć pierwszy, a nie ona. Było to jedno z tych najbardziej zatrważających przeczuć, bo opartych na bardzo realnych przesłankach. Daleko w tyle pozostały lata biernego oczekiwania i szczęśliwych nadziei, na horyzoncie zaś dostrzec można było jedynie bezkresną morską otchłań urojonych chorób, mękę oddawania moczu kropla po kropli w bezsenne poranki, codzienną śmierć o zmierzchu. Pomyślał, że każda z najulotniejszych w ciągu dnia chwil, z których wszystkie były dlań dotychczas czymś więcej niż zwykłymi sprzymierzeńcami, bo jego zaprzysiężonymi współnikami, teraz zaczęła spiskować przeciwko niemu. Kilka lat przedtem z sercem ściśniętym lękiem przed niebezpieczeństwem, udał się na ryzykowne spotkanie i natrafił na nie zamknięte na skobel drzwi i naoliwione dopiero co zawiasy, tak aby mógł wejść nie czyniąc hałasu, w ostatniej jednak chwili poczuł skruchę, obawiając się, iż może przysporzyć nie znanej, acz usługowej kobiecie nie zawinionych przez nią kłopotów, umierając nagle w jej własnym łóżku. Tym samym w pełni uzasadniona była konkluzja, że najbardziej umiłowanej na ziemi istocie, na którą czekał od ubiegłego wieku do dzisiaj, nie wydawszy ani razu westchnienia rozczarowania, ledwie starczy czasu, by

podtrzymując go pod ramię pomóc mu przejść przez ulicę księżycowych mogił, przez polacie polnych maków rozwichrzonych przez wiatr, i przeprowadzić go, bez uszczerbku na zdrowiu i ciele, na drugą stronę śmierci.

Prawdę mówiąc, jak na ówczesne kryteria, Florentino Ariza obojętnie przekroczył miedzę starości. Miał pięćdziesiąt sześć lat, starannie ukończonych i, jak sądził, przeżytych w najlepszy z możliwych sposobów, bo były to lata miłości. W owych czasach jednak żaden mężczyzna nie naraziłby się na śmieszność podejmowania jakichkolwiek prób, by wyglądać w tym wieku na człowieka młodego, choćby taką nawet miał prezencję lub za takowego się uważał, i nikt nie miałby odwagi wyznać bez żenady, że jeszcze płacze po kryjomu z powodu zesłowiecznej rekuzy. Nie była to najlepsza epoka dla młodości: dla każdej grupy wiekowej przewidziany był odpowiedni styl noszenia się, a ten przeznaczony dla starości rozpoczął się tuż po uzyskaniu dojrzałości i obowiązywał aż do grobu. I znamionowało to bardziej społeczną rangę niż rzeczywisty wiek. Młodzi ubierali się tak samo jak ich dziadkowie, nadawali sobie powagi przedwczesnymi okularami, laska zaś już od trzydziestki stanowiła nad wyraz pożądany rekwizyt. Dla kobiet istniały wyłącznie dwa przedziały wieku: nie przekraczający dwudziestu dwu lat wiek zamążpójścia i wiek wiecznych panien: staropanieństwo. Pozostałe - mężatki, matki, wdowy, babcie - stanowiły osobny gatunek kobiet, nie prowadzących rachuby swego wieku zgodnie z przeżyтыми latami, lecz według czasu, jaki dzielił je od śmierci.

Florentino Ariza stawiał zaś czoło podstępom starości z zaciętą zuchwałością i w pełni świadom swego rzadkiego pecha, iż już od dziecka wyglądał staro. Początkowo wynikało to z potrzeby. Transito Ariza przerabiała nań ubrania, które jego ojciec zamierzał wyrzucić na śmietnik, do szkoły podstawowej chodził więc w przytłaczających go do ławek surdutach i w ministerskich kapeluszach, które spadały mu na uszy chociaż wpychał w nie olbrzymie ilości waty. A że od piątego roku życia zmuszony był, jako krótkowidz, używać okularów, po matce zaś odziedziczył takie same indiańskie włosy, sztywne i grube niczym końskie włosie, jego wygląd był tym bardziej tajemniczy.

Na szczęście po tak wielu chaosach rządowych, następujących w wyniku tylu kolejnych wojen domowych, dyscyplina edukacyjna była znacznie łagodniejsza niż przedtem, a w szkołach publicznych panował istny zamęt we wszystkim, co dotyczyło warunków społecznych. Całkiem małe dzieci zjawiały się na lekcjach cuchnąc prochem ulicznych barykad, w mundurach i z odznakami zrewoltowanych oficerów, zdobytymi w bezpardonowej walce w niewiadomych bitwach, z regulaminową i jak najbardziej widoczną u pasa bronią. Strzelali do siebie po byle kłótni w czasie przerwy, grozili nauczycielom po

otrzymaniu złych stopni, a jeden z nich, uczeń trzeciej klasy szkoły salezjanów i zarazem pułkownik oddziałów ochotniczych w stanie spoczynku, jednym strzałem zabił brata Juana Eremite, prefekta zgromadzenia, bo ten powiedział na lekcji religii, że Bóg należy do partii konserwatywnej.

Z drugiej zaś strony, dzieci wielkich, acz podupadłych rodzin chodziły w strojach dawnych książąt, a niektóre z nich, te najuboższe, nawet boso. Pośród tylu dziwacznych postaci, przybyłych z najróżniejszych stron, Florentino Ariza należał mimo wszystko, do najdziwniejszych, nie na tyle jednak, aby zwracać na siebie szczególną uwagę. Najgorszą rzeczą, jaką usłyszał, był wydany kiedyś na ulicy okrzyk pod jego adresem: „Kto potworą i biedakiem, ten się musi obejść smakiem”. Koniec końców ów strój, wynik konieczności, od tej chwili i już przez resztę życia Florentina Arizy stał się najodpowiedniejszym strojem dla jego zagadkowej natury i ponurego charakteru. Kiedy w KTRz objął pierwsze poważne stanowisko, kazał sprawić sobie ubrania w stylu surdutów swego ojca, który jawił się w jego pamięci jako starzec zmarły w czcigodnym chrystusowym wieku trzydziestu trzech lat. Florentino Ariza zawsze więc wyglądał na znacznie starszego. Do tego stopnia, że Brigida Zuleta, przelotna kochanka o niewyparzonej gębie, podająca mu prawdy na surowo, od razu pierwszego dnia powiedziała mu, że bardziej podoba jej się rozebrany, bo nago ma dwadzieścia lat mniej. W żaden sposób nie był jednak w stanie odmienić tego stanu rzeczy, bo po pierwsze jego osobiste poczucie smaku nie dopuszczało innego stylu ubierania się, a po drugie nikt nie wiedział, jak należy ubierać się młodo mając lat dwadzieścia: chyba że sięgnie się do szafy po krótkie spodniki i czapkę marynarską. Zresztą jemu też trudno było odmiennie od siebie współczesnych pojmować starość, oczywista więc była jego reakcja na widok potykającej się przy wyjściu z kina Ferminy Dazy, kiedy to uległ panice na myśl o tym, że pieprzona śmierć bezlitośnie pokona go w zaciętej wojnie o miłość. Do tej pory największą batalią, jaką stoczył, stając do niej całkowicie bezbronny i sromotnie ją przegrywając, była batalia o łysinę. Ujrawszy pierwsze włosy zaplątane między zębami grzebienia, zrozumiał, że skazany jest na piekielne męki niewyobrażalne dla tych, których nie dotknęło to przekleństwo. Walczył przez lata. Nie istniała maść czy płyn, których by nie wypróbował, ani gusła, w jakie by nie wierzył, nie było też poświęcenia, na jakie by się nie zdobył, byleby obronić przed niszczycielską zachłannością najmniejszą bodaj piędź głowy. Wyuczył się na pamięć instrukcji z Kalendarza Bristol dla rolników, bo słyszał, że porost włosów ma bezpośredni związek z cyklem zbiorów. Zrezygnował ze swego dotychczasowego fryzjera, łysego jak kolano, by zostać klientem innego, dopiero co przybyłego, który strzygł włosy tylko w okresie, gdy księżyc wchodził w czwartą kwadrę. W

momencie, kiedy nowy fryzjer zaczął udowadniać, iż rzeczywiście ma płodną rękę, okazało się, że jest to gwałciciel zakonnych nowicjuszek poszukiwany przez wszystkie policje Antyli, gdzie odesłano go zakutego w kajdany.

Florentino Ariza już wówczas posiadał wszystkie możliwe wycinki ogłoszeń dla łysych z całej prasy Karaibów, gdzie drukowano, obok siebie, dwa zdjęcia tego samego mężczyzny, na jednym łysego jak melon, a na drugim z plerezą gęściejszą niż lwia grzywa: przed i po zastosowaniu niezawodnego środka. Przez sześć lat wypróbował sto siedemdziesiąt dwa rodzaje mikstur, nie licząc dodatkowych sposobów podawanych na etykietach flakonów, i jedynym, co zyskał po zastosowaniu jednego z nich była swędząca i śmierzcząca egzema na czaszce zwana przez znachorów z Martyniki liszajem polarnym, bo w ciemności promieniowała świetlistą zorzą. Ostatnią deską ratunku miały być najróżniejsze zioła indiańskie wychwalane na targu, rozliczne specyfiki magiczne i orientalne wywary sprzedawane w Bramie Pisarzy, zanim jednak zdał sobie sprawę, że stał się ofiarą oszustwa, jego głowa przyozdobiona już była tonsurą świętego. W zerowym roku naszego wieku, kiedy kraj krwawił w wojnie Tysiąca Dni, do miasta przybył Włoch, produkujący na obstalunek peruki z naturalnych włosów. Kosztowały fortunę, producent zaś, po trzymiesięcznym okresie ich używania, nie brał na siebie żadnej odpowiedzialności, mało który jednak z zasobnych łysielców nie uległ pokusie. Florentino Ariza był jednym z pierwszych. Przymierzył perukę tak podobną do swych naturalnych włosów, iż sam uległ obawie, że i na niej włosy będą mu się jeżyć wraz ze zmianą nastrojów, nie potrafił jednak przyzwyczać się do myśli, że na głowie nosić będzie włosy po nieboszczyku. Jedyłą jego pociechą stało się przeświadczenie, że dzięki żarłoczności łysiny nie zdąży poznać barwy swej siwizny. Pewnego dnia jeden z beztroskich pijaczków z nabrzeża rzeczno, ujrawszy go wychodzącego z biura, uścisnął go z większą niż zazwyczaj wylewnością i pośród głośnych drwin tragarzy zdjął mu kapelusz, po czym złożył na czerepie głośny pocałunek.

- Boski łysielcu! - krzyknął.

Tej samej nocy, w wieku czterdziestu ośmiu lat, kazał ściąć sobie nieliczne już pasemka włosów na skroniach i potylicy, całkowicie poddając się swemu losowi absolutnego łysielca. Do tego stopnia, że każdego ranka przed kąpielą pokrywał pianą nie tylko policzki, ale i te części czaszki, gdzie zaczynały odrastać włoski, by przy użyciu brzytwy upodobnić ją wyglądem do dziecięcych pośladków. Dotychczas nie zdejmował kapelusza nawet w biurze, odnosił bowiem wrażenie, iż publicznie demonstrując łysinę obnaża się, tym samym zachowując się nieprzyzwoicie. Kiedy jednak ostatecznie się z nią pogodził, począł przypisywać jej atrybuty męskości, o jakich słyszał już przedtem, ale do tej

pory puszczał to mimo uszu, jako najzwyczajsze fantazje łysych. Nieco później dostosował się do nowego zwyczaju przerzucania sobie na przód głowy długich włosów z prawej strony i już nigdy od niego nie odstąpił. Nie przestał jednak nosić kapelusza, niezmiennie w tym samym, żalobnym stylu, nawet wtedy, kiedy zapanowała moda na tatarkę, jak określano lokalnie słomkowy kapelusz.

Natomiast utrata zębów nie była wynikiem naturalnej katastrofy, lecz spowodowana została fuszerką wędrownego dentysty, który postanowił drastycznie powstrzymać najzwyczajszą infekcję. Paniczny lęk przed bormaszyną uniemożliwił wizyty Florentina Arizy u dentysty, pomimo ustawicznego bólu zębów, dopóki nie nadszedł moment, kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać. Matkę ogarnęło przerażenie, gdy z przyległego pokoju zaczęły rozlegać się żalodne jęki, trwające później przez całą noc, bo uroila sobie, że są to te same, niemal już zagubione we mgle jej pamięci, jęki z innych czasów, ale kiedy kazała mu otworzyć usta, żeby sprawdzić, gdzie tym razem doskwiera mu miłość, odkryła, że cierpi z powodu ropniaków.

Wuj Leon XII posłał doń doktora Francisa Adonay, czarnego olbrzyma w butach i jeździeckich spodniach, pływającego na statkach rzecznych z w pełni wyposażonym gabinetem dentystycznym przewożonym w ekonomicznych sakwach, którego wygląd kojarzył się raczej z wędrownym sprzedawcą strachu krążącym po nadrzecznych osadach. Wystarczył mu rzut oka w głąb jamy ustnej, by zawyrokować, że Florentinowi Arizie należy wyrwać wszystkie zęby, łącznie z jeszcze zdrowymi, żeby raz na zawsze uwolnić go od kolejnych przykrości. Odwrotnie niż w przypadku łysiny, Florentino Ariza w ogóle nie przejął się ową końską kuracją, poza naturalnym strachem przed masakrą bez znieczulenia. Nie zmartwiła go również myśl o sztucznej szczęce, a to dlatego, że po pierwsze jedną z nostalgii za własnym dzieciństwem było wspomnienie jarmarcznego sztukmistrza, który wyjmował sobie szczęki i stawiał je rozmawiające między sobą na stole, a po drugie, ponieważ raz na zawsze kładło to kres bólom zębów, nękającym go od dziecka tylokrotnie i z takim samym niemal okrucieństwem, co udręki miłosne. Nie odebrał tego również jako podstępnego ciosu starości, jak w przypadku łysiny, był bowiem przekonany, że mimo cierpkiego oddechu wulkanizowanej gumy, jego aparycja wzbogacona o sztuczny uśmiech będzie znacznie bardziej higieniczna. Poddał się więc, bez żadnego oporu, rozżarzonym do białości szczypcom doktora Adonay i zniósł kurację ze stoicyzmem jucznego osła.

Wuj Leon XII dopytywał się o najdrobniejsze szczegóły operacji, jakby miano ją przeprowadzić na nim samym. Od czasu jednej z jego pierwszych wypraw rzeką

Magdaleną, z winy swej maniakalnej miłości do bel canta osobliwie interesował się sztucznymi szczękami. Pewnej księżycowej nocy, na wysokości portu Gamarra, założył się z niemieckim geometrą, że jest w stanie obudzić wszystkie stworzenia w puszczy śpiewając na mostku kapitańskim pieśń neapolitańską. Niewiele brakowało, żeby wygrał. W ciemnościach rzeki dało się słyszeć trzepot czapli nad mokradłami, plaskanie kajmanów, zatrwożone delfiny próbujące wyskoczyć na stały ląd, ale w kulminacyjnym momencie, kiedy wszystkich ogarnął lęk, że śpiewakowi zaraz pękną z wysiłku żyły, razem z ostatnim wydechem wypadła mu z ust sztuczna szczęka ginąc w wodzie.

Statek musiał zawinąć do portu Tenerife, gdzie stał przez trzy dni, dopóki wujowi Leonowi XII nie zrobiono następnej szczęki. Pasowała doskonale. Ale w drodze powrotnej, gdy wuj Leon XII, próbując wyjaśnić kapitanowi, jak stracił poprzednią szczękę, nabrał w płuca, ile się tylko dało, palącego powietrza puszczy, wziął najwyższą nutę, na jaką było go stać, i utrzymał do ostatniego tchu, usiłując spłoszyć wylegujące się na słońcu kajmany obojętnie spoglądające na przepływający parostatek - nowa szczęka również pogrzyła się w nurtach rzeki. Od tamtej pory przechowywał kopie zębów wszędzie, gdzie się tylko dało, w przeróżnych miejscach w domu, w szufladzie biurka i na każdym z trzech statków Towarzystwa. Ponadto, kiedy jadał poza domem, chował do kieszeni, w pudełeczku na tabletki od kaszlu, zapasową szczękę, od czasu gdy jedna z nich pękła mu, kiedy usiłował zjeść usmażoną cykadę podczas wiejskiego obiadu. Lękając się, że bratanek może paść ofiarą podobnych kłopotów, wuj Leon XII poprosił doktora Adonay o zrobienie od razu dwóch sztucznych szczęk: jednej z tanich materiałów, do codziennego biurowego użytku i drugiej na niedziele i dni świąteczne, ze złotą iskierką na trzonowym zębie uśmiechu, przydającą szczęce dodatkowego elementu naturalności. Wreszcie, w rozradowaną świątecznymi dzwonami Niedzielę Palmową, Florentino Ariza powrócił na miasto obdarzony nową tożsamością, której nieskazitelny uśmiech wywarł na nim samym wrażenie, że jego miejsce na świecie zajął ktoś całkiem od niego odmienny.

Działo się to w tym czasie, kiedy odumarła go matka i Florentino Ariza mieszkał sam. Dom stał się najodpowiedniejszym zakątkiem dla jego sposobów zaspokajania miłości, ulica, przy której stał, nadal zachowywała swój dyskretny charakter, mimo iż nadmierna liczba okien, od której wzięła swoją nazwę, siłą rzeczy nasuwała myśl o zbyt wielu ciekawskich oczach za firankami. Ale wszystko w tym domu uczynione zostało po to, żeby Fermina Daza i tylko Fermina Daza była w nim szczęśliwa, toteż Florentino Ariza wolał, nawet w swych najowocniejszych latach, stracić wiele okazji, niż splugawić swój dom innymi miłościami. Na szczęście każdy pokonywany przez niego w KTRz szczebelek



oznaczał kolejne przywileje, a szczególnie przywileje sekretne, jednym zaś z najużyteczniejszych okazała się możliwość korzystania z gabinetów nocą lub w niedziele i dni świąteczne, ku zadowoleniu dozorców. Swego czasu, kiedy pełnił już funkcję pierwszego wiceprezesa, w chwili gdy zaspokajał nagłą potrzebę miłości z jedną z dziewcząt pełniących niedzielny dyżur - on rozparty na krześle przy biurku, ona dosiadając go okrakiem - nagle otworzyły się drzwi. Wuj Leon XII wsunął głowę, jakby nie był pewien, czy się nie pomylił i przez chwilę przyglądał się sponad okularów swemu przerażonemu bratankowi. „O kurwa! - powiedział wuj Leon XII bez najmniejszych oznak zdziwienia. - Wykapany tatuś!” I zanim zamknął za sobą drzwi, ze wzrokiem zagubionym gdzieś w pustce, dodał:

- A panienka niech sobie nie przeszkadza. Przysięgam, że nie ma się czego bać, ja nie widziałem twarzy panienki, słowo honoru.

Na ten temat nie padło później żadne słowo, ale w następnym tygodniu w gabinecie Florentina Arizy nie dało się pracować. W poniedziałek wtargnęli całą bandą elektrycy, by zainstalować wentylator pod sufitem. Bez żadnego uprzedzenia przybyli ślusarze podnosząc bitewny huk przy zakładaniu w drzwiach zamku zamykanego wyłącznie od wewnątrz. Stolarze wzięli miarę nie mówiąc na co, tapicerzy przynieśli próbki kretonów sprawdzając, czy pasują do koloru ścian, w następnym zaś tygodniu wciągnięto przez okno, bo nie mieściła się w drzwiach, ogromną sofę małżeńską obitą sukrem w dionizyjskie kwiaty. Pracowali w najmniej spodziewanych godzinach, z bezczelnością nie wyglądającą na przypadkową i każdemu, kto odważył się protestować, udzielali tej samej odpowiedzi: „Polecenie Dyrekcji Generalnej”. Florentino Ariza nigdy się nie dowiedział, czy tak daleko idąca ingerencja stanowiła wyraz uprzejmości wuja dbającego o jego wykołejone miłości, czy też było to, w swoisty dla wuja Leona XII sposób, zwrócenie mu uwagi na jego zachowanie, przekraczające miarę przyzwoitości. Do głowy nie przyszedł mu rzeczywisty powód, a mianowicie ten, że wuj Leon XII pragnął dodać mu otuchy, bo i do niego dotarły pogłoski, że bratanek hołduje obyczajom znacznie odstającym od przyzwyczajień większości mężczyzn, co dręczyło go niepomierne, stanowiło bowiem przeszkodę w jego zamiarach uczynienia go swoim następcą.

W odróżnieniu od małżeństwa brata, małżeństwo Leona XII Loayza było stabilne i przetrwało sześćdziesiąt lat, on sam zaś zawsze szczyił się tym, że nigdy nie pracował w niedziele. Miał czterech synów i jedną córkę i wszystkich pragnął przygotować do roli spadkobierców swego imperium, życie jednak zgotowało mu jeden z tych przypadków, powszechnie wykorzystywanych w ówczesnych powieściach, ale w które nikt w życiu

realnym nie wierzył: czterej synowie zmarli jeden po drugim, w miarę jak pieli się na coraz wyższe stanowiska, córka zaś zupełnie nie czuła w sobie armatorskiego powołania i wołała umrzeć przyglądając się statkom na rzece Hudson z okna na wysokości pięćdziesięciu metrów. Wyglądało to aż tak nieprawdopodobnie, że nie brakowało osób, które dawały wiarę bajdurzeniu, jakoby Florentino Ariza, ów ponurak z nieodłącznym parasolem wampira, przyczynił się do tego, by tyle przypadków miało miejsce naraz.

Kiedy wuj, za radą lekarzy i wbrew własnej woli, wycofał się, Florentino Ariza nie bez przyjemności zrezygnował z co poniektórych niedzielnych miłostek. Pragnąc dotrzymać wujowi towarzystwa w jego wiejskim zaciszu, wyruszał w jednym z pierwszych, jakie pojawiły się w mieście, samochodów na korbę rozruchową o takiej sile odrzutu, że pierwszemu kierowcy wyrwała ramię.

Rozmawiali godzinami - stary w hamaku ze swym monogramem wyszytym jedwabnymi nićmi, zobojętniały na wszystko, odwrócony plecami do morza - w starej hacjendzie niewolników, z której tarasów porośniętych alstromeriami dostrzec można było o zmierzchu ośnieżone szczyty gór. Zawsze trudno im było rozmawiać o czymś innym niż o żegludze rzecznej i pod tym względem nic się nie zmieniło w czasie owych wolno płynących popołudni, gdzie śmierć była jeszcze jednym niewidzialnym gościem. Jednym z ciągle nurtujących wuja Leona XII problemów była troska o to, by żegluga rzeczna nie przeszła w ręce przedsiębiorców z interioru powiązanych z europejskimi konsorcjami. „To zawsze był interes dla nas, Karaibczyków - mawiał. - Jeśli go przejmą górale, to znowu podarują go Niemcom”. Było to jego nieustanne zmartwienie, podparte zresztą politycznym przekonaniem, któremu często dawał wyraz, nawet wtedy, gdy nie miało to żadnego związku z tematem rozmowy:

- Niedługo dożyję stu lat i widziałem, jak wszystko się zmienia, nawet miejsca gwiazd we wszechświecie, ale jeszcze nie widziałem, żeby w tym kraju zmieniło się cokolwiek - prawil. - Tutaj ustanawia się nowe konstytucje, nowe prawa, wywołuje co trzy miesiące nowe wojny, ale ciągle tkwimy w Kolonii.

Swym braciom masonom, przypisującym wszystkie nieszczęścia upadkowi idei federalizmu, wciąż powtarzał: „Wojna Tysiąca Dni została przegrana dwadzieścia trzy lata temu, podczas wojny 76 roku”. Florentino Ariza, którego polityczna obojętność przekraczała wszelkie możliwe granice, wysłuchiwał tych powtarzających się coraz częściej przemówień jakby słuchał szumu morza.

Za to ostro oponował we wszystkim, co dotyczyło polityki przedsiębiorstwa. Wbrew opinii wuja sądził, że kryzysowi żegluga rzecznej, zdającej się być zawsze na krawędzi

katastrofy, można zaradzić jedynie poprzez natychmiastową rezygnację z monopolu na rzeczny transport parostatkami, przyznanego przez Kongres Narodowy Karaibskiemu Towarzystwu Rzecznemu na dziewięćdziesiąt dziewięć lat i jeden dzień. Wuj protestował: „To moja imienniczka Leona wbija ci do głowy te swoje anarchistyczne nowinki”. Tylko po części było to zgodne z prawdą. Florentino Ariza w swoich racjach opierał się na doświadczeniu niemieckiego komandora Juana B. Elbersa, który zniszczył swój szlachetny talent nadmiarem osobistych ambicji. Wuj ze swej strony sądził, że przyczyną porażki Elbersa stały się nie jego przywileje, lecz przyjęcie w zamian nierealnych zobowiązań, których zakres był taki, jakby wziął na swoje barki odpowiedzialność za całą geografie narodową: podjął się bowiem, ni mniej ni więcej, zarówno utrzymania żeglowności rzeki, jak i opieki nad instalacjami portowymi, lądowymi drogami prowadzącymi do portów i środkami transportu. A poza tym, dodawał, niemałą przeszkodą był dlań w swoim czasie gwałtowny sprzeciw prezydenta Simona Bolívara.

Większość współników traktowała owe dysputy niczym małżeńskie sprzeczki, w których obie strony miały rację. Upór starego wydawał im się naturalny, nie żeby z wiekiem utracił zawsze dlań charakterystyczne cechy wizjonera, jak zwykło się o nim nazbyt pochopnie mawiać, lecz dlatego, że zrezygnowanie z monopolu musiało być dla niego równoznaczne z wyrzuceniem na śmietnik trofeów historycznej batalii, którą wspólnie z braćmi stoczył w heroicznych czasach z wszechpotężnymi przeciwnikami z całego świata. Nikt nie śmiał więc mu się przeciwstawić, kiedy uczepił się swoich praw z taką determinacją, iż nikt nie był w stanie ich podważyć przed legalnym ich wygaśnięciem. Nieoczekiwanie jednak, gdy Florentino Ariza podczas owych medytacyjnych wieczorów gotów był już złożyć broń, wuj Leon XII przystał na odstąpienie od wiekowego przywileju, pod jednym wszakże honorowym warunkiem, iż nie nastąpi to za jego życia.

Była to ostatnia podjęta przezeń decyzja. Od tej pory już nigdy więcej nie rozmawiał o interesach, nie dopuścił nawet, by pytano go o radę, i choć nie utracił ani jednego kędzierzawego włosa ze wspaniałej imperialnej głowy ani nie zatracił jasności umysłu, czynił wszystko, co tylko możliwe, by nie ujrzał go nikt, kto mógłby mu współczuć. Całe dni spędzał na tarasie kontemplując wieczne śniegi, leniwie bujając się na wiedeńskim fotelu na biegunach, obok na stolyczku służące stawały zawsze ciepły garnuszek z czarną kawą i szklankę rozpuszczonej sody z dwiema sztucznymi szczękami, które zakładał wyłącznie wtedy, gdy przyjmował gości. Widywał się z nieliczną garstką przyjaciół, rozmawiając jedynie o przeszłości tak odległej, iż sięgała epoki sprzed żeglugi rzecznej. Ale przybył mu nowy temat: chciał, aby Florentino Ariza się ożenił. Wielokrotnie ponawiał to życzenie,

zawsze w tych samych słowach.

- Gdybym był o pięćdziesiąt lat młodszy - mówił - ożeniłbym się z moją imienniczką Leona. Nie wyobrażam sobie lepszej żony.

Florentino Ariza drżał na myśl o tym, że jego wieloletni wysiłek może wskutek tego nieprzewidzianego warunku pójść na marne w ostatniej chwili. Wolaliby zrezygnować, rzucić wszystko, umrzeć, niż zawieść Ferminę Dazę. Na szczęście wuj Leon XII nie nalegał. Kiedy skończył dziewięćdziesiąt dwa lata, uznał bratanka za swego jedyne go spadkobiercę i ostatecznie wycofał się z przedsiębiorstwa.

Sześć miesięcy później, za jednomyślną zgodą wspólników, Florentino Ariza został mianowany Prezesem Rady Nadzorczej i Generalnym Dyrektorem. W dniu objęcia przezeń stanowiska, po kieliszku szampana, stary lew w stanie spoczynku, prosząc o wybaczenie, że przemawia nie wstając z fotela, wygłosił naprędce krótkie przemówienie, a raczej elegię. Powiedział, że jego życie zaczęło się i kończy dwoma opatrzościowymi wydarzeniami. Pierwszym z nich było to, że Wyzwoliciel trzymał go w swych ramionach, w miasteczku Turbaco, kiedy udawał się w swą nieszczęsną podróż ku śmierci. Drugim zaś, że na przekór wszystkim przeszkodom, jakich los mu nie oszczędzał, ma następcę godnego jego przedsiębiorstwa. Wreszcie, usiłując oddramatyzować swoje wystąpienie, zakończył:

- Jedynym rozczarowaniem, jakie spotkało mnie w życiu i jakie z sobą zabieram, jest to, że choć śpiewałem na tyłu pogrzebach, nie zaśpiewam na swoim własnym. Na koniec uroczystości, a jakże, zaśpiewał arię Pożegnanie życia z Toski. Zaśpiewał a capella, tak jak najbardziej lubił, mocnym jeszcze głosem. Florentino Ariza wzruszył się, ale można to było poznać jedynie po drzeniu jego głosu w chwili składania podziękowań. Postępując tak, jak postępował przez całe życie, i kierując się nieodmiennie tą samą myślą, jaka kierowała nim przez całe życie, docierał na szczyt mając na uwadze tylko i wyłącznie zaciekle postanowienie dotrwania żywym i w jak najlepszym zdrowiu do chwili, gdy zacznie sam decydować o swym losie u boku Ferminy Dazy.

Ale nie tylko wspomnienie o niej towarzyszyło mu tej nocy na przyjęciu wydanym przez Leone Cas siani na jego cześć. Wspominał wszystkie kobiety: zarówno te spoczywające na cmentarzach i myślące o nim pośród róż, które nad nimi sadził, jak i te, co składały teraz głowy na jednej poduszce z mężem, którego rogi złocił blask księżyca. Z braku tej jednej zapragnął być ze wszystkimi jednocześnie, jak zawsze, gdy ogarniał go lęk. Bo nawet w najtrudniejszych okresach i w najgorszych chwilach utrzymywał jakiś, choćby i najbardziej nikły, kontakt z niezliczonymi kochankami poznanymi w ciągu tylu lat: nigdy nie przestał śledzić kolei ich życia.

Tej nocy przypomniał więc sobie Rosalbę, najpierwszą z nich wszystkich, zdobywczynię trofeum jego dziewictwa, której wspomnienie zadawało mu ból równie silny jak pierwszego dnia. Wystarczyło mu zamknąć oczy, aby ujrzeć ją w muślinowej sukni, w kapeluszu z długimi jedwabnymi wstążkami, jak kołysze na pokładzie statku klatkę z dzieckiem. Wielokrotnie podczas swego długiego życia miał już wszystko przygotowane, żeby ruszyć na jej poszukiwania nie wiedząc nawet, gdzie jej szukać, nie znając jej nazwiska, nie będąc nawet przekonany, czy to jej rzeczywiście szuka, pewien jednak, że w końcu odnajdzie ją gdzieś w orchideowych lasach. Za każdym razem, z powodu jakiejś rzeczywistej przeszkody pojawiającej się w ostatniej chwili lub też na skutek niewczesnych wątpliwości, odkładał podróż, kiedy statek już niemal odbijał: przyczyna zawsze miała jakiś związek z Ferminą Dazą.

Przypomniał sobie wdowę de Nazaret, jedyną, z którą sprofanował matczyzny dom na ulicy Ventanas, aczkolwiek to nie on, lecz Transito Ariza wpuściła ją do domu.

Ją obdarzył większą wyrozumiałością niż którąkolwiek inną, bo tylko ona jedna emanowała dostateczną czułością, by móc zastąpić Ferminę Dazę, i to niezależnie od jej nierozgarnięcia w łóżku. Ale temperament błędnej kotki, bardziej nieokiełznany niż wrodzona jej siła czułości, skazywał oboje na niewierność. Mimo to i dzięki jego muszkieterskiej dewizie: „Wiarołomni, ale nie niełojalni”, zdołali pozostać okazjonalnymi kochankami przez niemal trzydzieści lat. Poza tym okazała się jedyną kobietą, dla której Florentino Ariza był w stanie narazić na szwank swą reputację: kiedy przekazano mu wiadomość o jej śmierci, informując zarazem, że ma zostać pochowana z funduszy charytatywnych, sprawił jej pochówek na swój koszt, uczestnicząc jako jedyny w jej pogrzebie.

Przypomniał sobie inne kochane przez siebie wdowy. Prudencję Pitre, najstarszą z żyjących, powszechnie znaną jako Recydywa, bo owdowiała dwukrotnie. I przypomniał sobie inną Prudencję, kochliwą wdowę Arellano, która specjalnie odrywała mu guziki, żeby w oczekiwaniu na ich przyszycie pozostał dłużej w jej mieszkaniu. I Josefę, oszalałą z miłości do niego wdowę Zuniga, która o mało co nie odcięła mu, kiedy spał, rogala sekatorem, żeby już nie należał do żadnej, choćby nawet i do niej.

Przypomniał sobie ulotną Angeles Alfaro, najbardziej ze wszystkich ukochaną, która przyjechawszy tu na sześć miesięcy, by uczyć w szkole muzycznej gry na instrumentach smyczkowych, spędzała z nim księżycowe noce na tarasie swego domu, tak jak ją matka wydała na świat, wygrywając najpiękniejsze w całej muzyce suity na wiolonczeli, której głos wydobywający się spomiędzy złotych ud nabierał męskich barw. Już od swej pierwszej

księżycowej nocy oboje rozdarli sobie serca na strzępy miłością dzikich debiutantów. Angeles Alfaro odpłynęła jednak tak, jak i się pojawiła, ze swym czułym zwierzątkiem i wiolonczelą grzesznicy na transatlantyku oflagowanym zapomnieniem i jedynym, co po niej pozostało na księżycowych tarasach, był pożegnalny trzepot śnieżnej chusteczki, niczym odlot samotnej i tęsknej gołębiczy na horyzoncie, rodem z wierszy nadsyłanych na Turnieje Poetyckie. Przy niej Florentino Ariza zrozumiał ostatecznie coś, co sam o tym nie wiedząc wielokrotnie przeczuwał: że można jednocześnie i z równym bólem kochać wiele kobiet, żadnej z nich nie zdradzając. Osamotniony pośród portowego tłumu, powiedział w złości: „Serce ma więcej pokoi niż mój kurewski hotel”. I choć jeszcze dławili go boleśnie łyzy pożegnania, a statek jeszcze był widoczny na horyzoncie, pamięć o Ferminie Dazie już na dobre wypełniła całe jego serce.

Przypomniawszy sobie Andreę Varón, przed której domem spędził cały ubiegły tydzień, pomarańczowe światło w oknie łazienki ostrzegło go jednak, że ktoś zdołał go ubiec. Ktoś: mężczyzna lub kobieta, bo Andrea Varón w miłosnym rozgardiaszu nie zwracała uwagi na takie drobiazgi. Spośród wszystkich kobiet z jego listy ona jedna żyła ze swego ciała, dysponując nim jednak podług swej woli, bez pośrednictwa stałego opiekuna. W najlepszych dla siebie latach zrobiła legendarną karierę tajnej podziemnej kurtyzany, zdobywając wówczas swój wojenny przydomek Przenajświętsza Poczyszycielka Wszystkich. Doprowadzała do szału gubernatorów i admirałów, a na jej ramieniu wypłakiwali się co poniektórzy z wielkich ludzi munduru i pióra, nie aż tak znakomici, jak im się zdawało, choć nie brakowało i tych, co znakomitościami istotnie byli. Rzeczywiście jednak prezydent Rafael Reyes, za ledwie pół godziny wykorzystane w pośpiechu między dwiema przypadkowymi wizytami w mieście, przyznał jej dożywotnią pensję w uznaniu szczególnych zasług oddanych Ministerstwu Skarbu, w którym nie przepracowała ani jednego dnia. Rozdzielała swe datki rozkoszy, póki starczyło jej ciała, i choć jej bulwersujące prowadzenie się było powszechnie znane, nikt nie byłby w stanie wytoczyć przeciwko niej niezbitego dowodu, bowiem jej znakomici protektorzy roztaczali nad nią opiekę, jakby chodziło o ich własne życie, świadomi, że w razie skandalu to nie ona, lecz oni mają więcej do stracenia. Florentino Ariza złamał dla niej swoją świętą zasadę, że nigdy nie będzie za to płacić, ona zaś swoją, że nie będzie tego robić za darmo nawet z własnym mężem. Uzgodnili symboliczną opłatę jednego peso każdorazowo, ale ani ona nie przyjmowała opłaty, ani on nie wpłacał jej nic do ręki, lecz wrzucali do skarbonki, póki nie uzbierali kwoty wystarczającej na zakup jakiegokolwiek zamorskiego wymysłu w Bramie Pisarzy. To ona, gdy cierpiał na zatwardzenie, przydała odmiennej zmysłowości

lewatywom, przekonując go, by wspólnie je sobie aplikowali, toteż robili je sobie na przemian w czasie swych szalonych popołudni, gdy usiłowali wymyślić jeszcze więcej miłości w miłości. Za ogromne szczęście poczytywał sobie, że pośród tylu przygodnych spotkań, jedyną, od której zaznał kropli goryczy, była pokrętna Sara Noriega, która dożyła swoich dni w zakładzie dla obłąkanych „Divina Pastora”, recytując starcze wiersze pełne tak rozbuchanej nieprzyzwoitości, że trzeba było umieścić ją w separacie, żeby nie doprowadziła do obłędu reszty obłąkanych. Kiedy jednak przejął w swoje ręce całkowitą odpowiedzialność za KTRz, nie starczało mu czasu ani chęci, żeby kimkolwiek zastępować Ferminę Dazę: wiedział już, że jest niezastąpiona. Stopniowo popadał w rutynę odwiedzania znanych sobie kobiet, sypiając z nimi póki miały mu jeszcze czym służyć, póki on jeszcze mógł i póki one żyły. W niedzielę Zesłania Ducha Świętego, kiedy zmarł Juvenal Urbino, pozostawała mu tylko jedna jedyna, mająca zaledwie czternaście lat i obdarzona tym wszystkim, czego żadna inna przedtem nie posiadała - żeby mógł wreszcie oszaleć z miłości.

Nazywała się Ameryka Vicuña. Przybyła przed dwoma laty z nadmorskiej miejscowości Puerto Padre, polecona przez swych rodziców opiece Florentina Arizy, protektorowi rodziny, z którą łączył go dość bliski stopień pokrewieństwa. Zjawiała się tu ze stypendium rządowym na ukończenie studiów nauczycielskich, ze swym tłumoczkim i blaszanym kufierkiem, wydającym się raczej lalczyną walizeczką, i już z chwilą kiedy w swych białych sztyblecikach i ze złotym warkoczem stanęła na lądzie, tknęło go okrutne przecucie, że wiele niedzielnych sjest będą odsypiać razem. Była jeszcze dzieckiem pod każdym względem, z wyszczerbionymi zębami, z kolanami poobijanymi w czasie szkolnych przerw, ale natychmiast przeczuł, jaką wspaniałą kobietą stanie się niebawem, i - wyłącznie dla siebie - opiekował się nią troskliwie w ciągu leniwie upływającego roku cyrkowych sobót, parkowych niedziel z lodami, dziecięcych zmierzchów, dzięki którym zdobył jej zaufanie, zdobył jej czułość, prowadząc za rączkę z łagodną przebiegłością dobrotliwego dziadziusia ku swej tajemnej jatce. Na nią spłynęło to natychmiast: rozwarły się przed nią bramy rajy. Rozkwitła w kwietnej eksplozji, która wyniosła ją na skraj szczęścia, stanowiąc zarazem skuteczną zachętę do pilnej nauki, zawsze bowiem była prymuską, żeby nie stracić zezwolenia na cotygodniowe opuszczanie internatu. Dla niego zaś był to najbardziej strzeżony zakątek w zatoce starości. Po tylu latach wyrachowanych miłości, mdły smak niewinności posiadał urok odnowicielskiej perwersji.

Dobrali się jak w kocu maku. Ona, w zgodzie z tym, kim była, zachowywała się jak dziewczynka gotowa odkryć życie prowadzona za rączkę przez szanowanego mężczyznę,

który niczemu się nie dziwił, on zaś, w pełni tego świadom, zachowywał się zgodnie ze swymi najgorszymi obawami: jak stetryczały narzeczony. Nigdy nie utożsamiał jej z Ferminą Dazą, mimo że podobieństwo było więcej niż łudzące, nie tylko ze względu na wiek, szkolny mundurek, warkocz, jej wiejski chód i nawet dumny i nieprzewidywalny charakter. Więcej: myśl o zastępstwie, ów wspaniały bodziec dla jego miłosnego żebractwa, zniknęła całkowicie. Spodobała mu się sama w sobie i taką samą w sobie ostatecznie pokochał w gorączce chylących się ku zachodowi rozkoszy. Była jedyną, wobec której przedsięwziął drastyczne środki ostrożności przed nieprzewidzianą ciążą. Po kilku spotkaniach oboje o niczym innym nie marzyli jak o niedzielnych popołudniach.

Będąc jedyną osobą uprawnioną do odbierania jej z internatu, zajeżdżał po nią w należącym do KTRz sześciocyndrowym hudsonie, z którego czasem, w bezsłoneczne popołudnia, odpinali składany dach, by odbyć przejażdżkę po plaży: on w starczym kapeluszu, ona zaś roześmiana, podtrzymująca obydwoma rękami marynarską szkolną czapeczkę, żeby nie porwał jej wiatr. Ktoś poradził jej, żeby nie przebywała ze swym opiekunem ponad potrzebę, żeby nie próbowała niczego, co on jada, i żeby unikała jego oddechu, bo starość jest zaraźliwa. Wszystko miała za nic. Oboje kpili sobie z ewentualnych pomówień, bo pokrewieństwo było powszechnie znane, a poza tym drastyczna różnica wieku stawiała ich poza jakimkolwiek podejrzeniem.

Właśnie przestali się kochać w zielonoświątkową niedzielę o czwartej po południu, kiedy zaczęto bić w dzwony. Florentinowi Arizie ścisnęło się serce. Za czasów jego młodości rytuał bicia w dzwony wliczony był w cenę pogrzebów i odmawiano go jedynie skończonym nędzaczom. Ale po naszej ostatniej wojnie, na przełomie wieków, rząd konserwatywny ugruntował swe kolonialne normy obyczajowe i uroczystości pogrzebowe stały się tak kosztowne, że mogli sobie na nie pozwolić jedynie najbogatsi. Kiedy zmarł arcybiskup Ercole de Luna, dzwony z całej prowincji były bez przerwy przez dziewięć dni i nocy, ale wzburzenie ludności było tak powszechne, że jego następcą usunął wymóg dzwonów żałobnych przy pogrzebach, pozostawiając go jedynie w przypadku śmierci znanych osobistości. Kiedy więc Florentino Ariza usłyszał katedralne dzwony o czwartej po południu w zielonoświątkową niedzielę, poczuł, iż powraca doń widmo utraconej młodości. Nie mógł uwierzyć, że to dzwony, o których marzył przez tyle, tyle lat od owej niedzieli, gdy ujrzał wychodzącą po nabożeństwie Ferminę Dazę w sześciomiesięcznej ciąży. - O, kurwa - powiedział w półmroku. - To musi być niezgorszy rekin, jeśli biją w dzwony katedry. Ameryka Vicuña, całkowicie naga, właśnie się obudziła.

- To pewnie ze względu na święto - powiedziała.



Florentino Ariza nie zaliczał się w najmniejszym choćby stopniu do ekspertów w sprawach kościoła, a w mszy nie uczestniczył od czasów, gdy na chórze grał na skrzypcach wspólnie z Niemcem, który ponadto wtajemniczył go w wiedzę o telegrafii i o którego losie nikt nie był w stanie powiedzieć nic pewnego. Niemniej, i to bez najmniejszej wątpliwości, wiedział, że dzwony nie biją z okazji święta. Prawda, że w mieście odbywały się uroczystości żałobne, wiedział o tym. Dziś rano odwiedziła go delegacja uchodźców karaibskich z informacją, iż o świcie zmarł w swej pracowni fotograficznej Jeremiasz de Saint - Amour. Choć Florentino Ariza nie należał do jego bliskich przyjaciół, przyjaźnił się z innymi uchodźcami, którzy zawsze zapraszali go na swoje uroczystości, przede wszystkim na pogrzeby. Był jednak przekonany, że dzwony nie biją dla Jeremiasza de Saint - Amour, który był walczącym niedowiarkiem i zatwardziałym anarchistą, a poza tym poniósł śmierć z własnej ręki.

- Nie - powiedział - takie dzwony mogą być tylko dla kogoś od gubernatora wzywać.

Ameryka Vicuña, o jasnym ciele przegowanym pasemkami padającego przez żele opuszczone żaluzje światła, była zbyt młoda, żeby myśleć o śmierci. Kochali się po obiedzie, teraz zaś leżeli w powracającej fali sjęsty, nadzy pod skrzydłami wentylatora, którego bzyczenie nie było w stanie zagłuszyć gradowego chrzęstu sępów drepczących po rozpalonym cynkowym dachu. Florentino Ariza kochał ją tak, jak kochał tyle innych przypadkowych kobiet w swoim długim życiu, tę jednak kochał z większą niż pozostałe udreka, bo miał całkowitą pewność, że umrze ze starości, kiedy ona będzie kończyć wyższe studia.

Pokój podobny był bardziej do kajuty, ze ścianami wyłożonymi boazerią pokrytą, jak statki, kilkoma warstwami farby, ale upał czwartej po południu był w nim znacznie dokuczliwszy niż w kajutach rzecznych statków, mimo wiszącego nad łóżkiem wentylatora, mającego chronić przed promieniującym żarem metalowego dachu. Nie była to zwykła sypialnia, lecz kajuta lądu stałego, wybudowana na zlecenie Florentina Arizy na tyłach biur KTRz, bez żadnych dodatkowych pretekstów i nie dla innych celów, jak tylko po to, żeby dysponować przyzwoitą kryjówką dla swych starczych miłości. Wrzaski tragarzy, łoskot portowych dźwigów i nieprawdopodobne wycie statków przy nabrzeżu uniemożliwiały spanie w tym pokoju w dni powszednie. Ale dla dziewczynki był to niedzielny raj.

Zielone Świątki zamierzali spędzić razem do momentu, kiedy na pięć minut przed Aniołem Pańskim powinna była wrócić do internatu, jednak żałobne dzwony przypomniały Florentinowi Arizie, że obiecał przyjść na pogrzeb Jeremiasza de Saint - Amour, ubrał się więc szybciej niż zazwyczaj. Przedtem, jak zawsze, zaplótł dziewczynce warkocz, który

wcześniej, zanim zaczęli się kochać, sam rozplątywał, i usadził ją na stole, by zawiązać, zawsze źle przez nią zawiązywane, sznurowadła przepisowych szkolnych bucików. Pomagał jej bez cienia złośliwości, ona zaś pomagała mu w pomaganiu jej, jakby należało to do jej obowiązków: już w czasie pierwszych spotkań oboje stracili poczucie różnicy wieku, traktując siebie z ufnością małżonków, którzy tyle już rzeczy skrywali przed sobą w tym życiu, że nie mieli sobie niemal nic do powiedzenia.

Zamknięte ze względu na dzień świąteczny biura tonęły w ciemnościach. Przy nabrzeżu stał jeden statek z wygaszonymi kotłami. Skwar zapowiadał pierwsze w tym roku ulewy, ale przejrzystość powietrza i niedzielna cisza w porcie zdawały się raczej wskazywać na miesiąc umiarkowanych opadów. Świat z tego miejsca był bardziej bezlitosny niż w półmroku kajuty, a dzwony żałobne sprawiały jeszcze większy ból, nawet jeśli nie wiadomo było, dla kogo były. Florentino Ariza i dziewczynka zeszli na saletrzany dziedziniec, służący w swoim czasie Hiszpanom za port niewolniczy, gdzie jeszcze się walały szczątki odważników i innego zardzewiałego żelastwa po handlu niewolnikami. Samochód czekał na nich w cieniu składów i nie obudzili śpiącego na kierownicy szofera, dopóki nie usadowili się na siedzeniach. Samochód zawrócił na tyłach składów, ogrodzonych siatką jak kurniki, pokonał przestrzeń dawnego targowiska przy zatoce Animas, gdzie na pół nędzy mężczyźni grali w piłkę, i opuścił port rzeczny w chmurze piekącego pyłu. Florentino Ariza przekonany był, że owe żałobne honory nie mogą być oddawane Jeremiaszowi de Saint - Amour, ale nieprzerwane bicie dzwonów wzbudziło jego wątpliwości. Położył dłoń na ramieniu szofera i krzyżąc mu prosto w ucho zapytał, komu biją dzwony.

- To temu lekarzowi z bródką - powiedział szofer.

- No, jak mu tam?

Florentino Ariza nie musiał ani chwili zastanawiać się, żeby wiedzieć, kogo ma na myśli. Kiedy jednak szofer opowiedział mu, w jaki sposób zmarł, chwilowa nadzieja prysła, bo wydało mu się to nieprawdopodobne. Nic się tak nie upodabnia do danej osoby jak charakter jej śmierci, a żadna ze śmierci nie mogła być tak nieprawdopodobnie niepodobna do tego człowieka z jego wyobrażeń. Ale to o niego chodziło, choćby nie wiadomo jak absurdalne mogłoby się to wydawać: o najstarszego i najlepiej wykwalifikowanego lekarza w mieście i jednego z najznajmniejszych i zasłużonych jego obywateli, który zmarł z przetrąconym kręgosłupem w osiemdziesiątym pierwszym roku życia, spadając z mangowca, gdy usiłował złapać papugę.

Wszystko, co Florentino Ariza uczynił od chwili zamążpójścia Ferminy Dazy, oparte było na nadziei, że wreszcie otrzyma taką wiadomość. Gdy jednak wybiła godzina, zamiast

poczuć dreszcz triumfalnego wzruszenia, tylokrotnie przewidywany w bezsennych snach, zatrząsł się z przerażenia: olśniła go myśl, że dzwony równie dobrze mogły obwieszczać jego śmierć. Ameryka Vicuña siedząc u jego boku w samochodzie podskakującym na ulicznym bruku, przerażona jego nagłą bladością zapytała, co mu jest. Florentino Ariza ujął jej dłoń w swe lodowate ręce.

- Och, dziecino - westchnął - musiałbym żyć jeszcze pięćdziesiąt lat, żeby ci to opowiedzieć. Zapomniał o pogrzebie Jeremiasza de Saint - Amour. Zostawił dziewczynkę przed drzwiami internatu spiesząc z obietnicą, że wróci w następną sobotę, i wydał szoferowi polecenie, by zawiózł go do domu doktora Juvenala Urbino. Natrafił na mnóstwo samochodów, wynajęte powozy stojące wzdłuż przyległych ulic i tłum ciekawskich przed domem. Goście doktora Lacidesa Olivelli, do których tragiczna wiadomość dotarła w kulminacyjnym momencie zabawy, przybywali gromadnie. W mieszkaniu tłumy utrudniały poruszanie się, ale Florentino Ariza zdołał utorować sobie drogę aż do sypialni, wspiął się na palce, by ponad głowami tłoczących się u drzwi ujrzeć Juvenala Urbino na łożu małżeńskim, takiego jakim chciał go zobaczyć od chwili, gdy po raz pierwszy o nim usłyszał: taplającego się w nędzy śmierci. Stolarz właśnie zdjął miarę do trumny. U jego boku, wciąż w tym samym babcinym stroju wprost od ślubnego ołtarza, jaki założyła na przyjęcie, siedziała oszołomiona i przygnębiona Fermina Daza.

Florentino Ariza wyobrażał sobie ten moment co do najdrobniejszego szczegółu już w dniach swej młodości, kiedy całkowicie poświęcił się zuchwałej sprawie miłości. Dla niej zdobył nazwisko i fortunę, nie bacząc zanadto na metody, dla niej dbał o swoje zdrowie i o swój wygląd zewnętrzny ze skrupulatnością, która nie wydawała się nazbyt męska u innych mężczyzn w jego czasach, i oczekiwał tego dnia tak, jak nikt nie był w stanie oczekiwać czegokolwiek ani kogokolwiek na tym świecie: bez najmniejszej chwili wytchnienia. Świadomość, że śmierć wreszcie wstawiła się za nim, dodała mu niezbędnej odwagi, by ponowić Ferminie Dazie w jej pierwszą wdowią noc swoją przysięgę o dożgonnej wierności i miłości po wsze czasy. W głębi duszy nie zaprzeczał, że był to nieprzemyślany czyn, że wykazał się brakiem wyczucia co do sposobu i chwili, ponaglany strachem, że okazja już nigdy mu się nie nadarzy. Pragnął to uczynić, ba, nawet wyobrażał to sobie wielokrotnie, w sposób znacznie mniej brutalny, ale szczęście nie było na tyle łaskawe. Wyszedł z domu żałoby odczuwając ból, że pozostawia ją w tym samym szoku, w jakim i on się znajdował, ale nic już nie mógł zrobić, żeby temu przeciwdziałać, bo czuł, że ta straszliwa noc była zawsze pisana im obojgu.

Przez kolejne dwa tygodnie nie przespał ani jednej nocy. Zrozpaczony zadawał sobie

pytanie, gdzie może podziewać się Fermina Daza bez niego, o czym myśli, co będzie robić przez resztę swego życia z tym przerażającym ciężarem, jaki zwał się na jej barki. Dostał zatwardzenia, które wzdęło mu brzuch jak bęben i musiał odwołać się do środków mniej łagodnych niż lewatywa. Starcze dolegliwości, które znosił lepiej od swych rówieśników, bo znał je od dziecka, zaczęły doskwierać mu wszystkie jednocześnie. W środę pojawił się, po tygodniu nieobecności, w biurze, przerażając Leone Cassiani swym wycieńczeniem i abnegacją. Ale uspokoił ją: to znowu bezsenność, jak zwykle, i znowu musiał ugryźć się w język, by przez podziurawione jak rzeszoto serce nie wyciekła mu prawda. Deszcz nie dał mu ani jednej słonecznej chwili spoczynku na przemyślenie wszystkiego. I znowu minął jeszcze jeden nierzeczywisty tydzień bez najmniejszej szansy na możliwość skupienia się, bo nadal fatalnie się odżywił, spał jeszcze gorzej, usiłując odebrać zaszyfrowane znaki, które wskazałyby mu drogę ocalenia. Ale od piątku, bez żadnego widocznego powodu, ogarnęło go poczucie spokoju, co uznał za oznakę, iż nic nowego się nie zdarzy, że to wszystko, co zrobił w swoim życiu, było zupełnie bezużyteczne, i nie wiedział już, jaką drogą dalej ma podążać: to był koniec. W poniedziałek jednak, gdy dotarł do swego domu przy ulicy Ventanas, natknął się w sieni na pływający w kałuży wody list i natychmiast rozpoznał na mokrej kopercie władczą kaligrafię, której tyle zmian w życiu nie zdołało odmienić, a nawet miał wrażenie, że odczuwa nocny zapach zwiędłych gardenii, bo serce już w pierwszym odruchu przerażenia zdołało powiedzieć mu wszystko: był to list, na który czekał bez chwili wytchnienia ponad pół wieku.

Ferminie Dazie nawet w głowie nie powstało, iż jej list, napisany w ataku wściekłości, Florentino Ariza mógłby odebrać jako list miłosny. W jego pisanie włożyła całą furję, do jakiej tylko była zdolna, najokrutniejsze słowa, najboleśniej i niesprawiedliwe obelgi, i tak przez nią uznane za zbyt słabe wobec rozmiarów zniewagi. Był to ostatni akt dwutygodniowych gorzkich egzorcyzmów, za pomocą których usiłowała pogodzić się ze swoim nowym stanem. Chciała ponownie być wyłącznie sobą, odzyskać wszystko, z czego musiała zrezygnować przez pół wieku pańszczyzny, która, uczyniwszy ją szczęśliwą, bez wątpienia ograbiła ją zarazem, jak się okazało, po śmierci męża, z najdrobniejszych śladów własnej tożsamości. Była zjawą w obcym, ogromnym i opustoszałym domu, po którym chodziła jak błędna owca, zadając sobie pełne trwogi pytanie, kto tu jest bardziej martwy: ten, co umarł, czy ta, co została.

Nie potrafiła stłumić ukrytego żalu do męża o to, że pozostawił ją samą pośród morza ciemności. „Wszystko, co do niego należało, skłaniało ją do płaczu: pizama pod poduszką, kapcie wyglądające dla niej zawsze jak kapcie chorego, wspomnienie jego

odbicia w lustrze, gdy on się rozbierał, a ona przy toalecie czesała się na noc, zapach jego skóry, który jeszcze długo po śmierci trwał na jej skórze. W połowie byle czynności rzucała wszystko i uderzała dłonią o czoło, przypomniawszy sobie nagle, że zapomniała mu powiedzieć to i owo. Co chwila dręczyło ją jedno z tych najzwyczajniejszych pytań, na które tylko on potrafił jej odpowiedzieć. Swego czasu powiedział jej coś, czego nie mogła pojąć: ludzie po amputacji czują bóle, łaskotki, mrowienie w nodze, której już nie mają. I tak teraz wyglądało jej życie: czuła go tam, gdzie już go nie było.

Obudziwszy się w swój pierwszy wdowi poranek, obróciła się nie otwierając oczu, kokosząc się po całym łóżku, żeby jeszcze trochę wygodnie pospać, i właśnie w tej samej chwili umarł dla niej. Bo dopiero wówczas uświadomiła sobie, że po raz pierwszy mąż spędził noc poza domem. Przy stole czekało ją kolejne zaskoczenie. Wcale nie dlatego, że poczuła się osamotniona, bo rzeczywiście tak było, lecz ze względu na dziwne przeświadczenie, że je śniadanie z kimś, kto już nie istnieje.

Dopiero gdy Ofelia z mężem i trzema córkami przybyła z Nowego Orleanu, odważyła się ponownie zasiąść do stołu, ale nie do tego co zawsze, tylko do mniejszego przygotowanego naprędce, który kazała postawić w korytarzu. Do przyjazdu córki jadła nieregularnie. Zaglądała do kuchni o jakiegokolwiek porze, kiedy doskwierał jej głód, sięgała widelcem do garnka i kosztowała wszystkiego po trochu, niczego nie nakładając na talerz, stojąc przy piecu, rozmawiając z kucharkami i służącymi, jedynymi osobami, w obecności których czuła się dobrze i z którymi najlepiej jej się rozmawiało. A jednak choć dokładała starań, nie była w stanie uniknąć obecności nieboszczyka: gdziekolwiek się udawała, gdziekolwiek przebywała, cokolwiek robiła, wciąż potykała się o coś, co przypominało jej zmarłego męża. O ile uważała za słuszne i sprawiedliwe, że sprawia jej to ból, o tyle chciała uczynić wszystko, co w jej mocy, aby nie pogrążyć się w bólu. Narzuciła więc sobie twarde postanowienie usunięcia z domu wszystkiego, co przypominało jej zmarłego męża, uznając, że jest to jedyne wyjście, żeby żyć swoim życiem bez niego. Była to ceremonia ostatecznej zagłady. Syn zgodził się zabrać wszystkie książki, żeby mogła w opróżnionym gabinecie umieścić najróżniejsze przybory do szycia, których nigdy nie posiadała jako mężatka.

Córka natomiast miała wziąć część mebli i sporo przedmiotów, które jej zdaniem idealnie nadawały się na nowoorleańską aukcję staroci. Przyniosło to ulgę Ferminie Dazie, choć konstatacja, że kupione przez nią w czasie podróży poślubnej rzeczy są już antykwarycznymi relikdami, nie sprawiała jej żadnej przyjemności. Ku osłupieniu służby, sąsiadów i towarzyszących jej w tych dniach najbliższych przyjaciółek, kazała rozpalic ognisko na pustym placu za domem i spaliła w nim wszystko, co przypominało jej męża:

najkosztowniejsze i najelegantsze garnitury, jakie od zeszłego wieku widziano w mieście, najwytworniejsze buty, kapelusze, podobne do niego bardziej niż jego portrety, fotel na biegunach na czas sjeisty, z którego po raz ostatni wstał po to, żeby umrzeć, niezliczoną ilość przedmiotów tak związanych z jego życiem, iż stanowiły już część jego tożsamości. Zrobiła to bez najmniejszego wahania, zupełnie pewna, iż mąż zaakceptowałby całkowicie jej decyzję, i to nie tylko ze względów higienicznych. Wielokrotnie wyrażał bowiem życzenie, by jego ciało po śmierci spalono, zamiast więzić je w absolutnych ciemnościach w cedrowej skrzyni. Jego religia oczywiście zabraniała mu kremacji: ośmielił się na wszelki wypadek zasięgnąć opinii arcybiskupa, który udzielił mu kategorycznie odpowiedzi odmownej. Była to czysta iluzja, ponieważ Kościół nie zezwalał na obecność pieców krematoryjnych na terenie naszych cmentarzy, nawet gdyby miały korzystać z nich inne wyznania, i nikomu, poza Juvenalem Urbino na myśl by nawet nie przyszło, że można je tam zbudować. Fermina Daza pamiętała o mężowskich obsesjach i mimo zamętu pierwszych godzin nie omieszkała zlecić stolarzowi, by na osłodę pozostawił w trumnie szparkę dla światła.

Całopalenie okazało się jednak zupełnie bezskuteczne. Fermina Daza nader szybko pojęła, że wspomnienie zmarłego męża jest w równej mierze odporne na ogień, jak zdawało się niepodatne na upływ dni. Gorzej: spaliwszy wszystkie ubrania, nie tylko nie przestała tęsknić za tym, co w nim najbardziej kochała, ale ponadto i nade wszystko zaczęła tęsknić za tym, co najbardziej ją w nim drażniło: za hałasem, jaki robił każdego ranka. Wspomnienia te pomogły jej wydostać się z namorzyn żałoby. A jednak postanowiła nieodwołalnie żyć wspominając męża tak, jakby wcale nie umarł. Wiedziała, że budząc się co rano będzie miała z tym ciągle kłopoty, ale kłopoty coraz mniejsze.

Pod koniec trzeciego tygodnia rzeczywiście zaczęła dostrzegać pierwsze światełka, ale im wyraźniejsze się stawały i jaśniejsze, tym bardziej zaczynała uświadamiać sobie obecność w swoim życiu przewrotnego widma nie pozostawiającego jej ani chwili spokoju. I nie było to owo widmo godne pożałowania, czatujące niegdyś na nią w parku Los Evangelios, które z niejaką czułością zwykła na starość przywoływać w pamięci, lecz odrażający stwór w katowskim surducie i z kapeluszem trzymanym przy piersi: człowiek, którego idiotyczna impertynencja tak dalece ją zaniepokoiła, że nie sposób było o nim nie myśleć. Od czasu, gdy go odtrąciła jako osiemnastoletnia dziewczyna, żywiła przekonanie, że zasiała w nim tylko wzrastające z czasem ziarno nienawiści. Bez przerwy liczyła się z tą nienawiścią, za każdym razem, gdy widmo znajdowało się w pobliżu, czuła ją w powietrzu, na sam jego widok ogarniał ją niepokój i trwoga tak wielka, że nigdy nie potrafiła zachować

się wobec niego w sposób naturalny. Owej nocy, kiedy ponownie wyznał jej swą miłość, nie zważając, że w całym domu unosi się jeszcze woń kwiatów składanych przy trumnie nieboszczyka, nie mogła dopuścić żadnej innej myśli, jak tę tylko, że podobna bezczelność jest zaledwie pierwszym krokiem do kto wie jak złowrogo zaplanowanej zemsty.

Natręctwo wspomnienia pogłębiało jej wściekłość.

Kiedy nazajutrz po pogrzebie obudziła się myśląc o Florentinie Arizie, udało jej się wymazać go z pamięci zwykłym odruchem silnej woli. Ale złość nie ustępowała i Fermina rychło zdała sobie sprawę, iż pragnienie zapomnienia go było najsilniejszym impulsem, aby go nadal wspominać. Wtenczas zwyciężona przez nostalgię po raz pierwszy odważyła się przywołać w myśli iluzoryczne czasy owej nierealnej miłości. Usiłowała przypomnieć sobie dokładnie, jak wyglądał skwer, połamane migdałowce, ławka na której siedział wzdychając z miłości do niej, bo nic już z tych rzeczy nie istniało w stanie, w jakim je pamiętała. Zmieniło się wszystko, zabrano drzewa z dywanami żółtych liści, w miejsce posągu zdekapitowanego bohatera postawiono na okazałym piedestale z wbudowanym weń systemem elektrycznych czujników pomnik innego bohatera w galowym mundurze, bez nazwiska, bez dat, bez jakichkolwiek uzasadnionych przyczyn. Jej dom, sprzedany w końcu wiele lat temu, rozpadał się powoli jako własność prowincjonalnych władz. Nie przyszło jej łatwo wyobrazić sobie Florentina Arizę takim, jakim był wówczas, jeszcze trudniej było pojąć, że ten małomówny i tak bardzo bezbronny w strugach deszczu chłopiec, to właśnie ów zramolały staruch, który bez najmniejszego respektu dla jej stanu, bez należytego szacunku dla jej bólu stanął przed nią i uraził do żywego: ta zniewaga wciąż jeszcze zapierała jej dech.

Kuzynka Hildebranda Sanchez przyjechała do niej wkrótce po pobycie Ferminy Dazy w hacjendzie Flores de Maria, gdzie odzyskiwała równowagę po czarnej godzinie panny Lynch. Przyjechała stara, gruba, rozanielona, w towarzystwie najstarszego syna, wojskowego w stopniu pułkownika, jak jego ojciec, którego się wyrzekł wskutek jego haniebnej postawy podczas rzezi robotników z bananowych plantacji w San Juan de la Cienaga. Obie kuzynki spotykały się wielokrotnie, godzinami nostalgicznie wspominając czasy swej młodości. Podczas ostatniej wizyty Hildebrandę, przygniecioną brzemieniem starości, ogarnął większy niż zazwyczaj nastrój melancholii. Żeby jeszcze bardziej delectować się tęsknotą, przywiozła swoją odbitkę portretu niegdysiejszych dam, sfotografowaną przez belgijskiego fotografa w tamto popołudnie, kiedy młody Juvenal Urbino zadał ostateczne pchnięcie kapryśnej Ferminie Dazie. Fermina zgubiła gdzieś swoje zdjęcie, a odbitka Hildebrandy była całkowicie spłowiała, obie jednak rozpoznały się

poprzez mgły rozgoryczenia w młodych i pięknych dziewczynach, jakimi nie miały być już nigdy.

Hildebranda nie mogła nie pamiętać Florentina Arizy, zawsze bowiem utożsamiała jego los ze swoim własnym losem. Pamiętała go takim, jakiego poznała w dniu, w którym nadała swój pierwszy telegram, i nigdy nie zdołała wymazać ze swego serca wspomnienia smutnego pisknięcia skazanego na zapomnienie. Fermina z kolei widując go wielokrotnie i nie zamieniając z nim oczywiście ani słowa, nie była w stanie pojąć, że ów mężczyzna to jej pierwsza miłość. Ciągłe docierały do niej wieści o nim, tak jak wcześniej czy później docierały wieści o każdym, kto coś w mieście znaczył. Mawiano, że nie ożenił się, bo miał odmienne skłonności, ale i tej plotce nie przypisywała większego znaczenia, choćby dlatego, że koniec końców wygadywano podobne rzeczy o wielu mężczyznach, co do predylekcji których nie było żadnych wątpliwości. Za to dziwne wydawało jej się owo zawzięte obstawanie Florentina Arizy przy mistycznych strojach, osobliwych zapachach i tajemniczym sposobie bycia pomimo tak spektakularnej i uczciwie zrobionej kariery. Nie była w stanie uwierzyć, że jest to wciąż ta sama osoba, i zawsze reagowała zaskoczeniem, kiedy Hildebranda wzdychała „Biedny człowiek, ależ on musi cierpieć!” Od bardzo dawna bowiem nie dostrzegała w nim jakichkolwiek oznak wewnętrznej udręki: był już cieniem cienia.

A jednak owego wieczoru, po swoim powrocie z Flores de Maria, kiedy spotkała go w kinie, coś dziwnego zaszło w jej sercu. Nie zaskoczyło jej, iż jest w towarzystwie kobiety i to Murzynki. Zaskoczyło ją, że tak świetnie się trzyma, że zachowuje się z większą swobodą, choć nie przyszło jej na myśl, że może to w niej, a nie w nim nastąpiła przemiana po niepokojącym wtargnięciu panny Lynch w jej prywatne życie. Od tamtej pory i przez następne dwadzieścia lat spoglądała nań bardziej litościwym okiem. Podczas czuwania przy zwłokach męża obecność Florentina Arizy nie tylko wydawała jej się zrozumiała, ale nawet uznała to za naturalny kres pretensji: akt przebaczenia i zapomnienia. Dlatego tak ją zaskoczył ów dramatyczny nawrót nigdy dla niej nie istniejącej miłości, i to w wieku, w którym ani Florentino Ariza, ani ona niczego już nie mogli oczekiwać od życia. Po pierwszym ataku furii i po symbolicznej kremacji męża wciąż miotała nią z tą samą siłą wściekłość na śmierć i życie, która narastała tym bardziej, im trudniej ją było opanować. Gorzej: ten obszar pamięci, w którym potrafiła znaleźć ukojenie dla swych wspomnień o zmarłym, powoli i stopniowo, acz nieubłagane, zarastał łąką maków, gdzie pogrzebane były wspomnienia o Florentinie Arizie. Myślała zatem o nim, nie chcąc o nim myśleć i im bardziej o nim myślała, tym większą czuła wściekłość, a im większą wściekłość czuła, tym



bardziej o nim myślała, doprowadzając się do takiego stanu, że nie mogąc już tego znieść zatraciła poczucie rozsądku. Usiadła wówczas przy biurku zmarłego męża i napisała do Florentina Arizy list na trzy całkowicie irracjonalne strony, tak usiany obelgami i niecnymi prowokacjami, iż myśl, że właśnie popełniła, w pełni świadomie, najhaniebniejszy czyn w swoim długim życiu, przyniosła jej ulgę.

Florentino Ariza przez trzy tygodnie konał w nie mniejszych męczarniach. Owej nocy, kiedy ponownie wyznał miłość Ferminie Dazie, włóczył się jak ślepy wyniszczonymi przez wieczorny potop ulicami, zastanawiając się w przerażeniu, co ma teraz począć z tą skórą zabitego przed chwilą tygrysa, który przeszło pół wieku wymykał się z zastawianych nań sideł. W wyniku gwałtownego ataku wód miasto znalazło się w stanie tragicznej sytuacji. W wielu domach na wpeł nadzy mężczyźni i kobiety usiłowali ratować z potopu, co się tylko dało i Florentino Ariza uległ wrażeniu, że ta dotykająca wszystkich katastrofa ma coś wspólnego z jego osobistą katastrofą. Ale powietrze było łagodne, a gwiazdy Karaibów tkwiły spokojnie na swym miejscu. Nagle, pośród ogólnego milczenia, Florentino Ariza rozpoznał głos tego samego mężczyzny, którego on i Leona Cassiani wiele lat temu, o tej godzinie i na tym samym rogu, usłyszeli, jak śpiewał: „Z mostu zawróciłem, cały we łzach skąpany”. Tej nocy i wyłącznie dla niego piosenka ta miała jakiś nieokreślony związek ze śmiercią. Nigdy tak jak teraz nie potrzebował Transito Arizy, jej mądrego słowa, jej głowy błazeńskiej królowej w papierowych kwiatach. Było to silniejsze od niego: zawsze gdy znajdował się na skraju kataklizmu, niezbędna mu była kobieca opieka. Skierował swe kroki ku szkole szukając osiągalnego celu i w długim rzędzie okien ujrzał zapalone światło w sypialni Ameryki Vicuñi. I ledwie się powstrzymał przed popełnieniem starczego szaleństwa: chciał bowiem o drugiej nad ranem zabrać ją ze sobą, jeszcze ciepłą od snu w pieluszkach, pachnącą dziecięcym kwileniem w kołysce.

A na przeciwległym krańcu miasta czekała Leona Cassiani, sama, wolna, gotowa bez wątpienia okazać mu, czy to nad ranem, czy o jakiegokolwiek godzinie i w jakichkolwiek okolicznościach, współczucie, jakiego potrzebował. Nie po raz pierwszy zapukałby do jej drzwi błędząc po manowcach bezsenności, uświadomił sobie jednak, że jest zbyt inteligentną kobietą i nazbyt się kochają, aby pojawić się u niej i nie podając przyczyny wyplakać się na jej łonie. Wreszcie po długich rozmyślaniach i lunatycznym spacerze ulicami opustoszałego miasta wpadło mu do głowy, że z żadną nie będzie mu lepiej niż z Prudencją Pitre: Recydywą. Była dziesięć lat młodsza od niego. Poznali się w ubiegłym wieku, a przestali się spotykać wyłącznie dlatego, iż uparła się, że nie będzie pokazywać mu się w swoim stanie: niemalże ślepa i bez przesady na skraju niedołęstwa. Przypomniawszy

sobie o niej, natychmiast wrócił na ulicę Ventanas, zapakował do torby dwie butelki porto, słoik marynat i wyruszył na spotkanie, nie zastanawiając się nawet, czy nadal mieszka tam gdzie zawsze, czy jest sama i czy w ogóle żyje.

Prudencia Pitre nie zapomniała znanego tylko im dwojgu delikatnego chrobotu stanowiącego jego znak rozpoznawczy w czasach, kiedy jeszcze uważali się za młodych, choć od dawna już nimi nie byli, otworzyła mu więc drzwi o nic nie pytając. Ulica tonęła w ciemnościach, on był ledwie widoczny w czarnym ubraniu, w sztywnym kapeluszu, ze zwisającym spod zgiętego ramienia nietoperzem parasola, a ona miała zbyt słabe oczy, aby go zobaczyć w zbyt nikłym świetle, ale rozpoznała go po odbłasku płomyka latarni w metalowej oprawce okularów. Wyglądał jak morderca z jeszcze ociekającymi krwią dłońmi.

- Schronienia dla biednego sieroty - powiedział. Tylko to zdołał powiedzieć wiedząc, że coś powiedzieć musi. Zdumiał się, jak bardzo się zestarzała od ich ostatniego spotkania, uprzytamniając sobie zarazem, że i ona spostrzega go w taki sam sposób. Pocieszył się jednak myślą, że kiedy ochłoną po pierwszym zaskoczeniu, będą widzieć w sobie nawzajem coraz mniej ran zadanych przez życie, by ponownie ujrzeć się równie młodymi jak wówczas, kiedy się poznali: czterdzieści lat temu.

- Wyglądasz jakby cię mieli wynieść na marach - powiedziała.

I tak było. Również i ona stała w oknie od jedenastej, jak niemal całe miasto, by przyrzeć się najwystawniejszemu i największemu od czasów śmierci arcybiskupa De Luna konduktowi. Ze sjeisty wyrwały ją salwy artyleryjskie, od których drżała ziemia, skłócone ze sobą dźwięki wojskowych orkiestr, chaos pieśni żałobnych górujący nad lamentem wszystkich dzwonów kościelnych, które biły nieprzerwanie od poprzedniego dnia. Widziała z balkonu jadących na koniach wojskowych w paradnych mundurach, bractwa religijne, szkoły, czarne limuzyny niewidocznej władzy, karetę ciągniętą przez konie w pióropuszcach i w złotych czaprakach, okrytą flagą żółtą trumnę na lawecie zabytkowej armaty, na końcu zaś szereg starych, odkrytych wiktorii, na tyle sprawnych, aby przewozić wieńce. Tuż po dwunastej, kiedy kondukt jeszcze przeciągał się pod oknami Prudencii Pitre, zaczął się potop i wszyscy rozpierzchli się w popłochu.

- Co za absurdalny sposób umierania - powiedziała. - Śmierć nie ma wycucia śmieszności - odparł, i dodał z żalem - tym bardziej w naszym wieku. Siedzieli na tarasie, spoglądając na otwarte morze i księżyc w otoczce świetlistych pierścieni zajmujących połowę nieba, spoglądając na kolorowe światła statków na horyzoncie, rozkoszując się świeżą, poburzową, pachnącą bryzą. Pili porto i jedli marynaty z pokrajanym przez Prudencję Pitre w kromki wiejskim chlebem. Przeżyli wiele takich nocy, od czasu kiedy

została bezdzietną wdową w trzydziestym piątym roku życia.

Florentino Ariza spotkał ją w momencie, gdy gotowa była przygarnąć każdego chętnego mężczyznę, choćby i wynajmując go na godziny, ale zdołali nadać swojemu związkowi znacznie poważniejszą intymność i większą trwałość, niż to z początku wydawało się możliwe. Choć nigdy nie wspomniała o tym bodaj słowem, zaprzedałaby duszę diabłu, żeby właśnie za niego ponownie wyjść za mąż. Wiedziała, że ciężko jest pogodzić się z jego sknerstwem, z dziwactwami przedwcześnie postarzałego mężczyzny, z jego maniacką pedanterią, z jego skwapliwym domaganiem się wszystkiego, podczas gdy sam nie dawał nic w zamian, ale nie było mężczyzny, który lepiej niż on pozwoliłby sobie towarzyszyć, bo żaden inny na świecie nie potrzebował miłości tak jak on. Żaden inny nie potrafił też jednak równie skutecznie się wymykać, bo miłość nie przekraczała nigdy granic przez niego ustalonych: nie mogła być sprzeczna z jego postanowieniem zachowania swej wolności dla Ferminy Dazy. Ich związek mimo to trwał wiele lat, nawet wtedy, gdy Florentino Ariza tak pokierował sprawami, żeby Prudencia Pitre ponownie wyszła za mąż, za komiwojażera, który spędzał na przemian trzy miesiące w domu i trzy w podróży i z którym miała córkę i czterech synów; jeden z nich, jak przysięgała, był synem Florentina Arizy.

Rozmawiali nie zważając na porę, bo przywykli dzielić się swą młodzieńczą bezsennością, a w starczej bezsenności mieli jeszcze mniej do stracenia. Choć Florentino Ariza rzadko pił więcej niż dwa kieliszki, tym razem nawet po trzecim nie mógł jeszcze odzyskać równowagi.

Pot lał się z niego, więc Recydywa poradziła mu, by zdjął marynarkę, kamizelkę, spodnie i jeśli chce niech zdejmie wszystko, a co, kurwa, przecież tak czy owak znają się bardziej rozebrani niż ubrani. Powiedział, że zrobi to, owszem, jeśli i ona to zrobi, ale odmówiła: jakiś czas temu ujrzała się w lustrze szafy i wnet zrozumiała, że już nigdy nie będzie miała odwagi, aby stanąć nago przed nim ani przed nikim innym.

Florentino Ariza, w stanie egzaltacji, której nie zdołał opanować pomimo czterech kieliszków porto, wciąż rozprawiał o przeszłości, snując miłe wspomnienia, od dawna stanowiących jedyny temat jego rozmów, ale łapczywie pragnąc odnaleźć w przeszłości tajemną drogę, dzięki której mógłby sobie ulżyć. Bo tego mu było trzeba: wyrzygać duszę. Kiedy dostrzegł na widnokręgu pierwszy brzask, spróbował łagodnego zbliżenia. Zapytał, jakby mimochodem: „Co byś zrobiła, gdyby zaproponowano ci małżeństwo bez względu na twój wiek i twój wdowi stan?” Odpowiedziała mu pomarszczonym uśmiechem starej kobiety i sama z kolei zapytała:

- Masz na myśli wdowę Urbino?

Florentino Ariza w najmniej odpowiednim momencie zapominał, że kobiety zawsze myślą o ukrytych podtekstach pytań, a Prudencia Pitre myślała o tym bardziej niż którakolwiek inna. Porażony nagłą trwogą z powodu jej celnego trafienia wymknął się awaryjnymi drzwiami:

„Mam na myśli ciebie”. Ponownie się uśmiechnęła:

„Kpić to ty sobie możesz, kurwa, ze swojej mamuśki, niech jej ziemia lekką będzie”. Następnie zaczęła nalegać, żeby wyrzucił z siebie, co tylko chce, bo wiedziała, że ani on, ani żaden inny mężczyzna nie zbudziłby jej o trzeciej nad ranem jedynie po to, by po tylu latach niewidzenia się popijać porto i zajadać wiejski chleb z marynatami. Powiedziała: „Coś takiego robi się tylko wtedy, kiedy szukasz kogoś, żeby mieć się przed kim wypłakać”. Florentino Ariza zaczął się wycofywać. - Tym razem się mylisz - powiedział. - Tej nocy mam powody, żeby śpiewać na cały głos.

- No to śpiewajmy - powiedziała.

Dźwięcznym głosem zaintonowała modną w tym czasie piosenkę: „Ramona, bez ciebie już nie mogę żyć”. I to był kres nocy, bo nie śmiał już prowadzić zakazanej gry z kobietą, która zbyt wiele razy udowodniła mu, że zna drugą stronę księżyca. Wyszedł na miasto odmienione i dziwnie pachnące ostatnimi daliami czerwca i trafił na jedną z ulic swej młodości, którą ciągnęły wdowy z mroków porannego nabożeństwa. Ale tym razem to nie one, lecz on przeszedł na drugą stronę, by nie dostrzegły łez, których dłużej nie był w stanie wstrzymać, i to nie tych tłumionych, jak mu się zdawało, lecz zupełnie innych łez: dławionych od pięćdziesięciu jeden lat, dziewięciu miesięcy i czterech dni.

Obudził się przy dużym, olśniewająco jasnym oknie nie mając pojęcia, gdzie się znajduje i ile czasu upłynęło.

Głos Ameryki Vicuñi grającej w ogrodzie w piłkę z dziewczynami ze służby przywołał go do rzeczywistości: leżał w łóżku matki, w jej sypialni, którą pozostawił nietkniętą i w której zwykł sypiać, żeby czuć się mniej samotnym podczas tych rzadkich chwil, kiedy samotność go gnębiła. Na wprost łóżka wisiało ogromne lustro z „Mesón de don Sancho”, a jemu dość było spojrzeć nań w chwili przebudzenia, żeby ujrzeć Ferminę Dazę w głębi zwierciadła. Wiedział, że jest sobota, dzień, w którym szofer odbierał z internatu Amerykę Vicuñę, by przywieźć ją do domu. Uświadomił sobie, że spał, nie wiedząc o tym i śnił, że nie może usnąć, bo sen zakłócała mu gniewna twarz Ferminy Dazy. Wykąpał się, obmyślając swój kolejny krok, po czym powoli przywdział najlepsze ubranie, wyperfumował się, wypomadował białe wąsy w szpic i wychodząc z sypialni, dostrzegł z korytarza na drugim

piętrze piękne stworzenie w mundurku, chwytające w powietrzu piłkę z wdziękiem, który przez tak wiele sobót przyprawiał go o dreszcze, ale tego ranka nie wzbudził w nim najmniejszego wzruszenia. Dał jej znak, żeby mu towarzyszyła, i zanim wsiedli do samochodu, powiedział jej bez potrzeby: „Dzisiaj nie będzie żadnego koci koci łapci”. Zabrał ją do „Amerykańskiej Lodziarni”, zatłoczonej o tej porze, bo cała gromada ojców jadła tu lody ze swymi dziećmi pod obracającymi się ogromnymi skrzydłami zwisających z sufitu wentylatorów. Ameryka Vicuña zamówiła gigantyczny puchar piętrzących się wielokolorowych kulek, swe ulubione lody cieszące się największym powodzeniem, gdyż unosił się nad nimi magiczny obłok. Florentino Ariza pił kawę, w milczeniu przypatrując się dziewczynce wyjadającej lody łyżeczką o bardzo długiej ręczce, umożliwiającej sięgnięcie do samego dna pucharu. Nie odrywając od niej wzroku powiedział nagle:

- Mam zamiar się ożenić.

Z iskierką niepewności spojrzała mu w oczy i przez chwilę trzymała łyżeczkę nieruchomo w powietrzu, natychmiast jednak odzyskała pewność siebie i uśmiechnęła się.

- Oszukujesz - powiedziała. - Staruszkowie się nie żenią.

Tego popołudnia odwiózł ją do internatu, punktualnie na Anioł Pański, w strugach ulewnego deszczu, po obejrzeniu w parku teatrzyku kukielkowego, po obiedzie w smażalni ryb na falochronach, po napatrzeniu się na zwierzęta w klatkach przybyłego dopiero co cyrku, po zakupieniu w ulicznych kramikach przeróżnych słodczy, które miała zabrać do internatu, i po wielokrotnym objechaniu odkrytym samochodem miasta, żeby zdążyła przyzwyczać się do myśli, że jest jej opiekunem, a nie kochankiem. W niedzielę posłał jej samochód, na wypadek gdyby chciała przejechać się ze swymi przyjaciółkami, nie chciał jej jednak widzieć, bo tydzień temu w pełni uświadomił sobie dzielącą ich różnicę wieku. Tej samej nocy podjął mocne postanowienie, że napisze do Ferminy Dazy list z przeprosinami, choćby po to, żeby się nie poddać, ale zostawił to na jutro. W poniedziałek, dokładnie po trzech tygodniach męczarni, kiedy wrócił do domu przemoknięty na wskroś od deszczu, natrafił na list Ferminy Dazy.

Była ósma wieczorem. Obie służące już leżały, pozostawiwszy jak zwykle światło pozwalające Florentinowi Arizie dojść do sypialni. Wiedział, że jego skromna i mdła kolacja czeka na stole w jadalni, ale nikłe uczucie głodu, doskwierające mu po tylu dniach byle jakiego odżywiania się, natychmiast mu przeszło, tak bardzo go wzruszył ów list. Z trudem, bo uniemożliwiało mu to drżenie rąk, włączył górne światło w jadalni. Położył mokry list na łóżku, zapalił świecznik na nocnym stoliku i z udawanym spokojem, co było jego swoistym sposobem na odzyskanie równowagi ducha, zdjął przemoczoną marynarkę i

powiesił ją na oparciu krzesła, zdjął kamizelkę i dokładnie złożoną powiesił na marynarce, zdjął kokardę z czarnego jedwabiu i celulooidowy kołnierzyk, którego już nikt na świecie nie używał, rozpiął guziki koszuli do pasa i poluzował pasek, żeby móc lepiej oddychać, wreszcie zdjął kapelusz i położył go na oknie, żeby wysechł. Wtem zadygotał, bo nie wiedział, gdzie jest list, a nerwy puściły mu do tego stopnia, że odnalazłszy go wreszcie czuł się niepomierne zaskoczony, nie pamiętał bowiem, że położył list na łóżku. Zanim go otworzył, wytarł kopertę chusteczką, ostrożnie, by nie rozmazać atramentu, którym wypisane zostało jego nazwisko, i w trakcie wycierania zdał sobie nagle sprawę, że sekret przestał być ich wyłączną własnością, lecz znany już jest przynajmniej trzem osobom, bo ktokolwiek go przyniósł, musiał zwrócić uwagę, że wdowa Urbino pisze list do kogoś spoza swego towarzystwa zaledwie w trzy tygodnie po śmierci męża i tak jej pilno, że nie wysyła listu pocztą, i tak jej zależy na dyskrecji, że prosi, aby nie oddawać listu do rąk własnych, tylko wsunąć go pod drzwi jak anonim. Nie musiał rozrywać koperty, bo klej sam się rozpuścił, ale list był suchy: trzy gęsto zapisane kartki, bez nagłówka, i podpis składający się z inicjałów mężatki.

Przeczytał go za pierwszym razem najszybciej, jak mógł, siedząc na łóżku, zaintrygowany raczej tonem niż treścią listu, i nim dotarł do drugiej strony, wiedział już, że jest to właśnie ów list pełen obelg, jakich oczekiwał.

Położył otwarty list w świetle lampki, zzuł buty, zdjął mokre skarpetki, podszedł do drzwi, by zgasić górne światło, w końcu nałożył zamszową bindę na wąsy i nie zdjawszy spodni ani koszuli położył się opierając głowę o dwie duże poduszki, służące mu za oparcie w trakcie czytania. W tej pozycji ponownie przeczytał list, tym razem słowo po słowie, dociekliwie przypatrując się każdej literze z osobna, aby żadna z ukrytych intencji Ferminy Dazy nie pozostała w ukryciu, a następnie przeczytał go jeszcze czterokrotnie, póki nie poczuł się tak nasycony listem, że jego słowa zaczęły tracić jakikolwiek sens. Wreszcie schował go, bez koperty, do szufladki nocnego stolika, położył się na plecach z rękami splecionymi na karku i przez cztery godziny leżał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni lustra, gdzie kiedyś było jej odbicie. Bez mrugnięcia okiem, ledwie oddychając, bardziej martwy niż martwy trup. Punktualnie o północy poszedł do kuchni, zaparzył kawę gęstą jak ropa naftowa i zaniósł ją w termosie do pokoju, wrzucił sztuczną szczękę do przygotowanej, jak zawsze, szklanki z wodą i ponownie ułożył się w pozycji marmurowego posągu, co jakiś czas nieznacznie ją zmieniając, żeby wypić łyk kawy, dopóki o szóstej rano pokojówka nie weszła do sypialni z kolejnym pełnym termosem.

O tej porze Florentino Ariza już wiedział, jaki będzie każdy jego następny krok.

Żadna z obelg w istocie rzeczy nie sprawiła mu przykrości, nie zaprzętał sobie nawet głowy tym, żeby oczyścić się z niesprawiedliwych zarzutów, które, znając charakter Ferminy Dazy i powagę okoliczności, mogły być gorsze. Obchodziło go jedynie to, że list sam w sobie stworzył mu sposobność i upoważniał zarazem do udzielenia odpowiedzi. Więcej: wymagał odpowiedzi. Życie znalazło się więc w tym miejscu, do którego chciał je doprowadzić. Reszta zależała od niego, a był całkowicie przekonany, że jego prywatne, trwające od ponad pół wieku piekło szykuje mu jeszcze wiele śmiertelnych prób, którym gotów był stawić czoło z jeszcze większym zapałem, większym bólem i jeszcze większą miłością niż wszystkim poprzednim, bo będą to już próby ostatnie.

Gdy w pięć dni po otrzymaniu listu Ferminy Dazy pojawił się w biurze, odniósł wrażenie, że unosi się w stromej, bezużytecznej pustce zamieszkannej jedynie przez maszyny do pisania, których deszczowy szum nagle ustał, gdy dało się słyszeć coś więcej niż milczenie szefa. To była chwilowa przerwa. Kiedy ponownie zaszumiało, Florentino Ariza zajrzał do gabinetu Leony Cassiani i przyjrzał się jej, siedzącej przy maszynie do pisania, która reagowała posłusznie niczym ludzka istota na każde dotknięcie palców. Poczula jego wzrok, spojrzała więc w stronę drzwi ze swym straszliwym, słonecznym uśmiechem, nie przerywając jednak pisania, póki nie dokończyła akapitu.

- Powiedz mi coś, moja lwico - zagadnął Florentino Ariza. - Jakbyś się czuła, gdybyś dostała list miłosny napisany na tym gruchocie?

Mina nie dziwiącej się już niczemu Leony Cassiani wyrażała najprawdziwsze zdumienie.

- Popatrz, popatrz! - krzyknęła. - Nigdy bym o tym nie pomyślała.

Oznaczało to, że nie ma innej odpowiedzi. Florentino Ariza do tej pory też o tym nie pomyślał i postanowił zaryzykować do końca. Zabrał do domu jedną z biurowych maszyn pośród dobrodusznym docinków podwładnych: „Stara papuga nie nauczy się gadać”. Leona Cassiani, entuzjastka każdej nowinki, wyraziła gotowość udzielenia mu w domu lekcji pisania na maszynie.

Florentino Ariza był jednak przeciwnikiem jakichkolwiek metodycznych studiów od czasu, gdy Lotar Thugut pragnął nauczyć go gry na skrzypcach z nut, grożąc, że trzeba co najmniej roku, żeby zaczął cokolwiek rozumieć i żeby przyjęto go do orkiestry zawodowej, oraz sześciu godzin ćwiczeń dziennie przez całe życie, żeby grać w miarę dobrze. Mimo to zdołał namówić matkę, by kupiła mu skrzypce ślepego grajka i posługując się pięcioma podstawowymi regułami, przekazanymi mu przez Lotara Thuguta, odważył się w niespełna rok zagrać w katedrze i urządzić Ferminie Dazie serenady z cmentarza biedoty w

zależności od kierunku wiatru. Jeśli potrafił dokonać tego, mając dwadzieścia lat, i na tak trudnym instrumencie jak skrzypce, dlaczego nie udałoby mu się teraz, gdy ma siedemdziesiąt sześć lat, z czymś tak prostym jak maszyna do pisania wymagająca użycia tylko jednego palca.

I tak się stało. Potrzebował trzech dni, żeby nauczyć się układu liter na klawiaturze, kolejnych sześciu, żeby nauczyć się jednocześnie myśleć i pisać, i następnych trzech, żeby wystukać swój pierwszy list bez błędów, zużywwszy przedtem pół ryzy papieru. Zaczął od uroczystego nagłówka: „Pani” i podpisał inicjałem swego imienia, jak zwykł to czynić w swych perfumowanych młodzieńczych liścikach. Wysłał list pocztą, w kopercie opatrzonej żałobnymi ramkami, tak jak to było przyjęte dla listów do niedawno owdowiałej kobiety, nie podając nazwiska nadawcy na odwrocie.

Był to sześciostronicowy list, który nie miał nic wspólnego z żadnym innym napisanym przez niego kiedykolwiek przedtem. Pozbawiony był owego tonu i stylistyki retorycznych uniesień cechujących jego listy w pierwszych latach miłości, a wywód w nim zawarty przeprowadzony został w sposób tak rozsądny i wyważony, że zapach gardenii byłby zupełnie nie na miejscu. Do pewnego stopnia był bliski ideału owych listów handlowych, których nigdy nie potrafił pisać. Wiele lat później list prywatny napisany za pomocą urządzeń mechanicznych miał być uznawany niemal za obraźliwy, ale wówczas maszyna do pisania była tylko biurowym zwierzęciem, pozbawionym własnej etyki, której udomowienie do celów prywatnych nie zostało przewidziane w podręcznikach dobrego wychowania. Użycie maszyny uznać można było raczej za wyraz śmiałej nowoczesności i tak też przypuszczalnie zrozumiała to Fermina Daza, gdyż w drugim liście do Florentina Arizy, napisanym po otrzymaniu przeszło czterdziestu listów od niego, zaczęła od przeprosin za swój niewyraźny charakter pisma, co wynikało z braku bardziej nowoczesnych od pióra ze stalówką przyborów do pisania.

Florentino Ariza nie zrobił najmniejszej aluzji do owego strasznego listu, od pierwszych już słów próbując odmiennej metody uwodzenia, unikając odwoływania się do dawnej, młodzieńczej miłości, nawet wzmianek o przeszłości: wszystko zostaje przekreślone, zaczynamy od początku. Były to raczej długie rozmyślenia o życiu, oparte na jego ideach i doświadczeniach dotyczących związków pomiędzy mężczyzną a kobietą, które kiedyś zamierzał spisać jako uzupełnienie do Sekretarza zakochanych. Tyle że teraz przyodziął je w styl patriarchy godny wspomnień starca, żeby nie dało się zanadto odczuć, iż jest to w swej istocie świadectwo miłości. Wpierw skreślił wiele szkiców na dawną modłę, których przeczytanie na trzeźwo trwało dłużej niż wrzucenie w ogień. Świadom był, że



każda konwencjonalna nieostrożność, najmniejsza nostalgiczna lekkomyślność może wzbudzić w jej sercu dawny niesmak, i choć zakładał, że raczej odeśle mu sto listów, zanim odważy się otworzyć ten pierwszy, wolał jednak żeby ich nie odsyłała. Zaplanował więc całą kampanię aż do najdrobniejszego szczegółu, niczym wojnę ostateczną: wszystko miało być inne, żeby rozbudzić ciekawość i nowe nadzieje w kobiecie, która przeżyła już całe życie. Iluzja miała być oszałamiająca, zdolna natchnąć ją odwagą, tak aby cisnęła do śmieci wszelkie przesady klasy, do której nie należała od urodzenia, ale która stała się jej klasą bardziej niż jakakolwiek inna. Musiał nauczyć ją myślenia o miłości jako o stanie łaski, nie prowadzącym do niczego, lecz stanowiącym sam w sobie początek i koniec.

Był na tyle rozsądny, że nie oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi: już samo nieodesłanie listu sprawiłoby mu satysfakcję. A list nie został odesłany, tak jak nie został odesłany żaden z następnych, i wraz z upływem czasu wzrastał jego niepokój, bo im więcej dni mijało, tym większa była jego nadzieja na otrzymanie odpowiedzi. Częstotliwość jego listów była z początku uzależniona od zręczności palców: wpierw jeden tygodniowo, później dwa, wreszcie jeden list dziennie.

Cieszył się z postępów, jakie od czasów, gdy pełnił funkcję chorążego, dokonały się w działaniu poczty, bo nie chciał ryzykować i codziennie pojawiać się w Urzędzie Pocztowym, by wciąż nadawać przesyłki do tej samej osoby, czy też posyłania ich przez kogoś, kto mógłby je policzyć. Do najprostszych zaś rzeczy należało wysyłanie pracownika po znaczki na cały miesiąc, by następnie wrzucić list do jednej z trzech skrzynek rozstawionych na starym mieście. Rychło połączył ów rytuał ze swymi nawykami: korzystając z bezsenności pisał listy, a następnego dnia, w drodze do biura, prosił kierowcę, aby zatrzymał się przez chwilę przy skrzynce na rogu, po czym wysiadał sam i wrzucał list. Nigdy nie dopuścił, żeby szofer zrobił to za niego, choć ten już raz próbował to uczynić w pewien deszczowy ranek, i czasami, nawet dla ostrożności, brał ze sobą większą ilość kopert, żeby wyglądało to bardziej naturalnie. Kierowca oczywiście nie wiedział, że w pozostałych kopertach znajdowały się puste kartki, które Florentino Ariza wysyłał do samego siebie, nigdy bowiem nie prowadził z nikim prywatnej korespondencji; jedynym wyjątkiem były przesyłane pod koniec każdego miesiąca raporty do rodziców Ameryki Vicuni z jego osobistymi uwagami na temat zachowania, nastroju, zdrowia dziewczynki i jej postępów w szkole.

Od pierwszego miesiąca zaczął numerować listy, a każdy z nich poprzedzał streszczeniem poprzednich, jak w odcinkowych powieściach w gazecie, obawiał się bowiem, że Fermina Daza nie zauważy, iż jest w nich pewna ciągłość. Kiedy zaczął je

pisywać codziennie, zrezygnował z kopert z żałobnymi ramkami na rzecz białych i podłużnych, i zmiana ta ostatecznie nadała im wszystkim charakter bezosobowej korespondencji handlowej. Z początku gotów był poddać swą cierpliwość ostatecznej próbie, przynajmniej do momentu, gdy stałoby się aż nadto oczywiste, że traci tylko czas na stosowanie jedynej, odmiennej metody, jaką zdołał wymyślić. Czekał, w rzeczy samej, bez tych wszystkich przypadłości, jakimi nie obdarzały go chwile oczekiwań w młodszych latach. Czekał z betonową wytrwałością starca, któremu nic innego nie zaprzętało głowy, który nic nie miał do roboty w towarzystwie rzeczonym płynącym wówczas pod pełnymi żaglami już bez niego, czekał absolutnie pewny tego, że będzie żywy i w pełni swych męskich sił zarówno jutro, jak pojutrze i zawsze, kiedy to Fermina Daza zrozumie wreszcie, iż jedynym sposobem na zaspokojenie jej pragnień samotnej wdowy jest opuszczenie ku niemu mostów zwodzonych.

A na razie żył tak jak do tej pory. W przewidywaniu przychylniej odpowiedzi rozpoczął ponowny remont, żeby dom godny był osoby, która mogła czuć się jego gospodynią i panią od chwili, kiedy został kupiony. Zgodnie z przyrzeczeniem, wielokrotnie odwiedzał Prudencję Pitre, chcąc jej udowodnić, że pomimo niedogodności wieku kocha ją nadal, w blasku dnia i przy drzwiach otwartych, a nie tylko w nocie swej bezradności. Nie zaprzestał również wizyt u Andrei Varón, o ile spostrzegał zgaszone światło w łazience usiłując sponiewierać się szaleństwem jej łóżka, choćby po to, żeby nie zarzucić systematycznych praktyk miłosnych, zgodnie ze swym kolejnym niezachwianym przekonaniem, że ciało trzyma się, dopóki my się trzymamy. Jedynym kłopotem były jego stosunki z Ameryką Vicuńą. Chociaż polecił szoferowi, by nadal odbierał ją z internatu w soboty o dziesiątej rano, nie miał najmniejszego pojęcia, co z nią zrobić pod koniec tygodnia. Po raz pierwszy nie zajmował się nią, a ona czuła się urażona tą zmianą. Zlecał służącym, by zabierały ją po południu do kina, na zabawy do ogrodu dziecięcego, na loterie charytatywne, albo wymyślał jej na niedziele wspólne zabawy ze szkolnymi koleżankami, byle nie prowadzić jej do ukrytego rajku za biurowym budynkiem, dokąd zawsze pragnęła wrócić, od czasu gdy zaprowadził ją tam po raz pierwszy. W oparach swej kolejnej mrzonki nie zdawał sobie sprawy, że kobiety są w stanie dorosnąć w trzy dni, a właśnie minęły trzy lata od czasu, gdy odebrał ją z pokładu łodzi motorowej z Puerto Padre. Pomimo jego starań, żeby to jej osłodzić, zmiana była dla niej zbyt gwałtowna, przy tym wciąż nie mogła zrozumieć jej przyczyn. Kiedy powiedział jej w łodziarni, że ma zamiar się żenić, co zresztą było prawdą, najpierw uległa panice, nieco później jednak ewentualność ta wydała jej się tak absurdalna, iż całkowicie o niej zapomniała. Ale szybko zrozumiała, że Florentino Ariza

zachowuje się tak, jakby rzeczywiście zapowiedziany ożenek miał nastąpić i ucieka się do dziecinnych wykrętów, jakby nie był o sześćdziesiąt lat starszy od niej, ale o sześćdziesiąt lat młodszy.

W jedno z sobotnich popołudni Florentino Ariza zaskoczył ją w swej sypialni: próbowała pisać na maszynie, a robiła to dość dobrze, bo uczyła się maszynopisania w szkole. Zapisała mechanicznie ponad pół strony, ale tu i ówdzie z łatwością można było wyróżnić zdania ujawniające stan jej nastroju. Florentino Ariza chcąc przeczytać, co napisała, zajrzał jej przez ramię. Zmieszała się czując jego męskie ciepło, urywany oddech, zapach ubrania, który był również zapachem jego poduszki. Nie była już dopiero co przybyłą dziewczynką, którą rozbierał z poszczególnych części garderoby stosując fortele dla niemowląt: najpierw buciki dla ośliczki, a teraz buziaczek w tatusia dzióbbasek. Nie: teraz była już kobietą, prawdziwą, dorosłą kobietą, która lubi przejmować inicjatywę w swoje ręce. Nie przerwała pisania, wciąż uderzając w klawisze jednym palcem prawej dłoni, podczas gdy jej lewa ręka po omacku natrafiła na jego uda, poszukała, odnalazła, poczuła, jak odżywa, rośnie, wzdycha z pożądania, a jego starczy oddech staje się śmieszny i urywany. Znała go: od tego momentu tracił panowanie nad sobą, zapominał o rozsądku, zdawał się na jej łaskę i niełaskę i nie był w stanie odnaleźć drogi powrotnej nie docierając do końca. Zaprowadziła go do łóżka, ciągnąc za rękę niczym biednego ulicznego ślepeca, i tam poćwiartowała na sztuki z podstępą czułością, dodała soli podług własnego smaku, wonnego pieprzu, ząbek czosnku, posiekanej cebuli, soku z cytryny, liść laurowy, póki nie ułożyła go przyprawionego na półmisku, a piec nie rozgrzał się do odpowiedniej temperatury.

W domu nie było nikogo. Służące wyszły, a pracujący przy remoncie murarze i stolarze mieli w soboty dzień wolny: świat należał do nich dwojga. Ale on już, na skraju przepaści ocknął się z ekstazy, odsunął jej rękę, wstał i odezwał się drżącym głosem:

- Ostrożnie, nie mamy gumek.

Przeleżała jakiś czas w łóżku na plecach, a kiedy wróciła do internatu, o godzinę wcześniej niż zazwyczaj, przewyciężyła już chęć płaczu, za to wyostrzyła węch i pazurki pragnąc trafić na trop kryjącej się gdzieś zwierzyny, która zwichnęła jej życie. Florentino Ariza natomiast, po raz kolejny, popełnił typowo męski błąd: uznał, że została ostatecznie przekonana o bezcelowości swych zakusów i postanowiła o nim zapomnieć. Nadal robił swoje. Po upływie sześciu głuchych miesięcy przyłapał się na tym, że przez całą noc, aż do świtu przewracał się w łóżku z boku na bok, błędząc po zupełnie innej bezsenności. Przypuszczał, że Fermina Daza otworzyła pierwszy list zwiedziona jego niewinnym

wyglądem, ale dostrzegłszy inicjały, znane jej z listów sprzed lat, wyrzuciła go na śmieci nie zadając sobie nawet trudu, by go podrzeć. I wystarczył jej rzut oka na koperty następnych listów, żeby zrobić to samo, nie otwierając ich, i tak po kres wszystkich czasów, gdy on kończył już swe pisane medytacje. Nie wierzył, by istniała kobieta zdolna przez pół roku poskromić swą ciekawość wobec otrzymywanych codziennie listów nie starając się dowiedzieć, jakiego koloru atramentem zostały napisane. Ale jeśli taka kobieta istniała, to mogła nią być tylko ona.

Florentino Ariza czuł, że czas starości nie jest płynącym po równi potokiem, ale bezdenną cysterną, z której wycieka pamięć. Jego przemyślność była na wyczerpaniu. Po wielodniowym krążeniu wokół rezydencji w La Manga zrozumiał, że tym młodzieńczym sposobem nie zdoła rozbić drzwi skazanych na żałobę. Pewnego ranka, szukając czyjegoś numeru w książce telefonicznej, przypadkowo natrafił na jej numer. Zadzwoił. Sygnał odezwał się wiele razy, po czym wreszcie Florentino Ariza rozpoznał głos, poważny i chrypliwy: „Tak? Słucham?” Nie odezwał się, odłożył słuchawkę, ale bezkresna dal, dzieląca go od tego nieuchwytnego głosu spowodowała w nim upadek ducha.

W tym samym mniej więcej czasie Leona Cassiani obchodziła urodziny zapraszając do domu grupę najbliższych przyjaciół. W roztargnieniu wylał na siebie sos podany do kurczaka. Zamoczywszy kraniec serwetki w szklance wody Leona Cassiani wytarła mu klapę, a następnie założyła mu serwetkę jak śliniaczek, aby zapobiec jeszcze większej katastrofie: wyglądał na stare niemowlę. Zauważyła, że podczas obiadu wielokrotnie zdejmuje okulary, aby przetrzeć je chusteczką, bo łzawiły mu oczy. Gdy podano kawę, zasnął z filiżanką w dłoni, kiedy zaś spróbowała mu ją odebrać nie budząc go, ocknął się zawstydzony: „Przymknąłem oczy tylko na chwilę, chciałem im dać odpocząć”. Leona Cassiani udała się na spoczynek zdumiona, że tak bardzo uwidoczniły się w nim oznaki starości.

W pierwszą rocznicę śmierci Juvenala Urbino rodzina rozesłała zaproszenia na mszę w katedrze za spokój duszy zmarłego. W owym czasie Florentino Ariza wysłał już list numer sto trzydzieści dwa, bez najmniejszej odpowiedzi, co go skłoniło do podjęcia zuchwałej decyzji, by nie będąc zaproszonym uczestniczyć we mszy. Było to wydarzenie w życiu towarzyskim raczej okazałe niż wzruszające. Ławy w pierwszych rzędach, zarezerwowane dożywotnio i przekazywane z pokolenia na pokolenie, na oparciu miały przybite miedziane tabliczki z imieniem i nazwiskiem właściciela. Florentino Ariza przybył wraz z gronem pierwszych gości, by usiąść w miejscu, gdzie Fermina Daza musiała chęć nie chcąc go spostrzec. Uznał, że najlepiej będzie usiąść w środkowej nawie, tuż za

zarezerwowanym rzędem ław, ale przybyło tyle osób, że i tam nie znalazł wolnego miejsca, tak więc musiał pozostać w nawie ubogich krewnych. Stamtąd ujrzał wchodzącą Ferminę Dazę prowadzoną przez syna, ubraną po nadgarstki w czarną aksamitną suknię, bez najmniejszej ozdoby, zapiętą od stóp do głów na guziki jak biskupia sutanna, w szalu z kastylijskiej koronki zamiast kapelusza z woalką używanego przez inne wdowy i przez wiele innych dam pragnących nimi zostać. Jej odsłonięta twarz promieniała alabastrowym blaskiem, przenikliwe oczy żyły własnym życiem w świetle ogromnych pajaków ze środkowej nawy, a szła tak wyprostowana, tak dumna, tak opanowana, że nie wydawała się starsza od syna. Florentino Ariza, stanąwszy, oparł się koniuszkami palców o grzbiet ławy, dopóki nie ustąpiło całkowite zamroczenie, bo doznał wrażenia, że dzieli ich nie siedem kroków, ale dwa zupełnie odmienne dni.

Fermina Daza przetrwała uroczystość w rodzinnej ławce na wprost ołtarza niemal cały czas na stojąco, z tą samą wyniosłością, z jaką oglądała przedstawienia operowe. Ale na koniec wyłamała się z przyjętych norm i miast czekać na swoim miejscu, by zgodnie ze zwyczajem przyjąć ponownie kondolencje, sama przeszła przez kościół, by podziękować każdemu z zaproszonych gości: niespotykany gest, ale bardzo pasujący do jej sposobu bycia. Pozdrawiając to jednych, to drugich, dotarła do ław ubogich krewnych i, na ostatek, rozejrzała się wokół, aby upewnić się, że nie pominęła nikogo ze znajomych.

Florentino Ariza poczuł wówczas, że jakiś niezwykły wiatr unosi go z miejsca: zauważyła go. I rzeczywiście Fermina Daza z charakterystyczną dla niej swobodą odeszła od swych najbliższych, wyciągnęła dłoń i, uśmiechając się nad wyraz słodko, powiedziała:

- Dziękuję za przybycie.

Bo nie tylko otrzymała wszystkie listy, ale i wszystkie przeczytała z ogromnym zainteresowaniem, odnajdując w nich sporo poważnych racji przemawiających za tym, że warto dalej żyć. Siedziała przy stole, jedząc z córką śniadanie, kiedy nadszedł pierwszy. Otworzyła go zaintrygowana tym, że napisany został na maszynie, i nagły rumieniec sparzył jej twarz, gdy rozpoznała inicjały podpisu. Ale natychmiast się opanowała i schowała list do kieszeni fartucha. Powiedziała: „To kondolencje od rządu”. Córka zdziwiła się: „Przecież już wszystkie nadeszły”. Nie zmieszała się: „To są jeszcze inne”. Miała zamiar spalić list nieco później, z dala od niedyskretnych pytań córki, nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie, żeby przedtem nie rzucić nań okiem. Oczekiwała w pełni zasłużonej repliki na swój list z obelgami, który zaczął jej ciążyć już w chwili jego wysłania, ale począwszy od pańskiego nagłówka i widocznych już w pierwszym akapicie intencji zrozumiała, że na świecie coś się zmieniło. Poczuli się tym tak zaciekawiona, że zamknęła się w sypialni, by

zapoznać się z listem w spokoju, zanim go spali, i przeczytała go trzykrotnie jednym tchem.

Były to rozmyślania o życiu, miłości, starości, śmierci: myśli, które niejednokrotnie trzepotały, niczym nocne ptaki, nad jej głową, natychmiast odfruwając w pierzastej mżawce przy pierwszej próbie ich schwywania. A teraz były tu, klarowne, proste, takie, jakie zawsze chciałyby wyrazić i po raz kolejny zaczęła ubolewać, że jej mąż nie żyje, bo mogłaby to z nim omówić, jak zwykli omawiać przed zaśnięciem niektóre wydarzenia minionego dnia. I tak oto objawił jej się nie znany Florentino Ariza, pełen przenikliwości, o którą trudno byłoby go posądzić na podstawie groteskowych liścików z lat młodzieńczych czy też z ponurego sposobu bycia, z jakim obnosił się przez całe życie. Były to raczej słowa człowieka, który ciotce Scholastyce wydał się natchniony przez Ducha Świętego, i myśl ta znowu ją przeraziła, tak jak za pierwszym razem. W każdym razie, ostateczne uspokojenie przyniosła jej pewność, że list mądrego starca nie jest kolejną próbą ponowienia chamskiej impertynencji z jej pierwszej wdowiej nocy, ale bardzo szlachetnym sposobem przekreślenia przeszłości.

Następne listy uspokoiły ją już całkowicie. Mimo wszystko nadal rzucała je w ogień przeczytawszy uprzednio, i to z rosnącym ciągle zainteresowaniem, choć w miarę jak je paliła, narastały w niej cierpkie osady winy, których nie była w stanie się pozbyć. Otrzymawszy zatem pierwsze listy numerowane, znalazła oczekiwane usprawiedliwienie moralne, żeby ich nie niszczyć. Pierwotnym jej zamiarem nie było w każdym razie pragnienie zachowania listów dla siebie, ale chęć oddania ich Florentinowi Arizie przy pierwszej sposobności, żeby nie zmarnowało się coś, co w jej mniemaniu mogło przynieść ludziom ogromny pożytek. Najgorsze, że czas mijał, a listy wciąż nadchodziły, jeden po drugim co trzy, cztery dni, i tak przez cały rok, ona zaś nie wiedziała, w jaki sposób mu je zwrócić, żeby nie wyglądało to na afront, którego już nie chciała mu robić, ale i bez potrzeby wyjaśniania w liście, iż poczucie dumy nie pozwala jej na listowną odpowiedź.

Ów pierwszy rok wystarczył, aby przywykła do wdowieństwa. Wyidealizowane wspomnienie męża przestało być zawadą w jej powszednich zajęciach, w jej najintymniejszych myślach, w jej najskromniejszych zamiarach, przeistaczając się w opiekuńczą obecność, która w niczym nie przeszkadzając prowadziła ją przez życie. Czasem zdarzało jej się z nim zetknąć, nie ze zjawą, ale z nim samym z krwi i kości, i to wtedy, gdy naprawdę był jej potrzebny. Otuchą napełniała ją pewność, że tam jest, ciągle żywy, ale już bez tych swoich męskich kaprysów, bez patriarchalnych fanaberii, bez męczących zachcianek, by okazywała mu miłość w identycznym rytuale pocałunków nie w porę i czułych słówek, jakimi wyznawał jej swą miłość. Bo teraz rozumiała go lepiej niż wtedy,

kiedy żył, rozumiała zachłanność jego miłości, gwałtowną potrzebę odnalezienia w jej osobie bezpieczeństwa, zdawać by się mogło ostoji jego publicznej działalności, której w rzeczywistości nigdy nie miał. Pewnego dnia, u szczytu rozpaczy, krzyknęła doń: „Nie zdajesz sobie sprawy, jaka jestem nieszczęśliwa”. Charakterystycznym gestem zdjął okulary, nie okazując najmniejszego zdenerwowania i zatopiwszy Ferminę Dazę w przezroczystych wodach swych dziecięcych oczu przytłoczył ją w jednym zaledwie zdaniu, całym ciężarem swej wkurzającej mądrości: „Zapamiętaj na zawsze, że najistotniejszym elementem w dobrym małżeństwie nie jest szczęście, ale trwałość”. Już w pierwszych chwilach wdowiej samotności zrozumiała, że wbrew temu, co w swoim czasie mu przypisywała, zdanie to nie kryło w sobie złowieszczej groźby, lecz talizman, który obdarzył oboje tyloma szczęśliwymi godzinami. Podczas wielu podróży po świecie Fermina Daza kupowała wszystko, co zwracało jej uwagę swą nowością.

Pragnęła tych rzeczy w jakimś pierwotnym odruchu, który jej mąż z zadowoleniem i racjonalnie uzasadniał, i były to rzeczy zarówno piękne, jak i użyteczne, dopóki znajdowały się w miejscach swego pochodzenia w sklepowych witrynach Rzymu, Paryża, Londynu czy rozedrganego Charlestonem Nowego Jorku z pierwszymi drapaczami chmur, ale nie wytrzymały próby walców Straussa przy skwierczących cykadach ani karnawałowych korowodów przy czterdziestu stopniach w cieniu.

Ale wracała z każdej podróży z pół tuzinem ogromnych, stawianych na sztorc kufków z lakierowanego metalu, z miedzianymi zamkami i miedzianymi okuciami na rogach przypominającymi fantazyjne feretrony: właścicielka i pani ostatnich cudów świata, które pomimo wszystko warte były swej ceny w złocie jedynie podczas owej ulotnej chwili, kiedy ktoś z jej lokalnego świata mógł choć raz rzucić na nie okiem. Bo i po to zostały kupione: żeby inni ujrzeli je jeden jedyny raz. Uświadomiła sobie próżność swego publicznego wizerunku na długo przed pierwszymi objawami starzenia się i często słyszano jak mówiła domownikom: „Trzeba pozbyć się tych wszystkich gratów, bo już żyć nam nie dają”. Doktor Urbino wyśmiewał się z tych jej porządków, wiedział bowiem, że uwolnione przestrzenie posłużą jedynie do ponownego ich wypełnienia. Obstawiała przy swoim, bo i rzeczywiście nigdzie nie było już miejsca na nic i wszędzie poniewierały się zupełnie bezużyteczne rzeczy, jak zwisające z klamek koszule czy ściśnięte w kuchennych szafach ciężkie paltoty na europejskie zimy. Gdy więc zdarzało się jej wstawać rano w bojowym nastroju, wywracała do góry nogami bieliźniarki, opróżniała kufry, demolowała strych, tworząc ze stosów nazbyt już opatrzonych ubrań krajobraz po bitwie, z kapeluszy, których nigdy nie włożyła, bo póki były modne, to nie miała okazji, z pantofli będących wiernymi

rękodzielniczymi kopiami tych, które nosiły europejskie imperatorowe na uroczystościach koronacyjnych, a którymi tutaj gardziły wysoko urodzone panny, bo były takie same jak kupowane na targu przez Murzynki do chodzenia po domu. Do południa na wewnętrznym tarasie obowiązywał stan wyjątkowy, a w domu nie sposób było wytrzymać z powodu cierpkiego zapachu naftaliny. Ale spokój powracał po kilku godzinach, bo w końcu litość brała Ferminę Dazę na widok porozrzucanych na podłodze jedwabi, zbytecznych brokatów i pasmanteryjnych odpadków i tyłu etoli z niebieskich lisów skazanych na płomienie. - Grzechem byłoby je spalić - mawiała - gdy tyłu ludzi nie ma co jeść.

Spalanie ulegało więc odroczeniu, bo zawsze było odraczane, a graty zmieniały jedynie swoje miejsce, i z uprzywilejowanych półek wędrowały do dawnych stajni przemienionych na składy staroci, podczas gdy uwolnione od nich szafy, zgodnie z przepowiedniami doktora Urbino, wnet zaczynały się zapełniać, by niebawem pękać w szwach od rzeczy żyjących przez chwilę i dogorywających później w bieliźniarkach: do następnego palenia. Mówiła: „Trzeba by pomyśleć, co robić z rzeczami, które do niczego się nie nadają, ale których nie da się również wyrzucić”. Bo i tak było: przerażała ją zachłanność, z jaką przedmioty opanowywały przestrzeń życiową, wypierając ludzi, zapędzając ich do kąta, dopóki Fermina Daza nie pochowała rzeczy tam, gdzie nie było ich widać. Nie należała bowiem, wbrew temu, co sądzono, do osób nazbyt dbających o porządek, miała natomiast własną, rozpaczliwą metodę, aby za taką uchodzić: po prostu ukrywała bałagan. W dniu śmierci Juvenala Urbino trzeba było wynieść połowę gabinetu i poupychać rzeczy w sypialniach, żeby zrobić miejsce na żałobne uroczystości.

Obecność śmierci w domu przyniosła rozwiązanie. Po spaleniu męzowskiego ubrania Fermina Daza zdała sobie sprawę, że nawet jej ręka nie zadrżała, idąc więc za ciosem wzniecała co jakiś czas ogień i wrzucała w płomienie rzeczy zarówno nowe, jak i stare, nie zaprzatając sobie głowy zawiścią bogaczy ani zemstą umierających z głodu biedaków. Na ostatek kazała ściąć drzewo mangowe, nie pozostał więc już żaden ślad nieszczęścia, a papugę podarowała nowemu Muzeum Miasta. I dopiero wtedy poczuła się dobrze w domu, o którym zawsze marzyła: przestronnym, wygodnym i własnym. Córka Ofelia towarzyszyła jej przez trzy miesiące, po czym wróciła do Nowego Orleanu. Syn przychodził ze swą rodziną na niedzielne obiady i odwiedzał ją w miarę możliwości również w ciągu tygodnia. Najbliższe przyjaciółki zaczęły ponownie u niej bywać, gdy minął najtrudniejszy okres żałoby, grały w karty na wykarczowanym patio, wypróbowywały nowe przepisy kuchenne, wtajemniczały ją w najnowsze sekrety zachłannego i wciąż istniejącego bez niej świata. Do tych najbliższych należała Lukrecja del Real del Obispo, arystokratka



na starą modłę, z którą zawsze łączyła ją nić sympatii, a teraz, po śmierci Juvenala Urbino, zażyła przyjaźń. Lukrecja del Real, zniedołężniała na skutek artretyzmu i pokutując za swe grzeszne życie, nie tylko obdarzała ją przemiłym towarzystwem, ale konsultowała z nią wszelkie inicjatywy społeczne czy towarzyskie podejmowane w mieście, co dawało jej poczucie, iż jest użyteczna sama przez się, a nie dzięki opiekuńczemu cieniowi męża. A jednak nigdy nie utożsamiano jej tak bardzo ze zmarłym mężem jak teraz, bo mówiąc o niej przestano używać jak dotychczas jej panińskiego nazwiska i stała się wdową Urbino.

Wydawało jej się to czymś niepojętym, ale im bardziej zbliżała się pierwsza rocznica śmierci męża, tym bardziej czuła, jak wkracza w cienistą, chłodną, cichą przestrzeń: w gaj nieuchronności. Nie uświadamiała sobie i przez wiele lat nie zdawała sobie sprawy, w jakiej mierze rozmyślania spisywane przez Florentina Arizę pomogły jej odzyskać spokój ducha. To one, przystosowane do jej doświadczeń, pozwoliły Ferminie zrozumieć własne życie i nauczyły pogodnego oczekiwania na kolejne niespodzianki starości. Ich spotkanie po mszy stało się zbawienną okazją, aby dać do zrozumienia Florentinowi Arizie, że i ona, dzięki jego dodającym otuchy słowom, gotowa jest przekreślić przeszłość.

Dwa dni później otrzymała od niego list różniący się od poprzednich: napisany odręcznie, na welinowym papierze i z ostentacyjnie podanym na odwrocie koperty pełnym imieniem i nazwiskiem nadawcy. Skreślony tym samym ozdobnym charakterem pisma pierwszych listów, zdradzał te same upodobania liryczne, ale wyrażające się w kilku prostych słowach wdzięczności za to, iż zechciała przywitać się z nim w katedrze. Fermina Daza, po przeczytaniu listu, przez wiele dni rozmyślała o nim ze spłoszoną nostalgią i z tak czystym sumieniem, że w następny czwartek zapytała Lukrecję del Real del Obispo, bez żadnego związku z toczącą się rozmową, czy może zna Florentina Arizę, właściciela flotylli rzecznych statków. Lukrecja odpowiedziała, że owszem: „Zdaje się, że jest to zatracony sukub”. Wygłosiła powszechnie panującą opinię, że nigdy nie widziano go z żadną kobietą, choć stanowi tak świetną partię, i że ma tajne biuro, do którego sprowadza dzieci, za którymi ugania się nocami po nabrzeżach. Fermina Daza, jak sięgała pamięcią, знаła tę legendę, lecz nigdy w nią nie wierzyła i nie przywiązywała do niej żadnego znaczenia. Ale usłyszawszy, z jakim przekonaniem powtarza ją Lukrecja del Real del Obispo, o której dziwnych skłonnościach również w swoim czasie rozpowiadano, nie mogła się powstrzymać od przywrócenia rzeczom należnego im miejsca. Opowiedziała jej, że zna Florentina Arizę od dziecka. Przypomniała, że jego matka, właścicielka pasmanterii, na ulicy skupowała stare koszule i prześcieradła, i robiła z nich szarpie, które sprzedawała podczas wojen domowych. Z pełnym przekonaniem zakończyła: „To uczciwi ludzie, którzy

do wszystkiego doszli własną pracą”. Wypowiedziała to z taką zapalczywością, że Lukrecja natychmiast wycofała się z przytoczonej opinii: „Co tam, zresztą o mnie mówią to samo”. Ferminy Dazy nawet nie korciło, żeby samą siebie zapytać, dlaczego tak gorliwie staje w obronie człowieka, który w jej życiu był zaledwie cieniem. Myślała o nim nadal przede wszystkim wtedy, gdy w codziennej poczcie brakowało kolejnego listu od niego. Upłynęły już dwa tygodnie milczenia, kiedy jedna z pokojówek obudziła ją z poobiedniej drzemki niespokojnym szeptem. - Proszę pani - powiedziała - tam jest pan Florentino.

I rzeczywiście tam był. Pierwszą reakcją Ferminy Dazy była panika. Pomyślała, że nie, żeby przyszedł kiedy indziej o dogodniejszej porze, że nie czuje się na siłach, aby przyjmować gości, że nie ma mu nic do powiedzenia. Ale opanowała się szybko i kazała go wprowadzić do salonu i poczęstować kawą, a ona przez ten czas wyszykuje się, żeby go przyjąć. Florentino Ariza czekał przy drzwiach frontowych, wystawionych na piekielne słońce trzeciej po południu, ale całkowicie kontrolował sytuację. Był przygotowany na to, że może zostać odprawiony choćby pod byle pretekstem i w najuprzejmniejszy sposób, i przekonanie to dodawało mu spokoju. Ale przekazane mu polecenie wstrząsnęło nim aż do głębi, a kiedy znalazł się w cienistym chłodzie salonu, nie starczyło mu już czasu, aby pomyśleć o przeżywanym właśnie cudzie, bo wnętrzności wypełniła mu nagle eksplozja zapiekłej piany. Padł na krzesło bez tchu, dręczony przeklętym wspomnieniem ptasiego gówna na swym pierwszym miłosnym liście, i czekał nieruchomo w półmroku, aż minie pierwszy atak dreszczy, gotów poddać się w tym momencie każdemu nieszczęściu, byle nie temu najbardziej niesprawiedliwemu.

Znał siebie zbyt dobrze: pomimo dziedzicznego zatwardzenia, w ciągu tylu lat żołądek odmówił mu publicznie posłuszeństwa trzy - lub czterokrotnie i tyleż razy zmusił go do poddania się. I tylko w takich sytuacjach i w równie naglących okolicznościach uświadamiał sobie słuszność twierdzenia, które lubił zartem powtarzać:

„Nie wierzę w Boga, ale się go boję”. Nie starczyło mu czasu, żeby to podważyć: usiłował odmówić jakąkolwiek zapamiętaną modlitwę, ale żadnej nie odnalazł. Gdy był dzieckiem, inny dzieciak nauczył go magicznych słów, żeby trafić kamieniem ptaka: „Pluję, pluję, a jak cię nie trafię, to cię skarabinuję”. Użył ich, kiedy po raz pierwszy ruszył w góry z nową procą, i ptak spadł trafiony.

Speszony nieco, uznał, że jedno z drugim może mieć coś wspólnego i żarliwie niczym modlitwę odmówił zaklęcie, ale bez efektu. Kolejny skręt kiszek niczym sprężynująca spirala uniósł go z krzesła, coraz gęstsza, piekąca piana w żołądku zablokowała jęklonie, aż oblał się lodowatym potem. Pokojówka, która przyniosła mu kawę,

przeraziła się jego trupim wyglądem. Westchnął: „To upał”. Otworzyła okno, sądząc, że sprawi mu tym ulgę, ale promienie popołudniowego słońca padły mu prosto na twarz, więc trzeba było ponownie zamknąć okno. Zrozumiał właśnie, że nie wytrzyma dłużej ani minuty, kiedy zjawiała się Fermina Daza niedostrzegalna w półmroku i przeraziła się widząc go w takim stanie. - Może pan zdjąć marynarkę - powiedziała. To, że usłyszeć mogła bulgot jego wnętrzości, sprawiło mu teraz większy ból niż śmiertelny skręt kiszek. Zdołał jednak przetrzymać tę jedną jedyną chwilę, żeby powiedzieć, że nie, że zaszedł tu tylko pragnąc zapytać, kiedy mogłaby go przyjąć. Zbita z tropu, nawet nie siadając, odparła: „Właśnie teraz pana przyjmuję”. I poprosiła, by poszedł z nią na taras przy patio, gdzie jest chłodniej. Odmówił głosem, który wydał jej się raczej westchnieniem żalu.

- Może jutro, błagam panią - powiedział. Pamiętała, że jutro jest czwartek, dzień stałych wizyt Lukrecji del Real del Obispo, więc zaproponowała mu ostateczne rozwiązanie: „Pojutrze o piątej”. Florentino Ariza wyraził jej swą wdzięczność, nie zwlekając pożegnał się kłaniając się kapeluszem i odszedł nie skosztowawszy nawet kawy. Stała zdumiona na środku salonu, nie całkiem rozumiejąc, co się właściwie stało przed chwilą, dopóki w głębi ulicy nie umilkł warkot samochodu. Florentino Ariza przyjął wówczas, na tylnym siedzeniu, najdogodniejszą pozycję, zamknął oczy, rozluźnił mięśnie i poddał się całkowicie woli swego ciała. Jakby urodził się na nowo. Szofer, który po tylu latach służby niczemu się już nie dziwił, niewzruszony wiozł go przez miasto. Ale otwierając drzwiczki przed bramą domu, powiedział mu:

- Proszę uważać, don Floro, to wygląda na cholere.

Ale to było to co zawsze. W piątek, punktualnie o piątej Florentino Ariza dziękował Bogu, kiedy pokojówka przeprowadziła go przez mrok salonu aż do tarasu i tam ujrzał Ferminę Dazę przy stoliku zastawionym na dwie osoby. Zaproponowała mu herbatę, czekoladę albo kawę. Florentino Ariza poprosił o kawę, bardzo gorącą i bardzo mocną, ona zaś powiedziała pokojówce: „Dla mnie to co zawsze”. Tym co zawsze był mocny napar z przeróżnego rodzaju herbat orientalnych, które po sjeście dodawały jej animuszu. Kiedy ona wypić swój czajniczek, a on swój dzbanek kawy, oboje zdążyli już podjąć i zarzucić sporo tematów, i nie dlatego, by rzeczywiście ich szczególnie interesowały, ale po to, żeby ominąć inne, których ani on, ani ona nie mieli odwagi poruszyć. Oboje byli onieśmieleni, nie bardzo rozumiejąc, co tu robią, tak daleko od swej młodości, na szachownicy tarasu w niczyim domu, pachnącym jeszcze kwiatami z cmentarza. Po raz pierwszy siedzieli naprzeciw siebie i tak blisko, mając czas, aby spokojnie przypatrzeć się sobie po pół wieku, i oboje ujrzeni się takimi, jakimi byli: parą staruszków, stojących nad grobem, którzy nie

mieli ze sobą nic wspólnego, poza ulotnym wspomnieniem przeszłości, nienależącej do nich, lecz do dwojga już nie istniejących młodych ludzi, którzy mogliby być ich wnukami. Pomyślała, że może on przekona się wreszcie o nierealności swych marzeń, a tym samym wyleczy się ze swej zuchwałości.

Chcąc uniknąć niewygodnego milczenia lub niepożądanych tematów, zadała kilka banalnych pytań dotyczących statków rzecznych. Czymś zupełnie nieprawdopodobnym mogło się wydawać, że on, właściciel przedsiębiorstwa, płynął rzeką zaledwie raz, wiele lat temu, kiedy nie miał nic wspólnego ze statkami. Nie wiedziała dlaczego, a on zaprzedałby duszę, żeby jej to wyjaśnić. Też nie знаła rzeki. Jej mąż również nie znosił andyjskich stron, tłumacząc to na różne sposoby: niebezpieczną dla serca wysokością, groźbą zapalenia płuc, podstępny charakterem mieszkańców i niesprawiedliwością politycznego centralizmu. Znali więc połowę świata, ale nie znali swego kraju. Obecnie pomiędzy miejscowościami w dorzeczu Magdaleny latał, niczym aluminiowy konik polny, hydroplan, junkers z dwuosobową załogą, sześcioma pasażerami i workami pocztowymi. Florentino Ariza skomentował: „To jest latająca trumna”. Ona brała udział w pierwszym locie balonem i nie czuła żadnego strachu, ale trudno jej było uwierzyć, że sama odważyła się na podobną przygodę. Odparła:

„To coś innego”. Chcąc powiedzieć, że to ona się zmieniła, a nie sposób latania.

Czasami zaskakiwał ją warkot samolotów. Widziała, jak przelatywały niziutko, wykonując akrobacje, w setną rocznicę śmierci Wyzwoliciela. Jeden z samolotów, czarny jak ogromny sęp, przeleciał muskając dachy domów w La Manga, zostawił kawałek skrzydła na pobliskim drzewie i zawisł na drutach elektrycznych. Ale i taki wypadek nie wpłynął na to, aby Fermina Daza oswoiła się z myślą o istnieniu samolotów. Nawet w ostatnich latach nie korciło jej, żeby udać się nad zatokę Manzanilli, gdzie lądowały hydroplany po uprzątnięciu przez straż nabrzeżną łodzi rybackich i coraz liczniejszych turystycznych łodzi wiosłowych. I pomyśleć, że właśnie ją, leciwą panią, wybrano, żeby przywitała pękiem róż Charlesa Lindbergha, kiedy przyleciał tu w swej misji dobrej woli, a ona nie mogła pojąć, jak może wznieść się w powietrze taki duży, taki jasny, taki ładny mężczyzna w maszynie, która zdawała się być zrobiona z blachy falistej i którą dwóch mechaników musiało pchać od strony ogona, żeby mogła oderwać się od ziemi. Myśl, że niewiele większe samoloty mogą unieść osiem osób, nie mieściła jej się w głowie. Słyszała za to, że statki rzeczne to sama rozkosz, bo nie kołyszą tak jak morskie, choć grożą im inne, jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwa, jak piaskowe ławice i napady bandytów.

Florentino Ariza wyjaśnił jej, że to anegdoty z zupełnie innych czasów: współczesne

statki posiadają salon dansingowy, kajuty tak przestronne i luksusowe jak hotelowe apartamenty, z łazienką i elektryczną wentylacją, a od ostatniej wojny domowej nie zdarzają się już napady. Wyjaśnił jej również, nie bez osobistej satysfakcji z odniesionego zwycięstwa, iż ów postęp nastąpił przede wszystkim w wyniku popieranej przez niego wolności żeglugi, co pobudzało konkurencję: zamiast jednego przedsiębiorstwa, jak przedtem, istniały obecnie trzy, aktywne i rozwijające się. Mimo to szybki rozwój lotnictwa stanowił realne zagrożenie dla wszystkich. Spróbowała go pokrzepić: statki zawsze będą istnieć, bo niewielu jest szaleńców gotowych zamknąć się w czymś, co wydaje się zaprzeczać prawom natury. Na ostatek Florentino Ariza opowiedział o postępach w pracy poczty, zarówno w transporcie, jak i systemie doręczania, pragnąc, aby wspomniała o jego listach. Nie udało mu się. Wnet jednak okazja nadarzyła się sama. Odbiegli już znacznie od tematu, kiedy służąca przerwała im rozmowę, by doręczyć Ferminie Dazie list dostarczony w tej właśnie chwili przez specjalny dział poczty miejskiej, niedawno utworzony, stosujący identyczny system co dział telegramów. Jak zwykle Fermina nie mogła znaleźć okularów do czytania. Florentino Ariza zachował spokój. - Nie będą potrzebne - powiedział - to list ode mnie.

W rzeczy samej. Napisał go wczoraj, w okropnym stanie depresji, gdy nie mógł przezwyciężyć wstydu po swej pierwszej i nieudanej wizycie. Przepraszał w nim za to, że złożył jej niezapowiedzianą wizytę, a zarazem rezygnował z odwiedzin. Wrzucił list do skrzynki bez namysłu, a kiedy się zreflektował było już za późno, żeby go odzyskać. Wszystkie te wyjaśnienia wydały mu się jednak potrzebne, więc poprosił Ferminę Dazę, by była tak dobra i nie czytała listu.

- Jasne - powiedziała. - W końcu listy są własnością tego, kto je pisze. Nieprawdaż?

Nabrał odwagi:

- Otóż to - powiedział. - Dlatego właśnie jest to rzecz, jaką przede wszystkim należy oddać, gdy dochodzi do zerwania.

Puściła mimo uszu jego skryte intencje i zwróciła mu list, dodając: „Szkoda, że nie mogę go przeczytać, bo poprzednie bardzo mi pomogły”. Odetchnął głęboko, zaskoczony tym, że powiedziała w tak spontaniczny sposób znacznie więcej, niż oczekiwał, i odpowiedział:

„Nawet sobie pani nie wyobraża, jaki jestem szczęśliwy słysząc te słowa”. Ale zmieniła temat, a on już przez resztę wieczoru nie znalazł sposobu, żeby wrócić do tej sprawy.

Pożegnał się już po wybiciu szóstej, gdy w domu przystąpiono do zapalania świateł.

Czuł się pewniej, ale nie żywił nadmiernych złudzeń, nie zapomniał bowiem o zmiennym charakterze i nieprzewidywanych reakcjach Ferminy Dazy, gdy liczyła sobie lat dwadzieścia, a nie miał żadnych podstaw, aby sądzić, że się zmieniała. Z tego względu odważył się zapytać ze szczerą pokorą, czy może jeszcze kiedyś przyjść, a odpowiedź znów go zaskoczyła:

- Może pan przyjść, kiedy tylko pan chce - powiedziała. - Prawie zawsze jestem sama.

Cztery dni później, we wtorek, zjawił się znowu, nie zapowiedziany, a ona nie czekała aż podadzą herbatę, żeby opowiedzieć mu, jak bardzo jej pomogły jego listy. Odpowiedział, że nie są to listy w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz luźne kartki książki, którą bardzo chciałby napisać. Ona również tak to odbierała. Do tego stopnia, że zamierzała mu je zwrócić, o ile nie przyjąłby tego za afront, żeby mógł je wykorzystać do znacznie lepszych celów. Ciągnęła dalej swą opowieść o tym, jak jej pomogły wówczas, w tym ciężkim dla niej okresie, a mówiła to z takim entuzjazmem, z taką wdzięcznością, a być może i z uczuciem, iż Florentino Ariza odważył się na coś więcej niż na kolejny śmiały krok: na salto mortale.

- Przedtem mówiliśmy sobie po imieniu - powiedział. To było to zakazane słowo: przedtem. Poczula jak przelatuje nad nią chimeryczny anioł przeszłości i próbowała mu się wymknąć. Ale Florentino Ariza posunął się jeszcze dalej: „Miałem na myśli nasze dawne listy”. Przyjęła to z niesmakiem i z wszystkich sił musiała się powstrzymać, żeby nie dać tego poznać po sobie. Ale zauważył to i zrozumiał, że powinien postępować z większym taktem, choć to potknięcie uświadomiło mu, że ona nadal jest równie szorstka jak w swoich dziewczęcych latach, lecz nauczyła się łagodzić swoją szorstkość.

- Chcę przez to powiedzieć, że obecne listy są czymś zupełnie innym.

- Wszystko zmieniło się na świecie - powiedziała.

- Ja nie - powiedział. - A pani?

Znieruchomiała z drugą filiżanką herbaty w połowie drogi i skarciła go wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek litości.

- Teraz to już wszystko jedno - powiedziała. - Niedawno skończyłam siedemdziesiąt dwa lata.

Florentino Ariza dostał cios prosto w serce. Pragnął co prędzej znaleźć szybką i celną jak strzała ripostę, ale zmogło go brzemień lat: nigdy nie czuł się bardziej wyczerpany tak krótką rozmową, bolało go serce, a każde jego uderzenie rozlegało się z metalicznym rezonans w arteriach. Poczul się stary, smutny, niepotrzebny i tak bardzo chciało mu się płakać, że nie mógł powiedzieć nic więcej. Dopili drugą filiżankę w ciszy wybrukowanej

przecuciami i wreszcie Fermina Daza przerwała milczenie, ale tylko po to, żeby poprosić służącą o przyniesienie teczek z listami. Już chciał błagać, by zachowała je dla siebie, bo on przecież ma kopie, ale pomyślał, że owa zapobiegliwość może wydać się niezbyt szlachetna. Nie miał już nic do powiedzenia. Żegnając się zasugerował ponowną wizytę w najbliższy wtorek o tej samej godzinie. Zastanowiła się, czy powinna być aż tak wspaniałomyślna.

- Nie bardzo rozumiem, jaki sens miałyby mieć te wszystkie wizyty - powiedziała.

- Nawet nie pomyślałem, że mogą mieć jakiś sens - powiedział.

Przyszedł więc we wtorek o piątej i zjawiał się potem w każdy kolejny wtorek zrezygnowawszy z konwencjonalnego zapowiadania swoich wizyt, bo po upływie dwóch miesięcy na stałe weszły one w ich tryb życia.

Florentino Ariza przynosił angielskie herbatniki, kasztany w cukrze, greckie oliwki, małe salonowe przysmaki, zdobywane w kambuzach transatlantyków. Któregoś wtorku przyniósł zdjęcie przedstawiające ją i Hildebrandę, zrobione przez belgijskiego fotografa ponad pół wieku temu, które kupił za piętnaście centymów podczas licytacji kart pocztowych w Bramie Pisarzy. Fermina Daza nie mogła pojąć, jak fotografia tam trafiła, on zaś rozumiał to po prostu jako cud miłości. Gdy pewnego ranka ścinał róże w swym ogrodzie, nie mógł oprzeć się pokusie wręczenia jej jednej z nich podczas najbliższej wizyty. Pamiętając o mowie kwiatów miał nie lada problem, bo chodziło o kobietę niedawno owdowiałą. Czerwona róża, symbol płomiennej namiętności, mogła znieważać jej żalobę. Żółte róże, które w innym języku były kwiatami przynoszącymi szczęście, w powszechnie przyjętej symbolice były wyrazem zazdrości. Opowiadano mu kiedyś o czarnych różach z Turcji, które może byłyby najwłaściwsze, ale nie zdołał ich zdobyć do swej hodowli. Po długim namyśle ośmielił się zaryzykować białą, choć ta najmniej mu się podobała, bo była nijaka i niema: nie mówiła nic. W ostatniej chwili, na wypadek gdyby Fermina Daza zechciała w swej złośliwości nadać im jakieś znaczenie, poobcinał kolce.

Została dobrze przyjęta, jak prezent pozbawiony intencji, i w ten sposób wtorkowy rytuał został wzbogacony o kolejny element. Do tego stopnia, że kiedy Florentino Ariza pojawiał się z białą różą, na herbacianym stoliku stał już wazon napełniony wodą. W jeden z owych wtorków, wkładając różę do wazonu, powiedział niby niechcący:

- W naszych czasach dawano kamelie, a nie róże. - To prawda - powiedziała - ale w zupełnie innych intencjach i pan dobrze o tym wie.

Ciągle było tak samo: on próbował postąpić nieco naprzód, a ona zamykała mu drogę. Tym razem jednak, mimo jej błyskotliwej odpowiedzi, Florentino Ariza zrozumiał, że trafił, bo chcąc ukryć rumieniec odwróciła twarz. Rumieniec płomienny, dziewczęcy,

żywiolowy, którego niestosowność wzbudziła w niej niesmak wobec siebie samej. Florentino Ariza przezornie skierował rozmowę na inne, mniej niebezpieczne tematy, jego uprzejmość była jednak tak wyrazista, że Fermina Daza poczuła się zdemaskowana, co jeszcze bardziej ją rozzłościło. To był zły wtorek. Już miała go poprosić, żeby więcej nie przychodził, ale myśl o narzeczeńskiej kłótni w ich wieku i sytuacji wydała jej się tak komiczna, że wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Podczas następnej wtorkowej wizyty, kiedy Florentino Ariza umieszczał różę w wazonie, zrobiła rachunek sumienia i stwierdziła z radością, że po odwiedzinach z zeszłego tygodnia nie zachowała najmniejszej urazy.

Wizyty nader szybko uległy niewygodnej intensyfikacji rodzinnej, doktor Urbino Daza z małżonką wpadali bowiem od czasu do czasu na chwilę, by w rezultacie zostać i grać w karty. Florentino Ariza nie umiał grać, ale Fermina nauczyła go tego w ciągu jednej wizyty, po czym wysłali małżonkom Urbino Daza pisemne wyzwanie na najbliższy wtorek. Spotkania te upływały w tak uroczej atmosferze, iż równie szybko jak odwiedziny Florentina Arizy weszły do stałego kalendarza, przy czym każdemu z nich przydzielono określone obowiązki. Doktor Urbino Daza z małżonką, wyśmienitą specjalistką od deserów, wnosili domowe torty, za każdym razem inne. Florentino Ariza nadal dostarczał ciekawostki wyszukiwane na statkach przypływających z Europy, a Fermina Daza dbała o to, by co tydzień przygotować kolejną niespodziankę. Turnieje odbywały się zawsze w trzeci wtorek miesiąca, a stawką w grze nie była taka czy inna kwota, lecz specjalne zadanie do spełnienia.

Doktor Urbino Daza nie odbiegał od swego publicznego wizerunku: był to człowiek niezbyt lotny, raczej ciężki w obyciu, skłonny do gwałtownych zmian nastroju, i w najbardziej niespodziewanych momentach, już to z radości czy pod wpływem niezadowolenia oblewał się rumieńcem, co budziło obawy o stan jego władz umysłowych. Ale wystarczyło na niego spojrzeć, aby bez cienia wątpliwości powiedzieć o nim to, czego Florentino Ariza za nic nie chciałby usłyszeć o sobie: że jest dobrym człowiekiem. Za to jego małżonka była pełną wigoru kobietą, obdarzoną kpiarską plebejską iskrą, przydającą jej elegancji bardziej ludzkiego rysu. Trudno było wymarzyć sobie lepszą parę do gry w karty, a jeśli chodzi o Florentina Arizę, to jego nienasycona potrzeba miłości została zaspokojona, miał bowiem wrażenie, że jest w rodzinie.

Pewnej nocy, kiedy wychodzili razem z domu, doktor Urbino Daza poprosił, żeby nazajutrz zjadł z nim obiad:

„Jutro, punktualnie o dwunastej trzydzieści w Klubie Towarzyskim”. Obiad był



wspaniały, choć wino cokolwiek cierpkie: Klub Towarzystki rezerwował sobie prawo nieakceptowania zapraszanych przez swoich członków gości, jeśli nie spełniali oni pewnych warunków, a jednym z najważniejszych był status naturalnego syna. Wuj Leon XII miał irytujące doświadczenia pod tym względem, a i Florentino Ariza musiał kiedyś ścierpieć afront, gdy wyproszono go z sali, choć zajął już miejsce przy stole na zaproszenie jednego z członków założycieli. i osobnik ten, któremu Florentino Ariza świadczył kłopotliwe usługi w handlu rzeczonym, musiał go zaprowadzić na obiad gdzie indziej.

- My, którzy wymyślamy regulaminy, jesteśmy najbardziej zobowiązani do ich respektowania - powiedział mu.

Mimo to Florentino Ariza zaryzykował, przystając na zaproszenie doktora Urbina Dazy i został przyjęty ze specjalnymi honorami, aczkolwiek nie poproszono go o wpisanie się do złotej księgi najznakomitszych gości. Obiad był krótki, tylko dla nich dwóch i przebiegł w minorowym nastroju. Nękające Florentina Arizę od ostatniego wieczoru obawy w związku z czekającym go spotkaniem, rozwiały się przy podanym na aperitif porto. Doktor Urbino Daza chciał porozmawiać o swej matce. Z tego, co zdołał powiedzieć, Florentino Ariza odgadł, że mówiła mu o nim. I nawet, co bardziej zaskakujące, że skłamała na jego korzyść. Opowiedziała synowi, że przyjaźnią się od dziecka, że bawili się razem od czasu kiedy przyjechała z San Juan de la Cienaga, że to on wprowadził ją w pierwsze lektury, za co była mu wdzięczna do dziś dnia. Dodała jeszcze, że często po wyjściu ze szkoły spędzała wiele godzin w pasmanterii z Transito Arizą haftując przeróżne cuda, bo była to mistrzyni haftu, i jeśli przestała później spotykać się równie często z Florentinem Arizą, to dlatego, że odmiennie potoczyły się ich losy, a nie, że tego chciała.

Nim dotarł do sedna, doktor Urbino Daza poczynił parę uwag na temat starości. Uważał, że świat czyniłby szybsze postępy, gdyby nie zawada w postaci starych ludzi. Powiedział: „Ludzkość, jak oddziały w trakcie kampanii wojennych, porusza się w tempie najwolniejszego”. Przewidywał przyszłość bardziej humanitarną, a tym samym, bardziej cywilizowaną, kiedy to istoty ludzkie będą izolowane w leżących na uboczu miastach, od chwili gdy staną się niepełnosprawne: w ten sposób zaoszczędzi im się wstydu, cierpień, przerażającej samotności podeszłego wieku. Z medycznego punktu widzenia datę graniczną można byłoby, jego zdaniem, ustalić na sześćdziesiąt lat. Ale póki nie dojdziemy do tak daleko posuniętego miłosierdzia, jedynym rozwiązaniem są przytułki, gdzie starcy wspierają się nawzajem, rozpoznają się w swych upodobaniach i odrzaczach, w swych nałogach i w smutkach, z dala od naturalnych konfliktów z młodszym pokoleniem. Powiedział: „Starzy ludzie wśród starych ludzi są mniej starzy”. Otóż to: doktor Urbino

Daza chciał wyrazić wdzięczność Florentinowi Arizie za wspaniałe dotrzymywanie towarzystwa jego matce w samotności wdowieństwa, i ośmielał się zarazem prosić, by nadal dotrzymywał jej towarzystwa, dla dobra ich obojga i wygody wszystkich, i by cierpliwie znosił jej starcze humory. Florentino Ariza poczuł ulgę usłyszawszy, jaki był cel spotkania. „Proszę być spokojnym - powiedział. - Jestem cztery lata od niej starszy i to nie tylko teraz, ale od dawna i na długo przed pana przyjściem na świat”. Następnie uległ pokusie i pozwolił sobie na odrobinę ironii:

- W społeczeństwie przyszłości - podsumował - musiałby pan teraz udać się na cmentarz, żeby zanieść swej matce i mnie bukiet anturium na obiad.

Doktor Urbino Daza do tej chwili nie uświadamiał sobie, jaki nietakt popełnił snując tę wizję przyszłości, toteż zaczął brnąć w labirynt wyjaśnień, w którym ugrzązł na dobre. Ale Florentino Ariza pomógł mu znaleźć wyjście. Był rozpromieniony, bo wiedział, że wcześniej czy później czeka go podobne spotkanie z doktorem Urbino Daza, żeby dopełnić nieuniknionej formalności: poprosić go o rękę jego matki. Obiad był krzepiący, nie tylko sam przez się, ale również dlatego, że ujawnił mu, jak łatwo i jak dobrze zostanie przyjęta owa zdecydowana prośba. Gdyby mógł liczyć na przyzwolenie Ferminy Dazy, żadna inna okazja nie byłaby bardziej sprzyjająca. Więcej: po tej rozmowie podczas owego historycznego obiadu sama prośba była właściwie częścią formalnością.

Florentino Ariza pokonywał schody, zarówno w dół, jak i w górę ze szczególną ostrożnością, nawet w młodości, bo zawsze przekonany był, że starość zaczyna się z pierwszym, niegroźnym upadkiem, śmierć zaś następuje przy drugim. Strome i wąskie schody prowadzące do jego biura uważał za najbardziej niebezpieczne, schodził więc i wchodził na nie przypatrując się bacznie każdemu stopniowi i kurczowo trzymając się obu rękami poręczy, i to od dawna, zanim jeszcze musiał zacząć uważać, by nie powłóczyć nogami. Wielokrotnie namawiano go, by wymienił schody na bardziej bezpieczne, ale decyzja odkładana zawsze była do następnego miesiąca, bo wydawało mu się to przedwczesnym ustępstwem wobec starości. Z upływem lat wchodzenie pod górę po nich zabierało coraz więcej czasu i nie dlatego nawet, że kosztowało go to jakby więcej wysiłku, jak skwapliwie wyjaśniał, lecz dlatego że z coraz większą uwagą stawiał kroki. Ale owego wieczora, wracając ze spotkania z doktorem Urbino Daza, po kieliszku porto na aperitif i niecałej szklaneczce czerwonego wina do obiadu, a przede wszystkim po zakończonej sukcesem rozmowie, spróbował dosięgnąć trzeciego stopnia w tak młodzieńczym tanecznym piruecie, że skręcił sobie kostkę lewej nogi, upadł na plecy i tylko cudem nie zabił się na miejscu. W chwili upadku zachował na tyle przytomności, że zdołał pomyśleć,

iż nie umrze od tego, bo w logice życia nie mieściła się taka ewentualność, aby dwóch mężczyzn, tak bardzo kochających przez tyle lat tę samą kobietę, mogło zginąć identyczną śmiercią w ciągu jednego roku. Miał rację. Nałożono mu gipsowy pancierz od stopy po łydkę i kazano leżeć nieruchomo w łóżku, ale był zwaśny niż przed wypadkiem. Kiedy lekarz nakazał mu sześćdziesiąt dni rekonwalescencji, nie mógł uwierzyć, że spotyka go aż tak wielkie nieszczęście. - Doktorze, proszę mi tego nie robić - błagał. - Dwa miesiące mojego życia to jak dziesięć lat pańskiego. Wielokrotnie usiłował wstać dźwigając w obu dłoniach swoją posągową nogę, ale rzeczywistość zawsze okazywała się silniejsza od niego. Kiedy jednak w końcu zaczął kuśtykać z bolącą jeszcze kostką i piekącymi wciąż plecami, miał aż nadto powodów, aby wierzyć, że los nagrodził jego upór opatrnościowym upadkiem.

Najgorszym dniem był pierwszy poniedziałek. Ból ustąpił, a lekarskie prognozy były pocieszające, on jednak nie mógł pogodzić się z wyrokiem skazującym go na odwołanie po raz pierwszy od czterech miesięcy jutrzejszej wizyty u Ferminy Dazy. Ale, po sjeście godzącej go z losem, skapitulował wobec rzeczywistości i skreślił do Ferminy kartkę z przeprosinami. Napisał odręcznie, na perfumowanym papierze i świecącym atramentem, umożliwiającym odczytanie liściku w ciemnościach, i bez żadnych skrupułów udramatyzował powagę wypadku usiłując wzbudzić jej współczucie. Odpowiedziała mu po dwóch dniach, bardzo poruszona, bardzo uprzejma, ale krótko i zwięźle, bez zbędnych słów, jak w czasie wielkich dni miłości. Złapał okazję w lot i ponownie do niej napisał. Kiedy odpowiedziała mu po raz drugi, postanowił posunąć się jeszcze dalej niż w zaszyfrowanych wtorkowych rozmowach i kazał zainstalować sobie telefon przy łóżku, pod pretekstem stałego doglądania prac w przedsiębiorstwie. Poprosił telefonistkę w centralce, by połączyła go z trzycyfrowym numerem, który znał na pamięć, od czasu gdy zadzwonił tam po raz pierwszy. Przytłumiony głos, napięty z powodu pełnej tajemnic odległości, głos ukochany, odpowiedział, rozpoznał go i pożegnał się po trzech konwencjonalnych zdaniach. Florentino Ariza poczuł się przygnębiony jej obojętnością: znowu znajdowali się na początku drogi.

W dwa dni później otrzymał jednak list od Ferminy Dazy, w którym prosiła, by już więcej do niej nie dzwonił. Powody były dość istotne. W mieście było tak niewiele telefonów, iż połączenia uzyskiwano przez telefonistkę, która znała wszystkich abonentów oraz życie każdego z nich od podszewki, i nieważne, czy byli właśnie w domu, czy też nie: gdziekolwiek by przebywali, zawsze ich odnajdywała. W zamian za tak daleko idącą operatywność słuchała rozmów, odkrywała sekrety prywatnego życia, najwstydlwsze

dramaty i nikogo nie dziwiło, że wtrąca się uczestnicząc w wymianie zdań, aby dać wyraz swej opinii czy uspokoić rozmawiających. Z drugiej zaś strony, w tym właśnie roku, założono „La Justicia”, popołudniówkę, której jedynym celem było chłostać rodziny o wielocłonowych nazwiskach, jawnie i bez skrępowań; był to odwet właściciela gazety za odmowę przyjęcia jego synów do Klubu Towarzyskiego. Mimo że Fermina Daza nie miała nic w życiu do ukrycia, zaczęła bardziej niż kiedykolwiek uważać na to, co mówi i robi, nawet w obecności najbardziej zaprzyjaźnionych osób. Tak więc nadal łączyła ją z Florentinem Arizą anachroniczna nić listów. Korespondencja w jedną i w drugą stronę nabrała takiej częstotliwości i intensywności, że zapomniał o nodze, o katordze łożka, o wszystkim, i nie robił nic, tylko pisał na przenośnym stolyczku, takim jak te, których używa się w szpitalach do podawania chorym posiłków.

Ponownie zaczęli zwracać się do siebie po imieniu i wymieniali uwagi o własnym życiu jak w tamtych listach, ale Florentino Ariza znowu chciał przyspieszyć: wykłuł szpilką jej imię na płatkach kamelii i posłał w liście. W dwa dni później otrzymał kamelię z powrotem bez komentarza. Fermina Daza nie mogła postąpić inaczej: wszystko to wydawało jej się dziecinadą. Szczególnie gdy Florentino Ariza wbił sobie do głowy, że będzie rozpamiętywać wieczory melancholijnych wierszy w parku Los Evangelios, schowki na listy w drodze do szkoły, naukę haftu pod migdałowcami. Z bólem serca ściągnęła go na ziemię przypadkowym, zdawałoby się, pośród tylu innych trywialnych uwag, pytaniem: „Dlaczego wciąż mówisz o czymś, co nie istnieje?” Później zarzuciła mu, że z daremnym uporem nie chce się zestarzyć zgodnie z naturą. Taka była, jej zdaniem, przyczyna jego zniecierpliwienia i jego ciągłych porażek w ożywianiu przeszłości. Nie rozumiała, czemu mężczyzna zdolny do spostrzeżeń, które tak bardzo pomogły jej znieść wdowieństwo, gubi się jak dziecko, gdy chodzi o zastosowanie ich wobec samego siebie. Role odwróciły się. Teraz ona próbowała dodać mu otuchy w patrzeniu w przyszłość, i napisała coś, czego w gorączkowym pośpiechu nie potrafił rozszyfrować. „Nie popędzaj czasu, poczekajmy co nam przyniesie”. Bo nigdy nie był tak pojętnym uczniem jak ona. Przymusowy bezruch, nachodzące go i z każdym dniem coraz mocniejsze przekonanie o przemijaniu czasu, szalone pragnienie ujrzenia jej - wszystko to było dlań dowodem, że jego obawy przed upadkiem były znacznie bardziej uzasadnione i tragiczniejsze w skutkach, niż sam mógł przewidzieć. Po raz pierwszy zaczął racjonalnie myśleć o realności śmierci.

Leona Cassiani co drugi dzień pomagała mu w kąpielach i zmianie piżamy, robiła lewatywy, podstawiała nocnik, przykładła kompresy z pomornika, by zapobiec odleżynom na plecach, masowała go zgodnie z zaleceniami lekarza, tak aby bezruch nie stał się

przyczyną jeszcze gorszych dolegliwości. W soboty i niedziele zastępowała ją Ameryka Vicuña, która w grudniu miała otrzymać swój nauczycielski dyplom. Obiecał wysłać ją na studia do Alabamy na koszt towarzystwa rzecznego, po części chcąc zagłuszyć wyrzuty sumienia, przede wszystkim jednak, żeby nie stawiać czoła wymówkom, których sama nie potrafiła sformułować, i wyjaśnieniom, które był jej winien. Nigdy nie był w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo cierpiała podczas swych bezsennych nocy w internacie, bo nigdy sobie nie wyobrażał, jak bardzo go kochała. Wiedział dzięki oficjalnemu listowi ze szkoły, że z pozycji prymuski, którą zawsze zajmowała, spadła na ostatnie miejsce i groziło jej nawet oblanie ostatnich egzaminów. Ale nie spełnił swego obowiązku opiekuna: nie poinformował o tym rodziców Ameryki Vicuñi. Sparalizowany poczuciem winy, które próbował zrzucić z siebie, nawet z nią nie porozmawiał o tej zmianie, obawiając się nie bez podstaw, że dziewczynka spróbuje uwikłać go w swą porażkę. Pozostawił więc rzeczy naturalnemu biegowi. I choć nie uświadamiał sobie tego rozpatrując własne problemy, z nadzieją oczekiwał, że rozwiąże je śmierć.

I obie opiekujące się nim kobiety, i sam Florentino Ariza coraz to stwierdzali z zaskoczeniem, jak bardzo się zmienił. Jeszcze dziesięć lat temu natarł na jedną ze swych służących za głównymi schodami domu, w ubraniu, na stojąco, zostawiając ją w czasie krótszym, niż mógłby tego dokonać filipiński kogut, w błogosławionym stanie. Musiał podarować jej całkowicie umeblowane mieszkanie w zamian za przysięgę, że sprawcą dyshonoru jest jej niedzielny niby to narzeczony, który ani razu jej nawet nie pocałował, by w rezultacie ojciec i wujowie dziewczyny, znani ze sprawnego władania maczetą, nakłonili młodych do ożenku. Wydawało się nieprawdopodobne, że tego samego mężczyznę przewracają na wszystkie możliwe strony dwie kobiety, które zaledwie parę miesięcy temu doprowadzały go do miłosnego drżenia. Teraz namydlały go z góry do dołu i z dołu do góry, wycierały ręcznikiem z egipskiej bawełny i masowały mu całe ciało, on zaś nie wydawał z siebie ani jednego zażenowanego westchnienia. Każde z trojga inaczej tłumaczyło sobie jego zobojętnienie. Leona Cassiani sądziła, że jest to preludium śmierci. Ameryka Vicuña przypisywała to jakiejś ukrytej przyczynie, której pochodzenia nie potrafiła dociec. Tylko on znał prawdę i potrafił ją wskazać z imienia i nazwiska. W każdym razie było to niesprawiedliwe: bardziej cierpiały one usługując mu niż on, tak troskliwie obsługiwany.

Wystarczyły trzy wtorki zaledwie, żeby Fermina Daza zdała sobie sprawę, jak bardzo były jej potrzebne wizyty Florentina Arizy. Miło spędzała czas z niezastąpionymi przyjaciółkami, tym milej, im bardziej czas oddalał ją od zwyczajów męża. Lukrecja del Real del Obispo wyjechała do Panamy, by zbadać przyczynę bólu ucha, który żadną miarą

nie chciał ustąpić, i po miesiącu wróciła, nieco zdrowsza, za to głuchsza i zmuszona do korzystania z przykładanej do ucha trąbki. Spośród swych przyjaciółek Fermina Daza najlepiej znosiła gmatwaninę jej pytań i odpowiedzi, co z kolei na tyle pokrzepiało Lukrecję, iż nie było prawie dnia, by nie pojawiała się, niezależnie od pory, u niej w domu. Ale nic nie mogło zastąpić Ferminie Dazie uspokajających wieczorów z Florentinem Arizą. Pamięć o przeszłości nie była odkupieniem przeszłości, jak uporczywie sądził Florentino Ariza. Wprost przeciwnie: Fermina Daza utwierdzała się tylko w niezłomnym przekonaniu, że owo rozgorączkowanie dwudziestolatka, jakkolwiek szlachetne i piękne, nie było jednak miłością. Pomimo swej okrutnej szczerości nie miała zamiaru ujawniać mu tego ani listownie, ani osobiście i nie miała również serca powiedzieć mu, jakim strasznym fałszem brzmi dla niej sentymentalizm jego listów, z chwilą gdy doznała cudownej pociechy czytając jego pisane medytacje, jak bardzo deprecjonują jego liryczne kłamstwa i jak bardzo jego sprawie szkodził jego maniacki upór w odzyskiwaniu przeszłości. Nie: ani jedna linijka jego dawnych listów i ani jeden moment z jej własnej i nienawistnej młodości nie dały jej odczuć, że wtorkowe wieczory mogą być tak nużąco rozwlekłe bez niego, jak to rzeczywiście miało miejsce: tak samotne i bez niego nijakie.

W ferworze robienia porządków kazała wynieść do stajni podarowaną jej kiedyś przez męża na urodziny radiolę, którą doktor zamierzał przekazać muzeum jako pierwszy egzemplarz sprowadzony do miasta. W mrokach żałoby postanowiła nie korzystać z niej już więcej, bo wdowa o tylu świetnych nazwiskach nie powinna słuchać żadnej muzyki, by nie obrażać pamięci zmarłego, choćby i w zaciszu domowym. Ale po trzecim samotnym wtorku kazała ją przynieść z powrotem, nie po to, żeby słuchać sentymentalnych piosenek z rozgłośni z Riobamba, jak przedtem, ale żeby wypełnić swoje martwe godziny wyciskającymi łzy słuchowiskami z Santiago de Cuba. Była to słuszna decyzja, gdyż od urodzenia córki zaczęła tracić nawyk czytania wpajany jej tak zawzięcie przez męża od czasu podróży poślubnej, a wraz z postępującym zmęczeniem wzroku zatraciła go zupełnie, do tego stopnia, że przez całe miesiące nie wiedziała, gdzie się podziewają jej okulary. Tak rozmiłowała się w radiowych powieściach z Santiago de Cuba, że z niecierpliwością czekała z dnia na dzień na każdy następny odcinek. Od czasu do czasu słuchała wiadomości, żeby wiedzieć, co się dzieje na świecie, a w tych rzadkich chwilach, kiedy zostawała sama w domu, łowiła uchem, ścisząc odbiornik, dalekie i ledwie dające się słyszeć melodie mereng z Santo Domingo i plen z Puerto Rico. Pewnego wieczoru, w programie jakiejś nieznannej rozgłośni, która nagle dała o sobie znać z taką mocą i wyrazistością, jakby znajdowała się w sąsiednim domu, podano wstrząsającą wiadomość: parę staruszków,

powtarzających swój miesiąc miodowy w tym samym miejscu co czterdzieści lat temu, zabił wiosłem wiozący ich swą łodzią przewoźnik, chcąc zabrać im pieniądze: czternaście dolarów. Była poruszona jeszcze bardziej, kiedy Lukrecja del Real zrelacjonowała jej przebieg wydarzeń na podstawie tego, co publikował miejscowy dziennik. Policja odkryła, że zamordowani staruszkowie, ona w wieku siedemdziesięciu ośmiu, on osiemdziesięciu czterech lat, byli sekretnymi kochankami i od czterdziestu lat spędzali razem wakacje, choć oboje wiodli żywot w swoich związkach małżeńskich, stabilnych, szczęśliwych i z liczną rodziną. Fermina Daza, która nigdy nie płakała przy słuchowiskach radiowych, musiała resztką sił powstrzymać szloch dławiący jej gardło. W kolejnym liście Florentino Ariza posłał jej, bez komentarza, wycinek gazety z tą informacją.

To nie były ostatnie łzy, jakie Fermina Daza musiała powstrzymać. Florentino Ariza nie odleżał jeszcze sześćdziesięciu dni przewidzianej rekonwalescencji, kiedy „La Justicia” ujawniła na pierwszej kolumnie, z fotografiami bohaterów, domniemany tajemny romans doktora Juvenala Urbino z Lukrecją del Real del Obispo. W artykule tym roztrząsano szczegóły owego związku oraz częstotliwość i sposoby spotkań odbywających się z przyzwoleniem męża, który oddawał się występny homoseksualnym praktykom z zatrudnionymi we własnej cukrowni Murzynami. Relacja, wydrukowana olbrzymimi czcionkami i krwistą farbą, niczym grom z jasnego nieba spadła na bezbronną już miejscową arystokrację. Ale nie było tam ani jednej linijki prawdy:

Juvenal Urbino i Lukrecja del Real byli najbliższymi przyjaciółmi od swych młodych lat i pozostali nimi nadal, gdy każde założyło własną rodzinę, nigdy jednak nie byli kochankami. W każdym razie celem tej publikacji nie było, jak się zdaje, skalanie dobrego imienia doktora Juvenala Urbino, którego pamięć otoczona była powszechnym szacunkiem, lecz raczej zaszkodzenie mężowi Lukrecji del Real, tydzień wcześniej wybranemu na przewodniczącego Klubu Towarzyskiego. Skandal zażegnano w ciągu paru godzin. Ale Lukrecja del Real przestała odwiedzać Ferminę Dazę, ta zaś odczytała to jako przyznanie się do winy.

Dość szybko okazało się jednak, że i Fermina Daza narażona jest na groźące jej sferze niebezpieczeństwa. „La Justicia” zadała jej cios trafiając w jedyny słaby punkt: tajemnicze interesy ojca. Kiedy został on zmuszony do opuszczenia kraju, poznała jeden jedyny epizod z jego mętnej działalności handlowej w relacji Gali Placidii. Później, kiedy doktor Urbino potwierdził to wszystko po spotkaniu z gubernatorem, upewniła się, że ojciec padł ofiarą czyjejś nikczemności. Faktem było, że dwóch rządowych agentów stawilo się z nakazem rewizji w domu przy parku Los Evangelios, przeszukali budynek od góry do

dołu, nie znajdując tego, czego szukali, a na koniec kazali otworzyć szafę z lustrzanymi drzwiami w dawnej sypialni Ferminy Dazy. Gala Placidia, sama w domu, nie mogąc nikogo powiadomić, odmówiła tłumacząc się, że nie ma kluczy. Wówczas jeden z funkcjonariuszy stłukł lustro nasadą rewolweru i odkrył, że przestrzeń pomiędzy lustrem a drewnianą ścianką wypełniona jest fałszywymi studolarówkami. Było to ostatnie ogniwo rozległego międzynarodowego łańcucha nielegalnych operacji prowadzącego do Lorenza Dazy. Oszustwo było najwyższej próby, banknoty posiadały bowiem oryginalne znaki wodne: w miejsce jedyńki, usuniętej poprzez chemiczną obróbkę graniczącą z magią, wydrukowano oznakowane setki. Lorenzo Daza bronił się, że szafa została nabyta wiele lat po ślubie córki i że dostarczono ją do domu już z ukrytymi banknotami, niemniej policja stwierdziła, że szafa była jego własnością wtedy, kiedy Fermina Daza chodziła do szkoły. Nikt prócz niego nie mógł ukryć fałszywej fortuny za lustrami. Tyle tylko doktor Urbino opowiedział żonie, kiedy zobowiązał się wobec gubernatora, że odeśle teścia do jego rodzinnego kraju, żeby zatuszować skandal. Dziennik przytaczał jednak znacznie więcej faktów.

Powiadał, że podczas jednej z wielu ubiegłowiecznych wojen domowych Lorenzo Daza pośredniczył między rządem liberalnego prezydenta Aquileo Parry a niejakim Josephem Korzeniowskim, Polakiem z pochodzenia, który stacjonował tu przez wiele miesięcy w charakterze członka załogi statku handlowego „Saint Antoine”, pływającego pod banderą francuską, i usiłował doprowadzić do sfinalizowania niezbyt jasnej transakcji bronią. Korzeniowski, nieco później sławny na całym świecie jako Joseph Conrad, nawiązał, nie wiadomo w jaki sposób, kontakty z Lorenzo Dazą, który zakupił od niego ładunek broni na zamówienie rządu, posiadając odpowiednie, absolutnie legalne właściwe pełnomocnictwa i płacąc prawdziwym złotem. Według wersji dziennikarzy, Lorenzo Daza doniósł o utracie broni w wyniku nie udowodnionego napadu, w rzeczywistości odprzedał ją za podwójną cenę konserwatystom walczącym przeciwko rządowi.

„La Justicia” informowała również, że Lorenzo Daza kupił za śmiesznie niską cenę partię butów z nadwyżek wojsk angielskich w czasach, kiedy generał Rafael Reyes tworzył Marynarkę Wojenną, i dzięki tej jednej operacji w sześć miesięcy podwoił swoją fortunę. Gdy transport dotarł do miejscowego portu, Lorenzo Daza, jak twierdził dziennik, odmówił przyjęcia towaru, bo ładunek zawierał wyłącznie buty na prawą nogę, ale wkrótce potem, jako jedyny, stawiał się na ich licytację ogłoszoną zgodnie z obowiązującymi przepisami przez urząd celny i nabył je za symboliczną kwotę stu pesos. W tych samych dniach jeden z jego współników zakupił, na tych samych warunkach, ładunek butów na lewą nogę, który dotarł na miejsce przez urząd celny w Riohacha. Połączywszy buty do pary, Lorenzo Daza



posłużył się swymi rodzinnymi więzami z rodziną Urbino de la Calle i odprzedał obuwie nowo powstałej Marynarce Wojennej zarabiając na transakcji dwa tysiące od sta.

Relacja w „La Justicia” kończyła się informacją, że Lorenzo Daza opuścił San Juan de la Cienaga pod koniec ubiegłego wieku nie dlatego, by chciał zapewnić lepszą przyszłość córce, jak sam lubił mawiać, lecz w związku z tym, iż został przyłapany na zyskownym procederze polegającym na mieszaniu tytoniu z importu z drobno siekanym papierem, i to tak sprytnie, że nawet najbardziej wyrafinowani palacze nie byli w stanie wykryć oszustwa. Ujawniono również jego powiązania z międzynarodowym tajnym przedsiębiorstwem, którego najzyskowniejszą działalnością pod koniec ubiegłego wieku był nielegalny przewóz Chińczyków z Panamy. Za to jego ciemne interesy z mulicami, które tak bardzo zaszkodziły jego reputacji, zdawały się być jedynymi godziwymi pośród tych wszystkich, jakie prowadził.

Gdy Florentino Ariza wstał z łóżka z odleżynami na plecach i po raz pierwszy, podpierając się ozdobnie toczoną laską miast parasola, opuścił wreszcie mieszkanie, zaraz udał się do Ferminy Dazy. Była zmieniona nie do poznania, z niszczycielskimi śladami wieku na twarzy i pełna urazy, która odebrała jej chęć do życia. Doktor Urbino Daza w trakcie obydwu wizyt, jakie złożył Florentinowi Arizie podczas choroby, napomknął o konsternacji, w jakiej pograżyły jego matkę obydwie publikacje w „La Justicia”. Pierwsza doprowadziła ją do ataku bezsensownej furii z powodu niewierności małżonka i zdrady przyjaciółki, toteż zrezygnowała ze zwyczaju odwiedzania rodzinnego mauzoleum w jedną z niedziel każdego miesiąca, bo wyprowadzała ją z równowagi świadomość, że mąż nie może usłyszeć w trumnie wszystkich złorzeczeń, jakie chciałaby mu wykrzyczeć: pokłóciła się z nieboszczykiem. Lukrecji del Real kazała powiedzieć, przez kogokolwiek kto zechciałby jej to przekazać, żeby za pocieszenie starczyło jej to, iż pośród tłumu, jaki przewalił się przez jej łóżko, miała przynajmniej szczęście trafić na jednego mężczyznę. Po publikacji o Lorenzie Dazie trudno było stwierdzić, co ją bardziej dotknęło: czy sama publikacja, czy spóźnione odkrycie prawdziwego oblicza ojca. Ale albo jedna z tych publikacji, albo obydwie naraz upokorzyły ją. Tak bardzo uszlachetniające jej twarz włosy koloru czystej stali zwisały jej teraz w żółtawo - kukurydzianych strzępach, a piękne oczy pantery nie były w stanie odzyskać dawnego blasku nawet w chwilach największego gniewu. Postanowienie, że nie chce już dłużej żyć, widoczne było w każdym geście. Dawno temu zarzuciła nawyk palenia w łazience czy gdziekolwiek indziej na osobności, a teraz ponownie do niego wróciła, po raz pierwszy paląc publicznie, z niepohamowaną łapczywością, wpierw skręcane przez siebie papierosy, tak jak zawsze lubiła, później zaś

kupując gotowe, bo nie miała już ani czasu, ani cierpliwości na zabawę w skręty. Każdy inny mężczyzna prócz Florentina Arizy zadałby sobie pytanie, czego mogą oczekiwać od przyszłości: on, wiekowy i kulawy, z plecami pokrytymi ranami jucznego osła, i ona, kobieta, która poza śmiercią nie pragnie innego szczęścia. Ale nie Florentino Ariza. On dojrzał światełko nadziei pośród rumowiska katastrofy, bo zdawało mu się, że nieszczęście Ferminy Dazy uwzniośla ją, wściekłość upiększa, a pretensje do świata przywracają jej nieokrzesany charakter sprzed kilkudziesięciu lat.

Ona z kolei zaciągnęła kolejny dług wdzięczności wobec Florentina Arizy, bo w związku z nikczemnymi artykułami posłał do „La Justicia” doskonały list na temat etycznej odpowiedzialności prasy i szacunku należnego osobom posiadającym swoją godność. List nie został opublikowany, ale autor wysłał kopię do „Diario del Comercio”, najstarszego i najpoważniejszego w tej części Karaibów dziennika, ten zaś uhonorował go drukiem na pierwszej stronie. Podpisany został pseudonimem Jupiter i był tak trafny, ostry i dobrze sformułowany, że został przypisany kilku najznakomitszym piórom regionu. Był to głos wołającego na puszczy, niemniej rozniósł się dalekim echem i zapadł głęboko. Fermina Daza nie musiała pytać, kto jest autorem listu, rozpoznała bowiem niektóre myśli i nawet dosłowny cytat z refleksji Florentina Arizy. W bezładzie swego osamotnienia odebrała list z panińskim afektem. W tym samym właśnie czasie Ameryka Vicuña, znalazłszy się sama w pewne sobotnie popołudnie w sypialni na ulicy Ventanas, wcale ich nie szukając, przez czysty przypadek, odkryła w nie zamkniętej na klucz szafie kopie pisanych na maszynie medytacji Florentina Arizy i odręczne odpowiedzi Ferminy Dazy.

Doktor Urbino Daza uradował się z odnowienia wizyt, które tyle otuchy dodawały jego matce. W przeciwieństwie do swej siostry Ofelii. Ta bowiem wróciła pierwszym odpływającym do Nowego Orleanu frachtowcem owocowym, na wieść o tym, że Fermina Daza utrzymuje dziwne przyjacielskie stosunki z mężczyzną, którego moralne oblicze nie cieszy się najlepszą opinią. Jej histeria doprowadziła do kryzysu już od pierwszego tygodnia, gdy zdała sobie sprawę, z jaką pewnością siebie Florentino Ariza przekracza próg tego domu, z jaką zażyłością porusza się po nim, i podsłuchiwała szept przelotnych narzeczenskich sprzeczek podczas owych trwających do późnej nocy wizyt. To, co doktorowi Urbino Dazie wydawało się zdrowym powinowactwem dusz dwojga samotnych staruszków, dla niej było rozwiązłą formą tajemnego konkubinatu. Cała Ofelia Urbino, wykapana doña Blanka, babka ze strony ojca, jakby była jej córką, a nie wnuczką. Dystygowana jak babka, wyniosła jak babka była ofiarą tych samych co i babka uprzedzeń. W głowie jej się nie mieściła niewinna przyjaźń między mężczyzną a kobietą,

choćby mieli zaledwie pięć lat, a co dopiero w wieku lat osiemdziesięciu. W trakcie zaciętej dyskusji z bratem powiedziała, że tylko tego brakuje, aby Florentino Ariza ostatecznie pocieszył ich matkę pakując się razem z nią do jej wdowiego łóżka. Doktor Urbino Daza nie miał odwagi, żeby oponować, bo nigdy nie odważył się sprzeciwić siostrze, ale z pomocą pospieszyła mu żona, spokojnie usprawiedliwiając miłość w każdym wieku. Ofelia straciła panowanie.

- W naszym wieku miłość jest już śmieszna - wrzasnęła na nią - ale w ich wieku to najzwyczajniejsze świntuszenie.

Tak bardzo zaciętrzewiła się w swym postanowieniu, by przepędzić z domu Florentina Arizę, że doszło to do uszu Ferminy Dazy. Zawołała córkę do sypialni, jak zwykle, gdy zamierzała przeprowadzić rozmowę na osobności, tak by nie słyszały jej służące, i kazała jej bezpośrednio powtórzyć oskarżenia. Ofelia niczego nie złagodziła: była przekonana, że Florentino Ariza, uważany przez wszystkich za zboczeńca, chce doprowadzić, w sobie tylko wiadomym celu, do jakiegoś dwuznacznego związku, który dobremu imieniu rodziny przyniesie więcej szkód niż matactwa Lorenza Dazy i niewinne przygody Juvenala Urbino. Fermina Daza wysłuchiwała jej bez słowa, bez zmrużenia powiek nawet, ale wysłuchawszy była już kimś innym: przeprosiła się z życiem.

- Martwi mnie tylko to, że nie mam sił, żeby ci spuścić lanie za twoją bezczelność i podle myśli - powiedziała jej. - Ale w tej chwili opuścisz ten dom i przysięgam ci na szczątki mojej matki, że póki żyć będę, więcej noga twoja tu nie postanie.

Nie było siły, żeby jej to wyperswadować. Ofelia przeniosła się na razie do mieszkania brata i stamtąd zaczęła wysyłać różnego rodzaju błagania za pośrednictwem co szanowniejszych posłańców. Daremnie. Ani mediacja syna, ani interwencje przyjaciółek nie zdołały przebłagać matki. Synowej, z którą zawsze utrzymywała swoistego rodzaju plebejską więź, wyznała w końcu w charakterystycznym dla swych najlepszych lat kwiecistym stylu: „Sto lat temu przesrano mi życie z powodu tego biednego człowieka, bo byliśmy za młodzi, a teraz znowu chcą nam to zrobić, bo jesteśmy za starzy”. Przypaliła papierosa od niedopałka i wyrzuciła z siebie cały jad, który zżerał jej wnętrze.

- Niech ich weźmie jasna cholera - powiedziała. - Jeśli wdowy mogą w ogóle liczyć na jakiś przywilej, to chyba tylko taki, że nie ma już nikogo, kto by mógł nam rozkazywać.

Nic nie można było zrobić. Kiedy Ofelia ostatecznie się przekonała, że wyczerpane zostały wszystkie możliwości, wróciła do Nowego Orleanu. Jedyne ustępstwem, jakie udało jej się wyblagać u matki, była możliwość pożegnania się z nią, na co Fermina Daza przystała po wielu prośbach, ale nie zezwalając na przekroczenie progu domu: przysięgła

na kości swej matki, a w owych mrocznych dniach było to dla niej jedyne czyste wspomnienie, jakie jej pozostało.

Podczas jednej ze swych pierwszych wizyt Florentino Ariza oficjalnie zaprosił Ferminę Dazę na rejs wypoczynkowy po rzece. Dokładając jeszcze jeden dzień jazdy pociągiem mogłaby dojechać aż do stolicy republiki, którą, jak większość mieszkańców rejonu karaibskiego, nadal obdarzali nazwą z ubiegłego wieku: Santa Fe. Fermina Daza wciąż jednak podzielała uprzedzenia męża i nie miała zamiaru poznawać mroźnego i ponurego miasta, gdzie kobiety wychodzą z domu jedynie na poranną mszę i nie mogą wejść do lodziarni ani do publicznych urzędów, jak jej mówiono, i gdzie o każdej porze ciągnie pogrzeb za pogrzebem blokując cały ruch uliczny, a w powietrzu od niepamiętnych czasów wisi drobna mżawka: gorzej niż w Paryżu. Za to rzeka zawsze ją pociągała, chciała zobaczyć kajmany grzejące się na piaskowych ławicach, chciała, by w środku nocy budził ją kobiecy płacz morskich krów, ale pomyśl, że oto ona, w jej wieku, samotna i do tego wdowa, miałaby wyruszyć w tak uciążliwą podróż, wydawał jej się nierealny. Florentino Ariza ponowił propozycję nieco później, kiedy postanowiła jednak dalej żyć bez męża, i wówczas wydało jej się to bardziej prawdopodobne. Ale po sprzeczce z córką, rozgoryczona zniesławieniem ojca, obrażona na zmarłego męża, wściekła na przymilną hipokryzję Lukrecji del Real, którą przez tyle lat uważała za swą najlepszą przyjaciółkę, czuła, że jest zawadą w swoim własnym domu. Pewnego wieczoru, pijąc swoją ziołową herbatkę, spojrzała na patio, gdzie nigdy nie miało odrosnąć drzewo jej nieszczęścia.

- Tak naprawdę to chciałabym uciec z tego domu i pójść sobie daleko, daleko, i już nie wrócić - powiedziała.

- Popłyn statkiem - powiedział Florentino Ariza.

Fermina Daza przyjrzała mu się zamyślona.

- A wiesz, że może nawet i tak - powiedziała.

Przed chwilą, zanim to powiedziała, jeszcze tak nie myślała, ale wystarczyło przyjąć taką możliwość, żeby uznać rzecz za przesądzoną. Syn i synowa z radością przyklasnęli tym projektom. Florentino Ariza natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem, że Fermina Daza będzie gościem honorowym na jego statkach, przygotowana zostanie dla niej kajuta tak jakby to miało być jej własne mieszkanie, on sam gwarantuje doskonałe usługi, kapitan zaś osobiście będzie odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo i dobre samopoczucie. Przyniósł mapy z wytyczonymi trasami, żeby pobudzić jej ciekawość, pocztówki z wściekłymi zmierzchami, wiersze na cześć prymitywnego rajy Magdaleny napisane przez sławnych podróżników lub tych, którzy za takowych zostali uznani ze względu na doskonałość

wierszy. Będąc w dobrym nastroju rzucała na nie okiem.

- Nie musisz mnie kusić jak dziecko - mawiała. - Jeśli popłynę, to dlatego, że tak postanowiłam, a nie dla piękna krajobrazów.

Kiedy syn zasugerował, by towarzyszyła jej jego żona, natychmiast ucięła: „Jestem już za duża, aby musiał się mną ktoś opiekować”. Sama przygotowała szczegółowy plan podróży. Poczula ogromne odprężenie na myśl, że będzie mogła przeżyć osiem dni żeglugi w górę i pięć dni drogi powrotnej, mając ze sobą tylko to, co niezbędne: pół tuzina ubrań bawełnianych, swoje przybory do kosmetyki i higieny, parę butów do wejścia na pokład i zejścia z niego i domowe papucie na czas trwania podróży. I to wszystko: marzenie jej życia.

W styczniu 1824 roku, komandor Juan Bernardo Elbers, inicjator żeglugi rzecznej, wciągnął flagę na maszt pierwszego statku parowego, który miał popłynąć rzeką Magdaleną: była to prymitywna łajba o mocy czterdziestu koni mechanicznych i nazywała się „Wierność”. Ponad sto lat później, 7 lipca o szóstej wieczorem, doktor Urbino Daza i jego żona odprowadzili Ferminę Dazę na statek, który miał ją zabrać w jej pierwszy rzeczny rejs. Był to pierwszy statek zbudowany w lokalnej stoczni, któremu Florentino Ariza, na pamiątkę swego sławnego poprzednika, nadał imię „Nowa Wierność”. Fermina Daza nigdy nie mogła uwierzyć, iż ta nazwa, tak dla nich znacząca, jest rzeczywiście tylko historycznym przypadkiem, a nie kolejnym dowcipem chronicznego romantyzmu Florentina Arizy. W każdym razie, w odróżnieniu od innych statków rzecznych, tak dawnych, jak i współczesnych, „Nowa Wierność” posiadała przy kajucie kapitana dodatkowy przestronny i komfortowy apartament, składający się z saloniku z bambusowymi meblami w radosnych kolorach, sypialni małżeńskiej ozdobionej chińskimi motywami, łazienki z wanną i prysznicem; poza tym był tam bardzo duży taras z wiszącymi paprociami i z pełnym widokiem na dziób i obie burty statku, a całe pomieszczenie posiadało system cichej klimatyzacji, chroniący z jednej strony od panującego na zewnątrz huku i utrzymujący aurę ustawicznej wiosny. Ten luksusowy apartament, znany jako Kajuta Prezydencka, bo do tej pory podróżowało w nim już trzech prezydentów republiki, nie miał charakteru komercyjnego, lecz zarezerwowany był dla władz wyższego szczebla i dla specjalnych gości. Florentino Ariza kazał go wybudować, gdy tylko został prezesem KTRz, podkreślając na użytek opinii publicznej owe funkcje reprezentacyjne, ale z wewnętrznym przekonaniem, że wcześniej czy później owe pokoje będą szczęśliwym schronieniem na czas jego podróży poślubnej z Ferminą Dazą.

Gdy nadszedł dzień podróży, przejęła ona istotnie we władanie Kajutę Prezydencką

jako jego właścicielka i pani. Kapitan statku z honorami powitał na pokładzie doktora Urbino Dazę, jego małżonkę i Florentina Arizę częstując ich szampanem i wędzonym łososiem. Nazywał się Diego Samaritano, na sobie miał biały lniany mundur i był nieskazitelnie szykowny od czubka butów po czapkę z wyhaftowanym złotymi nićmi godłem KTRz, a z innymi kapitanami żeglugi rzecznej łączyły go: korpulentność drzewa kapokowego, stanowczy głos i maniery florenckiego kardynała.

O siódmej wieczorem zabrzmiał pierwszy sygnał do odjazdu i Fermina Daza poczuła, jak ów dźwięk rozchodzi się ostrym bólem po wnętrzu jej lewego ucha. Poprzedniej nocy miała sny pełne złych przeczuć, ale nie odważyła się dociękać ich znaczenia. Bardzo wcześnie rano kazała zawieźć się na pobliski cmentarz przyseminaryjny, zwany wówczas Cmentarzem La Manga, i stojąc przed kryptą pogodziła się ze zmarłym mężem, wygłaszając monolog, w którym wyrzuciła z siebie wszystkie tłumione dotąd i uzasadnione żale. Następnie opowiedziała mu szczegółowo o wszystkim, co miało związek z podróżą i pożegnała się do rychłego zobaczenia. Nikomu nie chciała mówić, że wyjeżdża, tak jak to niemal zawsze robiła, kiedy podróżowała do Europy, by uniknąć męczących pożegnań. Chociaż miała za sobą wiele podróży, doznała wrażenia, jakby ta miała być pierwsza i w miarę upływu godzin jej niepokój się pogłębiał. Znalazłszy się na pokładzie, poczuła się opuszczona i smutna i chciała zostać sama, żeby sobie popłakać.

Kiedy zabrzmiał ostatni sygnał, doktor Urbino Daza z małżonką pożegnali się z nią bez zbędnego dramatyzowania, a Florentino Ariza odprowadził ich do trapu. Doktor Urbino Daza przepuściwszy żonę chciał i jemu ustąpić miejsca, lecz dopiero wtedy zrozumiał, że Florentino Ariza też udaje się w podróż. Doktor Urbino Daza nie potrafił ukryć swego zmieszania.

- Przecież nie tak się umawialiśmy - powiedział. Florentino Ariza pokazał mu klucz do swej kajuty, z zamiarem nazbyt oczywistym: najzwyczajniejsza kajuta na wspólnym pokładzie. Ale doktorowi Urbino Daza ów dowód niewinności nie wydawał się wystarczający. Posłał żonie spojrzenie tonącego rozbitka, w poszukiwaniu jakiegokolwiek punktu oparcia dla swej konsternacji, ale napotkał lodowate spojrzenie. Cicho i groźnym głosem powiedziała mu: „Ty też?” Tak, on też, tak jak i jego siostra Ofelia, uważał, iż od pewnego wieku miłość jest czymś nieprzyzwoitym. Ale zdołał natychmiast odpowiednio zareagować i pożegnać się z Florentinem Arizą uściskiem dłoni, wyrażającym raczej pogodzenie się z losem niż wdzięczność.

Florentino Ariza stojąc przy balustradzie salonu patrzył, jak schodzą po trapie. Tak jak tego oczekiwał i pragnął, doktor Urbino Daza z małżonką, nim wsiedli do samochodu,

odwrócili się, by spojrzeć na niego, on zaś pomachał im na pożegnanie dłonią. Oboje odpowiedzieli mu tym samym gestem. Stał przy balustradzie, dopóki samochód nie zniknął w kurzawie załadunkowego nabrzeża, a następnie udał się do swej kabiny, by przebrać się w stosowniejsze ubranie do pierwszej kolacji na pokładzie, w prywatnej jadalni kapitana.

Był to wspaniały wieczór, który kapitan Diego Samaritano przyprawił smakowitymi opowieściami ze swych czterdziestu lat spędzonych na rzece, Fermina Daza jednak musiała dokonać nie lada wysiłku, żeby wyglądać na rozbawioną. Chociaż ostatni sygnał do wypłynięcia rozległ się o ósmej i o tej samej godzinie poproszono osoby towarzyszące o opuszczenie statku i podniesiono trap, statek nie odbił od nabrzeża, dopóki kapitan nie skończył posiłku i nie wszedł na mostek, by osobiście kierować manewrem. Fermina Daza i Florentino Ariza stali przy balustradzie salonu, pośród tłumu hałaśliwych pasażerów, których bawiło rozpoznawanie świateł w mieście, dopóki statek nie opuścił zatoki wpływając na wody niewidocznych kanałów i bagien, tu i ówdzie usianych falującymi lampkami łodzi rybackich, by wreszcie odetchnąć pełną piersią na wolnej przestrzeni Rio Grandę de la Magdalena. Orkiestra wówczas zagrała popularny w tym czasie utwór, rozległ się okrzyk radości pasażerów i w najlepsze zaczęły się tańce.

Fermina Daza wolała schronić się w swej kajucie. Przez cały wieczór nie powiedziała ani słowa, a Florentino Ariza pozwolił jej zagubić się we własnych myślach. Przeszkodził jej raz jedynie, by pożegnać się przy drzwiach do kajuty, ale Ferminie nie chciało się spać, było jej tylko trochę chłodno i zaproponowała, żeby usiedli na chwilę i przyjrzeni się rzece z tarasu. Florentino Ariza przysunął do balustrady dwa wiklinowe fotele, zgasił światła, przykrył ramiona Ferminy wełnianym kocem i usiadł obok. Skręciła z zadziwiającą biegłością papierosa biorąc tytoń z pudełeczka, które jej podarował, i w milczeniu wypaliła trzymając rozżarzony koniec w ustach, po czym skręciła następne dwa i wypaliła jeden po drugim. Florentino Ariza w tym czasie wypił, łyk po łyku, dwa termosy mocnej kawy.

Łuna nad miastem zniknęła za widnokretem. Obserwowana z tonącego w mrokach tarasu gładka, cicha rzeka i pastwiska po obu jej stronach przeistoczyły się w świetle księżycowej pełni w fosforyzującą równinę.

Od czasu do czasu dostrzec można było słomiane szałas przy ogromnych ogniskach, sygnalizujących, że tu sprzedaje się drewno do okrętowych kotłów. W pamięci Florentina Arizy zachowały się jeszcze mgliste wspomnienia z młodszej podróży, a widok rzeki przywoływał je w porażających przebłyskach, jakby miały miejsce wczoraj. O niektórych z nich wspomniał Ferminie Dazie, sądząc, że w ten sposób może ją jakoś ożywić, ale ona paliła swoje papierosy przebywając w innym świecie. Florentino Ariza zaniechał

swoich wspomnień, pozostawiając ją sam na sam z jej własnymi, skręcając w tym czasie papierosy i podając jej już zapalone, póki pudełeczko nie zostało opróżnione. Muzyka umilkła po północy, gwar ludzkich głosów przeszedł w senne szepty i serca tych dwojga pozostały same na mrocznym tarasie, bijąc w takt silników niosącego ich statku.

Po dłuższej chwili Florentino Ariza spojrział na Ferminę Dazę w blasku bijącym od rzeki, zjawiskową, o posągowym profilu wysubtelnionym przez delikatną, błękitną poświatę, i zrozumiał, że ona bezgłośnie płacze. Zamiast ją jednak pocieszyć albo poczekać, aż wypłacze się do końca, jak tego chciała, dał się ponieść panice. - Chcesz zostać sama? - zapytał.

- Gdybym tego chciała, nie zaprosiłabym cię do środka - odpowiedziała.

Wyciągnął wówczas zgrabiałe palce, spróbował po omacku odnaleźć jej dłoń i odnalazł oczekującą go w ciemnościach. Oboje byli na tyle przytomni, by w tej samej przelotnej chwili uświadomić sobie, że żadna z obu dłoni nie jest tą, której dotknięcia oczekiwali w swych wyobrażeniach, lecz tylko garścią starych kości. Ale już wkrótce obie dłonie stały się czymś więcej. Zaczęła mówić o zmarłym mężu w czasie teraźniejszym, jakby jeszcze żył, i Florentino Ariza w tej samej chwili zrozumiał, że i dla niej wybiła godzina, by z godnością, z całą mocą, z nieprzepartą wolą życia, samej sobie zadać pytanie, co zrobić z miłością pozbawioną swego pana.

Fermina Daza przestała palić, nie chcąc wypuszczać ręki z jego dłoni. Czowała się całkiem zagubiona w swym pragnieniu zrozumienia wszystkiego. Nie mogła wyobrazić sobie lepszego męża od tego, który był jej mężem, a jednak wspominając własne życie odnajdywała w nim więcej potknięć niż przyjemności, zbyt wiele wzajemnych nieporozumień, niepotrzebnych sprzeczek, żalów źle zaleczonych. Niespodziewanie westchnęła: „To niewiarygodne, jak można czuć się szczęśliwą przez tyle lat, mimo tylu kłótni, tylu upierdliwości i tak naprawdę, kurwa, nie wiedzieć, czy to miłość czy nie”. Kiedy wyrzuciła z siebie całą złość, ktoś zgasił księżyc. Statek posuwał się dokładnie wymierzonymi krokami, stawiając ostrożnie jedną nogę przed drugą: ogromne zwierzę w zasadzce. Fermina Daza powróciła z krainy lęków. - A teraz idź - powiedziała.

Florentino Ariza ścisnął mocniej jej dłoń i pochylił się nad nią chcąc pocałować ją w policzek. Ale wywinęła mu się mówiąc swym ochrypłym i czułym głosem. - Już nie, śmierdzą starą babą.

Usłyszała, jak wychodzi w ciemnościach, usłyszała jego kroki na schodach, usłyszała, jak przestaje istnieć do następnego dnia. Zapaliła kolejnego papierosa i zaciągając się nim ujrzała doktora Juvenala Urbino w nienagannie skrojonym lnianym garniturze, jak ze swą



zawodową powagą, olśniewająco sympatyczny i okazujący swą oficjalną miłość żegna się z nią kłaniając się swym białym kapeluszem z pokładu innego statku z przeszłości. „My, mężczyźni, jesteśmy biednymi niewolnikami przesądów - powiedział jej przy jakiejś okazji. - Za to kiedy kobieta postanawia przespać się z jakimś mężczyzną, nie ma takiego parkanu, którego by nie przeskoczyła, fortocy, której by nie zdobyła, ani jakiegokolwiek normy moralnej, której nie byłaby gotowa złamać: i nie ma takiego Boga, który by ją powstrzymał”. Fermina Daza siedziała bez ruchu aż do świtu, myśląc o Florentinie Arizie, ale nie o smutnym wartowniku przy skwerze Los Evangelios, którego wspomnienie nie rozpalało w niej najmniejszej choćby iskiereki nostalgii, lecz o obecnym Florentinie Arizie, zgrzybiałym, kulawym, ale rzeczywistym: o mężczyźnie, który zawsze był w zasięgu jej ręki, lecz którego nie potrafiła rozpoznać. Podczas gdy statek sapiąc włókł się ku blaskowi pierwszych róż, błagała Boga tylko o to, żeby Florentino Ariza nazajutrz wiedział, jak ma jeszcze raz zacząć.

Wiedział. Fermina Daza poleciła stewardowi, by pozwolił jej wyspać się do woli, a kiedy się obudziła, na stoliku nocnym stał wazonik ze świeżą białą różą pokrytą jeszcze potem rosy, z dołączonym do niej listem od Florentina Arizy, liczącym tyle stron, ile zdołał napisać od chwili pożegnania się z nią. Był to spokojny list, usiłujący jedynie wyrazić trwający od minionej nocy stan jego ducha: list równie liryczny, jak tamte, równie retoryczny, jak wszystkie, ale liczący się z rzeczywistością. Fermina Daza przeczytała go zawstydzona nieco nieprzyzwoitym galopem własnego serca. List kończył się prośbą, by powiadomiła stewarda, kiedy będzie już gotowa, kapitan czeka bowiem na nich na mostku, by oprowadzić ich po statku.

O jedenastej była gotowa, wykąpana, pachnąca mydłem kwiatowym, we wdowim bardzo prostym stroju z szarej etaminy i, po nocnej burzy, znowu w dobrej formie. Poprosiła o skromne śniadanie stewarda w nieskazitelnej bieli, podlegającego bezpośrednio kapitanowi, ale nie przekazała przez niego wiadomości, by po nią wstąpili. Wyszła sama na pokład, oślepiona bezchmurnym niebem, i napotkała Florentina Arizę rozmawiającego z kapitanem na mostku dowodzenia. Wydał jej się odmieniony, nie tylko dlatego, że patrzyła na niego innymi oczyma, ale i dlatego, że istotnie się zmienił.

Zamiast używanego przez całe życie pogrzebowego garnituru miał na sobie lniane spodnie i koszulę z rozchylonym kołnierzykiem, z krótkimi rękawami i z monogramem wyhaftowanym na kieszonce, a na nogach bardzo wygodne białe półbuty. Poza tym nosił białą szkocką czapkę, a na swe odwieczne okulary krótkowidza założył ciemne szkła. W oczy biło, że miał to na sobie po raz pierwszy i wszystko zostało kupione dopiero co z okazji

podróży, prócz mocno zniszczonego paska z brązowej skóry, na który Fermina Daza natychmiast zareagowała jak na muchę w zupie. Gdy zobaczyła go tak ostentacyjnie dla niej wyszykowanego, nie była w stanie powstrzymać zalewającego jej twarz rumieńca. Witając się z nim była zmieszana, on zaś zmieszał się jeszcze bardziej jej zmieszaniem. Świadomość, że zachowują się jak zakochani, jeszcze bardziej ich zmieszała, a uświadomienie sobie, że oboje czują się zmieszani tak dalece ich zmieszało, że kapitan Samaritano zauważył to z dreszczem współczucia. Wybawił ich z kłopotu demonstrując im w ciągu dwóch godzin działanie poszczególnych stanowisk i ogólny mechanizm statku. Powoli płynęli bezbrzeżną rzeką, rozlewającą się pośród suchych ławic aż po horyzont. Jej fale teraz, w przeciwieństwie do mętnych wód przy ujściu, były przezroczyste i toczyły się leniwie mieniając się w promieniach bezlitosnego słońca metalicznymi odbłaskami. Fermina Daza uległa wrażeniu, że płynie deltą pokrytą piaskowymi wyspami.

- Ot i co nam zostało z rzeki - powiedział kapitan. Florentino Ariza był rzeczywiście zaskoczony zmianami, a zaskoczenie miało być jeszcze większe następnego dnia, kiedy żegluga stawała się coraz trudniejsza i zdał sobie sprawę, że główny nurt rzeki Magdaleny, jednej z największych rzek świata, jest jedynie ułudą pamięci. Kapitan Samaritano wyjaśnił im, że bezsensowne wycinanie lasów zniszczyło rzekę w pięćdziesiąt lat: kotły statków parowych zżarły puszcę porośniętą ogromnymi drzewami, które Florentino Ariza podczas swej pierwszej podróży odczuwał jako zagrożenie. Fermina Daza nie zobaczy zwierząt swoich marzeń: łowcy skór z nowoorleańskich garbarni wybili kajmany, które całymi godzinami udając zdechłe koty wylegiwały się z otwartymi paszczami w przybrzeżnych parowach, czatując na motyle; również wrzaskliwe papugi i szaleńczo pokrzykujące małpy ginęły, w miarę jak ubywało leśnych ostępów, a krowy morskie o ogromnych matczyńskich piersiach, karmiące swe małe i zawodzące na piaskowych ławicach głosem zrozpaczonej kobiety, były gatunkiem wytrzebionym przez pancerne kule myśliwych strzelających do nich dla rozrywki.

Kapitan Samaritano darzył krowy morskie macierzyńskim niemal uczuciem, bo wydawały mu się damami skazanymi za pobłądzenie na bezdrożach miłości i całkowicie wierzył w legendę, że w królestwie zwierząt są to jedyne samice bez samców. Zawsze był przeciwny strzelaniu do nich z pokładów przepływających statków, jak to czyniono zwyczajowo, pomimo zakazu tego typu praktyk. Pewien myśliwy z Północnej Karoliny, posiadający odpowiednie dokumenty, nie zastosował się do jego poleceń i celnym strzałem ze swego springfielda roztrzaskał głowę karmiącej krowie morskiej, a małe wpadło w rozpacz płacząc z bólu wniebogłosy przy martwym ciele matki. Kapitan rozkazał wnieść

osierocone zwierzę na pokład, żeby się nim zająć, myśliwego zaś wysadził na bezludną łachę pozostawiając go samego obok trupa zamordowanej matki. W wyniku dyplomatycznych protestów kapitan spędził sześć miesięcy w więzieniu, omal nie tracąc licencji, ale opuścił je zdecydowany powtórzyć swój czyn zawsze, gdyby miał do czynienia z podobnymi okolicznościami. Jednak incydent ów należał już do ostatnich: osierocone zwierzę, które wyrosło i żyło wiele lat w ogrodzie rzadkich gatunków w San Nicolas de las Barrancas, było ostatnią widzianą na rzece krową morską.

- Za każdym razem, gdy przepływam obok tej łachy - powiedział - błagam Boga, żeby ten gringo jeszcze raz pojawił się na moim statku i żebym jeszcze raz mógł go wyrzucić.

Kapitan nie wzbudzał dotychczas w Ferminie Dazie większej sympatii, ale teraz ten czuły olbrzym wzruszył ją tak bardzo, iż umieściła go w uprzywilejowanym miejscu swego serca. I dobrze zrobiła: podróż dopiero się zaczęła i czekała ją jeszcze niejedna sposobność, by zrozumieć, że nie popełniła błędu.

Fermina Daza i Florentino Ariza przebywali na mostku kapitańskim aż do obiadu, kiedy to mijali osadę Calamar, która jeszcze parę lat temu nieustannie świętowała, a teraz była dogorywającym portem o bezludnych ulicach. Jedyną dostrzeżoną z pokładu statku istotą była kobieta w bieli, powiewająca chusteczką. Fermina Daza nie rozumiała, dlaczego nie biorą jej na statek, skoro wygląda tak smutno, ale kapitan wytłumaczył jej, że to widmo topielicy, która daje mylne znaki, ściągając statki ku niebezpiecznym wirom przy tamtym brzegu. Przepłynęli tak blisko niej, że Fermina Daza ujrzała ją dokładnie, na wyciągnięcie ręki, w promieniach słońca i nie miała już żadnej wątpliwości, że w rzeczy samej nie istnieje, ale twarz kobiety wydała jej się znajoma.

Dzień był upalny i długi. Fermina Daza po obiedzie wróciła do kajuty na obowiązkową sjęstę, ale nie spała dobrze, bo rozbolało ją ucho, gdy statek zgodnie z przepisami wymienił sygnały z innym statkiem KTRz, z którym minął się parę mil za Barranca Vieja. Florentino Ariza zdrzemnął się na chwilę usiadłszy w głównym salonie, gdzie większość pasażerów nie posiadających miejsc w kajutach spała w najlepsze, jakby to była północ, i przyśniła mu się Rosalba, nie opodał miejsca, gdzie po raz pierwszy ujrzał ją wchodzącą na statek. Podróżowała sama, ubrana w letnią suknię z końca ubiegłego wieku i to ona, a nie dziecko, odsypiała sjęstę w wiklinowej klatce. Był to sen tak zabawny i tajemniczy zarazem, że przez całe popołudnie, gdy grali w domino z kapitanem i dwoma zaprzyjaźnionymi pasażerami, ciągle był pod jego wrażeniem.

Upał malał w miarę jak zniżało się słońce, a statek ożywał. Pasażerowie wyłaniali się jak obudzeni z letargu, świeżo wykąpani, w czystych ubraniach, zajmując w salonie

wiklinowe fotele w oczekiwaniu na kolację zapowiedzianą na godzinę piątą przez chłopca okrętowego, który obszedł cały pokład potrząsając wśród kpiarskich oklasków dzwonkiem zakrystiana. Podczas kolacji orkiestra zaczynała swe hałaśliwe występy, po czym dancing trwał aż do północy.

Fermina Daza nie chciała jeść, bo dokuczał jej ból w uchu, ale poszła popatrzeć, jak przybijano do brzegu po drewno, przy wykarczowanym wąwozie, gdzie nie było nic poza nagromadzonymi polanami, których sprzedażą zajmował się bardzo stary mężczyzna. Wydawało się, że w promieniu wielu mil nie ma nikogo więcej. Dla Ferminy Dazy był to postój długi i nudny, nie do pomyślenia w transatlantyckich podróżach, upał zaś panował tak duży, że dawał się we znaki nawet w klimatyzowanym pomieszczeniu. Ale kiedy statek odbił, wiał już świeży wiatr pachnący matecznikiem puszczy, a muzyka rozbrzmiała jeszcze radośniej. W osadzie Sitio Nuevo świeciło się tylko jedno światełko w jednym tylko oknie jednego tylko domu, a że urząd portowy nie powiadomił odpowiednią sygnalizacją o ewentualnym załadunku towarów lub zabranii pasażerów, statek w rezultacie przepłynął bez powitalnego sygnału.

Fermina Daza przez cały wieczór zastanawiała się, jakich sposobów chwyci się Florentino Ariza, żeby zobaczyć ją nie pukając do jej kajuty i około ósmej czekała na niego już bardzo niecierpliwie. Wyszła na korytarz lądząc się, że spotka go niby przypadkiem i nie musiała iść daleko: Florentino Ariza siedział na jednym ze stopni prowadzących w dół schodów, milczący i przybity jak przy skwerze Los Evangelios, od ponad dwóch godzin zastanawiając się, co ma zrobić, żeby ją ujrzeć. Oboje przybrali zaskoczony wyraz twarzy wiedząc, że jest udawany, i przeszli przez pokład pierwszej klasy zapełniony tłumem młodych ludzi, w większości hałaśliwych studentów wykorzystujących do utraty tchu ostatnią wakacyjną zabawę. W kantynie oboje wypili prosto z butelki napój orzeźwiający siedząc jak studenci przy barku, a Fermina Daza nagle poczuła się zawstydzona sytuacją. Powiedziała: „To straszne!” Florentino Ariza zapytał, o czym myślała, że wywarło to na niej takie wrażenie.

- O biednych staruszkach - powiedziała. - Tych, których zabito wiosłem.

Kiedy ucichła muzyka, oboje poszli spać, po długiej, niczym nie zmaconej rozmowie na ciemnym tarasie. Księżyc nie świecił, niebo było zachmurzone, horyzont rozdzierały oświetlające ich na moment błyskawice bez grzmotów. Choć Florentino Ariza skręcił dla niej papierosy, wypaliła tylko cztery, dręczona bólem, który czasem zanikał, by się pogłębić, kiedy statek buczał mijając inny statek lub przepływając obok śpiącego miasteczka lub też kiedy zwalniał, aby wysondować dno rzeki. Florentino opowiedział jej, z

jaką zachłannością patrzył na nią zawsze podczas Turniejów Poetyckich, gdy leciała balonem, gdy jechała na akrobatycznym welocypedzie i jak przez cały rok nie mógł się doczekać kolejnych uroczystości, bo tak bardzo chciał ją zobaczyć. Fermina Daza też go widziała wielokrotnie, lecz nigdy na myśl by jej nie przyszło, że on przychodzi tam tylko dla niej. Mimo to, zaledwie rok temu, po przeczytaniu jego listów zastanowiła się nagle, jak to możliwe, żeby nigdy nie wziął udziału w Turnieju Poetyckim: bo wygrałby bez wątpienia. Florentino Ariza skłamał: pisał tylko dla niej, wiersze dla niej i tylko on je czytał. I teraz to ona poszukała w ciemnościach jego dłoni, lecz zamiast odnaleźć oczekującą ją rękę, tak jak ona oczekiwała jego dłoni poprzedniej nocy, trafiła na pełne zaskoczenie. Florentinowi Arizie zamarło serce. - Kobiety są bardzo dziwne - powiedział.

Zaśmiała się głębokim śmiechem młodej gołębicy i znów pomyślała o staruszkach w łodzi. Tak było jej pisane: obraz ten zawsze miał ją prześladować. Ale tej nocy była w stanie to znieść, bo czuła się dobrze i była spokojna, jak rzadko kiedy w swoim życiu: wolna od jakiegokolwiek poczucia winy. Chciałaby tak siedzieć aż do świtu, nic nie mówiąc, trzymając w swojej dłoni jego dłoń pocącą się lodem, ale nie mogła wytrzymać tortury ucha. Kiedy umilkła muzyka, a później ustała krzątanina pasażerów wieszających hamaki w salonie, zrozumiała, że jej ból jest silniejszy od chęci przebywania razem z nim. Wiedziała, że już samo przyznanie mu się do bólu przyniesie jej ulgę, ale nie zrobiła tego, żeby go nie przestraszyć. Bo miała wówczas wrażenie, że zna go tak, jakby przeżyła z nim całe życie, i wierzyła, że zdolny byłby wydać rozkaz, by zawrócono statek do portu, jeśli miałyby to uśmierzyć jej cierpienie.

Florentino Ariza przewidział, że tej nocy sprawy przybiorą taki a nie inny obrót, i wycofał się. W drzwiach kajuty usiłował pocałować ją na pożegnanie, ale ona podstawiła mu tylko lewy policzek. Nie ustąpił, już oddychając gwałtownie, ona zaś podstawiła mu drugi policzek z kokieteryą, której nie znał u niej nawet w jej szkolnych czasach. Spróbował wówczas raz jeszcze, a ona podała mu usta i przyjęła jego pocałunek z głębokim drżeniem, które usiłowała ukryć, wybuchając zapomnianym od swej nocy poślubnej śmiechem. - Mój Boże - powiedziała - czy na statkach zawsze muszę dostawać bzika!

Florentina Arizę przeszył dreszcz: rzeczywiście, tak jak sama mówiła, przesycona była cierpkim zapachem swoich lat. Ale wracając do swej kajuty przez labirynt śpiących hamaków, pocieszał się myślą, że i od niego zalatuje taki sam, tyle że o cztery lata starszy zapach i że na pewno ona odebrała to z takim samym wzruszeniem.

Był to zapach ludzkich fermentów, który wyczuwał u swych najstarszych kochanek, one zaś u niego. Wdowa Nazaret, jak zawsze szczerza, powiedziała mu to o wiele bardziej

dosadnie: „Śmierdzimy już ścierwem”. Oboje wzajemnie tolerowali swoje wonie, bo mieli siebie pod ręką: mój zapach przeciwko twojemu. Niemniej miał się cały czas na bacności przy Ameryce Vicuñi, której niemowlęcy zapaszek budził w nim zawsze rodzicielskie instynkty, a mimo to niepokoiła go myśl, że mogłaby nie znieść jego odoru starego lowelasa. Ale to wszystko należało do przeszłości. Najważniejsze, że po raz pierwszy od owego wieczoru, kiedy ciotka Scholastyka położyła modlitewnik na kontuarze urzędu telegraficznego, Florentino Ariza nigdy nie odczuwał takiej radości jak tej nocy: tak wielkiej, że aż wzbudzała w nim strach.

Zaczynał zasypiać, kiedy o piątej w porcie Zambrano obudził go miejscowy buchalter, żeby wręczyć mu pilny telegram. Podpisany był przez Leone Cassiani, z wczorajszą datą, i cała jego groza mieściła się w jednym zdaniu: Ameryka Vicuña zmarła wczoraj powody nieznane”. O jedenastej rano znalazł już szczegóły dzięki rozmowie telegraficznej z Leoną Cassiani, podczas której osobiście obsługiwał urządzenie nadawcze, czego nie robił od czasów, gdy był telegrafistą. Ameryka Vicuña, wpadłszy w depresję po oblaniu końcowych egzaminów, wypiła skradziony w szkolnym ambulatorium flakon laudanum. Florentino Ariza był w głębi duszy przekonany, że informacja jest niepełna. Ale nie: Ameryka Vicuña nie pozostawiła żadnej notatki, która pozwoliłaby kogokolwiek obarczyć winą za jej decyzję. Rodzina powiadomiona przez Leone Cassiani przybywała o tej właśnie porze z Puerto Padre, a pogrzeb miał się odbyć tegoż dnia o piątej po południu. Florentino Ariza odetchnął. Wszystko, co mógł zrobić, żeby nadal żyć, to nie poddać się torturze tego wspomnienia, i tylko tyle. Wymazał je z pamięci, aczkolwiek od czasu do czasu, przez resztę swoich lat, czuł, jak nagle powraca, ni stąd, ni zowąd, niczym rwanie dawno zabliznionej rany.

Kolejne dni były upalne i dłużyły się bez końca. Rzeka zwężała się coraz bardziej, wody mętniały, a tam, gdzie kiedyś była gęstwina ogromnych drzew, zadziwiających Florentina Arizę podczas jego pierwszej podróży, rozciągały się popieliska równin, ogolonych z lasów zżartych przez kotły statków i sterczały ruiny opuszczonych przez Boga miasteczek, których uliczki ciągle zalane były wodą, nawet w okresach najpotworniejszej suszy. W nocy zamiast syreniego śpiewu krów morskich budził ich przyprawiający o mdłości odór trupów spływających ku morzu. Nie było już wojen ani zarazy, ale wzdęte ciała wciąż przepływały. Kapitan raz przynajmniej był oszczędny w słowach: „Otrzymaliśmy rozkaz informowania pasażerów, że są to topielcy przypadkowi”. Zamiast wrzasku papug i awanturujących się niewidzialnych małp, które w innych czasach potęgowały jeszcze południową duchotę, w powietrzu unosiło się jedynie rozległe milczenie

spustoszonej ziemi.

Zostało tak niewiele składów drewna, a te, co zostały, były tak od siebie oddalone, że czwartego dnia podróży „Nowa Wierność” pozostała bez paliwa. Statek niemal przez tydzień stał na kotwicy, podczas gdy poszczególne ekipy zapuszczały się w bagniska popiołów w poszukiwaniu ostatnich wolno rosnących drzew. Innych nie było: drwale opuścili swoje przecinki, uciekając przed zachłannością ziemskich posiadaczy, uciekając przed niewidzialną cholera, uciekając przed ciągle wiszącymi w powietrzu wojnami, zawzięcie, w pokrętnych dekretach, pomijanymi milczeniem przez kolejne rządy. W tym czasie znudzeni pasażerowie urządzali zawody pływackie, organizowali wyprawy myśliwskie, wracali z żywymi iguanami, którym rozcinali brzuchy, by zszyć je ponownie szydłem po wydobyciu grona miękkich, przezroczystych jaj, których całe sznury suszyli następnie na słońcu. Biedne prostytutki z pobliskich osad ruszyły w ślad za ekspedycjami, naprędce rozbiły namioty w przybrzeżnym parowie, sprowadziły muzyków, otworzyły kantynę i urządziły huczną zabawę przy zakotwiczonym statku.

Florentino Ariza na długo przed objęciem funkcji prezesa KTRz otrzymywał alarmistyczne raporty o stanie rzeki, ale ledwie rzucał na nie okiem. Uspokajał współników: „Proszę się nie przejmować, zanim skończy się drewno, pojawią się statki na ropę”. Opętany namiętnością do Ferminy Dazy nigdy nie zadał sobie trudu, by przemyśleć ów problem, kiedy zaś zdał sobie sprawę ze stanu faktycznego, nie można było już nic zrobić: chyba że sprowadzić nową rzekę. Nocą jednak, nawet w okresie najwyższego stanu wód, trzeba było cumować, żeby umożliwić pasażerom spanie, a wówczas już sam fakt, że człowiek w ogóle żyje, stawał się nie do zniesienia.

Większość pasażerów, przede wszystkim Europejczycy, opuszczała gnojowisko kajut przez całą noc błądząc po pokładach, oganiając się od wszelkiego robactwa tym samym ręcznikiem, którym ocierali spływający po nich nieustannie pot, toteż dożywali świtu całkowicie wyczerpani i opuchnięci od ukąszeń. Jeden z podróżników angielskich z początków XIX wieku, opowiadając o wyprawie, którą odbywano w czólnach i na mułach, co mogło trwać nawet i pięćdziesiąt dni, napisał: „Jest to jedna z najgorszych i najniewygodniejszych wędrówek, jaką może podjąć istota ludzka”. Zdanie to utraciło wiarygodność w pierwszych osiemdziesięciu latach żeglugi parowej, ale później odzyskało ją już na zawsze, kiedy kajmany zżarły ostatniego motyla i zniknęły pełne macierzyńskich uczuć krowy morskie, papugi, małpy, osady: zniknęło wszystko.

- Nie ma sprawy - śmiał się kapitan - za parę lat przyjedziemy tutaj suchym korytem, w luksusowych samochodach.

Fermina Daza i Florentino Ariza przez pierwsze trzy dni chronili się w aurze łagodnej wiosny na osłoniętym tarasie widokowym, ale kiedy zaczęto oszczędzać paliwo i często zawodziła klimatyzacja, Kajuta Prezydencka zamieniła się w ekspres do kawy. Fermina Daza mogła przeżyć noce tylko dzięki nadrzecznemu wiatrowi wpadającemu przez otwarte okna i odpędzała komary rącznikiem, gdyż rozpylacz z płynem owadobójczym nie zdawał się na nic, gdy statek stał na kotwicy. Ból ucha stał się nie do wytrzymania, ale pewnego ranka, gdy się obudziła, ustąpił nagle i zupełnie, niczym śpiew cykady, która pękła. Dopiero o zmroku zdała sobie sprawę, że straciła słuch w lewym uchu, kiedy Florentino Ariza powiedział jej coś znajdując się na lewo od niej, ona zaś musiała odwrócić głowę, żeby usłyszeć, co mówi. Nikomu nic nie powiedziała, pogodzona z tym, że jest to jeszcze jedna z wielu nieuleczalnych ułomności wieku.

Mimo wszystko opóźnienie statku okazało się dla nich błogosławieństwem. Florentino Ariza przeczytał kiedyś: „Miłość staje się głębsza i szlachetniejsza w nieszczęściu”. Panująca w Prezydenckiej Kajucie wilgoć zanurzyła ich w nierealnym letargu, w którym łatwiej było kochać się bez żadnych pytań. Przeżywali niewyobrażalne godziny trzymając się za ręce w ustawionych przy balustradzie fotelach, całowali się powoli, cieszyli się oszołomieniem pieszczot nie odczuwając kłopotliwego zniecierpliwienia. Trzeciej nocy upału czekała na niego z butelką anyżówki, niegdyś popijanej przez nią po kryjomu wraz z gronem kuzynki Hildebrandy, a później, gdy była już mężatką i matką, nadal potajemnie z przyjaciółkami z darowanego jej świata. Musiała się nieco zamroczyć, żeby nie myśleć o własnym losie zbyt trzeźwo, ale Florentino Ariza sądził, że w ten sposób chce dodać sobie odwagi zdecydowawszy się na krok ostateczny. Zbudowany tą złudną nadzieją, zaczął śmiało rozpoznawać opuszkami palców jej pomarszczoną szyję, piersi opancerzone metalowymi fiszbinami, nadwerężone kości bioder, uda starej lani. Przyzwoliła na to nie bez przyjemności, nie otwierając oczu, nie drżąc, paląc i z rzadka popijając. Wreszcie, kiedy pieszczoty ześlizgnęły się po brzuchu, w sercu miała już anyżówki pod dostatkiem.

- Jeśli mamy robić głupstwa, to proszę bardzo - powiedziała - ale zrobimy je jak ludzie z klasą. Zaprowadziła go do sypialni i zaczęła się rozbierać, bez fałszywego wstydu, przy zapalonym świetle. Florentino Ariza położył się na łóżku usiłując odzyskać panowanie, po raz kolejny nie wiedząc, co ma zrobić ze skórą upolowanego przez siebie tygrysa. Powiedziała mu: „Nie patrz”. Zapytał dlaczego, nie odrywając wzroku od sufitu.

- Bo ci się nie spodoba - powiedziała.

Spojrzał wtedy na nią i ujrzał ją rozebraną do pasa, tak jak ją sobie wyobrażał. Miała



pomarszczone ramiona, obwisłe piersi, żebra pokryte bladawą i zimną jak u żaby skórą. Zakryła sobie piersi bluzką, którą przed chwilą zdjęła, i zgasiła światło. Wstał wówczas i zaczął rozbierać się w ciemności, rzucając w nią każdą częścią swej garderoby, a ona odrzucała mu je, śmiejąc się do rozpuku.

Przez dłuższy czas leżeli na plecach, Florentino Ariza, w miarę jak opuszczało go uniesienie, coraz bardziej i bardziej oszołomiony, ona spokojna, niemal otępiła, ale błagająca Boga, żeby nie pozwolił roześmiać się jej głupawo, jak jej się to zawsze zdarzało, gdy przebierała miarę w picciu anyżówki. Zaczęli rozmawiać, żeby czymś zapełnić czas. Rozmawiali o sobie, o odmiennych kolejach losu każdego z nich, o nieprawdopodobnym zbiegu okoliczności, który sprawił, że teraz leżą nago obok siebie w ciemnej kajucie zakotwiczonego statku, kiedy należałoby raczej sądzić, że czeka ich tylko śmierć. Fermina Daza nigdy nie słyszała, by kiedykolwiek wspomiano, że jest związany z jakąś kobietą, choćby jedną, i to w mieście, gdzie wiadano wszystko, zanim coś się naprawdę wydarzyło. Powiedziała to mimochodem, on zaś natychmiast jej odpowiedział bez drżenia w głosie:

- Bo zachowałem cnotę dla ciebie.

I tak by nie uwierzyła, nawet gdyby to była prawda, bo jego miłosne listy składały się z takich właśnie zdań, których istota nie polegała na ich znaczeniu, lecz na sile oszalamiania. Ale spodobała jej się odwaga, z jaką to powiedział. Florentino Ariza, ze swej strony, zastanowił się nad czymś, o czym nigdy nie śmiałyby pomyśleć: jakiego rodzaju potajemne życie wiodła na uboczu swojego małżeństwa. Nic by go nie zdziwiło, bo wiedział, że w sekretnych przygodach kobiety niczym nie różnią się od mężczyzn: identyczne fortele, identyczna wena twórcza, identyczne, pozbawione wyrzutów sumienia, zdrady. Dobrze jednak zrobił nie pytając o to. W pewnym okresie, kiedy jej stosunki z Kościołem były i tak już dosyć zaognione, spowiednik zapytał ją, bez żadnej przyczyny, czy kiedykolwiek była niewierna mężowi, ona zaś wstała i nie odpowiedziawszy, nie kończąc, nie żegnając się wyszła i już nigdy więcej nie wróciła ani do tego spowiednika, ani do żadnego innego, bo nigdy już nie poszła do spowiedzi. Za to rozważa Florentino Arizy doczekała się nieoczekiwanej rekompensaty: Fermina Daza wyciągnęła rękę w ciemnościach, popieściła jego brzuch, biodra, niemal pozbawione włosów podbrzusze. Powiedziała: „Masz skórę jak u dzidziusia”. I postawiła ostatni krok: poszukała go tam, gdzie go nie było, szukała dalej bez złudzeń i odnalazła bezbronno. - Jest martwy - powiedział.

Zawsze mu się to zdarzało za pierwszym razem, z wszystkimi, nauczył się więc obcować z tym widmem: za każdym razem musiał uczyć się wszystkiego od nowa, jakby to

było po raz pierwszy. Ujął jej dłoń i położył sobie na piersi: Fermina Daza poczuła niemal na powierzchni skóry niestrudzone, stare serce, które biło z młodzieńczą siłą, w pośpiechu i chaosie. Powiedział: „Nadmiar miłości w takich chwilach jest równie szkodliwy, jak jej brak”. Ale powiedział to bez przekonania: był zawstydzony, wściekły na siebie, i tylko czyhał, żeby obarczyć ją winą z byle powodu. Wiedziała o tym i zaczęła laskotać bezbronne ciało żartobliwymi pieszczotami, niczym czuła kotka rozkoszująca się okrucieństwem, aż w końcu nie mógł już dłużej znieść tych tortur i uciekł do swojej kajuty. Myślała o nim do świtu, ostatecznie przekonana o jego miłości i w miarę jak powoli odparowywała z niej anyżówka, opadał ją coraz większy niepokój, że Florentino Ariza zniechęcił się i już nigdy nie wróci.

Ale wrócił jeszcze tego samego dnia, o niezwyklej porze, bo o jedenastej rano, świeży, wypoczęty i rozebrał się przed nią nie bez pewnej ostentacji. Ujrzawszy go w pełnym świetle, z zadowoleniem stwierdziła, że właśnie tak go sobie wyobrażała w ciemnościach ostatniej nocy: że jest mężczyzną w nieokreślonym wieku, o ciemnej, błyszczącej i napiętej jak otwarty parasol skórze, pokrytej tylko z rzadka, pod pachami i na wzgórku łonowym sztywnymi włosami. Prezentował broń w całej jej okazałości, a Fermina Daza zrozumiała, że nie przypadkiem demonstruje swój oręż, lecz paraduje z nim jak z łupem wojennym, żeby dodać sobie odwagi. Nie zdążyła nawet zdjąć nocnej koszuli, którą założyła, gdy powiała poranna bryza, a jego gorączkowy pośpiech nowicjusza przyprawił ją o dreszcz współczucia. Nie przejęła się tym, bo w podobnych przypadkach trudno jej było odróżnić współczucie od miłości. Jednak, po wszystkim, poczuła się pusta.

Kochała się po raz pierwszy od dwudziestu lat i uczyniła to zdjęta ciekawością, jak to z tym będzie w jej wieku i po tak długim poście. Ale Florentino Ariza nie dał jej nawet czasu, żeby zdążyła się dowiedzieć, czy jej ciało również chce tego. Był zbyt raptowny i smutny, i pomyślała: „No, to teraz żeśmy już wszystko przejebali”. Ale pomyliła się: pomimo obustronnego rozczarowania, mimo iż on wyrzucał sobie własną nieporadność, a ona sobie szaleństwo anyżówki, przez następne dni nie rozstawali się ani na chwilę. Wychodzili z kajuty jedynie w porze posiłków. Kapitan Samaritano, który instynktownie odkrywał każdy sekret, jaki usiłowano zachować na jego statku, posyłał im codziennie rano białą różę, kazał im zagrać serenadę złożoną z walców ich młodości, polecił, by przyrządzano zabawne dania z podniecającymi składnikami. Nie ponawiali miłosnych prób, i to przez dłuższy czas, dopóki nie naszło ich wcale przez nich nie szukane natchnienie. To, że mogą się cieszyć najprostszym szczęściem i być razem, zadowalało ich całkowicie. Nawet przez myśl im nie przeszło, że należałoby wreszcie opuścić kajutę, gdyby

kapitan nie powiadomił ich osobnym liścikiem, że po obiedzie dopłyną do portu La Dorada, który był celem podróży po jedenastu dniach żeglugi. Fermina Daza i Florentino Ariza zobaczyli z kajuty wzgórze pokryte domami oświetlonymi bladym słońcem i wydawało im się, że rozumieją, skąd wzięła się nazwa portu, ale wydawało im się to już mniej oczywiste, kiedy poczuli żar bijący jak z kotłów i ujrzeli skwierczący asfalt na ulicach. Statek zresztą przybił nie tam, lecz na przeciwległy brzeg, gdzie znajdowała się końcowa stacja linii kolejowej z Santa Fe. Opuścili swój przytułek dopiero wtedy, gdy wysiedli wszyscy pozostali pasażerowie. Fermina Daza odetchnęła miłym powietrzem bezwstydu w pustym salonie i razem z Florentinem Arizą przyglądała się z pokładu gwarnemu tłumowi ludzi, którzy szukali swoich bagaży w wagonach przypominającego zabawkę pociągu. Zdawać by się mogło, że przybywają prosto z Europy, zwłaszcza kobiety, których grube palta i kapelusze z ubiegłego wieku były w kurzawie upału całkowitą niedorzecznością. Niektóre miały we włosy wpięte prześliczne, choć już więdnące od upału kwiaty ziemniaka. Przed chwilą przyjechali z andyjskiego płaskowyzu, po całym dniu podróży pociągiem przez sawannę z sennych marzeń i nie zdążyli przebrać się stosownie do karaibskich warunków.

Osaczony zgiełkiem targowiska bardzo stary mężczyzna o beznadziejnie smutnym wyglądzie wyciągał piskłeta z kieszeni swego żebraczego palta. Przedarłszy się przez tłum pojawił się nagle, w postrzępionym palcie, które było niewątpliwie własnością kogoś znacznie wyższego i tęższego. Zdjął kapelusz, odwrócił go i położył na ziemi, na wypadek, gdyby ktoś chciał wrzucić weń jakiś grosz, i zaczął garściami wyjmować z kieszeni małe bezbarwne piskłeta, które zdawały się rozmnażać między jego palcami. Po chwili nabrzeże wyglądało, jakby usłano je niespokojnymi i popiskującymi wszędzie kurczętami, które biegały między nogami spieszących się pasażerów, ci zaś niechętnie deptali po nich. Zafascynowana przedziwnym widowiskiem, odgrywanym jakby na jej cześć, bo tylko ona mu się przyglądała, Fermina Daza przegapiła moment, kiedy zaczęli przybywać nowi pasażerowie, udający się w rejs powrotny. Skończyło się dla niej święto: wśród wchodzących dostrzegła wiele znanych jej twarzy i kilku przyjaciół, którzy jeszcze nie tak dawno towarzyszyli jej w żałobie, toteż co prędzej wróciła do kajuty. Florentino Ariza zastał ją zakłopotaną: wolała umrzeć, niż zostać przyłapaną przez znajomych w podróży, którą odbywała dla przyjemności niedługo po śmierci męża. Florentinem Arizą tak wstrząsnęło jej przygnębienie, że przyrzekł jej znaleźć takie wyjście z pułapki, które nie zmuszałoby jej do zamykania się w celi kajuty, a jednocześnie nie narażało jej na przykrości.

Wpadł na pomysł nagle, kiedy jedli kolację w prywatnej mesie. Kapitana niepokoił

pewien problem, i już od dłuższego czasu chciał go omówić z Florentinem Arizą, który zbywał go swym zwyczajem powtarzając: „Z takimi duperelami Leona Cassiani radzi sobie lepiej ode mnie”.

Tym razem jednak go wysłuchał. A sprawa miała się tak, że w górę rzeki statki płynęły z ładunkiem, ale wracały puste, podczas gdy z pasażerami rzecz miała się wprost odwrotnie. „Na korzyść ładunku, za który płaci się więcej i który na dodatek nie je”, powiedział. Fermina Daza jadła z niechęcią, znudzona męczącą dyskusją dwóch mężczyzn o korzyściach, jakie płyną z ustalenia zróżnicowanych taryf. Ale Florentino Ariza wysłuchał wszystkiego do końca i dopiero wtedy zadał pytanie, które kapitan uznał za zapowiedź zbawiennej myśli:

- Rozważając to hipotetycznie - powiedział - czy możliwy byłby bezpośredni rejs bez ładunku, bez pasażerów, bez postojów w portach i żadnych innych obciążeń?

Kapitan powiedział, że jest to możliwe, ale tylko hipotetycznie. KTRz miało zobowiązania wobec innych firm, o czym Florentino Ariza wiedział lepiej niż ktokolwiek, miało podpisane umowy na przewóz ładunków, pasażerów, poczty i wiele podobnych zobowiązań, w większości nie do złamania. Jedynym przypadkiem pozwalającym na ominięcie wszystkiego mógł być wybuch zarazy na pokładzie. Wówczas ogłaszało się na statku kwarantannę, wciągało się żółtą flagę i płynęło na warunkach wyjątkowych. Kapitan Samaritano wielokrotnie był do tego zmuszony w związku z licznymi przypadkami cholery na tych terenach, aczkolwiek później władze sanitarne zmuszały lekarzy do wystawiania zaświadczeń, że chodzi o pospolitą dyzenterię. Zresztą w historii rzeki wielokrotnie wciągano żółtą flagę zarazy po to, żeby uchronić się przed płaceniem podatków, żeby uniknąć kłopotliwego pasażera, żeby uniemożliwić niepożądaną kontrolę. Florentino Ariza odnalazł pod stołem rękę Ferminy Dazy.

- No więc, dobrze - powiedział - zrobmy to.

Kapitan zdziwił się, ale w mig, kierując się instynktem starego lisa, zrozumiał w czym rzecz.

- Ja rządę na tym statku, ale pan rządzi nami - powiedział. - Jeśli więc mówi pan poważnie, proszę mi wydać rozkaz na piśmie i natychmiast odpływamy. Florentino Ariza mówił oczywiście jak najbardziej poważnie i podpisał rozkaz. Ostatecznie wszyscy wiedzieli, że czasy cholery jeszcze się nie skończyły, pomimo radosnych sprawozdań władz sanitarnych. Jeśli chodzi o statek, nie było żadnego kłopotu. Wyładowano niewielką ilość przyjętego ładunku, pasażerów zaś poinformowano, że pojawiły się pewne problemy techniczne, i tego samego ranka przebukowano ich na statek innego przedsiębiorstwa.

Jeśli takie rzeczy robiono z tak wielu niemoralnych, a nawet haniebnych pobudek, Florentino Ariza nie widział powodów, dla których nie można by tego robić z miłości. Kapitan ze swej strony prosił tylko o postój w Puerto Nare, żeby wziąć na pokład osobę, która miała mu towarzyszyć w podróży: kapitan też miał swoje serduszko w ukryciu.

„Nowa Wierność” odpłynęła więc następnego dnia świcie, bez ładunku, bez pasażerów, za to z powiewającą radośnie na maszcie żółtą flagą cholery. O zmierzchu przyjęli w Puerto Nare na pokład kobietę wyższą i tęższą od kapitana i o nieludzkiej urodzie: brakowało jej tylko brody, żeby mogła występować w cyrku. Nazywała się Zenaida Neves, ale kapitan mówił o niej „Moja Furiatka”: dawna przyjaciółka, którą zwykł odbierać w jednym porcie, by pozostawić w innym, a która weszła na statek z podążającym za nią orkanem szczęścia. W tym smutnym zadupiu, gdzie Florentino Ariza ponownie przeżył nostalgiczne wspomnienie Rosalby, kiedy zobaczył pociąg z Envigado z trudem pokonujący dawny trakt mulników, runęła amazońska ulewa, która z niewielkimi przerwami miała trwać przez resztę podróży. Nikt się tym jednak nie przejął: żeglujące święto miało swój własny dach. Tego wieczoru Fermina Daza, chcąc wnieść swój osobisty wkład do zabawy, zeszła do kambuza pośród owacji załogi i przygotowała dla wszystkich naprędce wymyślane danie, nazwane przez Florentina Arizę na własny użytek jako: „bakłażany Amora”. W ciągu dnia grali w karty, jedli do upadłego, zapadali w kamienny sen sjesty, po czym budzili się całkiem wyczerpani i ledwie słońce zachodziło odsyłali orkiestrę i pili anyżówkę pod łososia aż do obrzydzenia. Była to podróż szybka, lekkim statkiem, przy dobrym stanie wód, bo poziom podwyższył się u źródeł dzięki deszczom, które padały przez cały tydzień, tak jak i przez cały czas trwania rejsu. Z niektórych osad wystrzeliano w ich stronę strzały miłosierdzia, żeby odpędzić cholere, oni zaś z wdzięcznością odpowiadali smutnym buczeniem. Mijane po drodze statki wszystkich towarzystw przesyłały im kondolencyjne sygnały. W osadzie Magangue, gdzie urodziła się Mercedes, załadowali drewno na resztę podróży.

Fermina Daza przeleżała się, kiedy zaczęła słyszeć okrętową syrenę w zdrowym uchu, ale po drugim dniu anyżówki słyszała już lepiej na oba uszy. Odkryła, że róże pachną bardziej niż przedtem, że ptaki śpiewają o świcie o wiele ładniej niż przedtem i że Bóg stworzył jedną krowę morską i umieścił ją na ławicy w Tamalameque tylko po to, żeby obudziła Ferminę Dazę. Kapitan usłyszał jej syreni śpiew, kazał zboczyć z kursu i wreszcie ujrzeli ogromną karmiącą matronę ze swym małym w ramionach. Ani Florentino, ani Fermina nie spostrzegli, jak bardzo się do siebie zbliżyli: ona pomagała mu robić lewatywy, wstawiała przed nim, by wyczyścić mu sztuczną szczękę, którą odkładał do szklanki, gdy

Fermina zasypiała, i wreszcie rozwiązała problem zagubionych okularów, jego szkła nadawały się bowiem zarówno do czytania, jak i do cerowania. Obudziwszy się pewnego ranka zobaczyła go w półmroku przyszywającego guzik do koszuli i natychmiast mu pomogła, zanim zdążył powtórzyć rytualne zdanie, że potrzebuje dwóch żon. Natomiast jedyną przysługą, jakiej potrzebowała od niego, było stawianie jej baniek na bóle w plecach. Florentino Ariza, ze swej strony, zaczął ożywiać nostalgię za pomocą skrzypiec pożyczonych od orkiestry i po kilku godzinach prób znowu mógł zagrać dla niej walca Bogini w koronie i wygrywał go bez końca, dopóki go siłą nie zmusili, by tego zaprzestał. Pewnej nocy, po raz pierwszy w swoim życiu, Fermina Daza przebudziła się nagle dusząc się od płaczu, który nie był wywołany wściekłością, lecz żalem na wspomnienie staruszków zatłuczonych na śmierć przez przewoźnika. Za to padający nieustannie deszcz w ogóle jej nie poruszał i pomyślała rychło w czas, że być może Paryż nie jest aż tak ponury, jak sądziła, a w Santa Fe nie ma aż tylu pogrzebów na ulicach. Sen o innych, przyszłych podróżach z Florentinem Arizą pojawił się na horyzoncie: o podróżach szalonych, bez tylu kufrów i bez żadnych towarzyskich zobowiązań. O miłosnych podróżach.

W przeddzień powrotu do domu zorganizowali huczną zabawę, z papierowymi girlandami i kolorowymi lampionami. Zaczęła się o zmierzchu. Kapitan i Zenaida, mocno objęci, zatańczyli pierwsze bolera, które w tych właśnie latach zaczęły rozdzierać ludziom serca. Florentino Ariza odważył się zasugerować Ferminie Dazie, by zatańczyli swego tajemnego walca, ale odmówiła. Mimo to przez całą noc poruszała głową w takt melodii wybijając rytm obcasami, a nawet była taka chwila, że bezwiednie zaczęła tańczyć na siedząco, podczas gdy kapitan wciąż się potykał ze swą czułą furiatką w półmroku bolera. Fermina wypila tyle anyżówki, że musieli jej pomóc przy wchodzeniu po schodach, i napadł ją taki atak śmiechu przeplatane łzami, że przeraziła wszystkich. Ale kiedy zdołała się już opanować w pachnącym zaciszu kajuty, zaczęli się kochać spokojną, zdrową miłością steranych staruszków i ta miłosna noc miała zapaść im w pamięć jako najlepsze wspomnienie z owej lunatycznej podróży. Już nie czuli się jak dopiero co zakochani, wbrew przypuszczeniom kapitana i Zenaidy, ani tym bardziej jak późni kochankowie. Było tak, jakby przeskoczyli uciążliwą mękę małżeństwa docierając od razu do sedna miłości. Przemijali w milczeniu, niczym dwoje starych małżonków doświadczonych przez życie, poza zasięgiem pułapek namiętności, poza zasięgiem brutalnego szyderstwa, marzeń i pełnych ułudy rozczarowań: poza zasięgiem miłości. Bo zdążyli razem już tyle przeżyć, żeby pojąć, że miłość jest miłością o każdej porze i w każdym miejscu, ale im bliżej śmierci, tym bardziej jest intensywna.

Obudzili się o szóstej. Ona z bólem głowy pachnącym anyżówką i z sercem oszołomionym wrażeniem, że doktor Juvenal Urbino powrócił jakby grubszy i młodszy, niż kiedy spadł z drzewa i czekał na nią w fotelu na biegunach w progu ich domu. Była jednak na tyle przytomna, żeby uświadomić sobie, że nie jest to spowodowane nadmiarem anyżówki, ale nieuchronnością powrotu.

- To będzie tak, jakbym miała umrzeć - powiedziała.

Florentino Ariza zdziwił się, bo właśnie odgadła myśl, która nie dawała mu spokoju od dnia, gdy wyruszyli w drogę powrotną. Ani on, ani ona nie potrafili wyobrazić sobie siebie samych w domu innym niż kajuta, jadających gdzie indziej niż na statku, włączonych w nurt życia, które na zawsze miało być im obce. Było to rzeczywiście tak, jakby mieli umrzeć. Nie mógł już zasnąć. Wyciągnął się na łóżku podłożywszy obie ręce pod głowę. W pewnym momencie przeszył go ostry ból z powodu Ameryki Vicuñi i nie mógł już dłużej odwlekać prawdy: zamknął się w łazience i bez wstydu wypłakał się, powoli, do ostatniej łzy. Dopiero wówczas zdobył się na odwagę, by przyznać, jak bardzo ją kochał. Kiedy wstali, przyszykowani do zejścia na brzeg, za nimi pozostały już kanały i trzęsawiska dawnego toru hiszpańskiego i płynęli pośród szczątków wraków i plam martwych olejów po stojących wodach zatoki. Nad złotymi kopułami miasta wicekrólów wschodził promienny czwartek, ale Fermina Daza, wsparta o balustradę, nie mogła ścierpieć fetoru ich chwały, pychy ich twierdz sprofanowanych przez iguany: zgrozy realnego życia. Ani on, ani ona, nie mówiąc sobie tego, nie byli skłonni tak łatwo się poddać.

Odnaleźli w mesie kapitana w stanie całkowitego zapuszczenia, nie licującego z jego eleganckimi nawykami: był nie ogolony, oczy miał podkrążone z niewyspania, ubranie przesiąknięte całonocnym potem, i po każdym słowie bekał anyżówką. Zenaida spała. Zasiadli w milczeniu do śniadania, kiedy łódź motorowa z portowej Służby Zdrowia kazała zatrzymać statek.

Kapitan krzyżąc z mostku dowodzenia odpowiedział na pytania zbrojnego patrolu. Chcieli wiedzieć, jakiego rodzaju zarazę mają na pokładzie, ilu jest pasażerów, ilu chorych, jakie jest prawdopodobieństwo kolejnych zarażeń. Kapitan odpowiedział, że na pokładzie ma tylko troje pasażerów i że wszyscy mają cholere, więc wszystkich trzyma w ścisłym odosobnieniu. Ani osoby, które musiały wejść na pokład w La Dorada, ani dwudziestu siedmiu członków załogi nie miało z chorymi żadnego kontaktu. Ale dowódca patrolu nie był usatysfakcjonowany przekazanymi informacjami i rozkazał im wypłynąć z zatoki i zaczekać w mokradłach Las Mercedes do drugiej po południu na załatwienie wszystkich formalności, niezbędnych do ogłoszenia na statku kwarantanny. Kapitan puścił

furmańskiego bąka i znakiem ręki nakazał sternikowi wykonać zwrot i zawrócić na mokradła.

Fermina Daza i Florentino Ariza siedząc przy stole słyszeli wszystko, ale zdawało się, że kapitana niewiele to obchodziło. W milczeniu powrócił do przerwanego śniadania, a jego wściekłość widoczna była nawet w sposobie, w jaki zgwałcił zasady dobrego wychowania podtrzymujące legendarną reputację kapitanów żeglugi rzecznej. Ostrzem noża przekłuł żółtka czterech smażonych jaj i wymieszał je na talerzu z talarkami zielonych bananów, które w całości wkładał do ust i przeżuwał z dziką rozkoszą. Fermina Daza i Florentino Ariza przyglądali mu się w milczeniu, czekając w szkolnej ławce na odczytanie końcowych stopni. Nie wymienili ze sobą ani jednego słowa w trakcie rozmowy z patrolem sanitarnym, nie mieli również pojęcia, co z nimi będzie, oboje jednak wiedzieli, że kapitan myśli za nich: można to było poznać po pulsowaniu jego skroni.

W czasie gdy pałaszował swą porcję jaj z bananami i pił kawę z mlekiem, statek powoli wypłynął z zatoki i zawrócił na mokradła, torując sobie drogę w wąskich kanałach poprzez kożuch rzęsy wodnej i rzeczne lotosy o fioletowych kwiatach i olbrzymich liściach w kształcie serca. Woda mieniła się masą unoszących się na boku ryb zabitych przez wybuch dynamitu, a nad nimi krążyły z metalicznym wrzaskiem ptaki lądowe i wodne. Wiatr znad Morza Karaibskiego wpadł przez okna niosąc ptasią wrzawę i Fermina Daza poczuła we krwi chaotyczne tętno własnej wolnej woli. Po prawej stronie mętne i ospałe rozlewisko Rio Grandę de la Magdalena ciągnęło się aż po tamtą stronę świata.

Kiedy na talerzach nie pozostało już nic do jedzenia, kapitan wytarł usta brzegiem obrusa i przemówił w dosadnym żargonie, raz na zawsze kończąc ze sławą subtelnego daru wymowy kapitanów żeglugi rzecznej. Nie mówił do nich ani do nikogo, usiłował jedynie pogodzić się z własną wściekłością. Jego końcowym wnioskiem, do którego doszedł wyrzuciwszy z siebie wiązaną barbarzyńskich przekleństw, było stwierdzenie, że nie wie, jak wybrnąć z kabały, w którą się wpakował przez tę cholerną flagę. Florentino Ariza wysłuchał go bez zmrużenia powiek. Następnie spojrzał przez okno na pełny okrąg róży wiatrów, przejrzysty horyzont, bezchmurne grudniowe niebo, wody żeglowne aż po kres i powiedział:

- Płynmy prosto, prosto i prosto, jeszcze raz do La Dorada.

Fermina Daza zadrzała, bo rozpoznała dawny, nawiedzony głos z łaski Ducha Świętego i popatrzyła na kapitana: on był przeznaczeniem. Ale kapitan nie widział jej, gdyż poczuł się unicestwiony straszliwą siłą natchnienia Florentina Arizy.

- Mówi pan serio? - zapytał.



- Od urodzenia - odparł Florentino Ariza - nie powiedziałem niczego, co nie byłoby na serio.

Kapitan spojrział na Ferminę Dazę i dostrzegł na jej rzęsach pierwszy blask zimowego szronu. Następnie popatrzył na Florentina Arizę, jego niezłomne opanowanie, nieustraszoną miłość i przeraziło go spóźnione podejrzenie, że to nie śmierć, ale właśnie życie nie ma granic.

- A jak pan myśli, jak długo możemy pływać w to cholerne tam i z powrotem? - zapytał.

Florentino miał przygotowaną odpowiedź od pięćdziesięciu trzech lat, siedmiu miesięcy i jedenastu dni, łącznie z nocami.

- Przez całe życie - powiedział.

KONIEC